

**Victoria Holt**

# **Tajemnicza kobieta**

*The Secret Woman*

**Przełożyła Alina Siewior-Kuś**

## *Dom królowej*

Kiedy moja ciotka Charlotte nagle zmarła, wielu ludzi podejrzewało, że to ja ją zabiłam, i gdyby nie zeznania siostry Loman, koroner na rozprawie wstępnej wydałby werdykt o morderstwie popełnionym przez osobę lub osoby nieznane; wówczas też z pewnością zbadano by szczegółowo mroczne sekrety Domu Królowej i prawda wyszłaby na jaw.

— Ta jej bratanica bez wątpienia miała motyw — powiadano. „Motywem” był majątek ciotki Charlotty, odziedziczony teraz przeze mnie. Jakże jednak rzeczywistość różniła się od pozorów!

Chantel Loman, z którą się zaprzyjaźniłam, gdy przebywała w Domu Królowej, kpiła z plotek.

— Ludzie uwielbiają dramaty. Jeśli życie ich nie dostarcza, sami je wymyślają. Nagła śmierć to dla nich manna z nieba. Naturalnie, że wszyscy gadają. Nie zważaj na to. Ja nie zważam i jestem szczęśliwa.

Odparłam, że w przeciwieństwie do mnie może sobie na to pozwolić.

Wyśmiała mnie.

— Zawsze jesteś taka logiczna, Anno! — rzekła. — Wierzę, że gdyby spełniło się życzenie tych złośliwych plotkarzy i stanęłabyś przed sądem, przeciągnęłabyś na swoją stronę sędziego i przysięgłych. Potrafisz o siebie zadbać.

Gdybyż tylko była to prawda! Jednakże Chantel nie miała pojęcia o bezsennych nocach, kiedy snułam plany, jak pozbyć się wszystkiego i rozpocząć nowe życie w nowym miejscu, gdzie byłabym wolna od dręczącego mnie koszmaru. Rankiem sprawy wyglądały inaczej. Musiałam brać pod uwagę względy praktyczne. Wyjazd z powodów finansowych był wykluczony. Plotkarze nie orientowali się, jak naprawdę stoją sprawy. Poza tym wzdragałam się przed tchórzliwą ucieczką. Dopóki człowiek jest niewinny, jakie znaczenie ma opinia świata?

Głupi aforyzm, upominałam się natychmiast, w dodatku fałszywy. Niewinni często cierpią, gdy ciąży na nich podejrzenie; nie wystarczy być niewinnym, trzeba swą niewinność udowodnić.

Nie mogłam uciec, nałożyłam więc maskę, jak mówiła Chantel, i z zimną obojętnością odnosiłam się do świata. Nikt nigdy się nie dowie, jak głęboką ranę zadały mi te oskarżenia.

Próbowałam zdobyć się na obiektywizm. W istocie nie przetrwałabym owych miesięcy, gdybym tego, co się działo, nie traktowała jak niemiłej fantazji, a nawet czegoś w rodzaju przedstawienia, w którym głównymi bohaterkami są ofiara i podejrzana, czyli ciotka Charlotte i ja, role drugoplanowe zaś odgrywają siostra Chantel Loman, doktor Elgin, gospodyni, pani Morton, pokojówka Ellen oraz pani Buckie, na przychodne zajmująca się odkurzaniem zagraconych pokoi. Usiłowałam przekonać samą siebie, że to nie dzieje się naprawdę, i pewnego ranka okaże się, iż miałam tylko przerażający sen.

Nie byłam więc logiczna, tylko naiwna i bardzo bezbronna — nawet Chantel nie wiedziała, jak bardzo. Nie ośmielałam się patrzeć wstecz, nie ośmielałam się spoglądać z nadzieją przed siebie. A gdy zerkałam w lustro, dostrzegałam zmiany, jakie zaszły w moim wyglądzie. Miałam dwadzieścia siedem lat i na tyle wyglądałam; wcześniej brano mnie za młodszą. Wyobrażałam sobie, jak mając lat trzydzieści siedem... czterdzieści siedem... wciąż mieszkam w Domu Królowej, dręczona przez ducha ciotki Charlotte, a ludzie nie przestają plotkować i pewnego dnia ktoś, kto dziś jeszcze się nie urodził, powie: „To stara panna Brett. Dawno temu był jakiś skandal, choć nigdy nie poznałem szczegółów. Wydaje mi się, że kogoś zamordowała”.

Nie mogę do tego dopuścić, w żadnym razie. Czasami mówiłam sobie, że ucieknę, zaraz wszakże powracał stary upór. Byłam córką żołnierza. Ileż to razy ojciec mi powtarzał: „Nigdy nie odwracaj się plecami do kłopotów. Zawsze stawiaj im czoło”.

I tak właśnie próbowałam postępować, kiedy po raz kolejny Chantel przybyła mi na ratunek. Cała historia wszakże zaczyna się o wiele wcześniej.

\* \* \*

Gdy przyszedłam na świat, mój ojciec służył w armii indyjskiej w stopniu kapitana; był bratem ciotki Charlotte, która też odznaczała się wieloma żołnierskimi cechami. Ludzie są nieprzewidywalni. Pozornie reprezentują określone typy. Często mówi się, że ona lub on to taki a taki typ, lecz przecież człowiek rzadko jest określonym typem, nie do końca przynajmniej, jedynie do pewnego stopnia odpowiada owej charakterystyce, a w wielu punktach gwałtownie od niej odstaje. I tak też było z ojcem i ciotką Charlotte. Ojciec bez reszty poświęcił się swej profesji. Armia była rzeczą najważniejszą na świecie, prawdę rzekłszy, poza nią niewiele dla niego istniało. Moja matka często powtarzała, że dowodziłby domem jak koszarami, gdyby tylko pozwoliła mu traktować otoczenie w taki sposób, w jaki traktował swoich ludzi. Przy śniadaniu cytował Regulamin Królewski, mówiła kpiąco, a on uśmiechał się zażenowany, ponieważ to ona była jego odstępstwem. Poznali się, kiedy płynął z Indii do domu na urlop. Matka opowiadała mi o tym w sposób, który nazwałam „motylim”. Przelatywała od dygresji do dygresji, oddalając się znacznie od głównego tematu, i trzeba jej było o nim przypominać, jeśli interesował rozmówcę. Czasami ciekawsze jednak było, gdy podążała własną drogą. Mnie wszakże interesowało pierwsze spotkanie rodziców, dlatego ciągle do tego wracałam.

— Księżycowe noce na pokładzie, kochanie. Nie masz pojęcia, jak są romantyczne... Ciemne niebo i gwiazdy niczym klejnoty... i muzyka, i tańce. Obce porty i te fantastyczne bazyry. Ta cudowna bransoleta... Och, w dniu, kiedy ją kupiliśmy...

Tak więc musiałam sprowadzić matkę na główny trakt. Tak, tańcząc z pierwszym oficerem, zauważyła wysokiego żołnierza, stojącego na uboczu, zamkniętego w sobie i samotnego, i założyła się, że skłoni go, by z nią zatańczył. Naturalnie wygrała zakład, a w dwa miesiące później w Anglii odbył się ślub.

— Twoja ciotka Charlotte była wściekła. A może sądziła, że ten biedak jest eunuchem?

Rozmowy prowadzone przez matkę wydawały się takie lekkie, wręcz zwiewne. Fascynowała mnie, jak pewnie fascynowała mojego ojca. Obawiam się, że jestem o wiele bardziej podobna do niego niż do niej.

W owych wczesnych latach mieszkałam z rodzicami, choć częściej niż oni towarzystwa dotrzymywała mi moja *ayah*. Zachowałam mgliste wspomnienie upału, wielobarwnych kwiatów, smagłych kobiet robiących pranie w rzece. Pamiętam, jak z *ayah* jeździłam otwartym powozem koło cmentarza na wzgórzu; powiedziano mi, że ciała umarłych pozostawiano tam niczym nieosłonięte, by mogły na powrót stać się częścią ziemi i powietrza. Pamiętam ponure sępy usadowione wysoko na drzewach. Na ich widok przechodził mnie dreszcz.

Nadeszła wszakże pora, kiedy musiałam powrócić do Anglii. Podróżowałam z rodzicami i sama doświadczyłam owych tropikalnych nocy na morzu, kiedy gwiazdy sprawiają wrażenie klejnotów ułożonych na ciemnogramatowym aksamicie, który ma podkreślić ich blask i urodę. Słyszałam muzykę i widziałam tańce, dla mnie jednak nad wszystkim dominowała matka, najpiękniejsza istota na świecie, jej powłóczyste suknie, ciemne włosy upięte wysoko i ciągły, chaotyczny potok słów.

— Kochanie, to tylko na krótki czas. Ty musisz zdobyć wykształcenie, a my musimy wracać do Indii. Zamieszkasz u cioci Charlotte. — Typowe dla matki, że mówiła o niej „ciocia”. Dla mnie ciotka Charlotte zawsze była „ciotką.” — Pokocha cię, bo dostałaś imię po niej... cóż, przynajmniej częściowo. Chcieli, żebyś była Charlotte, ale ja się nie zgodziłam. To by mi

przypominało o niej... — Tu gwałtownie urwała, uświadamiając sobie, że przecież usiłuje przedstawić siostrę męża w dobrym świetle. — Ludzie czują sympatię do osób noszących te same co oni imiona. „Ale nie Charlotte, powiedziałam, to zbyt surowe...”. Tak więc zostałaś Anną Charlotte, na co dzień Anną, i w ten sposób uniknęliśmy dwóch takich samych imion w rodzinie. Och, o czym to mówiłam? Twoja ciocia Charlotte... Tak, kochanie, musisz iść do szkoły, ale są też wakacje. Przecież na wakacje nie możesz jeździć aż do Indii, prawda, skarbie? Będziesz więc je spędzać u cioci Charlotte w Domu Królowej. Czyż to nie brzmi wspaniale? Wydaje mi się, że spała w nim królowa Elżbieta, stąd wzięła się nazwa. A potem... ani się spostrzeżesz... mój Boże, czas tak szybko płynie, skończysz szkołę i wrócisz do nas. Nie mogę się już doczekać, kochanie. Jakąż świetną będę miała zabawę, wprowadzając w świat córkę. — I znów ten wdzięczny grymas, przez Francuzów, jak mi się zdaje, zwany *moue*. — Dla mnie będzie to rekompensata za starość.

Matka najmniej interesującą rzecz potrafiła przedstawić jako niezwykle atrakcyjną. Gestem dłoni odbierała znaczenie latom rozłąki. Sprawiała, że nie myślałam o szkole ani o ciotce Charlotte, tylko o przyszłości, kiedy z brzydkiego kaczątka zamienię się w łabędzia i będę wyglądać tak samo jak matka.

Miałam siedem lat, gdy po raz pierwszy ujrzałam Dom Królowej. Dorożka, którą jechaliśmy ze stacji, wiozła nas ulicami jakże odmiennymi od tych w Bombaju. Ludzie sprawiali wrażenie spokojnych, domy miały imponujący wygląd. Tu i tam w ogrodach widziałam zieleń, głęboką i chłodną, o odcieniu, jakiego w Indiach nie było; wiał też lekki wiaterek. Raz po raz dostrzegaliśmy rzekę, bo miasto Langmouth usytuowane było u ujścia rzeki Lang i z tego też powodu stało się z czasem ruchliwym portem. W pamięci mojej wciąż żyją fragmenty paplaniny matki.

— Jaki ogromny statek! Popatrz, skarbie. Wydaje mi się, że należy do tych ludzi... jakże się oni nazywają, kochanie? Tych bogatych i potężnych, do których należy połowa Langmouth, a skoro już o tym mowa, to i połowa Anglii? I głos mego ojca:

— Masz na myśli Creditonów, moja droga. To prawda, posiadają przynoszącą spore zyski linię żeglugową, lecz przesadzasz, twierdząc, że należy do nich połowa miasta, choć istotnie Langmouth w dużej części zawdzięcza im rosnącą prosperity.

Creditonowie! To nazwisko utkwilo mi w pamięci.

— Ha, lepiej nie mogliby się nazywać — odrzekła matka. — Creditonowie z kredytem zaufania.

Usta ojca lekko drgnęły, jak zawsze gdy jej słuchał; znaczyło to, że miał ochotę się roześmiać, lecz uważał, że taka reakcja byłaby poniżej godności majora. Już po moim przyjsciu na świat awansował, a wraz z tym zyskał więcej powagi. Był stanowczy, zamknięty w sobie, honorowy, a ja byłam z niego dumna tak samo jak z matki.

Tak więc przybyliśmy do Domu Królowej. Dorożka zatrzymała się przed wysokim murem z czerwonej cegły, w którym znajdowała się brama z kutego żelaza. Była to chwila ekscytująca, bo stojąc przed tym wiekowym murem, człowiek nie miał pojęcia, co znajdzie po drugiej jego stronie. A gdy brama się otworzyła, by zaraz zamknąć się za nami, ogarnęło mnie wrażenie, że wkroczyłam w inny wiek. Zostawiłam za sobą wiktoriańskie Langmouth, które swój rozkwit zawdzięczało pracowitym Creditonom, i przeniosłam się o trzy wieki w przeszłość.

Ogród ciągnął się do rzeki. Był dobrze utrzymany, choć nie przyciągał uwagi wyrafinowaniem ani wielkością, potem się okazało, że miał trzy czwarte akra. Dziwacznie wybrukowana ścieżka rozdzielała dwa trawniki, na których rosły krzewy, bez wątpienia okryte kwieciem wiosną i latem, o tej porze roku jednak zwisały z nich tylko połyskujące od rosy pajęczyny. Rosło tam mnóstwo marcinków — pomyślałam, że są jak fioletozoróżowe gwiazdy — oraz czerwone i złote chryzantemy. Świeży zapach wilgotnej ziemi, trawa, zielone pnącza i słaby aromat kwiatów

różniły się bardzo od ciężkiego zapachu uroczynu, który tak bujnie pienił się w gorących i parnych Indiach.

Ścieżka wiodła do dwupiętrowego domu; był raczej szerszy niż wysoki i zbudowano go z tej samej czerwonej cegły co mur, a ołowiane ramki dzieliły szyby w oknach na mniejsze prostokąty. Koło nabijanych metalowymi ćwiekami drzwi wisiał ciężki żelazny dzwonek. Wydało mi się, że wyczuwam atmosferę zagrożenia, aczkolwiek powodem mogła być pewność, iż zostanę tu pod opieką ciotki Charlotte, podczas gdy rodzice powrócą do swego wesołego i kolorowego życia. I to była prawda. Żadnej przestrogi nie otrzymałam. Nie wierzyłam w takie rzeczy.

Nawet matka nieco przycichła, bo też ciotka Charlotte każdego potrafiła przygnębić.

Ojciec, który nie był takim służbistą, za jakiego lubił uchodzić, chyba zdawał sobie sprawę z mojego strachu; a może nawet przyszło mu do głowy, że jestem za mała, by zostawiać mnie na łasce szkoły, ciotki Charlotte i Domu Królowej. Lecz nie było w tym nic niezwykłego, taki los spotykał wiele dzieci. Jak powiedział mi przed wyjazdem, jest to cenne doświadczenie, ponieważ uczy samodzielności i polegania na sobie, a także stawiania czoła życiu, dzięki czemu wyrabia się charakter — ojciec dysponował pokaźnym zapasem maksym na tego rodzaju okazje.

Próbował mnie przygotować.

— To nie byle jaki dom — wyjaśnił. — I przekonasz się, że ciotka Charlotte to niezwykła kobieta. Prowadzi własny interes... jest w tym dobra. Kupuje i sprzedaje cenne stare meble. O wszystkim ci opowie. Dlatego też kupiła ten stary dom. Trzyma w nim meble, a ludzie przychodzą je oglądać. Sklep wszystkiego by nie pomieścił. I naturalnie jest to zajęcie stosowne dla ciotki Charlotte, ponieważ różni się od zwykłego handlu. To zupełnie coś innego, niż gdyby sprzedawała cukier albo masło.

Intrygowały mnie owe towarzyskie rozróżnienia, zbyt byłam jednak przytłoczona najnowszymi przeżyciami, by zastanawiać się nad takimi niuansami.

Ojciec pociągnął za sznur, dzwonek zadzwonił i po kilku minutach drzwi otworzyła Ellen, która niezgrabnie dygnąwszy, wprowadziła nas do środka.

Znaleźliśmy się w mrocznym holu; dokoła wznosiły się dziwaczne kształty i pomyślałam, że nie tyle jest umeblowany, ile pełny mebli. Było tam też kilka stojących zegarów i kilka ozdobnych z mosiądzu; ich tykanie wyraźnie rozlegało się w ciszy. Tykanie zegarów zawsze już będzie mi się kojarzyć z Domem Królowej. Zauważyłam dwie chińskie szafki, krzesła i stoliki, biblioteczkę oraz biurko. Po prostu wciśnięto tutaj to wszystko, nie próbując w żaden sposób ustawić mebli.

Ellen wybiegła, a ku nam zbliżyła się jakaś kobieta. Najpierw pomyślałam, że to ciotka Charlotte. Powinnam była jednak wiedzieć, że biały czepek oraz suknia z czarnej bombazyny wskazują na gospodynię.

— Ach, pani Morton — odezwał się ojciec, który dobrze ją znał. — Przywieźliśmy naszą córkę.

— Pani jest w bawialni — odrzekła pani Morton. — Powiadomię ją o państwa przybyciu.

— Bardzo proszę. Matka spojrzała na mnie.

— Czy to nie fascynujące? — szepnęła na poły ze strachem, ale z jej tonu odgadłam, że wcale tak nie myśli, tylko chce, abym ja tak uważała. — Wszystkie te bezcenne, kosztowne przedmioty! Spójrz tylko na ten sekretarzyk! Założę się, że należał do króla barbarzyńców!

— Beth — mruknął ojciec z łagodną naganą.

— I spójrz na łapy przy oparciach tego fotela. Jestem pewna, że muszą coś oznaczać. Tylko pomyśl, kochanie, może ty odkryjesz ich znaczenie! Bardzo chciałabym wiedzieć wszystko o tych cudownych sprzętach.

Wróciła pani Morton z dłońmi starannie splecionymi na okrytym bombazyną brzuchu.

— Pani prosi do salonu.

Ruszyliśmy po schodach; ściany obite tu były tkaninami, wisiało też kilka obrazów. Schody zaprowadziły nas wprost do pokoju, w którym znajdowało się jeszcze więcej mebli. Z niego weszliśmy do drugiego, a stamtąd do trzeciego — ten okazał się salonem ciotki Charlotte.

Stała tam: była wysoka i masywna; pomyślałam, że wygląda jak mój ojciec przebrany za kobietę. Brązowe włosy przetykane siwizną miała szesane gładko z dużej, twardej twarzy i zwinięte w węzeł na karku. Ubrana była w tweedowy kostium oraz surową oliwkową bluzkę; takiego samego koloru wydawały się jej oczy. Później zorientowałam się, że oczy zyskały swą barwę dzięki ubraniu, a ponieważ ciotka zwykle nosiła szarości i ów ciemny odcień zieleni, miało się wrażenie, że też są takie. Była kobietą niezwykłą; mogłaby żyć ze swych skromnych dochodów w jakimś spokojnym miasteczku na prowincji, składać ceremonialne wizyty przyjacielom — może nawet jeździć własnym powozem, pomagać przy organizacji kościelnych kwest, zajmować się dobroczynnością i korzystać z odpowiednich rozrywek. Lecz nie. Jej miłość do pięknych mebli i porcelany graniczyła wręcz z obsesją. Mój ojciec zбочzył ze swej drogi, by poślubić moją matkę, ona zesła ze swojej, by duszą i ciałem oddać się antykom. Została kobietą interesu, dziwnym zjawiskiem w naszych wiktoriańskich czasach. Sprzedawała i kupowała, a swą rozległą wiedzą w tej dziedzinie mogła rywalizować z wieloma antykwariuszami — mężczyznami. Widywałam później, jak twarz jej się rozjaśnia na widok jakiegoś rzadkiego eksponatu, i słyszałam, jak z pasją rozprawia o kwiatonach w serwantce Sheratona.

Owego wszakże dnia wszystko było dla mnie zadziwiające. Ten zagracony dom w ogóle nie przypominał domu i nie potrafiłam wyobrazić sobie, że tu zamieszkać.

— Naturalnie — powiedziała matka — twój prawdziwy dom jest w Indiach. Tutaj będziesz tylko spędzać wakacje. A za kilka lat...

Jednakże ja nie potrafiłam myśleć o upływie lat równie lekko jak ona.

Nie zostaliśmy wówczas na noc w Domu Królowej, lecz pojechaliśmy wprost do mojej szkoły w Sherborne, gdzie rodzice w pobliskim hotelu spędzili dni, które pozostawały do powrotu do Indii. Wzruszyła mnie ich decyzja, wiedziałam bowiem, że w Londynie matka mogłaby spędzać czas tak, jak lubiła.

— Pragnęliśmy, byś wiedziała, że jesteśmy blisko, gdyby szkoła na początku wydała ci się nazbyt niemiła — powiedziała mi mama. Lubiałam myśleć, że w jej wypadku odstępstwem od reguły była miłość do mnie i ojca, bo nikt nie spodziewałby się po motyłu zdolności do tak głębokiego uczucia i troski.

Sądzę, że zaczęłam nienawidzić ciotki Charlotte, kiedy krytykowała moją matkę.

— Ptasi mózdzek — mówiła. — Nigdy nie mogłam zrozumieć twojego ojca.

— A ja mogę go zrozumieć — odparowałam zdecydowanie. — Potrafiłabym zrozumieć każdego. Mama różni się od innych ludzi. — I miałam nadzieję, że mój miażdżący wzrok mówi wyraźnie, że „inni ludzie” oznaczają ciotkę Charlotte.

Najtrudniej było przetrwać pierwszy rok w szkole, choć wakacje okazały się jeszcze gorsze. Snułam plany, jak dostać się na statek płynący do Indii. Skłoniłam Ellen, która towarzyszyła mi w czasie spacerów, by zabierała mnie do portu, gdzie tęsknie patrzyłam na okręty i zastanawiałam się, dokąd płyną.

— To statek z Lady Linę — tłumaczyła Ellen z dumą. — Należy do Creditonów. — A ja patrzyłam, podczas gdy Ellen wskazywała mi zalety statku. — To kliper. Jeden z najszybszych statków, jakie kiedykolwiek żeglowały po morzu. Płynie do Australii po wełnę i do Chin po herbatę. Och, popatrz tylko, czy kiedykolwiek widziałas piękniejszy statek?

Ellen pyszniła się swoją wiedzą. Była dziewczyną z Langmouth, a ja pamiętałam, że miasto całą swoją pomysłowość zawdzięcza Creditonom. Co więcej, Ellen miała jeszcze jeden powód do dumy:

jej siostra Edith była pokojówką w zamku Creditonów. Obiecała, że zaprowadzi mnie, bym go sobie obejrzała — oczywiście tylko z zewnątrz.

Ponieważ marzyłam o ucieczce do Indii, fascynowały mnie statki. Posmak romantyzmu miały rejsy dookoła świata po rozmaite towary: banany i herbatę, wełnę oraz celulozę służącą do produkcji papieru w wielkiej fabryce założonej przez Creditonów, która, jak mówiła mi Ellen, zapewnia pracę wielu mieszkańcom Langmouth. W porcie znajdował się wspaniały nowy dok, niedawno otwarty przez samą lady Crediton. To było coś, zachwycała się Ellen. Lady Crediton towarzyszyła sir Edwardowi we wszystkich jego przedsięwzięciach, a trudno by się tego spodziewać po lady, prawda?

Odparłam, że po Creditonach można się spodziewać absolutnie wszystkiego.

Ellen skinęła głową z aprobatą. Zaczynałam rozumieć miejsce, w którym przyszło mi mieszkać. Och, cóż to za widok, mówiła Ellen, gdy statek wchodzi do portu lub wychodzi w morze — te białe żagle wydymające się na wietrze i mewy z krzykiem zataczające nad nim koła. Zaczynałam się z nią zgadzać. W Lady Linę wszystkie statki były damami, syrenami i amazonkami, tłumaczyła mi Ellen. To hołd, jaki sir Edward złożył lady Crediton, która stała przy jego boku przez cały czas i odznaczała się głową do interesów, rzecz dla kobiet niezwykła.

— To wszystko jest naprawdę bardzo romantyczne — zakończyła służąca.

I oczywiście miała rację, Creditonowie byli romantyczni. A także mądrzy, bogaci i prawdę mówiąc nadludzy, odparłam.

— Nie bądź taka zgryźliwa — usłyszałam w odpowiedzi.

Pokazała mi zamek Creditonów. Zbudowano go na wysokim klifie nad morzem. Potężna forteca z szarego kamienia, z basztami obronnymi i wieżą rzeczywiście wyglądała jak stary kasztel. Zapytałam, czy nie jest nieco pretensjonalny, bo skoro ludzie nie budują obecnie zamków, ten nie może być prawdziwy. Stoi tu zresztą dopiero od pięćdziesięciu lat. Czy nie ma w tym oszustwa, że sprawia wrażenie, jakby wzniesli go Normanowie?

Ellen rozejrzała się przerażona, jakby oczekiwała, że za takie bluźnierstwo zostanie ukarana gromem z jasnego nieba. Cóż, przebywałam w Langmouth od niedawna i jeszcze nie odkryłam potęgi Creditonów.

Lecz to Ellen obudziła we mnie zainteresowanie tym miastem, a zainteresowanie Langmouth oznaczało zainteresowanie Creditonami. Rodzice wiele jej opowiadali. Kiedyś... nie tak dawno temu, Langmouth niczym się nie wyróżniało spośród innych prowincjonalnych miasteczek. Nie było Teatru Królewskiego ani eleganckich domów zbudowanych na klifie, który wznosił się nad mostem. Uliczki wąskie, wybrukowane kocimi łbami, do doków mało kto odważał się zapuszczać. Oczywiście wówczas nie powstał jeszcze Dok Edwarda. W tamtych czasach statki pływały do Afryki po niewolników. Ojciec Ellen pamiętał aukcje w porcie. Panowie przybywali aż z Indii Zachodnich, by targować się o cenę niewolników, a zakupionych zabierać do pracy na plantacjach trzciny cukrowej. Ale to już była przeszłość. Teraźniejszość wyglądała inaczej. Sir Edward Crediton zmodernizował Langmouth, założył Lady Linę i chociaż położenie oraz port nadawały pewnego znaczenia miastu, bez szacownych Creditonów nigdy nie osiągnęłoby obecnej wspaniałości.

Tylko dzięki Ellen zniosłam jakoś ów pierwszy rok. Nigdy nie polubiłam pani Morton, gdyż zbyt była podobna do ciotki Charlotte. Twarz miała niczym zamknięte na głucho drzwi, oczy zaś jak okna, za małe, by zdradzić, co za nimi się znajduje, dokładnie zasłonięte, nieodgadnione. Nie chciała mnie, szybko się o tym przekonałam. Narzekała przed ciotką Charlotte: wnoszę błoto z ogrodu, zostawiam mydło w wodzie, tak że rozpuszcza się do połowy (ciotka Charlotte była bardzo skąpa i nie znosiła wydawania pieniędzy na jakiegokolwiek rzeczy oprócz antyków), stłukłam porcelanową filiżankę z serwisu. Do mnie natomiast odnosiła się z lodowatą uprzejmością i w

żadnej sytuacji nie zwróciła mi uwagi. Gdyby się gniewała albo wytknęła coś wprost, chyba bardziej bym ją lubiła. Następna była pulchna pani Buckie, która mieszała wosk pszczeli z terpentyną, polerowała co cenniejsze sprzęty i wypatrywała jakichkolwiek oznak ataku największego wroga drewna: korników. Należała do osób gadatliwych i jej towarzystwo wpływało na mnie tak samo korzystnie jak towarzystwo Ellen.

Zaczęłam snuć dziwaczne fantazje na temat Domu Królowej. Wyobrażałam sobie, jak musiał wyglądać przed wielu laty, kiedy traktowano go jak prawdziwy dom. W holu znajdowały się pewnie dębowy kredens, stół jadalny i zbroja u podnóża pięknej klatki schodowej. Ściany zdobiły portrety rodzinne, a nie okazjonalne obrazki i ogromne gobeliny zawieszane obok siebie niezależnie od kolorystyki, niekiedy wręcz jeden na drugim. Myślałam, że dom buntuje się przeciwko temu, co mu uczyniono wstawianiem bez ładu i składu wszystkich owych foteli i stołów, szaf, biurków i zegarów, które niekiedy tykały nerwowo, jakby doprowadzone do rozpaczy otoczeniem, innym razem zaś gniewnie, złowieszczo.

Powiedziałam Ellen, że mówią: „Śpieszcie się! Śpieszcie!” przypominając, że czas mija, a my z każdym dniem jesteśmy starsi.

— Jakby trzeba nam było o tym przypominać! — wykrzyknęła pani Buckie, a jej trzy podbródki zakółysały się ze śmiechu.

Ellen pogroziła mi palcem.

— Tęsknisz za tatą i mamą, ot co. I czekasz, aż p0 ciebie przyjadą. Zgodziłam się z tym.

— Ale kiedy nie odrobiłam zadania wakacyjnego one również mi o tym przypomniały. Czas może przypominać nam o szybkim albo powolnym upływie, zawsze jednak nas ostrzega.

— Cóż za rzeczy wygaduje to dziecko! — skomentowała Ellen.

A pulchna figura pani Buckie trzęsła się jak galareta od skrywanej uciechy.

Mnie jednak fascynowały Dom Królowej i ciotka Charlotte. Ciotka nie była zwykłą kobietą, tak samo jak Dom Królowej nie był zwykłym domem. Na początku ośwładnęła mną myśl, że dom żyje, ma osobowość i nienawidzi nas, ponieważ uknułyśmy spisek, by uczynić zeń zwykły magazyn na towary, choćby i kosztowne.

— Duchy ludzi, którzy tutaj mieszkali, gniewają się, bo ciotka Charlotte zmieniała ich dom nie do poznania — powiedziała Ellen i pani Buckie.

— Boże miłościwy! — zawołała pani Buckie.

Ellen upomniała mnie, że nie można mówić takich rzeczy. Ja wszakże upierałam się przy swoim.

— Pewnego dnia duchy tego domu powstaną i wydarzy się coś strasznego.

To było w pierwszych miesiącach. Później moje uczucia do ciotki Charlotte uległy zmianie i choć nigdy jej nie pokochałam, zaczęłam ją szanować.

Praktyczna do przesady, mocno stąpała po ziemi, wyzbyta wszelkiej uczuciowości. Nie widziała Domu Królowej w takim świetle jak ja, dla niej były to tylko pokoje zamknięte ścianami, zabytkowe, to prawda, lecz ich jedyną zaletę dostrzegała w fackie, iż stanowią odpowiednie tło dla jej antyków. Zgodziła się, by tylko jedno pomieszczenie zachowało dawny charakter, ale i tę decyzję podyktowały względy handlowe. Było to pomieszczenie, gdzie podobno spała królowa Elżbieta, z łóżkiem z epoki, na którym podobno spała; z powodu tej legendy — jeśli była to wyłącznie legenda — pokój umeblowano w stylu Tudorów. To z uwagi na interesy, wyjaśniła ciotka pośpiesznie. Wielu ludzi przychodzi obejrzeć Komnatę Królowej, ogarnia ich właściwy nastrój i wówczas gotowi są zapłacić żadaną cenę za upragnioną rzecz.

Często chodziłam do tego pokoju, znajdując tam niejaką pociechę. Mówiłam do siebie: „Przeszłość jest po mojej stronie... przeciwko ciotce Charlotte. Duchy wyczuwają moje współczucie”. Lubiłam tak myśleć. A w owych miesiącach sama potrzebowałam współczucia.



Stawałam w Komnacie Królowej, dotykałam łoża i myślałam o sławnej mowie wygłoszonej w Tilbury, którą ojciec tak często mi przytaczał: „Wiem, iż mam ciało słabej i kruchej niewiasty, za to serce króla — króla Anglii...”. I wówczas ogarniała mnie pewność, że przetrwam ten nieszczęśliwy okres i będę dzielna jak Elżbieta, kiedy zwyciężyła Hiszpanów.

Zrozumiałe, że skoro dom ofiarował mi pociechę, traktowałam go jak żywą istotę. Poznałam jego nocne odgłosy: nagłe, niewytłumaczalne skrzypnięcie podłogi, trzeszczenie okien, zawodzący w konarach orzecha wiatr, przypominający szept niewidocznych ludzi.

Niekiedy ciotka Charlotte wyjeżdżała. Udawała się na wyprzedaje w starych posiadłościach, czasami położonych całkiem daleko; po jej powrocie dom stawał się jeszcze bardziej zagracony. Ciotka Charlotte miała także sklep w centrum miasta, gdzie wystawiała niektóre rzeczy, większość jednak znajdowała się w domu, dlatego też ciągle przychodzili do nas obcy ludzie.

Sklepem zajmowała się panna Beringer, a choć dzięki niej ciotka Charlotte nie musiała tam zbyt często bywać, uważała swoją współpracownicę za kobietę głupią, która nie potrafi docenić wartościowych rzeczy. Nie była to prawda; owe słowa oznaczały jedynie, że panna Beringer nie dorównuje ciotce Charlotte wiedzą. Ciotka Charlotte była wszakże tak wykształcona, że uważała większość ludzi za głupców.

Przez co najmniej rok byłam tym, co ciotka nazywała „krzyżem”, czyli ciężarem, nieoczekiwanie jednak uległo to zmianie. Moją uwagę przyciągnął stół. Nagle na sam jego widok ogarnęła mnie ekscytacja; kucnęłam, przyglądając się rzeźbionym nogom, gdy przyłapała mnie ciotka Charlotte. Przyklękła obok mnie.

— Dość dobrze zachowany — rzuciła szorstko.

— To francuski mebel, prawda? — zapytałam.

Uniosła kąciki ust, co w jej wydaniu było uśmiechem. Kiwnęła głową.

— Niesygnowany, ale moim zdaniem to praca Rene Dubois. Na początku sądziłam, że wykonał go jego ojciec, Jacques, wydaje mi się jednak, że to nieco późniejszy okres. Zobacz sama, zielony i złoty lakier na dębie! I te kule z brązu!

Złapałam się na tym, że dotykam drewna z szacunkiem.

— To chyba koniec osiemnastego wieku — zaryzykowałam.

— Nie, nie! — Ciotka potrząsnęła głową, zniecierpliwiona. — Pięćdziesiąt lat wcześniej, połowa osiemnastego.

Po tym zdarzeniu nasz wzajemny stosunek nabrał innego wymiaru. Czasami ciotka wzywała mnie i mówiła:

— Proszę! I co o tym myślisz? Co zauważyłaś?

Na początku kierowało mną pragnienie, by ją prześcignąć, pokazać, że także coś wiem o jej drogocennych nabytkach, później jednak naprawdę wszystko to mnie zainteresowało i po cechach charakterystycznych zaczęłam rozpoznawać kraj oraz okres, w którym dany przedmiot powstał.

Pewnego dnia ciotka Charlotte posunęła się tak daleko, że przyznała:

— Wiesz tyle, co ta głupia Beringer.

Powiedziała to jednak wtedy, gdy pracownica dopiekle jej do żywego.

Dom Królowej stał się dla mnie jeszcze bardziej fascynujący. Zaczęłam traktować meble jak starych przyjaciół. Pani Buckie, która odkurzała swymi ruchliwymi, acz ostrożnymi dłońmi, zapytała:

— Hejże, chcesz zostać następną panną Charlotte Brett, panienko Anno?

To mnie przestraszyło i miałam ochotę uciec.

Pewnego dnia w środku letnich wakacji, cztery lata po tym, gdy rodzice przywieźli mnie do Anglii, przyszła do mojego pokoju Ellen i powiedziała, że ciotka Charlotte życzy sobie

natychmiast mnie widzieć. Służąca sprawiała wrażenie przestraszonej, zapytałam więc, czy stało się coś złego.

— Nic mi nie mówiono — odrzekła, ja jednak wyczuwałam, że coś przede mną ukrywa.

Ruszyłam więc — w Domu Królowej każde przejście korytarzem było wyprawą — do salonu ciotki Charlotte, w którym też urządziła swoje biuro.

Solidny stół jadalny pochodził z tego samego okresu co biurko (Anglia, szesnasty wiek) i oba należały do tego rodzaju przedmiotów, które swój urok zawdzięczają bardziej wiekowi niż pięknu. Ciotka siedziała wyprostowana jak struna na ciężkim krześle Yorkshire–Derbyshire z rzeźbionego dębu, o wiele młodszym niż stół, acz równie solidnym i masywnym. Ciotka korzystała z tych sprzętów, zanim nie znajdą nabywców. Reszta umeblowania nie pasowała do stołu i krzesła. Na ścianie wisiał przepiękny gobelin; wiedziałam, że pochodzi ze szkoły flamandzkiej, i przypuszczałam, że dość szybko ktoś go kupi. Niemieckie ciężkie, dębowe meble tłoczyły się obok delikatnej komódki francuskiej z osiemnastego wieku oraz dwóch mebli w stylu Boullé'a. Zauważyłam zmianę, jaka we mnie zaszła. Potrafiłam określić zawartość pokoju, datować poszczególne rzeczy i wskazać ich cechy charakterystyczne, a jednocześnie pragnęłam się dowiedzieć, dlaczego ciotka mnie wezwała.

— Usiądź — poleciła tonem bardziej ponurym niż zwykle. A kiedy siadałam, oznajmiła na swój oschły sposób:

— Twoja matka nie żyje. Umarła na cholere.

Jakże to do niej podobne, zburzyć całą moją przyszłość jednym krótkim zdaniem! Myśl o ponownym zamieszkaniu z rodzicami była niczym tratwa ratująca mnie od utonięcia w morzu rozpacz i samotności. A ona powiedziała to tak spokojnie. „Umarła na cholere”. Milczałam.

Ciotka spojrzała na mnie ze strachem; nie cierpiała okazywania uczuć.

— Idź do swojego pokoju. Każę Ellen przynieść ci gorące mleko. Gorące mleko! Czy naprawdę sądziła, że to może mnie pocieszyć?

— Nie wątpię — dodała — że ojciec do ciebie napisze i wszystko ustali.

Nienawidziłam wówczas ciotki — niesłusznie, ponieważ przekazała mi wiadomość w jedyny sposób, jaki uznała za możliwy. Proponowała mi gorące mleko oraz list ojca jako ukojenie po stracie ukochanej matki.

\* \* \*

Ojciec istotnie do mnie napisał. To nasz wspólny ból, stwierdził, lecz dłużej nie będzie się nad tym rozwodził. Śmierć jego ukochanej żony, a mej drogiej matki oznacza, że musi dokonać poważnych zmian. Wielką dla niego ulgą jest myśl, że znajduję się pod opieką ciotki Charlotte, na której rozsądku i licznych zaletach może polegać. Z tego powodu jest swej siostrze głęboko zobowiązany i ufa, iż ja także odczuwam podobną wdzięczność. Zamierza wkrótce opuścić Indie. Poprosił o przeniesienie, a w Ministerstwie Wojny ma dobrych przyjaciół. Okazali mu głębokie współczucie, a ponieważ w różnych częściach świata zanoszą się na poważne kłopoty, ma nadzieję, że w najbliższej przyszłości będzie wykonywał swe obowiązki na innym terenie.

Miałam wrażenie, że wpadłam w sieć, a dom śmieje się ze mnie. „Teraz należysz do nas! — zdawał się mówić. — Nie wyobrażaj sobie, że uda ci się nas pokonać, bo twoja ciotka Charlotte napełniła dom tymi wszystkimi obcymi duchami”. Cóż za niemądre myśli. Na szczęście zachowałam je dla siebie, Ellen i pani Buckie i tak uważały mnie za dziwne dziecko. Teraz nawet pani Morton mi współczuła. Słyszałam, jak mówiła do panny Beringer, że ludzie nie powinni mieć dzieci, jeśli nie potrafią zapewnić im opieki. To niezgodne z naturą, by matki i ojcowie przebywali

na jednym końcu świata, a dziecko na drugim, pod opieką osób, które go nie znają i więcej uwagi poświęcają kawałkom drewna, w dodatku zżartym przez korniki!

Musiałam uporać się ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczę matki. Pamiętałam fragmenty naszych rozmów, idealizowałam jej urodę. Widziałam ją w postaciach na greckiej wazie, w rzeźbionych ornamentach komody, w złoczonej piękności, podtrzymującej siedemnastowieczne lustro. Nigdy, przenigdy jej nie zapomnę; odeszły nadzieje na cudowne życie, które mi przyrzekła, nabrałam też przekonania, że teraz brzydkie kaczątko nie zamieni się w łabędzia. Czasami, patrząc w stare lustra — metalowe albo z poznaczonego plamami szkła — widziałam jej twarz, a nie swoją, o dość ziemistej cerze, okoloną ciężkimi brązowymi włosami, które odziedziczyłam po niej wraz z głęboko osadzonymi niebieskimi oczami. Na tym wszakże podobieństwo się kończyło, ponieważ policzki miałam zbyt szczupłe, a nos nieco zbyt ostry. Jak to się dzieje, że dwie osoby tak podobne mogą tak odmiennie wyglądać? Brakowało mi wesołości matki, jej ognia, póki jednak żyła, mogłam wyobrażać sobie, że wyrosnę na kobietę taką jak ona. Po jej śmierci było to niemożliwe.

— Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni ją widziałas — odezwała się Ellen, pragnąc wraz z gorącym mlekiem dać mi pociechę.

Słyszałam jeszcze, jak mówiła do pani Buckie: „Dzieci zapominają o wszystkim w mgnieniu oka”.

A ja pomyślałam: nigdy, przenigdy. Zawsze będę pamiętać.

Wszyscy starali się być mili, nawet ciotka Charlotte. Zaproponowała mi największe ukojenie, jakie mogło przyjść jej na myśl.

— Muszę obejrzeć pewien mebel. Zabiorę cię ze sobą. Pójdziemy do zamku Creditonów.

— Coś sprzedają? — wyjąkałam.

— A z jakiego innego powodu miałybyśmy tam iść? — odparła ciotka. Po raz pierwszy od śmierci matki zapomniałam o niej. Było mi potem przykro i przeprosiłam odbicie w lustrze, gdzie zamiast własnej wyobrażałam sobie jej twarz, nie mogłam jednak powściągnąć podniecenia na myśl o tej wizycie. Żywo miałam w pamięci ów dzień, kiedy ujrzałam zamek po raz pierwszy, i komentarze matki. Chciałam też lepiej poznać tę ważną rodzinę.

Na szczęście nauczyłam się ukrywać emocje, tak więc ciotka Charlotte nie miała pojęcia, co czułam, gdy przejeżdżałyśmy przez kamienną bramę i spoglądałyśmy na stożkowate wieżyczki.

— Falszyfikat! — warknęła ciotka. W jej ustach była to najgorsza zniewaga.

Chciało mi się śmiać, kiedy przekroczyłam próg zamku, bo tak właśnie jak tutaj powinien wyglądać Dom Królowej. Creditonowie dołożyli wielkich starań, by odtworzyć umeblowanie z czasów Tudorów, i odnieśli sukces. W ogromnym holu stał długi stół jadalny ozdobiony wielką cynową misą. Na ścianach wisiała broń palna, u stóp schodów trzymała wartę nieunikniona w tych okolicznościach zbroja. Ciotka Charlotte widziała jednak wyłącznie meble.

— Ja znalazłam ten stół — oznajmiła. — Pochodzi z zamku w hrabstwie Kent.

— Dobrze tu pasuje — zauważyłam.

Ciotka nie odpowiedziała. Wrócił lokaj z informacją, że lady Crediton przyjmie pannę Brett. Spojrzał na mnie pytająco, ciotka odezwała się więc pośpiesznie, jakby chciała uprzedzić jego obiekcje:

— Możesz tu na mnie poczekać.

Czekałam w holu, przyglądając się grubym kamiennym ścianom, częściowo zakrytym tkaninami — uroczymi gobelinami ze szkoły francuskiej, w tonacji błękitno-szarej. Podeszłam bliżej i uważnie studiowałam jeden z nich, przedstawiający prace Herkulesa, kiedy jakiś głos za moimi plecami zapytał:

— Podoba ci się?

Odwróciłam się — tuż za mną stał młody mężczyzna. Nieco się przestraszyłam. Był taki wysoki, a ja nie miałam pojęcia, co właściwie o mnie myśli. Policzki mi poczerwieniały, odparłam jednak chłodno:

— Jest piękny. Czy to autentyk?

Wzruszył ramionami, ja zaś zauważyłam, jak ładnie marszczą mu się oczy w kącikach, gdy się uśmiechał. Trudno byłoby nazwać go przystojnym, lecz wiedziałam, że tej twarzy, okolonej jasnymi, wyblakłymi na skroniach włosami, i niebieskich oczu, które otaczała siateczka zmarszczek, jakby nieustannie patrzyły w jaskrawe słońce, szybko nie zapomnę.

— Mógłbym zapytać, co tu robisz. Ale tego nie zrobię... chyba że sama mi powiesz.

— Czekam na ciotkę, pannę Brett. Przyszła obejrzyć meble. Jesteśmy z Domu Królowej — wyjaśniłam.

— Ach, stamtąd!

Wydało mi się, że w jego głosie zabrzmiała lekka kpina, zaczęłam się więc gorąco bronić.

— To niezwykle miejsce — oświadczyłam. — Spała w nim królowa Elżbieta.

— Ależ ta dama lubiła sypiać w cudzych domach!

— Cóż, w naszym spała, a to więcej...

— Niż można powiedzieć o tym tutaj. Przyznaję, nasz to podróbka normandzkiej budowli. Ale jesteśmy solidni i mocni, a nasz dom przetrwa wiele burz i nawałnic. Zbudowaliśmy go na skale.

— Nasz już dowiódł, że jest do tego zdolny. Ten jednak też wydaje mi się interesujący.

— Z przyjemnością to słyszę.

— Mieszka pan tutaj?

— Kiedy nie jestem na morzu. Przez większość czasu nie ma mnie tu.

— Och... więc jest pan żeglarzem?

— Jesteś bardzo bystra.

— Nie wobec ludzi. Choć sporo się uczę.

— O gobelinach?

— I zabytkowych meblach.

— Zamierzasz pójść w ślady ciotki?

— Nie! — zaprzeczyłam żarliwie.

— Przypuszczam, że jednak pójdziesz. Większość ludzi podąża tam, gdzie prowadzą ich okoliczności. I pomyśl sama, ile już wiesz o tkaninach dekoracyjnych.

— A czy pan... podążył tam, gdzie go poprowadziły okoliczności? Wzniósł oczy do sufitu w sposób, który wydał mi się atrakcyjny, aczkolwiek nie wiedziałam dlaczego.

— Chyba mogę tak powiedzieć.

Ogarnęło mnie pragnienie, by dowiedzieć się o nim więcej. Był osobą, jaką spodziewałam się spotkać w tym zamku, i czułam takie podniecenie, jak na widok niezwykłego mebla.

— Jak powinnam się do pana zwracać?

— Zwracać się do mnie?

— To znaczy... chciałabym wiedzieć, jak się pan nazywa.

— Jestem Redvers Stretton, znany jako Red.

— Och! — Byłam rozczarowana i nie potrafiłam tego ukryć.

— Nie podoba ci się?

— Cóż, Red nie brzmi zbyt szacownie.

— Nie zapominaj, że naprawdę na imię mam Redvers, co, przyznasz chyba, brzmi już lepiej.

— Nigdy dotąd nie słyszałam, aby ktoś się tak nazywał.

— W jego obronie muszę powiedzieć, że to stare dobre kornwalijskie imię.

— Doprawdy? I sądziłam, że powinno towarzyszyć mu nazwisko Crediton.

To go rozbawiło.

— Absolutnie się z tobą zgadzam.

Odniosłam wrażenie, że wyśmiewa się ze mnie i uważa mnie za naiwną dziewczynkę.

— Muszę teraz zapytać o twoje nazwisko — powiedział — w przeciwnym bowiem razie uznasz, że nie grzeszę dobrymi manierami.

— Nie pomyślałabym tak, ale jeśli naprawdę chce pan wiedzieć...

— Naprawdę.

— Jestem Anna Brett.

— Anna Brett! — powtórzył, jakby uczył się na pamięć. — Ile masz lat, panno Anno Brett?

— Dwanaście.

— Taka młoda... i tyle wie.

— To dlatego, że mieszkam w Domu Królowej.

— Zapewne przypomina to mieszkanie w muzeum.

— W pewnym sensie.

— Więc dlatego przed czasem dojrzałaś. Czuję się przy tobie młody i lekkomyślny.

— Przykro mi.

— Ależ niech ci nie będzie przykro. Mnie się to podoba. Jestem o dziesięć lat starszy od ciebie.

— Aż tyle?

Skinął głową i wybuchnął gromkim śmiechem, a oczy całkiem mu przy tym zniknęły pod powiekami. Do holu wrócił lokaj.

— Milady prosi panienkę do siebie — rzekł. — Pozwoli panienka ze mną.

Kiedy się odwróciłam, Redvers Stretton powiedział:

— Mam nadzieję, że spotkamy się znowu... na dłużej.

— Ja też mam taką nadzieję — odparłam spokojnie i szczerze.

Lokaj w żaden sposób nie okazał, że uważa zachowanie Redversa Strettona za dziwne. Mijając zbroję, poszłam za nim po szerokich schodach. Byłam niemal pewna, że waza na podeście pochodzi z czasów dynastii Ming, świadczył o tym głęboki fiolet porcelany. Musiałam ją obejrzeć, później zaś odwróciłam się i zobaczyłam, że Redvers Stretton, stojąc na lekko rozstawionych nogach, z rękoma w kieszeniach, odprowadza mnie wzrokiem. Skłonił głowę w podzięce za komplement, jakim było moje spojrzenie, a ja pożałowałam, że się odwróciłam, wydało mi się to bowiem oznaką dziecinnej ciekawości. Natychmiast też pośpieszyłam za lokajem. Weszliśmy do galerii, w której wisiały obrazy olejne. Na ich widok ogarnęło mnie rozdrażnienie, gdyż nie potrafiłam ocenić ich wartości. Największe płótno pośrodku ściany przedstawiało portret mężczyzny i domyśliłam się, że namalowano je jakieś pół wieku temu. Byłam przekonana, że to sir Edward Crediton, założyciel linii żeglugowej, zmarły mąż kobiety, którą niebawem miałam poznać. Jakże chciałam dokładniej mu się przyjrzeć, lecz że nie mogłam, więc tylko przelotnie zerknęłam na jego surową twarz, pełną siły, a może też i bezwzględną, z lekko zmarszczonymi w kącikach oczyma, takimi samymi jak u mężczyzny, którego spotkałam kilka minut temu. On wszakże nie był Creditonem. Musiał być siostrzeńcem lub innym krewnym. Inaczej nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć.

Lokaj zatrzymał się i zapukał do drzwi. Otworzył je, po czym zaanonsował:

— Wielmożna pani, przyszła panienka.

Weszłam do pokoju. Ciotka Charlotte tkwiła nieruchomo w fotelu, wyprostowana jak struna, z ponurym wyrazem twarzy, gotowa do targów. Często ją taką widywałam.

W ogromnym, ozdobnym fotelu (okres restauracji, z oparciami o ozdoby w kształcie ślimacznicy i zwieńczeniem w kształcie korony) siedziała kobieta, także wielka, choć mało ozdobna. Włosy miała ciemne, cerę smagłą, oczy zaś czarne jak porzeczki i czujne jak u małpki.

Były to oczy młode, przeczące zmarszczkom — młode i sprytne. Mocno zaciśnięte cienkie usta przywiodły mi na myśl stalową pułapkę. Wielkie dłonie, gładkie i białe, ozdobione kilkoma pierścieniami z brylantami i rubinami, spoczywały na obfitym brzuchu. Spod fałd spódnicy wystawały noski satynowych pantofelków wyszywanych paciorkami.

Jej wygląd napęlił mnie pełnym grozy podziwem i natychmiast też wzrósł mój szacunek do ciotki Charlotte, siedziała bowiem nieporuszona w obecności tej wspaniałej, onieśmiałej damy.

— Lady Crediton, oto moja bratanica.

Dygnęłam, a milady na kilka sekund utkwiała we mnie swe bystre oczy.

— Zdobywa wiedzę o zabytkowych przedmiotach — ciągnęła ciotka — i będzie mi czasami towarzyszyła.

Czy to prawda? — zadałam sobie w duchu pytanie.

Po raz pierwszy ciotka tak wyraźnie określiła moją przyszłość, aczkolwiek uświadomiłam sobie, że od pewnego czasu dawała mi to do zrozumienia. Więcej na mój temat nie trzeba było mówić. Obie wróciły do przerwanej moim wejściem dyskusji o sekretarzyku. Słuchałam z napięciem.

— Lady Crediton, muszę zwrócić pani uwagę na fakt — mówiła ciotka Charlotte tonem, który wydał mi się prawie złośliwy — że mebel ten jedynie pochodzi ze szkoły Boullé'a. Prawda, ma ślimacznice w rogach. Jestem jednak zdania, iż powstał w nieco późniejszym okresie.

Sekretarzyk był piękny, potrafiłam to stwierdzić, lecz ciotka Charlotte nie zamierzała łatwo się poddać.

— Jest uszkodzony — oznajmiła. Lady Crediton nie ma pojęcia, jak trudno znaleźć nabywcę na mebel, którego stan daleki jest od doskonałości.

Lady Crediton wyraziła przekonanie, iż wszelkie braki może naprawić każdy znający się na swej robocie rzemieślnik.

Ciotka Charlotte zaśmiała się zgrzytliwie.

Ów rzemieślnik, znający się na swej robocie, nie żyje od ponad stu lat, to znaczy jeżeli Andre — Charles Boullé istotnie wykonał ten mebel, w co ona poważnie wątpi.

I tak to się ciągnęło: lady Crediton wskazywała zalety, a ciotka Charlotte braki sekretarzyka.

— Nie sądzę, by w Anglii znajdował się drugi tak okaz — oznajmiła lady Crediton.

— Czy wypłaciłaby mi pani prowizję, gdybym go jednak znalazła? — zapytała ciotka triumfalnie.

— Panno Brett, pozbywam się tego sekretarzyka, bo nie jest mi potrzebny.

— Wątpię, bym łatwo znalazła nabywcę.

— Inny antykwariusz może się z panią nie zgodzi. Słuchałam, cały czas myśląc o młodym człowieku spotkanym na dole. Zastanawiałam się, co też go łączy z tą kobietą oraz mężczyzną na portrecie.

Wreszcie osiągnięto porozumienie. Ciotka Charlotte zaproponowała cenę, która — jak przyznała — z jej strony była szaleństwem, lady Crediton zaś nie potrafiła zrozumieć, dlaczego aż tak się poświęca.

Pomyślałam, że obie są z tej samej gliny. Twarde. Sprawa jednak została załatwiona, za kilka dni sekretarzyk znajdzie się w Domu Królowej.

— A niech mnie kule biją! — odezwała się ciotka, gdy wracaliśmy do domu. — Ciężki z niej przeciwnik.

— Przeplącałaś, ciotko Charlotte?

W odpowiedzi uśmiechnęła się ponuro.

— Spodziewam się dobrze zarobić, gdy trafi się odpowiedni kupiec. Z wyrazu jej twarzy odgadłam, że przechytryła lady Crediton; żałowałam tylko, że nie mogę wśliznąć się niepostrzeżenie do zamku i posłuchać komentarzy poprzedniej właścicielki mebla.

\* \* \*

Ów mężczyzna, którego spotkałam w zamkowym holu, wciąż nie schodził mi z myśli, tak więc postanowiłam wypytać Ellen.

Kiedy poszliśmy na spacer, skręciłam na ścieżkę prowadzącą na szczyt klifu, skąd rozciągał się widok na zamek. Usiadłyśmy na jednej z ławek, ustawionych tam przez Crediton Town Trust, instytucję, której zadaniem było dbanie o miasto.

Ławka ta należała do moich ulubionych, bo mogłam z niej podziwiać budowlę wznoszącą się na drugim brzegu rzeki.

— Byłam tam z ciotką Charlotte — powiedziałam. — Kupiliśmy sekretarzyk Boulle’a.

Ellen prychnięciem zareagowała na moje, jak to nazwała, „popisywanie się”, pośpiesznie więc przeszłam do sedna sprawy, ponieważ tym razem wcale nie chodziło mi o zaprezentowanie rozległej wiedzy.

— Widziałam lady Crediton... i pewnego mężczyznę.

Ellen okazała zainteresowanie.

— Jakiego mężczyznę? Był młody?

— Całkiem stary — odrzekłam. — Dziesięć lat starszy ode mnie!

— I ty nazywasz to starością! — roześmiała się Ellen. — A poza tym skąd wiesz?

— Powiedział mi.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, nie mogłam więc pozwolić, by oskarżyła mnie o fantazjowanie. Często powtarzała: „Problem z tobą, panienko, polega na tym, że nigdy nie wiem, czy połowy z tego, o czym mi mówisz, nie wyśniłaś sobie w nocy”.

— Ten mężczyzna był w holu i zobaczył, jak się przyglądałam gobelinom — ciągnęłam pośpiesznie. — Powiedział, że nazywa się Redvers Stretton.

— Ach, on! — odrzekła Ellen.

— Dlaczego tak to mówisz?

— Z pogardą. Sądziłam, że wszystkich mieszkańców zamku uważa» za godnych szacunku. Kim jest ten Redvers Stretton i co tam robi?

Ellen spojrzała na mnie z ukosa.

— Chyba nie powinnam ci mówić, panienko.

— A dlaczego nie?

— Jestem pewna, że panna Brett nie chciałaby, żebyś o tym wiedziała.

— Ja za to jestem pewna, że nie ma to najmniejszego związku z szafkami Boulle’a i komodami Luisa Quinze’a, a to jedyne rzeczy, którymi zdaniem ciotki Charlotte powinnam się interesować. Co zrobił ów człowiek, że nie można o nim rozmawiać?

Ellen ze strachem zerknęła przez ramię w znany mi już sposób, jakby oczekiwała, że niebiosy zaraz się otworzą i zmarli Creditonowie spuszczą na nas straszliwą zemstę za popełnienie grzechu *lese majeste* — czy jak inaczej nazwałby ktoś okazanie braku szacunku dla tej rodziny.

— Och, dajże spokój, Ellen! — zawołałam. — Nie bądź niemądra. Powiedz mi!

Ona jednak tylko zacisnęła mocno usta. Znałam ten jej nastrój i jak dotąd zawsze udawało mi się wyciągnąć z niej informacje, na których mi zależało. Pochlebiałam i groziłam. Rozgłoszę, że zajęta jest pracownikiem firmy przewozowej, który często pojawia się w Domu Królowej, dostarczając i odbierając meble. Powiem jej siostrze, że już zdradziła mi sekrety dotyczące Creditonów.

Lecz Ellen pozostała nieugięta. Z miną męczennicy, która za chwilę spłonie na stosie za wiarę, odmawiała wszelkich rozmów o Redversie Strettonie.

Gdyby wówczas coś powiedziała, może łatwiej byłoby mi wymazać go z pamięci. Musiałam jednakże mieć kogoś, kim mogłabym się interesować, abym przestała rozmyślać o śmierci mamy, a Redvers Stretton doskonale się do tego celu nadawał. Prawdę mówiąc, tajemnica jego obecności w zamku Creditonów zmniejszyła nieco moją melancholię spowodowaną utratą matki.

\* \* \*

Sekretarzyk został wstawiony do wielkiego pokoju na drugim piętrze, najbardziej ze wszystkich zagraconego. Pokój ten zawsze bardzo mnie intrygował, ponieważ wchodziło się tam po schodach, a spadzisty sufit po obu stronach od podłogi dzieliło zaledwie kilkanaście centymetrów. Uważałam, że to najładniejsze pomieszczenie w całym domu i próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądało, zanim ciotka Charlotte przekształciła je w składzik. Pani Buckie nie lubiła tam przebywać i ciągle narzekała na ów pokój. Nie miała pojęcia, jak ktokolwiek mógł od niej oczekiwać, że będzie utrzymywać w porządku tę graciarnię. Kiedy wróciłam do domu na ostatnie wakacje, ciotka Charlotte oznajmiła, że muszę zająć pokój połączony drzwiami z owym wielkim pokojem, ponieważ kupiła wysoką komodę oraz dwa niezwykle cenne fotele i umieściła je w mojej sypialni, przez co dojście do łóżka zostało poważnie utrudnione. Na początku czułam się dość dziwnie na samej górze, później jednak spodobało mi się tam.

Sekretarzyk umieszczono pomiędzy kredensem pełnym porcelany Wedgwooda a stojącym zegarem. Każdy nowy mebel najpierw zawsze porządnie czyszczono; zapytałam więc ciotkę, czy mogłabym się tym zająć. Szorstkim tonem wyraziła zgodę, a choć okazywanie zadowolenia było sprzeczne z jej zasadami, tym razem nie potrafiła ukryć, że cieszy ją moje zainteresowanie starymi meblami. Pani Buckie pokazała mi, jak mieszać wosk z terpentyną, po czym zabrałam się do pracy. Wypolerowałam drewno ze szczególną starannością, rozmyślając o zamku Creditonów, a przede wszystkim o Redversie Strettonie. Postanawiając, że za wszelką cenę muszę wydobyć z Ellen informacje na jego temat, nagle uświadomiłam sobie, że coś jest nie tak z jedną z szuflad. Była mniejsza i nie potrafiłam pojąć, dlaczego.

Podniecona pobiegłam do ciotki Charlotte, która w swoim saloniku zajmowała się rachunkami. Powiedziałam, że odkryłam coś dziwnego w sekretarzyku. Natychmiast pośpieszyła ze mną na górę.

Poklepała szufladę i uśmiechnęła się lekko.

— Ach, stara sztuczka. Tu jest skrytka. Skrytka!

Ciotka obdarzyła mnie swoim pozbawionym radości uśmiechem.

— To nic nadzwyczajnego. Służyły do ukrywania biżuterii albo dokumentów przed przypadkowymi złodziejami.

Z podniecenia nie potrafiłam opanować emocji. Ciotka Charlotte wcale nie była niezadowolona.

— Popatrz, pokażę ci. To naprawdę nic szczególnego, często sieje spotyka. Zwykle tutaj jest sprężyna. O, proszę. — I tylna ścianka szuflady otworzyła się niczym drzwi, ukazując schowek.

— Ciotko Charlotte, tam coś jest. — Wsunęłam dłoń i wyjęłam niewielką figurkę. — To kobieta — powiedziałam. — Och... jest piękna.

— Gips — odparła ciotka. — Nic nie warte.

Patrzyła na moje odkrycie z pogardą, gdyż figurka nie miała żadnej wartości. Dla mnie jednak była czymś zupełnie niezwykłym, częściowo z tej przyczyny, że znalazłyśmy ją w sekretnej szufladce, przede wszystkim jednak dlatego, że pochodziła z zamku Creditonów.



Ciotka obracała ją w dłoni.  
— Od czegoś ją odłamano.  
— Ale dlaczego schowano ją w skrytce?  
Wzruszyła ramionami.  
— Nie jest wiele warta — powtórzyła.  
— Czy mogę ją wziąć?  
Podała mi figurkę.  
— Jestem zaskoczona, że coś takiego cię interesuje. To tylko rupieć.

Wsunęłam figurkę do kieszeni fartucha i wzięłam do ręki szmatkę, ciotka Charlotte zaś wróciła do rachunków. Zaraz po jej wyjściu obejrzałam dokładnie wyrzeźbioną kobietę. Włosy miała rozwiane, ręce rozpostarte, a długa suknia sprawiała wrażenie, jakby wydymał ją silny wiatr. Zastanawiałam się, kto włożył ją do skrytki i po co to zrobił, jeśli nie była nic warta. Rozważałam też, czy nie powinnam odnieść jej lady Crediton, kiedy wszakże zasugerowałam to ciotce, wyśmiała mnie.

— Pomyślą, że zwariowałaś, przecież to bez wartości. A poza tym i tak przepłaciłam. Gdyby figurka warta była pięć funtów, pieniądze te należałyby się mnie... za cenę, którą dałam lady Crediton. Ale nie jest warta pięciu funtów. Nie jest nawet warta pięciu szylingów.

Tak więc figurka stanęła na moim nocnym stoliku i przynosiła mi ukojenie, jakiego nie znałam od śmierci matki. Bardzo szybko zauważyłam na wpół zamazany napis na fałdach spódnicy i za pomocą szkła powiększającego odcyfrowałam inskrypcję: „Tajemnicza Kobieta”.

\* \* \*

Owego roku przyjechał do nas mój ojciec. Zmienił się, był jeszcze bardziej zamknięty w sobie i odległy, gdy zabrakło łagodzącego wpływu matki. Uświadomiłam sobie, że przyszłość, której tak wypatrywałam, nigdy nie nastąpi. Zawsze wiedziałam, że bez matki daleko jej będzie do ideału, snułam jednak marzenia, że zamieszkam z ojcem i zostanę jego towarzyszką; teraz pojęłam, że to niemożliwe.

Ojciec stał się milczący; nigdy nie należał do ludzi okazujących uczucia, a ja nie potrafiłam rozweselić go tak jak matka.

Powiedział, że opuszcza Indie i wyjeżdża do Afryki. Czytałam gazety, wiedziałam, że tam się coś dzieje. Władaliśmy rozległym imperium, a to oznaczało, że zawsze w jakimś odległym miejscu na globie będą problemy. Ojciec miał teraz jedno tylko pragnienie: służyć królowej i koronie. Wdzięczny był — tak jak i ja muszę być — ciotce Charlotte za to, że dzięki niej nie musiał troszczyć się o moją przyszłość. Za rok lub dwa pojedę do Szwajcarii, aby tam dokończyć edukację. Takie było życzenie mojej matki. Spędzę tam powiedzmy rok, a potem się spotkamy.

Wraz ze swoim regimentem wyjeżdżał, by wziąć udział w wojnie z Zulusami.

Sześć miesięcy później otrzymaliśmy wiadomość, że poległ.

— Umarł tak, jak zawsze pragnął umrzeć — orzekła ciotka Charlotte.

Żałoba po ojcu różniła się od żałoby po matce. Kiedy umarł, był już dla mnie obcym człowiekiem.

\* \* \*

Miałam siedemnaście lat. Ciotka Charlotte była teraz moją jedyną krewną, co z lubością mi powtarzała, i zależałam od niej. Zaczynałam myśleć, że w pewnym stopniu ona także zależy ode mnie, nigdy jednak nie powiedziałam tego na głos.

W ciągu owych lat, które upłynęły od dnia, gdy po raz pierwszy przeszłam przez bramę w murze z czerwonej cegły, w Domu Królowej i w życiu jego mieszkańek niewiele się zmieniło — tylko moje życie uległo dramatycznej odmianie. Wszystkie byłyśmy o prawie dziesięć lat starsze, to prawda. Ellen skończyła dwadzieścia pięć lat, a panna Beringer trzydzieści dziewięć, pani Buckie urodziły się pierwsze wnuczeta, pani Morton zaś wyglądała niemal tak samo jak przedtem. Najmniej ze wszystkich zmieniła się chyba ciotka Charlotte, aczkolwiek z drugiej strony dla mnie zawsze była tą samą ponurą starą kobietą, którą stała się teraz. Ciotki Charlotte tego świata odznaczają się czymś wiecznym, jakby nie dotykał ich upływ czasu; rodzą się stare i sprytnie i takie pozostają do końca swych dni.

Dowiedziałam się, dlaczego Redvers Stretton przebywał w zamku Creditonów. Ellen wyjawiała mi to w dniu moich siedemnastych urodzin, ponieważ przestałam być dzieckiem, jak oznajmiła, i nadeszła pora, abym zaczęła uczyć się o życiu tego, czego nie powiedzą mi zżarte przez korniki stare meble. Istotnie, moja wiedza wzrosła znacząco i nawet ciotka Charlotte zaczynała z niejakim szacunkiem odnosić się do wygłaszanych przeze mnie opinii.

— On w pewnym sensie ma prawo mieszkać w zamku — oświadczyła Ellen, gdy siedziałyśmy na ławce, patrząc na budowlę z szarych kamieni na drugim brzegu rzeki — ale można by je nazwać „prawem z lewej ręki”.

— A cóż to jest, Ellen?

— Ach, panno Mądralińska, chciałybyś się dowiedzieć, co?

Pokornie potwierdziłam. I usłyszałam całą historię. Musisz poznać mężczyzn, wyjaśniła mi Ellen. Znacznie różnią się od kobiet, ale niegodne i niestosowne uczynki łatwo są im wybaczone, gdyby zaś jakaś niewiasta tak postąpiła, wyrzucono by ją poza nawias społeczeństwa. Powszechnie wiadomo, że sir Edward był niezwykle męskim mężczyzną.

— Bardzo lubił panie.

— Masz na myśli jego statki?

— Nie, mam na myśli kobiety z krwi i kości. Byli z lady Crediton małżeństwem od dziesięciu lat, a wciąż nie mieli dziecka. To był cios. No cóż, krótko mówiąc, wpadła mu w oko pokojówka żony. Ludzie powiadali, że chciał się przekonać, z czyjej winy, czy żony, nie mają dzieci, bo najbardziej na świecie pragnął syna. Trochę to komiczne... jeśli można tak mówić o grzesznej sprawie. No cóż, wówczas lady Crediton przekonała się, że w końcu będzie miała dziecko. Tak samo jak jej pokojówka.

— I co na to lady Crediton? — Wyobraziłam sobie, jak siedzi w fotelu z dłońmi splecionymi na brzuchu. Oczywiście wówczas wyglądała inaczej. Była młodą kobietą — stosunkowo młodą.

— Zawsze mówiono, że to mądra kobieta. Pragnęła syna tak samo mocno jak mąż, chodziło o firmę, rozumiesz. A miała wtedy prawie czterdziestkę. Nie najlepszy wiek na rodzenie dziecka, zwłaszcza pierwszego.

— A pokojówka milady?

— Skończyła dwadzieścia jeden lat. Sir Edward był ostrożny, poza tym pragnął syna. Przypuśćmy, że lady Crediton urodziłaby dziewczynkę, a pokojówka chłopca. Rozumiesz, był chciwy. Nie chciał zrezygnować z żadnego dziecka. A lady Crediton... no cóż, to niezwykle kobieta. Wygląda na to, że zawarli układ. Dwoje dzieci miało przyjść na świat niemal w tym samym czasie i miejscu, czyli w zamku.

— Bardzo to niezwykle.

— Bo Creditonowie są niezwykle — oznajmiła Ellen z dumą.

— Tak więc dzieci przyszły na świat bez kłopotów?

— Tak, dwaj chłopcy. Przypuszczam, że gdyby sir Edward wiedział, że lady Crediton urodzi syna, nie byłoby tego skandalu. Ale skąd miał to wiedzieć?

Nawet sir Edward nie wiedział wszystkiego, zauważyłam ironicznie, Ellen jednak tak zajęta była swoją historią, że tym razem nie upomniała mnie za brak szacunku.

— Obaj chłopcy mieli wychowywać się w zamku, sir Edward postanowił zatrzymać obu. Jeden to Rex.

— Przyszły król.

— Syn lady Crediton — dodała Ellen. — A drugi to syn Valerie Stretton.

— Więc on jest tym drugim dzieckiem.

— Tak, to Redvers. Valerie Stretton miała najpiękniejsze rude włosy, jakie w życiu widziałam. On ma jasne, ale bardziej podobny jest do sir Edwarda niż do niej. Wychował się z paniczem Rexem, uczyli się u tych samych nauczycieli, pojechali do tej samej szkoły i obu przygotowano do pracy w rodzinnej firmie. Młody Red wolał morze; niewykluczone, że pan Rex też tego pragnął, ale musiał się nauczyć prowadzenia interesów. Teraz wiesz już wszystko.

Ellen przeszła do omawiania spraw bardziej ją interesujących niż poczynania Creditonów, czyli swojego związku z fascynującym panem Orfeyem, pracownikiem firmy przewozowej, który pewnego dnia, gdy będzie mógł zapewnić jej odpowiedni dom, ożeni się z nią. Ellen żywiła szczerą nadzieję, że nie przyjdzie jej czekać zbyt długo, ponieważ nie była już taka młoda i zadowoliliby się jednym pokojem oraz, jak to ujmowała, „miłością pana Orfeya”. On jednak był innego zdania. Pragnął mieć ustaloną przyszłość, chciał zdobyć pieniądze na zakup konia i furgonu, co pozwoliłoby mu stanąć na nogi.

Ellen marzyła, że pewnego dnia zdarzy się cud i pieniądze się znajdą. Zapytałam, skąd według niej mają się wziąć. Nigdy nic nie wiadomo, odrzekła. Ciotka Charlotte powiedziała, że jeśli do dnia jej śmierci Ellen będzie u niej na służbie, to niewykluczone, że w testamencie znajdzie się stosowna wzmianka. To było wtedy, gdy Ellen napomykała, że chyba poszuka sobie lepszego miejsca.

— Nigdy nie wiadomo — powtórzyła Ellen. — Ale ja nie jestem z tych, co czekają na buty nieboszczyka.

Puszczając mimo uszu pochwałę pana Orfeya, rozmyślałam o mężczyźnie, którego spotkałam dawno, dawno temu, o synu sir Edwarda i pokojówki. Nie mogłam pojąć, dlaczego wciąż o nim myślę.

\* \* \*

Miałam już lat osiemnaście.

— Kończenie szkół! — prychnęła ciotka Charlotte. — To te bzdury twojej matki. A kto według ciebie pokryje koszty? Żołd przestano wypłacać, gdy twój ojciec poległ, a oszczędności żadnych nie zostawił, już twoja matka tego dopilnowała. Wydaje mi się, że do śmierci spłacał zaciągnięte przez nią długi. Co zaś do twojej przyszłości, cóż, bez wątplenia masz smykałkę do antyków, choć wciąż jeszcze wiele się musisz nauczyć... człowiek zawsze się uczy... sądzę jednak, że jesteś obiecującą kandydatką. Tak więc po następnym semestrze opuścisz szkołę i rozpoczniesz pracę.

Tak też uczyniłam, a kiedy w rok później panna Beringer postanowiła wyjść za mąż, układ ten z punktu widzenia ciotki Charlotte okazał się idealny.

— Stara, a głupia — orzekła ciotka. — W jej wieku! Przypuszczałabym, że będzie rozsądniejsza.

Panna Beringer może i była stara i głupia, za to jej mąż wręcz przeciwnie. Jak powiedziała mi ciotka Charlotte, panna Beringer wniosła do firmy niewielką sumę pieniędzy — to był zresztą jedyny powód, dla którego ciotka ją przyjęła — i teraz mąż chciał tę kwotę odzyskać. Odwiedzali nas prawnicy, co ciotce Charlotte wcale się nie podobało; w końcu chyba zawarli ugodę.

To prawda, że miałam smykałkę do antyków. Na wyprzedażach moje oczy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapalały się na widok najciekawszych okazów. Ciotka Charlotte była zadowolona, choć rzadko to okazywała; wytykała błędy, które coraz rzadziej mi się przytrafiały, i lekko przechodziła do porządku dziennego nad moimi coraz częstszymi sukcesami.

W mieście znano nas jako starą i młodą pannę Brett; ludzie powiadali, że to jakoś nieładnie, aby młoda dziewczyna zajmowała się interesami. Takie to niekobiece, nigdy nie znajdę męża. Za kilka lat stanę się drugą panną Charlotte.

I wówczas też uświadomiłam sobie, że właśnie tego pragnie ciotka.

\* \* \*

Czas mijał. Skończyłam dwadzieścia jeden lat. U ciotki Charlotte rozwinęła się nieprzyjemna dolegliwość, którą nazywała reumatyzmem; jej kości stawały się coraz bardziej sztywne i obolałe, a możliwość poruszania się uległa znacznemu ograniczeniu.

Była ostatnią kobietą, która zaakceptowałaby chorobę. Buntowała się przeciwko niej, zniecierpliwieniem reagowała na sugestie, że powinna zasięgnąć porady lekarza, i ze wszystkich sił starała się dalej prowadzić aktywne życie.

Jej stosunek do mnie z wolna się zmieniał, bo coraz bardziej na mnie polegała. Nieustannie mówiła o moich obowiązkach, przypominała, że zaopiekowała się mną, gdy zostałam sierotą, rozważała, co stałoby się ze mną, gdyby nie ona. Zaprzyjaźniłam się z Johnem Carmelem, antykwariuszem, który mieszkał w Marden, miasteczku oddalonym od Langmouth o niespełna piętnaście kilometrów. Poznaliśmy się na wyprzedaży w jakiejś posiadłości ziemskiej i przypadliśmy sobie do gustu. Często odwiedzał Dom Królowej i zapraszał mnie, bym towarzyszyła mu na aukcjach.

Nasza znajomość nie zdążyła wyjść poza przyjaźń, gdy jego wizyty nieoczekiwanie się urwały. Zasmuciło mnie to i zastanawiałam się nad powodami, aż podsłuchałam, jak Ellen mówi do pani Morton: „Zabroniła mu się tutaj pokazywać. O tak, naprawdę. Wszystko słyszałam. Moim zdaniem to wstyd. W końcu panienka ma swoje życie. Dlaczego niby miałaby zostać starą panną jak ona?”

Stara panna jak ona! W moim zagraconym pokoju zegar tykał złośliwie. Stara panna! Stara panna!

Byłam więźniem w Domu Królowej. Pewnego dnia wszystko tutaj może być moje. Ciotka Charlotte dała mi to do zrozumienia.

— Jeśli przy mnie będziesz — dodała znacząco.

„Będziesz tutaj! Będziesz tutaj!”. Dlaczego wyobrażałam sobie, że zegar tak mówi? Widniała na nim data 1702, a więc sam był już stary. To niesprawiedliwe, myślałam, że wytwór ludzkich rąk może trwać, podczas gdy my musimy umrzeć. Moja matka żyła tylko trzydzieści lat, a zegar od ponad stu osiemdziesięciu przebywał na świecie.

Trzeba jak najlepiej wykorzystać dany nam czas. Tik tak! Tik tak! — rozbrzmiewało w całym domu. Czas mijał.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zechciałabym poślubić Johna Carmela, ciotka Charlotte jednakże nie dała mi szansy, bym mogła sama o tym zdecydować. Dziwne, lecz kiedy myślałam o romansie, widziałam roześmianą twarz ze zmarszczkami w kącikach oczu. Creditonowie byli moją obsesją.

Jeśli zechcę wyjść za mąż, nic i nikt mnie nie powstrzyma, przysięgam sobie.

Tik tak! — kpił zegar, lecz ja byłam tego pewna. Może i jestem podobna do ciotki Charlotte, lecz przecież stanowcza z niej kobieta.

\* \* \*

Byłam w sklepie i już miałam na drzwiach umieścić wywieszkę: „Wszelkich informacji udziela się w Domu Królowej”, kiedy rozległ się dzwonek i do środka wszedł Redvers Stretton. Stał przede mną uśmiechnięty.

— Jeśli się nie mylę, już się spotkaliśmy — powiedział. Byłam zakłopotana, bo poczułam, że zalewam się rumieńcem.

— To było wiele lat temu — wymamrotałam.

— Urosła pani przez ten czas. Wtedy miała pani dwanaście lat. Byłam śmiesznie uradowana, że o tym pamiętał.

— A więc musiało to być dziewięć lat temu.

— Sporo pani wówczas wiedziała — odrzekł i powiódł wzrokiem po okrągłym stoliku wykładanym kością słoniową, komplecie delikatnych krzeseł Sheratona i wysokiej, wąskiej biblioteczce Hepplewhite’a w kącie. — I to się nie zmieniło — dodał, spoglądając na mnie.

Odzyskałam już spokój.

— Zaskoczona jestem, że pan pamięta. Nasze spotkanie było bardzo krótkie.

— Pani wszakże nie należy do osób, które łatwo zapomnieć, panno... panno... panno Anno. Nie myślę się, prawda?

— Nie. Czy chciał pan coś zobaczyć?

— Tak.

— Więc może panu to pokażę.

— Patrząc na to w tej chwili, choć to bardzo nieuprzejme z mojej strony, że tak bezosobowo określam młodą damę.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że przyszedł pan zobaczyć się ze mną?

— Dlaczego?

— Bo to takie... niezwykle.

— Według mnie całkiem rozsądne.

— Ale tak nagle... po tylu latach.

— Jestem żeglarzem. Od naszego ostatniego spotkania rzadko bywałem w Langmouth, w przeciwnym wypadku na pewno wcześniej bym przyszedł.

— Cóż, skoro już pan tu jest...

— To powinienem wyłożyć, jaki mam interes, i pożegnać się? Interes? Naturalnie, przecież jest pani kobietą interesu. Nie powinienem o tym zapominać. — Zmrużył oczy tak bardzo, że niemal je zamknął, i spojrzął na biblioteczkę Hepplewhite’a. — Jest pani bardzo bezpośrednia, więc i ja taki muszę być. Wyznam, że nie przyszedłem kupić tych krzeseł... ani biblioteczki. Po prostu przejeżdżając obok waszego długiego muru z czerwonej cegły, zobaczyłem napis nad bramą: „Dom Królowej”, i przypomniałem sobie nasze spotkanie. Królowa Elżbieta spała tutaj, powiedziałem sobie, ale o wiele bardziej interesujące jest to, czy panna Anna Brett dalej tu śpi.

Roześmiałam się, wysoko i piskliwie — był to śmiech radości. Czasami wyobrażałam sobie, że znowu się spotkamy i że tak to będzie wyglądało. Moje zainteresowanie nim wzrosło. Nie wydawał się całkiem realny, był niczym bohater romantycznej opowieści. Mógł zstąpić z jednego z gobelinów. Wyglądał na śmiałka, który przemierza morza i oceany; był nieuchwytny, bo zniknął

na długi czas. Kiedy wyjdzie z tego sklepu, mogę nie zobaczyć go przez wiele, wiele lat... aż stanę się starą panną Brett. Miał w sobie coś, co Ellen określiłaby jako „więcej niż zwykle życie”.

— Jak długo zostanie pan w Langmouth? — zapytałam.

— Wypływam w przyszłym tygodniu.

— Dokąd?

— Do portów Australii i Pacyfiku.

— To brzmi... wspaniale.

— Czyżbym wyczuwał w pani żyłkę podróżniczą, panno Anno Brett?

— Bardzo chciałabym zobaczyć świat. Urodziłam się w Indiach. Sądziłam, że tam powrócę, ale moi rodzice umarli i wszystko się zmieniło. Zamieszkałam w Langmouth i wygląda na to, że tutaj zostanę. — Zaskoczyłam samą siebie, że mówię mu o sprawach, o które nie pytał.

Nieoczekiwanie ujął mnie za rękę i udawał, że czyta mi z dłoni.

— Będzie pani podróżować — oświadczył — wszecz i wzdłuż po całym świecie.

Lecz nie spoglądał na moją dłoń, tylko patrzył mi w oczy.

Uświadomiłam sobie, że przed witryną stoi kobieta. Była to niejaka pani Jennings, która często przychodziła do Domu Królowej i rzadko cokolwiek kupowała. Namiętnie lubiła oglądać meble, niechętnie zaś rozstawała się z pieniędzmi. Podejrzewałam, że kierowała nią raczej przemożna chęć wtykania nosa w cudze sprawy niż za — interesowanie antykami. A teraz zobaczyła w sklepie Redversa Strettona. Czy widziała, jak trzymał mnie za rękę? Rozległ się dzwonek przy drzwiach.

— Och, panno Brett, widzę, że ma pani klienta. Poczekam.

Jej czujne oczy błyszczały za pince-nez! Będzie się zastanawiać, czy panna Brett ma wielbiciela, skoro w sklepie był z nią Redvers Stretton i nic nie wskazywało na to, aby coś kupował.

Po twarzy Redversa przemknął wyraz konsternacji, zaraz jednak lekko wzruszył ramionami i oznajmił:

— Szanowna pani, właśnie zamierzałem się pożegnać. Ukłonił się nam i opuścił sklep. Ogarnęła mnie wściekłość na tę kobietę, ponieważ chciała jedynie zapytać o cenę biblioteczki. Gładząc mebel, komentowała jego stan i szukała śladów korników, w gruncie rzeczy zaś chodziło jej o coś innego. Ach, więc Redvers Stretton z zamku interesował się antykami. Jak słyszała, przyjechał do domu na krótko. Jaki gwałtowny, zupełnie inny niż pan Rex, który musi być wielką pociechą dla matki. Redvers to zupełnie inna para kaloszy.

— Nigdy w życiu nie widziałam kogoś mniej podobnego do kaloszy — odparłam szorstko.

— Moja droga panno Brett, to tylko takie wyrażenie, ale bez cienia wątpliwości ten młodzieniec jest dziki.

Ostrzegала mnie, lecz nie byłam w nastroju do przyjmowania przestroóg. Do Domu Królowej wróciłam późno, pani Morton powiedziała mi, że ciotka Charlotte na mnie czeka. Była w złym humorze. Leżała w łóżku, zażyła laudanum, by ulżyć sobie w cierpieniu. Wytknęła mi spóźnienie, wyjaśniłam więc, że w sklepie zatrzymała mnie pani Jennings, dopytując się o biblioteczkę Hepplewhite’a.

— Stara plotkarka. Nigdy jej nie kupi.

Wydawała się jednak zadowolona, czego o mnie nie można było powiedzieć.

Myśl o tym mężczyźnie zamieniała się w obsesję.

\* \* \*

Dwa dni później ciotka Charlotte oznajmiła, że zamierza pojechać na wyprzedaj; oferowano tam zbyt wiele ciekawych przedmiotów, by ją przegapić. Ból postanowiła zagłuszyć solidną porcją

lekarstwa. Zabierała panią Morton, ponieważ miała spędzić dwie noce poza domem; dla osoby dotkniętej taką chorobą podróż oraz hotelowe niewygody istotnie stały się trudne do zniesienia. Naturalnie byłoby o wiele, wiele lepiej, gdybym to ja jej towarzyszyła, lecz oczywiście obie nie mogłyśmy wyjechać... ze względu na interesy. Gdyby ta głupia Beringer nie zrobiła z siebie idiotki, wychodząc za męża, ja mogłabym pojechać, a ona zajęłaby się sprawami na miejscu. Ciotka Charlotte jeszcze bardziej nie lubiła panny Beringer po jej ślubie niż przedtem.

Tak więc wyjechały obie, a ja wciąż miałam nadzieję, że Redvers ponownie odwiedzi sklep. Zastanawiałam się, dlaczego tego nie czyni, skoro wówczas powiedział, że chciał się ze mną zobaczyć, lecz zaraz skwapliwie skorzystał z wymówki, żeby się pożegnać. Po co w ogóle przyszedł?

Może wyruszył już w rejs.

Był wieczór owego dnia, gdy ciotka Charlotte wyjechała. Zamknęłam sklep i wróciłam do Domu Królowej. Byłam już w swojej sypialni, kiedy przybiegła Ellen z wiadomością, że przyszedł jakiś dżentelmen i pyta o mnie.

— Czego chce?

— Zobaczyć się z panią — wyjaśniła Ellen z irytacją. — To kapitan Stretton z zamku.

— Kapitan Stretton z zamku! — powtórzyłam niemądrze. Spojrzałam w lustro. Miałam na sobie suknię z szarej wełny, niezbyt twarzową, i włosy w nieładzie.

— Powiem mu, że zejdiesz za dziesięć minut, panią — zaproponowała Ellen konspiracyjnie. — W końcu nie chcesz chyba, żeby myślał, że tak ci do niego spieszo.

— Może przyszedł obejrzeć jakiś mebel — odrzekłam nieco drżącym głosem.

— Tak, panią. Powiem mu.

Odeszła, a ja ruszyłam do szafy po suknię z jasnoniebieskiego jedwabiu, który ojciec przywiózł mi kiedyś z Hongkongu. Uszyła ją tutejsza krawcowa i bez wątplenia nie był to ostatni krzyk mody, miałam ją bowiem od jakiegoś już czasu, lecz materiał był śliczny, a riuszki z aksamitu koło szyi zawsze uważałam za twarzowe.

Tak więc przebrałam się pośpiesznie, przygładziłam włosy i zbiegłam na dół.

Kapitan ujął mnie za ręce w ten swój swobodny sposób, który może i był niekonwencjonalny, lecz mnie wydawał się czarujący.

— Proszę wybaczyć mi najście — powiedział — ale chciałem się pożegnać.

— Och... pan wypływa?

— Tak, jutro.

— Mogę więc tylko życzyć panu szczęśliwej podróży.

— Dziękuję. Mam nadzieję, że pomyśli pani o mnie, kiedy mnie tu nie będzie, i czasem nawet pomodli się za tych, co na morzu.

— Ja zaś mam nadzieję, że moje modlitwy nie będą panu potrzebne.

— Kiedy pozna mnie pani lepiej, zrozumie, że potrzebuję ich bardziej niż większość ludzi.

Kiedy pozna mnie pani lepiej! O stanie mych uczuć świadczył zachwyty, wywołany tym prostym zdaniem i wynikającymi z niego wnioskami. Teraz wypływa, ale kiedy poznam go lepiej...

— Wydał mi się pan samowystarczalny.

— Sądzi pani, że jakikolwiek człowiek naprawdę taki jest?

— Powiedziałabym, że niektórzy z nas być może tak.

— A pani?

— Nie miałam jeszcze czasu, żeby się o tym przekonać.

— Zawsze panią rozpieszczano?

— Och, wręcz przeciwnie, lecz pańskie pytanie uświadomiło mi, że nigdy nie byłam zależna wyłącznie od siebie. Cóż za poważna rozmowa! Proszę, może pan usiądzie.

Powiódł spojrzeniem po pokoju, a ja się roześmiałam.

— Ja też się tak czułam, kiedy tu zamieszkałam. Siadałam w fotelu i mówiłam sobie: „Może madame de Pompadour niegdyś w nim siedziała albo Richelieu, albo Talleyrand”.

— Jako człowiekowi o wiele mniej wykształconemu, taka myśl w żadnym razie nie powstała mi w głowie.

— Przejdźmy do salonu ciotki, bardziej nadaje się... do mieszkania. To znaczy, jeśli ma pan czas, żeby zostać... na chwilę.

— Wypływam o siódmej rano. — Przyjrzał mi się z namysłem. — Przed tą godziną powinienem wyjść.

Śmiałam się, prowadząc go po schodach i przez zagracone pokoje. Jego uwagę przyciągnęły chińskie meble i porcelana, które ciotka Charlotte niedawno kupiła. Zapomniałam, że musiała znaleźć dla nich miejsce u siebie.

— Przy tej okazji ciotka kupiła sporo rzeczy — wyjaśniłam. — Od kogoś, kto mieszkał kiedyś w Chinach. — Czułam, że muszę mówić, taka byłam podekscytowana. — Podoba się panu ta szafka? Nazywamy ją piętrową komódką. Lakier jest w dobrym stanie. Proszę popatrzeć na te ozdoby z kości słoniowej i macicy perłowej. Bóg wie, ile ciotka za to zapłaciła. Zastanawiam się też, kiedy znajdzie nabywcę.

— Bardzo dużo pani wie.

— To i tak nic w porównaniu z wiedzą ciotki Charlotte. Ale się uczę, choć trzeba na to całego życia.

— Ach — odrzekł kapitan, przyglądając mi się z powagą — w życiu jest tyle innych spraw, których można się uczyć.

— Pan bez wątpienia jest ekspertem... od morza i statków.

— Nigdy w żadnej dziedzinie nie będę ekspertem.

— A któż jest? Czemu jednak pan nie siada? To krzesło będzie wygodniejsze. To solidny hiszpański mebel.

Uśmiechnął się lekko.

— A co się stało z sekretarzykiem, który kupiłyście w zamku?

— Ciotka go sprzedała, ale nie wiem komu.

— Nie przyszedłem rozmawiać o meblach — oświadczył.

— Nie?

— Przyszedłem porozmawiać z panią.

— Nie sądzę, bym była zajmującą rozmówczynią... na inne tematy.

Kapitan się rozejrzał.

— To wygląda niemal tak, jakby te meble z pani też chciały uczynić cenny zabytek.

Nastąpiła chwila ciszy, a do mej świadomości dotarło głośnie tykanie zegarów.

Wbrew woli powiedziałam:

— Tak, chyba tego się obawiam. Widzę siebie, jak tutaj mieszkam, starzeję się i coraz więcej wiem, aż wreszcie swą wiedzą dorównuję ciotce. Tak jak pan powiedział, cenny zabytek.

— To w żadnym razie nie może się zdarzyć. Należy żyć terażniejszością.

— Cieszę się, że pan przyszedł... w swój ostatni wieczór.

— Przyszedłbym wcześniej, lecz...

Czekałam, co powie dalej, nie dokończył jednak zdania. Zamiast tego rzekł:

— Słyszałem o pani.

— Słyszał pan?

— Starsza panna Brett jest dobrze znana w Langmouth. Podobno ostro się targuje.

— Powiedziała o tym panu lady Crediton.



— Odniosła wrażenie, że sama targowała się ostrzej. To przy tej okazji spotkaliśmy się po raz pierwszy... A co pani wie na mój temat?

Obawiałam się powtórzyć mu historię Ellen, na wypadek gdyby nie była prawdziwa.

— Wiem, że mieszka pan w zamku, ale nie jest pan synem lady Crediton.

— Więc rozumie pani, że od samego początku moje położenie było cokolwiek niezręczne. — Roześmiał się lekko. — Mogę jednak z panią rozmawiać o tej dość niedelikatnej kwestii. Dlatego uważam pani towarzystwo za interesujące. Nie jest pani typem kobiety, która odmawia rozmowy na jakiś temat tylko dlatego, że jest on... niekonwencjonalny.

— Czy to prawda?

— Ach, więc pani i o tym słyszała. Tak, to prawda. Sir Edward był moim ojcem, wychowano mnie jak syna, lecz mój status różnił się od statusu mego przyrodniego brata. Niezwykle rozsądne, nie sądzi pani? Choć oczywiście wpłynęło to na mój charakter. Zawsze we wszystkim starałem się prześcignąć Rexa, jakbym chciał powiedzieć: „Widzisz, jestem tak samo dobry jak ty”. Czy pani zdaniem może stanowić to usprawiedliwienie dla, powiedzmy, arogancji, ciągłego zwracania na siebie uwagi i wiecznej chęci wygrywania? Rex to najcierpliwszy z ludzi. O wiele bardziej ode mnie wartościowy, ale zawsze powtarzam, że nigdy nie musiał udowadniać swojej wartości. Od razu uważano, że jest lepszy.

— Nie jest pan jednym z owych męczących ludzi, co wiecznie opowiadają o swoich kompleksach?

Roześmiał się znowu.

— Nie. Wręcz przeciwnie, usiłując przekonać otoczenie, że jestem równie dobry jak Rex, przekonałem o tym samego siebie.

— I tym lepiej. Nie znoszę ludzi, którzy użalają się nad sobą, może dlatego, że w pewnym okresie życia sama zaczęłam odnosić wrażenie, że los potraktował mnie dość surowo. To było wtedy, kiedy umarła moja matka.

Opowiedziałam mu o matce, o jej wielkiej piękności i uroku, o planach na przyszłość i o tym, jak oboje z ojcem na nią liczyliśmy; dodałam też, że po jego śmierci zostałam na łasce i niełasce ciotki Charlotte.

Stałam się niezwykle ożywiona — to on tak na mnie wpłynął. Czułam, że jestem dowcipna, interesująca, atrakcyjna; tak szczęśliwa nie byłam od śmierci matki. Nie, byłam nawet szczęśliwsza niż w całym moim życiu. Pragnęłam, by ten wieczór nigdy się nie skończył.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i weszła Ellen. Oczy jej jaśniały.

— Panienko — zaczęła konspiracyjnym tonem — kolacja jest prawie gotowa i jeśli kapitan Stretton zechce pani towarzyszyć, mogłabym podać do stołu za jakieś piętnaście minut.

Kapitan wyraził radość z zaproszenia. Patrzył na Ellen, a ja spostrzegłam, że policzki jej poróżwiały. Czy to możliwe, że budził w niej takie same uczucia jak we mnie?

— Dziękuję, Ellen — odezwałam się, zawstydzona ukłuciem zazdrości.

Nie, w gruncie rzeczy nie była to zazdrość, przez głowę przeszła mi jednak myśl, że nie tylko mnie obdarzał swoim czarem. Miał go tyle, że nikomu nie musiał skąpić, nawet pokojówce oznajmiającej, że podano do stołu. A może zbyt wielką wagę przykładalam do zachowania tego człowieka?

Ellen — co doprawdy było aktem wielkiej odwagi — zapaliła dwie świece w ślicznie rzeźbionych, pozłacanych świecznikach z siedemnastego wieku, które ustawiła po obu końcach stołu z okresu regencji. Dwa krzesła Sheratona stały naprzeciwko siebie. Stół wyglądał prześlicznie.

Wokół nas tłoczyły się biblioteczki, fotele i dwa kredensy pełne porcelany i fajansu Wedgwooda, ale świece na stole okryły półmrokiem resztę jadalni i ogólny efekt był zachwycający.

To było jak sen. Ciotka Charlotte nigdy nie przyjmowała gości. Przez głowę przemknęło mi pytanie, co by zrobiła, gdyby nas teraz zobaczyła, i nasunęło mi się też spostrzeżenie, jak inaczej wyglądałoby moje życie bez ciotki. Dlaczego jednak miałabym rozmyślać o niej w taki wieczór?

Ellen była w doskonałym nastroju. Wyobraziłam sobie, że następnego dnia zda szczegółową relację ze wszystkiego panu Orfeyowi. Uważała — wiedziałam, bo często mi to powtarzała — że już najwyższa pora, bym trochę użyła życia. Jej zdaniem to wydarzenie kwalifikowało się pewnie jako całkiem spory kawał życia.

Wniosła zupę w wazie zdobionej granatowymi kwiatkami i naląła do talerzy od kompletu. Zmartwiłam z przerażenia, że będziemy używać tak cennych przedmiotów. Po zupie przyszła kolej na zimnego kurczaka; ucieszyłam się, że ciotka wróci dopiero pojutrze i zdążymy uzupełnić zapasy. Ciotka jadła niewiele i mało wykwintne potrawy, Ellen wszakże dokonała cudów: podsmażyła zimne ziemniaki i ugotowała kalafior, który podała z serem i sosem szczypiorkowym. Tamtego wieczora jak gdyby posiadała nową moc. A może to mnie się wydawało, że wszystko smakuje inaczej niż przedtem.

Rozmawialiśmy, Ellen zaś od czasu do czasu wchodziła, by nam usługiwać; wyglądała ślicznie i nie kryła radości. Byłam przekonana, że Dom Królowej nie widział dotąd szczęśliwszej sceny, nawet w czasach gdy gościł w swych murach królową Elżbietę. W głowie miałam pełno pragnień i fantazji. To było tak, jakby dom zaaprobował moje poczynania i obce duchy odeszły, gdy ja siedziałam w jadalni przy stole z okresu regencji i zabawiałam swego gościa.

Nie piliśmy wina, ciotka Charlotte bowiem nie brała do ust alkoholu, lecz to nie miało znaczenia.

Kapitan opowiadał o morzu i obcych miejscach, a ja miałam wrażenie, że też tam byłam. Kiedy zaś mówił o statku i załodze, bez trudu odgadłam, ile dla niego znaczą. Zabierał tkaniny i artykuły przemysłowe do Sydney, a przed powrotem z wełną do Anglii miał w planie handel w portach na Pacyfiku. Statek nie był wielki, o ładowności mniejszej niż tysiąc ton, lecz mój rozmówca sprawił, że widziałam, jak przecina fale. Należał do klasy kliperów, a nie znajdzie się szybszych od nich statków. Kapitan przeprosił jednak, że mówi za dużo o sobie.

Zaprotestowałam. Nie, chciałam tego słuchać. Byłam oczarowana. Często chodziłam do doków, widywałam tam statki i zadawałam sobie pytanie, dokąd płyną. Zapytałam, czy są to statki wyłącznie handlowe.

— Czasami zabieramy pasażerów, ale przede wszystkim zajmujemy się przewozem towarów. Skoro o tym mowa, to jutro wypływa ze mną pewien bardzo znamienity dżentelmen. Jest handlarzem diamentów, ale wybiera się do Australii, obejrzeć tamtejsze opale. Wielki z niego zarozumialec. Poza nim będzie jeszcze parę osób. Na statkach takich jak nasze pasażerowie mogą niekiedy sprawiać spore problemy.

Rozmowa płynęła, zegary tykały złośliwie, gwałtownie.

— Nie powiedział mi pan, jak się nazywa pański statek — rzekłam.

— Nie? To „Tajemnicza Kobieta”.

— „Tajemnicza Kobieta”. Zaraz, zaraz... taki napis widnieje na figurce, która była w sekretarzyku kupionym przez ciotkę w zamku Creditonów. Jest w moim pokoju. Przyniosę ją.

Wzięłam świecznik ze stołu. Był bardzo ciężki, kapitan wyjął mi go z ręki.

— Niech pan ostrożnie się z nim obchodzi. Jest cenny.

— Jak wszystko w tym domu.

— Cóż, jednak nie wszystko.

I odwróciłam się, po czym ramię w ramię ruszyliśmy po schodach.

— Proszę uważać — ostrzegłam. — Jak pan widzi, bardzo tu ciasno.

— Rozumiem, że to sklepowa witryna — odparł.

— Tak — odrzekłam lekkim tonem. — Figurkę znalazłam w szufladce. Przypuszczam, że powinniśmy były ją oddać, ale ciotka Charlotte powiedziała, że jest bezwartościowa.

— Nie wątpię, że ciotka Charlotte jak zwykle miała rację. Roześmiałam się lekko.

— Prawie zawsze ma rację, to muszę przyznać.

I na myśl o ciotce znowu ogarnęło mnie zdziwienie, że odważyłam się zaprosić go na kolację, choć w gruncie rzeczy uczyniła to Ellen. Przystałam jednakże na to z ochotą, nie było więc sensu zwałać winy na nią. Nie chciałam myśleć o ciotce w takiej chwili; spała spokojnie w jakimś ponurym pensjonacie, jako że nigdy nie wynajęłaby pokoju w dobrym hotelu, a biedna pani Morton bez wątpienia przeżywała trudne chwile.

Weszliśmy do pokoju. Zawsze uważałam, że dom w świetle światec wydaje się niesamowity, ponieważ meble przybierały dziwaczne kształty, niekiedy groteskowe, niekiedy ludzkie, ciągle też podlegały zmianom, przez co rzadko wydawały się znajome.

— Cóż za dziwny dom! — odezwał się kapitan.

— Naprawdę stary — odrzekłam. I głośno się roześmiałam na wspomnienie werdyktu, jaki ciotka Charlotte wydała na zamek Creditonów: falsyfikat! Kapitan chciał wiedzieć, co mnie tak rozbawiło, więc mu powiedziałam.

— Ciotka żywi niezwykłą pogardę do falsyfikatów.

— A pani? Zawahałam się nieco.

— To zależy od podróbki. Niektóre są bardzo sprytne.

— Przypuszczam, że trzeba mieć dużo sprytu, żeby zostać dobrym fałszerzem.

— Zapewne ma pan rację. Och, proszę uważać na wystający kant tego stołu. Nie dostrzegłam go w mroku. Może okazać się niebezpieczny, bo schody są blisko.

Doszliśmy do mojej sypialni.

— Panna Anna Brett tu spała — oświadczył kapitan z udanym szacunkiem.

Byłam w doskonałym nastroju.

— Sądzi pan, że powiesz tu tabliczkę na ścianie? „Królowa Elżbieta i Anna Brett...”. Może powinni raczej nazwać go Domem Anny Brett, a nie Domem Królowej.

— Wspaniały pomysł.

— Ale muszę panu pokazać tę figurkę. — Wyjęłam ją z szuflady.

Kapitan odstawił świecznik na komodę i wziął posążek do ręki. Zaraz też się roześmiał.

— To galion z „Tajemniczej Kobiety”.

— Galion? — powtórzyłam ze zdziwieniem.

— Tak, nie ulega wątpliwości, że odłamano go z modelu statku.

— Nie ma żadnej wartości?

— Najmniejszej. Poza tym naturalnie, że to galion z mojego statku, co być może przydaje mu nieco wartości w pani oczach.

— Tak — odrzekłam. — Przydaje.

Kapitan oddał mi figurkę i musiałam chyba trzymać ją z zauważalnym szacunkiem, bo znowu się roześmiał.

— Może pani od czasu do czasu na nią spoglądać i myśleć o mnie, jak stoję na mostku, a statek przedziera się przez wzburzone fale.

— „Tajemnicza Kobieta” to dziwna nazwa dla statku. Tajemnicza i kobieta. Sądziłam, że wszystkie statki Creditonów to damy.

W tej samej chwili usłyszałam trzask otwieranych drzwi oraz dobiegające z dołu głosy. Poczulałam gęsią skórę.

— Co się stało? — zapytał kapitan, ujmując mnie za ramiona i przyciągając do siebie.

— Ciotka wróciła — wyjaśniłam słabym głosem.

Serce tak mi dudniło, że ledwo mogłam pozbierać myśli. Dlaczego już dzisiaj wróciła do domu? Z drugiej strony, czemu nie? Wyprzedaż okazała się mało interesująca, ciotka nienawidziła hoteli i nie zamierzała zostać poza domem dłużej, niż było konieczne. Nieważne, z jakiego powodu wróciła. Rzecz w tym, że się tu zjawiała. Może akurat w tej chwili ogląda resztki naszej ucztę... zapalona świeca (tylko jedna, bo drugą wzięliśmy na górę), kosztowna porcelana. Biedna Ellen, pomyślałam. Rozejrzałam się w popłochu wokół: popatrzyłam na łóżko, na meble, które dziś tu są, a jutro ich nie będzie, świecę, rzucającą wydłużone cienie na ścianę, komodę i... na nas.

Redvers Stretton był ze mną sam na sam w mojej sypialni, a ciotka Charlotte wróciła do domu! Powinniśmy przynajmniej jak najszybciej zejść na dół.

Kapitan zrozumiał i wziął świecznik z komody. Nie mogliśmy jednak się śpieszyć, musieliśmy postępować z rozwagą. Kiedy byliśmy na zakręcie schodów, zobaczyła nas ciotka Charlotte. Koło niej stała pani Morton, Ellen też tam była, blada i spięta.

— Anno! — odezwała się ciotka głosem, który odbił się echem niczym grzmot. — Co ty wyprawiasz?

Dom Królowej nigdy nie był świadkiem bardziej dramatycznej chwili: nade mną górował Redvers Stretton (był bardzo wysoki, poza tym stał o stopień wyżej), światło świecy migotało, nasze cienie kładły się na ścianie, a ciotka Charlotte w swej podróżnej pelerynie i czepku, z twarzą pobladała ze zmęczenia i bólu, bardziej niż kiedykolwiek przypominała przebranego za niewiastę mężczyznę, potężnego i zirytowanego.

Zeszłam po schodach. Kapitan podążał za mną.

— Kapitan Stretton złożył nam wizytę — oznajmiłam, usiłując zachować naturalny ton.

Redvers natychmiast przejął inicjatywę.

— Chyba powinienem wytłumaczyć, panno Brett. Tyle słyszałem o pani cudownym skarbcu, że nie mogłem się oprzeć i postanowiłem zobaczyć go na własne oczy. Nie oczekiwałem takiej gościnności.

Ciotka sprawiała wrażenie nieco zbitej z tropu. Czyżby ona też Podatna była na jego urok?

— Trudno oceniać zabytki przy świetle świecy — odparła z prychnięciem.

— A jednak w przeszłości te wspaniałe przedmioty często pokazywano wyłącznie w świetle świecy, panno Brett. Zależało mi na tym efekcie. A panna Brett uprzejmie mi na to zezwoliła.

Ciotka szacowała jego możliwości jako nabywcy.

— A co szczególnie pana zainteresowało, kapitanie Stretton?

— Kapitan jest pod wielkim wrażeniem szafki Levasseura — wtrąciłam pośpiesznie.

Ciotka Charlotte znowu prychnęła.

— To piękna rzecz — przyznała. — Nigdy nie pożałuje pan zakupu. I bardzo łatwo znajdzie pan nabywcę, gdyby zapragnął pan jej się pozbyć.

— W to nie wątpię — odparł kapitan z powagą.

— A widział ją pan w świetle dnia? — zapytała ciotka ironicznie. Ani przez chwilę nie wierzyła w tę inscenizację. Dla niej było to bezsensowne udawanie.

— Nie. Ta przyjemność wciąż na mnie czeka.

Ciotka Charlotte patrzyła na świecznik, który kapitan trzymał w ręku.

— Ciotko Charlotte — odezwałam się — na pewno jesteś bardzo zmęczona po podróży.

— W takim razie powinienem już się pożegnać — wtrącił Redvers. — I dziękuję za tak gościnne przyjęcie.

— A Levasseur?

— W świetle dziennym — odrzekł — zgodnie z pani radą.

— Niech pan przyjdzie jutro — zaproponowała ciotka. — Sama go panu pokażę.

Skłonił się grzecznie.

— Ellen odprowadzi pana do wyjścia. Nie miałam zamiaru na to pozwolić.

— Ja to zrobię — oznajmiłam stanowczo.

I poszliśmy do drzwi. Stałam z nim w ogrodzie, gorączkowo opowiadając o szafce.

— Ta intarsja z brązu na okładzinie z szylkretu jest naprawdę bardzo piękna. Nie ma wątpliwości, że to oryginalny Levasseur...

— Och, nie wątpię...

Była jesień, w powietrzu unosił się specyficzny zapach chryzantem, wilgotnej ziemi i rzeki. Zawsze kiedy czuję te wonie, przed oczyma staje mi owa noc. Mój zaczarowany wieczór przeminął, Redvers jutro wypływał w morze. Ja byłam więźniem; on mnie opuszcza, by wieść życie pełne przygód, a ja wrócić muszę do rozgniewanego strażnika mej celi.

— Wydaje mi się, że pani ciotka trochę się zirytowała — zauważył kapitan. — Przykro mi.

— Sądziłam, że wróci dopiero pojutrze.

— Chodziło mi o to, że wyjeżdżam. Zostawiam panią, by sama stawiała czoło...

— Mogłabym stawić temu czoło, gdyby...

Wiedział, co miałam na myśli. Gdyby on był przy moim boku, gdybym mogła go widywać, nawet ukradkiem, nic by mnie to nie obchodziło. Miałam dwadzieścia jeden lat i nie musiałam do końca życia być niewolnicą ciotki Charlotte.

— Żałuję, że tak się stało — oświadczył, a ja zastanawiałam się, co chciał przez to powiedzieć. Nie mogłam długo z nim zostać. Ciotka Charlotte czekała w domu.

— Tak? — ponagliłam go. — To znaczy żałuje pan, że przyszedł?

— Nie mógłbym tego żałować — odparł. — To był cudowny wieczór, dopóki nie pojawiła się smoczyca. Nie uwierzyła mi w kwestii tego... mebla.

— Nie, nie uwierzyła.

— Mam nadzieję, że nie przysporzyłem pani... kłopotów.

— Ale wieczór do jej pojawienia się był bardzo przyjemny.

— Tak pani uważa?

Nie potrafiłam ukryć swoich uczuć.

— To najprzyjemniejszy wieczór, jaki... — nie, nie mogę być aż tak naiwna — jaki spędziłam od dłuższego czasu — dokończyłam.

— Ja wrócę — oznajmił Redvers.

— Kiedy?

— Przypuszczalnie szybciej niż pani sądzi. Ujął mą twarz w dłonie i spojrzał na mnie; pomyślałam, że zaraz mnie pocałuje, lecz najwyraźniej zmienił zdanie. Nagle już go przy mnie nie było i zostałam sama w ogrodzie pachnącym jesienią.

Wróciłam do domu. Ciotki Charlotte nie było na dole. Ellen sprzątała naczynia ze stołu.

— Ciotka poszła do łóżka, panienko — wyjaśniła. — Pomaga jej pani Morton. Jest wyczerpana. Powiada, że jutro rano porozmawia z panienką i ze mną. Och, panienko, naprawdę wpadliśmy po uszy.

Ruszyłam do swojej sypialni. Jeszcze nie tak dawno on był tutaj z mną. Wniósł w moje życie magiczny czar, a teraz odszedł. Byłam głupia, wyobrażając sobie... Co właściwie sobie wyobrażałam? Czym młoda kobieta, nieodznaczająca się wybitną urodą, może zainteresować mężczyznę, który z pewnością jest najbardziej czarującym człowiekiem na świecie?

A mimo to... było coś w tym, jak na mnie patrzył. Czy zbyt otwarcie okazałam swoje uczucia?

Wyjęłam galion i postawiłam go na nocnym stoliku. Rozebrałam się i położyłam do łóżka, ściskając w dłoni figurkę — głupi, dziecinny gest, który wszakże dał mi ukojenie.

\* \* \*

Długo nie mogłam zasnąć, lecz w końcu zapadłam w drzemkę. Obudziłam się przestraszona. Zaskrzypiała podłoga, rozległy się kroki na schodach — to one wyrwały mnie ze snu. Ktoś szedł na ostatnie piętro... słyszałam stukot ciotczynej laski.

Usiadłam na łóżku, wpatrzona w drzwi. Otworzyły się wolno i w progu stanęła ciotka Charlotte.

Wyglądała groteskowo w szlafroku z wielbłądziej wełny z wojskowymi guzikami, z siwymi włosami splecionymi w gruby, luźny warkocz, z dłonią na hebanowej rączce laski, z której korzystała, odkąd artretyzm utrudniał jej ruchy. Niosła świecę — nie w kosztownym, lecz w prostym, drewnianym lichtarzu.

Obrzuciła mnie płonącym spojrzeniem.

— Powinnaś się wstydić — rzekła. Jej śmiech był straszny, pogardliwy i w pewnym sensie ordynarny. — Nie mogłam zasnąć, bo rozmyślałam o tym, co się dzisiaj stało.

— Nie zrobiłam nic, czego musiałabym się wstydić.

— To ty tak mówisz. Więc czekałaś, aż wyjadę, i sprowadziłaś go do domu. Jak często tu bywał? Nie będziesz chyba twierdzić, że przyszedł po raz pierwszy.

— Przyszedł po raz pierwszy.

Znowu się roześmiała. Była rozgniewana i przestraszona. Wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy, lecz ona wiedziała, że potrzebowała mnie o wiele bardziej, niż ja jej. Była samotną starą kobietą, zmuszoną polegać na ludziach w rodzaju pani Morton, i to ja miałam się stać dla niej ratunkiem. To ja miałam nią się opiekować i prowadzić sklep, przecież wyszkoliła mnie w tym kierunku. Najbardziej obawiała się, że wyjdę za mąż i opuszczę ją, tak jak uczyniła Emily Beringer.

Rozejrzała się po pokoju.

— Po jego odejściu czujesz się zapewne samotna. Tylko mi nie mów, że tutaj nie był. Widziałam światło z ogrodu. Powinnaś była pomyśleć o zaciągnięciu zasłon. Lecz nie spodziewałaś się, że ktoś cię zobaczy, prawda? Sądziłaś, że masz dla siebie cały dom, a Ellen także maczała w tym palce. Dobry przykład jej dajesz, nie ma co.

— Ellen nie ponosi żadnej winy.

— Podawała wam kolację na porcelanie z Delft, tak?

— To było nierozsądne, lecz...

— Lecz nie tak nierozsądne, jak przyprowadzenie go tutaj, do twojej sypialni!

— Ciotko Charlotte!

— Nie udawaj przede mną niewiniątka. Wiem, że tu byliście, widziałam światło. Popatrz, na toaletce jest roztopiony воск. I czy nie widziałam, jak oboje schodzicie na dół? Och, że też potrafisz tak kłamać w żywe oczy. Jesteś taka sama jak twoja matka, ot co. Od razu mówiłam, że źle się stało, gdy wpadła twojemu ojcu w oko.

— Bądź cicho, złośliwa stara kobieto — przerwałam jej.

— Takie słowa donikąd cię nie zaprowadzą.

— Tu z pewnością nie zostanę.

Gorszej rzeczy nie mogłam powiedzieć. Zwróciła na mnie całą swoją wściekłość.

— Ty niewdzięcznico! Zrobiłam dla ciebie wszystko. Co by się z tobą stało, gdybym cię do siebie nie wzięła? Skończyłabyś w sierocińcu, to pewne. Nic, zupełnie nic nie miałaś. Opiekowałam się tobą. Staralam się, żebyś była pożyteczna. Nauczyłam cię wszystkiego, co

wiem... chciałam dać ci szansę na odwzajemnienie się, a ty co robisz? Sprowadzasz obcych mężczyzn do domu, gdy tylko odwracam się plecami. Jaka matka, taka córka... Nie powinnam się dziwić.

— Jak śmiesz tak mówić! Moja matka była dobra, lepsza niż ty kiedykolwiek będziesz. A ja...

— Ty też jesteś dobra? O tak, bardzo dobra. Bardzo dobra dla młodych mężczyzn, którzy składają ci wizyty, kiedy mnie nie ma w domu.

— Przestań! Przestań natychmiast!

— Ośmielasz się rozkazywać mi w moim własnym domu?

— Pójdę sobie, jeśli chcesz.

— A niby dokąd?

— Znajdę jakąś posadę. Znam się trochę na antykach.

— To ja cię tego nauczyłam.

— Mogłabym być też guwernantką albo damą do towarzystwa. Ciotka się roześmiała.

— O tak, jesteś bardzo sprytna, wiem. A nie przyszło ci przypadkiem do głowy, że najpierw musisz spłacić mi dług? Mogłabyś się nad tym zastanowić. Ależ ty jesteś głupia. Tanio ulegasz pierwszemu, który ci się trafia, w dodatku pochodzącemu z tej rodziny. Sądziłabym, że wykazesz się lepszym rozeznaniami, gdy chodzi o ludzi z taką reputacją.

— Jaką reputacją?

Zachichotała.

— Powinnaś staranniej dokonywać wyboru. Mogę ci powiedzieć, że kapitan Redvers Stretton nie cieszy się w mieście wielkim szacunkiem. To taki mężczyzna, który bawi się wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. I ośmielałam się dodać, że gotów jest na wszystko.

W odpowiedzi mogłam tylko krzyknąć:

— Odejdź! Nie chcę cię dłużej słuchać! Wyprowadzam się z tego domu. Jeżeli chcesz się mnie pozbyć, jeśli jestem dla ciebie aż takim ciężarem...

— Jesteś lekkomyślną i głupią dziewczyną — przerwała mi ciotka. — Potrzebujesz opieki. Twój ojciec był moim bratem, tak więc to mój obowiązek. Rano poważnie z tobą porozmawiam. Teraz jestem wyczerpana... i czuję straszliwy ból. Nie mogłam zasnąć, bo myślałam o tobie. Zdecydowałam więc, że jeszcze dzisiaj z tobą porozmawiam, ale może do jutra zrozumiesz swoją winę.

Odwróciła się i wyszła, a ja nie odrywałam oczu od drzwi. Byłam urażona i rozgniewana; ciotka zepsuła cały ten wieczór swymi niegodziwymi insynuacjami i aluzjami o reputacji Redversa Strettona. Co właściwie miały oznaczać? O czym wiedziała?

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk, a po nim głuchy łoskot. Wskoczyłam z łóżka i pobiegłam ku schodom.

Ciotka Charlotte leżała na podeście i jęczała.

Natychmiast byłam przy niej.

— Ciotko Charlotte, zrobiłaś sobie krzywdę?

Nie odpowiedziała, oddychała z trudem.

Zawołałam panią Morton i Ellen. Niemądrze próbowałam podnieść ciotkę, lecz nie dałam rady, znalazłam więc poduszkę i podłożyłam jej pod głowę.

Przybiegła pani Morton. Z siatką na gęstych włosach zakręconych na wafki wyglądała inaczej, przestraszona i ponura.

— Musiała się poślizgnąć, schodząc po schodach — wyjaśniłam.

— Tak późno w nocy wstała — skomentowała pani Morton, podnosząc świecę, którą upuściła ciotka.

Przez okno sączyła się słaba poświata księżyca. Ranna znowu zaczęła jęczeć.

— Włóż płaszcz, Ellen, i idź po doktora Elgina. Poproś go, żeby natychmiast przyszedł.

Ellen pobiegła wypełnić polecenie.

— Jak to się stało? — zapytała pani Morton, która wraz ze mną została przy ciotce. Wydała mi się dość zadowolona; wyobraziłam sobie, czym musiała być podróż w towarzystwie tej zręcznej starej kobiety.

— Przyszła do mojego pokoju porozmawiać i przewróciła się, gdy wracała do siebie.

— Zapewne była bardzo rozgniewana — zauważyła.

Spojrzała na mnie z ukosa, a ja uświadomiłam sobie, że nigdy jej nie rozumiałam. Sprawiała wrażenie, jakby w jej życiu kryła się jakaś tajemnica. Dlaczego właściwie znosi kaprysy ciotki Charlotte? przecież mogłaby znaleźć sobie posadę u osoby bardziej wyrozumiałej. Do głowy przychodził mi tylko jeden powód, dla którego wciąż tu tkwiła — ten sam, którym kierowała się Ellen: legat w testamencie, jeśli do końca będzie pracować u ciotki.

Zdawało się, że minęło wiele czasu, nim wróciła Ellen. Powiedziała, że doktor Elgin wkrótce przybędzie.

Kiedy się pojawił, kazał natychmiast zanieść ciotkę do łóżka i polecił mi, bym zaparzyła gorącej, słodkiej herbaty, ponieważ chora była w szoku. Jego zdaniem miała ogromne szczęście, że nie złamała żadnej kości.

Zajęłam się przygotowaniem herbaty.

— Cóż to za noc! — westchnęła Ellen. — Po mojemu, panienko, to może pozbawić ją życia. Taki upadek w jej wieku...

A ja wiedziałam, że Ellen myśli o tym, jak zanieś swój legat panu Orfeyowi.

\* \* \*

Owa noc zapoczątkowała straszny okres. Ciotka Charlotte uszkodziła sobie kręgosłup, co jeszcze pogorszyło jej stan. Zdarzały się dni, kiedy zdołała zrobić jedynie parę kroków po domu, a czasami nawet do tego nie była zdolna. Nie zawsze mogła jeździć na wyprzedaże — ja musiałam robić to za nią i wkrótce stałam się tam dobrze znana. Na początku traktowano mnie z lekką pogardą, co wszakże wzbudziło mój gniew. Postanowiłam, że nie pominę żadnej okazji do wzbogacenia wiadomości o antykach i moja znajomość przedmiotu z dnia na dzień rosła. Antykwariusze musieli mnie szanować. „Wykapana ciotka”, powiadali. Nawet mnie to cieszyło, ponieważ mogłam znieść podobieństwo do ciotki wyłącznie w tym jednym aspekcie — wiedzy.

Najbardziej zmieniła się sama ciotka. Na początku wynajdywałam dla niej usprawiedliwienia. Dla kobiety o tak energicznym usposobieniu własna niesprawność musiała być niezwykle uciążliwa. Nic dziwnego więc, że ciągle była poirytowana i łatwo wpadała w złość. Nigdy nie należała do osób, które cieszy towarzystwo innych, teraz jednak sprawiała wrażenie, jakby wszystkich nas nienawidziła. Nieustannie przypominała mi, że jestem odpowiedzialna za jej stan. Z troski o mnie poszła na górę, zmartwiło ją bowiem moje zachowanie, a potem w ciemności wpadła na stół i zleciała ze schodów. Zrujnowałam jej zdrowie i siły, teraz więc powinnam odpłacić jej na wszelkie możliwe sposoby.

W naszym domu nigdy nie było wesoło, teraz wszakże zapanowała w nim ponura, melancholijna atmosfera. W dobre dni ciotka siedziała w fotelu wsparta o poduszki i zajmowała się rachunkami. Nigdy nie pozwalała mi do nich zajrzeć i sama dokonywała większości zakupów. Nie zezwalała mi na żadne decyzje, chociaż moja wiedza niemal już dorównywała jej własnej.

Znowu zaczęłam myśleć, że Dom Królowej to więzienie; i jak w przeszłości marzyłam o chwili, gdy matka mnie stąd zabierze, tak obecnie wspominałam ów wieczór z Redversem i mówiłam sobie: wróci do domu z rejsu i przyjdzie zobaczyć się ze mną.



Mijały miesiące i nie miałam jednak od niego żadnej wiadomości. Znowu nadeszła jesień, a wraz z nią pojawił się w ogrodzie zapach dalii i chryzantem połączony z wonią wilgotnej mgły unoszącej się nad rzeką. Od naszego spotkania upłynął rok, a ja wciąż nie miałam wiadomości o Redversie.

Stan ciotki pogarszał się, a zarazem i jej nastrój. Rzadko minął dzień, by nie wspomniała o moich obowiązkach.

To Ellen przyniosła mi wiadomość. Jej siostra dalej pracowała w zamku, wyszła za męża za kamerdynera i wspięła się na wyższy szczebel drabiny społecznej. Lady Crediton była z niej zadowolona i choć siostra Ellen nie pełniła funkcji ochmistrzyni, to podlegały jej wszystkie pokojówki. Stanowiło to niezwykle wygodny układ, jeśli zważyć, że była żoną głównego kamerdynera.

Pewnego dnia razem z Ellen wyjmowałyśmy z kredensu ceramikę Ferrybridge'a i pakowałyśmy ją dla klienta.

— Panienko Anno, od wczoraj rano zastanawiam się, czy powinnam to panience powiedzieć — wyznała.

Spojrzałam na nią przestraszona; Ellen wyglądała na zmartwioną i zastanawiałam się, czy może pan Orfey zmęczył się czekaniem i wybrał sobie inną.

— Wczoraj poszłam do zamku zobaczyć się z naszą Edith. Unikałam wzrokiem jej twarzy; musiałam z niezwykłą ostrożnością obchodzić się z naczyniami.

— Tak? — odrzekłam, czekając na ciąg dalszy.

— Są wieści o kapitanie.

— O kapitanie? — powtórzyłam niemądrze.

— O kapitanie Strettonie. Zdarzyło się coś strasznego.

— Chyba nie... umarł?

— Och, nie... ale popełnił jakąś niegodziwość. Stracił statek.

— Chcesz powiedzieć, że statek zatonął?

— Coś w tym rodzaju. W zamku wszyscy o tym mówią. To coś strasznego. A on jest daleko stąd. Ale oprócz tej hańby jest coś jeszcze, panienko Anno.

— Co, Ellen?

— Ożenił się, już jakiś czas temu, w dalekich krajach. Musiał być żonaty, kiedy przyszedł tu wtedy wieczorem. I kto by pomyślał!

Nie wierzyłam jej. Na pewno by mi powiedział. Dlaczego jednak miałby omawiać ze mną swoje prywatne sprawy? Musiałam kompletnie go nie zrozumieć. Myślałam... Co myślałam? Byłam naiwna. Ciotka Charlotte trafnie mnie oceniła, jestem taka, jak mówiła. Tamten wieczór nic dla niego nie znaczył. Dwoje ludzi może to samo zdarzenie postrzegać zupełnie inaczej. Złożył mi wizytę, ponieważ nie miał nic do roboty w wieczór przed wyjściem w morze. Niewykluczone, że domyślał się moich uczuć i świetnie się bawił. Być może nawet opowiedział żonie o tym wieczorze. Posiłek przy świecach, przyjazd ciotki Charlotte. Przypuszczam, że mogło to być komiczne.

— Interesujące — odrzekłam.

— Nie miałam zielonego pojęcia, a panienska?

— O czym?

— Że jest żonaty. Trzymał to w tajemnicy. Z tym też jest jakiś problem. Ojej, o mało panienska tego nie upuściła! Dopiero by było, gdybyśmy coś stłukły.

Potłuczone, pomyślałam dramatycznie, jak moje marzenia, moje nadzieje. Ponieważ miałam nadzieję. Naprawdę wierzyłam, że Red pewnego dnia do mnie wróci i od tej chwili będę szczęśliwa.

\* \* \*

Kapitan Redvers Stretton był żonaty. Usłyszałam o tym z kilku źródeł. Ożenił się gdzieś za granicą, z cudzoziemką, tak przynajmniej powiadali ludzie. Ożenił się już jakiś czas temu.

Kiedy ciotka Charlotte poznała tę nowinę, co było nieuniknione, uśmieła się serdecznie; rzadko słyszałam, by tak się śmiała. I od tamtego dnia zaczęła mnie dręczyć. Nigdy nie pominęła okazji, by wspomnieć w rozmowie jego nazwisko.

— Twój kapitan Stretton. Twój wieczorny gość. Więc cały czas miał żonę! Powiedział ci o niej?

— A dlaczego miałby mi mówić? — pytałam. — Ludzie, którzy przychodzą oglądać meble, nie odczuwają potrzeby zwierzania się ze swoich spraw rodzinnych, prawda?

— Ale powinni ją odczuwać ludzie, którzy przychodzą oglądać mebel Levasseura wieczorem. — I ciotka znowu się roześmiała. Od dawna nie miała tak dobrego nastroju, choć jednocześnie była złośliwa i uszczypliwa.

Kapitan przyjechał do domu, jak mi się wydaje, lecz go nie spotkałam. O jego powrocie słyszałam od Ellen. A czas mijał — jeden dzień podobny do drugiego jak dwie krople wody — wiosną, latem, jesienią, zimą. Tygodnie niczym się od siebie nie różniły, poza tym tylko że sprzedałyśmy jeden z chińskich mebli, na które dotąd jakoś nie znaleźli się chętni. Ciotka Charlotte policzyła sobie słono, ja wszakże byłam przekonana, że dostała dokładnie tyle, ile sama zapłaciła. Z ulgą pozbyła się tego nabytku.

— Drugiego takiego nigdzie nie znajdziesz — powiedziała. — Rzeźbiony czerwony lakier. Wiek piętnasty, okres dynastii Hsiian-te.

— I następnego kupca też nigdzie byś nie znalazła — odpowiedziałam zaczepnie.

Tak to wyglądało, ciągle się sprzeczałyśmy. Starzałam się i z wiekiem kwaśniałam, podobnie zresztą jak pozostali domownicy. Ellen przygasła i utraciła część swej żywiołowości. Pan Orfey wciąż czekał. Biedna Ellen, zależało mu na jej pieniądzech, a nie na niej samej. Pani Morton jeszcze bardziej zamknęła się w sobie; wychodziła gdzieś w swój wolny dzień, który przypadał raz na dwa tygodnie, a my nie wiedziałyśmy dokąd. Skończyłam dwadzieścia pięć lat — nie byłam już młoda. Czasami myślałam: minęły już cztery lata od tamtego wieczoru. Dla niego nic to nie znaczyło, bo był żonaty i nic mi nie powiedział. Sugerował zaś... Ale czy rzeczywiście sugerował, czy też ja to sobie wyobraziłam? Ciotka Charlotte nie zapomniała. Ciągle wypominała mi, że zachowałam się jak głupia gaska. Byłam niewinna, a on o tym wiedział. Najwyraźniej ją to bawiło, chichotała irytująco, gdy o tym mówiła. To jedyny temat, który uznawała za śmieszny.

Och, jakże ponury był Dom Królowej z czterema kobietami, które starzały się i smutniały, oczekując na coś, co odmieniłoby ich szare i niewesołe życie. Wiedziałam, co to miało być: śmierć ciotki Charlotte. Ellen mogłaby poślubić pana Orfeya. Pani Morton bez wątpienia także czekała na pieniądze. A ja... Przynajmniej, myślałam, stałabym się wolna. Dlaczego nie wyjechałam? Czy zdołałabym znaleźć jakąś pracę? Przecież gdzieś w Anglii na pewno jest antykwariusz, który mógłby skorzystać z moich wiadomości. Ale mimo że nienawidziłam ciotki, wiedziałam też, że mam względem niej obowiązki. Gdybym odeszła, zostałaby sama. Coraz więcej pracy spadało na moje barki. Mogłabym sama zająć się interesami, tylko że oczywiście nigdy nie pozwalała mi oglądać księgi rachunkowej. Na dnie serca wszakże byłam przekonana, że mam wobec niej dług wdzięczności. Była siostrą mojego ojca. Przyjęła mnie pod swój dach, kiedy rodzice wyjechali z kraju, opiekowała się mną, gdy oboje umarli.

Zegary wciąż tykały. Teraz ich tykanie miało bardzo szczególne znaczenie.

\* \* \*

Stan ciotki pogorszył się, nie wstawała już z łóżka. Doktor Elgin powiedział, że uszkodzenie kręgosłupa przyśpieszyło rozwój choroby. Teraz sypialnia była jej biurem. Wciąż nie wypuszczała księgi z rąk, tak jak przedtem nigdy mi jej nie pokazywała, i choć przeprowadzałam wszystkie transakcje sprzedaży i większość transakcji kupna, musiałam jej przedstawiać dokumenty i przekazywać rachunki. Byłam bardzo zajęta, z zapalem oddałam się pracy i nawet jeśli Ellen albo pani Buckie zaczynały mówić o wydarzeniach w zamku, dawałam do zrozumienia, że mnie to nie interesuje.

Pewnego dnia doktor Elgin poprosił mnie na rozmowę; przed chwilą opuścił sypialnię ciotki.

— Jej stan ciągle się pogarsza — oznajmił. — Nie poradzi sobie pani bez pomocy. Już wkrótce nadejdzie czas, gdy pani ciotka przestanie wstawać z łóżka. Proponuję, by zatrudniła pani pielęgniarkę.

Odrzekłam, że jego rada wydaje mi się rozsądna, lecz jest to sprawa, którą muszę przedyskutować z ciotką.

— Proszę tak zrobić — powiedział lekarz. — I niech pani oświadczy ciotce wyraźnie, że nie jest pani w stanie robić tego, co już pani robi, i jednocześnie nią się opiekować. Chorej potrzebna jest wykwalifikowana pielęgniarka.

Ciotka Charlotte najpierw się sprzeciwiała, później jednak ustąpiła. I wszystko się zmieniło, ponieważ w naszym domu pojawiła się Chantel Loman.

Jak mogłabym opisać Chantel? Była delikatna, przywodziła mi na myśl figurynkę z saskiej porcelany. Miała włosy tej uroczej barwy, którą rozślawił Tycjan, gęste brązowe brwi i ciemne rzęsy okalające oczy w bardzo zdecydowanym odcieniu zieleni. Wydała mi się naj — śliczniejszą istotą, jaką w życiu widziałam. Ów porcelanowy wygląd zawdzięczała prostemu małemu noskowi, subtelnym rumieńcom, gładkiej cerze i drobnej figurze. Jediną jej wadą były zbyt małe usta, pomyślałam jednak — a przychodziło mi to do głowy, kiedy miałam do czynienia z najdoskonalszymi dziełami sztuki — że owa drobna skaza podkreśla tylko jej piękno. Piękno doskonałe w sztuce i naturze może razić monotonią, dzięki niewielkiej skazie natomiast staje się interesujące. I tak właśnie myślałam o Chantel.

Kiedy po raz pierwszy przyszła do Domu Królowej i usiadła na rzeźbionym krześle z okresu restauracji, które przypadkiem znalazło się w holu, pomyślałam: „Ona tu nie zostanie. Nie przyjmie tej pracy”.

Myliłam się jednak. Później Chantel powiedziała mi, że dom ją zafrapował, podobnie jak moja osoba. Wyglądała na... bardzo nieprzystępną. Typowa stara panna, ubrana w tweedowy kostium i surową bluzkę, z naprawdę ślicznymi włosami szczesanymi do tyłu i zwiniętymi w sposób, który odbierał im całą urodę i był po prostu przestępstwem.

Chantel mówiła tak, podkreślając pewne słowa i kończąc zdanie śmiechem, jakby żartowała z siebie. Nie potrafiłam wyobrazić sobie nikogo bardziej odbiegającego od stereotypu pielęgniarki.

Zaprowadziłam ją do ciotki Charlotte i co dziwne — a może powinnam rzec naturalne — ciotka od razu polubiła Chantel. Powiedziałam Ellen, że ta dziewczyna rzuca urok na ludzi.

— Prawdziwa z niej piękność — zgodziła się. — Teraz wszystko będzie inaczej.

I miała rację. Chantel była mądra i zręczna. Ciotka Charlotte mniej narzekała. Chantel interesowała się domem, poznawała każdy jego zakątek. Później powiedziała mi, że to najbardziej interesujący dom, w jakim pracowała.

Ułożywszy ciotkę Charlotte do snu, przychodziła do mojej sypialni na rozmowy. Myślę, że była zadowolona, iż w domu jest ktoś niemal w tym samym wieku co ona. Ja miałam dwadzieścia sześć

lat, ona dwadzieścia dwa, ale jej życie bardzo się różniło od mojego. Ze swą ostatnią pacjentką trochę podróżowała i w moich oczach wydawała się kobietą światową.

Tak szczęśliwa jak wtedy nie byłam od dawna; dotyczyło to zresztą wszystkich domowników. Jak sądzę Ellen, którą Chantel bardzo intrygowała, chyba jej się zwierzyła ze swego związku z panem Orfeyem. Nawet pani Morton z nią była bardziej rozmowna niż kiedykolwiek ze mną, ponieważ to od Chantel dowiedziałam się, że ma kaleką córkę, która mieszka niedaleko od Langmouth u niezamężnej siostry pani Morton. To do nich jeździła w swoje wolne dni, a potem wracała do Domu Królowej i znosiła cierpliwie kaprysy ciotki Charlotte oraz niewygody, ponieważ dzięki tej pracy mogła być blisko córki. Wyczekiwała dnia, gdy będzie mogła zrezygnować z posady gospodyni i zamieszkać wreszcie razem.

— Dziwne, że o wszystkim ci opowiedziała! — wykrzyknęłam. — Jak ją do tego skłoniłaś?

— Ludzie ze mną rozmawiają — odparła Chantel.

Stawała w oknie mojego pokoju, patrzyła na ogród i rzekę i mówiła, że to wszystko jest fascynujące. Żywo interesowała się wszystkim i wszystkimi. Nauczyła się nawet paru rzeczy o antykach.

— Przedstawiają sobą pieniądze — zauważyła.

— Tak, ale najpierw trzeba je kupić — wyjaśniłam. — A za niektóre jeszcze nie zapłacono. Ciotka Charlotte wstawiła je tylko do sklepu i pobiera prowizję, jeśli znajdzie się kupiec.

— Ależ ty jesteś mądra! — powiedziała Chantel z podziwem.

— Twój zawód bez wątpienia jest bardziej pożyteczny. Wykrzywiła się lekko. Czasami przypominała moją matkę, aczkolwiek posiadała umiejętności, których moja matka nigdy nie miała.

— Ocalenie ślicznych starych stołów i krzeseł może być bardziej pożyteczne niż zachowywanie przy życiu niektórych zrządzających kalek. Mogłabym ci opowiedzieć o paru koszmarach.

Rozmowy z nią były zabawne. Powiedziała mi, że wychowała się na probostwie.

— Wiem teraz, czemu się mówi, że ktoś jest biedny jak mysz kościelna. My byliśmy tacy biedni. Ciągłe oszczędzanie. To niszczy duszę, Anno. — Szybko przeszliśmy na ty, w dodatku miała tak śliczne imię, że moim zdaniem grzechem było go nie używać. — Tak więc papa ratował dusze parafian, a jego biedne dzieci musiały żyć na chlebie z sosem. Fuj! Mama umarła przy urodzeniu najmłodszego dziecka, czyli mnie. Było nas pięcioro.

— To cudownie mieć tyle rodzeństwa.

— Nie tak cudownie, kiedy się jest biednym. Postanowiliśmy, że każde z nas zdobędzie jakiś zawód. Ja wybrałam pielęgniarstwo, bo jak powiedziałam Selinie, mojej najstarszej siostrze, dzięki temu uzyskam wstęp do domów bogaczy i w najgorszym razie zgramę okruszki z ich stołów.

— I znalazłaś się u nas!

— Podoba mi się tutaj. Ten dom mnie intryguje.

— Przynajmniej nie karmimy cię chlebem z sosem.

— Nie miałabym nic przeciwko temu, byle móc mieszkać tutaj. To cudowny dom, pełen najdziwniejszych przedmiotów, a ty, panno Brett, w żadnym razie nie jesteś zwyczajna. To są zalety mojej profesji. Nigdy nie wiadomo, dokąd cię zaprowadzi.

Jej błyszczące, zielone oczy przypominały szmaragy.

— Według mnie dziewczyna tak piękna jak ty powinna wyjść za męża.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

— Miałam już propozycje.

— Ale nigdy nie byłaś zakochana? — dodałam.

— Nie. A ty?

Zarumieniłam się po uszy i nim zdążyłam się powstrzymać, opowiedziałam jej o Redversie Strettonie.

— Prawdziwy Casanova — skomentowała Chantel. — Szkoda, że mnie tu nie było. Ostrzegłabym cię.

— Skąd wiedziałabyś, że ma żonę za granicą?

— Nie bój się, już ja bym to odkryła. Moja biedna, droga Anno, cudem uniknęłaś nieszczęścia.

— Oczy jej lśniły z podniecenia. — Pomyśl, co mogło się wydarzyć.

— Co? — zapytałam.

— Mógł poprosić cię o rękę, a potem uwieść.

— Cóż za bzdury! W gruncie rzeczy to była moja wina. On nigdy nawet najmniejszym gestem nie okazał, że jest... mną zainteresowany. Całą winę ponosi moja głupia wyobraźnia.

Chantel nie odpowiedziała, lecz od tamtej chwili zaczęła interesować się zamkiem. Często słyszałam, jak rozmawia z Ellen o Creditonach.

Moje stosunki z Ellen uległy teraz zmianie, gdyż o wiele bardziej wolała przebywać z Chantel niż ze mną. Rozumiałam to. Chantel była cudowna. Zręcznymi pochlebstwami potrafiła wprawić w dobry humor nawet ciotkę Charlotte. Jej urok polegał na tym, że interesowała się ludźmi, była wręcz ciekawska. Kiedy Ellen wracała z wychodnego, Chantel szła do kuchni przygotować tacę dla ciotki i słyszałam, jak obie się śmieją.

— Ta siostra Loman to prawdziwy promyczek słońca w tym domu — orzekła pani Buckie, a ja w duchu przyznałam jej rację.

To Chantel wpadła na pomysł, żebyśmy pisały pamiętniki. Zycie, powiedziała, jest niezwykle zajmujące.

— Zycie niektórych ludzi — odparłam.

— Wszystkich ludzi — sprostowała.

— Mnie nic ciekawego się nie zdarza — oświadczyłam. — Tracę rachubę dni.

— Co tylko dowodzi, że powinnaś prowadzić pamiętnik i wszystko zapisywać. Mam pomysł. Będziemy się wymieniać naszymi dziennikami. Czeka nas świetna zabawa, wiesz, bo mieszkamy pod jednym dachem i będziemy ukazywać te same wydarzenia. Dzięki temu spojrzymy na nie innymi oczyma.

— Pamiętnik... — wahałam się. — Ja nigdy nie mam czasu.

— Ależ masz. Pamiętnik musi być absolutnie szczery. Zdziwisz się, jak to na ciebie wpłynie.

I tak oto zaczęłyśmy prowadzić pamiętniki. Chantel miała rację, jak zresztą we wszystkim. Zycie nagle nabrało innego wymiaru. Wydarzenia wydawały się mniej trywialne, ciekawe też było porównanie naszych odmiennych punktów widzenia. Chantel ożywiała wszystko swoją osobowością, w porównaniu z jej zapiskami moje wydawały się nijakie. Inaczej patrzyła na ludzi, sprawiając, że stawali się bardziej interesujący, w jej zapiskach nawet ciotka Charlotte robiła wrażenie całkiem sympatycznej. Pamiętniki dawały nam wielką radość.

— Ważne jest, by dokładnie przedstawić swoje odczucia — tłumaczyła Chantel. — Chodzi mi o to, Anno, że jeśli z jakiegoś powodu mnie nie lubisz, nie powinnaś dobierać słów. Jaki byłby pożytek z nieszczerego pamiętnika?

Pisałam więc tak, jakbym mówiła do siebie, i co tydzień wymieniałyśmy pamiętniki, dzięki czemu orientowałyśmy się w nastrojach i emocjach drugiej strony.

Często zastanawiałam się, jak potrafiłam przetrwać kolejne dni, nim pojawiła się Chantel. Była dla mnie pielęgniarką, tak samo jak dla ciotki Charlotte, tyle tylko że ja nie potrzebowałam fizycznej opieki.

\* \* \*

Od przybycia Chantel minęło zaledwie dziesięć miesięcy i znowu nadeszła jesień. Barwy i zapachy jesieni wciąż napępniały mnie smutkiem, choć ciężar na moim sercu zmalał. Tamtego lata sporo padało, wilgoć dała się we znaki ciotce Charlotte, która teraz nie była w stanie podnieść się z łóżka. Doktor Elgin miał rację, gdy mówił, że potrzebna jej pielęgniarka. Zawsze dziwiła mnie łatwość, z jaką krucha Chantel z pomocą pani Morton podnosiła pacjentkę. Dolegliwość ciotki osiągnęła zaawansowane stadium i lekarz przepisał jej opium w tabletkach na sen. Początkowo sprzeciwiała się zażywaniu czegoś, co jej zdaniem było narkotykiem, w końcu jednak ustąpiła.

— Jedna tabletkę na noc — przestrzegł doktor. — Dwie, jeśli zajdzie potrzeba. Więcej może się okazać fatalne w skutkach.

Tabletki przechowywano w kredensie w przedpokoju, jak nazywałam pokój połączony z sypialnią ciotki. Lekarz poradził, by nie trzymać ich na nocnym stoliku, na wypadek gdyby ciotka, dręczona dotkliwym bólem, zapragnęła przekroczyć dozwoloną dawkę, ponieważ lekarstwo przestanie działać, jeśli będzie nadużywane.

— Dopilnuje pani tego, siostró Loman.

— Może mi pan ufać, doktorze — odrzekła Chantel.

I oczywiście ufał. Rozmawiał ze mną o ciotce. Jakże rozsądnym trokiem było zatrudnienie siostry Loman. Chora jest bardzo silna, Poza bólem kości nic jej nie dokucza i gdyby nie ta dolegliwość, byłaby zdrowa jak rydz. W obecnym stanie może przeżyć wiele lat.

Owej nocy po rozmowie z doktorem przydarzyło mi się coś dziwnego. Obudziłam się nagle i dostrzegłam, że stoję koło łóżka. Nie miałam pojęcia, co się właściwie stało. Na pewno miałam niesamowity sen, choć nie potrafiłam go sobie przypomnieć. W głowie krążyła mi myśl, że wszystkie się zestarzejemy, pielęgnując ciotkę Charlotte: Ellen, pani Morton, ja i Chantel. Ze snu pozostały tylko słowa, wciąż rozbrzmiewające mi w uszach: „wiele lat...”. I nie rozumiałam, jak wstałam z łóżka. W jednej chwili sądziłam, że to pamiętam, w następnej wręcz przeciwnie.

To było przerażające doświadczenie.

Podeszłam do drzwi i przystanąłam, nasłuchując odgłosów w domu. Czy coś mnie przebudziło? Słyszałam tylko słaby poszum wiatru w koronach drzew i nagle skrzypnięcie podłogi. A potem uświadomiłam sobie tykające w całym domu zegary.

Co się stało? Nic, mnie wszakże zaniepokoił mój sen.

\* \* \*

Mijały tygodnie. Zima była wyjątkowo ciężka, wschodni wiatr wdzierał się do domu i jak mówiła ciotka Charlotte, sztywniały jej od niego kości, przez co każde poruszenie okupione było bólem. Chora była obecnie przykuta do łóżka. Stopy jej spuchły i nie mogła na nich stać. Teraz bez reszty zależna była od Chantel i pani Morton.

Bywało, że spędzałam poza Domem Królowej całe dni na wyprzedazach, aczkolwiek nigdy nie zapuszczałam się tak daleko, by konieczny był nocleg. Samotna kobieta nie mogła swobodnie podróżować. Poza tym ograniczałam wyjazdy, jeśli to było możliwe, ponieważ nie miałam nikogo, kto podczas mojej nieobecności mógłby zająć się klientami, a to źle wpływało na interesy.

Zaczęłam podejrzewać, że ciotka Charlotte często dokonywała nierozsądnych zakupów. Chińskie meble wciąż czekały na amatora. Na decyzje ciotki wpływała jej rozległa wiedza; czasami kupowała jakiś przedmiot, ponieważ był unikatem, i nie brała przy tym pod uwagę, czy znajdzie się nabywca — wszystko świetnie, jeśli się jest kolekcjonerem, my jednak żyłyśmy z pośredniczenia pomiędzy sprzedającym a nabywcą.

Podczas owej długiej i surowej zimy wraz z Chantel regularnie prowadziłyśmy pamiętniki. Z jej zapisków dowiadywałam się o wydarzeniach w domu, o wszystkich drobiazgach, pod jej piórem zabawnych i lekkich. Ja zaś moim cięższym nieco stylem pisałam o wyprzedażach i klientach.

A pewnego ranka obudziłam się i zobaczyłam, że okno pokrywa koronka szronu, a potem usłyszałam, że ciotka Charlotte nie żyje.

\* \* \*

Jak zwykle o siódmej Chantel poszła do jej pokoju z filiżanką herbaty. Natychmiast też do mnie przybiegła. Nigdy nie zapomnę jej ogromnych, zielonych oczu, niezwyklej bladości, tycjanowskich włosów opadających na ramiona.

— Anno... ona odeszła! Nie rozumiem tego. Musimy niezwłocznie posłać Ellen po doktora Elgina.

Doktor wkrótce się zjawił; oznajmił, że ciotka zmarła na skutek przedawkowania tabletek opium, które zawsze przechowywano w przedpokoju. Skąd więc mogła je wziąć? Odpowiedź nasuwała się sama, oczywista i wyraźna: ktoś musiał podać jej śmiertelną dawkę. Dom Królowej stał się nie tylko domem śmierci, lecz także domem podejrzeń.

Wszystkie nas przesłuchano. W nocy żadna nic nie słyszała. Moja sypialnia znajdowała się dokładnie nad pokojem ciotki, Chantel mieszkała na tym samym piętrze co chora, Ellen i pani Morton spały po drugiej stronie domu.

Nie pamiętam dokładnie tamtych dni, ponieważ aż do rozprawy wstępnej zaniechałam prowadzenia pamiętnika. Nie potrafiłam się zmusić do pisania. To był koszmar; nie wierzyłam, że wszystko dzieje się naprawdę.

Na jedno pytanie trzeba było wszakże odpowiedzieć, ponieważ domagało się tego prawo. Jak ciotka Charlotte wzięła tabletki nasenne, które przechowywano w sąsiednim pokoju, skoro nie mogła chodzić? Odpowiedź brzmiała: podał je ktoś inny. A wówczas padało nieuniknione: kto?

Kto skorzystał na jej śmierci? Przede wszystkim ja, stałam się bowiem właścicielką Domu Królowej oraz sklepu z antykami. Z góry było wiadomo, że jako jedyna żyjąca krewna ciotki Charlotte wszystko odziedziczę. W tym celu mnie wyszkoliła, od początku takie rozwiązanie było oczywiste. Czy zmęczyłam się czekaniem? Zanim ktokolwiek zadał owo pytanie na głos, wisiało ono w powietrzu niczym miazmat, straszliwe i trujące.

Ellen była oszołomiona, lecz w jej oczach dostrzegałam namysł. Czy dostanie swój legat? Czy jego wielkość zadowoli pana Orfeya? Na twarzy pani Morton malował się wyraz podobny do ulgi. Życie w Domu Królowej dalekie było od tego, co pani Buckie określiłaby zwrotem „usłane różami”. Jako prosta kobieta nie kryła podniecenia. Koneksje z domem, w którym doszło do gwałtownej śmierci, niezwykle podniosły jej prestiż.

To było wyczerpujące: przesłuchania, policja, rozprawa wstępna.

Co by się stało ze mną, gdyby nie Chantel? Często zadawałam sobie takie pytanie. Była niczym anioł stróż, nie odstępowała mnie na krok, zapewniała, że wszystko skończy się dobrze. To oczywiste, że ciotka Charlotte sama wzięła tabletki. Innego wytłumaczenia po prostu nie ma.

— Ciotka nigdy nie odebrałaby sobie życia! — zawołałam. — Nigdy! To było sprzeczne z jej zasadami.

— Nie masz pojęcia, co ból robi z ludźmi... ciągły ból, który nie ustępuje i może tylko być większy. Widziałam, co się działo. Na początku nie chciała tych tabletek z opium, a jak zaczęła je brać, ciągle prosiła o więcej.

O tak, Chantel mnie uratowała. Nigdy nie zapomnę, jak żarliwie walczyła o mnie w czasie rozprawy wstępnej. Wyglądała uroczo, a jednocześnie dyskretnie w czarnej pielęgniarskiej

pelerynie, przyciągając wzrok zebranych swymi pięknymi, zielonymi oczyma i rudymi włosami. Odznaczała się czymś więcej niż pięknnością, miała moc zaskarbiania ludzkiego zaufania. Zyskała sympatię wszystkich obecnych na sali sądowej, tak jak wcześniej w Domu Królowej. Składając zeznanie, mówiła jasno i spokojnie. To prawda, że panna Brett w normalnych okolicznościach nie była w stanie przejść przez pokój, Chantel wszakże widziała, jak chora zdobyła się na rzecz pozornie niemożliwą, pamięta poza tym jeszcze jedną pacjentkę, która dokonała tego samego. Zaraz wszystko wyjaśni. Do sypialni panny Brett wstawiono pewien mebel, który chciała nabyć jej bratanica. Mimo że pacjentka była przykuta do łóżka i cierpiała okropny ból, wciąż miała baczenie na interesy. Wstała z łóżka, by obejrzeć ewentualny nabytek. Siostrę Loman bardzo to zaskoczyło, ponieważ była przekonana, że chora nie może chodzić. W szczególnych jednakże okolicznościach osoby pokroju panny Brett zdobywają się na graniczące z cudem wyczyny, co bez wątpienia potwierdzi doktor Elgin. Tak czy owak, tamtego dnia siostra Loman znalazła swą pacjentkę obok wymienionego mebla. To prawda, że trzeba ją było zanieść do łóżka, lecz bez niczyjej pomocy sama doszła do owej szafki. Siostra Loman jest przekonana, że to właśnie wydarzyło się owej nocy. Ból był bardzo wielki, normalna dawka opium przyniosła tylko krótki sen, tak więc chora postanowiła wziąć więcej lekarstwa. Obok komody, w której przechowywano tabletki z narkotykiem, siostra Loman znalazła guzik od koszuli panny Brett; nie brakowało go, gdy dawała jej tabletkę i życzyła dobrej nocy.

Przedstawiono koronerowi koszulę, zbadano guzik. Na nocnym stoliku zmarłej była rozlana woda.

Wydano werdykt: chora, mając zaburzoną równowagę umysłu z powodu nieznośnego bólu, odebrała sobie życie.

Sprawa jednakże na tym się nie zakończyła. Odczytano testament. Sklep i Dom Królowej stały się moją własnością. Pani Morton i — niespodzianka — Chantel otrzymały po dwieście funtów, Ellen sto, a pani Buckie pięćdziesiąt.

Chantel napisała w pamiętniku: „Cóż za zaskoczenie! Chociaż wiedziałam, że trochę mnie lubi. Musiała dodać kodycył, kiedy ci dwaj napuszeni dżentelmeni złożyli jej wizytę. Przypuszczam, że byli prawnikami. Śmieszne jednak, że o mnie pamiętała. Cóż, pieniądze zawsze dodają otuchy. Jakżebym chciała, żeby doszło do tego w inny sposób. Biedna, biedna Anna! Jest taka bezbronna. Co do innych, zwłaszcza Ellen, nie potrafią wprost ukryć swej radości”.

Rzeczywiście, w Domu Królowej zaszła wielka zmiana. Pani Morton oznajmiła, że chce natychmiast odejść, i tak też uczyniła. Ellen powiedziała, że pan Orfey nie sprzeciwia się, by została tak długo, dopóki nie znajdę kogoś na jej miejsce. Chantel zapytała, czy może jeszcze jakiś czas pomieszkać u mnie, choć jej usługi nie będą już dłużej potrzebne.

— Zostań, proszę — odrzekłam błagalnym tonem. Spełniła moją prośbę.

\* \* \*

Siadywałyśmy w Komnacie Królowej — ulubionym pokoju Chantel — i rozmawiałyśmy o przyszłości. Czasami Chantel kładła się na łóżku, ostrożnie, pamiętając o jego wieku i wartości, i mawiała, że czuje się jak królowa. Próbowwała podchodzić do spraw lekko, ja wszakże tak nie potrafiłam. Orientowałam się, że ludzie plotkują. Tak wiele odziedziczyłam, mówili. A pani Buckie często opowiadała znajomym o konflikcie pomiędzy mną a ciotką, chociaż od przyjazdu siostry Loman wszystko zaczęło układać się lepiej.

Chantel pomogła mi uporządkować sprawy. Wkrótce też przekonałam się, że odziedziczyłam głównie długi. Co się stało ciotce Charlotte? W ostatnich dwóch czy trzech latach utraciła zdolność właściwej oceny. Nic dziwnego, że nie pozwalała mi oglądać księgi rachunkowej. Przeraziła mnie



kwota, jaką zapłaciła za te chińskie meble, nie tylko zresztą za nie. Były piękne, to prawda, lecz bardziej nadawały się do muzeum niż dla prywatnych nabywców. Ciotka zaciągnęła kredyt w banku na wysoki procent. Szybko uświadomiłam sobie, że stoję na krawędzi bankructwa.

Czasami budziłam się w nocy i wydawało mi się, że słyszę szydery śmiech zmarłej. A potem pewnej nocy ze snu wyrwała mnie straszliwa myśl. Przypomniałam sobie, jak ocknąłam się i przekonałam, że stoję koło łóżka. Oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak we śnie schodzę do pokoju ciotki, biorę sześć tabletek, rozpuszczam w wodzie i stawiam szklankę na nocnym stoliku. Chora nocami często piła, na blacie było trochę rozlanej wody. Przypuścimy...

\* \* \*

— Co się dzieje? — zapytała Chantel. — Wyglądasz, jakbyś oka nie zmrużyła.

— Okropnie się boję — odrzekłam.

Nie dała mi spokoju, opowiedziałam więc jej o wszystkim.

— Nie napisałaś w pamiętniku o tym śnie.

— Nie, bo wydawał mi się zbyt trywialny.

— Nic nie jest zbyt trywialne. A przyrzekłyśmy sobie, że będziemy pisać o wszystkim — powiedziała z lekką naganą w głosie.

— Czy to ważne?

— Ważny jest każdy drobiazg — odrzekła. — Nauczyłam się tego w mojej profesji. Ale teraz to nieistotne. Anno, musisz przestać o tym rozmyślać.

— Nie mogę. Ludzie mnie podejrzewają, zmienili się w stosunku do mnie, zauważyłam to.

— Plotki. Ludzie muszą o czymś gadać. Przecież znalazłam ten guzik od koszuli, prawda?

— Znalazłaś, Chantel?

— Jak to? O co ci chodzi?

— Zastanawiałam się, czy nie próbowałaś mnie uratować.

— Posłuchaj, Anno, jestem przekonana, że wszystko wydarzyło się tak, jak się wydarzyło.

— Naprawdę widziałaś ją, jak wychodzi z łóżka, żeby obejrzeć szafkę?

— Sądzę, że nie powinniśmy o tym rozmawiać. Chorzy ludzie są do tego zdolni. Powtarzam, byłam świadkiem podobnego wypadku.

I nie ulega wątpliwości, że twoja ciotka też tak zrobiła.

— Chantel, wierzę, że uratowałaś mnie od czegoś... bardzo nieprzyjemnego. Niewykluczone, że można było dowieść... A jeśli chodziłam we śnie...

— Cóż za bzdury. Nie chodzisz we śnie. Byłaś na wpół przytomna, kiedy wstałaś. Denerwowałaś się z jej powodu. Przypuszczam, że tamtego dnia musiała być szczególnie dokuczliwa. Posłuchaj mnie, Anno, powinnaś o tym zapomnieć. Skoncentruj się na sprawach związanych ze sklepem. Zapomnij o przeszłości. To jedyny sposób, żeby żyć dalej.

— Och, Chantel, twój przyjazd był najlepszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła.

— Lubię tę pracę. Dasz sobie radę. Stawiłabyś im wszystkim czoło, gdyby doszło do rozprawy. Wiem, że tak. Teraz jednak musisz przestać zamartwiać się całą sprawą. To już przeszłość. Skończone. Musisz zacząć żyć inaczej. Za kilka tygodni może ci się przytrafić coś wspaniałego.

— Mnie?

— Masz z gruntu niewłaściwe podejście. Wszystkim nam mogą przytrafić się wspaniałe rzeczy. Ja tak idę przez życie. Kiedy opiekowałam się najgorszymi przypadkami, powtarzałam sobie: to nie będzie trwało wiecznie. Niedługo się skończy.

— Co ja bym bez ciebie poczęła? — zapytałam.

— Nie musisz radzić sobie beze mnie... na razie.

Chantel miała rację, kiedy mówiła, że nic nie pozostaje w bezruchu. Pewnego dnia oznajmiła mi, że doktor Elgin ma dla niej posadę.

— Nigdy nie zgadniesz, gdzie. W zamku Creditonów!

Byłam oszołomiona. Po pierwsze — Chantel zamierzała mnie opuścić, po drugie — przenosiła się do zamku.

— To dobra wiadomość — tłumaczyła. — Muszę zarabiać na życie, a pomyśl sama, będę blisko ciebie. Będziemy mogły często się widywać.

— Zamek Creditonów — powtórzyłam. — Czy ktoś tam jest chory? Lady Crediton?

— Nie, stara dama jest silna jak koń. Będę się opiekować panią Stretton, żoną kapitana.

— Och! — westchnęłam słabo.

— Podobno jest bardzo delikatna. Sądzę, że nasz klimat źle na nią wpływa. Cierpi na jakieś dolegliwości płucne. Nie zdziwiłabym się, gdyby jej stan się pogorszył. Jest też dziecko. Nie mogłam się oprzeć, kiedy doktor Elgin zaproponował mi tę pracę.

— A kiedy... zaczniesz?

— W następnym tygodniu. — Pochyliła się, ujęła mnie za rękę i mocno ścisnęła. — Nie wyjeżdżam daleko, będziemy często się widywać. I nie zapominaj o pamiętniku. Pisałaś ostatnio?

— Nie mogłam, Chantel.

— Musisz natychmiast zacząć. Ja opowiem ci wszystko o zamku Creditonów i dziwnym życiu jego mieszkańców, a od ciebie dowiem się o wydarzeniach w Domu Królowej.

— Och, Chantel, co ja bym bez ciebie poczęła? — zawołałam.

— Ponoć powtarzanie się to widoma oznaka bliskiej starości — odrzekła z uśmiechem. — Muszę jednak wyznać, że twoje zapewnienia są bardzo miłe. Nie bądź taka ponura, Anno. Nie jesteś sama. Masz we mnie przyjaciółkę.

— Wszystko tak nagle uległo zmianie. Muszę znaleźć jakieś wyjście, bo firma jest w tarapatkach, Chantel. Czekają mnie spotkania z wieloma ludźmi, między innymi z prawnikiem ciotki i dyrektorem banku.

— Będiesz zajęta. Opisz wszystko w pamiętniku. Ja zrobię to samo. Zawrzemy umowę, że będziemy pisać tylko prawdę, samą prawdę i nic oprócz prawdy. I obie będziemy czerpać otuchę ze świadomości, że nie jesteśmy samotne. Będziemy mogły żyć podwójnym życiem. — Patrzyła na mnie swymi ogromnymi, zielonymi oczyma. — Musisz przyznać, Anno, że to ekscytujące zajęcie.

— Nie możemy nigdy stracić się z oczu — powiedziałam.

Pokiwała głową.

— I dzięki wymianie pamiętników będziemy wiedziały o wszystkim, nawet jeśli nie będziemy mogły widywać się tak często, jak byśmy chciały.

— Będę znała twoje przeżycia w zamku Creditonów.

— W najdrobniejszych szczegółach — przyrzekła Chantel z powagą. — Anno, czy kiedykolwiek chciałaś być muchą, żeby widzieć i słyszeć wszystko, choć nikt z twej obecności nie zdaje sobie sprawy?

— A kto by nie chciał?

— Właśnie. I tak to będzie. Staniesz się muchą na ścianie. — Wybuchnęła śmiechem. Jakże poprawiła mi nastrój! I jak bardzo będzie mi jej brakować!

\* \* \*

Ellen, już jako żona pana Orfeya, oznajmiła, że małżonek jej nie ma nic przeciwko temu, żeby przychodziła rano i pomagała mi w domu; pani Buckie dalej zajmowała się odkurzaniem i

polerowaniem mebli, lecz kończyła pracę o czwartej i od tej godziny byłam sama w Domu Królowej.

A kiedy w pokojach wydłużały się cienie, łapałam się na rozmyślaniach o śmierci ciotki Charlotte.

Budziłam się nagle ze snu, w którym schodziłam do jej pokoju i brałam tabletki z fiołki, słysząc własny krzyk: „Nie! Nie! Ja tego nie zrobiłam!”. Leżałam nieruchomo, słuchając tykania zegarów, które przynosiło mi ulgę. Na pewno było tak, jak mówiła Chantel. Nie znalazłam innego wytłumaczenia.

Nie będę rozmyślała o przeszłości. Bóg wie, że przyszłość rysowała się i tak wystarczająco ponuro. Z czego pokryję długi ciotki Charlotte? Wiele mebli, które uważałam za jej własność, dotąd nie zostało spleconych. Spora, zbyt wielka część kapitału poszła na ów chiński zbiór; w ostatnich latach firma nie zarabiała na siebie. Było to przerażające, a co więcej, dodawało wiarygodności teorii Chantel. Opętana ciągle rosnącym bólem, zirytowana wymuszonym brakiem aktywności, widząc, jak długi się powiększają i grozi jej bankructwo, ciotka zmusiła się — a ja znałam potęgę jej siły woli — by wstać z łóżka i poszukać drogi ucieczki.

Powinłam była podjąć jakąś decyzję. Nie mogłam pozwolić, by sprawy toczyły się bezwładnie własnym trybem. Co więcej, życie nie chciało mi na to pozwolić. Snułam najróżniejsze plany. Czy mam ogłosić że szukam współnika z gotówką? Albo sprzedać wszystko i zobaczyć, co mi zostanie? Wyprzedaże z konieczności często wiążą się z obniżką cen. Miałabym szczęście, gdyby uzyskana suma wystarczyła na pokrycie długów. Zostałby mi tylko sam dom. Mogłabym pewnie sprzedać i dom. Oto była odpowiedź.

I tak rozmyślałam gorączkowo w bezsenne noce i poranki, gdy spoglądając w lustro, mruzczałam do siebie: „Stara panna Brett”.

Chantel odwiedziła mnie, żeby wymienić się pamiętnikami. Następnego dnia miała przyjść znowu.

Tamtego wieczora poszłam do łóżka z pamiętnikiem Chantel, mając nadzieję, że dzięki lekturze otrząsnę się z melancholii. Moje życie było ponure, wręcz przerażające, lecz Chantel jak zawsze przychodziła mi na ratunek. Obraz wydarzeń toczących się w zamku Creditonów da mi odskocznię, której potrzebuję. Poza tym zawsze szczególnie interesowały mnie sprawy dziejące się w domu Redversa Strettona.

Nastrój nieco mi się poprawił, kiedy oparłszy głowę na poduszce, zabrałam się do czytania pamiętnika mojej przyjaciółki przy świetle oliwnej lampki, którą przyniosłam z dołu i postawiłam tuż przy łóżku.

## *Zamek Creditonów*

28 kwietnia 1887 r. Dziś przybyłam do zamku Creditonów i muszę wyznać, iż jestem z siebie zadowolona: mam nową pacjentkę i pozostałam blisko Anny. Często będziemy się spotykać, już ja tego dopilnuję. Wiedziałam, że zamek nie jest stary. „Falszyfikat”, skwitowała pogardliwie panna Brett, ale dla mnie to bez znaczenia. Budowla wygląda jak prawdziwy zamek, podoba mi się wjazd pod ogromną arkadą i wartownia. Nigdy zresztą nie dbałam o antyki. Kiedyś porozmawiam na ten temat z Anną, jeśli w ogóle przyjdzie mi to do głowy. Kamienne mury zamku sprawiają wrażenie, jakby stały tu od wieków. Ciekawe, w jaki sposób nadano im taki wygląd? Kolejna rzecz, o którą muszę zapytać Annę — jeżeli sobie przypomnę. Co do mnie, nie mogłam powstrzymać się od myśli, jak przyjemnie jest być panem takiego miejsca, fałszywego czy nie. Zamek otacza atmosfera bogactwa; nie wątpię, że mieszka się w nim o wiele wygodniej niż w autentycznej starej budowli. Na dziedzińcu wysiadłam z wynajętego powozu, który przywiózł mnie i mój bagaż z Domu Królowej. Znalazłam się przed wybijanymi żelaznymi ćwiekami drzwiami, obok których wisiał dzwon, całkiem jak w Domu Królowej. Pociągnęłam za sznur i pojawił się służący.

— Jestem siostra Loman — powiedziałam.

— Milady oczekuje pani — odrzekł. Był bardzo dostojny, ideał kamerdynera. Pomyślałam, że w zamku wszystko będzie idealne, przynajmniej z pozoru. Weszłam do holu; rozpoznałam go z opisu Anny. To tutaj, oglądając gobeliny, po raz pierwszy spotkała kapitana.

— Proszę tu chwilę poczekać, siostrze Loman. Zawiadomię jaśnie panią o pani przybyciu.

Skinęłam głową i rozejrzałam się szybko. Byłam pod wielkim wrażeniem. I pomyśleć, że zamieszkałam w zamku! Służący wrócił po chwili i poprowadził mnie schodami do milady. I oto była, siedziała na krześle z wysokim oparciem, prawdziwa władczyni. Ucieszyłam się, że to nie ona będzie moją pacjentką. Z doświadczenia wiem, że takie osoby są najgorsze, na szczęście jednak dopisuje jej doskonale zdrowie. Chorobą zapewne pogardza, uważając ją za rezultat psychicznej słabości. Mimowolnie pomyślałam, jak bardzo różnimy się z Anną. Ona szacowałaby skarby mieszczące się w domu, a chociaż ja też dostrzegłam ich oczywistą wartość, wystawiłam im ocenę „wspaniałe” i zajęłam się ludźmi. Pielęgniarstwo daje człowiekowi wiedzę o innych, bo chorzy, zdani do pewnego stopnia na łaskę opiekunki, zdradzają się na setki sposobów. I tak pielęgniarka wyostrza swój zmysł obserwacji, a mnie zawsze bardziej pociągało studiowanie charakterów bliźnich niż obserwowanie przedmiotów martwych. Jednocześnie mam skłonność do lekkiego traktowania ważnych spraw, przynajmniej w porównaniu z poważną Anną.

Lady Crediton należy do niewiast, które nazywam heterami. Przyjrzała mi się i nie do końca zaaprobowała mój wygląd, aczkolwiek dołożyłam starań, by sprawiać wrażenie potulnej i skromnej. Jej wygląd z kolei wzbudziłby grozę — u kogoś mniej doświadczonego niż ja. Pomyślałam: no cóż, zarekomendował mnie doktor Elgin, oni potrzebują pielęgniarki, w najgorszym więc razie muszą dać mi szansę, bym udowodniła swoją wartość. (A miałam taki zamiar, ponieważ zamek Creditonów bardzo przypadł mi do gustu). Miejsce to pociągało mnie od chwili, kiedy o nim usłyszałam po raz pierwszy, a gdy dowiedziałam się o możliwości pracy tutaj, byłam zachwycona. Poza tym chciałam pozostać blisko Anny.

— Tak więc, siostrze Loman, dołączyła pani do grona naszych domowników. — Lady Crediton mówiła wyraźnie, głosem nieco chrapliwym i męskim.

Mogłam zrozumieć, że jej mąż gdzie indziej szukał pociechy. Bez wątpienia była kobietą wartościową, niemal zawsze mającą rację i troskliwą, z czego jej otoczenie zdawało sobie sprawę. Osobą, na której można polegać, lecz z którą niełatwo żyć.

— Tak, lady Crediton. Doktor Elgin poinformował mnie o stanie pacjentki.

Usta jaśnie pani zacisnęły się w dość ponurym grymasie, z czego wywnioskowałam, że owa pacjentka nie należy do jej ulubienic. A może odczuwała wstręt do wszystkich chorych, ponieważ w przeciwieństwie do niej nie zasłużyli sobie na doskonałe zdrowie?

— Jestem rada, że doktor wprowadził panią w naszą sytuację. Kapitan i pani Stretton mają własne apartamenty. Kapitan na ogół jest nieobecny, lecz pani Stretton z synem oraz służbą zajmuje wschód — nie skrzydło. Ja wszakże, siostrzo Loman, jestem... panią tego zamku, by tak to ująć, dlatego też wszystko, co się dzieje pod jego dachem, musi być przedmiotem mojej uwagi. Skłoniłam głowę.

— Jeśli będzie pani miała zastrzeżenia, pojawią się jakieś problemy czy kwestie wymagające wyjaśnienia — naturalnie poza zwykłymi sprawami domowymi — muszę prosić, żeby zwróciła się pani z nimi do mnie.

— Dziękuję, lady Crediton.

— Pani pacjentka jest właściwie cudzoziemką, tak więc jej zachowania nie zawsze są podobne do naszych. Może pani napotkać pewne trudności. Spodziewam się, że będzie mnie pani informować o wszelkich odstępstwach od normy.

Rzecz stawała się dość tajemnicza i chyba okazałam zdziwienie, bo lady Crediton dodała:

— Doktor Elgin mówi, że jest pani wykwalifikowaną pielęgniarką.

— To bardzo uprzejme z jego strony.

— Pracowała pani w Domu Królowej, gdy doszło tam do owego nieprzyjemnego wydarzenia. Spotkałam raz pannę Brett, kiedy zgodziłam się sprzedać jej sekretarzyk, który tutaj był zbędny. Zrobiła na mnie wrażenie kobiety niezwykle rozsądnej i trafiającej w sedno.

— Taka była — potwierdziłam.

— Cała ta sprawa wygląda dziwnie.

— Panna Brett bardzo się zmieniła, odkąd choroba przykuła ją do łóżka. Cierpiała bóle nie do zniesienia.

Lady Crediton skinęła głową.

— Stało się źle, siostrzo Loman, i powiem szczerze, że zastanawiałam się, czy rozważne z mojej strony będzie zatrudnienie osoby uwikłanej w podobny skandal.

Pani tego domu należała do osób, które własną bezpośredniością nazywają szczerością, cudzą zaś brakiem manier. Znałam ten typ. Były to najczęściej bogate stare damy, których wola od nazbyt długiego czasu nie spotykała się ze sprzeciwem otoczenia.

Okazała jej, że mnie obraziła. Podniosłam się z miejsca i powiedziałam:

— Nie chciałabym być powodem pani niezadowolenia, lady Crediton. Jeśli wolałaby pani, żebym nie zajmowała się pani... pacjentką, skoro wcześniej pracowałam u panny Brett, nie pozostanę tutaj.

— Postępuje pani pochopnie — odrzekła lady. — To niedobra cecha u pielęgniarki.

— Pozwoli pani, lady Crediton, że się z panią nie zgodzę. Nigdy nie działałam pochopnie. Raz jeszcze rozważyłam pani słowa i powtarzam, że jeśli woli pani, bym odeszła, odejdę.

— Gdyby tak było, przede wszystkim nie prosiłabym pani o przybycie.

Po raz kolejny skinęłam głowę. Pierwsza runda dla mnie, pomyślałam.

— Pragnęłam tylko wyrazić ubolewanie z powodu tego, co przydarzyło się pannie Brett. Niestety, każdy, kto w jakiś sposób brał udział w równie nieprzyjemnym incydencie, musi być z nim łączony.

— Jedno wynika z drugiego, lady Crediton.

O tak, wygrywałam rundę za rundą, czułam wszakże, że moje zwycięstwa wynikają z faktu, iż milady próbuje coś mi powiedzieć, lecz nie wie jak. Niepotrzebnie się martwiła. Rozumiałam. Nie

lubiła „pacjentki”, z „pacjentką” wiązało się coś dziwnego. Coś nieokiełzanego, przez co być może lady Crediton wplątana zostanie w jakiś „nieprzyjemny incydent”. Rzecz robiła się coraz ciekawsza.

— Jedną z zalet niezbędnych w moim zawodzie jest dyskrecja — ciągnęłam, nie starając się owijać niczego w bawełnę. — Przypuszczam, że doktor Elgin nie poleciłby mnie do tego przypadku, gdyby nie był przekonany, iż cechę ową posiadam.

— Pani Stretton może wydać się pani trochę... histeryczna. Doktor Elgin zapewne poinformował panią o jej dolegliwościach.

— Wspomniał, że ma problemy z płucami i astmę.

Lady Crediton skinęła głową, ja zaś pojęłam, że mnie zaakceptowała. Pomyślałam, że podobają jej się osoby, które nie boją się konfrontacji z nią, a ja właśnie tak postąpiłam. Zyskałam jej aprobatę jako pielęgniarka.

— Jak sądzę, chciałaby pani poznać pacjentkę — powiedziała. Odrzekłam, że byłoby to pożądane.

— Pani bagaże...

— Są w holu.

— Zostaną zaniesione do pani pokoju. Siostrzyczko Loman, proszę pociągnąć za sznur od dzwonka. Uczyniłam to i czekałyśmy w milczeniu.

— Baines — odezwała się lady Crediton, gdy w progu stanął kamerdyner — zaprowadź siostrzyczkę Loman do pani Stretton. Chyba że najpierw woli pani iść do swojego pokoju, siostrzyczko?

— Najpierw chciałabym poznać pacjentkę.

Lady Crediton pożegnała mnie lekkim skinieniem głowy. Wychodząc, czułam na plecach jej wzrok.

Służący poprowadził mnie labiryntem korytarzy ku krętym schodom; niektóre stopnie były z kamienia, inne, noszące ślady zużycia, musiały być fałszywe, bo przecież kamienie nie niszczyją w przeciągu pięćdziesięciu lat. Ja jednak uznałam to za fascynujące. Dom, który udawał coś, czym nie był. W moich oczach czyniło go to bardzo ludzkim.

W końcu weszliśmy do skrzydła zajmowanego przez Strettonów; ich pokoje znajdowały się wysoko w jednej z wież, tak mi się przynajmniej wydawało.

— Pani Stretton zapewne teraz odpoczywa — odezwał się Baines z wahaniem.

— Proszę mnie do niej zaprowadzić.

Zapukał do drzwi.

— Kto to? — spytał stłumiony, miękki głos.

— Przyszła siostrzyczko Loman, proszę pani — oznajmił służący.

Nie było odpowiedzi, otworzył więc drzwi i weszłam do środka. W mojej profesji trzeba brać inicjatywę w swoje ręce.

— Wszystko w porządku — zwróciłam się do kamerdynera. — Proszę zostawić mnie samą z pacjentką.

Żaluzje opuszczone były niemal całkowicie, tak by wpadało jak najmniej światła. Pani Stretton leżała na łóżku. Ubrana w purpurowy szlafrok ze szkarłatnymi lamówkami, z rozpuszczonymi gęstymi, ciemnymi włosami wyglądała jak egzotyczny ptak.

— Pani Stretton? — powiedziałam.

— Jesteś pielęgniarką — odrzekła, wolno wymawiając wyrazy. Skąd pochodzi? Stawiałam na mieszaną krew. Może Polinezyjka albo Kreolka.

— Tak, będę się panią opiekować. Ależ tu ciemno. Musimy wpuścić trochę słońca. — Podeszłam do najbliższego okna i podciągnęłam żaluzje.

Pani Stretton zasłoniła oczy dłonią.

— Tak jest lepiej — oznajmiłam stanowczo, siadając koło łóżka. — Chciałabym z panią porozmawiać.

Spojrzała na mnie posępnie. Musiała być zmysłową pięknoscią, kiedy była zdrowa.

— Doktor Elgin uznał, że potrzebuje pani pielęgniarki.

— Nic dobrego to nie da.

— Doktor tak uważa, więc się przekonamy, dobrze?

Mierzyłyśmy się wzrokiem. Silne wypieki na policzkach i nienaturalnie błyszczące oczy potwierdzały diagnozę doktora Elgina. Miała wygląd suchotnicy, a ataki astmy bywały zapewne przerażające. Mnie jednak interesowała bardziej jako istota ludzka, a nie pacjentka, ponieważ była żoną kapitana Anny i zastanawiałam się, dlaczego ją poślubił i jak do tego doszło. Nie wątpiłam, że w swoim czasie odkryję prawdę.

— Tu jest za zimno — odezwała się. — Nienawidzę zimna.

— Potrzeba pani świeżego powietrza. I musimy uważać na dietę. Doktor Elgin często panią odwiedza, jak przypuszczam.

— Dwa razy w tygodniu.

Zamknęła oczy; była cicha i posępna, a jednak wyczuwałam płonący w niej ogień. Przewidywałam, że moja pacjentka potrafi być zaprzeczeniem spokoju.

— Doktor Elgin układa właściwą dietę dla pani. Dopilnujemy, żeby poczuła się pani lepiej — oznajmiłam głosem energicznej pielęgniarki.

Odwróciła ode mnie twarz.

— Skoro już się poznałyśmy — ciągnęłam — pójdę teraz do siebie. Przypuszczam, że mój pokój jest gdzieś blisko.

— Tuż obok.

— Ach, doskonale. Nie będę musiała nikogo niepokoić pytaniem o drogę.

I poszłam do sąsiedniego pokoju. Od razu wiedziałam, że dobrze trafiłam, stały tam moje bagaże. Kształt pomieszczenia wskazywał, że jest ono częścią wieży. Podeszłam do okna, które w rzeczywistości było drzwiami balkonowymi, wychodzącymi na coś w rodzaju gzymsu. Czy to zgodne ze stylem budowli, pomyślałam, muszę zapytać Annę. Cóż za widok rozciągał się z tego gzymsu: głęboki rów i rzeka poniżej, a z drugiej strony domy Langmouth.

Rozpakowałam torby. Nagle drzwi uchyliły się ostrożnie i pojawiła się w nich dziecięca buzia. Był to chłopiec, mniej więcej siedmioletni.

— Dzień dobry. Pani jest pielęgniarką.

— To prawda. A skąd wiesz?

— Tak mówili.

— Kim ty jesteś?

— Na imię mam Edward.

— Cieszę się, że cię poznałam, Edwardzie. — Wyciągnęłam do mego dłoń, którą z powagą uścisnęłam.

— Pielęgniarki opiekują się chorymi — powiedział.

— I pomagają im wyzdrowieć — dodałam.

Jego ogromne, ciemne oczy spoglądały na mnie tak, jakbym była jakąś boginią.

— Pani jest mądra.

— Bardzo — zgodziłam się.

— Wie pani, ile to jest dwa razy dwa?

— Dwa razy dwa to cztery. Dwa razy trzy to sześć.

Chłopiec się roześmiał.

— A alfabet?

Wyrecytowałam alfabet z ogromną szybkością, czym zrobiłam na nim wrażenie.

— Czy to pani ubrania? — Potwierdziłam. — Ma pani lekarstwa, po których ludzie umierają?

To pytanie nieco mną wstrząsnęło.

— Jak ta pani od mebli — dodał. Był bystry, bez dwóch zdań.

— Mam tylko takie lekarstwa, po których ludzie czują się lepiej — odrzekłam.

— Ale... — zaczął, zaraz jednak urwał, nadstawiając uszu.

— Paniczu Edwardzie! — rozległ się kobiecy głos. Spojrzał na mnie, kuląc się i kładąc palec na ustach.

— Paniczu Edwardzie!

Oboje milczeliśmy, ale zostawił drzwi uchylone i teraz weszła przez nie guwernantka. Była wysoka i koścista, ubrana w bardzo nietwarzową szarą bluzkę i brązową spódnicę — okropne połączenie! Włosy i cera też wydawały się szare.

— Och, pani jest nową pielęgniarką — odezwała się. — Mam nadzieję, że Edward pani nie dokuczał.

— Raczej mnie zabawiał.

— To doprawdy nad wiek rozwinięte dziecko. Guwernantka miała królicze oczy i zęby. Od pierwszego spojrzenia poczułyśmy do siebie antypatię.

— Chodź, Edwardzie — poleciła. — Nie możesz przeszkadzać mamie.

— Jego mama jest moją pacjentką, jak sądzę — powiedziałam. Potwierdziła ruchem głowy.

— Wkrótce zorientuję się w relacjach między mieszkańcami zamku — dodałam.

— Przybyła pani do nas z Domu Królowej? — Guwernantka spoglądała na mnie czujnie. Edward wodził spojrzeniem po naszych twarzach.

— Tak, tam ostatnio pracowałam.

— Hmm. — Guwernantka zerknęła na chłopca, a ja pomyślałam: jakże szybko rozchodzą się plotki! I przypomniałam sobie straszne rzeczy, które opowiadano o Annie. Skoro nawet do mnie odnoszono się z niejaką podejrzliwością, to jak musieliby potraktować ją!

Guwernantka westchnęła. Nie ośmieliła się ciągnąć tej rozmowy w obecności dziecka. Żałowałam, że Edward jest z nami, bez niego bowiem mogłabym dowiedzieć się czegoś więcej, choć z drugiej strony miałam na to mnóstwo czasu.

Oboje wyszli. Podczas gdy ja się rozpakowywałam, pokojówka przyniosła rai herbatę. Towarzyszył jej Baines, pozornie po to, by sprawdzić, czy dziewczyna podaje we właściwy sposób, w rzeczywistości jednak po to, by poinformować mnie, iż posiłki będą jadła w swoim pokoju. Pojęłam, że to rozkaz lady Crediton i że kamerdyner zapuszcza się w tę część domu tylko wtedy, gdy ma do przekazania polecenia swej pani.

Zaczynałam poznawać zwyczaje panujące w zamku Creditonów.

\* \* \*

*30 kwietnia.* To mój trzeci dzień w zamku, a mam wrażenie, że jestem tu od miesięcy. Tęsknię za Anną. Nie ma nikogo, z kim mogłabym się zaprzyjaźnić. Panna Beddoes, guwernantka, mogłaby się nadać, gdyby nie była taką nudziarą; nieustannie podkreśla, że nie zawsze wiodło się jej tak źle w życiu. Jest córką pastora, oznajmiła.

— A niech to, ja też.

To ją poruszyło. Była zaskoczona, jestem tego pewna, że osoba o tak fatalnych manierach mogła wychować się na probostwie.

— Cóż można było zrobić? — zapytała. — Nie wychowywano mnie, bym zarabiała na życie, a nagle okazało się to koniecznością.



— Ach, to miała pani większe szczęście — odparłam. — Ja od najmłodszych lat wiedziałam, że będę musiała walczyć o chleb w tym okrutnym świecie, więc zdążyłam się przygotować.

— Doprawdy — wycodziła z zimnym lekceważeniem.

Od tej rozmowy wszakże odnosiła się do mnie z większą uprzejmością, bo obie pochodziłyśmy z podobnych stajni czy też raczej, jak ona by to ujęła, byłyśmy „zubożałymi szlachciankami”.

Wiele opowiadała mi o rodzinie naszych pracodawców, za co jestem jej wdzięczna. Szeptala, że jej zdaniem moja pacjentka jest nieco szalona. Ja raczej nazwałabym to histerią. To namiętna kobieta pozbawiona męża i moim zdaniem ma na jego punkcie obsesję. Codziennie pisze do niego listy i połowę z nich drze na kawałki, strzępy papieru po brzegi wypełniają kosz na śmieci w jej pokoju. On z kolei, jak twierdzi panna Beddoes, od czasu swej hańby nie jest mile widziany w zamku. Jakiej hańby? — zapytałam. Nie potrafiła wyjaśnić. O tej sprawie nigdy się nie mówi. Rodzina najwyraźniej chce, by kapitan przebywał gdzieś daleko, panią Stretton natomiast sprowadzono ze względu na syna.

— Bo dopóki pan Rex się nie ożeni — mówiła guwernantka — chłopiec jest kimś w rodzaju dziedzica.

Cała sprawa wydaje się dość skomplikowana i jeszcze nie do końca ją rozgryzłam, mam jednak taki zamiar. Pacjentka zabiera mi mnóstwo czasu. Przygotowuję dla niej posiłki, ponieważ doktor Elgin życzy sobie, by pilnować jej diety. Pani Stretton jest jak dziecko, podejrzewam, że jedna ze służących szmugluje dla niej czekoladę. Lubi kawę i sama ją sobie parzy, ma nawet w pokoju specjalną maszynkę spirytusową. Jest leniwa i chętnie się wyleguje, ale też doktor zaleca jej wypoczynek. Nie znosi tego, co nazywa „zimnem”, i każe pokojówce zamykać okna, które otworzyłam, a przecież świeże powietrze jest ważną częścią terapii.

Dzisiaj po południu odkryłam, że Edith, żona Bainesa, to siostra Ellen. Specjalnie przyszła do mojego pokoju, żeby mi o tym powiedzieć. Dodała, że jeśli będzie mogła w czymkolwiek pomóc, uczyni to z przyjemnością. To niezwykła uprzejmość ze strony żony głównego kamerdynera, zarządzającej wszystkimi pokojówkami, które zresztą boją się jej jak ognia. Ellen musiała dać mi dobre referencje.

\* \* \*

*1 maja.* Dzisiaj wydarzyły się dwie ekscytujące rzeczy. Coraz bardziej zadowolona jestem z życia w zamku. Wyczuwam tu coś, jakieś napięcie. Nigdy do końca nie wiem, co robi moja histeryczna pacjentka, i nieustannie towarzyszy mi świadomość tajemnicy. Przykładem niech będzie owo zdarzenie, przez które kapitan stał się tutaj niepożądanym gościem. A jeśli go tu nie chcą, to po co sprowadzali jego żonę? Przypuszczam, że wcześniej pewnie ją od czasu do czasu odwiedzał na jej rodzinnej wyspie. Pani Stretton mówi po prostu „wyspa”. Chciałam się dowiedzieć, gdzie to jest, lecz powstrzymałam się od zadawania pytań. Pani Stretton zamyka się w sobie, jeśli ktoś okazuje nadmierną ciekawość.

Pierwszą moją przygodą było spotkanie z dziedzicem fortuny Creditonów, czyli Rexem we własnej osobie. Ułożyłam pacjentkę do popołudniowej drzemki i poszłam pospacerować w ogrodach. Są naprawdę wspaniałe, tak jak się spodziewałam. W posiadłości pracuje czterech ogrodników, ich żony też są na służbie w zamku. Trawniki wyglądają jak kwadraty pięknego zielonego aksamitu; zawsze na ich widok marzę, by sprawić sobie taką suknię. Kwiaty posadzone na obrzeżach za jakiś czas będą stanowić oszałamiający widok, jestem tego pewna. Teraz atrakcję stanowią piękne żagwiny i gęsiówki, rosnące w jasnoróżowych i białych kępach na tarasach z szarego kamienia, a naturalnie żagwiny i gęsiówki w zamku Creditonów muszą być dwukrotnie gęstsze niż gdzie indziej. Pierwszą rzeczą, jaka przychodzi mi tu do głowy, jest świadomość

bogactwa. Wiesz od razu, że to dom milionera w pierwszym lub drugim pokoleniu. W oczy wprost bije usilna walka o stworzenie tradycji rodu. Creditonowie Pragną mieć najlepszych przodków, najlepsze drzewo genealogiczne, Jakie można kupić. Zupełnie inaczej wyglądała siedziba Henrocków, Sdzie tuż przed przybyciem do Domu Królowej opiekowałam się biedną lady Henrock, i to z wielkim powodzeniem, skoro w testamencie zapisała mi pięćset funtów. Henrockowie mieszkali w Henrock Manor przez ostatnie pięćset lat. Dom miejscami był zrujnowany, lecz nawet ja dostrzegam różnicę między nim a zamkiem. A kiedy przyglądałam się najbardziej ozdobnemu z zegarów słonecznych, kogóż to zobaczyłam? Dziedzica fortuny, pana Rexa Creditona we własnej osobie. Pana, nie odziedziczył bowiem tytułu po ojcu, który swój otrzymał tylko w dożywocie, czym zapewne jaśnie pani bardzo się gryzie. Rex Crediton jest średniego wzrostu, o miłej powierzchowności, choć nie można nazwać go uderzająco przystojnym. Sprawia wrażenie pewnego siebie, a jednocześnie wyczuwa się w nim pewną nieśmiałość. Jego strój wyszedł z pracowni najlepszego krawca; sądzę, że ubiera się na Saville Row. W Langmouth nigdzie się nie dostanie takich rzeczy. Zaskoczył go mój widok, pomyślałam więc, że powinnam się przedstawić.

— Jestem pielęgniarką pani Stretton.

Uniósł jasne jak piasek brwi; takie same rzęsy otaczają jego oczy barwy topazu, żółtobrazowe. Nos ma orli, taki, jak u sir Edwarda na portrecie w galerii, cerę bladą i rudawe wąsy.

— Wydaje się pani za młoda na tak odpowiedzialną funkcję — oświadczył.

— Jestem w pełni wykwalifikowaną pielęgniarką.

— Och, w to nie wątpię, w przeciwnym razie nie przyjęto by pani do tej pracy.

— Zapewne.

Nie spuszczał oczu z mojej twarzy; widziałam, że mu się podoba, choć nieufnie odnosił się do mych umiejętności. Zapytał, od jak dawna przebywam w zamku i czy satysfakcjonuje mnie posada. Odrzekłam, że mam nadzieję, iż spacerując po ogrodach, nikomu nie przeszkadzam. Zapewnił mnie, że nie powinnam się o to martwić, mogę spędzać tu czas, kiedy będę miała ochotę. Zaproponował, że pokaże mi otoczony murem ogród i staw, a także drzewa zasadzone tuż po jego urodzeniu. Teraz był to prawdziwy świerkowy lasek. Przez jego środek ścieżka wiodła na skraj klifu. Kiedy tam doszliśmy, Rex bacznie przyjrzał się żelaznemu płotkowi, mówiąc przy tym, że ogrodnicy otrzymali wyraźną instrukcję, by dbać o ogrodzenie i utrzymywać je w dobrym stanie.

— W takim miejscu to konieczność — zauważyłam.

Strome zbocze prowadziło wprost do rzeki. Staliśmy oparci o płot i przypatrywaliśmy się domom na klifie. W oczach mego towarzysza malowała się duma właściciela, a ja przypominałam sobie, jak Anna opowiadała mi o Creditonach, dzięki którym Langmouth rozkwitło. Rex wyglądał na człowieka znaczącego, posiadającego władzę. Zaczął opowiadać o mieście i stoczniach w taki sposób, że wydało mi się to ekscytujące. Prowadził życie takie jak jego ojciec. Pociągał mnie romantyzm Lady Linę i chciałam usłyszeć wszystko, co właściciel tej firmy był skłonny mi powiedzieć.

Dowiedziałam się bardzo wiele; usłyszałam o początkach rodzinnej fortuny, jak jego ojciec tworzył swe przedsiębiorstwo, i o czasach zmagania i trudności.

To cudowna, romantyczna historia o budowaniu wielkiego imperium od podstaw, powiedziałam.

Byłam zaskoczona, że tak szczerze rozmawia ze mną po tak krótkiej znajomości; jemu najwyraźniej też przyszło to do głowy, bo nagle zmienił temat i zaczął mówić o drzewach i ogrodzie. Razem wróciliśmy do zegara. Widniała na nim inskrypcja: „Odmierzam jeno słoneczne godziny”.

— Muszę nauczyć się robić tak samo — powiedziałam.

— Mam nadzieję, siostrze, że wszystkie pani godziny będą słoneczne. Jego topazowe oczy były ciepłe i przyjacielskie. Uświadomiłam sobie, że nie jest tak chłodny, jak chciał wydawać się ludziom, byłam też pewna, że nabrał do mnie sympatii.

Wrócił do zamku, a ja zostałam jeszcze w ogrodzie. Nie wątpiłam, że wkrótce znowu go spotkam. Raz jeszcze okrążyłam tarasy, weszłam do ogrodu za murami, a później przez zagajnik dotarłam do żelaznego ogrodzenia, za którym było urwisko. Spotkanie z Rexem rozbawiło mnie, przyjemność sprawiała mi myśl, że zrobiłam na nim wrażenie. Pewnie uznał mnie za cokolwiek lekkomyślną, bo mówię żartobliwie i często się śmieję. Dzięki temu ludzie mnie lubią, ale osoby poważne, a do takich należy Rex Crediton, mogą uważać to za nadmierną swobodę. Mimo to cieszyłam się ze spotkania, ponieważ to on był osiłą, wokół której obraca się ten dom, ale nie tylko. Cała chwała i władza skoncentrowane są na nim, dziedzicu ojca, a gdy matka odejdzie, w jego dłoniach znajdzie się cały majątek.

Raz jeszcze wróciłam do zegara. Tę godzinę, powiedziałam do siebie, na pewno zapamiętam.

Zerknęłam na zegarek, ozdobiony turkusami i małutkimi różowymi brylantami, który dostałam od lady Henrock tuż przed jej śmiercią, i porównałam z zegarem słonecznym. Pacjentka wkrótce się obudzi. Muszę wracać do swoich obowiązków.

Uniosłam głowę i spojrzałam na basztę. Nie była to ta, którą zajmowała moja pacjentka, tylko inna, wznosząca się na samym końcu zachodniego skrzydła. Długo jej się przypatrywałam i w oknie dostrzegłam czyjąś niewyraźną twarz. Zniknęła po kilku sekundach.

Któż to może być? Jedna ze służących? Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Nie zapuściłam się dotąd w pobliże tej baszty, zresztą dotąd nie zbadałam większej części zamku. Odwróciłam się, zaraz jednak pod wpływem impulsu znowu spojrzałam w tamtą stronę. Twarz była w oknie. Ktoś zainteresował się mną, aczkolwiek czynił to ukradkiem, bo gdy ta osoba — wiedziałam już, że to kobieta, dostrzegłam biel czepka na siwych włosach — zorientowała się, że na nią patrzę, natychmiast skryła się w cieniu.

Intrygujące! Lecz przecież wszystko w zamku Creditonów jest intrygujące. Bardziej wszakże zajmowało mnie spotkanie z panem na włościach, uosobieniem bogactwa i władzy, niż owa niewyraźna postać w oknie.

\* \* \*

*3 maja.* Cudowny dzień z błękitnym, bezchmurnym niebem. Poszłam do ogrodu, lecz Rexa tam nie było. Sądziłam, że spotkamy się „przypadkiem”, ponieważ jestem przekonana, że całkiem mu się spodobałam. On jednak bez wątpienia zajmuje się interesami w tych wysokich budynkach dominujących nad miastem. Z kilku źródeł słyszałam, że Rex zajął miejsce sir Edwarda i przy pomocy matki prowadzi rodzinne przedsiębiorstwo. Byłam nieco urażona, wyobraziłam bowiem sobie, bardzo zarozumiale, że zainteresowała go moja osoba. Kiedy się nie pojawił, zaczęłam rozmyślać o owej twarzy w oknie, o nim na razie zapominając. Zachodnia wieża. A gdybym udała, że zablądziłam? W zamku nie było to trudne; mogłabym pójść do zachodniego skrzydła i trochę tam pomyszkować, a gdyby mnie przyłapano, będę się tłumaczyła, że zgubiłam drogę. Wiem, że z mojej strony to nadmierna ciekawość, lecz ludzie bardzo mnie interesują i dzięki temu często mogą im się przydać. Poza tym pomyślałam, że jeśli mam pomóc mojej pacjentce, muszę ją zrozumieć, a to oznacza, że powinnam dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Skoro wszystko w tym domu ma z nią związek, to i tajemnicza nieznajoma też.

Tak czy owak późnym popołudniem niebo zaciągnęło się chmurami, które zakryły słońce i zapowiadały bliską ulewę. Zamek nabrał ponurego wyglądu; w takiej chwili mogłam zablądzić w sposób bardzo przekonujący, wcale się więc nie wahałam. Weszłam po spiralnych schodach do

zachodniej baszty. Pomyślałam, że rozkład pewnie jest tu taki sam jak w naszej, i skierowałam się do pokoju, skąd jak przypuszczałam, obserwowała mnie nieznajoma. Otworzyłam drzwi — okazało się, że miałam rację. W fotelu przy oknie siedziała kobieta.

— Och... bardzo przepraszam... — zaczęłam.

— Pani jest pielęgniarką — przerwała mi.

— Pomyliłam baszty.

— Widziałam panią w ogrodzie. Pani też mnie widziała, prawda?

— Tak.

— I przyszła pani zobaczyć się ze mną?

— Wieże są takie podobne do siebie.

— Więc to była pomyłka. — Nie czekała na moją odpowiedź, na szczęście dla mnie. — Jak się układa między panią a pacjentką?

— Sądzę, że nasze relacje są dobre.

— Czy ona jest bardzo chora?

— Czasami czuje się lepiej, czasami gorzej. Pani wie, kim jestem. Czy mogę poznać pani godność?

— Jestem Valerie Stretton.

— Pani Stretton.

— Może mnie pani tak nazywać — odrzekła. — Obecnie mieszkam tutaj. Mam własne pokoje. Rzadko kogoś widuję. Z zachodniej wieży schody prowadzą do ogrodu za murem. Żyję tu w całkowitym odosobnieniu.

— Więc pani jest...

— Teściową pani Stretton.

— Och tak i matką kapitana.

— W naszym domu panują bardzo skomplikowane stosunki, siostró — roześmiała się nieco wyzywająco. Twarz miała zarumienioną i wyraźne fioletowe żyłki na skroniach; przypuszczalnie jest chora na serce, pomyślałam. Ha, niewykluczone, że wkrótce też zostanie moją pacjentką. — Napije się pani herbaty, siostró?

— Bardzo to miłe z pani strony. Z wielką chęcią. — Mówiłam szczerze, ponieważ dzięki jej zaproszeniu zyskiwałam okazję do kontynuowania rozmowy.

Podobnie jak jej synowa, ona też miała maszynkę spirytusową, na której postawiła czajnik.

— Mieszka tu pani bardzo wygodnie, pani Stretton. Uśmiechnęła się lekko.

— Nie mogłabym marzyć o większej wygodzie. Lady Crediton jest dla mnie bardzo dobra. Zawsze tak się do mnie odnosiła.

— Och, nie wątpię, że to bardzo dobra kobieta.

Pani Stretton nie zwróciła uwagi na nutkę ironii w moim głosie. Muszę bardziej się pilnować. Niekiedy słowa wymykają mi się spod kontroli. Pragnęłam zdobyć jej zaufanie, ponieważ była matką jednego z dwóch chłopców urodzonych niemal jednocześnie i mających tego samego ojca — sytuacja prawie jak z operetki Gilberta i Sullivana, tylko że u nich nigdy nie ma nic nieprzyzwoitego, a tutaj tak. Muszę przyjrzeć się portretowi sir Edwarda w galerii. Cóż to musiał być za charakter! Jaka szkoda, że zmarł! Jestem przekonana, że gdyby żył, zamek stałby się jeszcze bardziej ekscytujący, niż jest teraz.

Pani Stretton zapytała, jak mi się podobają miejsce i praca. Zapewne jest ciekawa, choć ona osobiście przypuszcza, że momentami dość męcząca. Następną, która nie lubi mojej niegrzecznej pacjentki. Ciekawe, czy kiedykolwiek ją odwiedza? W końcu jest przecież jej teściową.

Odrzekłam, że jestem przyzwyczajona do radzenia sobie z różnymi pacjentami i przyjmując tę posadę, nie oczekiwałam większych trudności niż te, których w przeszłości doświadczyłam.

— Ona nie powinna była tu przyjeżdżać — oświadczyła pani Stretton zapalczywie. — Powinna była zostać tam, skąd pochodzi.

— Przyznaję, że nasz klimat nie wpływa na nią dobrze — odrzekłam. — Skoro jednak jest to dom jej męża, pewnie woli mieszkać tutaj, a szczęście to jeden z najskuteczniejszych sposobów na wyzdrowienie.

Pani Stretton zaparzyła herbatę.

— Sama ją mieszam — wyjaśniła. — Trochę herbaty indyjskiej i earl grey. Oczywiście cały sekret polega na ogrzaniu suchego imbryka, a woda powinna zaledwie się zagotować.

Grzecznie słuchałam wykładu o parzeniu herbaty, zastanawiając się w duchu, ile informacji zdołam od niej wyciągnąć. Niewiele, uznałam. Ta kobieta nie należy do plotkarek. Przypuszczam, że zbyt wiele tajemnic musiała ukrywać we własnym życiu, by lekko gawędzić o cudzych. Lecz jako matka kapitana bardzo mnie zainteresowała. W młodości musiała być niezwykle piękną. Cerę pewnie miała jasną, włosy jeszcze teraz pozostały gęste, choć były całkiem siwe, oczy niebieskie. Co za uroda! Nic dziwnego, że sir Edward jej uległ. Ale żeby w jednym domu! Mógł być zachować się nieco bardziej... dyplomatycznie. Jego syn postąpiłby z większym taktem, w to nie wątpiłam.

Napiłam się herbaty.

— Zapewne zna pani każdy zakątek zamku — powiedziałam. — Mnie wiele kłopotów sprawia zorientowanie się w jego topografii.

— Nie możemy narzekać, skoro zawdzięczam temu pani wizytę. Zastanawiałam się, co kryło się pod jej słowami. Doszłam do wniosku, że pani Stretton ma w sobie elementy niewidoczne dla oka. Cóż za dziwne życie musiała prowadzić, mieszkając pod jednym dachem z lady Crediton. Obie bez wątpienia są najbardziej niezwykłymi kobietami na świecie.

— Miewa pani wielu gości? — zapytałam.

Potrząsnęła głową.

— Wiodę samotne życie, ale to mi odpowiada.

Siedzi i obserwuje świat niczym dziewiętnastowieczna Pani z Shalott, pomyślałam, wspominając poemat Tennysona.

— Rex często mnie odwiedza — dodała.

— Rex, to znaczy... Kiwnęła głową.

— Jest tylko jeden Rex. — Głos jej złagodniał. — Zawsze był dobrym chłopcem. Byłam mamką i nianią obu.

To jeszcze bardziej zaskakujące. Karmiła dwóch malców: swojego syna i syna rywalki. Doprawdy, dziwaczne układy panowały w tym zamku, jakby specjalnie tworzono tu nienaturalne sytuacje. Czy siłą sprawczą był sir Edward? Uznałam, że tak. Starszy pan odznaczał się niejaką złośliwością.

Wyobraziłam to sobie: Valerie faworyzowała swego syna, kapitan Anny był psuty, dlatego z taką bez troską odnosił się do uczuć innych, dlatego też pomyślał, że może zabawić się sercem dziewczyny, ukrywając przed nią fakt, iż zdążył się już ożenić ze zmysłową piękną na egzotycznej wyspie.

— Wiem, że jest pani matką kapitana Strettona.

— To prawda.

— Zapewne brakuje go pani. Kiedy spodziewany jest jego powrót?

— Nie mam pojęcia. Była ta... sprawa... — Czekałam, lecz ona nic nie dodała. — Zawsze wpływa na długo. Od najmłodszych lat pragnął żeglować. Jako mały chłopiec ciągle puszczał okręciki na stawie.

— Przypuszczam, że obaj interesowali się morzem.

— Rex był inny. Inteligentny i spokojniejszy. To człowiek interesu. Człowiek, pomyślałam, który pomnoży miliony ojca.

— Obaj są dobrymi chłopcami — oznajmiła Valerie, nagle wchodząc w rolę starej piastunki. — A teraz, gdy Redversa nie ma, Rex przychodzi do mnie często, żebym wiedziała, że o mnie nie zapomniał.

Jakże skomplikowani są ludzie! O ileż byłoby łatwiej, gdyby byli prostsi! Rozmawiałam z tą kobietą przez pół godziny i wiem o niej niewiele więcej niż wtedy, gdy była dla mnie twarzą w oknie. W jednej chwili sprawiała wrażenie zamkniętej w sobie, w następnej stała się szczerą, zwłaszcza gdy wydawała się po prostu nianią, która kochała swych podopiecznych. Wyobraziłam sobie, że pragnęła traktować ich sprawiedliwie, a wiedząc, że instynktownie faworyzować będzie własnego syna, starała się takim samym uczuciem darzyć Rexa. Według niej Rex stanowił uosobienie wszelkich cnót. To akurat nie mogło być do końca prawdą, ponieważ wtedy nie zainteresowałabym się nim — okazałby się nudny. A jego trudno nazwać nudziarzem.

— Chłopcy od małego różnili się usposobieniem — powiedziała Valerie Stretton. — Red kochał przygody. Ciągłe mówił o morzu i czytał powieści przygodowe. Wyobrażał sobie, że będzie drugim Francisem Drakiem. Rex był spokojny, choć zawsze w pewnym sensie okazywał się lepszy od Reda... z wyjątkiem bójek, co nie znaczy, że często się bili. Rex jednak wiedział, że to on odziedziczy firmę. Był mądry, od początku potrafił wykorzystywać okazje i kiedy wymieniali się zabawkami, zabierał najlepsze. Tak bardzo się różnili... choć każdy na swój sposób był uroczy...

Bardzo chciałam kontynuować ten temat, lecz moja rozmówczyni nie kryła zmęczenia. Wyczułam, że naciskana niczego mi nie powie. Moją jedyną szansą było skłonienie jej podstępem, by zdradziła się sama.

Nigdy nie należy domagać się zwierzeń. Ludzie o wiele więcej ujawniają, gdy pozwala się mówić im we własnym tempie. Valerie Stretton jednak zajmowała mnie w tym samym stopniu co inni mieszkańcy zamku — z wyjątkiem może Rexa. Już postanowiłam, że zostaniemy przyjaciółmi.

\* \* \*

Dziennik Chantel wydał mi się niezwykle. Mój był zupełnie inny. Czytając jej zapiski, miałam wrażenie, że z nią rozmawiam. Pisała o sobie szczerze, mój styl w porównaniu z jej sprawiał wrażenie sztucznego. Wzmianki o mnie i mężczyźnie, którego nazywała „moim kapitanem”, początkowo trochę mnie zaniepokoiły, później wszakże przypomniałam sobie, że przyrzekłyśmy absolutną szczerą, bez której nasze dzienniki byłyby bezwartościowe.

Przed oczyma stanął mi mój.

\* \* \*

*30 kwietnia.* Przyszedł klient, chciał obejrzeć szwedzką szafę. Nie sądzę, by naprawdę miał zamiar ją kupić. W drodze ze sklepu złapała mnie ulewa, a po południu ku swemu przerażeniu odkryłam korniki w stojącym zegarze. Razem z panią Buckie natychmiast zabrałyśmy się do pracy.

\* \* \*

1 maja. Myślę, że uratowałyśmy zegar. Dostałam list od dyrektora banku z propozycją spotkania. Bardzo się niepokoję, co też ma mi do powiedzenia.

\* \* \*

Jakże to różne od relacji Chantel! Moja pisanina była ponura, jej tętniła ożywieniem. Zadałam sobie pytanie, czy to rezultat naszych odmiennych spojrzeń na życie.

Sytuacja jednakże skłaniała do melancholii. Codziennie odkrywałam nowe długi. Po zmroku, kiedy byłam sama w domu, wyobrażałam sobie, że ciotka Charlotte śmieje się ze mnie i mówi tak jak za życia: „Beze mnie sobie nie poradzisz, zawsze ci to powtarzałam”.

Ludzie odnosili się do mnie inaczej, widziałam to wyraźnie. Na ulicy czułam ich ukradkowe spojrzenia, kiedy sądzili, że tego nie dostrzegam. Orientowałam się też, że zadają sobie pytanie: Czy ta kobieta przyczyniła się do śmierci ciotki? Przecież odziedziczyła dom i firmę, prawda?

Gdybyż tylko wiedzieli, jakie zmartwienia odziedziczyłam!

W owych dniach często przywoływałam w myślach obraz ojca i jego słowa, by stawiać czoło kłopotom i bym nie zapomniała, że jestem córką żołnierza.

Miał rację. Z użalania się nad sobą nie wyniknie żadna korzyść, wiedziałam o tym aż za dobrze. Pójdę na spotkanie z dyrektorem banku i dowiem się najgorszego, a potem zdecyduję, czy dalej sama sobie poradzę. A jeśli nie? Cóż, trzeba będzie poczynić odpowiednie plany, to wszystko. Musi być coś, czym może się zająć kobieta z moimi umiejętnościami. Miałam dość rozległą wiedzę na temat zabytkowych mebli, fajansu i porcelany, byłam dobrze wykształcona. Gdzieś tam musi być miejsce, które na mnie czeka. Nie znajdę go, płacząc nad swym losem. Muszę wyjść i poszukać.

To był bardzo nieszczęśliwy okres w moim życiu. Nie byłam już zbyt młoda. Skończyłam dwadzieścia siedem lat i znalazłam się na etapie, gdy kobiecie zaczyna przysługiwać tytuł starej panny. Nigdy nie miałam też konkurenta. Niewykluczone, że John Carmel w stosownym czasie byłby mi się oświadczył, lecz ciotka Charlotte szybko go odstraszyła, co zaś do Redversa Strettona... cóż, zachowałam się wobec niego z nieprawdopodobną wprost naiwnością i wyobrażałam sobie coś, co nie istniało. Nie mogłam winić nikogo poza sobą. Przy następnym spotkaniu muszę wyjaśnić to Chantel; powinnam też dołożyć starań, by pisać równie ciekawie i zajmująco o swoim życiu jak ona o swoim. Było to miarą naszego wzajemnego zaufania, a poza tym opisywanie własnych odczuć bez wątpienia przynosi ulgę.

Czas zaprzestać krótkich notatek o szwedzkich szafach i stojących zegarach. Chantel ciekawa była moich odczuć, mnie samej, tak jak ja ciekawa byłam jej. To cudownie zyskać taką przyjaciółkę i miałam nadzieję, że nasza przyjaźń nigdy się nie zmieni. Zaczynała dręczyć mnie obawa, że Chantel opuści zamek i przyjmie posadę gdzieś daleko. I wówczas też w pełni uświadomiłam sobie, jak wiele jej obecność dla mnie znaczy.

Kochana Chantel! Stała przy mnie w tych okropnych dniach po śmierci ciotki Charlotte. Czasami nawet miałam wrażenie, że specjalnie odwraca ode mnie podejrzenia. Była to ryzykowna sprawa: manipulowanie dowodami. Chantel jednak wydawała się taka pogodna i lojalna w przyjaźni, że owa myśl zapewne nie przyszła jej do głowy. Muszę o tym napisać. Nie, nie mogę, to zbyt ważna sprawa, by omawiać ją w pamiętniku. W owej chwili zrozumiałam, że nie jestem tak szczerą jak ona. Zaczynając prowadzić pamiętnik, człowiek uświadamia sobie, iż są kwestie, które trzeba pominąć... być może dlatego, że sam przed sobą się do nich nie przyznaje. Kiedy wszakże myślę o śmierci ciotki Charlotte, robi mi się zimno z przerażenia, ponieważ pomimo guzika znalezionej przez Chantel i jej przekonania (w którego prawdziwość ani przez chwilę nie

wątpiałam), że w określonych okolicznościach ludzie zdobywają się na nadzwyczajny wysiłek, nigdy nie mogłam uwierzyć w samobójstwo ciotki, bez względu na to, jak wielki ból cierpiała.

A jednak właśnie tak musiało być. Bo co innego mogło się zdarzyć? Z drugiej wszakże strony każdy w tym domu skorzystał na śmierci ciotki: Ellen dostała swój legat, będący czymś więcej niż tylko legatem, bo i możliwością małżeństwa z panem Orfeyem, a Bóg wie, jak długo na to czekała. Pani Morton także od dawna wyczekiwała odejścia swej pracodawczyni na tamten świat. Co do mnie zaś... odziedziczyłam długi i troski, lecz za życia ciotki nie miałam o tym pojęcia.

Nie, było tak, jak przedstawiła to Chantel. Mogę uważać, że ciotka nigdy nie odebrałaby sobie życia, lecz czy ktokolwiek naprawdę zna innego człowieka?

Muszę przestać rozmyślać o jej śmierci; muszę stawić czoło przyszłości, tak jak uczyniłby to mój ojciec. Pójdę na spotkanie z dyrektorem banku, poznam całą, nawet i najgorszą prawdę, a później podejmę decyzję.

\* \* \*

Siedział, spoglądając na mnie znad okularów i składając opuszki palców. Na jego twarzy malowała się fałszywa troska. Przypuszczam, że już wcześniej przeprowadzał takie rozmowy.

— To kwestia aktywów i pasywów, panno Brett. Muszą znajdować się w równowadze. A pani sytuacja jest niezwykle niebezpieczna.

Przeszedł do wyjaśnień, pokazał mi liczby, potwierdzające słuszność wyводу. Moje położenie istotnie było trudne, nie miałam innego wyjścia, tylko niezwłocznie działać. Dyrektor mówił o „dobrowolnym upłynnieniu”, które jego zdaniem przy odpowiednich staraniach wciąż można by przeprowadzić. Za kilka miesięcy będzie już za późno. Muszę pamiętać, że koszty zaczną się piętrzyć, a długi narastać.

Nie sugerował wcale, bym całkowicie zastosowała się do jego rad. Był tylko dyrektorem banku. Ale też nie ulegało wątpliwości, że od jakiegoś czasu firma gwałtownie zdążała do upadku. Panna Charlotte Brett dokonywała nierozważnych zakupów, to kwestia bezdyskusyjna; często również sprzedawała antyki ze stratą, ponieważ potrzebowała gotówki, a tak ryzykownych posunięć nie można nadmiernie powtarzać. Dyrektor zaproponował, żebym spotkała się z prawnikiem. Termin spłaty kredytu bankowego panny Brett niestety upływa za trzy miesiące, tak więc on osobiście jest przekonany, że powinnam starannie rozważyć swoje możliwości. Niewykluczone, iż mądrym krokiem byłaby sprzedaż wszystkiego, włącznie z domem. Dzięki temu spłaciłabym długi i zostałby mi jeszcze niewielki kapitał. Dyrektor obawiał się, że na więcej nie mogę liczyć.

Pożegnał mnie melancholijnym uściskiem dłoni i radą, bym zastanowiła się nad jego słowami.

— Nie wątpię, panno Brett, że jest pani rozsądną kobietą i szybko podejmie właściwą decyzję.

Kiedy wróciłam do Domu Królowej, pani Buckie zbierała się do odejścia.

— Źle pani wygląda, panno Brett — zauważyła. — Mówiłam Buckle'owi, że to nie jest życie dla młodej damy, wcale nie. Stary dom i pani samiutka jak palec. Po mojemu to niedobrze. Samiutka jak palec z tymi wszystkimi cennymi przedmiotami. Na myśl o tym przechodzą mnie ciarki, choć prawdę mówiąc, w nocy wystarczyłby mi sam dom.

— Nie boję się domu, pani Buckie. Tylko że...

Nie mogłam jednak niczego jej wyjaśniać, była zawołaną plotkarką i nie zdołałaby się oprzeć pokusie, żeby nie rozgłosić moich zwierzeń.

— Ha, to nie moja sprawa. Myślę, że w stoliku Hepplewhite'a są korniki. Niewiele, ale stolik stał zaraz koło zegara, a sama pani wie, jakie sprytnie są te bestyjki.

— Zajmę się tym, pani Buckie. Kiwnęła głową.

— No to ja już pójdę. Kończy się nam wosk. Kupię jutro rano. Do widzenia, panienko.



Zostałam sama.

Poszłam do ogrodu, wspominając ów jesienny wieczór dawno temu. Zadałam sobie niemądre pytanie, czy on kiedykolwiek o tym myślał. Zeszłam nad rzekę, gdzie jaskry pieniały się bujnie pomiędzy rzeżuchą, a rój komarów tańczył nad wodą. Popatrzyłam na dom, wspominając słowa dyrektora banku. Sprzedać wszystko. Sprzedać Dom Królowej. Nie byłam pewna własnego stosunku do tej rady. Dom Królowej przez tak długi okres był moim domem. Pociągał mnie i odpychał, a gdy nagle uświadamiałam sobie, że należy do mnie, rozmyślałam, jak musiał wyglądać, nim stał się składem mebli ciotki Charlotte. Na pewno był wówczas uroczą, radosną siedzibą... zanim wydarzyło się tyle tragicznych rzeczy. Śmierć moich rodziców, ów krótki wieczór szczęścia, kiedy sądziłam, że spotkałam człowieka, który odmieni moje życie, rozczarowanie, a wreszcie tajemniczy zgon ciotki Charlotte.

Nie chciałam sprzedawać domu, obawiałam się wszakże, że będę musiała to uczynić.

Przeszłam przez trawniki. Jabłonie i czereśnie wciąż okrywało białe i różowe kwiecie, kasztan koło mojego okna zdobiły kwietne piramidy. Przywiązałam się do Domu Królowej.

W holu przystanęłam, nasłuchując zegarów. Dom wciąż był zagrożony, tak samo jak w czasach ciotki. Obecnie rzadko kto tu zachodził. Być może ludzie czuli się zakłopotani rozmową z osobą, którą podejrzewali o dokonanie zabójstwa.

Owej nocy obeszłam cały dom, pokój po pokoju. Tyle cennych mebli, których nie uda mi się sprzedać z zyskiem! Będę musiała urządzić wyprzedaż, co oznacza przyjazd pośredników, a wszyscy wiedzą, że kupują oni tanio.

Zbliżałam się jednakże do przełomu w moim życiu.

Wydało mi się, że słyszę głos ojca: „Staw czoło trudnościom. Nie uciekaj przed nimi, lecz poszukaj sposobu na ich przewyciężenie”.

To właśnie czyniłam, złośliwe zegary zaś powtarzały: „Sprzedaj, sprzedaj, sprzedaj”. Tak, sprzedaj i wyprowadź się, zacznij wszystko od początku. Rozpocznij nowe życie... nowe pod każdym względem!

\* \* \*

— Ludzie gadają — odezwała się Ellen — że w Domu Królowej straszy.

— Cóż za bzdury! — rzuciłam szorstko.

— Tak mówią. Człowiekowi przechodzą od tego ciarki po plecach.

Spojrzałam na nią ostro. Zmieniła się od śmierci ciotki Charlotte. W każdej chwili spodziewałam się, że powie, iż dłużej nie może przychodzić. W końcu została tylko po to, by „mi pomóc”, jak to wtedy ujęła. Pan Orfey był wymagającym mężem. Za pieniądze, które Ellen dostała od ciotki Charlotte, kupił konia i furgon. Interes, według Ellen, „ładnie się rozwijał”.

Lecz to nie rosnąca pomyślność pana Orfeya spowodowała „krytyczny stosunek Ellen do Domu Królowej, tylko wspomnienie ciotki Charlotte. W pewnym sensie dom był nawiedzony dla nas obu. Ellen sama za nic nie przekroczyłaby progu sypialni ciotki. Jak mówiła, „przechodzą ją ciarki”. Nie wątpiłam, że w najbliższej przyszłości rzuci pracę u mnie.

Przez całą noc padał deszcz, dzień wstał chmurny, a w domu pełno było cieni, jak późnym popołudniem. Pani Buckie, która poszła na górę, zbiegła z wiadomością, że na podłodze strychu jest wielka kałuża. Przeciekał dach.

Dach zawsze był przyczyną niepokoju. Ciotka Charlotte od czasu do czasu kazała go łątać i pamiętam, że przy ostatniej okazji powiedziano jej, że konieczny jest generalny remont. Oświadczyła wówczas, że jej na to nie stać.

Kiedy przyszła Chantel, byłam w bardzo melancholijnym nastroju. Wyglądała tak ślicznie w ciemnej pelerynie pielęgniarki, która korzystnie podkreślała kolor jej włosów; policzki miała lekko zaróżowione, oczy błyszczące.

— Musiałam cię odwiedzić — powiedziała. — Panna Beddoes przywiozła mnie na główną ulicę, spotkamy się tam za godzinę. Bałam się, że cię nie zastanę.

— Och, Chantel, jak się cieszę, że przyszłaś! — I opowiedziałam jej o wszystkim: o rozmowie z dyrektorem banku, obawach dotyczących Ellen i ciekącym dachu.

— Moja biedna Anno! Co zrobimy? Musisz przyjąć pieniądze, które zapisała mi twoja ciotka. Nie mogę pojąć, dlaczego w ogóle to zrobiła. W końcu byłam tu tak krótko.

— Szybko cię polubiła... jak wszyscy.

— Musisz zrobić mi tę przyjemność i przyjąć pieniądze.

— Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła.

— Cóż, w każdym razie są do dyspozycji, gdybyś zmieniła zdanie. Co zamierzasz zrobić?

— W banku radzą, żebym wszystko sprzedała.

— Możesz to zrobić?

— Mogę spróbować. Jest też dom. Powinnam dostać za niego niezłą sumę.

Chantel z powagą kiwnęła głową.

— Jestem pewna, że jakoś z tego wybrniesz, Anno.

— Szkoda, że ja nie mogę być tego pewna.

— Opisałaś to wszystko w pamiętniku?

— Jak, skoro ty go miałaś?

— A ty miałaś mój, musisz mi go oddać. Rzeczy trzeba opisywać na bieżąco, w przeciwnym wypadku tracą swój smak. Człowiek szybko zapomina, co odczuwał w danym momencie.

— Twój pamiętnik to wspaniała lektura, Chantel. Miałam wrażenie, że uczestniczyłam w tym wszystkim.

— Jakżebyś chciała, żebyś tam była! Świetną miałybyśmy zabawę. Gdybyż tylko w zamku potrzebowali znawcy antyków!

— Czy komukolwiek kiedykolwiek ktoś taki był potrzebny?

— To fascynujące, Anno. Jestem zaintrygowana, i to nie tylko samym zamkiem, zupełnie niezwykłym zresztą, lecz nimi.

— Wiem, takie odniosłam wrażenie. Czy zdarzyło się coś jeszcze?

— Umocniłam swoją pozycję. O wiele lepiej poznałam też wszystkich mieszkańców. Nie jestem już obca.

— A ten mężczyzna... Rex?

— Dlaczego akurat on cię zainteresował?

— Wydawało mi się, że zwróciłaś na niego szczególną uwagę.

— Ach, to dlatego że myślisz o romansie. Ale czy naprawdę sądzisz, że dziedzic tych wszystkich milionów poważnie zainteresuje się pielęgniarką swojej bratowej?

— Jestem przekonana, że już się zainteresował.

— Ważnym słówkiem jest „poważnie”. — Chantel roześmiała się, a ja zauważyłam:

— Cóż, przynajmniej ty nie myślisz o nim poważnie.

— Wiesz przecież, że jestem niepoważna.

— Nie zawsze. Nigdy nie zapomnę, Chantel, jak zeznawałaś na rozprawie. Wtedy nie byłaś niepoważna.

— Miewam chwile powagi.

— Nie potrafię przestać myśleć o ciotce.

— Daj spokój — powiedziała Chantel stanowczo. — Musisz przestać o niej myśleć. Przeszło, minęło. Teraz musisz zastanowić się nad przyszłością. Czy jest bardzo źle?

— Bardzo. Długi są dwa, trzy razy większe, niż sądziłam. Ciotka Charlotte najwyraźniej straciła zdolność właściwej oceny. Kupowała rzeczy, których nie da się sprzedać... Nigdy nie dostanę za nie nawet połowy tego, co zapłaciła, a pod koniec długi zaczęły narastać. Przedtem ciotka była bardzo skrupulatna, wcześniej nigdy by do czegoś takiego nie dopuściła.

— To przez jej dolegliwości. Choroba zmienia ludzi.

— Na pewno ją zmieniła.

— Powinnas się stąd wyprowadzić, Anno. To nie jest miejsce dla ciebie.

— Chantel, jak miło, że troszczysz się o mnie.

— Ależ, Anno, przecież wiesz, że traktuję cię jak siostrę.

— Właściwie znamy się tak krótko...

— Czas nie zawsze jest fundamentem, na którym tworzy się przyjaźń. Pewnych ludzi w miesiąc poznaje się lepiej niż innych w ciągu wielu lat. Zbliżyłyśmy się przez te wszystkie wydarzenia. Chciałabym, żeby między nami już tak pozostało, Anno.

— Ja też bym tego chciała. Ale przecież ty masz siostry.

Chantel się skrzywiła.

— To dziwne, jak czasem traci się kontakt z własną rodziną. Moja siostra Selina wyszła za mąż i pozostała we wsi, gdzie mieszkał ojciec. Kąty poślubiła lekarza i wyjechała do Szkocji.

— I nie widzisz się z nimi?

— Nie spotkałam się z nimi, odkąd przyjąłm posadę u lady Hen — rock. Widzisz, od niej przyszłam prosto do was i nie miałam czasu na wizytę w domu, a poza tym stąd do Yorkshire jest kawał drogi.

— Przypuszczam, że krewni bardzo chcieliby się z tobą zobaczyć.

— Siostry są o wiele starsze ode mnie, były dorosłe, kiedy się urodziłam. Jestem dzieckiem „po namyśle”, tak powtarzały. Matka stała się sentymentalna przed moim urodzeniem, wybrała mi imię ze starego nagrobka na cmentarzu koło probostwa. Pochowano tam młodą kobietę imieniem Chantel, która odeszła z tego świata w wieku dwudziestu czterech lat. Chantel Spring. Podobno matka powiedziała: „Jeśli to będzie dziewczynka, nazwę ją Chantel Spring”. I tak zrobiła. Jestem Chantel Spring Loman. Tak przynajmniej mi opowiadano. Nie znałam matki. Zabiłam ją, przychodząc na świat.

— Zabiłaś! Cóż za wyrażenie! Mówisz, jakby to była twoja wina.

— Trudno nie mieć poczucia winy.

— Moja droga Chantel, mylisz się. Powinnas niezwłocznie wyrzucić tę myśl z głowy.

— No i popatrz — odrzekła ze śmiechem. — Przyszłam, żeby udzielić ci rad, a nie sama się radzić.

— Jak więc brzmi twoja rada?

— Nie martw się. Sprzedaj wszystko, jeśli zajdzie taka konieczność. A potem obie ruszymy dalej.

— Jesteś dla mnie wielką pociechą, Chantel. Rozmawiałyśmy potem o zamku. Mojej przyjaciółce to miejsce rzeczywiście wydawało się ekscytujące. Zachowywała się jak zakochana dziewczyna, pomyślałam, tylko że jej wybranym był zamek Creditonów. Chyba że coś ukrywała. Nie wątpiłam, że jest bardzo zainteresowana Rexem Creditonem. Nie wydawała się jednak ani trochę niespokojna, chociaż sama mówiła, że Crediton w żadnym razie nie będzie myślał poważnie o pielęgniarce.

Nie chciałam, by zraniono ją tak jak mnie. Dziwnym zbiegiem okoliczności Chantel, o której naprawdę zaczęłam myśleć jak o siostrze (zawsze marzyłam, by ją mieć), podobnie jak ja zbyt mocno zainteresowała się jednym z braci. Zbyt mocno dla naszego dobra.

\* \* \*

Po jej odejściu nastrój mi się poprawił, czułam, że cokolwiek nastąpi, dam sobie radę.

Pragnęłam więcej dowiedzieć się o zamku. Chantel zabrała pamiętnik, bo jak to określiła, musi go jak najszybciej „uaktualnić”. Powiedziałam jej, że nie mogę się doczekać, kiedy przeczytam dalszy ciąg jej notatek.

— I ty też musisz uzupełnić swój, Anno. Chcę wiedzieć o wszystkim, co robisz i myślisz... niczego nie ukrywaj. To jedyny sposób, aby ujrzeć prawdę.

Zgodziłam się z nią.

\* \* \*

Nie od razu jednak miałam okazję przeczytania pamiętnika Chantel. Nim do tego doszło, podjęłam decyzję o wyprzedaży. Rozważałam nawet sprzedaż domu i udałam się do pośrednika handlu nieruchomościami. Dowiedziałam się od niego, że nie będzie to łatwe. Dom jest interesujący, lecz od lat nieremontowany. Dach przecieka, w podłodze w jednym z pomieszczeń są korniki, a ściany od strony rzeki zmurszały.

— Budynek stoi zbyt blisko rzeki, a to miejsce jest wilgotne. Takie domy są niezwykle malownicze, lecz pochłaniają fortunę. Niech pani nie zapomina, że ten wybudowano cztery wieki temu. Szaleństwem byłoby wystawienie go na sprzedaż, bo tak wiele musiałaby pani wydać przedtem na remont, że w rezultacie nic by nie zostało.

Najlepszą radą, jakiej mógł mi udzielić, było wynajęcie domu za symboliczny czynsz z zastrzeżeniem, że lokator jest zobowiązany do utrzymania budynku w dobrym stanie. Oznaczało to, że za przywilej mieszkania w domu lokator musiałby zająć się ciekącym dachem, kornikami w podłodze i zmurszałymi ścianami.

— To możliwe do przyjęcia rozwiązanie — odrzekłam.

— Niech mi pani uwierzy — brzmiała jego odpowiedź — to jedyne rozwiązanie.

\* \* \*

Tak więc podjęłam decyzję. Sprzedam wszystkie ruchomości, spłacę długi i wynajmę dom. Zostanie mi niewiele, a może nawet nic, będę jednak wolna od wszelkich obciążeń.

Nie postanowiłam jeszcze, co zrobię potem, załatwienie tych spraw wymagało jednakże wiele czasu; wciąż miałam kilka miesięcy na zastanowienie się nad przyszłością.

Tymczasem w zamku sporo się działo, a ja dowiedziałam się o tym od Chantel — przede wszystkim wszakże z barwnych opisów w jej pamiętniku.

\* \* \*

9 maja. Dzisiaj poszłam odwiedzić Annę i usłyszałam o radach, jakie jej dawano. Sądzę, że z korzyścią dla niej będzie uwolnienie się od Domu Królowej i wszystkiego, co z nim związane — jeżeli nie wyprowadzi się tak daleko, że stracimy możliwość widywania się od czasu do czasu.

Szkoda, że nie można sprowadzić jej do zamku. Byłoby cudownie, gdybyśmy mogły mieszkać razem i omawiać na bieżąco wszystkie wydarzenia. Dzisiaj przyszła do mnie Edith Baines z lekarstwem, które doktor Elgin zostawił dla mojej pacjentki, i rozmawiałyśmy. Edith zupełnie nie przypomina Ellen. Jest pełna godności — jako przełożona pokojówek i żona pana Bainesa! Traktuje mnie jak 4 równą sobie, czyli łaskawie, choć bez protekcyjności, co jest zabawne, a jednocześnie korzystne. Sądzę, że Edith zna sporo sekretów zamku. Wyznała mi w zaufaniu, że wkrótce w domu będzie trochę zamętu. Poprzedniego dnia wezwała ją lady Crediton i powiadomiła, że na pierwszy tydzień czerwca zaprosiła Derringhamów.

— No i będą zabawy i gry, co oznacza pracę. Panu Bainesowi polecono wypastować salę balową, a słyszałam, że jaśnie pani rozmawiała też z ogrodnikami.

— Derringhamowie? — zapytałam. — To pewnie bardzo ważne osoby, skoro lady Crediton nie szczędzi starań, aby wizyta się udała.

— W pewnym sensie są naszymi konkurentami. — Edith zawsze daje do zrozumienia, że ma swój udział w Lady Linę. — Ale oczywiście wszyscy odnoszą się do siebie po przyjacielsku. Sir Henry jest przyjacielem pana Rexa i jaśnie pani. Prawdę mówiąc, sądzę, że sir Henry i lady Crediton uznali, iż panna Helena doskonale się nada dla pana Rexa.

— Doskonale się nada?

— Chodzi o małżeństwo, przez co firmy mogłyby się połączyć. To zawsze jest korzystne. Mój Boże, cóż za potęgą bylibyśmy, Credito — nowie i Derringhamowie razem.

— Brzmi to całkiem rozsądnie — potwierdziłam. Ellen wzniosła oczy do sufitu.

— Przyjazd gości oznacza jednak pracę, a niektóre z tych dziewcząt są takie leniwe, nie ma pani pojęcia. Przynajmniej bezpiecznie ożenimy pana Rexa. Po tym, co zrobił kapitan...

— Kapitan wydaje mi się bardzo tajemniczym człowiekiem.

— Ha, oto skutek... no cóż... — Edith z surową miną skrzyżowała ramiona. — Przecież to nie to samo, no nie? W końcu kim jest jego matka? Teraz zachowuje się jak dama, mieszka w wieży i nie musi nawet kiwnąć palcem. Jej pokojówka, Jane Goodwin, ma o niej jak najlepsze zdanie. Ale chodzi o to, od czego zaczynała. Chociaż naturalnie była pokojówką pani. — Edith doskonale orientuje się w hierarchii społecznej tych, którzy służą bogatym.

Bardzo miło nam się rozmawiało. Ludzie pokroju Edith to najlepsi informatorzy. Są praworzadni i mają poczucie więzi rodzinnych. Edith nie posiadałaby się ze zdumienia, gdyby zarzucono jej plotkowanie. Z ogromnym szacunkiem, a zarazem ciekawością odnosi się do rodziny chlebobawców, poza tym przecież, nie rozmawiała o ważnych sprawach państwa z jedną z niżej postawionych służących.

— Sądzę, że pani Stretton w młodości była bardzo piękna — zauważyłam.

— Jakoś nie widzę w tym usprawiedliwienia dla niej, siostrze Loman.

— A co z sir Edwardem?

— Sprawę powinno się było wyciszyć, ale... — Spojrzenie Edith padło na pyłki kurzu na szafce. Odniosłam wrażenie, że dla niej ta kwestia jest równie ważna jak postępowanie sir Edwarda wobec pokojówki swej żony. Pośpiesznie postarałam się odwrócić jej uwagę od szafki. Nie chciałam, żeby dostała burę młodzieńca Betsy, której obowiązkiem jest sprzątanie mojego pokoju. Pragnęłam pozostać ze wszystkimi na przyjaznej stopie.

— A więc dlaczego sprawy nie wyciszono? — zapytałam.

— Opowiadała mi o tym matka. Zanim wyszła za męża, pracowała w zamku, zresztą dlatego później przyjęto mnie. Pani Stretton, jak sama siebie nazywa, jest prawie o dwadzieścia lat młodsza od jaśnie pani. Wygląda na to, że sir Edward był przekonany o bezpłodności żony, w końcu pozostawali już małżeństwem od wielu lat. Zawsze we wszystkim mu pomagała, rozumiała się na interesach, wydawała przyjęcia i zapraszała odpowiednich ludzi, jednym słowem była

cudowną żoną pod każdym względem z wyjątkiem tego jednego. Nie mogła mu dać zdrowego dziecka. A sir Edward naturalnie pragnął mieć syna, który w stosownym czasie stanąłby na czele firmy.

— Oczywiście, że pragnął syna.

— Jaśnie pani miała kilka nieudanych prób. Sir Edward rozpaczał. A kiedy jaśnie pani znowu była brzemienna, nikt nie spodziewał się pomyślnego rozwiązania. Przedtem się nie udawało, a przecież pani dobiegała już czterdziestki. Lekarze kręcili głowami i obawiali się nawet o jej życie. Wtedy też rozniosła się wieść, że Valerie Stretton spodziewa się dziecka, a sir Edward przyznał się do ojcostwa. Pragnął syna, ślubnego, jeśli to możliwe, przede wszystkim jednak chodziło mu o potomka. Miał dwie szanse, a Valerie wydawała się tą bardziej prawdopodobną. Zawsze dla siebie stanowił prawo, zbyt więc skandal machnięciem ręki i nikt nie ośmielił się mu sprzeciwić, nawet żona, choć bardzo rozgniewała ją perspektywa, że jej pokojówka zostanie w domu i będzie traktowana z honorami jako matka dziecka, którego ojcem był on. Jednakże sir Edward zawsze przeprowadzał swoją wolę, nawet wobec małżonki. Jaśnie pani zległa ledwo w dwa dni po tym, jak Valerie Stretton urodziła dziecko. Sir Edward nie posiadał się z radości — miał syna. A w kilka dni później lady Crediton też powiła syna. Tak więc zyskał dwóch synów i nie zamierzał z żadnego zrezygnować. Sir Edward, powiadali, próbował wszystkiego i dlatego tak wiele osiągnął. Brał to, czego pragnął, a pragnął żony i kochanki. Ustalono, że chłopcy wychowywać się będą w zamku. Edward kochał obu, choć wcale im nie pobrażał. Zawsze mówił o „moich synach”. Dziecko Valerie Stretton otrzymało na chrzcie imię Redvers, ale lady Crediton chciała, żeby każdy od razu wiedział, kto jest najważniejszy, dlatego swojego syna nazwała Rex, król. Był synem z prawego łóża i spadkobiercą, tego stanu nic nie mogło zmienić, choć panicz Red też dostał swoją część... naturalnie mniejszą. Od małego pragnął iść na morze, za to Rexa przeznaczono do zajmowania się interesami. Na swój sposób każdy jest inny. Tylko że Rex to Crediton. Zastanawiam się, dlaczego sir Edward nie zmienił nazwiska Redversowi. Słyszałam, że gdyby coś przydarzyło się Rexowi...

— To znaczy gdyby umarł? — wtrąciłam.

Edith wyglądała na wstrząśniętą. Muszę zapamiętać, że „gdyby coś się przydarzyło” oznacza śmierć.

— Gdyby coś przydarzyło się Rexowi — powtórzyła stanowczo — no cóż, wtedy dziedzicem będzie Redvers.

— To wszystko jest szalenie zajmujące — oświadczyłam. Edith zgodziła się ze mną.

— Moja matka pracowała tu, nim narodzili się chłopcy, i często opowiadała o tych wydarzeniach. Pamiętam, jak mówiła o dniu, gdy wodowano statek. Wodowanie statku to wielka ceremonia. Sir Edward pilnował, żeby wszystko było, jak należy, powtarzał często, że to korzystnie wpływa na interesy. Chciał, żeby wszyscy wiedzieli, że Lady Linę powiększyła swą potęgę.

— To oczywiste — wtrąciłam kojącym tonem.

— Jak pani wie, wszystkie statki to damy. A ten akurat ochrzcić miała lady Crediton. Wszystko zostało ustalone, na oczach zebranego tłumu jaśnie pani zgodnie ze zwyczajem miała rozbić butelkę szampana o burtę. Postanowili, że statek będzie się nazywał „Lucky Lady” czy coś w tym rodzaju, mama nie zapamiętała dokładnie. Dzień przed ceremonią w zamku było bardzo niespokojnie. Lady Crediton odkryła związek sir Edwarda i Valerie Stretton. Zdenerwowała się wtedy ogromnie. Znała oczywiście skłonności męża, ale żeby tak postępować we własnym domu... tuż pod jej nosem, by tak rzec... To wzbudziło w niej gniew. Chciała natychmiast odprawić Valerie Stretton, ale sir Edward nie pozwolił. O tak, to był pamiętny dzień. A następnego dnia w czasie ceremonii wodowania zamiast powiedzieć: „Nadaję ci imię «Lucky Lady»”, czy jakoś tam, powiedziała: „Nadaję ci imię «Tajemnicza Kobieta»”. Cóż za niezależny charakter!

— Musiało to wywołać niezłe zamieszanie.

— Jedyna kobieta pomiędzy damami! Ale tak już zostawili. Nie sądzi pani, że to pokazuje, jaką kobietą jest lady Crediton? Zawsze potrafiła dopiąć swego, tylko w tej jednej sprawie jej się nie udało. To sir Edward rządził w zamku i wszyscy, nawet jaśnie pani, musieli ugiąć się przed jego wolą. Chciała się pozbyć Valerie Stretton, lecz sir Edward zaprotestował. Valerie zostanie. Zabawne, że lady pogodziła się z tym i Valerie została jako niania. Obie zawsze traktowały się chłodno i na dystans. Ale wie pani, sir Edward nie był zwyczajnym człowiekiem.

— Był jak wschodni szejik, który mieszka pod jednym dachem z żonami i dziećmi.

— Pewnie bym o tym nie wiedziała — zakończyła Edith — ale mało jest rzeczy, których nie wiem o zamku.

\* \* \*

*11 maja.* Wczoraj wieczorem myślałam, że moja pacjentka umiera. Miała straszny atak astmy, walczyła o każdy oddech. Posłałam Betsy po doktora Elgina. Przyszedł i powiedział, że muszę przygotować się na takie ataki. Są bardzo niebezpieczne. Kiedy stan chorej się poprawił, dał jej środek uspokajający. Później w moim saloniku, sąsiadującym z sypialnią, rozmawialiśmy o pacjentce.

— To bardzo niedogodna sytuacja — oznajmił. — O wiele lepiej by się czuła w klimacie, do którego jest przyzwyczajona. Nagłe zmiany pogody fatalnie wpływają na jej stan. Wilgoć jej szkodzi. A poza tym obawiam się u niej suchot. No i jej usposobienie też nie pomaga w leczeniu.

— Sprawia wrażenie nieszczęśliwej kobiety, panie doktorze.

— To małżeństwo wydaje się nieco niestosowne.

— Dlaczego przyjechała do zamku? Skoro jej mąż i tak rzadko bywa w domu, wydaje się to bez sensu.

— Naturalnie chodzi o dziecko. Dopóki pan Rex Crediton nie spłodzi dziedzica, chłopiec jest ważny. Chcą go wychować tak, by w przyszłości mógł zająć się interesami. Ona jest tutaj tylko i wyłącznie ze względu na dziecko.

— Pechowo dla matki.

— To nietypowa sytuacja. Słyszała pani pewnie, że chłopiec jest wnukiem sir Edwarda, choć z nieprawego łoża. Im jednak zależy, by w firmie pracowali członkowie rodziny, a im więcej, tym lepiej. Sir Edward zawsze ubolewał, że ma tylko dwóch synów. Pragnął licznej rodziny, ale ku swej irytacji to była jedyna rzecz, nad którą nie miał władzy. Lady Crediton najwyraźniej zdecydowana jest realizować jego plany. Dlatego młody Edward przyjechał tu, by razem z abecadłem poznawać tajniki przemysłu stoczniowego.

— Moim zdaniem pani Stretton tęskni za domem. A przy okazji, gdzie jest jej dom?

— To wysepka na Pacyfiku, niedaleko Wysp Tonga. Nazywa się Coralle. Wydaje mi się, że ojciec pani Stretton był Francuzem, a matka półkrwi Polinezyjką. Ona jest tu jak ryba wyrzucona z wody.

— Po wczorajszym ataku miała napad złości.

— Tego także należy się spodziewać. Musi pani dokładać starań, by pacjentka była spokojna.

Uśmiechnęłam się melancholijnie.

— Ona przypomina mi wulkan, gotów wybuchnąć w każdej chwili. To najgorsze usposobienie dla osoby z jej dolegliwościami.

— Pani musi pilnować, żeby była spokojna, siostró Loman.

— Może udałoby się to jej mężowi... gdyby wrócił do domu. Wyczuwam, że jest nieszczęśliwa z powodu jego nieobecności.

— Poślubiła kapitana statku, powinna więc przyzwyczać się do jego nieobecności. Proszę pilnie uważać na jej dietę. Nie pozwalać na ciężkie posiłki, zasadą jest mało i często.

— Tak, panie doktorze.

— Na śniadanie szklanka mleka lub kakao i chleb z masłem. O jedenastej mleko... i jajko, powiedzmy. Jajko można wbić do mleka. Do obiadu odrobina wina, a przed pójściem spać szklanka mleka z łyżeczką koniaku.

— Mam jadłospis, panie doktorze.

— Doskonale. Jej stan by się poprawił, gdyby była zadowolona z życia. Te niepokojące ataki są wynikiem wewnętrznego napięcia. Teraz prześpi niepokój i po obudzeniu bez wątpienia zastanie ją pani o wiele spokojniejszą.

Po odejściu doktora uświadomiłam sobie, jak bardzo się bałam. Naprawdę sądziłam, że pani Stretton umrze. Nie mogę udawać, że ją lubię, jest w niej coś antypatycznego, gdyby jednak umarła, musiałabym opuścić zamek. I dlatego zaczęłam się martwić. Lecz natu — ramie taki jest charakter mojej pracy. Spędzam w jednym miejscu jakiś czas, a potem, jak powiedziałyby Edith, „coś się przydarza” i moje umiejętności nie są dłużej potrzebne. To życie wędrownie, pozbawione korzeni; pojęłam to tutaj, w Langmouth, najpierw, kiedy musiałam zostawić Annę, i teraz, gdy pojawiła się perspektywa opuszczenia zamku. Zbyt mocno przywiązałam się do tego miejsca. Lubię grube mury zamku, a to, że nie jest autentyczny, w pewnym sensie czyni go znacznie mi droższym. Chyba polubiłabym sir Edwarda. Co za szkoda, że umarł, nim tu przyjechałam. Kilka razy spotkałam jego syna Rexa. Wygląda na to, że widzimy się często — o wiele za często, by przypisać to przypadkowi. Ten człowiek ogromnie mnie intryguje, pragnę dowiedzieć się jak najwięcej o jego dzieciństwie, gdy pozostawał pod opieką Valerie Stretton, a także usłyszeć, co myśli o swoim przyrodnim bracie Redversie. Chciałabym, żeby kapitan wrócił do domu. Jestem pewna, że nastrój mojej biednej pacjentki od razu by się poprawił, poza tym ciekawa jestem ich wzajemnych stosunków.

\* \* \*

*12 maja.* Wczoraj wieczorem byłam przy chorej, gdy się obudziła po śnie wywołanym lekami. Nazywa się Monique. To dystygowane imię w gruncie rzeczy w ogóle do niej nie pasuje. Wyobrażam ją sobie leżącą pod palmami na piaszczystej plaży i wpatrującą się w rafy koralowe. Poznała kapitana, gdy zawinął na Coralle po koprę, ryby czy coś w tym rodzaju w drodze do Sydney. Widzę ją z egzotycznymi czerwonymi kwiatami we włosach. Kapitan uległ jej wdziękowi od razu i niemądrze, ponieważ poślubił ją, nie zastanawiając się wcale, jak jego żona będzie pasować do rodziny Creditonów. Lecz to tylko fantazje, wszystko pewnie zdarzyło się zupełnie inaczej.

Kiedy siedziałam przy niej, usłyszałam, jak cicho mówi:

— Red. Dlaczego... Red... Ty mnie nie kochasz.

To wiele wyjaśnia, pokazuje bowiem, że mąż jest stale obecny w jej myślach.

Nagle zwróciła się do mnie:

— Jesteś tu, siostrze?

— Tak — odparłam kojąco. — Proszę odpoczywać. Tak zaleca doktor.

Posłusznie zamknęła oczy. Jest naprawdę piękna, trochę jak lalka z tymi swoimi gęstymi czarnymi włosami i długimi rzęsami. Na tle białej koszuli nocnej jej skóra wydaje się miodowa; czoło ma niskie. Szybko się zestarzeje, pomyślałam. Teraz nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Mruczała coś do siebie, pochyliłam się więc nad nią.



— On nie chce wrócić — mówiła. — Żałuje, że tak się stało. Pragnie być wolny.

Cóż, madame, pomyślałam, wcale się nie dziwię, jeśli często miewasz takie napady złości jak ten przed chwilą.

Była dzika, namiętna i nieokiełznana. Co też lady Crediton myśli o takiej kobiecie? Z jednej rzeczy na pewno jest zadowolona. Jeśli któryś z braci musiał już splamić honor podobnym uczynkiem, to przynajmniej nie był to jej ukochany syn. Mogłam sobie wyobrazić jej furię, gdyby szanowny Rex popełnił taki mezalians. Co by wówczas zrobiła? Czy dysponuje odpowiednią władzą, by móc cokolwiek zrobić? Bez wątpienia ma pakiet akcji przedsiębiorstwa i jest jednym z najważniejszych udziałowców.

W zamku pozostało jeszcze tyle ciekawych rzeczy do odkrycia, o wiele bardziej zajmujących od małżeńskich kłopotów tej ślicznej, wyrzuconej z wody rybki, którą się opiekuję.

\* \* \*

*15 maja.* Słyszałam dzisiaj, że kapitan wraca do domu, spodziewają się go za cztery tygodnie. Powiedział mi tym Edward. Zaprzyjaźniliśmy się od razu. Bystry z niego chłopiec i współczuję mu, że pozostaje pod opieką tej sztywnej jak kij panny Beddoes. Nie można sobie wyobrazić kobiety bardziej pozbawionej wyobraźni, Edward zaś w stosunku do niej jest naprawdę niegrzeczny. Kilka dni temu przyprowadziła go ze spaceru całego ociekającego wodą, bo postanowił wykąpać się w fontannie. Biedaczka bardzo się zdenerwowała, a on tylko się śmiał, gdy udzielała mu reprimendy. W pewnym sensie sama jest temu winna. Brakuje jej pewności siebie, a ten mały spryciarz wyczuwa to i wykorzystuje jak może. Wie, że moje polecenie musi wykonać albo sobie iść. Przypuszczam jednak, że mnie jest łatwiej, bo nie powierzono go mojej opiece. Wyraźnie daje mi do zrozumienia, że uważa mnie za mądrą; jest także przekonany, że opiekuję się jego mamą w taki sam sposób, w jaki biedna panna Beddoes opiekuje się nim, a władza nad dorosłą osobą dodaje mi w jego oczach powagi. Przychodzi do sypialni matki i przygląda się, jak podaje jej lekarstwa. Mam niewielką kuchnię, w której przygotowuję dla niej posiłki; tam też mnie obserwuje. Uwielbia podkraść „smaczki” z talerza mamy, jak to określa. Pannie Beddoes to się nie podoba, mówi, że jedzenie między posiłkami psuje mu apetyt, jednakże Edwardowi, jak większości chłopców, zakazany owoc smakuje najlepiej. Pod wieloma względami samotne z niego dziecko. On jest mały, zamek ogromny, a jego matka nie ma pojęcia, jak postępować z synkiem. Czasami rozpieszcza go i przytula, kiedy indziej zaś złości się i nie ma dla niego czasu. Widzę, że Edward nie darzy jej nadmierną sym — patią. Panny Beddoes nie cierpi, boi się lady Crediton, za to bardzo lubi babcię Stretton i codziennie ją odwiedza, tylko że Jane nie pozwala mu długo zostawać, bo jak twierdzi, chłopiec męczy jej panią. Nic więc dziwnego, że tak przywiązał się do mnie. Jak przypuszczam, czuje, że jestem przewidywalna, mój stosunek do niego nie ulega ciągłym zmianom. Nie rozplýwam się nad nim, prawdę mówiąc, ledwo zwracam na niego uwagę, lecz oboje się lubimy.

Tak więc Edward przyszedł rano, kiedy przygotowywałam dla jego matki mleko i chleb z masłem. Usiadł, nie odrywając ode mnie oczu, i machał nogami. Wiedziałam, że ma jakieś ekscytujące wieści i zastanawia się, od czego zacząć. Nie potrafił zatrzymać dla siebie tej informacji.

— Tatuś wraca do domu.

— Cieszysz się?

Nieśmiało przyjrzał się noskowi buta.

— Tak — odrzekł i zaraz dodał: — A ty?

— Jeszcze nie wiem.

- A kiedy będziesz wiedziała?
- Chyba jak go poznam.
- I polubisz go?
- Cóż, to będzie zależało od tego, czy on mnie polubi.

Z jakiegoś powodu moja odpowiedź go rozbawiła; roześmiał się głośno, ale może powodem była radość.

- On lubi statki, morze, żeglarzy i mnie...
- To brzmi jak piosenka — powiedziałam i zaczęłam śpiewać:

On lubi statki i morze,  
Żeglarzy i mnie...

Edward patrzył na mnie z wielkim podziwem.

- A ja wiem, co ty lubisz — dodałam.
- Co? Co?
- Chleb z masłem.

Położyłam kromkę na talerzu i podałam mu. Kiedy jadł, do pokoju weszła panna Beddoes. Wiedziała dobrze że musi iść prosto do mnie, gdy Edward gdzieś zniknął. Na jej widok chłopiec wepchnął kromkę do ust.

- Edwardzie! — wykrzyknęła gniewnie.
- Zakrztusi się — powiedziałam. — To mu zaszkodzi.
- Nie powinien tu przychodzić... i jeść między posiłkami.

W rzeczywistości krytykowała mnie, nie jego. Zignorowałam jej słowa i dalej kroiliśmy chleb. Panna Beddoes wyprowadziła Edwarda. W progu odwrócił się i spojrzał na mnie. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozplakać, mrugnęłam więc, co go rozśmieszyło. Zawsze go to śmieszy, a potem wykrzywia twarz na wszystkie sposoby, próbując odpowiedzieć tym samym. Naturalnie z mojej strony było to niewłaściwe zachowanie, bo podważyłam autorytet guwernantki, lecz powstrzymałam chłopca od płaczu, a w końcu jest taki samotny.

Kiedy przyniosłam tacę, Monique siedziała na łóżku w koronkowym peniuarze i przeglądała się w lusterku. Najwyraźniej do niej nowina także już dotarła. Jaka zmiana zaszła w tej kobiecie! Teraz była piękna.

Skrzywiła się jednak na widok tacy.

- Nie chcę tego.
- Och, niechże pani da spokój — powiedziałam — musi pani być zdrowa, kiedy kapitan wróci.
- Więc wiesz...
- Pani syn właśnie mnie o tym poinformował.
- Można ci wierzyć. Wiesz wszystko.
- Nie wszystko — odparłam skromnie. — Ale wiem, co jest dobre dla pani.

Uśmiechnęłam się optymistycznym uśmiechem pielęgniarki. Cieszę się, że w końcu kapitan wraca do domu.

\* \* \*

*18 maja.* To niewiarygodne, że jestem tu tak krótko. Mam wrażenie, że znam wszystkich na wylot. Wczoraj po południu przysłała po mnie lady Crediton, gdyż chciała usłyszeć raport o stanie pacjentki. Powiedziałam, że pani Stretton czuje się całkiem dobrze i nie ma wątpliwości, iż nowa kuracja, którą ustalił dla niej doktor Elgin, przynosi zbawienne skutki.

- Wygodnie pani mieszka, siostrze?
- Dziękuję, lady Crediton, bardzo wygodnie.
- Panicz Edward się przeziębził. Słyszałam, że wszedł w ubraniu do fontanny.

Zastanawiałam się, kto jest jej informatorem. Pewnie Baines; wyobraziłam sobie, jak Edith opowiada o wszystkim mężowi, a ten zanosi wieści lady Crediton. Przypuszczalnie wszystkie nasze występy są notowane i przedstawiane jaśnie pani.

— To zdrowy i silny chłopiec. Sądzę, że po dniu lub dwóch spędzonych w łóżku przeziębienie minie bez śladu.

— Porozmawiam z panną Beddoes. Naprawdę powinna lepiej go pilnować. Czy pani zdaniem, siostrze, doktor Elgin przy następnej wizycie powinien go zbadać?

Powiedziałam, że tak, ale nie ma potrzeby specjalnie wzywać lekarza.

Lady Crediton pochyliła głowę.

— Pani Stretton nie miała więcej tych niefortunnych ataków?

— Nie. Jej stan bardzo się poprawił, odkąd dowiedziała się, że mąż wraca do domu.

Usta lady Crediton zacisnęły się w twardą linię. Ciekawe, jaki jest jej stosunek do Redversa? Dowiem się po jego powrocie.

— Kapitan wróci dopiero po naszym przyjęciu. Muszę panią prosić, siostrze, by w tym czasie szczególnie zajęła się pani pacjentką. Byłoby dla nas nad wyraz niedogodnie, gdyby akurat teraz zachorowała.

— Zrobię wszystko, by pani Stretton czuła się dobrze.

Rozmowa dobiegła końca. Byłam nieco zdenerwowana. Niełatwo zbić mnie z tropu, ale w oczach tej kobiety migotał jakiś wężowy błysk. Wyobraziłam sobie, jak ze złością rozbija butelkę szampana o burtę statku i mówi zdecydowanym głosem: „Nadaję ci imię „Tajemnicza Kobieta»,„. Jakież gniew musi w niej budzić fakt, że przez tyle lat ta druga mieszka w jej domu! I jaką siłą charakteru musiał odznaczać się sir Edward! Nic dziwnego, że zamek jest takim fascynującym miejscem! Ile emocji unosi się w jego murach! Dziwię się, że lady Crediton nie wypchnęła rywalki przez okno, a Valerie Stretton nie dodała arszeniku do jedzenia jaśnie pani. Okazji obie musiały mieć aż nadto. A jednak wciąż mieszkają pod tym samym dachem, choć Valerie nie może już liczyć na protekcję kochanka. Myślę, że wszystkie owe namiętności już wygasły. Teraz obie są starymi damami, które dożyły wieku, gdy przeszłość wydaje się bez znaczenia. Czy jednak ludzie kiedykolwiek tak odczuwają?

Tak czy owak, wolałabym nie obrazić lady Crediton, choć na razie nie musiałam się o to martwić. Wydawała się całkiem ze mnie zadowolona.

Przypuszczałam jednak, że mniej kontenta była z panny Beddoes, która drżąc ze strachu, przyszła do jaśnie pani, gdy ja od niej wychodziłam.

Skierowałam się do ogrodu. Znajdował się tam Rex.

— Lubi pani nasze ogrody, siostrze Loman. Jestem przekonany, że uważa je pani za piękne.

— Uważam je za odpowiednie — odparłam. Uniósł brwi, dodałam więc: — Godne zamku.

— Bawią panią nasze obyczaje i my sami, siostrze Loman?

— Może zbyt łatwo mnie rozbawić — odparowałam.

— To wielki dar. Życie staje się o wiele znośniejsze, kiedy człowiek umie się nim cieszyć.

— Ja zawsze uważałam życie za łatwe do zniesienia. Roześmiał się lekko.

— Jeśli my panią bawimy — odrzekł — to pani bawi też nas.

— Cieszę się. Nie chciałabym pana nudzić albo wpędzać w melancholię.

— Nie wyobrażam sobie, by było to możliwe.

— Mam wrażenie, że powinnam dygnać i rzec: „Dziękuję pięknie, szlachetny panie”.

— Jest pani zupełnie inna niż młode damy, które spotykam.

— Obawiam się, że to prawda. Ja pracuję na życie.  
— Jest pani użytecznym członkiem społeczeństwa. Jakaż to przyjemność być pięknym i użytecznym zarazem!  
— Na pewno przyjemnie usłyszeć, że ktoś tak nas postrzega.  
— Siostra Loman przemawia surowo. To do pani nie pasuje.  
— No cóż, surowość stanowi część mojego zawodu. Pielęgniarki potrafią być smokami.  
— Pani też?  
— Jeśli sytuacja tego wymaga.  
— Wierzę, iż potrafi pani sprostać wymaganiom każdej sytuacji. Chciałbym myśleć o pani inaczej niż o siostrze Loman.  
— Jak sądzę, pyta pan o moje imię. Nazywam się Chantel.  
— Chantel. Niezwykłe... i urocze.  
— I lepiej pasuje do mnie niż „siostra”?  
— Nieskończenie lepiej.  
— Chantel Spring Loman — przedstawiłam się, a on zapytał, skąd się wzięło moje imię.  
Opowiedziałam, jak matka przeczytała je na nagrobku; uznał tę historię za ciekawą. Zaprowadził mnie do cieplarni, gdzie rozmawiał z ogrodnikami o kwiatach, które trzeba przynieść do domu na czas wizyty gości. Nie szczędziłam mu rad, gdy o nie poprosił. Pochlebilo mi, że przekazał je ogrodnikom ze słowami:  
— Tak należy zrobić.

\* \* \*

*21 maja.* Przez ostatnie dwa dni w domu rozgrywał się dramat, choć akt pierwszy umknął mej uwadze. Zauważyłam, że Jane Goodwin, pokojówka Valerie Stretton, czymś się niepokoi, zapytałam ją więc o samopoczucie.

— Czuję się doskonale, siostrze — odrzekła.  
— Wydałaś mi się... zmartwiona.  
— Och nie — zaprzeczyła i spieszenie odeszła.

Tak więc wiedziałam już, że coś się stało. Ciągle rozmyślałam o tym, co się dzieje w zachodniej wieży, ciekawa też byłam, co sądzi Valerie o powrocie syna. Czy oczekuje go niecierpliwie? Na pewno. Ze wszystkich relacji na jego temat wynika, że to fascynujący człowiek. Żona jest w nim zakochana do szaleństwa, a moja droga chłodna Anna gotowa była oddać mu serce, więc matkę bez wątplenia jego powrót uszczęśliwi. Na pierwszy rzut oka uznałam, że Jane to jedna z tych kobiet, których nadrzędnym celem jest służenie innym. Powątpiewałam, by kiedykolwiek prowadziła własne życie, najważniejsza dla niej pewnie zawsze była pani i przyjaciółka, w tym wypadku Valerie Stretton. Skoro więc Jane się martwi, kłopoty ma Valerie.

Dochodziła dziewiąta wieczorem. Podałam Monique kolację i czytałam w swoim pokoju, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Była to Jane.

— Och, siostrze, proszę szybko ze mną! — zawołała. — Chodzi o panią Stretton.

Pobiegnęłam do zachodniej wieży. Valerie Stretton leżała na łóżku, szara z bólu. Od razu domyśliłam się, co jej dolega; byłam pewna trafności mojej diagnozy. Zwróciłam się do Jane:

— Trzeba niezwłocznie sprowadzić doktora Elgina.

Jane pośpieszyła wypełnić polecenie, ja natomiast nic nie mogłam zrobić. Byłam przekonana, że to atak serca, taka myśl przyszła mi do głowy, kiedy tylko spojrzałam na Valerie.

Pochyliłam się nad łóżkiem.

— To wkrótce minie. Chyba już mija, prawda?

Nie odpowiedziała, sądzą jednak, że ucieszyła się z mojej obecności. Zdziwił mnie jej strój. Miała na sobie wysokie trzewiki, które pobrudziły błotem narzutę, na głowie zaś wciąż tkwił przekrzywiony teraz kapelusz z gęstą woalką, z pewnością dokładnie zasłaniającą twarz. Właśnie owa woalka szczególnie mnie zaintrygowała. Valerie wychodziła. Nie wierzyłabym, że to możliwe, gdybym na własne oczy nie widziała trzewików i kapelusza. Dlaczego o tej porze wychodziła tak ubrana?

Ból mijał. Ataki tego rodzaju trwają do pół godziny; wiedziałam, że ten nie należał do poważnych.

Był jednak ostrzeżeniem.

Nie niepokojąc Valerie, zdjęłam jej brudne buty oraz kapelusz. Płaszcz zostawiłam, bo przed przybyciem doktora nie chciałam ruszać chorej.

Gdy przyszedł, atak już minął. Zbadał Valerie, a ja delikatnie ją rozebrałam. Była zbyt wyczerpana, żeby coś więcej mu powiedzieć, ale opisałam objawy. Słuchał mnie z marsmem na czole.

Chora powinna odpocząć, polecił, musi teraz spać.

Później zaszedł do mojego salonu.

— Czy to bardzo poważne, doktorze?

Skinął głową.

— *Angina pectoris*, bez dwóch zdań. Cieszę się, że pani tu jest, siostrze. To znaczy, jeśli jest pani gotowa przyjąć następną pacjentkę.

— Naturalnie.

— Chcę, by pani pilnie na nią baczyła. W żadnym razie nie może się wysilać, musi unikać zmęczenia, niepokoju, podniecenia. I oczywiście trzeba uważać na jej posiłki, powinna jeść niewiele. Jak przypuszczam, miała już pani pod opieką podobne przypadki.

— Tak, pacjentka przed panną Brett chorowała na serce.

— To dobrze. Istnieje możliwość, że następnego ataku nie będzie przez tygodnie, miesiące... może nawet dłużej. Z drugiej zaś strony może do niego dojść za godzinę. Proszę dać jej odrobinę brandy, gdyby pojawiły się wcześniejsze symptomy. Przyślę pani azotan amylu. Wie pani, jak się go stosuje?

— Trzeba nalać pięć kropli na chusteczkę i pacjent wdycha opary.

— Tak jest. Czy pani Stretton była sama, gdy to się stało?

— Nie, była z nią Jane Goodwin. Tylko że pani Stretton skądś właśnie wróciła.

— Ach, za długo chodziła. W przyszłości musi uważać. Powinna zawsze mieć pod ręką bawełnianą szmatkę nasączoną azotanem amylu. Dam pani specjalny słoik z bardzo szczelnym wieczkiem. Należy pani pięć kropel na szmatkę, którą następnie trzeba schować do słoika. Jeśli pani Stretton poczuje, że zbliża się atak, a będzie sama, poradzi sobie bez trudu. Na razie niech odpoczywa pod opieką pani albo Jane Goodwin. Jane wydaje się rozsądną dziewczyną.

Zgodziłam się z jego opinią.

— Doskonale, teraz pójdę do lady Crediton i przedstawię jej sytuację. Powinna być wdzięczna za pani obecność w domu, siostrze Loman.

Lady Crediton nie była może wdzięczna, ponieważ w żadnym razie uczucia tego nie mogła obudzić osoba, której płaciła, ale uznała, że to niezwykle wygodny (jej słowa) zbieg okoliczności.

— Doktor Elgin zapewnił mnie, że zwróci pani uwagę na panią Stretton starszą — powiedziała. W jej ustach zabrzmiało to jak najłżejszy z możliwych obowiązków. — Rozumiem, że choruje na serce. — Zmarszczyła nos z dezaprobatą, jakby chciała dodać: „Jakże to typowe dla kobiety jej pokroju chorować na serce w takim czasie!”.

Pomyślałam, że jest twarda jak śruby wkręcane w „damy” należące do kompanii (jeśli w ogóle wkręcają w nie śruby — moja znajomość budowy statków równa jest zeru), nieustępliwa i surowa. I znowu zadałam sobie pytanie, jak taka kobieta mogła tolerować sytuację, w której postawił ją sir Edward. A to dowodziło, że on musiał być człowiekiem o żelaznej woli. Nagle przyszło mi do głowy, że to firmę kochała lady Crediton, Wielki Interes, zdobywanie pieniędzy. Sir Edward i ona byli partnerami nie tylko w małżeństwie, lecz i w przedsiębiorstwie, a skoro małżeństwo ją rozczarowało, postanowiła zrobić wszystko, by nie powtórzyło się to w interesach.

\* \* \*

*24 maja.* Atmosfera w zamku świadczy wyraźnie, że zbliżamy się do przełomu. Moim zdaniem będzie nim wizyta gości, rozpoczynająca się pierwszego czerwca. W zamku praca aż wre! Baines kroczy dumnie (inaczej nie można tego określić), badając zawartość piwnic z winem, instruując pokojówki i wydając polecenia lokajom. Wizyta Derringhamów zapowiada się na wydarzenie wielkiej wagi. Wyobrażam sobie, że Rex jest trochę niespokojny. Może perspektywa związku ze szlachetną Heleną nie przypadła mu do gustu. Zabawne, że nosi takie imię, Helen zapewne byłoby stosowniejsze. Powiedziałam mu o pięknej twarzy, która wysłała na morze tysiąc statków, a on uśmiechnął się z niejakim wysiłkiem, jakby sprawa była zbyt poważna (lub zbyt smutna), by z niej żartować. Rozumiem, że lady Crediton bardzo zależy na tym związku. Oczekuje, że Rex ożeni się zgodnie z jej życzeniami. Biedny Rex! Mam wrażenie, iż dla niego będzie to rodzajem próby. Poznał Helenę na jej pierwszym balu przed dwoma laty i jak podejrzewam, nie oczarowały go jej wdzięki. Lecz naturalnie lady Crediton ma pakiet kontrolny w firmie. O tym też mi powiedział. Sir Edward pozostawił wszystko w rękach żony. Musiał żywić wielki szacunek dla jej zmysłu do interesów, a jestem przekonana, że nie był człowiekiem, którego można zwieść. Tak więc wszystko wskazuje na to, że Rex znalazłby się w trudnym położeniu, gdyby nie zastosował się do życzenia mamy. Lady Crediton po prostu mogłaby nie przekazać swoich akcji Rexowi, gdyby ją zawiódł. Kogo wybrałaby w zastępstwie? Kapitana? Intrygujące. Nie, tego by pewnie nigdy nie uczyniła. Gorzko żałuje, że Red w ogóle ma jakieś udziały, lecz sir Edward zostawił mu niewielki pakiet akcji, no i zawsze będzie jednym z kapitanów Lady Linę. Byłam zaskoczona, że Rex mi się zwierzył. Łączy nas jednakże dość szczególna więź, chyba przypominająca moją przyjaźń z małym Edwardem. Obaj uważają, że różnią się od ludzi, których zwykle spotykają w swoim otoczeniu. Poza tym mieszkańcy zamku zachowują się dość niekonwencjonalnie.

\* \* \*

*25 maja.* Moja pierwsza podopieczna czuje się o wiele lepiej. Rozkwita. Powodem jest raczej myśl o powrocie męża niż moje starania. Tak to bywa z pacjentkami tego pokroju. Mam jednak problemy z nakłonieniem jej do odpoczynku i przestrzegania diety. To dziwne, ale im bardziej jest podekscytowana, tym więcej chce jeść. Przegląda garderobę i przymierza suknie, wszystkie w jaskrawych barwach. Najbardziej lubi kwiecistą szatę, luźną, powłóczystą i rozciętą niemal do kolan. Wygląda w niej „obco”, jak powiada z dezaprobatą Edith. Wczoraj znowu miała napad złości, ponieważ nie mogła znaleźć szarfy, na której jej zależało. Myślałam, że skończy się kolejnym atakiem, ale udało nam się go uniknąć. Moja druga podopieczna jest poważniej chora i spędzam z nią dużo czasu. Jane chętnie mnie wita, ponieważ umiem należycie zajmować się jej panią — czytam to z jej twarzy. Wczoraj zapytałam Valerie Stretton, czy daleko poszła tego dnia, gdy miała atak.

- Tak, dosyć daleko — odrzekła ostrożnie.
- Dalej niż zwykle?
- O wiele dalej.
- Zazwyczaj spaceruje pani tylko po posiadłości, prawda?
- Tak, lecz...

Szarpnęła narzutę, uznałam więc, że lepiej zmienić temat, bo ten nadmiernie ją denerwuje. Zastanawiałam się jednak, czy atak spowodowało przemęczenie, czy też jakiś niepokój?

Dowiedziałam się, że już wcześniej czuła pewne sygnały ostrzegawcze w postaci lekkich bólów w ramionach i piersiach. Mijały po kilku minutach, Valerie więc je zignorowała, uważając za reumatyzm.

— Rzecz w tym, żeby unikać nadmiernych wysiłków — wyjaśniłam. — Nie może pani się przemęczać. Sądzę jednak, że niepokój i zmartwienie mogą być o wiele niebezpieczniejsze.

I znowu dostrzegłam ten strach w jej oczach.

Wychodząc, byłam pewna, że coś ją dręczy. Zastanawiałam się, co to może być, a znając siebie, wiedziałam, że nie spocznę, dopóki tego nie odkryję.

\* \* \*

6 czerwca. Przez prawie dwa tygodnie nie miałam czasu pisać w pamiętniku. Nic w tym dziwnego, bo w zamku wiele się działo, a powodem naturalnie była wizyta Derringhamów. Przyjechali pierwszego czerwca. Był uroczy, niemal letni dzień, róże wyglądały wspaniale. Ogrodnicy dołożyli wszelkich starań, trawniki i rabaty zachwycaly wprost oczy, a powietrze wypełniał aromat goździków. W ogrodzie ustawiono namioty, co było pierwszym „zamieszaniem”, jak określiłaby to Edith. Wypatrywałam szlachetnej Heleny, a kiedy ją ujrzałam, pojęłam, czemu Rex jest taki melancholijny. Nie wątpię, że to kobieta pełna wszelkich zalet, trudno jednak nazwać ją ładną. Niezgrabna, ma wielkie stopy i dłonie, chodzi zaś jak ktoś, kto większość czasu spędza w siodle, co też bez wątpienia jest jej głównym zajęciem. Prawdę mówiąc, jej twarz przypomina koński pysk i śmieje się jak koń — rzecz by można, że rzy. Mówi głośno, przenikliwym głosem; jednym słowem wydaje się osobliwa. Zastanawiałam się, czy lady Crediton w młodości nie wyglądała podobnie, a potem przyszło mi do głowy, że sir Edward mógł odczuwać takie same opory, które — jestem o tym przekonana — odczuwa Rex. Jednakże sir Edward wypełnił swój obowiązek. Nie ulega wątpliwości, że lady Crediton z całego serca zaaprobowała pannę Derringham. Jakże mogłoby być inaczej, skoro przede wszystkim chodzi tu o milionową fortunę Derringhamów, a sir Henry nie ma syna. Co więcej, jest bardzo przywiązany do córki. Ucieszyłam się, że są ludzie, którzy ją kochają, ponieważ miałam wrażenie, że Rex nie zachowuje się jak uważający kawaler, czego oczekiwali po nim jego matka i ojciec Heleny.

Stałam w oknie i przyglądałam się gościom na trawniku. Dzień był cudowny, jakby nawet pogoda ugięła się przed wolą lady Crediton. Trawa sprawiała wrażenie miększej i bardziej aksamitnej niż zwykle, a kolorowe suknie, kapelusze z szerokimi rondami i parasole tworzyły uroczy obrazek, akcentowany ciemnymi plamami ubrań panów. Pragnęłam być tam z nimi. Wyobraziłam sobie, jak bym wyglądała: w zielonej jak trawa sukni, z wysoko upiętymi włosami. Może ozdobiłabym je kwiatami i woalką, niczym więcej, i miałabym parasolkę, zieloną, z białymi frędzelkami, jak ta, która podobała mi się najbardziej tam na dole. Gdybym dysponowała odpowiednim strojem, zeszlaby na dół i wmieszała się między gości, nie ustępując nikomu ani urodą, ani dowcipem — i nikt by nie wiedział, że jestem zaledwie pielęgniarką.

— Przystań, Kopciuszku — powiedziałam do siebie. — Nie ma sensu rozglądać się za dobrą wróżką z różdżką czarodziejską i dynią. Powinnaś się już nauczyć, że sama musisz być dla siebie dobrą wróżką.

Monique poszła na przyjęcie. Nalegała na to. Wyglądała dziwnie pośród tych wszystkich elegancko ubranych dam, Monique nigdy nie będzie elegancka, tylko barwna. Wyobrażałam sobie, że lady Crediton nie życzyła sobie jej obecności. Jakże to niewłaściwe z jej strony, myślała zapewne jaśnie pani, że żona kapitana Strettona poczuła się na tyle dobrze, by wziąć udział w przyjęciu, kiedy przedtem prawie cały czas była chora i doktor Elgin zalecił zatrudnienie pielęgniarki!

Rex odnosił się do niej z atencją, co z jego strony było uprzejme. Bardzo lubi Redversa, tak więc chyba uznał, że powinien być miły dla jego żony.

Poszłam odwiedzić moją drugą pacjentkę. Zastałam ją siedzącą przy oknie i przyglądającą się zebranym.

— Jak się pani miewa? — zapytałam, siadając obok.

— Bardzo dobrze, dziękuję, siostrzo Loman. To oczywiście nie była prawda.

— Takie to wszystko kolorowe — zauważyłam. — Kreacje niektórych dam są naprawdę piękne.

— Widzę pannę Derringham... tam, w niebieskiej sukni. Dobrze się jej przyjrzałam. Suknia była w niewłaściwym odcieniu błękitu, zbyt jasnym, przez co cera panny Derringham wydawała się zbyt opalona.

— Jak rozumiem, istnieje nadzieja, że w czasie tej wizyty ogłoszone zostaną zaręczyny — odezwałam się, bo nigdy nie potrafię powściągnąć ciekawości i zawsze poruszam tematy, na które chciałabym porozmawiać.

— To niemal pewność — odparła Valerie.

— Sądzi pani, że panna Derringham przyjmie oświadczenia?

— Ależ oczywiście! — Sprawiała wrażenie zaskoczonej sugestią, iż jakkolwiek panna mogłaby dać kosza Rexowi. Cóż, opiekowała się nim i kochała go bardzo, gdy był małym chłopcem, naturalnie nie tak bardzo, jak własnego syna, ale mali chłopcy łatwo przypadają do serca piastunkom.

— To będzie wspaniała rzecz, gdy oba przedsiębiorstwa się połączą, do czego w tym wypadku dojdzie naturalnym trybem. W ten sposób powstanie jedna z największych firm w całym królestwie.

— To świetnie — odrzekłam.

— Panna Derringham ma szczęście, Rex zawsze był dobrym chłopcem. Zasluguje na wszelką pomyślność, bo ciężko pracował. Sir Edward byłby z niego dumny.

— Tak więc ma pani nadzieję, że to małżeństwo dojdzie do skutku. Nie kryła zdziwienia, że można mieć wątpliwości w tej kwestii.

— Tak, i będzie zadośćuczynieniem za małżeństwo Reda. To prawdziwa katastrofa.

— No, może nie do końca. Mały Edward jest uroczym chłopcem.

Valerie uśmiechnęła się czule.

— Będzie dokładnie taki jak jego ojciec.

Miło się z nią rozmawiało, odniosłam wszakże wrażenie, że niewiele mi zdradziła. Otaczała ją atmosfera nieufności, co nie powinno dziwić, jeśli zważyć na jej przeszłość. Pamiętam, jak moja siostra Selina nazywała mnie inkwizytorem, bo jak mówiła, byłam bezwzględna, kiedy próbowałam wydobyć informacje od kogoś, kto nie chciał ich wyjawić. Muszę powściągnąć moją ciekawość. Jednakże, zapewniłam się w duchu, konieczne jest, bym wiedziała, co się dzieje w



umyśle mojej pacjentki. Muszę ją chronić przed nadmiernym wysiłkiem, przed zamartwianiem się — a jak mogę to zrobić, jeśli nie wiem, co ją dręczy?

A potem Jane przyniosła swej pani list.

Valerie wzięła go i kiedy jej wzrok padł na kopertę, poszarzała. Nie przestawałam mówić, udając, że nic nie zauważyłam, byłam jednak świadoma, że puszcza moje słowa mimo uszu.

Coś ją dręczyło. Żałowałam, że nie wiem, co to jest.

Wyraźnie dała do zrozumienia, że chce zostać sama. Tego nie mogłam już zignorować, pożegnałam się więc.

Po dziesięciu minutach przybiegła po mnie Jane. Wróciłam do Valerie i podałam jej azotan amylu. Zadziałał cudownie, udało nam się powstrzymać atak w zarodku.

Powiedziałam, że nie ma potrzeby wzywać doktora Elgina, który następnego dnia miał przyjść na wizytę. Do siebie zaś rzekłam: w tym liście było coś, co wytrąciło ją z równowagi.

Następnego dnia zdarzył się bardzo niemiły incydent. Od pierwszej chwili nie lubiłam tej Beddoes, ona zresztą odplącała mi tym samym. Valerie czuła się o wiele lepiej i postanowiła pójść z Jane na krótki spacer po ogrodach. Ja tymczasem w jej pokoju ścieliłam łóżko według wskazań doktora, który zalecał wysoko podnieść poduszki, gdy pojawiały się kłopoty z oddychaniem.

Szuflada nocnego stolika była na wpeł zasunięta i dostrzegłam w niej album z fotografiami. Nie mogłam się powstrzymać, by go nie wyjąć.

Zobaczyłam w nim kilka zdjęć, głównie chłopców. Pod każdym widniał czuły podpis: Redvers w wieku dwóch lat; Rex w wieku dwóch i pół lat. Na jednym znajdowali się sami chłopcy, na innych z Valerie. Była bardzo, bardzo piękna w tamtych czasach, aczkolwiek sprawiała wrażenie nieco udręczonej. Najwyraźniej próbowała zmusić Redversa, by patrzył tam, gdzie życzył sobie fotograf. Rex stał oparty o jej kolano. Scena była doprawdy urocza. Jestem przekonana, że Valerie serdecznie kochała obu chłopców, widać to po sposobie, w jaki o nich mówi. Wyobraziłam sobie, jak stara się nie faworyzować swego dziecka, w końcu obaj byli synami sir Edwarda.

Odłożyłam album na miejsce i wtedy zobaczyłam kopertę. Natychmiast też pomyślałam o sprawie, którą Valerie tak się przejęła; ciekawe, czy to ten list. Nie miałam pewności, ponieważ koperta była biała, zwyczajna. Podniosłam list. Trzymałam go w dłoni, gdy uświadomiłam sobie, że w pokoju ktoś jest i obserwuje mnie.

— Szukam Edwarda. Jest tutaj? — zapytał fałszywy, jękliwy głos.

Okręciłam się na pięcie z listem w dłoni, wściekła na siebie, wiedziałam bowiem, że wyglądam na winną. A prawda jest taka, że nie zajrzałam do koperty, podniosłam ją tylko, lecz wyraz twarzy guwernantki mówił wyraźnie, że jest przekonana, iż przyłapała mnie na gorącym uczynku.

Odłożyłam list na nocny stolik z całą nonszalancją, na jaką było mnie stać, i spokojnie odrzekłam, że Edward chyba jest w ogrodzie. Poszedł na spacer z babką i Jane.

Byłam bardzo zła na pannę Beddoes.

Nigdy nie zapomnę balu kostiumowego. Wykazałam się wielką brawurą, ale w moim wypadku to nic nowego. Dziwne, lecz namówiła mnie do tego Monique. Podejrzewałam, że dość mnie polubiła, być może rozpoznała we mnie taką samą jak ona buntowniczkę. Zachęcałam ją do zwierzeń, ponieważ wyznaję zasadę, że im więcej wiem o pacjencie, tym lepiej. Tak więc Monique opowiadała mi o domu, w którym mieszkała razem z matką na wyspie Coralle. Z jej opisu wynikało, że jest to dziwaczna, stara, podupadająca budowla położona koło plantacji trzciny cukrowej, należącej niegdyś do jej ojca, którą po jego śmierci trzeba było sprzedać. Słuchając Monique, miałam wrażenie, że czuję panujący tam leniwy i parny żar. Powiedziała mi, że jako dziecko często chodziła do portu. Wielkim wydarzeniem było pojawienie się obcych statków, na nabrzeżu ustawiano stragany z koralikami i rzeźbami, spódnicami z trawy, pantoflami i koszami,

które wyplatano, by sprzedać je gościom odwiedzającym wyspę. Tubyłcy śpiewem i tańcem witali i zegnali przybyszów. Oczy jej błyszczały, gdy o tym mówiła.

— Tęskni pani za wyspą — zauważyłam.

Przyznała, że tak. Zaczęła też kaszleć. Pomyślałam wtedy, że znacznie lepiej by się czuła, gdyby tam wróciła.

Była pod wieloma względami dziecinną, jej nastroje zmieniały się tak gwałtownie, że w chwili gdy się śmiała, nie można było mieć pewności, czy w następnej nie popadnie w melancholię. Pomiedzy nią a lady Crediton nie istniał nawet cień porozumienia; Monique swobodniej czuła się w towarzystwie Valerie, lecz Valerie była znacznie przystępniejsza.

Monique bardzo chciała iść na bal kostiumowy, rankiem jednak miała atak astmy i nawet ona zdawała sobie sprawę, że byłoby to szaleństwem.

— Za kogo by się pani przebrała? — zapytałam.

Odrzekła, że chciała ubrać się jak wyspiarka z Coralle. Włożyłaby piękne korale i wpięła kwiaty w rozpuszczone włosy.

— Jestem pewna, że wyglądałaby pani ślicznie — powiedziałam. — Ale wszyscy od razu odgadliby, że to pani.

Zgodziła się ze mną, po czym zapytała:

— A jak ty byś się ubrała... gdybyś mogła pójść?

— To zależałoby od strojów, jakie miałabym do dyspozycji. Monique pokazała mi maski, przygotowane na bal. Edward wziął je z wielkiej alabastrowej misy w holu, włożył jedną i wpadł do pokoju z okrzykiem: „Mamo, zgadnij, kto to!”

— Oczywiście nie musiałam zgadywać — dodała.

— Tak samo nikt nie musiałby zgadywać, kim pani jest — przypomniałam jej. — Od razu zdradziłaby się pani, a rzecz w tym, by ukryć swą tożsamość.

— Chciałabym zobaczyć cię w przebraniu, siostró. Mogłabyś iść jako pielęgniarka.

— I nie różniłoby się to od pani koralu i kwiatów we włosach. Rozpoznano by mnie od razu i wyrzucono za drzwi jako intruza.

Wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

— Siostró, rozśmieszasz mnie.

— Ha, lepsze to, niż gdyby pani przeze mnie płakała. Pociągał mnie pomysł maskarady.

— Ciekawe, jako kto mogłabym pójść? — powiedziałam. — Czy nie byłoby wspaniale, gdyby udało mi się całkowicie zmienić swój wygląd?

Monique podała mi jedną z masek. Włożyłam ją.

— Teraz wyglądasz grzesznie.

— Grzesznie?

— Jak kusicielka.

— Czyli dość odmiennie od mojego zwykłego wcielenia. — Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i ogarnęło mnie podniecenie.

Monique usiadła na łóżku i zapytała:

— No i co, siostró?

— Gdybym miała suknię...

— Poszłabyś jako wyspiarka?

Otworzyłam jej szafę; wiedziałam, że ma w niej egzotyczne stroje, które kupiła we wschodnich portach w czasie rejsu z Coralle do Anglii. Mój wzrok padł na zielono-złotą suknię. Zdjęłam uniform pielęgniarki i włożyłam ją. Monique klasnęła w dłonie.

— Pasuje do ciebie, siostró.

Wyciągnęłam szpilki z włosów, które rozpuszczone sięgnęły ramion.

— Jesteś piękna! — zawołała Monique. — Twoje włosy miejscami są rude!

Potrząsnęłam nimi.

— Teraz wcale nie przypominam pielęgniarki, prawda?

— Nigdy cię nie rozpoznają.

Spojrzałam na nią, lekko poruszona. Wiedziałam, że pójde na bal, lecz zaskoczyło mnie, że ona też o tym wie.

Rozejrzałam się po pokoju.

— Weź wszystko... co chcesz — powiedziała Monique. Znalazłam złote pantofle. — Kupiłam je, gdy tu płynęłam — dodała.

Pantofle były za duże, lecz to nie miało znaczenia. Pasowały idealnie do złoto — zielonej szaty.

— Kim jednak miałabym być? — Wzięłam cienką tekturę, której Edward używał w czasie lekcji rysunków (przyniósł swe ostatnie dzieło, aby pokazać je matce) i zwinęłam w kształt stożkowatego kapelusza. — Mam pomysł! — Wzięłam igłę z nitką i po chwili kapelusz był gotowy. Upięłam na nim szarfę Monique ze złotego szyfonu, a końce puściłam wolno.

Monique siedziała na łóżku, kołysząc się na piętach.

— A teraz włóż maskę, siostrze. Nikt cię nie rozpozna.

Ja jednak jeszcze nie skończyłam. Przewiązałam się w talii paskiem ze srebrnych ogniw, który Monique nosiła do peniaru, i przymocowałam do kółka pęk kluczy leżących na toaletce.

— Strzeżcie się kasztelanowej! — zawołałam.

— Kasztelanowa? — spytała Monique. — A kto to jest?

— Pani zamku. Ta, która ma klucze.

— Ach, do twarzy ci w tym wszystkim.

Włożyłam maskę.

— Odważysz się? — zapytała.

Mam w sobie brawurę i lubię ryzyko. Selina to widziała i ostrzegła mnie. Naturalnie, że zamierzałam iść na bal.

Cóż to była za noc — jestem pewna, że nigdy jej nie zapomnę. Byłam na dole, pomiędzy nimi, wejście do sali nie sprawiło mi żadnej trudności. Władzę nade mną przejęło podniecenie. Selina zawsze powtarzała, że powinnam zostać aktorką, a tamtej nocy rzeczywiście grałam. Choć niewiele było w tym udawania, bo naprawdę czułam, że jestem panią zamku, gospodynią przyjmującą gości. Szybko też znalazłam partnera. Tańczyłam, opierałam się próbom odkrycia mej tożsamości i flirtowałam żartobliwie, co zresztą chyba należało do tej przygody.

Zastanawiałam się, jak Rexowi układa się z Heleną Derringham. Byłam przekonana, że gdyby rozpoznał ją mimo kostiumu, dołożyłby starań, by jej unikać.

Czułam, że Rex odkryje moją obecność, było to prawie nieuniknione. Tańczyłam z pulchnym szlachcicem z okresu restauracji, kiedy ktoś siłą wyrwał mnie z jego objęć. Spoglądając w zamaskowaną twarz, wiedziałam, że ów trubadur to Rex.

Pomyślałam: jeśli ja go rozpoznałam, to czy on rozpozna mnie? Pochlebiałam jednak sobie, że moje przebranie było lepsze. Poza tym ja spodziewałam się go spotkać, on natomiast z pewnością nie spodziewał się mnie.

— Przepraszam za brutalne potraktowanie — powiedział.

— Cóż, serenada byłaby stosowniej sza.

— Opanowało mnie przemożne pragnienie — odparł. — To przez kolor pani włosów, bardzo niezwykły.

— Spodziewam się, że ułoży pan o nich balladę.

— Nie chciałbym pani rozczarować. Sądziłem jednak, że powinniśmy trzymać się razem... w końcu należemy...

— Należymy?

— Do mniej więcej tego samego okresu. Średniowieczna dama... kasztelanowa i ubogi trubadur, który czeka pod oknem, by śpiewać o swym uczuciu.

— Ten trubadur znalazłby jakoś drogę do zamku.

— Mogła pani przyjść jako pielęgniarka.

— Dlaczego?

— Tę rolę także odegrałaby pani perfekcyjnie.

— Mógł pan przyjść jako baron stoczniowy. Jak by to wyglądało? Mundur marynarski z łańcuszkiem małych statków na szyi?

— Widzę, że nie musimy się sobie przedstawiać — odrzekł. — Naprawdę myślała pani, że jej nie rozpoznam? Nikt poza panią nie ma takich włosów.

— A więc zdradziły mnie włosy! I co zamierza pan zrobić? Zadenuncjować mnie? Zwolnić... w odpowiednim trybie?

— Rezerwuję sobie prawo decyzji.

— Więc może pozwoli mi pan oddalić się z godnością. Jutro rano spodziewam się otrzymać wezwanie od jaśnie pani. „Siostrze, właśnie dowiedziałam się o pani niezwykle niewygodnym dla nas zachowaniu. Proszę natychmiast opuścić mój dom”.

— A co stanie się z pani pacjentkami, jeśli porzuci je pani w tak okrutny sposób?

— Nigdy bym ich nie porzuciła.

— Mam taką nadzieję.

— Cóż, skoro przyłapał mnie pan na gorącym uczynku, jak to się mówi, nic więcej nie pozostało do dodania.

— Sądzę, że do dodania pozostało bardzo wiele. Przykro mi, że pominięto panią przy zaproszeniach. Wie pani, że gdyby tę sprawę pozostawiono mnie...

Udałam, że oddycham z ulgą, od razu jednak wiedziałam, że ucieszyła go moja obecność.

Tańczyliśmy więc i żartowaliśmy, a Rex nie odstępował mnie na krok. Było bardzo miło, wiedziałam, że oboje tak myślimy. Lecz nawet jeśli on zapomniał o pannie Derringham, to ja nie. Na swój impulsywny sposób zapytałam go, czy wie, jak się przebrała. Odrzekł, że jej o to nie pytał. I czy ogłoszą zaręczyny? Na pewno nie tego wieczora, usłyszałam w odpowiedzi. Derringhamowie wyjeżdżają siódmego, wieczorem szóstego odbędzie się bal, bardziej uroczysty niż dzisiejszy.

— Intruzi nie będą mieć żadnych szans? — zapytałam.

— Obawiam się, że nie.

— Ogłoszą zaręczyny, wzniosą toasty, służący będą się bawić w swojej jadalni, a osoby, które nie pasują ani do parteru, ani do piętra, takie jak pielęgniarka i cierpiętnicza panna Beddoes, może również zostaną łaskawie dopuszczone do ogólnej radości.

— Zapewne.

— Jeśli mogę, powiem to teraz: życzę panu szczęścia, na które pan zasługuje.

— Skąd pani wie, że w ogóle zasługuje na szczęście?

— Nie wiem. Jeśli pan zasługuje, to życzę gorąco, by stało się pana udziałem.

Rex się zaśmiał.

— Towarzystwo pani to wielka przyjemność.

— Więc moje grzechy zostały przebaczone?

— To zależy, jakie pani popełniła.

— No cóż, weźmy dla przykładu dzisiejszy wieczór. Wprosiłam się na bal. Kasztelanowa z fałszywymi kluczami... i bez zaproszenia.

— Już mówiłem, że się cieszę z pani przyjścia.

— A powiedział mi pan o tym?

— Jeśli nie powiedziałem, to czynię to teraz.

— Ach, panie trubadurze, tańczmy więc. A czy wie pan, która godzina? Jak przypuszczam, o północy maski zostaną zdjęte. Muszę zniknąć, nim wybije ta straszna godzina.

— To znaczy, że kasztelanowa zmieniła się w Kopciuszka?

— A o północy raz jeszcze przemieni się w pokorną służkę.

— Nie zdawałem sobie dotąd sprawy z pani pokory, aczkolwiek przyznaję, że ma pani o wiele więcej interesujących przymiotów.

— Kogo to obchodzi? Zawsze podejrzliwie odnosiłam się do pokornych. Dalej, panie, wcale nie tańczysz. Mnie aż nogi się rwą, a czasu nie zostało mi wiele.

Tańczyliśmy i wiedziałam, że Rex z niechęcią myśli o mym odejściu. Wyszłam jednak na pełne dwadzieścia minut przed północą. Nie miałam zamiaru pozwolić, by odkryła mnie lady Crediton. Poza tym Monique bez wątpienia czekała, bym opowiedziała jej o wszystkim, co się wydarzyło. Z nią nigdy nic nie było wiadomo. Mogła nagle zdecydować, że sama się przekona. Oczyma wyobraźni ujrzałam, jak schodzi na dół i szuka mnie, i przypuszczalnie zdradza przed gospodarzami moją obecność.

Monique nie spała, kiedy poszłam do jej pokoju. Była w złym nastroju. Gdzie się podziewałam przez tak długi czas? Brakowało jej tchu, myślała, że zaraz będzie miała atak. Czy moje miejsce nie jest przy niej? Przypuszczała, że zejdę tylko na chwilę i zaraz wrócę.

— A jaka byłaby z tego korzyść? — zapytałam. — Musiałam pani udowodnić, że wszystkich potrafię oszukać.

Natychmiast wrócił jej dobry humor. Opisałam jej tancerzy, pulchnego szlachcica, który ze mną flirtował, naśladowałam jego głos i wymyśliłam rozmowę, jaką rzekomo prowadziliśmy. Tańczyłam po pokoju w kostiumie, bo nie miałam ochoty go zdejmować.

— Och, siostró — westchnęła Monique. — Wcale a wcale nie przypominasz pielęgniarki.

— Dzisiaj wieczorem nie — odrzekłam. — Dzisiaj jestem kasztelanową. Jutro będę surową pielęgniarką, przekona się pani.

Monique wybuchnęła histerycznym śmiechem, co mnie dość zaniepokoiło. Podałam jej tabletkę z opium, zdjęłam kostium, włożyłam uniform i siedziałam przy niej, aż zasnęła.

Później poszłam do siebie. Wyjrzałam przez okno; wciąż słychać było muzykę. Teraz na pewno tańczyli już bez masek.

Biedny Rex, pomyślałam złośliwie, nie może dłużej unikać panny Derringham.

\* \* \*

7 czerwca. W zamku panuje dziwna atmosfera. Derringhamowie wyjeżdżają. Wczoraj wieczorem odbył się uroczysty bal i wszyscy tylko o tym mówią. Edith przyszła do mojego pokoju pod pretekstem sprawdzenia pracy Betsy, w istocie jednak chciała ze mną porozmawiać.

— A to niespodzianka! — powiedziała. — Nie ogłoszono zaręczyn. Pan Baines wszystko przygotował, jak trzeba. Mieliśmy świętować w naszej jadalni, każdy się tego spodziewał. A tu po prostu nie ogłoszono zaręczyn.

— Jakie to dziwne! — odrzekłam.

— Jaśnie pani jest wściekła. Jeszcze nie rozmawiała z panem Rexem, ale to robi. A sir Henry jest zły. Nie okazał uznania panu Baine — sowi, a zawsze był bardzo hojny. Pan Baines przyrzekł mi nową suknię, bo uważał, że po zaręczynach sir Henry będzie hojniejszy niż zwykle.

— Co za szkoda! I co to właściwie oznacza? Edith nachyliła się ku mnie.

— Oznacza to, że pan Rex nie zachował się odpowiednio. W czasie balu nie poprosił panny Derringham o rękę. To bardzo dziwne, bo wszyscy się tego spodziewali.

— A to tylko dowodzi — zauważyłam — że człowiek nigdy niczego nie może być pewny. Edith gorąco przytaknęła moim słowom.

\* \* \*

9 czerwca. Lady Crediton jest bardzo zdenerwowana. Między nią a Rexem doszło do „scen”. Pełna gniewu wymiana zdań pomiędzy matką a synem nie mogła zupełnie ująć uwagi służących i, jak przypuszczam, odbyła się ożywiona dyskusja za zielonymi drzwiami przy stole, przy którym z jednej strony godnie zasiada pan Baines, z drugiej zaś jego żona. Edith naturalnie wiedziała sporo i wcale nie wzdragała się przed opowiedzeniem wszystkiego mnie. Byłam bardzo zainteresowana i żalowałam, że mój szczególny status w domu nie pozwala na branie udziału w owych szalenie zajmujących dyskusjach przy posiłkach, gdy toczą się tam ożywione rozmowy — jestem przekonana, że dla służby stanowią one rekompensatę za utraconą uroczystość.

— Powiadam pani — ciągnęła Edith — lady Crediton jest zła. Przypomniała nawet synowi o jego obowiązkach względem matki. Widzi pani, sir Edward wysoko ją cenił, a ona wciąż ma głowę do interesów. Ostatnie słowo we wszystkich sprawach należy do niej. I jeśli nawet nie może zostawić pana Rexa bez grosza, jak to mówią, to może odwrócić lwią część udziałów. Tak powiedziała, „odwrócić”, pan Baines słyszał wyraźnie.

— Ciekawam tylko, w którą stronę odwrócić? Kapitana Strettona?

— Nigdy! Może ustanowić coś w rodzaju trustu... może dla dzieci pana Rexa, jeśli oczywiście będzie je miał. Na pewno jednak może tak to załatwić, że pan Rex niewiele będzie miał do powiedzenia, kiedy jej zabraknie. Tyle samo, co teraz. Jaśnie pani okropnie się zezłościła, to pewne.

— A pan Rex?

— Powtarza, że potrzebuje czasu. Nie chce niczego czynić pochopnie.

— Czyli nie jest zdecydowanie przeciwny temu małżeństwu.

— Nie, tylko że jeszcze nie przekonał się w pełni do pomysłu matki. Dojdzie do tego.

— Czy można być tego pewnym?

— O, tak, bo tego chce jaśnie pani, a ona zawsze dostaje to, czego chce.

— Kiedyś... nie dostała. — Edith sprawiała wrażenie zaskoczonej, a ja udałam zmieszanie. — Cóż, wszyscy o tym wiedzą — ciągnęłam. — Chodziło mi o to, że cała ta sprawa z kapitanem i panią Stretton była zupełnie nie po jej myśli... ale musiała ją zaakceptować.

— Ach, taka była wola sir Edwarda. Nic nie dało się z tym zrobić. Ale teraz sir Edwarda nie ma, prawda? A jego miejsce zajęła jaśnie pani. Niech pani zapamięta moje słowa, pan Rex wcześniej czy później podejmie odpowiednią decyzję. Szkoda tylko, że tak z tym zwleka... kiedy się pomyśli o tych wszystkich przygotowaniach, jakie pan Baines poczynił, by służba mogła świętować.

— Bardzo to nie w porządku wobec pana Bainesa — potwierdziłam; zastanawiałam się, czy nie posunęłam się zbyt daleko, lecz Edith nie potrafiła rozpoznać ironii. Sytuacja bez wątplenia była niewygodna dla pana Bainesa.

\* \* \*

13 czerwca. Dzisiaj dowiedziałam się — od Edith — że sir Henry zabiera pannę Derringham w długi morski rejs. Będzie to korzystne dla samopoczucia obojga.

— Płyną do Australii — rzekła Edith. — Derringhamowie mają tam swój oddział. My też, naturalnie. W końcu płynamy głównie do Australii i z powrotem, więc mamy tam biuro. Sir Henry

nie jest człowiekiem, któremu chodzi tylko o rozrywkę. Ale oczywiście wybierają się w podróż z powodu rozczarowania.

— A co jaśnie pani o tym myśli?

— Jest rozgniewana. Wie pani, nie byłabym zdziwiona, gdyby ukarała pana Rexa.

— Wyśle go do łóżka bez kolacji?

— Och, siostrze, pani sobie żartuje. Mówiła o prawnikach i tak dalej.

— Ja jednak sądziłam, że to tylko zwłoka i że potrzeba mu czasu.

— Przypuśćmy, że ona kogoś tam pozna?

— Ale na pewno nie istnieje druga taka linia jak nasza!

— Na pewno nie — potwierdziła Edith stanowczo. — Tylko że sir Henry zajmuje się różnymi sprawami, prowadzi rozległe interesy. Może nawet ma innego kandydata do ręki panny Derringham.

— I co wtedy zrobimy?

Edith się roześmiała.

— Może pani iść o zakład, że jaśnie pani trzyma w rękawie asa. Tak, pomyślałam, ciekawe jednak, co będzie, kiedy go wykorzysta.

\* \* \*

*18 czerwca.* Kapitan wrócił do domu. W zamku zapanowało poruszenie. Kapitan nie jest tak ważny jak Rex, jakimś cudem jednak okazało się, że jego obecność stała się dla wszystkich odczuwalna. Przez ostatnie kilka dni Monique zachowywała się wprost nieznośnie i nie można było nad nią zapanować — przechodziła od podniecenia do depresji i tak w kółko.

— Pokochasz kapitana, siostrze — powiedziała.

— To chyba przesada — odrzekłam, postanawiając grać rolę opanowanej pielęgniarki.

— Nonsens! Wszystkie kobiety go kochają.

— Czy jest tak oszalamiająco przystojny?

— To najprzystojniejszy mężczyzna na świecie.

— Na szczęście nie wszystkie mamy jednakowy gust.

— Na jego temat wszyscy mają podobne zdanie.

— Typowa opinia żony — uznałam — i naturalnie godna podziwu.

Monique przymierzała suknie, co bardzo ją wyczerpywało i później wpadała w depresję. Pewnego popołudnia przed jego przyjazdem znalazłam ją płaczącą. Nie było dziwne, że płakała, tylko to, że szlochała po cichu.

— On mnie nie chce — wykrztusiła.

— Co za bzdury — odrzekłam bez sensu. — Jest pani jego żoną. I bardzo proszę, niech się pani uspokoi. Przecież chce pani czuć się dobrze na jego powrót. No, zastanówmy się, co powinna pani włożyć na tę wielką okazję. Te przepiękne korale? Jakież one śliczne! — Zapięłam sznur koralu na szyi. Lubię piękne rzeczy i wyglądam w nich tak samo dobrze jak Monique. — Tak, korale i tę długą niebieską suknię. Jest bardzo twarzowa. — Moja podopieczna przestała płakać. Przyniosłam suknię z garderoby i przyłożyłam do siebie. — Proszę, czy nie ślicznie? Nie sądzi pani, że to odpowiedni strój dla posłusznej żony? — I przybrałam pokorny wyraz twarzy. Monique się uśmiechnęła. Wiedziałam, że często dzięki takim sztuczkom udaje mi się przemienić jej nastrój z burzliwego na pogodny.

Zaczęła mówić o mężu.

— Nie znaliśmy się zbyt dobrze, kiedy się pobieraliśmy. Przedtem był na wyspie... tylko dwa razy.

Wyobraziłam sobie wielki, błyszczący statek i kapitana, któremu nie sposób się oprzeć, piękną dziewczynę i tropikalną wyspę.

— Do domu przyprowadził go przyjaciel mojej matki — ciągnęła Monique. — Zjadł z nami obiad, a potem spacerowaliśmy po ogrodzie pomiędzy palmami w kształcie wachlarzy i rojami świetlików.

— I on zakochał się w pani.

— Tak, na jakiś czas. — Usta zaczęły jej drżeć. Wyobraziłam sobie kochliwego kapitana i zmysłową piękność w ogrodzie, gdzie świetliki migotały pomiędzy palmami w kształcie wachlarzy.

O tak, biedna Monique istotnie była trudna do zniesienia w tamtych dniach.

Po powrocie kapitana wszystko się jednak zmieniło, ponieważ jego obecność była wręcz namacalna. Poznawszy Redversa Strettona, zrozumiałam, na czym polega jego urok. Bez wątpienia jest przystojny, wyższy od brata, o jaśniejszych włosach bez tego rudawego połysku jak u Rexa, choć obaj mają podobne rysy. Kapitan śmieje się serdeczniej, mówi głośniejsze, jak sądzę, jest bardziej otwarty niż brat. Należy do awanturników, to typowy wilk morski, podczas gdy przygody Rexa związane są wyłącznie z interesami. Rex wydaje się błądy w porównaniu z kapitanem, który jest mocno opalony, a jego ciemnoniebieskie oczy bardziej przyciągają uwagę niż podobne do topazów oczy brata.

Nie mogłam nic poradzić na to, że jego przyjazd mnie także podekscytował. Zastanawiałam się jednak, czy dzięki niemu w domu zapanuje szczęśliwsza atmosfera. Zapewne matka z radością go zobaczyła; rozważałam, czy powinnam porozmawiać z nim o chorobie Valerie, ale to chyba sprawa doktora Elgina. Lady Crediton z oczywistych powodów potraktowała pana Strettona chłodno, lecz od Edith dowiedziałam się, że raczej go to rozbawiło, niż zasmuciło. Taki już z niego człowiek. Żal mi biednej Monique, ponieważ teraz nie ulegało już wątpliwości, że była nieszczęśliwa. Niestały jesteś w uczuciach, kapitanie, pomyślałam, raz zerwany egzotyczny kwiat stracił dla ciebie cały swój urok.

I wiele też rozmyślałam o Annie. Zawsze to czynię, częściej wszakże teraz, gdy kapitan jest w domu. Minęło wiele czasu, odkąd złożył jej ową wizytę, tak fatalną w skutkach dla starej panny Brett. Potrafię jednak zrozumieć, dlaczego Annę jego osoba tak zafascynowała.

\* \* \*

*20 czerwca.* Dzisiaj rano kapitan przyszedł do mojego pokoju; zachowywał się swobodnie i nonszalancko jak człowiek światowy.

— Siostró Loman — powiedział — chciałbym z panią porozmawiać.

— Naturalnie, kapitanie Stretton. Proszę usiąść.

— Chodzi o pani pacjentki — dodał.

A tak, na pewno martwi się o żonę i matkę.

— Obie teraz czują się lepiej — odrzekłam. — Zapewne sprawiła to radość z pańskiego powrotu.

— Czy w stanie mojej żony zaszły jakieś zmiany w okresie, gdy pani się nią opiekuje? Czy jej dolegliwości... się pogorszyły?

— Nie. — Obserwowałam go ukradkiem i zastanawiałam się, jakie uczucia żywi wobec Monique. Przypuszczam, że nie ma nic gorszego od namiętności okazywanej przez kogoś, na kim zupełnie nam nie zależy. Sądzę, że tak jest w jego wypadku. I zadałam sobie pytanie: czy kapitan ma nadzieję, że łaskawy los przyniesie mu wolność? — Nie — powtórzyłam. — Jej stan jest



właściwie taki sam jak wtedy, gdy tu przyjechałam. W dużej mierze zależy od pogody. Latem poczuje się nieco lepiej, zwłaszcza gdy nie będzie padało.

— W swoim kraju czuła się dobrze.

— To oczywiste.

— A... druga pacjentka?

— Doktor Elgin będzie mógł podać panu więcej szczegółów niż ja, myślę jednak, że pani Stretton jest bardzo chora.

— Te ataki...?

— Są objawem poważnej wady serca.

— I są też niebezpieczne — domyślił się kapitan. — Czy to znaczy, że w każdej chwili może umrzeć?

— Obawiam się, że to właśnie powie panu doktor Elgin.

Po krótkim milczeniu kapitan znowu przemówił:

— Przed podjęciem pracy tutaj opiekowała się pani inną pacjentką.

— Tak, w Domu Królowej. Chyba zna pan to miejsce — dodałam chytrze.

— Znam. Mieszkała tam panna...

— Brett. Ściślej mówiąc, dwie panny Brett. Starsza była moją pacjentką, młodsza, jej bratanica, mieszkała z ciotką.

Łatwo rozszyfrować tego mężczyznę, daleko mu do subtelności Rexa. Chciał zapytać o Annę, a ja poczułam przypływ przyjacielskich uczuć do niego. Przynajmniej o niej pamiętał.

— I umarła?

— Tak. Dość nagle.

Kapitan skinął głową.

— To musiało być trudne dla panny... hm, panny Brett.

— To było zdecydowanie nieprzyjemne dla nas obu.

— Słyszałem, że chora przedawkowała tabletki.

— Tak, zostało to dowiedzione w czasie rozprawy wstępnej — odrzekłam szybko; już dawno uświadomiłam sobie, że o tamtej sprawie mówię tonem rzucającym wyzwanie rozmówcy, by spróbował mi zaprzeczyć. I teraz też tak uczyniłam.

— A panna Brett wciąż mieszka w Domu Królowej?

— Tak.

Kapitan patrzył gdzieś ponad moją głowę; ciekawe, czy zastanawia się nad złożeniem wizyty Annie. Z pewnością nie. Wywołałoby to niezły skandal teraz, gdy jego żona mieszka w zamku. Jedno wszakże wiedziałam: Anna nie jest Redversowi obojętna.

Do pokoju wszedł Edward, szukając ojca. Całą uwagę poświęcał teraz tylko kapitanowi i wpatrywał się w niego oczyma okrągłymi z uwielbienia. Pokazał mi model statku, który przywiózł mu ojciec. Chłopiec zabierał go do łóżka i nie wypuszczał z rąk przez całą noc, jak powiedziała mi panna Beddoes. Co więcej, doprowadzał ją do szaleństwa, puszczając statek po stawie; o mało się przy tym nie utopił, a panna Beddoes złapała katar, wyciągając Edwarda z wody. Teraz też niósł statek pod pachą. Zasalutował kapitanowi.

— Wszyscy obecni i gotowi? — zapytał pan Stretton.

— Tak jest. Wiatr się wzmaga, kapitanie.

— Uszczelnić klapy luków — odparł ojciec z powagą.

— Tak jest, kapitanie.

Przyglądałam się im, myśląc, że kapitan z taką samą łatwością potrafi oczarować dziecko, jak kobiety. To ten typ mężczyzny.

\* \* \*

21 czerwca. Dzisiaj rano Monique pluła krwią i widok ten tak ją przeraził, że miała jeden z najgorszych dotąd ataków astmy. Sądzę, że w nocy doszło między nią a kapitanem do awantury. Kapitan zajmuje pokój obok jej sypialni, a ponieważ mieszkam tuż, tuż, Monique zaś nigdy nie panuje nad sobą, często słyszę, jak podnosi głos w gniewie lub proteście. Doktor Elgin zbadał ją i uznał sprawę za bardzo poważną. Powiedział, że jej stan pogorszy się w zimie. Nasza pogoda nie będzie dobra dla Monique. Doktor stwierdził, że powinna wyjechać jesienią. Po wizytach u obu pacjentek udał się na długą rozmowę z lady Crediton.

\* \* \*

25 czerwca. Mamy śmierć w domu. O czwartej nad ranem obudziła mnie Jane Goodwin i błagała, bym poszła do jej pani. Wsunęłam stopy w pantofle, narzuciłam szlafrok, kiedy wszakże dotarłam do zachodniej wieży, Valerie Stretton już nie żyła. Byłam przerażona. Naturalnie orientowałam się w jej stanie, lecz kiedy człowiek staje twarzą w twarz ze śmiercią i uświadamia sobie, że nigdy więcej nie zobaczy osoby, która odeszła, przeżywa wstrząs. Wiem, że po tylu latach powinnam się przyzwyczaić — i tak jest do pewnego stopnia. Nigdy wcześniej jednak nie byłam tak poruszona śmiercią pacjenta. Historia życia tej kobiety głęboko mnie zajęła, zaczynałam lepiej poznawać Valerie. Byłam przekonana, że coś ją dręczy, i chciałam odkryć przyczynę owego niepokoju, żeby dokładniej zrozumieć jej przypadek. Po tamtym pierwszym ataku domyśliłam się, że gdzieś wychodziła, bo miała błoto na butach. Czułam, że w jej życiu wciąż toczy się jakiś dramat, i zależało mi, by go poznać. A teraz ona nie żyje.

27 czerwca. Dom żałoby to smutne miejsce. Lady Crediton uważa to za niezmiernie niewygodne, tak powiedziała mi Edith. Po wszystkich tych latach jej rywalka umarła. Zastanawiam się, co naprawdę czuje jaśnie pani. Jakie namiętności kryją się w tych murach! Kapitan jest w żałobie, przecież to jego matka umarła. Monique wpadła w przerażenie, boi się, że sama także umrze. Edward nic nie rozumie.

— Gdzie jest babcia? — zapytał. — Dokąd odeszła? Do nieba, odpowiedziałam.

— W wielkim statku?

Odparłam, że o to powinien zapytać ojca, a on pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że tata na pewno będzie wiedział. Ciekawe, co kapitan mu powiedział. Doskonale radzi sobie z dziećmi... z dziećmi i kobietami.

Zachodnia wieża jest miejscem żałoby. Lady Crediton nie życzy sobie, by całun pogrzebowy przysłonił cały zamek. W sypialni Valerie opuszczono żaluzje, trumna stoi na kozłach. Poszłam zobaczyć zmarłą po raz ostatni; leży tam w białym czepku z falbankami, zakrywającym włosy, a twarz ma młodą, jakby śmierć była niczym prasowaczka, która żelazkiem wygładziła zmarszczki. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak przed wielu laty przybyła do zamku, jak pokochała sir Edwarda, a on ją. Połączyła ich gorąca namiętność, a teraz oboje są martwi. Ale ich namiętność przetrwała, dowodem na to jest kapitan, taki męski i pełen życia. Oraz Edward, i dzieci, które będzie miał, i ich dzieci, i tak dalej. Romans Valerie i sir Edwarda pozostawi swój ślad w następnych pokoleniach. Byłam zła, że nie zdążyłam odkryć, czego obawiała się ta nieszczęsna kobieta, a co równie dobrze mogło przyśpieszyć jej śmierć. Kilka razy wracałam do mrocznego pokoju, by na nią popatrzeć. Biedna Valerie, jaki był jej sekret, z kim wówczas się spotkała? Oto klucz do zagadki. Osoba, do której poszła, osoba, która napisała do niej list. Bardzo chciałabym ją poznać. Powiedziałabym jej: „Przyśpieszyłaś jej śmierć”.

28 czerwca. Wczoraj o zmierzchu poszłam znowu do tej komnaty śmierci. Kiedy położyłam dłoń na klamce, usłyszałam w środku jakiś hałas i przeszedł mi dreszcz po kręgosłupie. Nie jestem przesadna, moja profesja przyzwyczała mnie do śmierci. Przygotowywałam ciała do pochówku, widziałam, jak chorzy umierają. Stojąc jednak przed tymi drzwiami, czułam się dziwnie i bałam się wejść do środka. Przez głowę przemykały mi głupie myśli. Wyobraziłam sobie, jak Valerie otwiera oczy i mówi: „Zostaw w spokoju moje sekrety. Kim jesteś, by wściubić nos w moje życie?”. Drżałam. Jednakże to szaleństwo wkrótce przeminęło. Znowu usłyszałam ów dźwięk, zduszone łkanie z pewnością wydawane przez żywą istotę. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. W mroku zobaczyłam trumnę, a obok niej... jakąś postać. Przez chwilę myślałam, że to Valerie — ale tylko przez chwilę. Natychmiast bowiem wrócił mi rozsądek i poznałam Monique. Płakała cicho.

— Pani Stretton, co pani tu robi? — zapytałam ostro.

— Przyszłam się z nią pożegnać, zanim...

— To nie jest odpowiednie miejsce dla pani. — Byłam energiczna i rzeczowa, zarówno dla własnego dobra, jak i jej. Nie potrafiłam pojąć, co przed chwilą mnie opętało. Sama o mało nie dostałam ataku hysterii.

— Och, to straszne... straszne — łkała Monique.

Podeszłam i mocno ujęłam ją za nadgarstek.

— Wracajmy do pani pokoju. Po co pani w ogóle tu przychodziła? Zachoruje pani, jeśli tak nierozsądnie będzie się pani zachowywać.

— Ja jestem następna w kolejce — szepnęła.

— Cóż za bzdury!

— Naprawdę bzdury, siostrze? Przecież wiesz, jaka jestem chora.

— Można panią wyleczyć.

— Tak, siostrze? Rzeczywiście w to wierzysz?

— Ależ tak, przy zastosowaniu odpowiedniej kuracji.

— Och, siostrze... siostrze... ty zawsze mnie rozśmieszasz.

— Proszę teraz się nie śmiać. Wracamy do pani pokoju. Dam pani ciepłe mleko z odrobiną koniaku, dobrze? Zaraz lepiej się pani poczuje.

Pozwoliła mi się wyprowadzić i muszę przyznać, że byłam zadowolona, opuszczając to pomieszczenie. Z jakiegoś dziwnego powodu nie potrafiłam przestać myśleć, że coś nas tam obserwuje... wnika w nasze najskrytsze myśli.

Monique także to czuła, ponieważ kiedy drzwi zamknęły się za nami, powiedziała:

— Bałam się... a mimo to musiałam tam pójść.

— Wiem — odrzekłam uspokajająco. — A teraz chodźmy.

Kiedy wróciłyśmy do jej sypialni, zaczęła pokasływać. O Boże! Znow ta fatalna, złowieszczą plama na chusteczce! Będę musiała powiadomić o tym doktora Elgina.

W obecności Monique milczałam jednak.

Przemawiając jak do dziecka, skłoniłam ją, żeby się położyła.

— Stopy ma pani zimne jak lód. Zaraz przyniosę butelkę z gorącą wodą. Najpierw jednak mleko z koniakiem. Nie powinna pani tam chodzić.

— Lepiej by było, gdybym to ja leżała w tej trumnie.

— Będzie pani miała swoją trumnę jak każdy z nas, gdy przyjdzie pora.

— Och siostrze, zawsze poprawiasz mi humor. — Uśmiechnęła się przez łzy.

— A koniak zrobi to jeszcze skuteczniej, zobaczy pani.

— Czasami jesteś surową pielęgniarką, a czasami... czasami kimś zupełnie innym.

— Powiadają, że wszyscy mamy dwa oblicza. Teraz chciałabym zobaczyć pani rozsądne oblicze.

To znowu ją rozśmieszyło, choć zaraz wybuchnęła płaczem.

— Nikt mnie nie chce, siostrze. Cieszyliby się... wszyscy.

— Nie będę słuchać takich nonsensów.

— To nie są nonsensy. Cieszyliby się, gdybym to ja leżała w trumnie. On też by się ucieszył.

— Proszę wypić mleko — powiedziałam. — Butelka zaraz będzie gotowa. I niech pani raczej pomyśli o tym miłym łóżku z puchową pościelą. Zapewniam panią, że jest wygodniejsze od trumny.

Słyszając to, Monique uśmiechnęła się do mnie przez łzy.

\* \* \*

*30 czerwca.* Dzień pogrzebu. W domu panuje ponura atmosfera. W jadalni na dole służba na pewno rozmawiać będzie o romansie nieboszczki z legendarnym sir Edwardem. Być może są jeszcze tacy, którzy to pamiętają. Ciekawe, czy ktoś z nich żyje. Chętnie bym o tym porozmawiała. Jane Goodwin jest załamana. Zastanawiam się, co teraz pocznie. Chyba pozostanie w zamku, Baines otrzyma polecenie, aby znaleźć jej jakieś zajęcie. Biedna Jane, była tak blisko związana z Valerie Stretton przez wiele lat. Valerie na pewno jej się zwierzała, ta kobieta musi coś wiedzieć. Głównym żałobnikiem był kapitan, bo ani Monique, dzisiaj zbyt chora, ani Edward nie wzięli udziału w pogrzebie. Poszedł natomiast Rex. Łączy go z kapitanem wzajemne przywiązanie — jak braci, którymi w połowie są. Pogrzebowe dzwony wydają się takie przygnębiające. Jane leży w swoim pokoju, pogrążona w rozpacz, Monique płacze, że to powinien być jej pogrzeb, bo tego pragną niektórzy. A kiedy poszłam do pokoju zmarłej podnieść żaluzje, na kogóż się natknęłam, jak nie na pannę Beddoes. Ona z jakiegoś powodu mnie nie lubi, z wzajemnością zresztą. Sprawiała wrażenie nieco rozczarowanej, gdy przekonała się, że po prostu walczę z żaluzjami. Ciekawe, czego się spodziewała. W moim pokoju słyszę dzwony z pobliskiego kościoła, które dzwonią i mówią światu, że Valerie Stretton odeszła.

\* \* \*

*4 lipca.* Przyszła do mnie Edith z najnowszymi wieściami.

— To prawie pewne, że pan Rex wyjeżdża — oznajmiła.

— Wyjeżdża? — powtórzyłam, co w istocie znaczyło: „Powiedz mi więcej”.

— Wyjeżdża do Australii. — Edith uśmiechnęła się chytrze. — A obie wiemy, kogo tam spotka.

— Derringhamowie mają tam filię i my też.

— Ha, widać wyraźnie, o co tu chodzi, prawda?

— Błyskotliwa strategia — przyznałam.

— A co to jest? — zapytała, nie czekała jednak na moją odpowiedź, przekonana, że sama ma do powiedzenia rzeczy o wiele ciekawsze niż ja. — Pan Baines słyszał, jak jaśnie pani rozmawiała z panem Rexem. „Musisz sprawdzić, co tam się dzieje”, tak mu powiedziała. „Twój ojciec przywiązywał dużą wagę do stałego kontaktu”.

— Do stałego kontaktu z Derringhamami?

— Cóż, dzięki temu sprawy mogą się wyjaśnić. Przecież miał już dostatecznie dużo czasu do namysłu, nieprawdaż?

— Też tak sędzę.

— Pan Baines jest niemal pewny, że pan Rex całkiem niedługo wyjedzie do Australii. Zmiany nigdy nie zachodzą pojedynczo. Pani Stretton przeniosła się na tamten świat... a teraz pan Rex wyjedzie.

Zgodziłam się, że bez wątpienia zajdą zmiany.

\* \* \*

*5 lipca.* Doktor Elgin wypytywał mnie dziś dokładnie o moją pacjentkę.

— Jej stan wcale się nie poprawia, siostró.

— W wilgotne dni zawsze czuje się o wiele gorzej.

— To oczywiste. Stan płuc uległ pogorszeniu.

— Sądzę, że astma też się pogłębiła, panie doktorze.

— Zamierzałem zaproponować, żeby wypróbowała siostra azotan amylu w razie ataku. Może jednak w jej przypadku nie byłoby to słuszne. Himrod's Cure także znany jest ze swej skuteczności. Nie znaczy to, że lubię gotowe leki, ale w tym akurat nie ma nic szkodliwego. Zna go siostra?

— Tak — odrzekłam. — Spala się proszek, a pacjent wdycha dym. To lekarstwo okazało się skuteczne w przypadku jednej z moich pacjentek. Przekonałam się też, że podobne rezultaty daje spalanie papieru zanurzonego w roztworze saletry potasowej.

— Hmm — mruknął doktor. — Musimy jednak pamiętać o komplikacjach płucnych. Dam siostrze mieszaninę jodku potasu i soli trzeźwiących z wywarem z belladonny. Zobaczymy, jak to podziała. Lek będzie siostra podawać co sześć godzin.

— Dobrze, panie doktorze. I mam nadzieję, że utrzyma się sucha i ciepła pogoda. Tak wiele od tego zależy.

— Właśnie. Po prawdzie, siostró, to moim zdaniem nie powinni byli w ogóle jej tu sprowadzać.

— Może należałoby zalecić powrót do domu?

— Nie mam najmniejszych wątpiwości, że byłoby to rozsądne.

I po tych słowach udał się z raportem do lady Crediton.

\* \* \*

*8 lipca.* Dzisiaj w ogrodzie spotkałam Rexa.

— Korzysta pani z chwili odpoczynku, siostró? — zapytał.

— To konieczne od czasu do czasu — odrzekłam.

— A chodzenie jest odpowiednim substytutem tańca?

— Z tym raczej bym się nie zgodziła.

— Więc woli pani ubiór kasztelanowej?

— Oczywiście.

— Cóż, strój, który ma pani na sobie, jest tak samo twarzowy, choć niewykluczone, że pani uroda należy do tych, którym nie potrzeba dodatkowych upiększeń.

— Każda uroda wymaga odpowiedniej oprawy. Słyszałam, że wkrótce nas pan opuści. Czy to prawda?

— To niemal pewnik.

— I wyjeżdża pan do Australii, czy tak?

— Jest pani doskonale poinformowana.

— W zamku działa bardzo dobra agencja wywiadowcza.

— Ach, służba!

— Nie wątpię, że podróż sprawi panu przyjemność. Kiedy pan wyjeżdża?

— Nie wcześniej niż pod koniec roku.

— Tak więc wybiera pan australijskie lato, zostawiając nas w okowach zimy.

Przypatrywał mi się bacznie i poczułam irytację, ponieważ w najmniejszym stopniu nie okazał żalu. Zdawało mi się, że darzy mnie szczególną sympatią. Jednak nie, pomyślałam, to był tylko flirt. Jakżeby mogło być inaczej?

— Spodziewam się też — ciągnęłam — że sir Henry Derringham i jego córka, którzy, jak się dowiedziałam, już tam przebywają, zgotują panu serdeczne powitanie.

— Zapewne — odrzekł, a po chwili dodał: — Mówi się o powrocie pani Stretton do rodzinnego domu.

— Ach tak?

— Istotnie. Doktor rozmawiał z moją matką. Sądzę, iż doszła do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie wysłanie pani Stretton z powrotem do klimatu, do którego jest przyzwyczajona.

— Rozumiem.

— Przyszłość pani pacjentki wpłynie też na pani przyszłość — dodał Rex.

— Naturalnie.

— Moja matka będzie o tym z panią rozmawiać. Dla pani okaże się to oczywiście kompletnym zaskoczeniem.

— Oczywiście.

Poszliśmy potem nad staw i przez chwilę obserwowaliśmy starego karpia, który pływał tam i z powrotem.

Rex opowiadał o Australii, gdyż był tam przed kilku laty. Mówił, że port jest wspaniały. Wyznał, że zawsze chciał tam wrócić.

\* \* \*

*9 lipca.* Spodziewam się, że lady Crediton wkrótce po mnie przyśle. Co też mi powie? Czy zaproponuje, abym towarzyszyła pacjentce? Albo da mi miesięczne wymówienie... może dłuższe, jako że bez wątpienia będzie życzyła sobie, bym pozostała do wyjazdu Monique. Ale przecież chorej potrzebna będzie opieka w czasie rejsu. Australia. Nigdy nie myślałam o opuszczeniu Anglii, gdyby jednak mnie o to zapytano, odpowiedziałabym, że zawsze pragnęłam podróżować. Zastanawiałam się nad opuszczeniem domu i nie chodziło mi przy tym o dom rodzinny, lecz Dom Królowej, w którym mieszka Anna. Myśl o niej towarzyszy mi przy pisaniu pamiętnika, pod pewnym względem piszę go dla niej, ponieważ wiem, jak bardzo ciekawi ją wszystko, co dzieje się w zamku. Obecnie ja też podzielam jej zainteresowanie, co jeszcze bardziej nas zbliżyło. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, gdy myślę o wyjeździe, to rozłąka z Anną. Nie chcę się z nią rozstawać. Mogłabym opuścić zamek, choć z drugiej strony stał się nieodłączną częścią mego życia. Jakżeby mogła go zostawić?

\* \* \*

*10 lipca.* Dzisiaj w zamku było wielkie zamieszanie — zniknął mały Edward. Panna Beddoes popisała się w pożałowania godny sposób, straciła go z oczu tuż po południowym posiłku. Chłopiec odszedł od stołu, ale podobno nie dotarł do pokoju. Podejrzewam, że guwernantka ucięła sobie drzemkę, a gdy się obudziła, dziecka nie było. Nie przejęła się zbytnio i poszła szukać go w

ogrodzie. Kiedy wszakże nie wrócił o czwartej na codzienną szklankę mleka i ciasto, zaczęła się niepokoić. Pobiegła do jego matki, co było bardzo nierozsądne, ponieważ Monique wpadła w panikę i krzyczała wniebogłosy, że jej synek zaginął. Zaraz też domownicy, podzieleni na dwie grupy, ruszyli na poszukiwania. Kapitan poszedł z panną Beddoes i Bainesem, ja z Rexem, Jane i Edith. Skierowaliśmy się do ogrodu, byliśmy bowiem przekonani, że na pewno gdzieś tam jest. Przez zagajnik doszliśmy do żelaznego ogrodzenia na krawędzi klifu. Ogrodzenie było mocne i całe, lecz czy mały chłopiec nie mógłby prześliznąć się pomiędzy słupkami? Ze strachem spoglądałam na Rexa.

— To niemożliwe. Ktoś by go zobaczył — powiedział.

Nie sądziłam, by musiało tak być. Gdy tam staliśmy, usłyszałam głos Monique. Ona też dotarła do tego miejsca. Wyszła z domu w czerwonozłotym szlafroku, włosy opadały jej na ramiona, oczy miała szeroko otwarte i dzikie.

— Wiedziałam! — zawołała. — Wiedziałam, że tutaj przyszedł! Spadł! Pójdę za nim! Nikt mnie tu nie chce!

Natychmiast do niej podeszłam.

— To śmieszne. Edward jest gdzieś indziej... bawi się.

— Zostaw mnie! Oszukujesz mnie... wszyscy mnie oszukujecie! Nie chcecie mnie tutaj. Cieszylibyście się, gdybym to ja... — Miała jeden ze swoich ataków hysterii, a ja orientowałam się, jak mogą być one niebezpieczne.

— Musi pani wrócić ze mną do domu — poleciłam. Odepchnęła mnie, aż straciłam równowagę i byłabym upadła, gdyby w porę nie złapał mnie Rex. Już wcześniej zdążyłam poznać niezwykłą siłę, jaką odznacza się Monique w gniewie.

— On odszedł, a ja pójdę za nim! — krzyczała. — Nikt mnie nie powstrzyma!

— Jest pani chora. Musi pani natychmiast wracać — perswadowałam.

Ale ona już biegła ku ogrodzeniu.

Rex wyprzedził ją i próbował powstrzymać. Gdy na nich patrzyłam, ogarnął mnie okropny strach, że oboje stoczą się po klifie.

Nagle pojawił się kapitan z panną Beddoes i Bainesem. Widząc, co się dzieje, podbiegł do żony, złapał ją i odciągnął.

— Cieszyłbyś się... cieszył... — Urwała i zaczęła kaszleć.

Zbliżyłam się do nich. Kapitan obrzucił mnie cierpkim spojrzeniem.

— Zaniosę ją do domu — oznajmił i wziął Monique na ręce, jakby była dzieckiem.

Poszłam za nimi, wyczuwając panujące z tyłu milczenie. Na moment wszyscy zapomnieli o zagubionym dziecku.

Wiedziałam wyraźnie, że wkrótce atak osiągnie apogeum, chciałam więc, by chora jak najszybciej znalazła się w swoim pokoju, gdzie będę mogła podać jej leki. Powiedziałam kapitanowi, że moim zdaniem należy niezwłocznie posłać po doktora Elgina, po czym zaaplikowałam chorej przepisaną przez niego mieszankę.

Myślałam, że umrze. To był najgorszy atak, jaki miała podczas mojego pobytu.

Kiedy przyszedł doktor, oddech już jej się poprawił; była wprawdzie bezwładna z wyczerpania, ale zyskałam pewność, że tym razem jednak przeżyje.

Tuż przed pojawieniem się doktora mogłam jej powiedzieć, że chłopiec się odnalazł.

Nie byłam przygotowana na drugą scenę tego dnia. To ja znalazłam Edwarda. Gdy już podałam pacjentce lekarstwo i ułożyłam ją w pozycji najwygodniejszej dla chorej w jej stanie, poszłam do siebie po chusteczkę, bo swoją wcześniej oddałam Monique. W moim pokoju jest ogromna szafa, tak wielka, że bardziej przypomina pokoić i można w niej swobodnie się ukryć. Tam właśnie zobaczyłam Edwarda, który budował mosty z wieszaków, przycupnąwszy na poduszce.

— Wszyscy cię szukają! — zawołałam. — Wychodź stąd, na miłość boską.

Ujęłam go za rękę i wezwałam Betsy, która zaraz przybiegła. Na widok chłopca głośno odetchnęła.

— Przez cały czas był w mojej szafie — wyjaśniłam. — Natychmiast powiedz wszystkim, że jest bezpieczny.

Wróciłam do pacjentki, a po kilku minutach przybył doktor.

To był wyczerpujący dzień. Monique została ułożona do snu, doktor Elgin dał jej opium i powiedział, że będzie teraz spała do rana. Potrzebowała wypoczynku. Tak więc poszłam do siebie, postanawiając także wcześniej się położyć. Miałam sporo spraw do przemyślenia. Włożyłam już nocną koszulę i szczotkowałam włosy, gdy ktoś z rozmachem otworzył drzwi. Ze zdziwieniem zobaczyłam pannę Beddoes. Twarz miała wykrzywioną, policzki znaczyły ślady łez. Rzadko zdarzało mi się widzieć u kogoś tak gorącą nienawiść, a ta skierowana była przeciw mnie.

— Zaprzeczy pani, ale ja wiem, że to pani sprawka! — wykrzyknęła. — Przejrzałam panią na wylot! Jest pani zła i zawsze mnie nie cierpiała.

— Panno Beddoes, bardzo proszę, niech pani się uspokoi — odrzekłam.

— Jestem spokojna!

— Wybacz pani, ale daleko pani do spokoju.

— Niech pani nie próbuje na mnie tych pielęgniarskich sztuczek! Nie oszuka mnie pani tym łagodnym głosem. Jestem pewna...

— A ja jestem pewna, że opuścił panią zdrowy rozsądek.

— Opuścił mnie, kiedy po raz pierwszy panią zobaczyłam, bo w przeciwnym wypadku przygotowałabym się na pani podstępny.

— Panno Beddoes, błagam, niech pani się opanuje. Proszę usiąść i powiedzieć mi, co się stało.

— Stało się to, co pani zaplanowała.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi. Co też niby zaplanowałam?

— Moje odejście. Od pierwszego dnia wkradała się pani w łaski małego Edwarda.

— Ale...

— Och, niech pani nie zaprzecza. Jest pani obłudną intrygantką, siostrzo Loman, wiem o tym. Chce mnie pani usunąć z drogi. Nie lubi mnie pani... więc pomyślała pani, że można mnie odpędzić... jak muchę.

— Proszę mi wierzyć, kiedy mówię, że nic nie rozumiem. Nie mogę się bronić, dopóki się nie dowiem, o co jestem oskarżona.

Usiadła na krześle, istny obraz przerażonej kobiety.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć — odezwałam się łagodnie.

— Muszę odejść. Posłała po mnie lady Crediton. Oznajmiła, że nie sądzi, bym potrafiła we właściwy sposób opiekować się Edwardem. Mam się spakować i odejść, bo ona nie lubi, żeby pracownicy z wypowiedzeniem pozostawali pod jej dachem. Dała mi miesięczne wynagrodzenie.

— Och... nie!

— Dlaczego jest pani taka zdziwiona? Przecież o to pani chodziło.

— Panno Beddoes, ja... myśl o tym nigdy przez głowę mi nie przeszła.

— Czy nie sugerowała pani ciągle, że nie potrafię opiekować się chłopcem?

— Nic podobnego.

— Jego matka tu mieszka, ale on przychodził do pani.

— Lubię go, bo to mądry chłopiec. To wszystko. Wstała i podeszła do mnie.

— Po południu ukryła go pani w szafie. To pani sprawka, wiem.

— Panno Beddoes, nic takiego nie zrobiłam. Jakiż miałabym powód?



— Ponieważ wiedziała pani, że nie są ze mnie zadowoleni. Uznała pani, że to będzie ostatnia kropla... i tak jest.

— Mogę tylko powiedzieć, że pani się myli. Powinna gniewać się na panią, ale bardzo, bardzo pani współczuję. Czy nie brakuje pani... pieniędzy?

Po jej twarzy przebiegł skurcz. O Boże, pomyślałam, pomóż tej samotnej kobiecie. Bez wątpienia ci, których wychowano na panów, najciężej znoszą ubóstwo.

— Mam miesięczną pensję.

Podeszłam do komody i otworzyłam szufladę, z której wyjęłam dwa pięciofuntowe banknoty.

— Proszę to wziąć — powiedziałam.

— Wolałabym umrzeć — odparła dramatycznym tonem.

— Proszę... błagam.

— Dlaczego mnie pani błaga?

— Ponieważ podejrzewa mnie pani, choć nie do końca wiem, o co. Według pani to ja przyczyniłam się do tej sytuacji. To całkowita nieprawda, jeśli jednak mnie pani podejrzewa, musi pani to wziąć. Tyle jest mi pani winna.

Przeniosła spojrzenie z mojej twarzy na pieniądze, a w jej oczach dostrzegłam, że oblicza, na jak długo jej to wystarczy. Co do mnie, wyobraziłam ją sobie w jakimś samotnym pokoju, gdzie odpowiada na ogłoszenia o pracę, które wyglądają doskonale tylko na papierze. Pomyślałam o aroganckich i wymagających paniach domu, drażliwych starych damach poszukujących towarzyszek i złośliwych, bezmyślnych dzieciach w rodzaju Edwarda. Poczułam, jak pod powiekami wzbierają mi łzy.

Panna Beddoes także je dostrzegła; okazały się skuteczniejsze niż jakiegokolwiek słowa.

— Myślałam... myślałam... — Urwała.

— Że ja ukryłam dziecko? Po cóż jednak miałabym to robić? Nie widzi pani, że to bardzo naciągane? Och, rozumiem, jest pani strasznie zdenerwowana. Obawiam się, że lady Crediton była... niedelikatna.

Panna Beddoes kiwnęła głową.

— Weźmie pani pieniądze? Bardzo proszę. Nie jest tego wiele, bardzo chciałabym móc dać pani więcej.

Na powrót usiadła, z oczami utkwionymi w przestrzeń. Wsunęłam banknoty w kieszeń jej sukni.

— Zaparzę dobrą, gorącą herbatę — zaproponowałam. — Zdziwi się pani, jak poprawi to pani nastrój.

Nastawiłam czajnik. W żadnym razie nie byłam tak spokojna, jak wyglądałam, i dłonie lekko mi drżały.

Czekając, aż woda się zagotuje, obiecałam, że jeśli usłyszę o odpowiedniej posadzie, natychmiast dam znać. W mojej profesji przenoszę się z miejsca na miejsce. Nie zapomnę o niej.

Popijając herbatę, panna Beddoes powiedziała:

— Winna jestem pani przeprosiny.

— To zbędne — odrzekłam. — Ja wszystko rozumiem. Doznała pani wstrząsu. Rano lepiej się pani poczuje.

— Rano muszę opuścić zamek.

— Dokąd pani pójdzie?

— Znam bardzo przyzwoity pensjonat w mieście. Wkrótce na pewno coś znajdę.

— Jestem tego pewna — oświadczyłam.

Nie wątpiłam, że wychodząc, traktowała mnie jak przyjaciółkę. Trzęsłam się w duchu, mówiłam jednak poważnie, że dam jej znać, jeśli usłyszę o odpowiedniej posadzie.

\* \* \*

11 lipca. Dzisiaj wezwała mnie lady Crediton. Zapomniałam już, jaką budzi grozę, bo też rzadko miałam zaszczyt przebywać w jej obecności. Siedziała z plecami tak prostymi jak oparcie jej fotela, który wyglądał niczym tron. Śnieżnobiały czepek mógłby być koroną, z takim dostojęństwem go nosiła.

— Siostró Loman, proszę usiąść.

Zajęłam wskazane miejsce.

— Posłałam po panią, siostró, ponieważ mam dla niej propozycję. Przeprowadziłam kilka rozmów z doktorem Elginem, który mówi, że stan zdrowia pani pacjentki wcale się nie poprawia.

— Patrzyła na mnie surowo, jakby winę ponosiła moja niekompetencja, ja jednak nie byłam panną Beddoes, by dać się zastraszyć.

— Nie wątpię, iż doktor Elgin powiadomił panią o powodach takiego stanu rzeczy, lady Crediton.

— Jego zdaniem nasz klimat nie jest dla niej odpowiedni, dlatego też podjęłam tę decyzję. Pani Stretton uda się w podróż na swą rodzinną wyspę. Jeśli tam jej zdrowie się poprawi, będziemy wiedzieli, że to istotnie tutejszy klimat tak fatalnie na nią wpływał.

— Rozumiem.

— Tak więc, siostró, rzecz wygląda następująco. Pani Stretton będzie potrzebowała na czas rejsu pielęgniarki, w tej kwestii nie ma najmniejszych wątpliwości. Doktor Elgin bardzo wysoko ceni pani umiejętności. Proponuję więc rzecz następującą: będzie pani jej towarzyszyć i jeśli zechce, pozostanie na wyspie, w przeciwnym natomiast wypadku wróci pani do Anglii na mój koszt. Jeśli wszakże nie zdecyduje się pani towarzyszyć pani Stretton, pozostanie mi tylko zakończyć naszą umowę.

Przez chwilę milczałam. Naturalnie oczekiwałam tego, ciągle jednak myślałam o Annie.

— No więc? — zapytała lady Crediton.

— Rozumie pani, że to dość poważna decyzja. Niechętnie zgodziła się ze mną.

— Przyznam, że byłoby nieco dla nas niewygodne, siostró, gdyby zdecydowała się pani opuścić pacjentkę. Pani Stretton przyzwyczaiła się do pani... a pani ją rozumie.

Powiedziawszy to, czekała na moją odpowiedź. Użycie jej ulubionego słowa „niewygodne” sugerowało, że spodziewa się po mnie, iż uratuję ją od tego niepożądanego stanu.

— To prawda, że rozumiem panią Stretton — odrzekłam. — Mimo to jest to poważna decyzja. — A potem nagle dodałam: — Lady Crediton, czy mogłabym przedstawić pani pewną propozycję?

Sprawiła wrażenie zaskoczonej, nim jednak zdążyła odmówić, pośpiesznie ciągnęłam:

— Zastanawiałam się nad chłopcem. Przypuszczalnie będzie przy matce?

— Tak — potwierdziła z ociąganiem. — Na razie. Jest dzieckiem i w odpowiednim czasie wróci tutaj.

— Teraz jednak popłynie z panią Stretton?

Patrzyła na mnie zaskoczona. Nie w taki sposób przeprowadzała zwykle rozmowy z pracownikami.

— Panna Beddoes odeszła — mówiłam dalej. — Nie mogłabym podjąć się opieki nad chłopcem i pacjentką, ośmielam się jednak przypuszczać, że pani, lady Crediton, rozważy zapewne zatrudnienie guwernantki dla Edwarda.

Wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia. Nie miała w zwyczaju omawiać domowych spraw z ludźmi, których, jak uważała, to nie dotyczy.

— Istnieje możliwość — podjęłam szybko — że moja przyjaciółka mogłaby podjąć się opieki nad chłopcem. Jeśli się zgodzi... wówczas ja z przyjemnością będę towarzyszyć pani Stretton.

Lady Crediton, zbita z tropu moją śmiałością, nie potrafiła ukryć ulgi. Bardzo chciała, żebym popłynęła z Monique, a jednocześnie uświadomiła sobie, że Edwardowi potrzebna będzie guwernantka.

## *„Łagodna Dama”*

Kiedy owego dnia Chantel przyszła do mnie, wiedziałam, że coś się stało, gdy tylko usłyszałam szcęk żelaznej bramy i z okna na najwyższym piętrze zobaczyłam ją idącą przez trawnik. Wyglądała pięknie: pełna gracji, w powiewającej pelerynie, szła, ledwo muskając stopami ziemię. Była niczym obrazek ze „Złotej księgi baśni”, którą czytywała mi mama.

Pobiegłam do drzwi. Teraz nie musiałam już szukać drogi, bo pozbyłam się większości mebli. Objęliśmy się serdecznie. Chantel śmiała się głośno.

— Wieści! Wieści! — zawołała, przekraczając próg. Rozejrzała się i zauważyła: — Ho ho, ale tu się zmieniło. Teraz to rzeczywiście wygląda jak hol.

— Mniej więcej tak miało tu wyglądać — odrzekłam.

— Dzięki Bogu, zostało tylko kilka tych okropnych starych zegarów. Tik tak, tik tak. Nie rozumiem, jak mogły nie działać ci na nerwy.

— Niestety, poszły za bezcen.

— To nieważne, dobrze, że ich nie ma. Teraz posłuchaj, Anno, coś się wydarzyło.

— Widzę.

— Chcę, żebyś przeczytała mój dziennik, wtedy zorientujesz się w sytuacji. Tymczasem idę na zakupy.

— Przecież dopiero przyszłaś.

— Dopóki nie przeczytasz moich zapisków, nie będziesz miała jasnego obrazu sytuacji. Bądź rozsądna, Anno. Wracam za godzinę, nie później. Siadaj więc i czytaj.

I wyszła, zostawiając mnie z pamiętnikiem w dłoni w pustym holu.

Zrobiłam więc, jak mi kazała. Gdy już dotarłam do dość nieoczekiwanego zakończenia jej relacji, kiedy to złożyła lady Crediton propozycję, wiedziałam, co się święci.

Złapałam się na tym, że z oczami utkwionymi w tych kilku meblach, których nikt nie kupił, myślę bez związku, że nigdy nie trafi się amator na wspaniałą szafkę z hebanową okładziną, zdobieniami z kości słoniowej i mosiądzu oraz figurkami przedstawiającymi wiosnę, lato, jesień i zimę. Kto obecnie chciałby mieć taką szafkę, choćby nawet i przepiękną? Co opętało ciotkę Charlotte, że wydała ogromną sumę pieniędzy na mebel, który na całym świecie znalazłby ledwo paru nabywców? A na piętrze znajdowała się jeszcze kolekcja chińska. W ciągu ostatnich tygodni jednakże otaczający mnie mrok zaczął się rozpraszać. Wszystko wskazywało na to, że będę w stanie spłacić odziedziczone długi i bez obciążeń zacząć od nowa.

Nowe życie. To właśnie proponowała mi Chantel.

Ledwo mogłam doczekać się jej powrotu. Poprosiłam Ellen, by przed wyjściem zaparzyła herbatę. Obecnie nie pracowała już codziennie. Pan Orfey objawił swoją władzę. Jego firma rozrastała się i chciał, by żona mu pomagała. To, że w ogóle przychodziła, było z ich strony szczególną przysługą.

Ellen odrzekła, że zaraz zaparzy herbatę, po czym dodała, że Edith często mówi o siostrze Loman w samych superlatywach.

— Naturalnie, że mają o niej dobre zdanie.

— Edith powiada, że jest nie tylko dobrą pielęgniarką, ale także rozsądną kobietą, i nawet jaśnie pani nie ma powodów do pretensji.

Byłam zadowolona; przez cały czas rozmyślałam o wyjeździe z Anglii i skończeniu z dziwną samotnością w Domu Królowej. Ludzie często mówią o rozpoczęciu nowego życia, to banał stary

jak świat, lecz propozycja Chantel rzeczywiście oznaczała całkowity przełom. Chantel byłaby jedynym ogniwem łączącym mnie z przeszłością.

Ale już raz kiedyś wyciągnęłam pochopne wnioski. Może źle odczytałam aluzje przyjaciółki i snuję nierealne plany, jak wtedy w przeszłości?

Ellen ustawiła filiżanki i dzbanek na lakierowanej tacy; wzięła serwis Spode'a z delikatnym srebrnym imbryczkiem w stylu gregoriańskim. Ach, co tam, przecież to nieistotne, a w końcu okazja jest naprawdę specjalna.

Ociągała się z wyjściem, chcąc przynajmniej zerknąć na Chantel. Kiedy wreszcie poszła, zostawiając nas same, moja przyjaciółka zaczęła opowiadać.

— Gdy tylko dowiedziałam się, że być może poproszą mnie o ten wyjazd, natychmiast pomyślałam o tobie, Anno. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym zostawić cię samą w tym pustym Domu Królowej, z niepewnymi perspektywami na przyszłość, to po prostu wykluczone. A potem wszystko tak pomyślnie się złożyło... jakby miała w tym udział sama opatrzność. Wyrzucono tę biedną starą Beddoes. Oczywiście wcale nie nadawała się na guwernantkę Edwarda i wcześniej czy później na pewno by ją spotkał taki los... Wtedy wpadł mi do głowy ten wspomniały pomysł i przedstawiłam go jaśnie pani.

— Nie napisałaś, co ci odpowiedziała.

— To dlatego, że mam prawdziwe wycucie dramatyzmu. Nie zauważyłaś tego podczas lektury mojego pamiętnika? Gdybym wszystko od razu opisała, nie byłoby właściwego efektu. A sprawa jest zbyt ważna. Chciałam osobiście przekazać ci wieści.

— Cóż w takim razie powiedziała?

— Moja droga, praktyczna Anno, nie odrzuciła mojego pomysłu.

— Nie wynika z tego, by bardzo jej zależało na zatrudnieniu mnie.

— Bardzo zależało? Lady Crediton nigdy nie zależy na zatrudnieniu nikogo. Zależec ma tym, których ona wybierze. Jest ponad wszystkimi, to istota z innej sfery. Odczuwa jedynie wygodę lub niewygodę i oczekuje, że ludzie z jej otoczenia dołożą starań, by ten pierwszy stan trwał bez zakłóceń. — Chantel się roześmiała, a ja pomyślałam, że dobrze znowu być z nią.

— Opowiedz mi więc, co się wydarzyło.

— A na czym skończyłam? Dałam jej do zrozumienia, że zgodzę się podróżować z panią Stretton, jeśli moja przyjaciółka zostanie guwernantką, opiekunką czy kim tam małego Edwarda. I natychmiast też zobaczyłam, że lady Crediton uznała to za wygodne rozwiązanie. Tak bardzo zbiłam ją z tropu tą propozycją, że nie miała czasu wywołać na twarzy zwykłego wyrazu surowego dystansu. Była zadowolona. Zyskałam dzięki temu przewagę. Powiedziałam: „Przyjaciółka, o której wspominałam, to panna Anna Brett”. „Brett”, powtórzyła. „To nazwisko brzmi znajomo”. „Zapewne. Panna Brett jest właścicielką sklepu z antykami”. „Czy nie doszło tam do jakiegoś niesmacznego incydentu?”. „Jej ciotka zmarła”. „W dość dziwnych okolicznościach?”. „Wyjaśniono to już w czasie rozprawy wstępnej. Opiekowałam się tą starą damą”. „Oczywiście”, odrzekła lady Crediton. „Jakie jednak kwalifikacje posiada owa... osoba?”. „Panna Brett jest doskonale wykształconą córką oficera. Naturalnie namówienie jej do wyjazdu może okazać się niełatwe”. Lady prychnęła szyderczo. Jakby chciała powiedzieć, że jeszcze nikogo nie trzeba było namawiać, żeby dla niej pracował! „A co ze... sklepem?”, zapytała z triumfem. „Bez wątplenia ta młoda osoba nie zechce zrezygnować z kwitnącego interesu, by zostać guwernantką!”. „Lady Crediton, panna Brett przeżyła ciężki czas, opiekując się ciotką”. „Zdawało mi się, że pani się tym zajmowała?”. „Miałam na myśli okres przed moim przybyciem. Choroba w domu jest bardzo... niewygodna... to znaczy w małym domu. I wiąże się z ogromnymi napięciami. Co więcej, sklep jest zbyt wielki, by mogła prowadzić go jedna osoba. Panna Brett sprzedaje firmę i wiem, że chętnie powitałaby odmianę”.

Lady Crediton od samego początku zdecydowała, że cię zatrudni, a wszystkie obiekcje wysuwała z czystego przyzwyczajenia. Po prostu nie chciała, abym pomyślała, iż czyni to chętnie. Rezultat jest taki, że jutro masz się stawić na rozmowę. Po powrocie powiem jej, czy zgadzasz się przyjść czy nie. Dałam jej do zrozumienia, że będę musiała cię przekonywać i że od twojego zdania może zależeć, czy będę towarzyszyć pani Stretton.

— Och, Chantel... to niemożliwe!

— Cóż, zapewne i tak pojedę. Widzisz, to moja praca, a zaczynam odnosić wrażenie, że rozumiem biedną Monique.

Biedna Monique! Jego żona! Kobieta, z którą był związany, kiedy przyszedł tutaj i kazał mi uwierzyć... Lecz nie, on tego nie uczynił, to ja niemądrze coś sobie wyobraziłam. A teraz miałabym opiekować się jego synem?

— To jakieś szaleństwo — powiedziałam. — Zastanawiam się, czy nie dać ogłoszenia, że poszukuję pracy u antykwariusza.

— A iluż to antykwariuszom potrzebna jest pomoc? Wiem, że masz rozległą wiedzę, lecz pleć będzie działać na twoją niekorzyść. Szansa jest jeden do dziesięciu tysięcy, że znajdziesz posadę.

— To prawda. Potrzebuję jednak czasu do namysłu.

— „W zabiegach ludzkich jest przyływ i odpływ;

Pora przyływu stosownie schwyta wiedzę do szczęścia”\*

— zacytowała Chantel.

Roześmiałam się lekko.

— I sądzisz, że to właśnie taki przyływ?

— Wiem, że nie powinnaś tu zostać. Zmieniłaś się, Anno. Stałaś się... ponura. Ha, któż by nie był przygnębiony, mieszkając w tym miejscu... po wszystkim, co się tu wydarzyło?

— Muszę wynająć dom — oznajmiłam. — Nie mogę go sprzedać, zresztą nigdy mi się to nie uda. Tak wiele trzeba by w nim zrobić. Pośrednik znalazł pewne małżeństwo, uwielbiające stare budowle. Zamieszkają tu, w ciągu trzech lat dokonają niezbędnych remontów, a w zamian przez ten okres nie będą płacić czynszu.

— To załatwia sprawę.

— Chantel! Jak możesz tak mówić!

— Zostałaś przecież bez dachu nad głową. Ci ludzie zamieszkają w Domu Królowej i zajmą się remontami. Naturalnie, że to odpowiedź!

— Muszę wszystko sobie przemyśleć.

— Musisz jutro zobaczyć się z lady Crediton. Nie miej takiej przerażonej miny. Nawet wtedy sprawa nie będzie ostatecznie załatwiona. Porozmawiaj z nią, obejrzyj zamek. I pomyśl o nas, Anno. Pomyśl, jaka będziesz samotna, jeśli ja wyjadę, a ty dostaniesz pracę u jakiegoś żalosego antykwariusza, którego jeszcze nawet nie znalazłaś i przypuszczalnie nigdy nie znajdziesz.

— Skąd wiesz, że antykwariusz będzie żalosej?

— Będzie... w porównaniu z atrakcjami, które ja ci proponuję. Powiem lady Crediton, że przyjdiesz jutro na rozmowę.

Nim wyszła, opowiadała jeszcze o zamku. Udzieliła mi się jej sympatia do tego miejsca, tak wyraźnie przebijająca ze wszystkich zapisków w pamiętniku.

\* \* \*

---

\* W. Szekspir, „Juliusz Cezar”, przeł. J. Paszkowski

Jakże cicho było wieczorem w Domu Królowej. Księżyc wpadał przez okno, napelniając pokój bladą poświatą i wydobywając z mroku zarysy tych mebli, które jeszcze nie zostały sprzedane.

— Tik tak, tik tak — przemówił wiszący na ścianie wiktoriański zegar. Kto go zechce? Ten typ nigdy nie dorównywał popularnością stojącym.

Skrzypnęły schody; kiedy byłam mała, myślałam, że to odgłos kroków ducha, lecz to tylko kurczyło się drewno. Cisza wokół mnie — i w domu, teraz kiedy usunięto z niego nadmiar mebli — nabrała godności. Nikt nie podziwiał wyłożonych boazerią ścian, gdy zakrywały je wysokie komody i szafy. Nikt nie doceniał doskonałych proporcji pokoju, gdy meble w nim były ustawione — jak zwykłam mawiać — „tymczasowo”.

Wyobrażałam sobie, jak chciałabym urządzić dom. W holu postawiłabym skrzynię z okresu Tudorów, jaką widziałam na pewnej wyprzedazy i chciałam kupić, lecz mnie przelicytowano. Pochodziła z szesnastego wieku, na przodzie wyrzeźbiony był święty Jerzy ze smokiem. A do tego rzeźbiony stół i wysokie krzesła.

Jaki jest wszakże pożytek z takich rojeń? Nie mogłabym pozwolić sobie na mieszkanie w Domu Królowej, mimo że należał do mnie, bo gdybym tu zamieszkała, wkrótce popadłby w ruinę. Dla jego dobra musiałam go opuścić.

A ta propozycja? Wyjechać natychmiast, opuścić kraj. W przeszłości marzyłam o podróży, do Indii, do moich rodziców. Pamiętałam czasy, gdy z Ellen chodziłam na spacer do portu i patrzyłam na statki, myśląc o wyjeździe.

A teraz... pojawiła się taka okazja. Byłabym głupia, gdybym z niej nie skorzystała.

W przeciwnym razie cóż mnie czeka? Całkowita samotność. Bezskuteczne próby znalezienia posady. Jak powiedziała Chantel: ilu antykwariuszy akurat teraz szuka pomocnika?

Czułam natomiast, że perspektywa przygody już dziś sprawia mi przyjemność. Tak, byłam nawet podekscytowana. To dlatego nie mogłam zasnąć.

Włożyłam szlafrok, weszłam na podest u szczytu schodów. Z tego miejsca wtedy w nocy spadła ciotka Charlotte. Tu stałam z kapitanem Strettonem. Był za mną, trzymał świecę, razem zesliśmy na dół. Na nowo wróciły do mnie radość i podniecenie tamtych chwil, ponieważ wierzyłam wówczas, że w mym życiu zaczyna się coś cudownego. I wierzyłam w to aż do dnia, gdy dowiedziałam się, że kapitan jest żonaty... był żonaty, kiedy tu przyszedł, śmiał się ze mną i sprawił, że poczułam — pierwszy raz od śmierci matki — iż jestem dla kogoś ważna.

Po tych schodach zesliśmy do jadalni na kolację.

Teraz nie potrafiłam znieść myśli o tamtym wieczorze.

A zaproponowano mi opiekę nad jego synem!

Gdzie on wtedy będzie? Nie zapytałam o to Chantel. Wiedziała, że obecnie przebywa w zamku. Przypuszczałam, że wkrótce znowu wyruszy na morze, skoro jednak mam być guwernantką jego dziecka, czasami będę go widywać.

Cóż ja wyprawiam, chodząc nocą po domu ze świecą umieszczoną w pięknym złożonym lichtarzu, tym samym, który owej nocy trzymał kapitan, gdyż nie znalazł się nabywca?

Stawałam się ekscentryczna. Młoda panna Brett zmieniała się w dziwną pannę Brett; nie minie wiele czasu, a będzie dziwną starą panną Brett. Jeśli teraz nie skorzystam z okazji, będę to sobie wyrzucać do końca mego nudnego życia.

A jeśli skorzystam, jeśli zgodzę się wyjechać i opiekować jego synem, co stanie się wtedy?

\* \* \*

Ubrałam się starannie. Schludnie, pomyślałam, nie za bogato ani jaskrawo. Szata często jednak świadczy o człowieku... lub w każdym razie o kobiecie.

Myślałam o lady Crediton, z którą rozmawiałam tylko raz, w obecności ciotki Charlotte. Od tamtego dnia minęło wiele czasu. Byłam zdecydowana nie pozwolić, by miała nade mną przewagę.

Mimo niepokoju sprawiałam wrażenie chłodnej i obojętnej — nawet ludzie znający mnie dobrze nie poznaliby, że to maska ukrywająca prawdziwe uczucia. Nawet Chantel wierzyła, że panuję nad sobą i jestem panią sytuacji. Lady Crediton także musi w to uwierzyć.

Wynajęłam powóz, nie chciałam bowiem zjawiać się w zamku zarumieniona, z włosami rozwianymi przez wiatr. Uznałam, że w brązowym kostiumie (zdaniem Chantel w tym kolorze nie było mi do twarzy), skromnym kapelusiku ozdobionym szyfonem barwy słomy i prostych beżowych rękawiczkach wyglądam jak idealna guwernantka — jakbym godziła się na cudzą władzę, bo we własnej dziedzinie potrafię zyskać sobie posłuch.

Dlaczego jednak aż tak się przejmowałam? Jeśli nie przypadnę do gustu lady Crediton, to sprawa rozwiąże się i nie będę musiała podejmować decyzji.

Czy chciałam przyjąć tę posiadłość? Oczywiście tak, a chociaż wiedziałam, że na pewno spotkam kapitana i mogę zostać dotkliwie zraniona, perspektywa ujrzenia go wydała mi się niesłychanie fascynująca.

Otwierały się przede mną dwie drogi. Albo dalej będę prowadzić nudne, szare życie, albo rzucę się w wir nowych przygód. Uznałam jednak, że na obu tych ścieżkach spotkać mnie może nieszczęście. Któż to wie?

Tak więc... niechaj rzecz całą rozstrzygnie za mnie lady Crediton.

I znowu znalazłam się w zamkowym holu. Gobeliny wisiały na dawnym miejscu, w uszach niemal zabrzmiał mi jego głos. Jakież wrażenie wywarł na mnie ten mężczyzna! Bo przecież po tylu latach powinnam już o nim zapomnieć.

— Jaśnie pani przyjmie panią zaraz, panno Brett. — To był ów godny i szacowny pan Baines, o którym Ellen mówiła z nabożnym podziwem, a którego Chantel w swoim pamiętniku przedstawiła jako dość komiczną figurę.

Podążyłam za nim po schodach jak wtedy, w przeszłości. Miałam wrażenie, że cofam się w czasie i kiedy Baines otworzy drzwi, ujrzę ciotkę Charlotte targującą się o cenę sekretarzyka.

Lady Crediton niewiele się zmieniła. Siedziała na tym samym krześle z wysokim oparciem, despotyczna jak zawsze, tym razem wszakże moja osoba bardziej ją interesowała niż przy poprzednim spotkaniu.

— Proszę usiąść — poleciła.

Zajęłam miejsce na wskazanym krześle.

— Od siostry Loman wiem, że ma pani zamiar starać się o posiadłość guwernantki.

— Chciałabym poznać więcej szczegółów. Moja odpowiedź nieco ją zaskoczyła.

— Ze słów siostry Loman zrozumiałam, że jest pani wolna i może przyjąć tę posiadłość.

— Będę wolna za około miesiąca, jeżeli warunki uznam za odpowiednie.

Według Chantel tak właśnie należało rozmawiać z lady Crediton. Podczas gdy ona przedstawiała zakres mych przyszłych obowiązków oraz wysokość wynagrodzenia, ja z jednej strony, jak to miałam w zwyczaju, rozglądałam się bacznie i szacowałam wartość zgromadzonych w pokoju przedmiotów, z drugiej zaś z niepokojem zastanawiałam się nad skutkami tego spotkania i próbowałam zrozumieć, czego naprawdę pragnę.

Ten brak entuzjazmu podziałał na moją korzyść. Lady Crediton, nawykłą do pokory u ludzi, którzy u niej pracowali, każda oznaka niezależności zbijała z tropu i kazała jej wierzyć, że człowiek tak się zachowujący musi posiadać jakieś szczególne walory.

Swą przemowę zakończyła tak:

— Będę rada, panno Brett, jeśli przyjmie pani tę posiadłość i chciałabym widzieć panią w zamku tak szybko, jak to możliwe. Gotowa jestem zawrzeć z panią umowę taką samą jak z siostrą Loman.



Będzie pani towarzyszyć chłopcu do domu jego matki, a jeśli nie zechce pani tam pozostać, wróci pani do Anglii na mój koszt. Ponieważ guwernantka odeszła, musimy niezwłocznie zatrudnić nową.

— Doskonale to rozumiem, lady Crediton, i powiadomię panią o mojej decyzji za dzień lub dwa.

— Pani decyzji?

— Muszę pozatwierać sprawy związane ze sklepem. Jestem pewna, że zajmie mi to około miesiąca.

— Dobrze, ale decyzję może pani podjąć już teraz. Przypuśćmy, że zgodzę się poczekać miesiąc?

— W takim wypadku...

— Tak więc sprawa załatwiona. Jednakże, panno Brett, spodziewam się, że przybędzie pani do zamku tak szybko, jak to możliwe. To takie... niewygodne dla dziecka nie mieć guwernantki. Nie będę od pani żądać referencji, skoro zarekomendowała panią siostra Loman. — Po tych słowach mnie odprawiła.

Opuściłam pokój lekko oszołomiona. Lady Crediton zdecydowała za mnie, choć oczywiście nie pozwoliłabym jej na to, gdybym sama nie chciała tutaj pracować.

Po co się oszukiwać? W chwili gdy Chantel przedstawiła mi tę propozycję, wiedziałam już, że ją przyjmę.

\* \* \*

Dom Królowej opuściłam w połowie października. Resztę mebli z wielką stratą odsprzedałam pewnemu handlarzowi. Pozostało jedynie sławne łoże, skarb domu, które na zawsze tu pozostanie. Nowi lokatorzy mieli przybyć następnego dnia po mojej przeprowadzce do zamku, klucze przekazałam pośrednikowi.

Chodziłam po pustych pokojach, oglądając je w tym stanie po raz pierwszy. Jakże były urocze z wysokimi rzeźbionymi sufitami, które przedtem mało kto dostrzegał, i z tajemniczymi wnękami, wcześniej zupełnie zasłoniętymi przez meble. Wreszcie kredens i spiżarnia zostały przywrócone do właściwego stanu. Nie wątpiłam, że nowi lokatorzy pokochają dom. Spotkałam się z nimi dwukrotnie, a błysk w ich oczach na widok starych belek, boazerii układanych w jodełkę i krzywych podłóg uświadomił mi, że to prawdziwi miłośnicy starych wnętrz.

Moje bagaże były spakowane, dorożka pojawi się przed drzwiami lada chwila. Raz jeszcze rozejrzałam się po domu; gdy rozległ się dzwonek. Nadjechała dorożka.

Tak więc opuściłam stare życie i rozpoczęłam nowe.

\* \* \*

Po raz trzeci przekraczałam próg zamku, jakże jednak ta okazja różniła się od poprzednich. Wcześniej, dwukrotnie składałam tu wizyty, teraz przybyłam, by w nim zamieszkać.

Przyjął mnie Baines i w krótkim czasie przekazał w ręce Edith. Znaczyło to, że jestem traktowana na specjalnych prawach, co zawdzięczałam nie tylko przyjaźni z Chantel, lecz i temu, że Ellen pracowała u mnie i, jak przypuszczam, dała mi dobre referencje.

— Mamy nadzieję, że będzie tu pani wygodnie, panno Brett — rzekła Edith. — Proszę natychmiast dać mi znać, jeśli coś nie będzie pani odpowiadało.

Naśladowała pełen godności sposób bycia swego męża, pana Bainesa. Podziękowałam i wyraziłam przekonanie, iż nie będę miała powodów do narzekań w czasie mego pobytu w zamku.

Bo to miał być tylko krótki pobyt. Za około miesiąca wyruszymy w rejs.

Mój pokój znajdował się w wieży, którą opisała mi Chantel. Wieży Strettonów. Tutaj mieszkała chora, historyczna Monique, Chantel oraz mój podopieczny.

Rozejrzałam się po pokoju. Był obszerny, podłogę zaścielał gruby dywan. Stało tu małe łóżko z baldachimem, pochodzące z początku okresu georgiańskiego. Umeblowania dopełniały niewielka komoda w ciężkim niemieckim stylu oraz dwa krzesła i fotel z tego samego okresu co łóżko. W niewielkiej alkwie przypominającej raczej *ruelle*, charakterystyczne dla francuskich zamków, znajdowały się stolik z lustrem, głęboka wanna i sedes. Będzie mi tu wygodniej niż w Domu Królowej.

Gdy Edith zostawiła mnie, abym mogła się rozpakować, do pokoju weszła Chantel. Usiadła na łóżku, śmiejąc się wesoło.

— Więc naprawdę tu jesteś, Anno. Cudownie, że wszystko ułożyło się tak, jak zaplanowałam.

— Sądzisz, że dam sobie radę? Nigdy dotąd nie miałam do czynienia z dziećmi. Edward przypuszczalnie będzie mnie nienawidził.

— W każdym razie nie będzie tobą pogardzał tak jak tą biedną starą Beddoes. Najpierw musisz wzbudzić w nim respekt. Za tym pójdzie przywiązanie.

— Respekt? A dlaczego niby ten chłopiec miałby mnie szanować?

— Ponieważ ujrzy w tobie wszechmocną i wszechwiedzącą istotę.

— W twoich ustach brzmi to tak, jakbym była bóstwem.

— A ja właśnie tak się czuję. Jestem z siebie dumna. Mam wrażenie, że nie ma rzeczy, której nie potrafiłabym dokonać.

— Dlaczego? Bo udało ci się umieścić przyjaciółkę na wolnej posadzie?

— Och, Anno, błagam, nie bądź taka prozaiczna. Pozwól mi choć przez chwilę cieszyć się swoją mocą. Władzą nad lady Crediton, która uważa się za królową.

— Przynajmniej ona musiała zejść na ziemię.

— Anno, tak się cieszę, że tu jesteś! I pomyśl, wybieramy się na drugi koniec świata... razem! Czy to cię nie podnieca?

Przyznałam, że tak.

Drzwi otworzyły się i do pokoju zajrzał Edward.

— Wejdz, moje dziecko! — zawołała Chantel. — Poznasz swoją nową guwernantkę.

Wszedł, a oczy błyszczały mu z ciekawości. O tak, był nieodrodnym synem kapitana. Miał te same, lekko skośne oczy. Zaniepokoiła mnie własna reakcja. Pomyślałam, jaka byłabym szczęśliwa, gdyby był moim synem.

— Jak się masz — odezwałam się uprzejmie, podając mu rękę.

Uścisnął ją z powagą.

— Jak się pani miewa, panno... panno...

— Brett — odpowiedziała Chantel.

— Panno Brett — powtórzył.

Wydawał się nad wiek rozwinięty. Przypuszczam, że wiódł dość niezwykle życie. Mieszkał długo na owej wyspie, którą teraz mieliśmy odwiedzić, a potem nagle sprowadzono go do Anglii i zamku.

— Będzie mnie pani uczyła? — zapytał.

— Tak.

— Jestem dość mądry — poinformował mnie.

Chantel się roześmiała.

- Edwardzie, o tym niech zdecydują inni.
- Ale ja już zdecydowałem.
- Słyszysz, Anno, zdecydował, że jest dość mądry. To niezmiernie ułatwi ci pracę.
- Zobaczymy — odrzekłam. Chłopiec spojrzał na mnie bacznie.
- Popłynę w rejs — powiedział. — Na wielkim statku.
- My też — przypomniała mu Chantel.
- Czy na statku też będziemy mieć lekcje?
- Ależ naturalnie — odrzekłam. — W przeciwnym wypadku mój udział w podróży nie miałby

sensu.

- Uratuję was, jeśli nasz statek się rozbije — dodał.

— Na litość boską, nawet nie mów takich rzeczy! — zawołała Chantel, po czym zwróciła się do mnie. — Skoro już poznałaś panicza Edwarda, pozwól, że przedstawię cię jego mamie. Zapewne bardzo chce się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę? — zapytał Edward.

- Oczywiście, że chce poznać guwernantkę swojego ukochanego synka.

— Nie jestem jej ukochanym synkiem... dzisiaj nie. Czasami tak. Słowa chłopca potwierdzały to, co o jego matce mówiła mi Chantel. Poznałam już jego syna, teraz miałam poznać żonę.

Chantel zaprowadziła mnie do pani Stretton, Na jej widok ogarnęło mnie uczucie, którego nie potrafiłam do końca zanalizować. Była taka piękna. Leżała w łóżku z głową wspartą o obszytą koronkami poduszkę, na koszulę nocną narzuconą miała lizeskę z białego jedwabiu i koronki. Policzki barwił jej lekki rumieniec, ciemne oczy błyszczały. Oddychała ciężko i z pewnym trudem

—

- To panna Brett, nowa guwernantka Edwarda.

- Jesteś przyjaciółką siostry Loman. — To było stwierdzenie, nie pytanie.

Przytaknęłam.

— Bardzo się od niej różnisz. — To nie był komplement. Monique spojrzała na Chantel, a kąćki jej ust uniosły się nieznacznie.

- Obawiam się, że istotnie — odrzekłam.

— Panna Brett jest poważniejsza niż ja — wtrąciła Chantel. — Będzie z niej doskonała guwernantka.

- I miała pani sklep z meblami — dodała Monique.

- Można tak to nazwać.

— Nie można! — zaprotestowała z oburzeniem moja przyjaciółka. — To był sklep z antykami, a to wielka różnica. Jedyne wysoce wykwalifikowane osoby z rozległą wiedzą na temat starych mebli mogą z powodzeniem prowadzić taki sklep.

- I panna Brett prowadziła go z powodzeniem?

Z jej strony był to podstępny cios. Gdybym odnosiła sukcesy w dziedzinie wymagającej tak niezwykłych umiejętności, to czy przyjmowałabym posadę guwernantki?

— Z wielkim powodzeniem — potwierdziła Chantel. — A teraz, skoro poznała już pani pannę Brett, czas na podwieczorek, a potem krótki odpoczynek. — Zwróciła się do mnie. — Pani Stretton wczoraj miała atak... nie bardzo ciężki, jednak atak. Nalegam zawsze, by później miała spokój.

Tak, siostra Loman panowała nad sytuacją.

Edward, który w milczeniu przyglądał się całej scenie, zaproponował, że posiedzi z mamą i opowie jej o wielkim statku, na którym będą płynąć. Ona wszakże odwróciła od niego głowę.

— Chodź ze mną, Edwardzie — odezwała się Chantel. — Opowiesz mi o wszystkim, gdy będę przygotowywać chleb z masłem dla twojej mamy.

Wróciłam do swojego pokoju, by rozpakować resztę rzeczy. W głowie mi się kręciło, jakbym zapadła w sen, tracąc całkowicie kontakt z rzeczywistością.

Stałam przy oknie. Rozciągał się stąd widok na rzekę i budynki Langmouth na drugim jej brzegu, które z tej odległości wyglądały niczym domki dla lalek. I pomyślałam: czy naprawdę ja, Anna Brett, jestem tutaj — jako opiekunka jego dziecka, tak blisko jego żony?

A potem się zawahałam: czy postąpiłam rozsądnie, przybywając tutaj?

Rozsądna? Sądząc ze stanu moich uczuć, postąpiłam niezwykle nierozsądnie.

\* \* \*

Swoje obowiązki podjęłam natychmiast. Przekonałam się, że mój uczeń, jak sam zresztą mnie poinformował, jest inteligentny i chętny do nauki. Był dość niesforny jak większość dzieci; z entuzjazmem podchodził do przedmiotów, które go interesowały, takich jak geografia i historia, lecz buntował się przeciwko tym, których nie lubił, jak na przykład arytmetyki i rysunków.

— Nigdy nie zostaniesz dobrym żeglarzem, jeśli nie nauczysz się wszystkiego — oświadczyłam i zrobiło to na nim wielkie wrażenie.

Odkryłam, że najskuteczniejszą zachętą jest mówienie, że tak robią żeglarze. Wiedziałam, dlaczego.

Naturalnie zamek mnie zafascynował. Był falsyfikatem, ciotka Charlotte miała rację, lecz falsyfikatem wspinałam. Architekci bez wątplenia wzorowali się na Normanach, którzy wznosili potężne budowle. Taki też był zamek: miał okrągłe łuki, grube mury i przypory. Schody wiodące do wież były normandzkie w każdym calu — wąskie przy ścianie, a dalej coraz szersze. Trzeba było ostrożnie po nich wchodzić, ja wszakże czyniłam to automatycznie, ponieważ nie przestawałam zachwycać się zręcznością, dzięki której zyskały tak wiarygodne pozory starości. Creditonowie zrobili to, czego należało się po nich spodziewać — połączyli wygodę z pozorami zabytku.

Od Chantel dowiedziałam się, że płyniemy na „Łagodnej Damie”.

— Ufam — dodała — że statek okaże się godny swego imienia. Nie chciałabym cierpieć na chorobę morską.

Jak przypuszczała, wieźliśmy narzędzia do Australii, a po krótkim pobycie tam z innym ładunkiem mieliśmy popłynąć na wyspę Coralle.

— Słyszałam, że na pokładzie ma być tylko dwunastu albo czternastu pasażerów, ale nie wiem na pewno. Nie jesteś tym wszystkim podniecona?

Byłam, naturalnie że tak. Poznawszy Monique i Edwarda, zadawałam sobie pytanie, czy postąpiłam mądrze, wiedziałam jednak, że gdybym miała ponownie podjąć decyzję, bez wahania zrobiłabym tak samo. To było wyzwanie.

Chantel odgadła moje myśli.

— Gdybyś została w Anglii i przeprowadziła swoje ponure plany, wybrałabyś życie pełne smutku. A nie ma nic nudniejszego dla człowieka i jego otoczenia, Anno. Zachowałabyś w pamięci obraz swego kapitana i uczyniłabyś z niego rodzaj świętości. Dlaczego? Ponieważ nie przydarzyłoby ci się nic ekscytującego. Kiedy twoim udziałem staje się tego rodzaju doświadczenie, musisz na wspomnienie o nim nałożyć inne wspomnienia i obrazy, to jedyny sposób... a pewnego dnia przytrafi ci się coś wspaniałego i zupełnie przestaniesz myśleć o tamtym. Takie jest życie.

Często mówiłam do siebie: Co ja bym poczęła bez Chantel?

Podczas drugiego tygodnia mojego pobytu w zamku spotkałam kapitana.

Wyszłam na spacer i dotarłam aż do krawędzi klifu, gdzie stojąc przy ogrodzeniu, przypatrywałam się stromemu zboczu. Nagle uświadomiłam sobie, że ktoś jest za moimi plecami.

Odwrociłam się i zobaczyłam kapitana.

— Panna Brett — odezwał się, wyciągając ku mnie dłoń. Zmienił się trochę. Wokół oczu miał więcej zmarszczek, usta wyrażały jakiś ponury smutek, którego wcześniej nie było.

— Ależ... kapitan Stretton!

— Wydaje się pani zdziwiona. Ja tu mieszkam, przecież pani o tym wie.

— Sądziłam jednak, że pan wyjechał.

— Byłem w Londynie, czyniłem tam przygotowania do rejsu. Ale jak pani widzi, wróciłem.

— Tak — odrzekłam, próbując jakoś ukryć zmieszanie. — Widzę.

— Z przykrością usłyszałem o pani ciotce... i kłopotach.

— Na szczęście siostra Loman była ze mną.

— A teraz sprowadziła panią tutaj.

— Powiedziała mi, że posada guwernantki pańskiego... syna... jest wolna. Zgłosiłam swoją kandydaturę i zostałam przyjęta.

— Cieszę się z tego — oświadczył.

— W gruncie rzeczy nie sprawdził pan jeszcze moich kwalifikacji — odparłam, siląc się na lekki ton.

— Nie wątpię, iż są one... godne podziwu. A nasza znajomość była nazbyt krótka.

— Nie sądzę, by mogło być inaczej.

— Pamiętam, że wyruszałem na morze. Nigdy nie zapomnę owego wieczoru. Jakże było miło... dopóki nie wróciła pani ciotka. Wraz z nią rozwiła się przyjemna atmosfera i musieliśmy stawić czoło dezaprobach starszej pani.

— Tamtej nocy zachorowała. Przyszła do mojego pokoju na rozmowę.

— Przez co rozumie pani reprimendę?

Skinęłam głową.

— Wracając do siebie, potknęła się o jakiś mebel.

— Jej mebel?

— Tak, i spadła ze schodów, co było przyczyną jej kalectwa.

— To musiał być dla pani ciężki okres. — Milczałam, a on mówił dalej: — Często o pani myślałem. Żałowałem, że nie mogę pani odwiedzić i zapytać, jak zakończyła się tamta sprawa. A później usłyszałem o śmierci pani ciotki.

— W owym czasie wszyscy o tym mówili.

— Po pożegnaniu z panią wypłynąłem na „Tajemniczej Kobięcie”. Pamięta pani nazwę tego statku?

Nie powiedziałam mu, że wciąż mam galion, który wówczas poszliśmy obejrzyć w mojej sypialni.

— To także okazało się fatalne w skutkach — dodał.

— Naprawdę?

On wszakże zaraz zmienił temat rozmowy:

— Teraz więc jest pani tu po to, by uczyć małego Edwarda. Jak sądzę, mądry z niego chłopiec.

— To prawda.

— I wkrótce znajdzie się pani na „Łagodnej Damie”.

— Tak. Dla mnie to przygoda.

— Minęło wiele lat, odkąd była pani na morzu — zauważył. — Jak rozumiem, nie płynęła pani od czasu, gdy z Indii wróciła pani do Anglii.

— Dziwię się, że pan to pamięta.

— Byłaby pani jeszcze bardziej zdziwiona, dowiedziawszy się, jak dużo pamiętam.

Wpatrywał się we mnie z natężeniem. I nagle poczułam się tak szczęśliwa, jak nie byłam od czasu naszego ostatniego spotkania. To bardzo niemądre z mojej strony, nic jednak nie mogłam na to poradzić. Taki już jest kapitan Stretton. Patrzy na wszystkie kobiety, jakby uważał je za interesujące, daje im do zrozumienia, że w jego oczach są niezwykle. To taki nawyk ludzi o dużym uroku osobistym. Może zresztą to istota owego wdzięku, nic wszakże nieznacząca.

— Och, pochlebia mi pan — rzuciłam lekko.

— Muszę więc panią przekonać, że to prawda.

— To prawda, trzeba by mnie długo przekonywać.

— Dlaczego?

— Jest pan żeglarzem nawykłym do przygód. Dla mnie tamten wieczór w Domu Królowej był przygodą, dla pana zaś zwykłym spotkaniem towarzyskim. Widzi pan, powrót mojej ciotki i jej upadek przemienił to wydarzenie w wielki dramat.

— Cóż, ja też wziąłem udział w tym dramacie.

— Nie, pan opuścił scenę, nim cokolwiek się zaczęło.

— Jednakże przedstawienie jeszcze się nie skończyło, prawda? Bo oto mamy dwoje bohaterów prowadzących dialog w kolejnej odsłonie.

Roześmiałam się niewesoło.

— Ależ nie, to przedstawienie zakończyło się śmiercią ciotki Charlotte. „Tragedia w Domu Królowej”.

— Będzie jednak ciąg dalszy, może komedia na „Łagodnej Damie”.

— Dlaczego akurat komedia?

— Zawsze przedkładałem komedie nad tragedie. O wiele lepiej śmiać się, niż płakać.

— Ach, zgadzam się z panem. Czasami wszakże odnoszę wrażenie, że w życiu więcej jest powodów do płaczu niż do śmiechu.

— Moja droga panno Brett, żywi pani błędne przekonanie. Moim obowiązkiem będzie je zmienić.

— Jak... kiedy? — zapytałam.

— Na pokładzie „Łagodnej Damy”.

— Ale pan...

Znowu przypatrywał mi się z uwagą.

— Musiała przecież pani słyszeć, że to mój statek? Dowodzę nim w trakcie rejsu, w którym weźmie pani udział.

— Tak więc... pan...

— Tylko proszę nie mówić, że jest pani rozczarowana. Sądziłem, że raczej się pani ucieszy. Zapewniam, że jestem bardzo dobrym kapitanem. Nie musi się pani obawiać, że zatoniemy.

Kurczowo złapałam się poręczy. W głowie tłukła mi się myśl, że nie powinnam była przyjmować tej posady. Należało znaleźć sobie taką pracę, aby nigdy więcej nie spotkać kapitana Strettona.

Nie był mi obojętny, nigdy nie będzie, i zdawał sobie z tego sprawę. Tym razem — jak poprzednio — także nie wspomniał o żonie. A ja chciałam o niej porozmawiać. Pragnęłam się dowiedzieć, co ich łączy. Czy to jednak moja sprawa?

W żadnym razie nie powinnam była przyjmować tej posady. Teraz wiedziałam to już na pewno.

\* \* \*

Nastąpiły tygodnie gorączkowych przygotowań. Chantel żyła w stanie wielkiego podniecenia.

- Uwierzyłybyś, że to możliwe, kiedy razem mieszkaliśmy w Domu Królowej, Anno?
- Przyznaję, to dziwne, że obie tu jesteśmy... i niedługo opuścimy kraj.
- A dzięki komu, co?
- Dzięki tobie. Powiedz, wiedziałaś, że ojciec Edwarda jest kapitanem naszego statku?
- Przez chwilę milczała.
- Cóż, w końcu na statku musi być kapitan, czyż nie? Nie możemy płynąć bez dowódcy.
- Czyli wiedziałaś.
- Nie od początku. Czy to ważne, Anno?
- Wiedziałam, że będę płynąć z jego żoną i synem, ale nie z nim.
- Czy to cię niepokoi?
- Musiałam być szczerą wobec Chantel.
- Tak — przyznałam.
- Wciąż może poruszyć twymi uczuciami, mimo że dobrze wiesz, kim jest.
- A kim jest?
- Kobięciarzem. Morskim Casanową. Och, to nic poważnego, on po prostu lubi kobiety i dlatego kobiety lubią jego. To błędna teoria, że pociągają nas mizogini. Wręcz przeciwnie, kobiety pociągają mili dla nich mężczyźni. Po prostu to nam pochlebia.
- Być może, ale...
- Anno, jesteś całkowicie bezpieczna. Teraz już go znasz. Wiesz, że szepcząc ci czarujące komplementy i obrzucając ci tęsknymi spojrzeniami, uprawia po prostu grę znaną jako flirt. Skądinąd całkiem przyjemną, jeśli się wie, jak utrzymać ją pod kontrolą.
- Tak jak ty robisz... z Rexem.
- Jeżeli tak chcesz to ująć.
- Czyli wiesz, że Rex nigdy się z tobą nie ożeni, bo zamierza oświadczyć się pannie Derringham, i do szczęścia wystarczy ci to, że jesteście, jakbyś to bez wątpienia sama nazwała, flirtującymi przyjaciółmi?
- Mogę być całkiem szczęśliwa w związku z Rexem — oświadczyła zdecydowanie. — Tak jak ty musisz być w związku z naszym uroczym kapitanem.
- Widzę, że muszę uczyć się od ciebie filozofii życia — odparłam.
- Mnie ona jak dotąd służy dobrze — przyznała Chantel.

\* \* \*

Uczenie okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam. Może dlatego że Edward był bystrym i ciekawym wszystkiego uczniem. Razem studiowaliśmy mapy i wyznaczaliśmy drogę naszej podróży. Oczy chłopca — z wyjątkiem piwnej barwy tak podobne do oczu ojca — błyszczały entuzjazmem. Mapa nie była tylko kawałkiem papieru z różnokolorowymi pasami, była obrazem świata.

— Proszę spojrzeć — mówił Edward, kładąc palec na rozległej błękitnej plamie Pacyfiku — oto wyspa mamy.

- Jak widzisz, położona jest niedaleko Australii.
- Kiedy mama tam się znajdzie, będzie szczęśliwa.
- Miejmy nadzieję, że wszyscy będziemy tam szczęśliwi.
- Ale... — W jego oczach malowało się zdziwienie, z trudem szukał słów, aby dobrze wyrazić swe myśli. — My już jesteśmy szczęśliwi, tylko mama nie. A kiedyś było jej tam bardzo dobrze.
- Wiem.

— Na wyspie kapitan znowu ją pokocha — oznajmił chłopiec z powagą. Zawsze nazywał ojca kapitanem, a czynił to z szacunkiem i podziwem. Zastanawiałam się, ile słyszał z kłótni rodziców i co z ich słów wywnioskował.

Monique nigdy nie podejmowała najmniejszej próby, by nad sobą zapanować. Mieszkałam blisko jej sypialni i często słyszałam podniesiony w gniewie głos. Czasami brzmiały w nim błagalne tony. Zadawałam sobie pytanie, co czuje kapitan. Jest nieszczęśliwy? Nie sprawiał takiego wrażenia. Z drugiej wszakże strony przypuszczalnie zbyt lekko traktował małżeństwo, by szczególnie kłopotać się faktem, iż nie jest ono udane. Tak jak powiedziała Chantel: za bardzo lubił wszystkie kobiety, żeby przywiązać się do jednej. Dla niego to wygodne, dla kobiety, która go kocha — a sądziłam, że Monique darzy go głębokim uczuciem — oznaczało smutek.

Nie powinnam była się zgadzać. Nie byłam dostatecznie uodporniona. Z naśladowania filozofii Chantel i tak nic by nie wyszło. Ta filozofia nigdy nie mogła być moja. Zbyt głęboko zdążyłam się już zaangażować.

A Chantel, czy rzeczywiście tak doskonale panowała nad swoimi uczuciami, jak chciała mnie o tym przekonać?

Kiedy widziałam ją spacerującą po ogrodzie z Rexem, bez trudu mogłabym uwierzyć, że są kochankami. Było coś szczególnego w przyjemności, jaką czerpali ze swego towarzystwa, i w tym, jak rozmawiali i śmiali się razem. Czy Chantel rzeczywiście jest tak odporna na ciosy, czy tylko udaje? Zastanawiałam się i martwiłam, nie chciałam bowiem, by zraniono ją tak mocno jak mnie.

To były bardzo niespokojne tygodnie. Najszczęśliwsze chyba godziny spędzałam z Edwardem. Polubiliśmy się; sądzę, że musiałam być przyjemną odmianą po niezbyt interesującej pannie Beddoes, a zawsze łatwiej konkurować z poprzednikiem nieudolnym niż doskonałym. Lekcje dotyczyły bliskiej podróży, co było zrozumiałe w wypadku geografii, łąpałam się jednak na tym, że opowiadam chłopcu o kolonizacji Australii i przybiciu do jej brzegów Pierwszej Floty. Edward lepiej się koncentrował, gdy na lekcji arytmetyki obliczał sumy dotyczące ładunków. To było magiczne słowo.

Gdy wychodziliśmy na spacer, nieodmiennie trafialiśmy na wzgórza, z których rozciągał się widok na doki i stocznie.

Chłopiec podskakiwał z podniecenia.

— Popatrz na ten statek. To kliper przewożący wełnę. Wy pływa do Australii. Może my będziemy tam przed nim? Na pewno... bo płyniemy z kapitanem.

Kiedyś wzięliśmy lornetkę i mogliśmy dokładniej obejrzeć stojący w oddali statek. Na burcie wielkimi literami widniał napis „Łagodna Dama”.

— To nasz statek, Edwardzie — powiedziałam.

— To statek kapitana — poprawił mnie trzeźwo.

— Przygotowują go do rejsu — dodałam. Zbliżał się dzień, gdy mieliśmy opuścić Anglię.

\* \* \*

To był podniecający moment, gdy z dłonią Edwarda w swojej weszłam po trapie i znalazłam się na pokładzie „Łagodnej Damy”. Czułam, że niczego się nie boję, byłam szczęśliwa. Cieszyłam się na czekające mnie przygody i miałam świadomość, że gdybym pozostała w domu, wiedząc, iż na tym statku popłynęli Redvers Stretton i Chantel — byłabym tak zrozpaczona i nieszczęśliwa jak nigdy dotąd.

„Łagodna Dama” była pięknym statkiem. Z taką samą radością jak Edward oglądałam go przez lornetkę, ale wkroczenie na błyszczący od wypolerowanego brązu pokład ze świadomością, że jest to statek kapitana Strettona, stało się dla mnie głęboko poruszającym przeżyciem. „Łagodna



Dama” była jednym z parowców, które — jak powiedziała mi Chantel (cytując Edith) — dodaliśmy do „naszej” Lady Linę.

— Może nie są tak romantyczne jak żaglowe barki, brygi i kutry, ale tamte są już przestarzałe, a my musimy być nowocześni.

„Łagodna Dama” nie była wielkim statkiem, choć mieściła całkiem spory ładunek oraz kilkunastu pasażerów, wśród których znajdowali się Rex, Chantel, Edward, jego matka oraz ja.

Razem z Chantel i Edwardem weszliśmy na pokład. Jej zielone oczy połyskiwały jak klejnoty, wiatr rozwiewał tycjanowskie włosy; wyglądała tak pięknie, że po raz kolejny zadałam sobie pytanie, czy wyraźne zainteresowanie, jakie okazuje Rexowi, nie czyni jej równie bezbronną, jak — czego się obawiałam — byłam ja wobec kapitana Strettona.

W kabinach znajdowały się dywany, łóżka, przyśrubowane toaletki, których można używać jako biurka, fotele i wbudowane w ściany szafy.

Oglądaliśmy naszą, gdy weszła Chantel i powiedziała, że muszę pójść do jej kajuty, oddalonej o kilka drzwi. Stanowiła część apartamentu zajmowanego przez Monique. Chantel pokazała ją nam. Na toalecie stały tam kwiaty, zasłonki na bulaju były jedwabne, a nie jak u nas perkalowe.

Edward od razu zaczął podskakiwać na łóżku.

— Niezwykle tu wytwornie — pochwaliłam urządzenie kabiny.

— A czego się spodziewasz w kajucie żony kapitana? — zapytała Chantel. — I zauważ, proszę, że nie zawsze będzie tu spała, tylko wtedy, gdy będę musiała mieć ją na oku. Ośmielam się rzec, że zapewne będzie chciała dzielić z kapitanem jego kajutę. — Wskazała ręką kierunek i dodała: — Blisko mostka.

— Idę na mostek — oznajmił Edward.

— Mój chłopcze, jeśli nie zaczniesz uważać — ostrzegła Chantel — to zachorujesz z podniecenia, nim będziesz miał okazję dostać choroby morskiej.

Jednakże Edwarda w żaden sposób nie można było uspokoić. Pragnął zobaczyć cały statek, poszłam więc z nim na górny pokład, skąd obserwowaliśmy ostateczne przygotowania do wyjścia w morze.

I tak w to wietrzne popołudnie, gdy wielkie czerwone słońce przedzierało się przez mgłę, przy dźwiękach syren statek wpłynął w kanał La Manche, a Chantel i ja rozpoczęliśmy naszą podróż na drugi koniec świata.

\* \* \*

„Dama” pozostała łagodna do Zatoki Biskajskiej. Kiedy pierwszego dnia obudziłam się w kabinie, miałam kłopoty z rozpoznaniem, gdzie właściwie jestem, a gdy się rozejrzałam, nie mogłam uwierzyć, że znajduję się na pokładzie statku kapitana Strettona i płynę do egzotycznych krajów. Jak Chantel zauważyła przy kilku okazjach, mój problem polegał na tym, że oczekiwałam, by życie było nudne i monotonne. Trudno nazwać je monotonnym, zauważyłam wówczas ponuro, wspominając śmierć ciotki Charlotte.

— Cóż — odparła — jesteś przekonana, że na pewno ci się nie przytrafią podniecające i romantyczne przygody. No i się nie przytrafiają. Pamiętaj, dostajemy to, na co sobie na tym świecie zapracujemy... albo przynajmniej część tego. Bierz, co chcesz, oto moje motto.

— Jest takie stare, chyba hiszpańskie powiedzenie, które mówi: „Bierz, co chcesz — powiada Bóg. — Bierz i zapłać za to”.

— Kto myśli o kosztach?

— Bywa, że ludzie poznają cenę wtedy dopiero, gdy dostaną do ręki rachunek.

— Moja droga, precyzyjna, prozaiczna Anno! To cała ty. Jak tylko pomyślisz o przyjemności, natychmiast zaczynasz obliczać koszty, a przecież każdy wie, że takie podejście najprawdopodobniej wszystko zepsuje.

Pierwszego poranka leżałam na koi, wspominając tę rozmowę; kiedy jednak wstałam i pod stopami poczułam lekkie kołysanie, kiedy rozsunęłam perkalowe zasłony i przez bulaj spojrzałam na szaro — niebieskie morze, ciężar na moim sercu zelżał i ogarnęło mnie coś więcej niż tylko podniecenie. Powiedziałam sobie: będę taka jak Chantel. Zacznę cieszyć się życiem, a o kosztach pomyślę, gdy wręczą mi rachunek.

I to postanowienie we mnie pozostało. Byłam oszołomiona podróżą morską, faktem, że tuż obok znajduje się moja przyjaciółka, a także świadomością, że na pokładzie jest Redvers Stretton i w każdej chwili mogę go spotkać.

To dobry statek, ponieważ należy do niego. Czułam się bezpieczna, ponieważ to on dowodził. Gdybym nie wybiegała w przyszłość i nie pytała siebie, co się wydarzy na końcu tej podróży, byłabym zadowolona podczas owych złotych dni, gdy płynęliśmy wzdłuż wybrzeży Portugalii i Hiszpanii, by przed wejściem na Morze Śródziemne zrobić krótki postój w Gibraltarze.

\* \* \*

Na pokładzie poza nami było ośmioro pasażerów, w tym chłopiec w wieku Edwarda. Uznano to za szczęśliwy zbieg okoliczności, jako że malcy będą wzajemnie dotrzymywać sobie towarzystwa.

Chłopiec nazywał się Johnny Malloy, był synem pani Vivian Malloy, która płynęła do Australii, do męża, czekającego tam na nią w gotowym już domu. Towarzyszyła jej pani Blakey, owdowiała siostra, i pomagała w opiece nad małym Johnnym.

Kolejnymi pasażerami byli Gareth i Claire Glenningowie. Claire, łagodna, niemal nieśmiała kobietka, według mnie niedawno przekroczyła czterdziestkę, a starszy o kilka lat mąż, bardzo uprzejmy i czarujący, z nadmierną wręcz dbałością troszczył się o jej wygodę. Płynęło z nami także starsze małżeństwo, państwo Greenallowie, wybierający się do Australii w odwiedzinach do zamężnej córki, którym towarzyszyła siostra pani Greenall, panna EUa Rundle, niewiasta sztywna i surowa, wiecznie doszukująca się mankamentów we wszystkim.

Podczas pierwszych dni rejsu ludzie ci byli dla mnie ledwo sylwetkami, nie minęło wszakże wiele czasu, a zaczęli przybierać określone kształty i osobowości. Chantel i ja dużo o nich rozmawialiśmy. Szłam do jej kabiny, gdy w sąsiedniej nie było Monique, i wymyślałyśmy dla wszystkich historie życia, tym zabawniejsze, im bardziej skandaliczne. Swobodą zachowania zaczynałam dorównywać mojej przyjaciółce. Powiedziałam jej, że przejmuję od niej życiową filozofię.

Większość czasu poświęcałam jednak Edwardowi. Dręczył mnie strach, że chłopiec może wypaść za burtę, i w tych pierwszych dniach podróży nie spuszczałam go z oka. Sprawy utrudniało jeszcze to, że na początku swej znajomości Edward i Johnny bardzo się nie lubili; dopiero gdy uświadomili sobie, że nie ma nikogo, z kim mogliby się bawić, zgodzili się na zbrojną neutralność, potem zawarli zawieszenie broni, po którym nastąpiła niechętna akceptacja, mająca w przyszłości rozkwitnąć w przyjaźń. Lecz w owych pierwszych dniach widoki i sceny rozgrywające się na statku były nowe, trudne do przyjęcia, i musiał minąć jakiś czas, nim byłam w stanie uznać je za normalne.

Śniadanie, lunch i podwieczorek jadłam z Edwardem, a przy stoliku towarzyszyli nam Johnny i pani Blakey. Choć była siostrą pani Malloy, traktowano ją jak ubogą krewną. Powiedziała mi, że droga Vivian zapłaciła za jej podróż i zamierzała ofiarować dom w nowym świecie. Pragnęła więc

okazać swą wdzięczność, wyręczając siostrę we wszystkim, w czym tylko mogła. Odniosłam wrażenie, że polegało to na pełnieniu obowiązków niani i guwernantki małego Johnny'ego.

Dość dokładnie poznałam historię jej życia. Uciekła z młodym aktorem, lecz krewni nigdy nie zaakceptowali jej małżonka, który zresztą już w dniu ślubu znajdował się na prostej drodze do upadku; po jego śmierci znalazła się w nędzy, przebaczone jej więc i przyjęto z powrotem na łono rodziny. Szlachetna Vivian zabierała siostrę do Australii, umożliwiając jej rozpoczęcie wszystkiego od nowa, dlatego też oczekiwała od pani Blakey wdzięczności.

Biedna Lucy Blakey, było mi jej żal. Wiedziałam, co znaczy prosić o pomoc w potrzebie, i musieć odwdzięczać się za nią przysługami. To bez wątpienia najwyższa cena.

Zaprzyjaźniłyśmy się, jedząc razem posiłki, spacerując po pokładach z naszymi podopiecznymi czy obserwując ich podczas gry w ping-ponga lub w *quoits*.

Po kolacji chłopcy o pół do siódmej szli spać, my zaś o ósmej przyłączałyśmy się do reszty towarzystwa. Ja siedziałam przy stoliku głównego stewarda, pani Blakey zaś przy stoliku pierwszego oficera.

Stolik głównego stewarda znajdował się w jednym końcu mesy, stolik kapitański w drugim, tak więc czasami widywałam Redversa, aczkolwiek nie co wieczór, niekiedy bowiem jadł kolację u siebie. Podczas pierwszych trzech wieczorów widziałam go tylko raz. Był bardzo przystojny w mundurze, przy którym jego jasne włosy wyda — wały się jeszcze jaśniejsze. Razem z nim siedzieli Monique, Claire i Gareth Glenningowie oraz państwo Greenallowie.

Chantel i Rex zajmowali miejsca przy stoliku lekarza pokładowego. Szybko uprzytomniłam sobie, że choć kapitan jest na statku, rzadko będę go widywać, i pojęłam, iż większe niebezpieczeństwo grozi Chantel niż mnie. Zastanawiałam się, jakie naprawdę żywi uczucia do Rexa i czy pod pozorami swobody i radości nie kryją się niedowierzanie i cierpienie. Rex okazywał jej zainteresowanie na swój sposób — i bardzo pod tym względem różnił się od brata. Czynił to z większą, rzec można, powagą; odnosiłam wrażenie, że nie jest skłonny do przelotnych flirtów.

Sporo o nim myślałam. Wydawał mi się mężczyzną raczej skrytym, chowającym swe uczucia przed światem. Przypadkiem tylko łapałam wyraz jego oczu, gdy spoglądał na Chantel — niemal gwałtowny, zaborczy. Lecz czy to możliwe, skoro wszyscy doskonale wiedzieliśmy, że w Australii zamierza na nowo — jeśli w ogóle kiedykolwiek zaczął — starać się o rękę panny Derringham?

A Chantel? Jej także nie potrafiłam zrozumieć. Często widywałam ją pochłoniętą ożywioną rozmową z Rexem i wydawała się wówczas weselsza i bardziej promienna niż zwykle. A przecież gdy w jej obecności padało nazwisko panny Derringham, nie okazywała zmieszania czy niepokoju.

— Chantel, chciałabym przeczytać twój pamiętnik — zaproponowałam jej któregoś dnia. — Byłoby ciekawie porównać nasze wrażenia ze statku.

Roześmiała się tylko.

— Nie prowadzę go... tak jak przedtem.

— Zapisujesz cokolwiek?

— Nie, w każdym razie rzadko.

— Dlaczego?

— Życie jest takie ekscytujące!

— Czy to jednak nie powód, by uchwycić te chwile i je opisać, abyś w przyszłości mogła na nowo je przeżyć?

— Droga Anno — odparła — gdy byłam w zamku, zapisywałam wszystko z myślą o tobie. Chciałam dzielić się z tobą wrażeniami... a to był jedyny sposób. Teraz nie ma takiej potrzeby. Ty też tu jesteś i masz informacje z pierwszej ręki. Nie potrzebujesz moich zapisków.

Byłyśmy w jej kabinie; ja siedziałam w fotelu, ona leżała wyciągnięta na łóżku.

— Zastanawiam się — rzekłam — jak to się skończy.

— To zależy od nas.

— Już wcześniej tak mówiłaś.

— Wina, jak ktoś powiedział, tkwi w nas, a nie w gwiazdach.

— Szekspir, w „Juliuszu Cezarze”.

— Ha, zawsze wszystko wiesz. Szekspir miał rację. Poza tym element niepewności sprawia, że cała rzecz jest tym bardziej fascynująca, czyż nie? Gdybyś dokładnie znała zakończenie, jaki sens miałyby życie?

— Jak się miewa... pani Stretton? — zapytałam.

Chantel wzruszyła ramionami.

— Nie zestarzeje się, to pewne. Zadrzałam.

— Co się stało? — zapytała.

— To ten twój sposób mówienia.

— Całkiem stosowny, musisz to przyznać, trafia wprost w sedno. Jej płuca są w bardzo złym stanie.

— Może cieplejszy klimat...

Moja przyjaciółka znowu wzruszyła ramionami.

— Dzisiaj po południu rozmawiałam z doktorem Gregorym. — Był to lekarz pokładowy, wysoki i blady młody mężczyzna, którego — co zauważyłam przy kilku okazjach — Chantel bardzo pociągała. — Powiedział, że jego zdaniem stan Monique jest zbyt poważny, by mogła wyzdrowieć. Nie pomoże nawet balsamiczne powietrze na Coralle.

— Czy kapitan o tym wie?

— Można iść o zakład, że wie. Pewnie dlatego jest taki wesoły.

— Chantel!

— Anno! Chyba możemy sobie darować hipokryzję, prawda? Nasz szarmancki kapitan bez wątplenia świadom jest, że popełnił fatalny błąd, w rodzaju tych, za które trzeba płacić przez całe życie. Wygląda jednak na to, że okres zapłaty może ulec skróceniu.

— Chantel, bardzo bym chciała...

— Żebym nie żartowała sobie ze śmierci. A dlaczego nie? To pomaga nie bać się jej... ze względu na siebie i innych. Nie zapominaj, że lepiej niż większość ludzi zapoznałam się z tą ponurą kreaturą. W mojej profesji spotykam ją często. A to sprawia, że odnoszę się do niej z mniejszym szacunkiem. I nie żałuję kapitana. Kto wie, może okaże się to wybawieniem, jak powiadają ludzie.

Wstałam. Nie chciałam w kabinie Chantel omawiać śmierci jego żony.

Zeskoczyła z łóżka i ujęła mnie pod ramię.

— Zawsze żartuję, gdy jestem poważna, powinnaś już to wiedzieć, Anno. Nie martw się o moją pacjentkę. Możesz być pewna, że otoczę ją jak najlepszą opieką. A gdyby to, co nieuniknione, nadeszło... — Jej twarz była blisko mojej, jakże błyszczały te zielone oczy.

I powiedziałam do siebie: Ona myśli, że gdyby Monique umarła, kapitan byłby wolny... wolny dla mnie.

Darzyłam Chantel głębokim uczuciem, lecz pragnęłam wyjaśnić, że nie życzę śmierci nikomu, nawet gdybym miała na tym skorzystać.

\* \* \*

Pierwszym portem, do którego zawinęliśmy, był Gibraltar. Kiedy obudziłam się rano i spojrzałam przez bulaj, zobaczyłam potężną skałę, wznoszącą się wysoko nad taflą wody.

Widziałam ją nie po raz pierwszy. Wydawało mi się jednak, że minęło wiele, wiele lat od tamtego dnia, gdy byłam tu jako dziecko, niewiele starsze od Edwarda; pamiętałam swoje podekscytowanie i poczucie bezpieczeństwa, jakie dawali mi rodzice, zajmujący sąsiednią kabinę. Często zastanawiałam się, jaki jest stosunek Edwarda do matki, wiedziałam natomiast, że ojca uważa za kogoś w rodzaju boga. Czy dlatego że jest kapitanem i pływa dokoła świata, czy dlatego że jest mężczyzną?

Przypomniałam sobie wyrok Chantel na Monique, rozmyślałam też o przyszłości mojej przyjaciółki, która zwracała powszechną uwagę. Nie chodziło tylko o Rexa i lekarza pokładowego, dostrzegłam też spojrzenia innych mężczyzn. Chantel przyciągała ich urodą — a bez wątpienia była piękna — lecz także witalnością i pasją. Każdy miał wrażenie, że życie z nią nie może być nudne. Przypuszczam, że właśnie dlatego wszyscy pragnęli być przy niej.

Przewidziano kilkugodzinny postój w Gibraltarze, co dla pasażerów stanowiło okazję wycieczki na ląd. Chantel oznajmiła, że chciałaby zebrać odpowiednie grono: my obie, lekarz pokładowy i może pierwszy oficer. Glenningowie spotykają się z przyjaciółmi w mieście, co do państwa Greenallów zaś — ha, któż chciałby spędzać czas z tymi staruszkami, a tym bardziej pożałował kompanii panny Rundle!

Odparłam, że moim zadaniem jest opieka nad Edwardem, a ponieważ zażyczył sobie wycieczki, muszę mu towarzyszyć. Johnny także idzie z panią Blakey i panią Malloy, chłopcy chcą być razem, tak więc skład naszej grupy został już ustalony.

Chantel się wykrzywiła.

— Co za szkoda! Biedna Anna! — rzuciła lekko.

Wynajęliśmy powóz, woźnica miał pokazać nam godne uwagi widoki. Podekscytowani chłopcy podskakiwali na siedzeniu, a biedna Lucy Blakey nie potrafiła utrzymać w ryzach Johnny'ego — czy też obawiała się uczynić to w obecności pani Malloy. Ja nie odczuwałam takich ograniczeń. Kazałam Johnny'emu siedzieć spokojnie i ku za — skoczeniu jego matki i ciotki chłopiec mnie posłuchał. Uznałam, że to idealna chwila na przeprowadzenie połączonej lekcji historii i geografii. Chantel wyśmiałaby mnie, gdyby była tu z nami. Jakże żałowałam, że jej nie ma.

— Wyspa należy do nas od roku tysiąc siedemset czwartego — powiedziałam.

— Do Creditonów? — zapytał Edward.

Pani Malloy i pani Blakey roześmiały się razem ze mną.

— Nie, Edwardzie, do Brytanii.

Chłopiec nie krył zdziwienia; chyba sądził, że jego potężna babka posiada na własność cały kraj.

— Wyspa nazywa się Gibraltar — ciągnęłam — od Araba nazwiskiem Gebel Tarik, który przybył tu dawno, dawno temu.

— Przed nami? — zapytał Johnny.

— O wiele wcześniej. Zbudował zamek i dał wyspie nazwę. Widzicie, Gebel Tarik stał się Gibraltar. Jeśli jego nazwisko wypowiecie szybko, przekonacie się sami.

Chłopcy natychmiast zaczęli chórem skandować:

— Gebel Tarik. Gibraltarik... Gibraltar.

— Zaraz zobaczycie zamek — powiedziałam i to ich uciszyło; na widok starej mauretańskiej budowli znowu krzyknęli: — Gebel Tarik!

— To doskonały sposób edukacji dzieci — przyznała pani Malloy łaskawie.

Sądzę, iż nieco uraził ją fakt, że nikt z tamtych dwóch grup nie zaprosił jej na wycieczkę, byłam też pewna, że jej zdaniem dwie guwernantki powinny same zajmować się dziećmi. Biedna Lucy Blakey! Jeśli człowiek spada w hierarchii społecznej, to o wiele lepiej jest, gdy znajdzie się poza

kręgiem własnej rodziny. O ileż bardziej byłam niezależna obecnie niż w czasach, gdy mieszkałam z ciotką Charlotte.

Główną atrakcją naszej wycieczki były naturalnie małpy. Kilka powozów wjechało przed nami na wyższe partie skały. Na miejscu powitali nas Greenallowie i panna Rundle.

Miałyśmy kłopoty z utrzymaniem chłopców z dala od niezwykle zwinnych i sprytnych małp. Woźnica ostrzegał nas, by nie podchodzić zbyt blisko, bo mogą nam skraść rękawiczki czy nawet kapelusz. Wielką przyjemnością był widok rozradowanych chłopców; chichotali i szeptali do siebie, a ja trochę się obawiałam, że jeden namówi drugiego do jakiegoś lekkomyślnego postępuku.

Kiedy obserwowaliśmy figlujące zwierzęta, jedna z małp zbiegła ze zbocza z zielonym szalem w pysku. Powitał ją gromki wybuch śmiechu, a gdy spojrzałam w kierunku, skąd się pojawiła, zobaczyłam Rexa trzymającego Chantel pod ramię. Śmiali się, ja zaś pojęłam, że szal należał do niej.

Tak więc razem wybrali się na zwiedzanie. Myśl ta zepsuła mi całą przyjemność. Pomyślałam: Chantel będzie cierpieć, zostanie głęboko zraniona, bo lady Crediton nigdy nie wyrazi zgody na to małżeństwo, przecież on ma się oświadczyć panie Derringham.

W drodze powrotnej do portu usiłowałam ukryć, że nastrój mi się pogorszył.

Chłopcy gawędzili o małpach.

— Widziałeś tę...

— A mnie podobała się najbardziej ta mała.

Zadawałam sobie pytanie, czy któraś z moich towarzyszek widziała Chantel i Rexa i co o tym sądzi.

Swoim najbardziej surowym, nauczycielskim głosem zaczęłam:

— Według legendy małpy przywędrowały na Gibraltar podmorskim tunelem ze swej ojczystej Barbarii.

— Czy my też możemy przejść tym tunelem? — zapytał Edward.

— To tylko legenda — odparłam. — Ludzie zawsze układają legendy o dziwnych rzeczach. Bo wiecie, Gibraltar jest jedynym miejscem w Europie, gdzie żyją te małpy. Mówi się, że jeśli kiedykolwiek znikną ze skał, to miejsce przestanie do nas należeć.

Chłopców moje słowa poruszyły; nie wiem, czy powodem było ewentualne zniknięcie małp czy też utrata Gibraltaru przez Anglików. Nie myślałam zresztą o nich, wszystkie moje myśli krążyły wokół Chantel i Rexa; zastanawiałam się, jak wiele Chantel przede mną ukrywa.

\* \* \*

Za Gibraltarzem czekało nas wzburzone morze. Pokłady opustoszały, większość pasażerów nie opuszczała kabin. Ku swej radości odkryłam, że jestem dobrym żeglarzem. Nawet Edward musiał leżeć w łóżku, dzięki czemu zyskałam kilka godzin całkowitej wolności. Wiał porywisty wiatr i utrzymanie się na nogach graniczyło z niemożliwością, z trudem więc dotarłam na jeden z niższych pokładów, gdzie położyłam się na okrytym pledem leżaku i patrzyłam, jak morze rzuca statkiem, jakby zbudowany był z korka.

„Łagodna Dama”, pomyślałam. Była łagodna i spokojna, nie zważała na sztorm. Spokój! Jakież to wielki dar. Żałowałam, iż nie stał się moim udziałem, aczkolwiek chyba sprawiałam na innych wrażenie spokojnej, ponieważ z powodzeniem ukrywałam swe prawdziwe uczucia. Przypuszczałam zresztą, że czynił tak każdy ze współpasażerów. Ciekawe, do jakiego stopnia ich prawdziwe twarze różnią się od tych, które pokazują światu? W każdym z nas, jak sądzę, ukryty jest tajemniczy mężczyzna czy kobieta.

Takie to filozoficzne myśli snułam na opustoszałym pokładzie, podczas gdy reszta podróżnych, a w każdym razie większość leżała złożona chorobą morską.

— Halo! — Ktoś się ku mnie zbliżał. Poznałam Dicka Calluma, głównego stewarda. — Odważna z pani kobieta! — pochwalił mnie, przekrzykując ryk fal.

— Słyszałam, że świeże powietrze to najlepsza rzecz w takiej sytuacji.

— Może, choć nie chcielibyśmy, żeby fala zmyła panią za burtę.

— W tym zakątku czuję się bezpiecznie.

— Tak, tu jest bezpiecznie, a wiatr zelżał, nie jest taki silny jak pół godziny temu. Jak pani się czuje?

— Dość dobrze, dziękuję.

— Dość dobrze oznacza, że nie doskonale. A więc przyniosę pani brandy. Dzięki niej poczuje się pani o wiele lepiej.

— Proszę... ja nie...

— Niech pani potraktuje to jako lekarstwo — przerwał. — I rozkaz głównego stewarda. Nie przyjmuję odmowy.

Odszedł i nie wracał tak długo, że sądziłam, iż o mnie zapomniał, w końcu jednak pojawił się, z wielką zręcznością balansując tacą, na której niósł dwie szklaneczki.

Podał mi tacę do potrzymania, sam zaś rozłożył dla siebie drugi leżak.

Wypiłam brandy i przekonałam się, że Dick Callum miał rację, bo uczucie lekkich mdłości, które wcześniej mi dokuczało, teraz zaczęło ustępować.

— Nie widać pani zbyt często w pogodne dni — zauważył z uśmiechem. — Potrzeba było sztormu, by wyszła pani na pokład, jak ta figurka kobiety w barometrze, która pokazuje się tylko przy wietrze i burzy.

— Wychodzę — odrzekłam — ale mam obowiązki. — To tak jak ja.

— A teraz?

— Kilka wolnych godzin. Proszę mi wierzyć, nie grozi nam katastrofa. Wieje silny wiatr i morze się wzburzyło, to wszystko. My, marynarze nie nazywamy tego złą pogodą.

Był atrakcyjnym mężczyzną; wydawał mi się znajomy, lecz nie potrafiłam nigdzie go umiejscowić.

— Odnoszę wrażenie — powiedziałam — że już się spotkaliśmy, choć to przecież niemożliwe, chyba że naturalnie złożył pan wizytę w sklepie z antykami w Langmouth i oglądał jakiś mebel...

Pokręcił głową.

— Gdybyśmy się spotkali, nie sądzę, bym o tym mógł zapomnieć. Roześmiałam się w odpowiedzi. Nie uwierzyłam mu. Nie byłam pięknością, a mój charakter, chłodny i zamknięty w sobie, nie należał do tych, które by jakoś szczególnie zapadały w pamięć.

— Może to było w poprzednim życiu — odezwał się Dick Callum.

— Wierzy pan w reinkarnację?

— Mówi się, że marynarz gotów jest uwierzyć we wszystko. Jesteśmy przesądni. Jak tam brandy?

— Rozgrzała mnie i poprawiła humor, od razu lepiej się poczułam. Bardzo panu dziękuję.

— Wiem, że podróżuje pani z towarzystwem z zamku. Długo pani tam przebywała?

— Przez krótki czas. Zatrudniono mnie na tę podróż.

— Niezła rodzinka, co? I naturalnie my, którzy zawdzięczamy Creditonom środki utrzymania, odnosimy się do nich z wielkim szacunkiem.

— W tej chwili w pana głosie nie słyszę jakoś nadmiernego szacunku.

— Cóż, w tej chwili mamy wolne... oboje.

— Więc tylko w godzinach pracy musimy pamiętać o wdzięczności?

— Wdzięczność! — roześmiał się. Czy nie był to śmiech zabarwiony goryczą? — A czy powinienem być wdzięczny? Wykonuję swoją pracę i płacą mi za to. Może to kompania powinna być wdzięczna mnie.

— Może jest.

— Nie często się zdarza, by na naszym pokładzie przebywał następca tronu i dziedzic w jednej osobie.

— Ma pan na myśli pana Rexa Creditona?

— Istotnie. Wyobrażam sobie, że niewiele uchodzi jego uwagi. Bez wątpienia zda szczegółowy raport w kwatrze głównej i biada nam, jeśli zaniedbamy się w naszych obowiązkach.

— Nie zrobił na mnie wrażenia tego rodzaju człowieka. Zawsze wydaje się... zadowolony ze wszystkiego.

— Nieodrodny syn swego ojca. Ciągłe powtarzano, że dla starego sir Edwarda liczą się wyłącznie interesy. Swoje ambicje przekazał lady Crediton. Widzi pani, zaakceptowała nawet kapitana i jego matkę. Słyszałem, że pani Stretton niedawno umarła.

— Tak, też o tym słyszałam.

— Dziwna rodzina, prawda?

— Bardzo nietypowa.

— Naturalnie nasz dzielny kapitan jest nieco rozdrażniony.

— Dlaczego?

— Wolałby znajdować się na miejscu Rexa.

— Czy on... panu o tym powiedział?

— Nie zwierza mi się. Ja jednak z nim sympatyzuję... pod pewnym względem. Razem się wychowywali, syn ślubny i nieślubny. Z czasem musiał zdać sobie z tego sprawę. I niech pani patrzy, Rex to dziedzic milionowej fortuny, a nasz dzielny żeglarz... jest ledwo kapitanem z niewielkim pakietem akcji.

— Nie wydaje się, by żywił z tego powodu jakiegokolwiek pretensje.

— To znaczy... że zna go pani dobrze?

— N...nie.

— Znała go pani przed tym rejssem? Musiała pani. Teraz nieczęsto będzie go pani widywać. Aż do Port Saidu będzie bardzo zajęty. Tak więc znała go pani wcześniej?

— Tak, znałam.

Głos mi się zmienił. Sama to zauważyłam i mogłam tylko mieć nadzieję, że Callum niczego nie dostrzegł.

— Rozumiem. A pielęgniarka to pani bliska przyjaciółka?

— O tak, dzięki niej tu jestem.

— Przez chwilę sądziłem — rzekł Callum ze śmiechem — że to kapitan sprowadził panią, by opiekowała się jego synem.

— Nie, to siostra Loman — zaprzeczyłam pośpiesznie. — Pielęgnowała moją ciotkę, a gdy ta... posada się zwolniła, zarekomendowała moją osobę w zamku.

— A Jej Wysokość Lady C. przyjęła rekomendację.

— Tak, i dlatego tu jestem.

— Dzięki paniom to będzie bardzo interesujący rejs.

— Pływał pan wcześniej z kapitanem Strettonem?

— Kilka razy. Byłem z nim na „Tajemniczej Kobiecie”.

— Och!

— Jest pani zaskoczona.

— Nie... tylko słyszałam o „Tajemniczej Kobiecie” i...



— A co pani słyszała?

— Że był taki statek... i że imię nadała mu lady Crediton. .... Callum się roześmiał.

— Tak. Powinien był być jedną z dam. Może stąd wzięły się wszystkie problemy. Tak to się kończy, jak się zabiera na morze kobietę.

— Co pan przez to rozumie?

— To powinna być dama. Niewykluczone, że wówczas do niczego by nie doszło. Kolejny marynarski przesąd.

— Proszę mi powiedzieć, co się wydarzyło na „Tajemniczej Kobiecie”.

— To tajemnica, nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć. Ha, gdyby zapytała pani kapitana... niewykluczone, że on wie więcej.

— Tajemnica?

— Wielka tajemnica. Wielu ludzi sądzi, że jedynie kapitan Stretton zna odpowiedź.

— I nie chce mówić?

Dick Callum roześmiał się ponownie.

— Nie mógłby.

— To wszystko brzmi bardzo tajemniczo.

— Bo takie jest... a niektórzy powiadają, że z korzyścią dla kapitana. Ja jednak zawsze go rozumiałem. Musiał wyrastać patrząc, jak jego przyrodni brat jest proklamowany następcą tronu.

— Następcą tronu...

— Cóż, fortuna Creditonów to rozległe imperium, które odziedziczy Rex. Tak, zawsze miałem zrozumienie dla kapitana. W końcu on też jest Creditonem. Wątpię, by nie przyszło mu do głowy, że dla takiej fortuny warto wiele poświęcić.

— Cóż jednak ma to wspólnego z zagadką „Tajemniczej Kobiety”?

— Powiedziałbym, że wszystko.

— Teraz dopiero rozbudził pan moją ciekawość.

— Panno Brett, jestem tylko pracownikiem kompanii, a co więcej, winien jestem posłuszeństwo kapitanowi. Byłem niedyskretny, moim jedynym wytłumaczeniem są nadzwyczajne okoliczności. Porywisty wiatr na zdradzieckim Morzu Śródziemnym, które wcale nie jest takie łagodne, jak się o nim powiada, odważna dama na pokładzie, rozgrzewająca brandy. Proszę zapomnieć, o czym mówiłem, i wybaczyć mi nadmierną swobodę. Zapewne zgrzeszyłem gadatliwością, droga panno Brett, ponieważ okazała się pani niezwykle sympatyczną towarzyszką. Tak więc proszę, by wyrzuciła pani z pamięci moje niemądre uwagi. Jesteśmy na „Łagodnej Damie”, która wkrótce zawinie do Neapolu. Przewiduję, że gdy opuścimy ten port, sztorm zostanie za nami. Popłyniemy w słońcu i na pokładzie zapanuje radość pod rządami naszego doskonałego kapitana.

— Cóż za przemowa!

— Jestem, jak nazywała to moja matka, wygadany. Zwrot niezbyt wytworny, ale i ona nie była wytworna. Bardzo mnie za to kochała i dała mi, co mogła, w rezultacie otrzymałem niejaki wykształcenie, które wystarczyło, by przyjęto mnie w szeregi pracowników Wielkiego Imperium Creditonów i pozwolono służyć swym panom.

— Nie wydaje się pan tym zbytnio zachwycony.

— Czym, poświęceniem matki?

— Nie, wstąpieniem w szeregi pracowników imperium, że zacytuję pańskie słowa.

— Ależ wręcz przeciwnie, jestem jego wdzięcznym i uniżonym sługą.

— Teraz przemawia pan jak Uriah Heep.

— Broń Boże, poza tym zauważyła już pewnie pani, że pokora nie jest moją główną zaletą.

— Istotnie.

— Jest pani bardzo spostrzegawcza, panno Brett.

— Z przyjemnością tak bym o sobie myślała.

— Jak pani podobał się Gibraltar? — Callum zręcznie zmienił temat rozmowy, co przyjąłem z ulgą, a jednocześnie z rozczarowaniem.

Odpowiadając na pytanie, myślałam o małpce z szalem Chantel i jej samej pod ramię z Rexem.

Potężne Imperium. A ci, którzy mu zagrażają — co dzieje się z nimi?

Przez jakiś czas jeszcze prowadziliśmy lekką rozmowę. Poczułam, że mam nowego przyjaciela. Troszczył się o moją wygodę i obawiał, czy się nie przeziębę. Uznałam, że czas najwyższy wrócić do kabiny i sprawdzić, jak miewa się Edward, podziękowałam więc Callumowi za brandy i towarzystwo, po czym ostrożnie, jako że statkiem wciąż kołysało, poszłam do siebie.

\* \* \*

Dick Callum miał rację. Mimo że w Neapolu, gdzie zatrzymaliśmy się na krótko, było zimno, zaraz po wypłynięciu w morze pogoda uległa zmianie. Często widywałam Calluma, który zawsze okazywał mi troskliwość i sympatię. Uświadomiłam sobie, że jest ważną osobą na pokładzie, odpowiada za większą część załogi, podczas gdy kapitan zajmuje się przede wszystkim nawigacją i naturalnie nieczęsto pokazuje się na pokładzie. Byłam z tego zadowolona; bo kiedy wcześniej wyobrażałam sobie ten rejs, sądziłam, że będzie to jak przebywanie pod tym samym dachem. Rzeczywistość okazała się odmienna.

— Kapitan bardzo rzadko schodzi z mostka — powiedział mi Dick Callum.

Z Chantel często odwiedzałyśmy się w naszych kabinach. Kiedy napomknęłam, że widziałam ją, gdy straciła szal, nie była ani trochę zmieszana.

— Dosłownie w ostatniej chwili Rex Crediton zaprosił mnie, bym mu towarzyszyła, więc się zgodziłam. Sprawiasz wrażenie zaszokowanej. Według ciebie powinnam mieć przyzwyczajenie? Moja droga Anno, to nie Anglia. Chyba wolno nam korzystać z drobnych swobód w obcych krajach, czyż nie? Prawdę mówiąc, biedny doktor Gregory został przymuszony do towarzyszenia pannie Rundle, a tego byśmy nie znieśli. Pozostała nam tylko ucieczka. No i... zgubiliśmy ich. Biedny doktor, wrócił wyczerpany i... żądny krwi.

— To niezbyt miłe z waszej strony — zauważyłam.

— Nie, za to rozsądne.

— Doprawdy? — zapytałam, licząc, że doprowadzę ją do zwierzeń, lecz się myliłam. Chantel zmieniła temat, stosując wobec mnie swą ulubioną sztuczkę.

— Doskonale układa ci się z Dickiem Callumem.

— Jest bardzo uprzejmy.

— Dostrzegłam.

— To naturalne, że wzajemnie zwracamy sobie uwagę jak dobre przyjaciółki — odparłam.

Chantel wybuchnęła śmiechem.

— Tobie się to podoba, Anno. Zupełnie tu inaczej niż w starym Domu Królowej, co? Wyobraź sobie, że jesteś tam teraz i myślisz o mnie... i o wszystkim, co mogłoby się zdarzyć.

— Przyznaję, że to bardzo zajmujące. Chociaż...

— Och, przestań, Anno. Chyba nie zamierzasz wygłaszać ponurych prorocत्व, co? Powinnaś zawsze być wesoła. Nigdy nie wiesz, co spotka cię za rogiem. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jak powiadają ludzie, a nie mówiliby tak, gdyby nie była to prawda.

— Powiadają też, że nieszczęścia zawsze chodzą parami.

— Postanowiłaś być ponura. Ja natomiast zamierzam cieszyć się życiem.

— Chantel, co się stanie, gdy zawiniemy do portu w Sydney?

— Nie mogę już się tego doczekać. Słyszałam, że jest tam wprost niewiarygodnie pięknie. Gdy dopłyniemy do portu, zapytam, czy mogę wejść na mostek, żeby obejrzeć stamtąd miasto.

— Wielu pasażerów opuści statek... w tym twój pan Rex Crediton.

— Ale twój kapitan pozostanie.

— Mój kapitan!

— Mój pan Rex Crediton!

— Och, Chantel, jestem taka niespokojna.

— Moja biedna Anno, muszę cię nauczyć, jak cieszyć się życiem. Wiedziałaś, że odbędzie się bal kostiumowy? To zwyczaj na statku. Musimy pomyśleć o przebraniach.

— Tym razem nie możesz iść jako kasztelanowa.

— Ha, nie jesteśmy w zamku. Kto słyszał o kasztelanowej na statku? Chyba będę tancerką. Rozwiane włosy... a może czarczaf? Jak najbardziej stosowne, skoro w czasie balu będziemy już w Oriencie.

Z podnieceniem rozprawiła o kostiumie. Pomyślałam, że ta dziecinna niemal cecha jest bardzo pociągająca. Moje przywiązanie do Chantel rosło z każdym dniem, jednocześnie coraz bardziej niepokoiłam się jej związkiem z Rexem. Co stanie się w Sydney, kiedy on nas opuści, a my popłyniemy dalej? Chantel przecież dobrze wie, że podczas gdy my zmierzać będziemy ku wyspom Pacyfiku, Rex zostanie w Australii, by brać udział w bankietach na swoją cześć, pracować oraz naturalnie zalecać się do Heleny Derringham, co ma doprowadzić do owego szczęśliwego zakończenia, którego tak pragną lady Crediton i sir Henry Derringham: połączenia obu kompanii.

Bardzo się o nią bałam.

\* \* \*

Pewnego ranka obudziliśmy się i ujrzelśmy, że oto stoimy u wrót Wschodu. Promienie słoneczne zalewały pokłady. Zapanowało podniecenie i zewsząd dobiegał hałas.

Nim Edward się ubrał i zjadł śniadanie w mojej kabinie, pani Blakey przyprowadziła do nas Johnny'ego. Wpadła też Chantel. W prostej białej sukni, zakiecie i kapeluszu z szerokim rondem, nie całkiem zakrywającym włosy, wyglądała uroczo. Zawsze poruszał mnie jej widok w stroju innym niż pielęgniarski uniform, w którym przecież też było jej ślicznie.

— Jak przypuszczam — rzekła — wy dwie musicie zająć się dziećmi. Biedactwa! Cieszę się, kiedy zawijamy do portu, bo mam szansę na kilka godzin oderwać się od obowiązków.

— Dzisiaj kapitan zaopiekuje się żoną — odezwała się pani Blakey.

— Wybierają się razem do agentów. Jeżeli będzie dobrze się czuła.

— Jej stan chyba nieco się poprawił.

— To wpływ słońca, ten suchy upał dobrze na nią działa. Jedziemy na wycieczkę po mieście.

— My? — zapytałam.

— Wybieramy się grupą — odrzekła Chantel wymijająco. Jest w niej Rex? — pytałam się w duchu. Moja przyjaciółka dodała szybko: — Powinnyście się umówić, drogie panie. Nie musicie we dwie opiekować się chłopcami. Mogłybyście się zmieniać. Rozumiesz, Anno, sama równie dobrze zaopiekujesz się dwójką dzieci jak jednym, dzięki czemu pani Blakey zyska nieco swobody. I odwrotnie.

Obie uznałyśmy to za doskonały pomysł.

— Musimy się nad tym zastanowić — dodałam.

— Anna to najrozważniejsza kobieta na świecie — roześmiała się Chantel.

Statek cumował w pewnej odległości od portu. Kiedy wyszliśmy z chłopcami na pokład, spodobał im się bardzo widok małych Arabów, niewiele starszych od nich, którzy pływali wokół

kadłubów i prosili o pieniądze. Po monety nurkowali aż na samo dno. W przezroczystej wodzie widać było wyraźnie srebrne krążki i ciemne ciała malców.

Edward i Johnny aż piszczeły z radości, dopraszając się ciągle o monety i z trudem udało się nam powstrzymać ich od skoku w morze. Mnie także udzieliło się ich podniecenie.

Podeszła do nas panna Rundle.

— To zwykła żebranina, nic więcej — oznajmiła, marszcząc nieprzyjemnie nos, lecz słońce zbyt mocno grzało i radość była zbyt wielka, byśmy zwrócili na nią uwagę.

I wówczas za naszymi plecami rozległ się inny głos. Poczułam, jak rumieniec zalewa mi policzki, i nie potrafiłam zapomnieć o czujnym wzroku panny Rundle.

— Dzień dobry, kapitanie — pierwsza przemówiła pani Blakey.

— Dzień dobry — powiedziałam.

Edward znieruchomiał z przejęcia, a ja wiedziałam, że widok ojca sprawia mu jeszcze większą przyjemność niż mali Arabowie nurkujący po monety.

— Dzień dobry, kapitanie — odezwała się panna Rundle. — Nieczęsto mamy przyjemność oglądać pana.

— Jak miło z pani strony, że nazywa to przyjemnością. Niestety, dowodzę tym statkiem, co zajmuje większość mego czasu i uwagi. Niewykluczone, że później, gdy znajdziemy się na pełnym morzu, będę mógł korzystać z przyjemności przebywania w pani towarzystwie.

Jego słowa wyraźnie ją ucieszyły i zachichotała.

— Spodziewamy się, że dotrzyma pan słowa, kapitanie. Potrafi oczarować nawet ją, pomyślałam.

— Czy mojemu synowi podoba się rejs? — zapytał.

— Tak jest, sir — odrzekł Edward i wszyscy się roześmiali.

— Jest pan prawdziwym kapitanem? — zapytał Johnny.

— Jak najprawdziwszym — zapewnił go pan Stretton. — Gwarantuję, że nie zniknę w chmurze dymu. Nie przestraszcacie się, kiedy wieczorem zobaczycie Gulli–Gulli.

— Gulli–Gulli! — powórzył Edward z podnieceniem.

— Tajemniczy człowiek — wyjaśnił kapitan. — Poczekajcie, a zobaczycie.

— Kiedy? Jak? — zawołali chłopcy razem.

— Dziś wieczorem. Ufam, że nie będziecie musieli iść spać o zwykłej porze. — Odwrócił się do nas i uśmiechnął, a mnie serce zabiło szybciej i tylko miałam nadzieję, że nie zdradziłam swych uczuć.

— O której godzinie pojawia się ten tajemniczy człowiek? — zapytała pani Blakey.

— O pół do dziewiątej. Postaramy się zjeść kolację szybko.

— Proszę! — zawołał Edward i dodał: — Gulli–Gulli! Gulli–Gulli!

— Myślę, że ten jeden raz chyba możemy im pozwolić, a pani? — zapytałam panią Blakey.

Zgodziła się ze mną.

— Chciałem zobaczyć się z panią — odezwał się kapitan Stretton, patrząc prosto na mnie.

Od razu wiedziałam, że nie udało mi się ukryć emocji. To nedorzeczne, nierozsądne — więcej, to błąd żywici podobne uczucia do męża innej kobiety. Wprawdzie wszystko się zaczęło, zanim się dowiedziałam o jego małżeństwie — i to było moim jedynym usprawiedliwieniem.

— Jak przypuszczam, wybieracie się na zwiedzanie — ciągnął kapitan. — Chciałem was przestrzec, abyście nie szły same. Poczyniłem już ustalenia dla was obu i chłopców. Towarzyszyć wam będzie pierwszy oficer.

— Dziękujemy panu — odrzekłam.

Skłonił się i odszedł. Edward odprowadził go pełnym podziwu spojrzeniem; zastanawiałam się, czy w moich oczach nie maluje się ten sam wyraz.

Panna Rundle prychnęła.

— Zasluguje na swoją reputację ten nasz kapitan — rzekła. Wskazałam wzrokiem dzieci, na co tylko wzruszyła ramionami.

Byłam bardzo zła na tę kobietę.

W dwie godziny później opuściliśmy statek w towarzystwie pierwszego oficera, który zabrał nas do meczetu, gdzie słuchaliśmy wezwania do modlitwy z wysokiej wieży, po czym udaliśmy się na bazar. Kupiłam sobie białe — złote pantofle z zakręconymi do góry noskami oraz kupon jedwabiu barwy turkusowej, z którego zamierzałam uszyć suknię.

Było tam mnóstwo zdobionych cekinami szali w jaskrawych kolorach, bardzo tanich; wybrałam jeden z myślą o balu kostiumowym. Pani Blakey długo targowała się o perfumy o intensywnym, piżmowym zapachu. Chłopcy dostali czerwone tarbusze, które z zachwytem natychmiast włożyli. Ponieważ czekał nas długi wieczór, uznałyśmy, że powinni po południu odpocząć, tak więc wróciliśmy na statek, wszyscy dość wyczerpani nagłą zmianą temperatury.

Moja przyjaciółka pojawiła się dopiero na jakąś godzinę przed kolacją.

Byłam wcześniej w jej kabinie, lecz nikogo nie zastałam — gdzie też ta Chantel się podziewa? Kiedy wreszcie wróciła, powiedziała, abym do niej przyszła obejrzeć zakupy. Kupiła kilka flakoników egipskich perfum oraz naszyjnik, bransoletę i długie kolczyki ze złota i lapis lazuli.

— Są śliczne! — zawołałam. — Pewnie sporo kosztowały. Roześmiała się, a ja pomyślałam, że dostała je od Rexa.

— Cóż — odrzekła — musisz pamiętać, że tu jest taniej niż w Anglii. Siedziała na łóżku, wypróbowując perfumy. W kabinie unosiły się zapachy piżma i kwiatów — nie lekkie i odświeżające jak nasze wiosenne wonie, lecz ciężkie i egzotyczne aromaty Orientu.

— Chyba przebiorę się za królową Nefertiti.

— Królowa to o stopień wyżej od kasztelanowej — zauważyłam.

— Siostra Loman zawsze musi być na szczycie. A kim była Nefertiti?

— Królową Egiptu. Wydaje mi się, że mąż kazał jej wylupić jedno oko, ponieważ była bardzo piękna i obawiał się, że inni mężczyźni mogą jej pożądać.

— Typowy przykład męskiej podłości. Będę więc Nefertiti. Jestem pewna, że do końca zachowała oboje oczu i była jeszcze piękniejsza. Tak więc... na razie wybieram ją.

— A Rex Crediton? — zapytałam.

— Och, przebiera się za rabusia grobów. Będzie miał burnus oraz narzędzia potrzebne do otwierania sarkofagów zmarłych faraonów i szukania ich skarbów.

— To znaczy, że wymienialiście się pomysłami?

— Przecież to nie jest bal maskowy, nie ma potrzeby zachowywania tajemnicy. Powąchaj te perfumy, Anno. Hmm, trochę dziwne, prawda? Zniewalające wonie Wschodu. Ojej, muszę przebrać się do kolacji. Popatrz, która godzina!

Poszłam do siebie, myśląc, że chociaż Chantel wiele mówiła, to prawie nic mi nie wyjawiała — a ja chciałam dowiedzieć się tylko jednego: jak głębokie jest jej uczucie do Rexa Creditona. Naturalnie powinnam się raczej martwić swoimi reakcjami na widok kapitana, zapewniłam się jednak w duchu, że nigdy nie zdradzę własnych uczuć. Nikt nigdy się nie dowie.

Egipski czarownik, znany jako Gulli-Gulli, wszedł na pokład w Port Saidzie, by bawić nas swymi sztuczkami, i odniósł wielki sukces, zwłaszcza w oczach Edwarda i Johnny'ego. W salonie ustawiono krzesła, a chłopcy usiedli po turecku na podłodze.

Burnus przydał czarownikowi tajemniczości, a szerokie rękawy szaty zapewne bardzo pomagały mu w sztuczkach. Dokonywał cudów z obręczami i papierem, gwoździem wieczoru jednak okazało się wyjmowanie żywych kurcząt z najdziwniejszych miejsc, w tym z kieszeni

chłopców. Wykorzystywał obu do trzymania obręczy, papierów oraz innych akcesoriów i wąż, by kiedykolwiek lepiej się bawili.

Kiedy z kieszeni Johnny'ego wyjął dwa kurczęta, chłopcy aż podskoczyli z radości, a gdy to samo powtórzył z Edwardem, zaczęli krztusić się ze śmiechu. Na zakończenie każdej sztuczki czarownik wołał: „Gulli–Gulli”, a chłopcy mu wtórowali, klaszcząc w dłonie.

Owej nocy mimo wyczerpania Edward długo nie mógł zasnąć. Czarownik opuścił pokład, a statek ruszył po wodach Kanału Sueskiego.

To był uroczy wieczór: świecił księżyc, a przesuwające się piaszczyste brzegi z palmami wabiły mnie ku sobie. Nie mogłam się powstrzymać, by nie pójść na górny pokład.

Nikogo tam nie było; oparta o reling, zastanawiałam się, co powiedziała by ciotka Charlotte, gdyby teraz mogła mnie zobaczyć. Wyobrażając sobie jej dezaprobatę, uśmiechnęłam się mimowolnie.

— Witam.

Odwrociłam się — to był on. Jego opalona twarz błyszczała w księżycowej poświacie. Miał na sobie biały smoking i mogłam zrozumieć, dlaczego Edward uważa ojca za rodzaj istoty wyższej.

— Witam — odrzekłam niepewnie.

— Nie miałem zbyt wielu okazji porozmawiać z panią sam na sam, odkąd opuściliśmy Anglię — oznajmił.

— To oczywiste, musi pan przecież zajmować się statkiem. Pasażerowie to inna sprawa.

— O nich też muszę się troszczyć.

— Jak o wszystko na statku, wiem. Lecz nas można bezpiecznie zostawić samym sobie.

— Na to właśnie liczyłem — przyznał się kapitan. — Podoba się pani rejs?

— Powinam odpowiedzieć tak jak Edward: „Tak jest, sir”.

— To bystry chłopiec.

— Bardzo. I uważa pana za swój ideał.

— A nie mówiłem, że jest bystry? — odparł żartobliwie, mimo to w jego nastroju wyczułam pewną powagę. A potem powiedział rzecz zaskakującą: — Zauważyłem, że zaprzyjaźniła się pani z Dickiem Callumem.

— O tak, okazał się bardzo pomocny.

— Ma więcej okazji spotykać się z gośćmi niż ja. Taka jest natura naszej pracy, aczkolwiek w czasie postojów bywa też bardzo zajęty.

— Zwykle myśli się, że statek po prostu spokojnie sobie płynie, a zapomina się, że wszystko to dzięki doskonałej pracy kapitana i jego załogi.

Przelotnie dotknął mej dłoni spoczywającej na relingu.

— Tęskni pani za Domem Królowej?

— W pewnym sensie.

— Obawiam się, że nie możemy zaproponować pani foteli Louisa Quinze'a na pokładzie.

Roześmiałam się lekko.

— Byłabym zaskoczona ich widokiem, a poza tym i tak by tu nie pasowały. Na tym polega istota doboru mebli. Otoczenie jest równie ważne jak same sprzęty. — I zadziwiłam samą siebie, dodając gwałtownie: — Cieszę się, że mogłam wyrwać się z Domu Królowej.

Po tej uwadze ton rozmowy uległ zmianie.

— Mogę to zrozumieć — odrzekł kapitan z nagłą powagą. — Często o pani myślałem.

— Naprawdę?

— Z powodu tamtego wieczoru. Bardzo miło go wspominam. A pani?

— Ja także.

— A potem nagle wszystko się zmieniło, prawda? Dopiero kiedy wróciła pani ciotka, uświadomiłem sobie, jak wyjątkowy był to wieczór. Stała tam niczym anioł zemsty z płonącym mieczem. Wynocha z raju, biedni grzesznicy.

Roześmiałam się z jego słów.

— Sądzę, że to porównanie idzie za daleko.

— A potem umarła.

— To stało się o wiele później.

— I były plotki. Przepraszam, nie powinienem chyba o tym wspominać. Przypuszczam, że denerwuje się pani, gdy ludzie mówią o tym wszystkim.

— Ale nie pan — odparłam. Nie dbałam już, że się odsłonię. Byłam taka szczęśliwa jak owego wieczoru w Domu Królowej. On i tylko on potrafił sprawić, że zapomniałam o rozwadze.

— Umarła, a jej śmierć wywołała pewne wątpliwości — ciągnął Redvers. — To musiało być dla pani bardzo nieprzyjemne.

— Tak. Wie pan, jej samobójstwo wydawało się absolutnie niewiarygodne. Taki czyn zupełnie nie leżał w jej naturze. Choć oczywiście była wówczas chora. Jednakże gdyby nie Chantel... siostra Loman... nie wiem, co by się stało. Sądzę, że pewnie byłoby... koszmarne.

— Ludzie niekiedy robią dziwne rzeczy, nigdy nie można być pewnym ich zachowania. Jeśli nie odebrała sobie życia, to kto jej w tym pomógł?

— Często się nad tym zastanawiałam. Ellen desperacko wręcz pragnęła wyjść za mąż, a obawiała się, że pan Orfey nie ożeni się z nią, jeśli nie da mu zapisanych jej w testamencie pieniędzy, czego oczywiście nie mogła zrobić, póki ciotka żyła.

— To dość przekonujący motyw.

— Lecz bardzo trywialny, a poza tym ja nigdy nie potrafiłam wyobrazić sobie Ellen jako morderczyni. O wiele łatwiej mogłam zobaczyć w tej roli panią Morton. Zawsze była dość tajemnicza. Miała chorą córkę i pragnęła z nią zamieszkać. Wiedziałam, że pracuje u ciotki tylko dlatego, że liczy na zapis po jej śmierci. Mimo wszystkich tych lat przeżytych w Domu Królowej nigdy tak naprawdę nie znałam pani Morton. No i oczywiście byłam ja, główna spadkobierczyni, która pozostawała z ciotką w nie najlepszych stosunkach i dziedziczyła wszystko.

— Jak rozumiem, nie było tego wiele.

— Wówczas o tym nie wiedziałam. Dopiero po śmierci ciotki okazało się, jak beznadziejnie byłyśmy zadłużone.

— Musiała pani czuć się bardzo nieszczęśliwa w tamtym okresie.

— To było... straszne. Ludzie ukradkiem zerkali na mnie na ulicy i szeptali na mój temat.

— Wiem — odrzekł kapitan.

— Pan wie?

— Wiem, co to znaczy, gdy na człowieku ciąży podejrzenia. Wpatrywałam się w szarawy w świetle księżycy ład, w granatowe niebo i miriady gwiazd; w powietrzu zdawał się unosić lekki aromat piżma.

— Czy słyszała pani jakieś plotki... na mój temat? — zapytał.

— Plotki? Nie rozumiem.

— A więc zapewne pani usłyszy. Na przykład od Calluma. Czy ktoś wspomniał o „Tajemniczej Kobiecie”?

— Ta nazwa jest mi znana, choć Callum nic nie mówił.

— To jednak niewykluczone — powtórzył Redvers — a ja wolę, by dowiedziała się pani wszystkiego ode mnie.

— Na tym statku wypłynął pan po...

— Tak, po owym wieczorze, gdy gościła mnie pani w Domu Królowej. Chcę opowiedzieć pani o tamtym rejsie. Zakończył się katastrofą, do dziś niewyjaśnioną.

— Słucham więc.

— Callum był głównym stewardem na „Tajemniczej Kobiecie”, kilku członków obecnej załogi także tam pracowało. „Tajemnicza Kobieta” różniła się od „Łagodnej Damy”, była żaglowcem.

— I była też kobietą — dodałam.

— Dziwne, lecz to rzeczywiście miało pewien wpływ. To był piękny statek, barkentyna, taka, jakie budowano do handlu z Chinami. Płynęliśmy do Sydney przez Przylądek Dobrej Nadziei, a potem na wyspy. Wówczas też mieliśmy na pokładzie pasażerów, w tym handlarza kamieniami szlachetnymi, Johna Fillimore’a. Wiózł piękną kolekcję diamentów i wybierał się do Australii obejrzyć opale. Był gadatliwy, lubił przechwalać się zawartymi transakcjami i każdemu dawać do zrozumienia, jaki jest przebiegły. A potem nagle umarł.

— To znaczy...

— To znaczy, że umarł. Doktor Gregory stwierdził atak serca. Pewnego wieczoru po kolacji Fillimore poszedł do baru, gdzie jak sądzę, wypił jedną lub dwie whisky. W ogóle pił dość dużo. Z baru udał się do swojej kabiny, a następnego dnia steward znalazł go martwego.

— Doktor Gregory był także na „Tajemniczej Kobiecie”?

— Tak. To cecha naszej linii, że zawsze mamy na pokładzie lekarza. Zasadniczo jest to praktykowane tylko przy dużej liczbie pasażerów. Pochowaliśmy Johna Fillimore’a w morzu, lecz diamentów nie znaleźliśmy.

— Trzymał je w swojej kabynie?

— Postąpił bardzo nierozsądnie. Kamienie warte były fortunę, tak utrzymywał. Kiedy radziliśmy mu, aby je zdeponował w sejfie, nie chciał nawet o tym słyszeć. Nie, mówił, nie podczas postoju w porcie. Ktoś mógłby włamać się do sejfu i uciec z kamieniami. Nie ufał naszym zabezpieczeniom. Był bardzo podejrzliwy wobec załogi. Pamiętam, jak któregoś wieczoru w większym gronie — byli tam też Callum i Gregory — Fillimore wyraził przypuszczenie, że wiedząc, iż on tu płynie z cennymi kamieniami, wielu doświadczonych złodziei klejnotów mogło zamustrować się na statek jedynie po to, by ukraść diamenty. Ciągłe podkreślał swoje bogactwo. Owego wieczoru opowiadał nam ponure historie o tym, jak włamano się do jego domu i siedziby firmy. Gdy chodzi o diamenty, nie wolno ryzykować, oznajmił. Nigdy nie trzymał ich w jednym miejscu dłużej niż przez kilka dni. Sądziłem, że nosi je w skórzanym pasie wkładanym bezpośrednio na ciało. Kiedyś spił się jak bela i trzeba było odprowadzić go do kabiny. Następnego dnia rano bał się, że ktoś mógł zobaczyć woreczek z kamieniami. Żartowaliśmy sobie na ten temat. Wszyscy powtarzaliśmy, że będziemy się cieszyć, gdy w Sydney pozbędziemy się wreszcie tego wysoce niebezpiecznego ładunku. A potem Fillimore umarł, a diamenty zniknęły. Jegoabinę wywrócono do góry nogami, ale bez skutku. Gdyby nie pokazał ich kilku osobom, nie wierzylibyśmy, że w ogóle istnieją. W porcie zawiadomiliśmy o całej sprawie władze. Przeszukano cały statek, lecz kamieni nie znaleziono. Powszechnie uważano, że gdzieś na nim są.

— I nigdy pan na nie nie natrafił?

— Nigdy ich nie znaleziono — powtórzył Redvers. — Może jednak pani sobie wyobrazić, jakie pojawiły się plotki. John Fillimore umarł, choć jeszcze nie ukończył czterdziestu lat i wcześniej na nic nie chorował. Już samo to było podejrzane, aczkolwiek nie wytrzymało porównania z tajemnicą zaginionych diamentów. I naturalnie był człowiek, który więcej niż ktokolwiek inny wiedział o tym, co dzieje się na jego statku. Nie muszę chyba dodawać, kim był ów człowiek.

— Kapitanem?

— Właśnie. Widziałem diamenty. Trzymałem je w dłoniach, wręcz śliniłem się na ich widok, jak niektórzy pani powiedzą.



— A tak było?

— Diamenty nigdy nie budziły we mnie aż takiego entuzjazmu, żebym się na ich widok ślinił.

— Warte były mnóstwo pieniędzy.

— I w tym rzecz. Są ludzie, którzy wierzą, że dla pieniędzy można popełnić każdą zbrodnię.

— Niestety, to prawda.

— Muszę jednak opowiedzieć pani resztę historii. Z Sydney wzięliśmy kurs na wyspy.

— Coralle?

— Tak, Coralle. Zatrzymaliśmy się tam na dwie doby. Statek stał na kotwicy w zatoce, jako że nie ma tam prawdziwego portu.

— I była tam pańska żona.

— Tak, mieszkała z matką w dość zrujnowanej starej rezydencji. Zobaczy ją pani, kiedy tam zawiniemy. Na wyspie było akurat święto. Tubylcy tańczyli, palili ogniska, przez cały dzień bicie w bębny wzywało mieszkańców na uroczystości, które miały rozpocząć się o zmierzchu. To było barwne przedstawienie, tak więc wszyscy chcieli je zobaczyć. Od śmierci Johna Fillimore'a na statku zrobiło się niespokojnie, panowała atmosfera podejrzliwości. Statek to osobliwa rzecz, wydaje się żywą istotą, choć może to tylko pogląd marynarza. Lecz „Tajemnicza Kobieta” zmieniła się, stała się czujna i niespokojna, zdawałem sobie z tego sprawę. Na pokładzie unosił się duch buntu. Nic konkretnego, ale marynarz to czuje. Miałem wrażenie, że jestem kapitanem Latającego Holendra. Zna pani tę opowieść. Przypuszczam, że znają każdy marynarz.

— To statek widmo, który widywano koło Przylądka Dobrej Nadziei przy sztormowej pogodzie, jak mi się wydaje.

— Tak, skazany na wieczną żeglugę po morzach, ponieważ popełniono na nim morderstwo. Na pokładzie znajdował się cenny kruszec, załogę powaliła epidemia i statkowi zakazano wstępu do jakiegokolwiek portu. Cóż, ta właśnie atmosfera panowała na „Tajemniczej Kobiecie”. Niektórzy powiadali, że też popełniono u nas morderstwo, w gruncie rzeczy powszechnie w to wierzone, a choć nie mieliśmy na pokładzie cennego kruszcu, to były przecież diamenty Fillimore'a. W legendzie załoga padła ofiarą epidemii, a na „Tajemniczej Kobiecie” też rozwinęła się pewnego rodzaju epidemia.

Była w umysłach ludzi, w ich przekonaniu, że zbliżamy się do jakiegoś momentu przełomowego. Pojawiły się oznaki subtelnej nieposłuszeństwa. Nikt właściwie nie odmówił wprost wykonania rozkazu... jak jednak mam to pani wytłumaczyć? Byłem kapitanem i gorzko żałowałem, że kiedykolwiek widziałem na oczy Johna Fillimore'a i jego diamenty. Tak więc zawinęliśmy na Coralle. Cała załoga chciała oglądać uroczystości, ale oczywiście ktoś musiał zostać na pokładzie. Ustalono więc, że kilku ludzi pełnić będzie wachtę do północy, kiedy to reszta miała powrócić na statek. Ja widziałem owe uroczystości wcześniej, nie interesowały mnie. Tamtego wieczoru byłem niespokojny, jakbym wiedział, że mojemu statkowi grozi niebezpieczeństwo. Widziałem go z domu i dręczyło mnie przecucie, że coś jest nie w porządku. W końcu postanowiłem sprawdzić to osobiście. Poszedłem na brzeg i wsiadłem do małej wiosłowej łodzi, ledwo wszakże zdążyłem odbić, kiedy rozległ się potężny wybuch i statek rozpadł się na drobne kawałki. Ludzie zbiegli się na brzeg. Nie świecił księżyc, ciemność rozpraszały tysiące gwiazd. Mogłem jedynie zawrócić i powiosłować z powrotem, ponieważ słyszałem ostrzegawcze dudnienie i spodziewałem się następnego wybuchu. Usłyszałem, jak ktoś woła: „To kapitan!”.

— I wybuch nastąpił na „Tajemniczej Kobiecie”?

Redvers skinął głową.

— To był jej koniec. Wrak zatonął, nim wstał świt, po zatoce dryfowały jakieś fragmenty kadłuba. Straciłem statek. Może się pani domyślać, co to znaczy dla kapitana. Powierzono mi ten zagłowiec, a ja pozwoliłem, by coś takiego się stało. Utraciłem honor, okryłem się hańbą.

— Lecz to nie była pana wina.

— Nie wiem, co owej nocy wydarzyło się na statku, lecz sprawa była bardzo tajemnicza. Najdziwniejsze, że ci, którzy mieli pełnić wachtę, znajdowali się na brzegu. Źle ułożono listę wacht, rzecz wprost niesłychana. Podczas śledztwa jednak nie udało nam się odkryć powodów. To jeden z najbardziej tajemniczych elementów tej sprawy.

— Brzmi to tak — zauważyłam — jakby ktoś uknuł intrygę, w której brało udział kilka osób. Upewniono się, że na statku nikogo nie będzie.

— Niektórzy twierdzili, że to był rozkaz kapitana. Ja odpowiadałem za statek, który pozostawiono bez dozoru na kilka godzin, kiedy to cała załoga włącznie ze mną przebywała na brzegu.

— Nie wie pan, kto zniszczył statek?

— Modłę się do Boga, by to odkryć.

— Od tamtego zdarzenia minęło sporo czasu.

— Nie da się jednak o tym zapomnieć. — Przez chwilę milczał, a później dodał: — Po wieczorze spędzonym w Domu Królowej wszystko się zmieniło. Przedtem życie było rodzajem żartu, potem przestało nim być.

Po katastrofie? — zadałam sobie pytanie. Po wizycie w Domu Królowej?

— Wcześniej byłem beztrioskim chłopcem. Szczęściarzem, jak powtarzał mi Rex. Wplątywałem się w trudne sytuacje i mogłem ufać swej szczęśliwej gwiazdce, że wyjdę z nich bez szwanku. Szczęście jednak mnie opuściło. Nauczyłem się, że za popełniony bez namysłu i beztriosko czyn trzeba płacić czasem do końca życia. Można tylko przeklinać się za własną głupotę, co czynię nieustannie, zapewniam panią. To jednak próżne zajęcie.

— Gdyby udało się panu rozwiązać tę zagadkę, gdyby dowiedział się pan, kto zniszczył statek, wówczas być może przestałby pan odczuwać żal.

— To nie wszystko — odrzekł Redvers.

Wiedziałałam, że ma na myśli swoje nieudane małżeństwo. Czy jednak, jak wcześniej, nie wkładałam w jego słowa znaczeń, których tam nie było?

— I oto jestem — ciągnął — jak człowiek w kajdanach. Skuty przez własne lekkomyślne postęпки.

— W jakim jednak sposób mógłby pan powstrzymać tamtą katastrofę?

Nie odpowiedział, a ja intuicyjnie odgadłam, że nie miał na myśli utraty „Tajemniczej Kobiety”. Zastanawiałam się, jak doszło do jego małżeństwa z Monique. Może odkryję to później, kiedy ujrzę ową „zrujnowaną rezydencję”, jak nazwał ją Redvers, i zobaczę Monique w jej rodzimym otoczeniu. Postąpił pochopnie, tyle mi powiedział. I mogłam w to uwierzyć. Kierowała nim galanteria czy konieczność? Przecież musiał się orientować, że Monique nie jest odpowiednią dla niego żoną.

A czyja czuję, że nią jestem? — zapytałam siebie cynicznie. I odpowiedziałam sobie wprost: owszem, tak właśnie czuję. Byłabym dla niego idealną żoną. On jest wesoły, ja poważna. On czarujący, ja nie. Sądziłam, że nadaję się doskonale do tej roli. Byłam głupia.

Udałam, że myślę o statku.

— Nie traci pan jednak nadziei na odkrycie prawdy?

— Dziwne, lecz nie. Może powodem jest mój charakter. Zawsze byłem optymistą, Rex bez przerwy mi to powtarzał. Kiedy o tym rozmyślam, pytam siebie, co mógłbym zrobić. Czy istnieją jakieś dowody? Statek przepadł na zawsze, a klucz do rozwiązania tajemnicy zginął wraz z nim.

Jeśli nikt nie ukradł diamentów, to musiały gdzieś tam pozostać, co w tym wypadku przypuszczalnie oznacza, że połknęły je ryby.

— A może jednak ktoś je ukradł?

— Kto? Callum? Gregory? Ktoś z załogi? Niełatwo pozbyć się takiego łupu. Obserwowano wszystkich, wiem o tym. Muszę dodać, że mnie też śledzono. Wszelkie oznaki nagłego wzbogacenia odkryto by i zbadano natychmiast. Nie, rzecz pozostaje tajemnicą, a podejrzanym numer jeden jest kapitan. O tym jednak już pani powiedziałem. Rozumie pani teraz, dlaczego chciałem to uczynić.

— Tak, rozumiem. Tak samo jak ja chciałam opowiedzieć panu o śmierci ciotki Charlotte, na wypadek gdyby pomyślał pan...

— Nigdy bym tak nie pomyślał.

— Ani ja.

— Widzi więc pani, że tamten wieczór w Domu Królowej czegoś nas o sobie wzajemnie nauczył.

— Chyba tak.

— A teraz oboje jesteśmy tutaj. Można by uznać, że los rzucił nas w tę samą stronę.

— Nie podoba mi się to — odrzekłam, starając się mówić lekko. — W każdym razie nie zostaliśmy nigdzie rzućeni. To brzmi tak, jakbyśmy byli rozbitkami.

— A z pewnością nimi nie jesteśmy.

Zamilkliśmy oboje. Sądziłam, że Redvers zacznie mówić o swym małżeństwie. Na poły na to liczyłam, na poły się tego obawiałam, ponieważ w czasie tej rozmowy nabrałam pewności, że między nami jest coś szczególnego. Desperacko pragnęłam, by nasza znajomość na tym się nie skończyła, choć zdawałam sobie sprawę, że to nierozważne pragnienie. Redvers wcześniej mówił o swej lekkomyślności, a była to ostatnia cecha, jaką bym sobie przypisała. Być może jednak, gdy chodzi o niego, stałam się zdolna do szaleństwa jak inni ludzie.

Nie, nigdy nie mogę zapomnieć, że jest żonaty. Nigdy, przenigdy nie mogę pozwolić, bym ponownie znalazła się w sytuacji takiej jak ta. Ciepłe wieczorne powietrze, mroczne tajemnicze niebo, niewyraźne zarysy brzegu — wszystko to było wymarzoną tłem romansu. On także był romantyczny. Jak kiedyś powiedziano chyba o Jerzym IV: zbyt mocno kochał wszystkie kobiety, by jedną obdarzyć stałym uczuciem. Powtarzałam sobie, że to samo odnosi się do Reda Strettona. Czy nawet panna Rundle się nie rozjaśniła, słysząc jego czarujący głos?

Muszę być silna i rozsądna. Jakże mogłam martwić się pozorną lekkomyślnością Chantel w stosunku do Rexa, skoro tak samo zachowywałam się wobec jego przyrodniego brata?

Zadrzałam.

— Zimno pani? — zapytał.

— Nie, w taki wieczór? Robi się późno, chyba powinnam wracać do kabiny.

Odprowadził mnie. Szliśmy ramię w ramię wąskim korytarzem i zatrzymaliśmy się przed moimi drzwiami.

— Dobranoc — powiedział, patrząc na mnie jasnym, czułym wzrokiem. Był taki jak wówczas, tamtego magicznego wieczoru w Domu Królowej.

Ujął mą dłoń i pośpiesznie ucałował.

Jakieś drzwi otworzyły się i zamknęły. Kabina panny Rundle! Słyszała nasze głosy? Widziała nas?

Lekkomyślna? Byłam tak lekkomyślna jak wszyscy zakochani. Tak, wreszcie się do tego przyznałam.

\* \* \*

Po upalnym i wietrznym popołudniu spędzonym w Adenie opuściliśmy to dość ponure żółte wulkaniczne wybrzeże, by znowu znaleźć się na pełnym morzu.

Od czasu do czasu widywałam kapitana, który zawsze przystawał, by ze mną porozmawiać. Ludzie zaczęli to już zauważać. Panna Rundle, byłam tego pewna, opowiedziała wszystkim, jak późnym wieczorem widziała kapitana odprowadzającego mnie do kabiny i całującego w rękę. Zdawałam sobie sprawę z jej szczególnego zainteresowania moją osobą i zimnych spekulacji w tych króliczych oczkach za złotym pince-nez.

Pani Blakey i ja skorzystałyśmy z rady Chantel i na zmianę opiekowałyśmy się chłopcami, dzięki czemu zyskałyśmy więcej swobody. Wszyscy już mieliśmy wrażenie, że znamy się dobrze. Glenningowie cieszyli się popularnością, bo odnosili się przyjacielsko do współpasażerów. Ich wielką namiętnością były szachy i codziennie po południu siadywali w cienistym zakątku, pochyleni z wielkim skupieniem nad planszą. Czasami grał z nimi Rex. Gareth Glenning często za przeciwników miał żonę i Rexa i jak mi się wydaje, wygrywał. Rex sprawiał wrażenie, że jest z nimi w wielkiej przyjaźni, podobnie jak Chantel. Cała czwórka przebywała często razem.

Za to panna Rundle zyskała sobie powszechną niechęć. Jej ostry nos, w tropikach zaróżowiony na czubku, wyczuwał wszelkie kłopoty, a świdrujące oczka zdawały się w każdym zdarzeniu dostrzegać niestosowność. Obserwowała Rexa i Chantel z taką samą energią — i nadzieją — z jaką obserwowała mnie i kapitana. Pani Greenall całkowicie się od niej różniła i z trudem można było uwierzyć, że są siostrami. Nieustannie opowiadała o wnukach, do których jechała w odwiedziny, i zanudzała nas tymi samymi, raz po raz powtarzanymi historyjkami. Jej mąż, człowiek spokojny i małomówny, kiwał głową, jakby potwierdzał dokonywane przez wnuczęta niezwykle czyny, i obrzucał nas ostrym spojrzeniem, jak gdyby chciał się upewnić, że doceniamy inteligencję dzieci. Pani Malloy zaprzyjaźniła się z pierwszym oficerem, co sprawiało jej taką samą przyjemność jak pannie Rundle, która każdego, kto się nawinął, pytała, czy to nie szokujące, że pani Malloy najwyraźniej zapomniała, iż jedzie do męża.

Jedyną pasażerką, która nie wywoływała krytycznych uwag panny Rundle, była chyba tylko uprzejma dla wszystkich pani Blakey. Biedaczka starała się zadowolić nie tylko siostrę, wielkodusznie ofiarującą jej dom w Australii, lecz każdego na pokładzie.

Wieczorami grywaliśmy czasami w wista, a mężczyźni — Glenningowie, Rex i pierwszy oficer — często spotykali się na partyjce pokera.

I tak mijały nam te leniwe dni i noce, aż nadeszła pora na bal kostiumowy.

Tematem były Arabskie Noce; od Redversa dowiedziałam się, że takie bale to najważniejsze wydarzenie w czasie rejsu.

— Chcemy, by nikt się nie nudził — wyjaśnił — tak więc staramy się wprowadzić urozmaicenie w dłużące się dni na morzu, kiedy następny port wydaje się oddalony o wiele mil. Na długo przed balem pasażerowie mogą zastanawiać się nad kostiumem, a po balu zyskują temat do rozmów. To konieczne, aby wszyscy na statku byli zadowoleni.

Dla mnie najważniejszymi wydarzeniami stały się owe chwile, gdy spotykałam go przypadkiem i zamienialiśmy kilka słów. Pozwalałam sobie wierzyć, że podobnie jak ja próbował przedłużyć nasze spotkania i że coś dla niego znaczyły.

W trakcie rejsu zdrowie Monique bez wątpienia się poprawiło. Chantel powiedziała, że to wpływ pogody i kapitana, chociaż pogoda była z pewnością cieplejsza niż uczucia męża.

— Czy wiesz — wyznała mi kiedyś — czasami myślę, że on jej nienawidzi.

— Na pewno nie — odparłam, odwracając twarz w inną stronę.

— To najgorsze z małżeństw, jakie kiedykolwiek widziałam. Monique mówi różne rzeczy, kiedy jest pod wpływem środka odurzającego. Czasami muszę jej taki lek podawać, to zalecenie doktora. Niedawno powiedziała: „Ale ja go złapałam. Chwyciłam w sieć. Może się miotać, lecz póki żyję, nigdy się nie uwolni”.

Zadrzałam.

— Moja biedna pruderyjna Anno, to szokujące, ale ty też zachowujesz się trochę zbyt swobodnie. W każdym razie zdaniem panny Rundle. Szepcze na twój temat nie mniej niż na mój.

— Ta kobieta widzi rzeczy, których nie ma.

— Och, jestem pewna, że tak... ale równie jasno widzi rzeczy, które są. Sądzę, iż obie powinnyśmy strzec się madame Rundle, Anno.

— Chantel, a co... Rex... myśli o Australii? — zapytałam.

— Och, uważa, że to kraj wielkich możliwości. Tamtejszy oddział rozkwita i oczywiście rozkwitnie jeszcze bujniej po jego przyjeździe.

— Miałam na myśli... opuszczenie statku. Otworzyła szeroko swoje chłodne, zielone oczy i rzekła:

— Chodzi ci o pożegnanie „Łagodnej Damy”?

— Chodzi mi o pożegnanie ciebie.

Uśmiechnęła się lekko.

— To chyba nieco go zasmuci.

— A ciebie?

— Mnie chyba też.

— Ale... wydaje się, że ciebie to nie obchodzi.

— Od samego początku wiedzieliśmy, że Rex opuści statek w Sydney. Dlaczego więc nagle mamy zachowywać się tak, jakby była to niespodzianka?

— Nie nosisz serca na dłoni.

— To dziwaczny banał, Anno, i nie podejrzewałabym cię, że go użyjesz. Serce na dłoni, rzeczywiście! Jak odżywiane byłoby przez żyły i arterie, gdyby znajdowało się w tak nieprawdopodobnej pozycji?

— Pielęgniarki mają zimną krew.

— Nasza krew, moja droga Anno, ma normalną temperaturę.

— Och, dajże spokój z tym klinicznym podejściem. Chantel, wszystko u ciebie w porządku?

— Już ci mówiłam, że u mnie zawsze wszystko będzie w porządku. Tylko tyle udało mi się z niej wydobyć. Kiedy wszakże opuścimy Sydney, kiedy Rex naprawdę się z nami pożegna, czy Chantel uda się zachować tę godną podziwu obojętność?

\* \* \*

Nadszedł wieczór balu. Owinęłam się w jedwab kupiony w Port Saidzie, włożyłam białe — złote pantofle z zakręconymi noskami, a wyszywany cekinami szal upięłam na twarzy w charakterze kwefu.

— Wyglądasz... pięknie — powiedział mi Edward, kiedy poszłam do jego kabiny.

— Och, Edwardzie, tylko w twoich oczach.

— W oczach każdego — odparł zdecydowanie.

Tego wieczoru nie czuł się zbyt dobrze, jako że poprzedniego dnia przejadł się słodyczami, a o jego złym samopoczuciu świadczył fakt, że wolał nie ruszać się z łóżka. Johnny dotrzymywał mu towarzystwa i obaj razem rysowali.

Ponieważ Edward niewiele zjadł, chciałam, by przed snem wypił mleko. Zgodził się, tak więc posłano mu do kabiny mleko i herbatniki, lecz gdy tylko spojrział na tacę, oznajmił, że na razie nie ma ochoty i zje, jak poczuje głód. Poszłam do Chantel, żeby pokazać się jej w kostiumie i zapytać, jak się jej podoba. Nie było jej, postanowiłam więc usiąść i zaczekać. Wiedziałam, że wkrótce musi się zjawić, bo w przeciwnym wypadku nie będzie gotowa na czas. Na łóżku leżały szarawary z zielonej gazy i pantofle takie same jak te, które kupiłam w Port Saidzie.

I rzeczywiście, nie musiałam czekać długo.

— Boże wielki, ty już jesteś gotowa!

Była z Rexem? Jakże żalowałam, że nie chce mi się zwierzyć.

— Wróć, jak się przebierzesz — zaproponowałam.

— Zostań, pomożesz mi. Nie tak łatwo włożyć te rzeczy.

— Mam więc być twoją pokojówką?

— Jak biedna Valerie Stretton!

Wolałabym, by tego nie mówiła. Gdzie spojrzeć, pomyślałam, wszędzie jakieś tajemnice; nagle przypomniałam sobie, jak Chantel opisała w pamiętniku powrót matki Reda w zabłoconych butach i jej nagły atak. Życie jest niczym strumień, przejrzyste na powierzchni, lecz z błotnistymi prądami, które widoczne są tylko wtedy, gdy uważnie mu się przyjrzeć.

— Dlaczego o niej wspomniałaś? — zapytałam.

— Nie wiem, po prostu przyszła mi na myśl. Śmieszne te szarawary, prawda? Kupiłam je w Port Saidzie.

— Na tę okazję?

— Pomyślałam, że wstrząsną panną Rundle, więc warto je kupić choćby z tego tylko powodu.

Zielone spodnie z pantoflami tworzyły wspianą całość. Tego wieczoru oczy Chantel błyszczały bardziej niż kiedykolwiek. Narzuciła na ramiona zielony materiał i zrećnie upięła z niego stanik. Wyglądała cudownie.

— Na głowie powinnaś mieć błyszczącą opaskę — powiedziałam.

— Nie, poza tym nie mam takiej opaski. Rozpuszczę włosy. Tak chyba będzie lepiej.

Rezultat był olśniewający.

— Chantel, jesteś najśliczniejszą kobietą, jaką w życiu widziałam.

W odpowiedzi objęła mnie i pocałowała. Wydało mi się, że w jej oczach widzę łzy. A potem trzeźwo odparła:

— Może nie dostrzegasz mojej prawdziwej natury.

— Nikt nie zna cię tak dobrze jak ja — odrzekłam stanowczo. — Nikt. I nikt też nie mógłby tak uroczo wyglądać, gdyby nie był... dobry.

— Cóż za bzdury pleciesz! Pewnie chciałaś, żebym przebrała się za świętą. Na nieszczęście nie znam żadnych arabskich świętych, a ty?

— Większy skutek odniesie twoje pojawienie się jako niewolnicy czy kim tam masz być.

— I mam też nadzieję, że sprawię radość pannie Rundle, obrażając jej poczucie przyzwoitości. Przynajmniej będziemy barwnie się wyróżniać na tle tych wszystkich burnusów. Czy tak brzmi prawidłowa liczba mnoga, moja uczona przyjaciółko?

— Tego nie wiem, ale czy burnusy rzeczywiście wystąpią w liczbie mnogiej?

— O tak, rozpytałam się już. Rex i Gareth Glenning przyjdą w burnusach. Pan Greenall nieśmiało przyznał, że on też. Pani G. powiedziała, że to będzie wspianą zabawą i o wszystkim opowiedzą wnukom. Ciekawe, czy wnuczeta będą mówić o wyczynach dziadka tak dużo jak dziadek o wyczynach wnuków? Ivor Gregory powiedział mi, że mają cały ich zapas, to znaczy burnusów, na statku i część załogi także w nich wystąpi. Gregory przyznał, że sam też ma jeden. W końcu co innego może włożyć mężczyzna na taki bal?

— To będzie jak spacer po suku.

— Przecież o to chodzi, czyż nie? Proszę, jestem gotowa! Chyba też muszę mieć kwef, jak sądzisz? Sama widzisz, aż tak się od siebie nie różnimy, choć ja włożyłam szarawary.

— Prawdę mówiąc, bardzo się różnimy. Twój strój jest bliższy rzeczywistości i o wiele ładniejszy od mojego.

— Najdroższa Anno, zawsze podkreślasz własne braki. Czy wiesz, że świat kupi cię według twojej ceny? Widzę, że będę musiała udzielić ci kilku lekcji na temat życia.

— Codziennie się go uczę. A jesteś pewna, że byłabyś dobrą nauczycielką?

— Domagam się wyjaśnienia tej aluzji — odparła. — Ale teraz nie mamy już czasu.

— Muszę jeszcze ułożyć Edwarda do snu.

Poszła ze mną. Edward siedział na dolnej koi i oglądał swój blok rysunkowy.

Pisnął z radości na widok Chantel.

— Masz na sobie spodnie — zauważył oskarżycielskim tonem.

— Jestem damą ze Wschodu, więc to naturalne.

— Chciałbym je namalować — poprosił.

— Rano zrobisz mi portret — przyrzekła Chantel.

Zauważyłam, że chłopiec jest śpiący.

— Edwardzie, ułożę cię do snu, nim pójde na bal.

— Jeszcze nie skończył mleka i herbatników — zauważyła Chantel.

— Za chwilę — odrzekł.

— Wypij teraz mleko — zaproponowała Chantel — i biedna Anna będzie mogła iść na dół z czystym sumieniem.

— A czy teraz nie ma czystego?

— Ależ tak. Ludzie tacy jak Anna zawsze mają czyste sumienie.

— A ty?

— To zupełnie inna sprawa. — Wzięła szklankę i upiła łyk. — Smaczne.

Edward wyciągnął rękę i zaczął pić.

— Zjedz herbatnika — poprosiłam, lecz nie chciał. Kiedy skończył pić, Chantel zapytała:

— Chciałbyś, żeby na dobranoc pocałowała cię arabska niewolnica?

— Tak.

— No to wskakuj do łóżka.

Zachichotał; Chantel potrafiła go oczarować, jestem pewna, że lubił ją tak samo jak mnie... choć w odmienny sposób. Ja reprezentowałam pewność, ona zaś go bawiła, a któż tego nie lubi?

Otuliła go i pocałowała.

— Ależ dzisiaj jesteś śpiący — powiedziała. Edward znowu ziewnął.

Byłam zadowolona, że nie będzie miał problemów z zaśnięciem, i razem z Chantel wyszłam z kabiny.

\* \* \*

Salon udekorowano stosownie do okazji; ktoś — pierwszy oficer, jak szepnęła mi pani Malloy — umieścił na ścianach arabskie napisy, w pomieszczeniu panował półmrok. Wszyscy mężczyźni wybrali burnusy i wewnątrz rzeczywiście nabrało wyglądu bliskowschodniej uliczki. Jeden z oficerów przygrywał do tańca na fortepianie. Pani Malloy tańczyła z pierwszym oficerem, Chantel z lekarzem. Ponieważ kobiet było niewiele, przypuszczałam, że każda znajdzie partnera, nawet panna Rundle.

Rozglądałam się ze Redversem, lecz nigdzie go nie było. Poznałabym go, nawet gdyby miał na sobie kostium, a wiedziałam, że nie będzie miał. Powiedział mi, że kapitan się nie przebiera, musi bowiem w każdej chwili być gotowy do pracy. Zaskoczyło mnie, że lekarz i pierwszy oficer pojawili się w orientalnych strojach.

Ale to nie kapitan poprosił mnie do tańca, lecz Dick Callum.

Uprzedziłam go, że nie jestem nazbyt doświadczoną tancerką.

— Jest pani zbyt skromna — odrzekł.

— Widzę, że włożył pan mundur — zauważyłam, wskazując na jego burnus.

— My, mężczyźni, nie jesteśmy obdarzeni pomysłowością. Jest tu tylko dwóch żebraków dopraszających się bakszyszu, dwóch fellahów, a kilku włożyło tarbusze. Reszta po prostu okryła się tą szatą i tyle.

— Jak przypuszczam, łatwo je nabyć. Czy pan kupił swój w Port Saidzie?

Pokręcił głową.

— W czasie każdego rejsu mamy Arabskie Noce. Na pokładzie jest cały zapas odpowiednich strojów.

— Obawiam się, że znudził już pana regularny udział w tych balach.

— Zawsze przyjemnie jest bawić się z tymi, dla których to nowość. Gorąco tu. Może na chwilę wyjdziemy?

Zgodziłam się, wymknęliśmy się więc na pokład.

— Chciałem z panią porozmawiać — wyznał Callum. — Jest coś, o czym chciałbym pani powiedzieć, ale zupełnie nie wiem jak.

— Zwykle nie brakuje panu słów.

— To prawda. Ta sprawa jednak jest dość... delikatna.

— Teraz jestem już bardzo ciekawa.

— Przypuszczalnie znienawidzi mnie pani.

— Nie mogę sobie wyobrazić, abym kiedykolwiek pana znienawidziła bez względu na okoliczności.

— Potrafi dodać pani otuchy. Nie dziwię się, że syn kapitana panią uwielbia.

— To chyba przesada. Żywi do mnie niejaki szacunek, nic więcej. Proszę jednak powiedzieć, o co panu chodzi.

— Przyrzeka pani, że mi wybaczy?

— Ojej, teraz zaczynam się obawiać, że to coś strasznego.

— Nie sądzę, by takie było... przynajmniej na razie. Dobrze, już zaczynam. Chodzi o kapitana.

— Och.

— Obraziłem panią.

— Jak mógłby pan mnie obrazić, skoro nie wiem, co zamierza pan powiedzieć?

— A domyśla się pani?

Domyślałam się, lecz mimo to zaprzeczyłam.

— Widzi pani, często z nim pływam. Zna pani to powiedzenie o marynarzach, co mają żony w każdym porcie. Czasami to prawda.

— Oskarża pan kapitana o bigamię?

— Wierzę, że ślub wziął tylko raz.

— Więc... w czym rzecz?

— Anno... czy mogę tak się do pani zwracać? Znamy się dość dobrze, prawda?

Skinęłam głową.

— Tak więc, Anno, kapitan ma opinię kobieciarza. W czasie każdego rejsu znajduje sobie pasażerkę, na którą zwraca specjalną uwagę. W czasie tego rejsu wybrał panią.



- Poznałam go wcześniej. Nie byliśmy sobie zupełnie obcy.
- Przepraszam, że panią obraziłem. Ale moja troska wynika z tego, że mnie pani obchodzi.
- Nie jestem już taka młoda. Potrafię zadbać o siebie. Na jego twarzy odmalowała się ulga.
- Powiniennem być wiedzieć, że dostrzegła pani jego prawdziwą naturę.
- Prawdziwą naturę?
- To mężczyzna lubiący przygodne romanse.
- Naprawdę?

— Nigdy nie podejrzewał, że komuś uda się go złapać. Ale nawet dla niego było tego za wiele, wie pani, matka dziewczyny i jej stara niania. Dziewczyna spodziewała się dziecka, a one wezwały na pomoc czarną magię. Rzuciły klątwę na niego i każdy statek, którym będzie dowodził, jeśli się nie ożeni.

— Mam rozumieć, że ożenił się z takiego powodu?

— Musiał. Marynarze to najbardziej przesądni ludzie na świecie. Nikt nie pływaby pod rozkazami kapitana, na którym ciąży przekleństwo. A dowiedzieliby się o tym. Nie miał innego wyjścia, poślubił więc tę dziewczynę.

- Cała sprawa wydaje się dość naciągana.
- Życie często nie jest takie proste, jak się wydaje.
- Ale żenić się z powodu takich zabobonów!
- I tak powinien był się z nią ożenić.
- Więc może właśnie dlatego to uczynił.

Dick się roześmiał.

— Rozumie pani jednak, dlaczego się o panią martwię?

— Wyciąga pan nazbyt pochopne wnioski. Może to sugestie panny Rundle?

— Stara plotkarka, nie uwierzyłbym w ani jedno jej słowo. To jednak inna sprawa. Dotyczy pani, a wszystko, co pani dotyczy, jest dla mnie bardzo ważne.

Byłam poruszona, lecz zbyt zajęta Redversem, by zwrócić większą uwagę na aluzje Dicka Calluma.

— To bardzo miłe — rzekłam — że tak się pan troszczy o mnie.

— To nie kwestia uprzejmości. Nie mogę postąpić inaczej.

— Dziękuję. Proszę jednak przestać się o mnie martwić. Nie mogę pojąć, dlaczego miałby się pan niepokoić tym, że od czasu do czasu zamienię słowo z kapitanem.

— Dopóki pani rozumie... Anno, obawiam się, że wszystko zaplątałem. Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebować pomocy, zwróci się pani do mnie?

— Mówi pan tak, jakbym wyświadczala panu przysługę, prosząc o pomoc, a przecież to ja powinnam wtedy być wdzięczna. Z ochotą przyjmę pana pomoc, jeśli będę jej potrzebowała.

Ujął moją dłoń i uścisnął.

— Dziękuję za tę obietnicę, a w odpowiednim czasie przypomnę pani o niej.

Podejrzewałam, że zamierza powiedzieć więcej, szybko więc wtrąciłam:

— Może wrócimy do sali balowej?

Tańczyliśmy, gdy z dolnego pokładu dobiegł nas krzyk. Fortepian nagle umilkł. Krzyczało dziecko. Natychmiast pomyślałam o Edwardzie i natychmiast też uświadomiłam sobie, że to nie Edward, tylko Johnny Malloy.

Pobiegliśmy na dolny pokład, ale inni nas wyprzedzili. Johnny krzyczał wniebogłosy:

— To był czarownik Gulli–Gulli. Widziałem go! Widziałem!

Moją pierwszą myślą było, że przyśnił mu się jakiś koszmar. Zaraz jednak zobaczyłam, że na pokładzie leży pogrążony w głębokim śnie Edward.

Ivor Gregory wziął go na ręce, Johnny tymczasem krzyczał dalej:

— Widziałem go, naprawdę! Niósł Edwarda! Pobiegłem za nim i wołałem: „Gulli–Gulli, poczekaj na mnie!”. A on zostawił Edwarda i uciekł.

To było jakieś szaleństwo. Podeszłam do doktora, który spokojnie spojrzął mi w oczy i rzekł:

— Zabiorę go do kabiny.

Poszłam z nim. Widziałam, jak pani Malloy biegnie do Johnny’ego i domaga się wyjaśnień, dlaczego chłopiec jest na pokładzie i o co ten cały zamęt.

Lekarz Gregory delikatnie położył Edwarda, po czym pochylił się nad nim. Uniósł mu powieki i obejrzał źrenice.

— On nie jest chory, prawda? — zapytałam.

Lekarz, nie kryjąc zdziwienia, pokręcił głową.

— Cóż mogło się wydarzyć? — dodałam.

Nie odpowiedział.

— Zabiorę go do izby chorych i przez jakiś czas go tam potrzymam.

— A więc jest chory?

— Nie... nie. Ale go wezmę.

— Nie pojmuję, co też mogło się wydarzyć.

Doktor zdjął burnus, kiedy badał Edwarda; dopiero po jego odejściu zauważyłam leżącą na podłodze szatę.

Podniosłam ją i poczułam lekki zapach piżma; kilka osób kupiło takie perfumy na bazarze. Aromat był tak ciężki i intensywny, że zdawał się przywierać do wszystkiego, co znalazło się w pobliżu.

Upuściłam burnus i wyszłam na pokład. Matka i pani Blakey zabrały już Johnny’ego do kabiny. Wszyscy mówili o wypadku. Na Boga, co się wydarzyło? Jak śpiące dziecko mogło wydostać się z kabiny? I co miała znaczyć ta dziwaczna opowieść o Gulli–Gulli niosącym Edwarda i porzucającym go na dźwięk głosu Johnny’ego?

— To jakiś wybryk chłopców — orzekła Chantel. — My się bawiliśmy, tak więc uznali, że oni też mogą.

— Ale jak śpiące dziecko wyszło z kajuty? — zapytał Rex, który stał tuż obok niej.

— Wyszedł i udał, że śpi. To akurat łatwo wyjaśnić.

— Lekarz nie sądził, by Edward był przytomny — wtrąciłam.

— Bzdury — odparła Chantel. — Przecież nie spacerował we śnie, prawda? A może jednak? Miałam pacjentów, którzy we śnie robili najdziwniejsze rzeczy.

Panna Rundle nie zamierzała zostać w tyle.

— Cała ta gadanina o Gulli–Gulli to czysta imaginacja! Powinno się dać im solidne lanie.

— Moim zdaniem, to była po prostu zabawa — wtrąciła łagodnie Claire Glenning. — Nie będziemy chyba robić z tego wielkiej sprawy.

— Ale napędzili nam strachu — zauważyła Chantel. — Przypuszczam, że o to im chodziło.

— Burza w szklance wody — skomentował Gareth Glenning.

— Tak czy owak — oznajmiła panna Rundle — dzieci należy nauczyć dyscypliny.

— Co pani chce zrobić? — zapytał Rex. — Zakuć ich w kajdany? Rex swoim zwyczajem nadał ton rozmowie. Chociaż z natury cichy, nikomu nie pozwalał zapomnieć, że jest Rexem Creditonem, przemysłowcem, finansistą i milionerem — czy raczej zostanie nim po śmierci matki. Jego powaga, godność i skromność sugerowały, że nie musi zwracać uwagi otoczenia na swoją osobę. Wystarczyło, że był dziedzicem firmy i jeśli nawet na razie nie rządził wielkim imperium Creditonów, to będzie to czynił we właściwym czasie.

— Tańczmy dalej! — powiedział, patrząc przy tym na Chantel.

Wróciliśmy więc do salonu i tańczyliśmy, nie mogąc jednak zapomnieć dziwnej sceny na pokładzie, a choć już o tym nie rozmawialiśmy, ów wypadek bez wątpienia obecny był w naszych myślach.

Wysłałam wcześniej z balu; w kabinie na toaletce zastałam liścik od doktora Gregory'ego. Powiadał, że zatrzymuje Edwarda na noc w izbie chorych.

\* \* \*

Następnego dnia wcześniej rano steward zapukał do mojej kabiny z informacją, że lekarz chce się ze mną zobaczyć. Zaniepokojona poszłam do niego zaraz.

— Gdzie Edward? — zapytałam.

— Wciąż w łóżku. Był trochę chory... ale nie ma powodów do niepokoju. Do południa całkiem wydobrzeje.

— Dalej jest w izbie chorych?

— Dopóki sam się nie obudzi. Teraz już czuje się dobrze.

— Ale co się stało?

— Panno Brett, to dość poważna sprawa. W nocy dziecku podano narkotyk.

— Narkotyk!? Doktor pokiwał głową.

— Ta historia, którą opowiadał Johnny... on tego nie wymyślił. Ktoś wszedł do kabiny Edwarda i wyniósł go śpiącego.

— Tylko po co?

— I tego właśnie nie rozumiem. Wypytałem Johnny'ego. Powiedział, że nie mógł zasnąć, bo myślał o tańcach i kostiumach. Narysował swoją matkę i chciał pokazać obrazek Edwardowi, włożył więc szlafrok i pantofle, po czym wyszedł ze swojej kabiny. Zgubił się jednak, a kiedy próbował się zorientować, gdzie jest, zobaczył człowieka, którego nazywa czarownikiem Gulli-Gulli, w pośpiechu niosącego Edwarda.

— Gulli-Gulli? Lecz przecież czarownik był na pokładzie w Port Saidzie i tam też zszedł na ląd.

— Chłopiec chciał powiedzieć, że widział kogoś w burnusie.

— Kogo?

— Wczoraj wieczorem prawie każdy mężczyzna na statku nosił burnus, panno Brett.

— Kto jednak miałby porwać Edwarda?

— Też chciałbym to wiedzieć. I kto wcześniej podał mu narkotyk? Zbladłam. Doktor tak mi się przyglądał, jakby sądził, że to moja sprawka.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziałam.

— Istotnie, wydaje się to niewiarygodne.

— W jaki sposób podano mu narkotyk?

— To łatwo wyjaśnić. Tabletki nasenne rozpuszczają się w wodzie... mleku...

— Mleku! — powtórzyłam.

— Dziecko po dwóch zwykłych tabletkach nasennych traci świadomość. Czy miała pani tabletki nasenne, panno Brett?

— Nie, ale jego matka ma. Lecz ona przecież nie...

— Dostęp do tych środków dla nikogo nie byłby trudny. Tajemnicą jest... po co?

— Uśpić dziecko, by nie wszczęło alarmu, kiedy ktoś wynosi je na pokład. W jakim celu? Żeby wyrzucić za burtę?

— Panno Brett!

— A jakież inny mógłby to być cel?

— Taki pomysł wydaje się dziwaczny — odrzekł Gregory.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. A ja pomyślałam: tak, to rzeczywiście dziwaczne. Czy naprawdę przypuszczam, że ktoś chciałby zamordować Edwarda?

— I co zamierza pan zrobić? — zapytałam głosem drżącym ze zdenerwowania.

— Moim zdaniem im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Ludzie wyolbrzymią sprawę i Bóg wie co dodadzą. Na razie większość wierzy, że to żart wymyślony przez chłopców.

— Johnny będzie się jednak upierał, że widział człowieka, którego nazywa Gulli–Gulli.

— Uznają, że go sobie wyobraził.

— Dowiedzą się, że Edward był nieprzytomny.

— Pomyślą, że udawał. Potrząsnęłam głową.

— To straszne — rzekłam.

Lekarz zgodził się ze mną, a potem zaczął zadawać mi pytania. Opowiedziałam mu, jak przyniesiono mleko, a Edward nie chciał go wypić, jak poszłam do kabiny Chantel, a potem Chantel wróciła ze mną i nawet spróbowała mleka, próbując skłonić chłopca do wypicia całej szklanki.

— Zapytam ją, czy wyczuła jakiś dziwny smak.

— Od razu przecież by powiedziała, gdyby tak było.

— Nie potrafi pani rzucić światła na tę tajemniczą sprawę? Odparłam, że nie i wróciłam do swojej kabiny bardzo zaniepokojona.

\* \* \*

Chciałam porozmawiać z kapitanem. Wiedziałam, że doktor Gregory zda mu relację, i zastanawiałam się, jak Redvers zareaguje na wiadomość, że ktoś próbował zamordować jego syna. Morderstwo to mocne słowo. Lecz z jakiego innego powodu ktoś miałby podawać dziecku narkotyk?

Lekarz chciał utrzymać sprawę w tajemnicy. Może istotnie nie poinformuje o tym większości pasażerów, ale musiał o wszystkim powiedzieć mnie jako guwernantce dziecka, a także Redversowi jako zarówno ojcu, jak i kapitanowi, który powinien orientować się we wszystkim, co dzieje się na statku.

Pójdę do jego kabiny. Muszę to zrobić.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Mogę wejść? — zapytała Chantel. — Jak się czuje nasz nocny awanturnik?

— Jest w izbie chorych.

— Boże wielki!

— Czuje się dobrze. Chantel, doktor nie chce, by sprawa się rozeszła, ale Edwardowi podano wczoraj narkotyk.

— Narkotyk! W jaki sposób?

— Dlaczego — to chyba ważniejsze pytanie. Och, Chantel, tak się boję.

— Przecież chyba nikt nie chciałby zrobić krzywdy dziecku?

— Czemu jednak ktoś go uspił i wyniósł z kabiny? Jak sądzisz, co by się stało, gdyby nie pojawił się Johnny?

— Co? — zapytała, wstrzymując oddech.

— Moim zdaniem, ktoś chciał zabić Edwarda. Wyrzucić go za burtę. Nikt nic by nie usłyszał, dziecko było nieprzytomne. Może koło relingu zostałby jego pantofel. Założono by, że Edward wędrował we śnie i wypadł za burtę. Nie rozumiesz?

— Rozumiem, gdy tak to przedstawiasz. Najłatwiejszym miejscem do popełnienia morderstwa jest morze. Ale z jakiego powodu? Po co?

— Nic nie przychodzi mi do głowy.

— Panna Rundle będzie musiała pracować nad tym po godzinach.

— Doktor Gregory sądzi, że należy całą rzecz zachować w tajemnicy. Edward bardzo by się zaniepokoił, gdyby wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo. O niczym nie wie i nie może się dowiedzieć.

— A Johnny?

— Znajdziemy na niego jakiś sposób. W końcu nie powinien być nocą spacerować po pokładzie, tak więc już za to czeka go kara. Choć z drugiej strony, dzięki Bogu, że spacerował.

— Anno, czy ty przypadkiem zbytnio nie dramatyzujesz? Równie dobrze mógł to być czyjś głupi żart.

— Jaki znowu żart?

— Sama nie wiem. Lecz przecież noc była szczególna, wszyscy dobrze się bawiliśmy w naszych orientalnych kostiumach. Może jeden z przebranych Arabów wypił za dużo albo źle wykonał jakiś plan.

— Ale chłopiec został uspiiony, Chantel. Zamierzam porozmawiać z kapitanem.

— Co, teraz?

— Tak. Sądzę, że o tej porze będzie u siebie. Muszę z nim pomówić. Na resztę rejsu trzeba przedsięwziąć szczególne środki ostrożności.

— Droga Anno, bierzesz całą sprawę nazbyt poważnie.

— Edward jest pod moją opieką. Czy nie czułabyś takiej samej odpowiedzialności, gdyby chodziło o twojego pacjenta?

Przyznała mi rację, gdy jednak wychodziłam, na jej twarzy malowało się powątpiewanie. Idąc na mostek kapitański, zadawałam sobie pytanie, czy moje zachowanie nie odbiega od przyjętych zwyczajów, lecz mogłam myśleć tylko o tym, że ktoś uspił dziecko i wyniósł z kabiny, a także o tym, co by się stało, gdyby nie Johnny Malloy.

Schody zaprowadziły mnie pod drzwi kapitana. Zapukałam i z ulgą usłyszałam jego głos, zapraszający do środka.

Siedział przy stole, na którym leżały papiery.

Na mój widok wstał:

— Anno!

Jego kabina była obszerna i pełna słońca. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające statki, na szafie stał model z brązu.

— Musiałam przyjść — oznajmiłam.

— W sprawie chłopca? — zapytał i zrozumiałam, że już o wszystkim wie.

— Nie rozumiem tego — wyznałam. — I jestem bardzo zaniepokojona.

— Rano rozmawiałem z doktorem. Edwardowi podano tabletki nasenne.

— Nie mieści mi się to w głowie. Mam nadzieję, że nie myśli pan, iż ja...

— Ależ wcale tak nie myślę, droga Anno. Ufam pani we wszystkim, co dotyczy mojego syna. Czy jednak może pani jakoś rozjaśnić tę sprawę? Co pani o tym sądzi?

— Nic nie przychodzi mi do głowy. Chantel... siostra Loman uważa, że to sprawka jakiegoś żartownisia.

Na jego twarzy odmalowała się ulga.

— Czy to możliwe?

— Tylko że zupełnie bez sensu. Po co podawać dziecku tabletki nasenne? Jedynym powodem, jakim mógł się kierować sprawca, było uzyskanie pewności, że Edward go nie rozpozna. To raczej przekracza granice żartu. Dlatego też nabrałam strasznego podejrzenia. A jeśli ktoś próbował zamordować Edwarda?

— Zamordować dziecko? Z jakiego powodu?

— Sądziłam... że może pan wie. Czy mógłby istnieć jakiś powód?

Redvers nie krył zdumienia.

— Nic mi nie przychodzi do głowy. A Edward co mówi?

— O niczym nie wie i nie może się dowiedzieć. Wolę nie myśleć, jak mogłoby to na niego wpłynąć. Muszę być bardziej czujna. Powinnam wczoraj być w kabinie, a nie na balu. Powinnam pilnować go w dzień i w nocy.

— Chyba się pani nie obwinia, Anno? Nie może pani. Spał w kabinie. Skąd miała pani wiedzieć, że może stać mu się jakaś krzywda?

— A jednak ktoś rozpuścił tabletki w mleku. Kto mógł to zrobić?

— Kilka osób. Ktoś w kambuzie... kiedy szykowano tacę. Mleko mogło zawierać narkotyk, nim przyniesiono je do pani.

— Ale dlaczego... dlaczego?

— Wszystko mogło odbyć się inaczej, niż pani sądzi. Edward znalazł tabletki w kabinie matki i pomyślał, że to cukierki.

— Nie był tam. Przez cały dzień niedobrze się czuł i większość czasu przespał.

— Przecież mógł je zabrać kiedy indziej. To najbardziej prawdopodobna odpowiedź. Znalazł tabletki w kabinie matki, schował do kieszeni, myśląc, że to słodczyce, i zjadł wieczorem.

— Kogo w takim razie widział Johnny?

— Mógł sam wyjść, nim zaczęły działać tabletki. Niewykluczone, że obaj przez jakiś czas byli na pokładzie i Edward nagle poczuł się senny. Widząc go leżącego na pokładzie, Johnny nie miał pojęcia, co robić, i wymyślił historyjkę z Gulli–Gulli, żeby nie dostać kary.

— To bardzo prawdopodobne wytłumaczenie, a także dodające otuchy. Musiałam z panem porozmawiać. Po prostu musiałam.

— Wiem.

— Nie powinnam była tu przychodzić... i niepokoić pana. To niestosowne z mojej strony.

Roześmiał się i rzekł:

— Odpowiem na to, że jestem zachwycony, widząc panią o każdej porze.

Drzwi otworzyły się tak cicho, że zdaliśmy sobie sprawę z obecności Monique dopiero wtedy, gdy w kabinie rozległ się ostry śmiech.

— A więc was przyłapałam!

Była w strasznym stanie. Włosy miała w połowie rozpuszczone, w połowie upięte, na ramionach kimono z czerwonego jedwabiu z wymalowanym złotym smokiem. Słyszałam, jak z trudem walczy o oddech.

— Wejdz i usiądź, Monique — powiedział Redvers.

— Mam się przyłączyć do waszego czułego *tête-a-tête*? Żeby było jeszcze przyjemniej, co? Nie, nie usiądę, tyle ci powiem. Nie usiądę. Odkąd tylko ona pojawiła się w zamku, próbuje mi ciebie odebrać. Ciekawa jestem, co zrobi dalej? Ale ja nie spuszczam z niej oka. Przypomnę jej, że jesteś żonaty... ze mną. Jej może się to nie podobać... tobie może się to nie podobać... ale to prawda i nic nigdy tego nie zmieni.

— Monique — odezwał się Redvers łagodnie. — Monique!

— Jesteś moim mężem. Ja jestem twoją żoną. To się nie zmieni, póki ja żyję.

— Poproszę siostrę Loman — wtrąciłam.

Skinął głową i podszedł do Monique, aby wprowadzić ją do swej sypialni, wrywała mu się jednak gwałtownie, krzycząc jeszcze głośniejszym głosem, co miało taki tylko skutek, że trudniej jej było oddychać.

Zbiegłam na dół. Chantel właśnie wychodziła ze swojej kabiny.

— Och, Chantel, co za okropna scena. Pani Stretton będzie chyba bardzo chora.

— Gdzie jest?

— W kabinie kapitana.

— Boże, zlituj się! — jęknęła Chantel i łapiąc walizeczkę z przyborami, pobiegła na górę.

Chciałam pobiec za nią, wiedziałam jednak, że nie byłoby to rozsądne. To z mojego powodu zaczęły się kłopoty.

Wróciłam do siebie i usiadłam, niespokojnie rozważając, co będzie dalej.

\* \* \*

Monique była bardzo chora, tak chora, że nocny incydent, w którym brali udział chłopcy, odszedł w zapomnienie. Chantel nie wychodziła z kajuty kapitana, opiekując się swą pacjentką. Wśród pa — sażerów panowała powszechna opinia, że żona kapitana znajduje się na granicy śmierci.

Edward wrócił do zdrowia. Nie powiedzieliśmy mu nic o jego przygodzie. Myślał, że po prostu zjadł coś niestrawnego, dlatego tak bardzo chciało mu się spać i było niedobrze. Bardzo ucieszył go pobyt w izbie chorych, ponieważ dzięki temu zyskał zdecydowaną przewagę nad przyjacielem. Co zaś do Johnny'ego, to matka, przed którą czuł respekt, udzieliła mu surowej nagany i poradziła, że najmądrzej zrobi, jeśli o wszystkim zapomni. Był to żart związany z Arabskimi Nocami, a ponieważ Johnny nie miał prawa przebywać na pokładzie, decyzja o darowaniu mu kary może w każdej chwili ulec zmianie. Tak więc z jego strony najlepszym posunięciem będzie jak najszybciej wyrzucić z pamięci całą sprawę.

No i wypadek Edwarda stracił na znaczeniu. Jego matka poważnie zachorowała.

Atmosfera na statku uległa zmianie. Stosunek pozostałych pasażerów do mnie uległ zmianie.

Powszechnie znany stał się fakt, iż Monique dostała ataku, ujrawszy mnie w kabinie kapitana — nie dało się tego uniknąć. Panna Rundle rzuciła się na tę informację niczym sroka na błyskotkę. Swoim zwyczajem ubarwiła wiadomość i upiękaczyła, po czym podawała ze specjalną przyprawą marki Rundle, by plotka była bardziej soczysta.

Odkrycie rywalki w kabinie męża spowodowało atak choroby! Biedna kobieta, przecież nie tylko z tym musiała sobie radzić. Te wszystkie opowieści o kapitanie! Panna Rundle doprawdy nie pojmuję, do czego zmierza ten świat. Nawet w tak szczupłym gronie pasażerów znalazła się kobieta pokroju siostry Loman, zbyt często przebywająca w towarzystwie Rexa Creditona, i panna Rundle zadaje sobie pytanie, czy też ta intrygantka przypadkiem nie próbuje złapać go na męża. (Próżne nadzieje! Panna Rundle z dobrego źródła wie, że pan Crediton zamierza zaręczyć się z córką innego magnata stoczniowego). A wcale nie jest jedyna! Pani Malloy nie odstępuje na krok pierwszego oficera, chociaż sama ma męża w Australii, a on żonę i dwoje dzieci w Southampton. (To szczerą prawdą, ponieważ kiedy pan Greenall pokazał mu zdjęcie wnuków z Anglii, które wiozł, by pokazać wnukom w Australii, pierwszy oficer zmuszony był wyznać, iż sam jest ojcem dwojga dzieci). To wszystko wszakże bladło w porównaniu ze skandalem wywołanym przez tę „guwernantkę”, którą w kabinie kapitana znalazła jego żona i tak się tym zdenerwowała (biedactwo, nic dziwnego!), że o mało nie umarła. Nie, panna Rundle nie ma pojęcia, dokąd zmierza ten świat, ale jeśli są na nim ludzie tacy jak kapitan, to czego właściwie można się spodziewać?

Było to bardzo nieprzyjemne.

Chantel próbowała mnie pocieszać. Opuściwszy kajutę kapitana, zaprosiła mnie do siebie. Edward bawił się z Johnnym pod opieką pani Blakey, ja jednak w takich sytuacjach nie czułam się dobrze. Miałam wrażenie, że powinnam nieustannie nad nim czuwać, a choć pani Blakey była

rozsądną kobietą, nie lubiłam, gdy chłopiec przebywał z dala ode mnie. Z drugiej strony obawiałam się okazać przed nim strach.

— Ona nie jest tak bardzo chora, jak się wydaje — tłumaczyła Chantel. — Takie ataki przerażają ludzi, którzy muszą je oglądać, są też straszne dla pacjentki. Wiesz, chodzi o to łapczywe chwytnie powietrza. Ale za dzień lub dwa będzie czuła się dobrze.

— Mam taką nadzieję.

— Moja biedna Anno! — Chantel się roześmiała. — Musisz przyznać, że ty jako *femme fatale* to dość zabawne. Nie wątpię wszakże, iż kapitan „ma do ciebie słabość”, jakby ujęła to Edith.

— Chantel!

— To prawda. Patrzy na ciebie w szczególny sposób, kiedy z tobą rozmawia. Ty zresztą też, moja droga. Cóż, naturalnie wyidealizowałaś sobie jego obraz wiele lat temu. Jesteś romantyczką, Anno. I powiem ci coś jeszcze, Dickowi Callumowi też wpadłaś w oko.

— Jest wobec mnie bardzo uprzejmy.

— Ty wszakże wolisz naszego szarmanckiego kapitana. Cóż, na razie nie jest wolny, ale to lada dzień może się zmienić. Wiesz, jeden z tych ataków może okazać się ostatnim, poza tym jest jeszcze ta choroba płuc.

— Och, Chantel, nie mów tak, proszę.

— Nigdy nie sądziłam, Anno, że właśnie ty będziesz się cofać przed prawdą.

— To wszystko jest... zbyt... niepokojące.

I nagle na jej twarzy pojawił się przewrotny uśmiech.

— Żałujesz, że zgodziłaś się popłynąć w ten rejs? Żałujesz, że nie poszłaś za marne grosze pracować jako pomocnica antykwariusza? I tak nigdy byś nie znalazła takiej posady. To los sprawił, że wszystko tak, a nie inaczej się potoczyło. Moje przybycie do Domu Królowej, praca w zamku, sprowadzenie cię tutaj. Los... z niewielką pomocą siostry Loman.

— Nie powiedziałam, że żałuję.

— Jedna godzina wspaniałego życia warta jest stulecia bez... czegoś tam. Zapomniałam, za to Wordsworth wiedział.

— To „Answer”, wiersz numer 545, przypisywane Scottowi, ale to wcale nie znaczy, że naprawdę był autorem, bo ta sentencja raczej do niego nie pasuje, prawda?

— Wierzę ci, wiesz wszystko. Ale coś w tym jest. Wolę krótką, acz barwną godzinę (i drugą dla ciebie) niż całe nudne, monotonne życie pozbawione niebezpieczeństwa czy radości.

— To zależy — odrzekłam.

— No, przynajmniej dałam ci temat do rozmyślań, dzięki czemu zapomniałaś o tej okropnej pannie Rundle. Nie obawiaj się jednak. Za kilka dni żona naszego kapitana stanie na nogi. Sprowadzę ją na dół, gdy tylko będzie to możliwe, żeby mieć ją na oku, a biednemu kapitanowi dać chwilę wytchnienia. Jestem pewna, że jest dla niego straszliwym dopustem. Jednakże na morzu następnego dnia zapomina się już o tragedii dnia poprzedniego. Popatrz tylko, jak szybko doszliśmy do siebie po incydencie z Edwardem i Johnnym. Rzadko kto o tym wspomina.

Raz jeszcze Chantel mnie pocieszyła.

— Cokolwiek się stanie — powiedziałam nagle — mam nadzieję, Chantel, że zawsze będziemy razem.

— Już ja tego dopilnuję — zapewniła mnie. — Los może mieć w tym swój udział, ale resztę zostaw mnie.

\* \* \*



Chantel miała rację. Po kilku dniach Monique poczuła się dobrze, tak samo jak pierwszego dnia na pokładzie. Nie mówiono już o jej rychłej śmierci i wróciła do swojej kabiny sąsiadującej z kabiną mojej przyjaciółki.

Czasami wychodziła posiedzieć na pokładzie w towarzystwie Chantel. Podchodził do nich Edward i w zależności od nastroju Monique albo go pieściła, albo ignorowała. Chłopiec przyjmował to z filozoficznym spokojem.

Na mnie nie zwracała uwagi, aczkolwiek bywało, że te piękne, ciemne oczy wpatrywały się we mnie; odnosiłam wtedy wrażenie, że maluje się w nich rozbawienie. Zastanawiałam się, czy zwolni mnie, gdy dopłyniemy na wyspę. Wspomniałam o tym Chantel, lecz odrzekła, że niepotrzebnie się przejmuję. To od nas zależy decyzja, czy wrócimy do domu, czy też tam zostaniemy. Przecież tak powiedziała nam lady Crediton, prawda? Zbyt dobrze radziłam sobie z Edwardem, by Monique chciała się mnie pozbyć, a poza tym nie miała w sobie złośliwości. Urządzała sceny, boje lubiła, wdzięczna też była osobom, dzięki którym zyskiwała pretekst do awantur, a ja mieściłam się w tej kategorii z powodu okazywanej mi przez kapitana sympatii.

I tak chyba istotnie było, jako że pewnego dnia Monique zaproponowała, bym przy niej usiadła.

— Mam nadzieję — rzekła — że nie traktuje pani kapitana poważnie. Widzi pani, on lubi kobiety. Jest wobec wszystkich szarmancki.

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć, wyjąkałam więc tylko, że to chyba jakieś nieporozumienie.

— Tak samo było, gdy płynęliśmy do Anglii. Na statku była młoda kobieta, dość podobna do pani. Spokojna i... jak brzmi to słowo?... niepozorna. Takie mu się podobają. Doskonale się czuje, okazując grzeczność kobietom, które szczególnie doceniają jego względy.

— Nie wątpię — odparłam cokolwiek szorstko — iż wszystkie jesteście bardzo mu wdzięczne, tym bardziej że nie nawykłyśmy do tego rodzaju uwagi.

Roześmiała się głośno. Później Chantel powiedziała mi, że Monique mnie polubiła. Miałam podobno dziwny sposób wysławiania się, który bardzo ją bawił. Rozumiała, dlaczego w czasie tego rejsu kapitan wybrał właśnie mnie.

— Widzisz — dodała Chantel — nie możesz pozwolić, by plotki cię denerwowały. Monique różni się od angielskich kobiet. Wątpię, czy moralność na wyspie przypomina moralność wiktoriańskiego salonu. Monique złości się, bo namiętnie kocha kapitana, a jego obojętność czasem doprowadza ją do szaleństwa. Ale lubi, gdy inne kobiety go podziwiają.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Bo masz zwyczaj traktować wszystko zbyt poważnie.

— Poważne sprawy należy traktować poważnie.

— Nie jestem tego taka pewna.

— Chantel, nie zostało już wiele czasu. Nagle wszystko się zmieniło. Wydaje się, że na statku panuje atmosfera... bliskiej katastrofy. Wyczuwam ją od tamtej nocy, gdy Edwarda wyniesiono z kabiny.

— Katastrofy!

— Nie mogę zapomnieć o tym, co się stało. Ciągłe krąży mi po głowie myśl, że ktoś chciał go zabić.

— Musi być inne wyjaśnienie.

— Kapitan uważa, że Edward znalazł tabletki nasenne matki i wziął je za cukierki.

— To prawdopodobne. Ciekawski z niego młody człowiek, wszystko go interesuje. „A co to?”. „A co to?”. Pokój mamy to dla niego istna grota Aladyna.

— Może razem z Johnnym wyszli na pokład, żeby z jakiegoś miejsca popatrzeć na tańce, a Edward zasnął i Johnny wymyślił czarownika...

— Naturalnie. To doskonale wyjaśnia całą sprawę. Kiedy się nad tym zastanowić, to jedyne wytłumaczenie.

— Chciałabym być tego pewna.

— A ja jestem. To tyle, jeśli chodzi o tę twoją bliską katastrofę. Dziwisz mnie, Anno. I to ty, taka praktyczna i rozsądna kobieta!

— Mimo to nie zamierzam spuszczać Edwarda z oka ani na chwilę, póki jest pod moją opieką. Na noc będę zamykać kabinę na klucz.

— A gdzie jest teraz?

— Z Johnnym i panią Blakey. Ona się ze mną zgadza, ponieważ Johnny w żadnym razie nie powinien był wtedy wyjść. Postanowiłyśmy zamykać kabiny na klucz, kiedy chłopcy położą się spać.

— To z pewnością zapobiegnie nocnym wędrówkom. A poza tym już niedługo pożegnamy Johnny'ego, jego matkę i ciotkę.

Spojrzałam na nią bacznie. I Rexa, dodałam w myślach. Czy Chantel naprawdę na nim zależy? Niekiedy odnosiłam wrażenie, że wiele przede mną ukrywa.

Jak może z taką obojętnością myśleć o chwili, gdy statek zawinie do portu w Sydney? Rexa powitają Derringhamowie, wpadnie w wir spotkań towarzyskich i biznesowych. Biedna Chantel, jej sytuacja była równie beznadziejna jak moja. Lecz nie musi taka być. Gdyby Rex sprzeciwił się matce, gdyby poprosił Chantel o rękę, mogliby być szczęśliwi. Rex przecież jest wolny.

Wyczuwałam jednakże w nim słabość. Był przystojnym mężczyzną, to prawda, i odznaczał się tym swobodnym urokiem, który Red miał w o wiele większym stopniu. Rex wydawał się bladym odbiciem przyrodniego brata.

Ale przeciwstawił się matce, kiedy nie oświadczył się Helenie Derringham. Jak daleko posunie się ten bunt? Żałowałam, że Chantel nie zwierza mi się ze swoich uczuć do Rexa. Lecz przecież ja też nie zdradzałam przed nią moich prawdziwych uczuć. Rzecz w tym, że nawet nie chciałam się nad nimi zastanawiać. Jakże mogłabym przyznać, że kocham męża innej kobiety? Nie śmiałam tego uczynić.

Musiałyśmy ukrywać przed sobą nasze sekrety.

\* \* \*

W Bombaju panował nieznośny upał. Monique miała kłopoty z oddychaniem i Chantel musiała odwołać wycieczkę. Kapitan składał wizyty agentom kompanii i zabierał ze sobą Edwarda.

Pani Malloy powiedziała mi, że pierwszy oficer i główny steward zaproponowali nam wspólne zwiedzanie miasta. Pani Blakey z Johnnym przyłączyła się do Greenallów i panny Rundle.

Przyjęłam zaproszenie. Pojechaliśmy otwartym powozem, pani Malloy i ja kryłyśmy się przed palącym słońcem pod wielkimi kapeluszami i parasolami.

Było to dla mnie dziwne doświadczenie, moje myśli powędrowały daleko w przeszłość, kiedy mieszkałam tu z rodzicami. Widząc kobiety robiące pranie w rzece, spacerując po targu, gdzie na straganach wystawiono przedmioty z kości słoniowej i brązu, jedwabie i dywany, powróciłam prosto w dni dzieciństwa. Kiedy przejeżdżaliśmy obok cmentarza na Malabar Hill, rozglądałam się za sępami.

Moje wspomnienia zainteresowały Dicka Calluma, pani Malloy i pierwszy oficer słuchali przez grzeczność, bardziej zajęci sobą nawzajem.

Zatrzymaliśmy się koło przydrożnej herbaciarni i tam rozdzieliliśmy na pary. Koło herbaciarni handlarze rozłożyli swoje towary: piękne jedwabne szale, koronkowe serwetki i obrusy, hebanowe słonie z połyskującymi białymi kłami.

Swymi łagodnymi głosami przekonywali nas do kupna, zatrzymaliśmy się więc, by popatrzeć. Kupiłam obrus, który planowałam wysłać Ellen, oraz małego słonia dla pani Buckie.

Podziwiałam cudowny szal z białego jedwabiu, ozdobiony doskonałym błękitno — srebrnym haftem. Kupił go Dick Callum.

— Nie można ich rozczarować — wyjaśnił.

W herbaciarni było chłodniej; pomarszczony starzec chodził od stolika do stolika, oferując na sprzedaż urocze wachlarze z pawich piór. Dick podarował mi jeden.

Kiedy popijaliśmy odświeżającą herbatę, zapytał:

— Co się stanie, kiedy wylądujemy na Coralle?

— To dopiero za jakiś czas.

— Około dwóch tygodni drogi z Sydney.

— Nie dopłynęliśmy jeszcze do Sydney.

— Zostanie pani na wyspie?

— Mój los się waży. Lady Crediton wyraźnie określiła sytuację. Jeśli moje usługi zostaną odrzucone lub zechcę powrócić, za rejs zapłaci kompania. Te same warunki dotyczą siostry Loman.

— Jesteście dobrymi przyjaciółkami.

— Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niej, chociaż znam ją dopiero od kilku lat. Zbliżyłyśmy się jednak do siebie jak siostry i czasami mam wrażenie, że znałam ją przez całe życie.

— To bardzo atrakcyjna młoda kobieta.

— Nie spotkałam nigdy atrakcyjniejszej od niej.

— A ja tak — odparł, patrząc na mnie płomiennym wzrokiem.

— Nie wierzę — rzuciłam lekko.

— Czy chce pani, bym mówił dalej?

— Nie sądzę, ponieważ i tak panu nie uwierzę.

— Jeśli jednak tak myślę...

— To się pan myli.

— Nie wyobrażam sobie dalszego rejsu na pokładzie „Łagodnej Damy”, kiedy pani nas opuści. Marynarze mają przyjaciół na stałym lądzie.

— A więc będziemy przyjaciółmi.

— To doskonale. Chcę jednak panią o coś zapytać. Czy zostanie pani moją żoną?

Podniosłam wachlarz z pawich piór, nagle bowiem zrobiło mi się gorąco.

— Chyba... nie mówi pan poważnie?

— Jak najpoważniej.

— Lecz... pan ledwo mnie zna.

— Znam panią, odkąd wypłynęliśmy z Anglii.

— To krótki czas.

— Na statku ludzie poznają się szybko. To jak mieszkanie pod jednym dachem, różni się od warunków na stałym lądzie. W każdym razie czy to ważne?

— Bardzo ważne. Należy poznać na wylot osobę, z którą chce się zawrzeć związek małżeński.

— A czy kogokolwiek można poznać na wylot? Tak czy owak znam panią dostatecznie dobrze, by podjąć decyzję.

— To znaczy, że działa pan dość... pochopnie.

— Nigdy nie działałam pochopnie. Pomyślałam sobie: Anna to kobieta dla mnie. Ładna, mądra, uprzejma i dobra. Można na niej polegać. A to cecha, którą najbardziej cenię.

Mimo że miałam dwadzieścia osiem lat, po raz pierwszy ktoś prosił mnie o rękę. Nie odbyło się to tak, jak marzyłam — dawno, dawno temu, gdy sobie wyobrażałam czyjeś oświadczyzny. Po prostu spokojnie wyliczono moje zalety, z których największą okazała się moja niezawodność.

— Nazbyt szybko przemówiłem — odezwał się Dick.

— Być może w ogóle nie powinien pan mówić.

— Czy to znaczy, że odpowiedź brzmi: „nie”?

— Odpowiedź musi brzmieć przecząco — odrzekłam.

— W tej chwili. Godzę się z odmową, ponieważ może się to zmienić.

— Bardzo pana lubię — ciągnęłam. — Od początku był pan dla mnie bardzo dobry. Nie wątpię, że można na panu polegać tak samo... jak pana zdaniem na mnie, nie wierzę jednak, aby to był dostatecznie silny fundament małżeństwa.

— Są też inne powody. Kocham panią, to jasne. Nie potrafię wyrażać uczuć tak dobrze jak inni. Nie jestem podobny do naszego szarmanckiego kapitana, który, jestem tego pewny, wygłosiłby namiętną przemowę... i stosownie się zachował... nie traktując poważnie połowy swoich słów.

Spojrzałam na niego ostro.

— Dlaczego tak bardzo go pan nie lubi? — zapytałam.

— Może dlatego, że czuję, iż pani lubi go za mocno. Anno, niech pani przestanie o nim myśleć. Niech pani nie pozwoli traktować się tak, jak traktował inne.

— Inne? — powtórzyłam szorstko.

— Boże mój, chyba sobie pani nie wyobraża, że jest jedyna. Wystarczy popatrzeć na jego żonę, na sposób, w jaki się do niej odnosi.

— Zawsze odnosi się do niej... z kurtuazją.

— Kurtuazja! Taki się urodził. To część jego uroku. Urok! Dzięki niemu zdobył swoje miejsce w zamku. Miejsce w kompanii. Ma wielki urok... jak wcześniej jego matka. Dlatego została kochanką sir Edwarda. A nasz kapitan może prowadzić beztrudne życie. Może wpłatać się w skandal, który zrujnowałby każdego, lecz jego urok... jego wieczny urok ratuje go z opresji.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Słyszała pani o „Tajemniczej Kobiecie”. A jeśli pani nie słyszała, to powinna. Na statku znajdowała się fortuna. Sto tysięcy funtów, tak mówiono... w diamentach. I co się z nimi stało? Co stało się z handlarzem? Umarł na pokładzie. Pochowano go w morzu. Byłem tam, gdy spuszczano jego ciało do wody. Kapitan urządził pogrzeb. Biedny John Fillimore, umarł tak nagle. A jego diamenty? Co się z nimi stało? Nikt nie wie. Za to statek wyleciał w powietrze w zatoce Coralle.

Wstałam.

— Nie chcę dłużej tego słuchać.

— Proszę siadać — rozkazał, a ja go posłuchałam. Zaskoczyła mnie zmiana, jaka w nim zaszła. Ten człowiek czuł gwałtowną nienawiść do kapitana i naprawdę wierzył, że Redvers zamordował Johna Fillimora, aby ukraść diamenty.

— Muszę z panią porozmawiać, Anno — ciągnął — a powodem jest to, że panią kocham. Muszę panią uratować, bo grozi pani niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo?

— Znam objawy, to nie jest nasz pierwszy rejs. Ma wpływ na kobiety, którego ja nie mam, nie przeczę. Oszuka panią, jak oszukał swoją biedną żonę, choć nie udało mu się uciec. To korsarz, podobnego człowieka nigdy nie spotkałem. Dwieście lat temu zajmowałby się piractwem, pływając pod banderą z trupią czaszką. Teraz nie może napadać na statki, kiedy jednak widzi majątek wart sto tysięcy funtów w zasięgu ręki, nie zrezygnuje.

— Zdaje pan sobie sprawę z tego, że mówi o swoim kapitanie?

— Na pokładzie wykonuję jego rozkazy, teraz jednak nie jestem na pokładzie. Rozmawiam z kobietą, którą chcę poślubić, i zamierzam odkryć jej prawdę. Gdzie są diamenty? Dla mnie to jasne. Dla wielu to jasne, aczkolwiek nie można tego dowieść. Spoczywają zapewne w sejfie w jakimś zagranicznym porcie. Czekają na chwilę, gdy będzie można bezpiecznie zamienić je na gotówkę. Bo wcale nie tak łatwo sprzedać diamenty, wie pani. Są rozpoznawalne, więc kapitan musi być ostrożny. Ale uda mu się, fortuna czeka na niego. Przecież musi mieć własny majątek, czyż nie? Majątek sir Edwarda przejdzie na Rexa, ponieważ Rex jest jego prawowitym synem.

— To przypuszczenie posunięte nazbyt daleko.

— Mam dowody.

— Proponuję więc, by przedstawił je pan kompanii.

— Najdroższa Anno, nie zna pani naszego kapitana. Na wszystko miałby gotową odpowiedź. Zawsze na wszystko ma odpowiedź. Czyż nie pozbył się zřęcznie statku... miejsca przestępstwa? Dowódca, który utracił swój statek! Ilu kapitanów wyszłoby z tego cało? Każdy inny zostałby zwolniony, zhańbiony, musiałby zamieszkać na dalekiej wyspie na Pacyfiku, takiej jak Coralle. Chociaż on naturalnie miałby fortunę w diamentach i wciąż byłby bogatym człowiekiem.

— Dwukrotnie mnie pan dziś zaskoczył — rzekłam. — Po raz pierwszy, wyznając mi swoją miłość, i po raz drugi, ujawniając nienawiść do kapitana. I widzę, że żarliwiej mówi pan o nienawiści niż o miłości.

Nachylił się ku mnie; twarz miał zaczerwienioną z gniewu, nawet białka oczu zabarwiły się lekko od czerwieni policzków.

— Nie rozumie pani — odparł — że oba te uczucia są jednym? Nienawidzę go tak mocno, ponieważ tak głęboko kocham panią. A on za bardzo interesuje się panią... i pani nim.

— Źle mnie pan ocenia, co mnie dziwi, skoro twierdzi pan, że tak dobrze mnie zna.

— Wiem, że nigdy nie postąpiłaby pani... niegodnie.

— A więc mam kolejną cnotę poza niezawodnością.

— Anno, proszę mi wybaczyć. Pozwoliłem, by władzę nade mną przejęły emocje.

— Chodźmy. Pewnie minęła już godzina.

— I tylko tyle! Nic innego mi pani nie powie?

— Nie zamierzam słuchać oskarżeń, na które nie ma pan żadnych dowodów.

— Zdobędę dowód — oświadczył. — Na Boga, zdobędę! Wstałam.

— Wtedy zmieni pani swój stosunek do mnie — ciągnął Callum. — Zrozumie pani, a wówczas znowu z panią porozmawiam. Proszę mi przynajmniej powiedzieć, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu.

— Martwiłabym się, gdybym utraciła pańską przyjaźń — odrzekłam.

— Ależ ze mnie głupiec! Nie powinienem był jeszcze mówić. Nie szkodzi, wszystko jest jak przedtem. Nie rezygnuję łatwo, wie pani.

— Tego jestem pewna.

— Gdyby kiedykolwiek potrzebowała pani mojej pomocy... będę w pobliżu.

— Ta świadomość dodaje mi otuchy.

— I nie żywi pani do mnie niechęci?

— Nie przypuszczam, by jakakolwiek kobieta żywiła niechęć do mężczyzny za to, że wyznał jej miłość.

— Anno, jakże pragnąłbym powiedzieć pani wszystko, o czym myślę.

— Już dość mi pan powiedział, lepiej tego nie kontynuujmy — przypomniałam mu.

Wolnym krokiem minęliśmy handlarzy kucających koło swoich towarów. Nasi towarzysze siedzieli już w powozie.

— Sądziłyśmy, że się zgubicie — powitała nas pani Malloy.

Gdy weszliśmy na trap, Dick wsunął mi w dłoń biały jedwabny szal.

— Kupiłem go dla pani — powiedział.

— Myślałam, że to prezent dla kogoś innego.

— Dla kogo?

— Cóż, może dla matki.

Lekki cień zachmurzył jego twarz.

— Moja matka nie żyje.

Pożałowałam swoich słów, widziałam bowiem, że wspomnienie matki sprawiło mu ból. A potem przyszło mi do głowy, że w gruncie rzeczy niewiele o nim wiem. Kochał mnie i nienawidził kapitana Strettona. Jakie jeszcze gwałtowne uczucia rządziły jego życiem?

Gdy odbijaliśmy wolno od brzegu, do mojej kabiny przyszła Chantel.

— I pomyśleć, że musiałam zostać w domu! — jęknęła z grymasem.

— Jak twoja pacjentka?

— Trochę lepiej. Nie mogła znieść tego upału. Na morzu znowu wróci do siebie.

— Chantel, już niedługo dopłyniemy do Australii.

— Zaczynam się zastanawiać, jak też będzie wyglądać nasza wyspa. Tylko sobie to wyobraź! A może nie potrafisz? Mnie na myśl przychodzą palmy, rafy koralowe i Robinson Crusoe. Ciekawa jestem, co zrobimy, gdy statek odpłynie i zostaniemy tam same.

— Poczekamy, zobaczymy. Spojrzała na mnie bacznie.

— Coś się dzisiaj wydarzyło — powiedziała.

— Co?

— Chodzi mi o ciebie. Byłaś z Dickiem Callumem, prawda?

— Tak oraz z panią Malloy i pierwszym oficerem.

— No i? Zawahałam się trochę.

— Poprosił mnie o rękę.

Chantel nie odrywała ode mnie oczu. Potem szybko zapytała:

— I co mu odpowiedziałaś? „To zbyt nagle, mój panie?”

— Coś w tym rodzaju.

Odniosłam wrażenie, że odetchnęła z ulgą.

— Jak widzę, nie darzysz go nadmierną sympatią — zauważyłam.

— Och, jest mi obojętny. Tylko uważam, Anno, że nie jest dość dobry.

— Rzeczywiście. Nie dość dobry dla mnie!

— Jak zwykle pomniejszasz swoje zalety. A więc odmówiłaś mu, a on przyjął to jak dżentelmen i zapytał, czy może ponowić prośbę w późniejszym terminie.

— Skąd wiesz?

— Typowe zachowanie, jakiego spodziewałabym się po panu Callumie. On nie jest dla ciebie, Anno.

Ogarnęła mnie ochota, by stanąć w obronie mojego konkurenta.

— Dlaczego nie?

— Na Boga, chyba nie rozważasz naprawdę jego propozycji?

— Mało prawdopodobne, by ktoś jeszcze mi się oświadczył, a ludzie uważają, że lepiej poślubić kogoś, kogo się nie kocha, niż nigdy nie wyjść za mąż.

— Zbyt łatwo rezygnujesz. Przewiduję, że pewnego dnia poślubisz człowieka, którego sama wybierzesz. — Zmrużyła powieki z mądrą miną, a ja wiedziałam, o czym myśli.

— Cóż, odmówiłam i dalej jesteśmy przyjaciółmi. Dał mi to. — Pokazałam jej szal.

Chantel narzuciła go sobie na ramiona. Wyglądała w nim doskonale, lecz przecież we wszystkim tak wyglądała.

— Nie mogąc przyjąć oświadczyń, przyjęłaś szal.  
— Byłoby nieuprzejmością go nie wziąć.  
— On ponowi oświadczyń — powiedziała — ale ty jeszcze raz je odrzucisz, Anno. Zgoda na gorsze nigdy nie jest mądrym posunięciem. — Na widok wachlarza z pawich piór w jej oczach pojawiło się przerażenie. — Wachlarz... z pawich piór! Skąd go masz?  
— Dick Callum mi go podarował.  
— To przynosi nieszczęście, nie wiedziałaś? Pawie pióra są przeklęte!  
— Chantel, cóż to za bzdury.  
— Tak czy owak nie podoba mi się. To kuszenie losu.  
Złapała wachlarz i wybiegła z kabiny. Pośpieszyłam za nią. Zrównałam się z nią przy relingu, Chantel wszakże zdążyła już wyrzucić wachlarz za burtę.

\* \* \*

Noce i dnie na Oceanie Indyjskim były upalne. Zbyt leniwi, by cokolwiek robić, leżeliśmy wyciągnięci na leżakach. Tylko chłopcy mieli jeszcze energię. Od czasu do czasu widywałam Redversa; po owej scenie w kabine przez kilka dni mnie unikał, później wszystko wróciło do normy. Na spokojnym tropikalnym morzu kapitan częściej bywał wolny, a ponieważ Edward pragnął z nim przebywać, ja też często musiałam.

— Chodźmy na mostek — prosił często. — Kapitan pozwolił.  
— Zaprowadzę cię tam — odpowiadałam — i zostawię pod jego opieką.  
— Znam drogę — mówił chłopiec — ale kapitan powiedział, że możemy przyjść oboje.  
Tak więc zamienialiśmy spiesznie kilka słów, stojąc pośród instrumentów nawigacyjnych, gdy któryś z przyrządów zaabsorbował Edwarda do tego stopnia, że chłopiec przestawał zarzucać ojca gradem pytań.

— Przykro mi z powodu tamtej sceny — odezwał się Redvers w czasie spotkania na mostku. — To musiało być dla pani żenujące.

— Dla pana też — odparłam.  
— Dla mnie to żadna nowość. — To wówczas po raz pierwszy wyczułam nutę gorczy w jego głosie.

— Bałam się, że to może przynieść katastrofalny skutek.  
— Kiedyś... — rzekł Redvers. Jego oczy, na morzu błękitniejsze niż zwykle, utkwione były w zakrzywionej linii, gdzie morze styka się z jaśniejszym bezchmurnym niebem. — Tak, pewnego dnia tak się stanie.

A później zwrócił na mnie przenikliwe i pytające spojrzenie. Serce zabiło mi mocniej. Czy to kolejna propozycja małżeństwa, tym razem od mężczyzny, który już ma żonę? Czy pyta mnie: „Poczekasz?”

Zadrzałam. Nie mogłam znieść myśli o czekaniu na czyjąś śmierć. Kiedy ludzie mówili mi: „Po śmierci ciotki będziesz zabezpieczona”, zawsze odczuwałam szok. To straszne czekać na śmierć, która usunie innych z naszej drogi. Przypomniały mi się sępy krążące nad Malabar Hill.

Obawiałam się, że najdrobniejsza nawet reakcja z mej strony uwolni potok słów, których lepiej nie wypowiadać, lecz jak kiedyś zauważyła Chantel, myśli istnieją bez względu na to, czy ubiera się je w słowa, czy nie.

Podszedł do nas Edward i zasalutował.  
— Kapitanie, co to za rzecz z rączką?  
Odpowiednia chwila minęła.  
— Pokaż, o co ci chodzi, bosmanie.

Ku wielkiej radości Edwarda ojciec zwracał się do niego w ten sposób; chłopcu tak się to spodobało, że kazał Johnny'emu też tak do siebie mówić.

Widząc ich obu razem, czułam wzruszenie. Nie potrafiłam uwierzyć, że Redvers mógłby zabić człowieka dla pieniędzy, choćby i wielkich. Był niewinny. Mimo to... przyszedł do Domu Królowej i nie powiedział mi, że jest żonaty. A teraz, czy naprawdę sugerował, bym na niego poczekała?

Jakaż niebezpieczna sytuacja może powstać, gdy ktoś stoi nam na drodze do osiągnięcia namiętnie pożądanego celu. Sytuacja tak powszechna, że zasłużyła na wytartą nazwę: odwieczny trójkąt. I pomyśleć, że ja tworzyłam jeden z kątów!

Porzuciłam bezpieczne życie i wkroczyłam na grząski teren — ja, spokojna i niepozorna Anna (jak nazwała mnie Monique). Mogłam dalej żyć sobie w Anglii jako pomocnica antykwariusza, towarzyszka starej damy lub guwernantka. Taki miałam wybór.

Edward nie odrywał wzroku od instrumentów.

— Zostanie marynarzem — odezwał się Redvers, podchodząc do mnie.

— Nie byłabym zaskoczona, choć dzieci się zmieniają i bywa, że zainteresowania z wczesnego dzieciństwa przestają wydawać się im atrakcyjne, gdy podrosną.

— A o czym pani marzyła w dzieciństwie?

— Chyba po prostu chciałam być taka jak mama.

— Musiała być dobrą matką.

— Tak jak pan jest dobrym ojcem.

Ściągnął brwi.

— Nie wystawiłbym sobie najlepszej oceny. Tak rzadko go widuję.

— Ja też mało czasu spędzałam z matką.

— Może dzieci idealizują rodziców, kiedy nie widują ich często.

— Może. Dla mnie mama była uosobieniem wdzięku i urody, nie pamiętam, by kiedykolwiek się smuciła. Przypuszczam, że musiała mieć i złe chwile, lecz mnie wówczas przy niej nie było. Dużo się śmiała. Ojciec ją uwielbiał, zupełnie się od niego różniła. Wspomnienia powróciły do mnie, kiedy byliśmy w Bombaju.

— Podobała się pani wycieczka? Zawahałam się, a potem odrzekłam:

— Wybrałam się z Dickiem Callumem, panią Malloy i pierwszym oficerem.

— Sympatyczne grono.

— Jak rozumiem, Dick Callum często z panem pływa.

— Callum? Tak. To rozsądny człowiek.

Pragnęłam powiedzieć: „On pana nienawidzi, zrobiłby panu krzywdę, gdyby tylko miał okazję”. Jakże jednak bym mogła?

— Jego zdaniem zaaranżowałam całą sprawę na „Tajemniczej Kobiecie” i trzymam kamienie gdzieś w sejfie.

— Pan wie, że on tak myśli?

— Moja droga Anno, wszyscy tak myśleli. To oczywisty wniosek.

Poruszył mnie i zachwycił ton, jakim powiedział: „Moja droga Anno”, ponieważ poczułam się odpowiednio do tych słów.

— Pan jednak to akceptuje?

— Nie mogę ich obwiniać za wyciąganie wniosków, które same się nasuwają.

— Czy jednak... nie martwi to pana?

— Mobilizuje mnie, nie przeczę. Zdecydowany jestem rozwiązać tajemnicę, by wszystkim powiedzieć: „Proszę, myliliście się!”.

— Tylko dlatego?



— I naturalnie dowieść, że jestem uczciwym człowiekiem.  
— A może pan tego dokonać, jedynie odnajdując diamenty?  
— Wierzę, iż leżą na dnie morza. Pragnę natomiast dowiedzieć się, kto zniszczył mój statek.  
— Ci ludzie myślą, że pan sam to zrobił.  
— I dlatego chcę udowodnić, że było inaczej.  
— W jaki sposób?  
— Ujawniając sprawcę.  
— I ma pan nadzieję, że to się uda?  
— Zawsze mam taką nadzieję. Za każdym razem gdy płynę na Coralle, wierzę, że znajdę klucz do tajemnicy.  
— Jak pan chce to zrobić? Przecież statek przepadł, a diamenty razem z nim.  
— Ktoś gdzieś na tym świecie, najprawdopodobniej właśnie na Coralle, zna odpowiedź. Pewnego dnia ja też będę ją znał.  
— I myśli pan, że odpowiedź znajduje się na Coralle?  
— Czuję, że musi tam być. Nieoczekiwanie zwróciłam się ku niemu.  
— Spróbuję ją znaleźć. Kiedy „Łagodna Dama” odpłynie, a my pozostaniemy na wyspie, zrobię wszystko, co w mej mocy, by dowieść pańskiej niewinności.  
Redvers się uśmiechnął.  
— A więc wierzy mi pani?  
— Sądzę — odparłam wolno — iż może pan sprawić, że uwierzę we wszystko, w co tylko pan zechce.  
— Cóż za dziwne stwierdzenie... jakby wierzyła mi pani wbrew swej woli.  
— Nie, wcale nie. Moja wola zmusiłaby mnie do wiary, ponieważ tego chcę.  
— Anno...  
— Tak?  
Jego twarz była tuż przy mojej. Kochałam go i wiedziałam, że on też mnie kocha. Lecz czy naprawdę? Czy był to przykład naginania umysłu do wiary w to, czego pragnęło serce?  
— W Bombaju przez cały czas o pani myślałem. Żałowałem, że nie mogę być z panią. A Callum... To nie jest zły człowiek, ale...  
Wyciągnęłam dłoń, a on ją ujął, po czym ubrał w słowa to, o czym myślał:  
— Anno, proszę nie czynić nic w pośpiechu. Proszę poczekać.  
— Czekać na co? — zapytał Edward, który nieoczekiwanie do nas podszedł. — I dlaczego trzymacie się za ręce?  
— To mi przypomina — powiedziałam — że musimy umyć ręce przed lunchem. Musiałam natychmiast stamtąd odejść. Bałam się własnych emocji.

\* \* \*

Na pokładzie szalupowym Gareth Glenning i Rex Crediton grali w szachy. Chantel przebywała w kabinie, zajmując się Monique, która w nocy miała atak. Pani Greenall złapała panią Malloy i słyszałam, jak opowiada o wnukach.

— Niegrzeczny, oczywiście. Ale chłopcy zawsze będą chłopcami, a on ma dopiero sześć lat. Powiedziałam mu, że zanim wrócimy do Anglii, będzie z niego mały mężczyzna.

Pani Malloy mruknęła coś sennie.

Na końcu pokładu Edward i Johnny grali w ping-ponga na zielonym stole otoczonym siatką chroniącą piłki. Widziałam każdy ich ruch.

Na kolanach trzymałam książkę, lecz nie czytałam. W myślach miałam zbyt wielki zamęt. W uszach dźwięczało mi jedno słowo: „Czekaj”.

Nigdy nie rozmawiał ze mną o swoim małżeństwie, nigdy nie wspomniał o udreće, jaką przeżywał. Tylko dzięki Chantel mogłam zrozumieć, jak bardzo nieudany jest to związek. Chantel słuchała zwierzeń Monique, mieszkała blisko nich, spędziła jakiś czas w kajucie kapitana.

— Zastanawiam się, dlaczego do tej pory jej nie zamordował — powiedziała. — Albo ona jego. Sama wywołuje te ataki. Kiedyś rzuciła się na niego z nożem. Naturalnie nie było to poważne. Ledwo miałyby siłę złapać oddech, a co dopiero wbić nóż w ten potężny męski tors.

Chantel mogła sobie na ten temat żartować, ja nie potrafiłam.

— Widzisz — mówiła — został zmuszony do poślubienia jej. Wpadł w pułapkę. To, co uważał za przelotny romans, nabrało zupełnie innego charakteru. Musiał się z nią ożenić. Stara niańka zagroziła, że rzuci na niego klątwę, jeśli tego nie zrobi. Monique opowiedziała mi o wszystkim. Nikt nie chciałby kapitana, na którym ciąży klątwa.

Nie zdradziłam się, że już słyszałam tę historię.

— Panicz Edward może być w drodze, a może nie. Cóż, za grzechy popełniane przez dwoje, płaci też dwoje. Oczywiście, jeśli zostaną przyłapani. A biedna Monique nie przestaje wielbić swojego kapitana. Píše do niego listy. Ciągle zanoszę mu je do kabiny. Nikomu innemu nie chce ich powierzyć, tylko mnie. Namiętna Monique. Ha, mógłby być dla niej miłszy. Długo przecież nie pożyje.

Zauważyłam, że to bardzo tragiczna sytuacja.

— Mniej wszakże tragiczna, niż gdyby była silną i zdrową kobietą.

Nie mogłam znieść, gdy Chantel tak mówiła. Czasami myślałam też, że obie mądrzej postąpiłybyśmy, gdybyśmy zostały w Anglii.

Byłam jednak tutaj, na pokładzie szalupowym, słuchając odgłosów piłeczki odbijającej się od zielonego stołu, którym wtórowały piskliwe okrzyki radości i sprzeciwu. Wpatrywałam się w zadrukowaną stronicę, przebiegałam wzrokiem akapit i nie pamiętałam, o czym czytałam. Obserwowałam baraszkujące morświny i latające ryby.

Wiał lekki ciepły wiatr i to chyba dzięki niemu tak wyraźnie usłyszałam tamte głosy.

Dobiegały od strony stolika szachowego. Mówił Rex, a takiej gwałtowności w jego głosie jeszcze nie słyszałam.

— Ty... diable.

Mógł zwracać się jedynie do Garetha Glenninga, a trudno było wyobrazić sobie kogoś mniej podobnego do diabła. Odpowiedział mu śmiech przeciwnika, nieprzyjemnie szydęrczy.

Musiałam zapaść w drzemkę i coś mi się przyśniło. Przecież oni tylko grali w swoje ukochane szachy i Gareth pewnie wygrywał.

Wkrótce, pomyślałam, wkrótce będziemy w Sydney, a potem wszystko się zmieni. Tak wielu towarzyszy podróży się z nami pożegna. Rex, Glenningowie, pani Malloy i reszta pasażerów. Na statku pozostaniemy ja, Edward, Chantel i Monique. A na Coralle nastąpi kolejna zmiana, tylko że ja nie będę już jej oglądać.

Na horyzoncie pojawił się kliper z żaglami wydętymi przez wiatr. Chłopcy podbiegli do relingu.

— Kliper typu Yankee! — wykrzyknął Edward.

— China! — sprzeciwił się Johnny.

Kłócili się, całkiem zapomniawszy o ping-pongu. Edward chełpił się rozleglejszą wiedzą, uzyskaną od kapitana.

Podeszła do mnie panna Rundle. Kapelusze z szerokim rondem przewiązany miała szyfonowym szalem dla ochrony cery, która jak kiedyś zauważyła Chantel, nie warta była tych starań.

— Dzień dobry, panno Brett. — Już w tonie, jakim wymawiała moje nazwisko, kryła się nagana. — Będzie miała pani coś przeciwko, jeśli usiądę obok pani?

Miałam, lecz naturalnie wszelkie obiekcje musiałam zatrzymać dla siebie.

— No, no. — Jej oczy spoczęły na pani Malloy. — Jej na pewno się nie spodoba rozstanie z pierwszym oficerem.

— Moim zdaniem to po prostu pokładowa przyjaźń.

— Jest pani bardzo wielkoduszna, panno Brett.

O niej nie mogłabym tego powiedzieć.

— Wszakże... — Tu przerwała, by zachichotać, choć w gruncie rzeczy dość już powiedziała.

— Wy zostaniecie, gdy my się pożegnamy.

— Tylko na krótki czas, aż dobijemy do Coralle.

— Zyskacie załogę... i kapitana dla siebie. Choć naturalnie będziecie musiały dzielić się nimi z innymi. Jak się miewa biedna pani Stretton?

— Nie opuszcza kabiny, mówiła mi siostra Loman.

— Biedactwo! Wolalabym sobie nie wyobrażać, co też ona musi znosić.

— Wolalaby pani? — zapytałam z niejaką uszczypliwością.

— Ależ oczywiście. Z takim mężczyzną... Sposób, w jaki uśmiecha się do mnie, kiedy mówi mi dzień dobry...

— Doprawdy?

— To urodzony kobieciarz. Bardzo jej współczuję... i innym, które najwyraźniej zafascynował. Naturalnie, ludzie powinni mieć więcej rozsądku i więcej przyzwoitości. Sama nie wiem. Ludzie mnie zadziwiają. Weźmy pani przyjaciółkę, siostrę Loman... i eee... — Obejrzała się na Rexa. — Co ona chce uzyskać?

— Nie sądzę, żeby wszyscy zastanawiali się nad korzyściami, jakie może im przynieść przyjaźń. Gdyby tak było, rzadko kto by się przyjaźnił.

— Och, umie pani mówić. Przypuszczam, że guwernantka musi posiadać tę umiejętność. Ci chłopcy... Jakże oni krzyczą! Czy nie powinno się ich trzymać w ryzach? Mój Boże, kiedy byłam młoda...

— Stary porządek ustępuje, by zrobić miejsce nowemu — odparłam, myśląc o Chantel, która lubiła cytować i zwykle wszystko przekreślała, co pewnie teraz ja też czyniłam.

— Hmm — mruknęła panna Rundle.

— To jest Yankee! — pisał Edward. — Idę zapytać kapitana. I pobiegł, a Johnny za nim.

— Edwardzie! — zawołałam. — Dokąd się wybierasz?

— Do kapitana. Chcę popatrzeć przez tę rzecz, którą ma w kabinie. Jest wspaniała. Można wyraźnie zobaczyć coś, co jest daleko.

— Kiedy ją widziałeś? — zapytał Johnny.

— Widziałem raz... dwa razy. Widziałem, prawda, Anno? Kiedy razem tam byliśmy. Wiesz, kiedy kapitan trzymał cię za rękę i mówił, żebyś poczekała. To było wtedy. Przepływał wielki statek. Zapytałam o niego kapitana i powiedział, że to kliper z ozaglowaniem typu Yankee.

Panna Rundle z trudem kryła podniecenie.

— Nie możecie iść teraz — sprzeciwiłam się. — A co z waszym meczem? Idźcie go skończyć.

— Ale...

— Możesz opisać statek kapitanowi, kiedy się z nim zobaczysz. Niewykluczone, że pokaże ci obrazki i rozpoznasz na którymś ten kliper.

— Ma u siebie mnóstwo obrazków, prawda, Anno?

— Tak — odrzekłam — i jestem pewna, że obu wam kiedyś je pokaże. Ale musisz pamiętać, że kapitan ma pod swoją opieką statek. Idźcie więc skończyć mecz, a obrazki obejrzyjecie później.

Zostaliśmy więc na pokładzie. Statek zniknął za horyzontem, morświny radośnie wyskakiwały z wody. Rex i Gareth wciąż ze skupieniem pochyłali się nad szachownicą, pani Malloy i pani Greenall drzemały, a panna Rundle gdzieś sobie poszła. Szukała kogoś, komu mogłaby szepnąć o najnowszym odkryciu.

Kapitan trzymał mnie za rękę i prosił, bym poczekała.

\* \* \*

Na szczęście, jak myślałam, wkrótce dobijamy do Fremantle. Perspektywa rychłego wejścia do portu złagodziła wszelkie konflikty pomiędzy pasażerami. Nawet panna Rundle nie mogła nadmiernie delectować się skandalami dotyczącymi ludzi, których niedługo miała na zawsze pożegnać.

Nie wątpiłam, iż rozpowszechniła rewelacje zasłyszane od Edwarda, lecz teraz wywarły one o wiele mniejsze wrażenie, niż gdyby je ogłosiła trzy czy cztery tygodnie wcześniej. Pani Malloy, która przygotowywała się do zejścia na ląd w Melbourne, wyraźnie traciła zainteresowanie osobą pierwszego oficera, ich zażyłość umierała śmiercią naturalną. Państwo Greenallowie w stanie ogromnego podniecenia dwadzieścia razy na dzień pytali siebie nawzajem, czy wnuczęta przybędą do Circular Quay, by ich powitać.

— Najmłodsze na pewno nie — powtarzała mi wielokrotnie szczęśliwa babcia. — Nie w jego wieku.

Chantel i Rex spędzali ze sobą każdą wolną chwilę i coraz bardziej się o nich bałam. Kiedyś zobaczyłam, jak oparci o reling z ożywieniem o czymś rozmawiali. Martwiłam się o Chantel. Jej spokój nie mógł być naturalny. Jedynymi podróżnikami na pokładzie, którzy zachowywali się normalnie, byli Edward i Johnny. Mieli rozstać się w Melbourne, ale dla nich chwila ta była odległa o całe wieki. W ich życiu jeden dzień to wiek.

I gdy pewnego ranka obudziłam się, byliśmy we Fremantle.

\* \* \*

Na nabrzeżu „Łagodną Damę” witali odświętnie ubrani ludzie. Ogromne kapelusze kobiet zdobiły wstążki i kwiaty. Orkiestra grała „Rule, Britannia”. Redvers wyjaśnił mi, że w taki sposób fetowano w australijskich portach statki z Anglii, która była „domem” nawet dla tych, którzy nigdy na oczy jej nie widzieli. Gdy do portu zawijały wielkie pasażerskie statki, ludzie przychodzili witać gości, my jednak przewoziliśmy głównie towary. Mimo to nas też uhonorowano i orkiestra grała patriotyczne pieśni.

Chłopcy byli bardzo podnieceni, a ich zainteresowanie jeszcze wzrosło, gdy opowiedziałam im o historii obu krajów. Nie mogli się doczekać, kiedy ujrzą pierwsze kangury i misie koala, tak więc z panią Blakey wzięłyśmy obu na kilkugodzinną wycieczkę. Panował straszny upał, zupełnie jednak na to nie zważali. Piszczeli z zachwytu; muszę przyznać, że też byłam zauroczona, gdy jechaliśmy wzdłuż Swan River, gdzie kwitnące na czerwono drzewa gumowe i żółte akacje tworzyły barwne plamy. Nasz wypad jednak z konieczności był krótki i przez cały czas musiałyśmy spoglądać na zegarki. Podczas wycieczki dostrzegłam Chantel i Rexa jadących razem otwartym powozem i gorączkowo zapragnęłam, by nie zobaczyła ich panna Rundle.

Biedna Chantel. Wkrótce będzie musiała pożegnać Rexa. Czy potrafi wówczas zachować żartobliwy ton i udawać obojętność?

Już niedługo będziemy musiały opuścić statek. Gdy dopłyniemy do Coralle, Chantel, ja, Edward i Monique tam zostaniemy. Gdy o tym myślałam, ogarniał mnie niepokój. Staralam się go opanować, lecz nie było to łatwe.

Po powrocie na pokład spotkałam Dicka Calluma. Wychodził ze swego biura; podczas postoju w portach często bywał zajęty.

— Jakże żałuję, że nie mogłem zabrać pani na wycieczkę.

— Razem z panią Blakey wybrałyśmy się do miasta z chłopcami.

— Nie pozwoliły mi obowiązki... może w sposób dość nietypowy.

— Co to znaczy?

— Ktoś tam wysoko chyba nie chciał, żebym był wolny.

— To brzmi niezwykle tajemniczo — powiedziała i odeszłam. Ucieszyło mnie, że kapitan mógł nie życzyć sobie, bym przebywała w towarzystwie Dicka Calluma.

Marynarze już zbierali się do podniesienia trapu, gdy Chantel i Rex wbiegli na pokład.

Widząc mnie przy relingu, Chantel przystanąła, Rex zaś poszedł dalej.

— Mało brakowało — zauważyłam. — Mogliście nie zdążyć na statek.

— Ja zawsze zdążę na statek, możesz mi wierzyć — odparła znacząco.

Patrzyłam na jej zarumienioną, uroczą twarz — nie wyglądała jak dziewczyna, która za chwilę na zawsze pożegna kochanka.

\* \* \*

W Melbourne pan Malloy, wysoki opalony mężczyzna, który gospodarował z powodzeniem w swej posiadłości oddalonej od miasta o kilka mil, wszedł na pokład, by zabrać rodzinę.

Johnny wydawał się bardzo poważny w marynarskim ubranku i okrągłej czapce z napisem: „H.M.S. Success” na otoku. Pani Malloy wystroiła się w wielki słomiany kapelusz ze wstążkami i kwiatami, bardziej odpowiedni w Londynie niż na australijskim odludziu, trzeba jednak przyznać, że w szarym kostiumie i pantoflach oraz perłowych rękawiczkach wyglądała bardzo ładnie. Pani Blakey także włożyła najlepsze ubranie.

Wyglądali jak obcy ludzie, których nie interesują współpasażerowie ze statku, bo przestali już do nich się zaliczać.

Pan Malloy wyprowadził swych bliskich. Żegnając się kordialnym tonem, którego ludzie używają, gdy wiedzą, że i tak nic z tego nie będzie, zaprosili Edwarda, by kiedyś ich odwiedził. A potem odeszli, na zawsze opuszczając nasze życie.

Ja też miałam odczuć ich nieobecność. Edwardowi zabraknie kolegi, a mnie pomocy pani Blakey.

Panna Rundle stała tuż obok.

— A gdzie jest pierwszy oficer, co? — szepnęła. — Nie pokazuje się na oczy, czego oczywiście należało się spodziewać.

Przyłączyła się do nas Chantel.

— My też wkrótce się pożegnamy — rzuciła niefrasobliwie, uśmiechając się znacząco do panny Rundle.

— Niektórzy z nas będą za sobą tęsknić.

— Niestety! — westchnęła Chantel.

— Panią i pana Creditona bez wątpienia smuci bliska rozłąka.

— Panią chyba też — odparła Chantel.

— Panna Rundle — wtrąciłam — jest bystrą obserwatorką ludzkiej natury.

— Miejmy więc nadzieję, że znajdzie towarzystwo równie satysfakcjonujące jak to, z którym obecnie niestety musi się rozstać. — Panna Rundle sprawiała wrażenie nieco przestraszonej, Chantel zaś ciągnęła: — Nie możemy zapominać, że jesteśmy zaledwie „statkami, które mijają się nocą”. Anno, ty na pewno znasz dalszy ciąg.

— „Mówiąc do siebie w przelocie;

I widać tylko światło, i słychać w ciemności daleki głos”\*

— Piękne, czyż nie? — zapytała Chantel. — I takie prawdziwe. „Statki, które mijają się nocą”. A potem płyną dalej... i nigdy więcej się nie spotykają. To fascynujące.

Panna Rundle prychnęła. Nie podobała jej się ta rozmowa. Oznajmiła, że pani Greenall czeka na nią w kabinie i odeszła, zostawiając nas same.

— Następnym portem będzie Sydney — powiedziałam do Chantel.

— Tak, a potem Coralle.

— Chantel, jak będziesz się czuła?

— Musiałabym być jasnowidzem, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

— Mam na myśli rozstanie z Rexem Creditonem. Twoje udawanie nie ma sensu, łączy was przecież szczególna przyjaźń.

— A kto udaje?

— Jeśli ty kochasz jego, a on ciebie, to cóż stoi na przeszkodzie waszemu małżeństwu?

— Pytasz, jakbyś znała odpowiedź.

— Znam — odrzekłam. — Nic. Chyba że on jest słaby i boi się matki.

— Droga Anno, wierzę, że bardzo jesteś przywiązana do swej niegodnej tego uczucia przyjaciółki. Nie musisz się jednak o nią martwić. Da sobie radę. Zawsze sobie dawała i tak też będzie w przyszłości. Nie mówiłam ci, że zawsze zdążę na statek? — Była bardzo pewna siebie.

Pomyślałam, że musieli poczynić jakieś ustalenia.

\* \* \*

Może wszyscy stawaliśmy się nieco beztroscy. Rzadko widywałam Chantel. Przychodziło mi do głowy przypuszczenie, że Monique pragnie umożliwić jej spędzanie jak najwięcej czasu z Rexem, zanim się rozstaną. Może kierowana jakimiś sobie tylko znanymi powodami zainteresowała się ich romanssem. Odnosiłam wrażenie, że Chantel i Rex blisko zaprzyjaźnili się z Glenningami albo też traktowali ich jak przywoitki. Jakkolwiek było, cała czwórka często przebywała razem.

Wieczorem, w dzień poprzedzający nasze wypłynięcie do portu w Sydney, spotkałam kapitana na pustym pokładzie szalupowym. Było ciepło, wiatr wiejący w ciągu dnia ucichł po zmierzchu.

Obawiałam się, a zarazem pragnęłam znaleźć się sam na sam z Redversem.

— Anno — powiedział, zbliżając się do mnie. Oparta o reling, spoglądałam na ciemną wodę. Słyszając jego głos, odwróciłam się z radością.

— Jest pani na statku, a jednak tak rzadko panią widuję.

— Już niedługo opuścę statek.

— Czy rejs był udany?

— Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. Na zawsze zachowam w pamięci ten czas.

— Ja także.

— Ma pan za sobą tyle rejsów.

— Ale tylko jeden z panią na pokładzie.

---

\* Henry Wadsworth Longfellow, „Opowieść z Przydrożnej Gospody”.

— Dokąd pan popłynie, gdy wysiądziemy na Coralle?

— Przez dwa miesiące będę woził towary, a potem przyplynie na wyspę przed powrotem do domu.

— Tak więc... znowu się spotkamy.

— Tak — odrzekł. — Zwykle zostajemy na wyspie kilka dni. Zastanawiałem się...

— Słucham?

— Jak pani spodoba się Coralle.

— Zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Nie wątpię, że wyspa z moich wyobrażeń różni się od prawdziwej.

— Jest na połę ucywilizowana, na połę dzika, przez co robi tak wielkie wrażenie. Cywilizacja istnieje tam... dość powierzchownie. Wiele rozmyślałem o pani pobycie w tym miejscu.

— Moim pobycie?

— Monique musi zostać, to konieczne dla jej zdrowia. A Edward naturalnie powinien mieszkać z matką. Zastanawiałem się jednak nad panią i siostrą Loman. Sądzę, że gdy tam zawitamy ponownie, zechcecie może wrócić do domu.

— Czy na pańskim statku znajdą się dla nas kabiny?

— Dopilnuję, aby były.

— To dodaje mi otuchy — odrzekłam. — Doskonale.

— Niewykluczone więc, że znowu będziemy wspólnie podróżować?

Zadrzałam.

— Zimno pani?

— Komu byłoby zimno w taki wieczór?

— A więc to złe przeczucie. Anno, czego się pani obawia?

— Nie wiem, czy moje uczucie można nazwać strachem.

— A ja nie powinienem do pani tak mówić? Czemu jednak mamy udawać kogoś, kim nie jesteśmy, i zaprzeczać prawdzie?

— Bo może tak byłoby lepiej.

— Czy kiedykolwiek należy to czynić?

— W pewnych okolicznościach na pewno.

— Cóż — odparł Redvers — ja nie będę kierował się takimi zasadami. Anno, czy pamięta pani tamten wieczór, gdy złożyłem wizytę w Domu Królowej?

— Doskonale.

— Coś się wówczas wydarzyło. Ten dom... nigdy go nie zapomniałem. Tykanie zegarów, wszędzie pełno mebli i my siedzący przy stole, na którym paliły się świece w świecznikach.

— Bardzo cennych świecznikach. Chińskich, z osiemnastego wieku.

— Miałem wrażenie, że jesteśmy sami, tylko my dwoje, i ta dziewczyna, która podawała do stołu. Jakby poza nami nie było na świecie nikogo i nic się nie liczyło. Odczuwała to pani również? Wiem, że tak. W przeciwnym razie moje wrażenie nie byłoby tak intensywne.

— Tak — odrzekłam — dla mnie także był to pamiętny wieczór.

— Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, przestało mieć znaczenie.

— Ma pan na myśli swoje małżeństwo?

— Wszystko inne straciło znaczenie. Tylko my we dwoje i te tykające zegary, odmierzające czas. Czy to brzmi głupio? Nigdy przedtem nie byłem tak szczęśliwy. Czulem euforię, a jednocześnie zadowolenie, podniecenie, a przy tym również spokój.

— To było przed katastrofą „Tajemniczej Kobiety”.

— Wtedy byłem już żonaty, a to katastrofa nieporównanie większa. O tak, będę szczerzy wobec pani, nie zamierzam szukać usprawiedliwień. Chcę, by pani zrozumiała. Wyspa zafascynowała

mnie, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, wówczas zafascynowała, teraz budzi moją odrazę. Kiedy pani zobaczy to miejsce, może mnie pani zrozumie. A Monique stanowiła nieodłączną część wyspy. Gościła mnie jej matka. To niesamowite miejsce, Anno. Z niepokojem myślę, że pani tam zamieszka.

— Będzie ze mną Chantel.

— Cieszę się. Chyba nie pozwoliłbym pani zostać tam samej.

— Wyspa jest tak przerażająca?

— Uzna ją pani za dziwną, może też trudną do zrozumienia.

— I bez oporów zostawi pan tam Edwarda?

— Edwardowi nic nie grozi. W końcu jest jednym z nich.

— Proszę więc mi o nich opowiedzieć.

— Sama pani pozna matkę Monique, jej starą nianię i resztę służby. Może to tylko moja wyobraźnia. Jak mówiłem, na początku byłem tym wszystkim zafascynowany i uważałem Monique za piękność. Powinienem był wówczas uciekać. Powinienem był od razu wiedzieć, ale oczywiście rozumiałem to dopiero wtedy, gdy było już za późno. A wówczas małżeństwo stało się koniecznością i utraciłem wolność.

— Zostawił pan Monique na wyspie i odpłynął?

— To był podobny rejs do obecnego. Po raz drugi zawinąłem tam na „Tajemniczej Kobiecie”. Przy kolejnej wizycie przywiozłem Monique do Anglii. A teraz... zostawię tam panią. — Przez chwilę milczał, potem dodał: — Zastanawiam się, co wydarzy się tym razem.

— Mam nadzieję, że nic złego. Lepiej jednak się czuję na myśl, że jeśli postanowimy wrócić, zabierze nas pan. Powtórzę to Chantel.

— Sądzę, że ona na pewno będzie chciała wyjechać. Panią, Anno, mogę sobie wyobrazić na wyspie w określonych okolicznościach, siostry Loman nie.

— Przynajmniej zwiedzimy wyspę.

— Jest piękna. Bujna roślinność, fale rozbijające się o złoty piaszczysty brzeg, palmy kołyszące się lekko w łagodnej bryzie i przejrzyste morze, niebieskie jak szafir i zielone jak szmaragd.

— A co będzie pan robił po powrocie do Anglii?

— Zostanę tam przez kilka dni, po czym znowu wyruszę w podróż.

— Tym samym szlakiem?

— Bardzo wiele zależy od rodzaju ładunku. Jedno wszakże zrobię na pewno. Pójdę do Domu Królowej i powiem: „Przychodzę w imieniu panny Brett, właścicielki, która prosiła mnie, bym państwa odwiedził i zapytał, jak wam się tu mieszka”. Rozejrzę się po ogrodzie jak tamtej wilgotnej jesiennej nocy. I stanę w holu, i będę myślał o wieczorze, który odmienił moje życie i mnie samego.

— Naprawdę?

— O tak. Sprawiał, że zapragnąłem od życia czegoś innego.

— A czego pragnął pan wcześniej?

— Przygody! Zmiany! Niebezpieczeństwa! Podniecenia! Po owym wieczorze wszakże dorosłem. Zapragnąłem być tylko z jedną kobietą. Wcześniej byłem przekonany, że nigdy nie zechcę związać się na dłużej z jedną osobą. Nieustannie goniłem za nowymi podnietami. Potrzebowałem ciągłej stymulacji, którą może dać jedynie nowość. Tamtej nocy dojrzałem i rozumiałem, o co chodzi w życiu. Zobaczyłem siebie mieszkającego w tym domu. Na trawniku stół pod barwną markizą i kobieta nalewająca herbatę z chińskiego imbryczka do porcelanowych niebieskich filiżanek. I może też leżący obok niej pies, i bawiące się wesoło dzieci. Wyraźnie pojąłem, iż teraz właśnie tego pragnę, choć nigdy wcześniej w głowie mi nie powstała taka myśl. Nie powinienem o tym mówić, prawda? Lecz jest coś w powietrzu. Zbliżamy się do australijskiego



wybrzeża. Widzi pani tamte światła? Znajdujemy się niedaleko lądu. I jest lato... a nie ma nic bardziej kojącego niż tropikalne noce na morzu, ponieważ każą człowiekowi wierzyć, że wszystko może się zdarzyć. Są i inne miejsca, jak ogród wokół Domu Królowej. I czasami mówię sobie, że owej nocy miałem w nim wizję, a pewnego dnia stół pod markizą naprawdę tam stanie i ja też tam będę.

— To niemożliwe — odparłam. — Już wtedy było za późno. Nie powinien pan o tym mówić, a ja nie powinnam słuchać.

— Ale ja mówię, a pani słucha.

— To tylko dowodzi, jak źle postępujemy.

— Jesteśmy tylko ludźmi — odrzekł.

— Nic dobrego wszakże nie przyjdzie z wyobrażania sobie, co mogłoby być, gdyby wcześniej coś nam nie przeszkodziło.

— Anno...

Wiedziałam, co chce powiedzieć. Czekaj. Być może już wkrótce coś się stanie. Lecz takie myśli są niebezpieczne. Byliśmy rozdzieleni i dopóki żyła Monique, jego marzenie — i moje — nigdy nie mogło się urzeczywistnić.

Pragnęłam mu wyjaśnić, że nie wolno nam o tym myśleć, ponieważ myśleć o tym oznaczało pragnąć tego z siłą, która mogła być tylko grzeszna.

Pomyślałam, że nie mogę przebywać z nim sam na sam. To człowiek targany głębokimi, domagającymi się natychmiastowego spełnienia pragnieniami, wiedziałam o tym. Nigdy nie żył jak mnich i obawiałam się o niego... a także o siebie.

Było za późno. Musiałam wyraźnie mu to powiedzieć.

Groziło nam niebezpieczeństwo, pragnęliśmy bowiem, by przeszkody usunęły się z naszej drogi.

— Muszę wracać do kabiny — powiedziałam.

Przez chwilę milczał, a kiedy przemówił, głos miał tak spokojny jak ja.

— Jutro wpłyniemy do portu. Powinna pani przyjść na mostek, by mieć lepszy widok. Koniecznie musi pani obejrzeć cały port, zapewniam, że naprawdę warto. Monique także tam będzie, jeżeli stan zdrowia jej na to pozwoli, oraz siostra Loman. I oczywiście Edward.

— Dziękuję za miłą propozycję.

— Dobranoc — rzekł.

— Dobranoc.

Gdy odchodziłam, wydało mi się, że słyszę jeszcze: „Moja miłości”.

\* \* \*

Poranek był cudowny, promienie słoneczne zalewały pokład, gdy wolno wpływalismy do portu: imponującego, wspaniałego i piękniejszego niż w moich wyobrażeniach. To, co o nim czytałam: „najlepszy port w świecie, do którego każdy statek może wpływać absolutnie bezpiecznie”, bez wątpienia odpowiadało prawdzie. Widok istotnie zapierał dech w piersiach: liczne i wspaniałe wejścia do portu, zatoczki, drzewa, kwiaty, ptaki i błękitne morze.

Nawet Edward milczał, zastanawiałam się więc, czy tak jak ja rozmyśla o Pierwszej Flocie, która sto lat temu przybiła do tego brzegu, skorzystałam bowiem z okazji, by zrobić mu lekcję historii. Wówczas na pewno port wyglądał inaczej. Nie było domów, tylko ciągnące się wzdłuż brzegu nieużytki oraz pięknie ubarwione ptaki zakreślające pętle nad olśniewającym morzem.

Koło nas stała Chantel, także poruszona wspaniałym widokiem — a może częściowo jej nastrój wynikał z faktu, że nadeszła w końcu chwila rozstania się z Rexem? Kapitana oczywiście nie widziałyśmy, był zajęty, tak więc podziwialiśmy otoczenie we troje.

W dwie godziny później wpłynęliśmy do Circular Quay, czemu towarzyszył zwykły w takich wypadkach zamęt. Edward i ja poszliśmy do siebie, Chantel do siebie. Myślałam: teraz poznam jej prawdziwe uczucia, ponieważ jeśli naprawdę szczerze go kocha, nie będzie w stanie ukryć tego przede mną.

Monique czuła się lepiej. Podniecenie towarzyszące przybyciu do Sydney dobrze jej zrobiło. Chantel powiedziała mi, że jest w kajucie kapitana, któremu złożyli wizytę jacyś ludzie; od Monique jako jego żony oczekiwano pełnienia roli pani domu.

Przyszedł steward z wiadomością, że Edward jest proszony do kajuty kapitana.

Zaprowadziłam go tam i zapukałam do drzwi. Otworzył Rex.

Uśmiechnął się do mnie i powiedział:

— O, jest Edward. Dziękuję, panno Brett.

Dojrzałam przelotnie Redversa oraz starszego mężczyznę i młodą kobietę, mniej więcej dwudziestopięcioletnią.

Po powrocie zastałam w swojej kabinie Chantel. Przeglądała się w lustrze.

— Goście? — zapytała.

— Starszy mężczyzna i młoda kobieta.

— Wiesz, kim są?

— Nigdy wcześniej nie widziałam ich na oczy.

— To sir Henry i Helena Derringhamowie.

— Och!

— A czego się spodziewałaś? To oczywiste, że przyszli powitać „Łagodną Dame” w Sydney. Rex też tam był, jak przypuszczam?

— Tak.

Obserwowałam jej twarz w lustrze, lecz z niczym się nie zdradziła.

\* \* \*

W Circular Quay spędziliśmy dwa dni, co dało mi sposobność zwiedzenia Sydney. Greenallowie i panna Rundle nas pożegnali, tak samo Glenningowie. Wszystko wydawało się inne bez naszych towarzyszy podróży, zwłaszcza gdy po spokojnych dniach na morzu nastąpiło ożywienie towarzyszące przeładunkowi. Chantel i ja wybrałyśmy się na zakupy, ona dla siebie i Monique, ja dla siebie i Edwarda. W jego obecności nie mogłyśmy rozmawiać na najbardziej interesujące nas tematy, nie byłam zresztą pewna, czy Chantel miałaby ochotę na zwierzenia, nawet gdybyśmy zostały same. Współczułam jej, zwłaszcza gdy myślałam o własnej sytuacji, i gniewałam się na Rexa, ponieważ przyszłość obojga leżała w jego rękach, on jednak był słaby i wyruszył w podróż do Sydney, by tam oświadczyć się Helenie Derringham, choć wcześniej tego nie uczynił.

Uznałam to za pewną pociechę. Przecież taki słabeusz nie jest wart Chantel!

Po południu drugiego dnia siedziałam na pokładzie z książką. Rano wychodziłam do miasta i byłam dość zmęczona. Edward spędzał czas z rodzicami, Chantel gdzieś przepadła.

Koło mnie usiadł Dick Callum.

— Czy zrobi mi pani tę przyjemność i pójdzie ze mną na kolację? Zawahałam się przez chwilę.

— Nie może mi pani odmówić. Będzie mi przykro, jeśli pani się nie zgodzi. — Uśmiechnął się miło.

W końcu nie zrobił przecież nic złego prócz zaszczycania mnie swą admiracją i okazywania niechęci wobec Redversa, co w tych okolicznościach wiele kobiet uznałoby za rzecz naturalną.

Tak więc przyjąłem jego zaproszenie. Na razie nie mógł mi towarzyszyć, był na służbie, a główny steward — o czym wiedziałam — w czasie postoju w porcie miał najwięcej zajęć.

Wieczorem Dick zabrał mnie do Rose Bay. Restauracja była zachwycająca, na każdym stoliku płonęły błękitne i złote świece, orkiestra grała romantyczne melodie, a jedną z nich skrzypek wykonał specjalnie dla mnie.

Dick dokładał wszelkich starań, by mnie oczarować, okazałabym więc zupełny brak wdzięczności, gdybym tego nie doceniła. Przeprasił za swój wybuch w czasie naszego poprzedniego spotkania.

— Przyznaję — powiedział — że jestem zazdrosny o kapitana.

— W takim razie jest to pierwszy krok do zwalczenia tego uczucia, które...

— Wiem, bardziej rani mnie niż jego.

— Czy zachowałam się jak typowa nauczycielka?

— Jak urocza nauczycielka. I oczywiście ma pani rację. Przypuszczam, że z mojej strony to forma okazywania podziwu. Redvers Stretton jest mistrzem w swoim fachu i tylko to się liczy. Kapitan decyduje o porządku panującym na statku. Szkoda więc... — Zamilkł, nalegałam jednak, by mówił dalej. — Nic dobrego nie wynika z przypominania przeszłości, ale wielka szkoda, że wydarzyła się ta sprawa z „Tajemniczą Kobietą”. Tego rodzaju rzeczy ciągną się za człowiekiem w nieskończoność. Nie ma pośród załogi marynarza, który nie słyszałby o tym podejrzanym incydencie, i każdy wyciąga własne wnioski. W najlepszym razie rezultat jest taki, że boją się kapitana, ale go nie szanują.

— A więc załoga boi się kapitana, lecz nie darzy go szacunkiem...

— Nie zamierzałem ujmować tego tak ostro, kiedy jednak dowódca traci swój statek w tajemniczych okolicznościach, nigdy nie udaje mu się zupełnie uniknąć hańby. Jak powiedziałem pani wcześniej, gdyby przydarzyło się to komuś niezwiązanemu z Creditonami, człowiek ów utraciłby patent kapitana. Nie będziemy jednak o tym rozmawiać, wszystko zostało powiedziane już wcześniej. Co pani sądzi o Sydney?

— Interesujące i piękne ponad wszelkie wyobrażenia.

Skinął głową.

— A co pomyśli pani o wyspie?

— Na to pytanie nie mogę jeszcze odpowiedzieć.

— Anno, nie podoba mi się, że pani tam zostanie.

— To miło z pańskiej strony, że tak się pan o mnie troszczy. Skąd jednak ten niepokój?

— Chyba chodzi o ów wypadek. Statek... wysadzony w zatoce.

— Sądziłam, że postanowiliśmy już o tym nie wspominać.

— Ja mówię o wyspie, nie o wypadku. Jest niesamowita. A jeśli kapitan nie miał z tym nic wspólnego? Jeśli ktoś rzucił klątwę na statek?

— Och, przecież chyba nie wierzy pan w takie rzeczy?

— Wielu ludzi w biały dzień nie wierzy w duchy, zmieniają jednak zdanie po zapadnięciu zmroku. Ilu szyderców spędziłoby samotnie noc w domu mającym opinię nawiedzzonego? Cóż, ja też nie wierzę w klątwy i czary tutaj w Sydney, w restauracji, kiedy pani siedzi naprzeciwko mnie, a skrzypce grają „Pieśń bez słów” Mendelssohna. Wyspa to jednak zupełnie inna sprawa, a my już się do niej zbliżamy.

— Któż mógłby rzucić klątwę na statek?

— Niewykluczone, że wyspiarze nie mają z tym nic wspólnego, że stało się to o wiele dawniej. Ten statek miał swoją historię. Planowano nazwać go „Szczęśliwa Dama” czy jakoś tak, nigdy

dokładnie nie wiedziałem. Jednakże lady Crediton ochrzciła go dość... nieoczekiwanie. Wyobraźmy sobie jej odczucia, gdy nadawała mu nazwę. Myślała o tej kobiecie, matce kapitana, i rzekła: „Nadaję ci imię tajemnicza Kobieta» i niechaj Bóg błogosławi wszystkim, którzy będą pływać na twym pokładzie”. Przypuścimy, że zamiast „błogosławi” powiedziała „przeklnie”. Przypuścimy, że to ona rzuciła klątwę na statek?

— Mówi pan jak jakiś stary jasnowidz, a nie główny steward na „Łagodnej Damie”.

— Wszyscy mamy chwile, gdy dajemy wiarę przesądom, Anno. Pani też taką przeżyje, jeśli do tej pory to się nie stało. Proszę poczekać, aż znajdzie się pani na wyspie i poczuje atmosferę tego miejsca. Porozmawiamy po naszym powrocie.

— Za dwa miesiące — dodałam.

— A wtedy, Anno, powtórzę pytanie, które zadałem pani wcześniej, ponieważ kto wie, co może wydarzyć się w czasie dwóch miesięcy?

Później rozmawialiśmy o innych sprawach. Dick opowiedział mi o swych marzeniach. Pragnął mieć dom w Anglii, miejsce, do którego mógłby wracać z rejsów. Widział Dom Królowej, który doskonale znano w Langmouth. Uświadomiłam sobie, że przyczyną tej sławy była śmierć ciotki Charlotte.

Jak sądzę, wyobrażał sobie, iż Dom Królowej stanie się jego domem. Starał się namalować dla mnie obraz wspólnego życia, spokojnego i szczęśliwego.

Pozwoliłam, aby mówił. Nie miałam serca oświadczyć Dickowi, że nigdy za niego nie wyjdę.

Tamtej nocy, gdy statek stał na kotwicy w porcie, śniłam o ciotce Charlotte. Przyszła do mojego pokoju w Domu Królowej. Otworzyłam oczy i ją zobaczyłam. Twarz miała niewyraźną i dobrotliwą, jak rzadko za życia. Ciotka była postacią ze snu, za to zatłoczony meblami pokój wyglądał jak prawdziwy.

— Nie bądź głupia — rzekła mi. — Bierz to, co możesz dostać. Nie požądaj rzeczy znajdujących się poza twoim zasięgiem. Bo kiedy on stanie się dla ciebie osiągalny, co? Po katastrofie. Po tragedii. Już wcześniej wplątana byłaś w nagłą śmierć, moja droga.

A potem we śnie usłyszałam szyderczy śmiech. To śmiała się Monique.

Obudziło mnie walenie serca w piersi. Leżałam później i rozmyślałam o przyszłości, Domu Królowej i dzieciach bawiących się na trawniku. Zasnęłam i co dziwne, dalej miałam ten sam sen. Zbliżyłam się do bramy, gdzie stali dwaj mężczyźni, tylko że nie wiedziałam, z którym tam przyszedłam.

Sen całkowicie fantastyczny. A może symboliczny?

\* \* \*

W południe wypłynęliśmy z portu. Poprzedniego dnia wizytę na statku złożyli Glenningowie. Na cztery tygodnie zatrzymali się w hotelu w Bondi Beach i zapytali, czy nie chciałabym zabrać Edwarda na wycieczkę. Chłopiec, obecny przy tej rozmowie, ucieszył się z ich propozycji, tak więc przyjąłem zaproszenie. Glenningowie zawsze zachowywali się wobec mnie uprzejmie, aczkolwiek rzadko spędzałam z nimi więcej czasu.

Wyjechaliśmy więc za miasto. Na horyzoncie ciągnęły się zamglone Góry Błękitne. Wracając, niepokoiłam się trochę, czy nie spóźnimy się na statek, zastanawiałam się też, co by było, gdyby odpłynęli bez nas.

Gareth Glenning, rozumiejąc moje obawy, powiedział:

— Proszę się nie martwić, panno Brett, wrócimy na czas.

— A gdybyśmy nie wrócili — wtrącił Edward z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia — czy kapitan odpłynąłby bez nas?

— Statek nie czeka na nikogo — odparłam — ale mamy jeszcze sporo czasu.

— Będzie nam was bardzo brakować — odezwała się Claire. — Natomiast z panem Creditonem widywać się będziemy w Sydney.

— Szkoda, że musi pani podróżować dalej bez nas — dodał Gareth. — Będzie jednak miała pani przy sobie siostrę Loman.

— Kapitan płynie z nami — oznajmił Edward z dumą.

— Musi być tam, gdzie jego statek — dodałam.

— Zbliżamy się cło portu, widzę maszty! — zawołał chłopiec. — Popatrzcie tylko!

— Towarzystwo siostry Loman jest niezwykle zajmujące — ciągnęła Claire. — Jej również będzie nam brakować.

— Tak samo jak wujkowi Rexowi — wtrącił Edward. — Wszyscy tak mówią.

Glenningowie uśmiechnęli się z zakłopotaniem. Uznałam, że współczują Chantel, bo przecież częściej widywali ją w towarzystwie Rexa niż ja.

Postanowiłam zmienić temat, rzekłam więc:

— Będzie chłodniej, gdy znowu znajdziemy się na morzu.

Jednakże Claire dalej mówiła o Chantel. Jakież musiała mieć interesujące życie! Słyszeli, że nim przybyła do mojej ciotki, opiekowała się lady Henrock.

— Wspomniała mi o tym.

— Niezwykła z niej młoda kobieta.

Oczywiście Chantel zrobiła na nich wielkie wrażenie, tak jak na każdym zresztą. Była o wiele bardziej interesująca ode mnie, zawsze o tym wiedziałam. Przyszło mi na myśl, że Glenningowie zaprosili mnie, żeby o niej porozmawiać. Zastanawiałam się, czy nie mają w rodzinie kogoś chorego i nie zamierzają zatrudnić mojej przyjaciółki, gdy... Muszę przestać nieustannie myśleć o tym, że Monique długo nie pożyje.

— Będziemy myśleć o pani — powiedział Gareth. — Wiele słyszeliśmy o wyspie i jej mieszkańcach.

— Od pana Creditona? Nie wiedziałam, że tam był.

— Nie sądzę, by tam był — odparł Gareth — ale na statku sporo mówiono o Coralle. Jest... niesamowita.

— Och, Gareth, przestań — przerwała mu Claire z łagodną naganą w głosie. — Panna Brett ma tam zamieszkać.

— Po prostu sporo mówiono — wycofał się pan Glenning.

— Słyszałam te plotki. Tak czy owak, jeśli się nam tam nie spodoba, będziemy mogły wyjechać.

Byliśmy już w porcie. Do wyjścia w morze pozostało pół godziny, za dziesięć minut podnoszono trap. Pożegnaliśmy się z Glenningami, po czym wraz z Edwardem weszliśmy na statek. Chłopiec bez przerwy opowiadał o żurawiach i ładunkach. Chciał zobaczyć, jak opuszczamy port, pozostaliśmy więc na pokładzie, dopóki nie wykonano ostatnich czynności. Machaliśmy do ludzi na nabrzeżu, słuchaliśmy orkiestry, a Edward podskakiwał z entuzjazmu, aż w końcu przypomniał sobie, że zostawiamy Australię i że na tym olbrzymim kontynencie jest gdzieś Johnny. Pograżył się w myślach.

— Kapitan prowadzi statek — szepnął do mnie. — Mówi wszystkim, co mają robić.

To najwyraźniej go uspokoiło.

Musiałam porozmawiać z Chantel i na własne oczy zobaczyć, jak przyjęła rozstanie z Rexem, a to była odpowiednia pora.

Nie zastałam jej w kabinie, ogarnięta niepokojem wróciłam więc do siebie.

— Przejdźmy się po pokładzie — zaproponowałam Edwardowi. Nigdzie jednak nie było śladu mojej przyjaciółki. Powinnam była wiedzieć, pomyślałam. Odeszła. Uciekli razem.

Dlatego była tak spokojna. Od początku to planowali.

Edward nie zdawał sobie sprawy z zamętu panującego w moich myślach. Głośno zastanawiał się, co będzie na lunch.

Starałam się odpowiadać na jego pytania, jakby nic się nie stało. A więc sama pojedę na wyspę. I znowu dotarło do mnie — aczkolwiek zawsze byłam tego świadoma — jak bardzo polegałam na Chantel, na jej wesołości, szalonym stosunku do życia, braku sentymentalizmu.

To oczywiście, myślałam, że Rex nigdy nie pozwoliłby jej odejść.

Wkrótce znajdziemy się na Pacyfiku i sprzed naszych oczu zniknie kojący widok stałego lądu.

A potem przybijemy do tajemniczej i obcej wyspy, gdzie panują atmosfera nadciągającej katastrofy i czarna magia; wyspy, przed którą wszyscy mnie ostrzegali — i nie będzie przy mnie Chantel.

Zostawiłam Edwarda i poszłam do jej kabiny. Pustka panująca tutaj mnie przygnębiła, więcej nawet, przeraziła.

Nie byłam tak odważna ani silna, jak uważałam. Nie wybrałabym się w ten rejs, gdyby nie Chantel. Wróciłam do siebie. Edward zaczął opowiadać o Johnnym, a później zastanawiał się, co będzie na lunch.

Nie mogłam się uspokoić. Minęło pół godziny.

Zbliżała się pora posiłku — niedługo zostanie odkryta nieobecność mojej przyjaciółki.

Wyszła na zakupy i źle wyliczyła czas? W końcu bałam się przecież, że nam się to przydarzy. Och nie, pomyślałam zaraz, to niemożliwe. Chantel nigdy by się nie pomyliła.

Dlaczego jednak nic mi nie powiedziała?

Targana niepokojem, poszłam znowu do jej kabiny.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, a wtedy ktoś złapał mnie mocno i zakrył dłonią oczy. Przeraziłam się, że zaraz przydarzy mi się coś okropnego. To zadziwiające, jak wiele myśli tłoczy się w głowie w takiej sytuacji. Przypomniałam sobie ów wieczór, gdy wyniesiono Edwarda na pokład. Pomyślałam, że ktoś mnie także zamierza wrzucić do wody. Najłatwiejszym miejscem do popełnienia morderstwa jest morze, tak powiedziała Chantel. Bez trudu można pozbyć się ciała.

A potem usłyszałam śmiech. Okręciłam się na pięcie, odsuwając dłoń od oczu.

Chantel śmiała się ze mnie.

Ulga i radość zapewne wyraźnie malowały się na mojej twarzy.

— Przyznaj się! — powiedziała. — Myślałaś, że uciekłam.

— Och, Chantel, dlaczego to zrobiłaś?

— Żartowałam tylko.

— Przeraziłaś mnie.

— Pochlebiasz mi — odrzekła spokojnie.

— Naprawdę mnie wystraszyłaś.

— Biedna Anna. Chyba rzeczywiście jesteś do mnie przywiązana. Usiadłam w fotelu i spojrzałam na nią, śliczną — rozbawioną i kpiącą.

— Trochę się o ciebie martwię, Anno — oznajmiła. — Tak bardzo zależy ci na ludziach.

Powoli odzyskiwałam spokój.

— Albo komuś zależy, albo nie.

— Istnieją jednak różne stopnie.

Wiedziałam, co ma na myśli. Mówiła: nie martw się o mnie. Lubiłam Rexa, ale od początku wiedziałam, że to nie może skończyć się małżeństwem. Była spokojna i rozsądna. Żałowałam, że sama nie potrafię tak filozoficznie podchodzić do życia.

— W gruncie rzeczy — wyznałam — myślałam o sobie. Kierowały mną wyłącznie egoistyczne pobudki. Przeraziła mnie perspektywa samotnego pobytu na wyspie.

— Corralle jest niesamowitym miejscem, to nie ulega wątpliwości. Ale to bez znaczenia. Będę tam z tobą, Anno. Jak to jest napisane w Biblii: „Gdzie ty pójdziesz, ja pójdę z tobą. Twój bliscy będą moimi bliskimi”. Przyszło ci kiedyś do głowy, Anno, że są takie cytaty, które pasują niemal do każdej sytuacji?

— To prawda. Chantel, jesteś... nie jesteś nieszczęśliwa?

— Dlaczego? Czy wyglądam smutno?

— Czasami myślę, że wiele przede mną ukrywasz.

— Miałam raczej wrażenie, że mówię za dużo, nie zastanawiając się zbyt nad słowami. Przynajmniej taka była twoja wcześniejsza opinia o mnie.

— Chodziło mi o Rexa.

— Rex został w Australii, a my jesteśmy na pełnym morzu. Czy to nie odpowiednia pora, by wreszcie przestać o nim myśleć?

— Ja mogę, jeśli ty możesz.

— Moja kochana Anno. — Chantel nieoczekiwanie objęła mnie i przytuliła.

\* \* \*

Płynęliśmy przez Pacyfik. Słońce paliło i nawet popołudniami było zbyt gorąco, by robić cokolwiek innego poza leżeniem na pokładzie. Nawet Edward stracił energię.

Atmosfera uległa zmianie. Mieliśmy czworo nowych towarzyszy podróży, którzy płynęli do jednego z portów Pacyfiku, rzadko jednak ich widywaliśmy; zabrakło tego, co Chantel nazwała „duchem przyjęcia”.

Nawet załoga się zmieniła. O Coralle mówiono szeptem, niemal oglądając się przez ramię. To tajemnicza wyspa, gdzie kapitan — ich kapitan — utracił statek. Marynarze sprawiali wrażenie, jakby obawiali się, że spotka ich tam coś przerażającego.

Widywałam Chantel częściej niż kiedykolwiek w czasie rejsu. Było jej przykro, że tak mnie wystraszyła.

— Czysty egoizm — skomentowała. — Chciałam wiedzieć, czy jestem ci naprawdę potrzebna.

— Nie musiałaś tego sprawdzać.

— Zamartwiasz się moimi sprawami, podczas gdy twoje są o wiele bardziej ekscytujące.

Milczałam, mówiła więc dalej:

— Monique się zmieniła. Jest... jakby to ująć?... zadziorna. Wkrótce znajdzie się na ojczystej ziemi. Będzie tam miała sprzymierzeńców.

— Mówisz tak, jakbyśmy ruszali na wojnę.

— To całkiem prawdopodobne. Często mówi, że nienawidzi kapitana, a potem że go kocha. To dla niej typowe. Jest nierozsądna, myśli raczej emocjami niż głową, czyli w ogóle nie myśli. Scena przygotowana dla tragedii. Zbijający z nóg upał. Będzie tam parno, prawda? Tropikalne noce. Miriady gwiazd. Krzyż Południa — ta nazwa brzmi bardziej sentymentalnie niż Pług, nie sądzisz? Ogromne palmy kołyszące się w podmuchach wiatru, bananowce i drzewa pomarańczy, plantacje trzciny cukrowej. Idealne warunki... dla dramatu.

— A kim będą aktorzy w twoim dramacie?

— Postać centralna to Monique, a w głównej roli męskiej — kapitan.

— Nie będzie go tam. Zostanie na trzy doby, po czym odpłynie na dwa miesiące.

— Ależ z niego nudziarz. Cóż, trudno, będą jednak mama i stara niania. Oraz ty i ja, w epizodzie.

— Och, przestań, Chantel. Niepotrzebnie przesadzasz.

— Jestem pewna, że doszłoby do dramatu, gdyby kapitan z nami pozostał. Szkoda, że nie można go zatrzymać. Na przykład wysadzając statek w zatoce albo coś w tym rodzaju.

Zadrzałam.

— Biedna Anno, wszystko bierzesz zbyt poważnie, ze mną włącznie. Jaki pożytek byłby ze zniszczenia statku? Kapitan niezwłocznie musiałby wracać do Sydney, w to nie wątpię, i czekać tam na instrukcje. Nie, nic by to nie dało.

— Zakładając nawet, że byłabyś w stanie to zrobić.

— Moja droga Anno, nie wiesz, że jestem zdolna do wszystkiego?

Była w żartobliwym nastroju, a jej wesołość okazała się równie pomocna jak współczucie po śmierci ciotki Charlotte. Lecz to ja powinnam była ją pocieszać. W końcu utraciła kochanka — a nie wątpiłam, że tym dla niej był Rex — nie dlatego że rozdzieliła ich jakaś poważna sprawa, lecz dlatego, że zabrakło mu odwagi, by się z nią ożenić.

Nie mogłam nic poradzić na to, że cieszyła mnie obecność Chantel — choć to uczucie bardzo egoistyczne. Bo przecież moja przyjaciółka byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby uciekła z Rexem.

Jej zdolność do ukrywania prawdziwych emocji budziła zdumienie i podziw — bo przecież Chantel musiała być nieszczęśliwa.

Mimo to nie okazywała nic po sobie. Flirtowała z Ivozem Gregorem, doglądała Monique i często przesiadywała ze mną na pokładzie podczas długich, sennych popołudni.

A potem dopłynęliśmy do wyspy.



## *Coralle*

Byłam bardzo przejęta, gdy po raz pierwszy postawiłam stopę na Coralle. Nigdy nie zapomnę krzykliwych barw i upału. Spadł ulewny deszcz, trwał jednak tylko kilka minut, a potem wyszło słońce i ziemia zaczęła parować. Zapanował żar nie do zniesienia, w kremowej bluzce i granatowej spódnicy wprost się dusiłam.

Czułam zapach kwiatów, które rosły wszędzie. Drzewa i krzewy pokrywało szkarłatne, różowe i białe kwiecie. Nad wodą zobaczyłam kilka domów, a raczej chat, zbudowanych z gliny i trzciny i ustawionych na palach, tak że na kilka stóp wznosiły się nad ziemią. Na brzegu dziewczęta w kwiecistych, bawełnianych sukniach rozciętych do kolan i odsłaniających brązowe nogi, mężczyźni w jasnych spodniach, w większości podartych i znoszonych, oraz koszulach tak kolorowych jak kobiece suknie, a także dzieci, często zupełnie gołe, przyglądali się statkowi wielkimi brązowymi oczyma, w których malowało się zdumienie.

Z domów dobiegała dziwna, niesamowita muzyka grana na dźwięczących instrumentach.

Piasek był złoty, a wilgotne zielone palmy różniły się od tych pokrytych kurzem, które widzieliśmy na Wschodzie.

Gdy tak stałam w porażającym upale, przypomniałam sobie, że za kilka dni „Łagodna Dama” odpłynie i zostanę tu... jak uwięziona aż do jej powrotu. Czekano mnie życie, o którym nic nie wiedziałam. Nie potrafiłam nawet sobie go wyobrazić, ale jak wówczas, gdy po raz pierwszy przekroczyłam próg Domu Królowej, ogarnęły mnie złe przecucia, jakby intuicja próbowała dać mi znak: Strzeż się!

Spojrzałam na stojącą obok mnie na złotej plaży Chantel i wdzięczna byłam za jej obecność, jak tyle razy wcześniej. Wyobraziłam sobie, jakbym się czuła, gdyby opuściła mnie w Sydney i teraz zostałabym tu sama. Na myśl o tym nastrój mi się poprawił. Przynajmniej jesteśmy razem.

Monique wyszła z nami na brzeg. Być może oczekiwano, że pojawi się z mężem, kapitan jednak nie mógł jeszcze opuścić statku, Monique zaś, co zrozumiałe, jak najszybciej pragnęła przywitać się z matką. Ruszyliśmy pomiędzy barwnym tłumem wyspiarzy, którzy gapili się na nas, nie kryjąc ciekawości, ku czekającemu powozowi. Na koźle siedział stary mężczyzna, ubrany jak wszyscy tutejsi mieszkańcy; na imię miał Jacques. Wziął nasze bagaże, poczekał, aż wsiądziemy, po czym cmoknął na konie. Rozglądałam się wokół, chłonąc nowe, przepiękne widoki: podziwiałam bujną i barwną roślinność, morze połyskujące w słonecznych promieniach, bezchmurne szafirowe niebo, ptaki. A potem przed naszymi oczyma pojawiła się posiadłość. Patrzyłam z ciekawością, gdzie też przyjdzie mi mieszkać, a widok nie napawał optymizmem. W zarośniętym, zaniedbanym ogrodzie wznosił się . piętrowy dom z licznymi dobudówkami, co nadawało mu dziwaczny, nieregularny kształt. Był stary i dość zrujnowany.

Na werandzie stała kobieta, niemłoda i bardzo gruba, ubrana w kwiecistą szatę. W uszach miała zrobione z muszli długie kolczyki i takiż sznur koralu na szyi.

— Jacques, a więc ją przywiozłeś! — wykrzyknęła. — Przywiozłeś panienkę Monique!

— Tu jestem, Suka! — odrzekła Monique. Wyskoczyła z powozu i rzuciła się w ramiona piastunki.

Chantel i ja pomogłyśmy wsiąść Edwardowi.

— A oto i Edward — powiedziała Monique.

Ogromne, czarne oczy Suki, lekko przekrwione, zwróciły się na chłopca. Podniosła go i zawołała:

— Teraz jesteś i moim dzieckiem!

— Nie jestem dzieckiem — oznajmił Edward. — Pływałem po morzach i oceanach z kapitanem.

— No, no — mruknęła Suka.

Chantel i ja mogłyśmy równie dobrze nie istnieć, a gdy dostrzegłam złośliwy błysk w oczach Monique, pojęłam, że tak to zaplanowała. Ona była tu panią, my zaś służącymi. Zastanawiałam się, co myśli Chantel, choć nie musiałam długo czekać, by się o tym przekonać.

— Powinnyśmy się przedstawić — oznajmiła. — Panna Anna Brett i siostra Loman.

— Guwernantka i pielęgniarka — dodała Monique.

Suka skinęła głową i zwróciła na nas swe ogromne oczy. Wyraz jej twarzy wskazywał, że nie jesteśmy dla niej ważnymi personami.

— Chodź do mamy — zwróciła się do Monique. — Czeka na ciebie.

— Czy my też mamy iść? — zapytała Chantel z sarkazmem. — A może poszukać kuchennych drzwi?

— Macie iść — poleciła Monique z wyższością.

Na ganku zobaczyłam stworzenie podobne do jaszczurki, które zniknęło między deskami, i wpadło mi do głowy, że domy zbudowano na palach w ochronie przed takimi intruzami.

Weszłyśmy do holu. Dała się odczuć znaczna różnica temperatury, tu było o kilkanaście stopni chłodniej, a w naszym obecnym stanie mogłyśmy tylko być za to wdzięczne. W holu było ciemno, dopiero po sekundzie wzrok przyzwyczaiał mi się do półmroku, ponieważ okiennice w jedynym oknie zamknięto, w części zapewne także i po to, by odstraszyć nieproszonych gości. Maty w jaskrawych kolorach, wyrób miejscowy, jak przypuszczałam, pokrywały podłogę, która według angielskich standardów wymagała pilnego wypastowania. Deski były połamane i szorstkie.

Na końcu holu zamiast drzwi wisiała zasłona z paciorków, na stole znajdowała się figurka z brązu z niewiarygodnie brzydką twarzą, tylko w przepasce na łądźwie. Obok rzeźby leżała miedziana czy brązowa pałka. Domyśliłam się, że to gong obiadowy.

Poprowadzono nas po schodach, przykrytych wąskim czerwonym chodnikiem, bardzo zakurzonym. Widoczne części schodów od dawna nie były malowane ani pastowane.

Na końcu znajdowały się drzwi, które otworzyła Suka.

— Panienska Monique przyjechała — oznajmiła, po czym weszłyśmy do środka.

I znowu powitał nas półmrok, moje oczy jednak już się do niego przyzwyczaiały. Edward trzymał mnie za rękę.

To był dziwny pokój, pełen ciężkich mebli i ornamentów z brązu. Na ścianach wisiały obrazy, dostrzegłam pod jedną z nich mały stolik z brązu i ciężkie krzesła. Tutaj także zielone okiennice nie wpuszczały do środka upału i owadów.

Na fotelu siedziała madame de Laude, matka Monique.

— Moja kochana Monique! — rzekła.

Pani Stretton podbiegła do niej i uklękła, chowając twarz na kolanach matki. Uświadomiłam sobie, że starsza pani jest kaleką i dlatego nie wyszła powitać córki.

— *Maman...* przyjechałam. Nareszcie wróciłam do domu!

— Daj mi na siebie popatrzeć, moja maleńka. Ach, to dobrze, że jesteś. A Edward?

Wyciągnęła chudą dłoń z wyraźnymi niebieskimi żyłami, ozdobioną pierścieniami. Na przegubie miała kilka bransolet. Edward niepewnie ruszył ku niej. Jego też objęła.

— Tyle czasu — powiedziała. — Tyle czasu. Uniosła głowę i spojrzała na Chantel i na mnie.

— Pielęgniarka i guwernantka. Która jest którą?

— Ja jestem siostra Loman — odparła Chantel. — A to panna Anna Brett.

— Słyszałam, że dobrze opiekowałyście się moją córką i wnukiem. Witajcie w Carrement House. Mam nadzieję, że będziecie tu szczęśliwi. Zapewne jesteście zmęczone. Poślę wam do pokojów herbatę miętową, ona was odświeży. Potem chciałabym z wami porozmawiać.

Sięgnęła na stolik po figurkę z brązu przedstawiającą dziewczynę w długiej szacie, w której krył się dzwonek. Poruszyła nią leniwie i natychmiast w pokoju pojawiła się młoda kobieta. Nie miała więcej niż piętnaście lat, na wyspie jednakże oznaczało to zapewne wiek dojrzały. Bosonoga, jak wszystkie wyspiarki, ubrana była w długą barwną suknię, nie grzeszącą czystością.

— Pero — poleciła madame de Laude — zaprowadź siostrę Loman i pannę Brett do ich pokojów, a potem zaparz dla nich miętę. Zobaczymy się potem — zwróciła się do nas z niemal przepraszającym uśmiechem. — Teraz pragnę spędzić czas z córką i wnukiem.

Kiedy ruszyliśmy w ślad za Pero, Edward pobiegł i złapał mnie za spódnicę.

— Edward zostaje — oznajmiła starsza pani.

Chłopiec już chciał zaprotestować, odepchnęłam więc go lekko od siebie.

— Chodź, Edwardzie — odezwała się Monique. — Chcemy, żebyś został.

Posłuchał, acz niechętnie.

Szliśmy korytarzem przy wtórze trzeszczenia desek, potem schodami z pięknie rzeźbioną poręczą, którą jednak pokrywała gruba warstwa kurzu.

Ku naszej radości mieszkaliśmy na tym samym piętrze. W tym domu wolałyśmy być blisko siebie. Mój pokój był obszerny, drewniana podłoga wyglądała tak, jakby zaatakowały ją korniki lub inne robactwo. Na oknach — tutaj dwóch — okiennice także były zamknięte. Łóżko przykrywała kapa w pięknie dobranych barwach, stojący obok fotel z rzeźbionymi poręczami, obity złotym adamaszkiem, bez wątplenia pochodził z czasów Ludwika XV. Szczególnie zachwycała mnie konsolka w stylu rokoka, złożona, z rzeźbionym głównym ornamentem. Marmurowy blat spoczywał na fryzie zdobionym liśćmi bluszczu. Była urocza — i oryginalna. Pozostałe krzesła, zrobione z surowego drewna, sprawiały wrażenie, jakby zbił je cieśla amator.

Jak ktokolwiek mógł pozwolić, by fotel i konsolka sąsiadowały z resztą umeblowania?

Chantel, obejrawszy swój pokój, przysła do mnie.

— I co? — zapytała.

— Wszystko jest takie dziwne.

— Zgadzam się. To miejsce jest niesamowite. A więc tak wygląda jej dom! Sprawia wrażenie, jakby miał spaść nam na głowy którejś burzliwej nocy. Co o nim sądzisz?

— Że przydałyby mu się solidne wiosenne porządki.

— No tak, nie widział ich od lat. Gdyby ktoś go mocniej wyszorował, pewnie by się rozleciał na kawałki. Czy uda się nam wytrwać tutaj dwa miesiące?

— Mogę się na to zdobyć tylko dlatego, że ty tu jesteś. — Zadrzałam. — Kiedy pomyślę, że mogłaś zostać w Sydney... Byłam o tym przekonana, gdy nie wracałaś.

— Cały czas siedziałam na statku, tak więc twoje obawy były zupełnie bezpodstawne. Teraz wszakże jesteśmy tutaj i pozostaniemy przez dwa miesiące.

— Z drugiej strony — zauważyłam — wydajemy sądy dość pośpiesznie.

— A to nie leży w twoim charakterze, wiem. To ja jestem impulsywna. — Podeszła do okna i rozchyliła okiennice. Widok, jaki ukazał się w okiennej ramie, był tak uroczy, że wyglądał niczym obraz na ścianie: błękitne morze, palmy, złoty piasek i wspaniała linia brzegowa zatoki.

Chantel spojrzała na swoje dłonie, zabrudzone od ramy okiennej.

— Nie ma tu żadnej służby? — zapytała.

— Widzieliśmy Jacques'a i Pero.

— Nie zapominaj o niani, która wyszła na brzeg powitać panienkę Monique.

— Jacques zajmuje się pewnie końmi i powozem. Niewykluczone, że jest też ogrodnikiem.

Chantel prychnęła.

— To, co widziałam, nie wskazuje, aby się przepracowywał. Chyba że taką ma rękę do roślin, że czego się tknie, to w ciągu nocy wyrasta.

— To chyba raczej dzięki słońcu i wilgotnemu klimatowi.

— Cóż, załóżmy, że do jego obowiązków należą inne prace. Ale w domu jest Pero i ta druga kreatura. Ciekawe, co robią cały dzień, kiedy nie rozplývają się nad panienką Monique.

— Tutejszy klimat zapewne nie skłania do ciężkiej pracy.

— Z tym muszę się zgodzić. Jestem wyczerpana.

— Mięta pewnie doda nam sił, jeżeli w ogóle ją przyniosą.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i weszła Pero, niosąc tacę malowaną w czerwone i niebieskie kwiaty dość niewprawną ręką. Miętę nalano do wysokich szklanek, w których były długie łyżeczki z uchwytnymi w kształcie podkowy. Na pierwszy rzut oka wiedziałam, że są bardzo cenne. Ciotka Charlotte kupiła kiedyś podobne, znane były jako *pied de biche*.

Na nowo uderzyły mnie kontrasty, spotykane na każdym kroku w tym domu. Cenne antyki sąsiadowały tu z przedmiotami nie tylko zupełnie pozbawionymi wartości, ale bez smaku i wręcz wulgarnymi.

— Mam nadzieję, że herbata będzie paniom smakować — odezwała się Pero.

Młoda i nieśmiała, obrzucała nas ukradkowymi spojrzeniami; częściej jej oczy kierowały się na Chantel, wartą oglądania pod każdą szerokością geograficzną.

Przyszło mi do głowy, że od tej dziewczyny możemy uzyskać jakieś informacje. Widziałam, że moja przyjaciółka myśli tak samo.

— Spodziewaliście się naszego przyjazdu? — zapytała Chantel.

— Tak — odrzekła Pero; jej angielszczyźnie daleko było do biegłości. — Wiemy, słyszymy, że przyplynie statek i przywiezie dwie damy, jedną dla pani Monique, drugą dla panicza Edwarda.

— I nikomu nasz przyjazd nie przeszkadza? — zapytałam. — Chodzi mi o to, czy ktoś nie uważa, że można by nas zastąpić kimś stąd?

Na twarzy dziewczyny malowała się powaga.

— Och, ale dama z za wody... ona was przysłała. Wy jesteście jej. Madame bardzo biedna. Nie może płacić. Ale dama z za wody bardzo bogata i pani Monique też będzie bogata, bo jest żoną kapitana. — Po tych słowach zacisnęła usta, zastanawiając się najwyraźniej, czy przypadkiem nie powiedziała za dużo.

Popijałyśmy herbatę, była letnia, lecz aromat mięty rzeczywiście odświeżał.

Na schodach rozległy się kroki i w progu stanął stary Jacques. Spojrzał surowo na Pero, która natychmiast odeszła, następnie wskazał walizy.

— Te są moje — powiedziałam. — Dziękuję.

Bez słowa wniósł bagaże do środka, po czym poszedł do pokoju Chantel z jej rzeczami.

Chantel siedziała na moim łóżku, a ja na adamaszkowym fotelu w stylu Ludwika XV — muszę przyznać, że z szacunkiem — i patrzyłyśmy na siebie.

— Przyjechałyśmy do dziwnego doprawdy domu — stwierdziła.

— Nie oczekiwałaś tego?

— Nie spodziewałam się, że będzie aż tak dziwny. Wszyscy zachowują się tak, jakby mieli nam coś za złe.

— Stara niania na pewno. W końcu ty opiekujesz się jej ukochaną panienką, a ja Edwardem. Bez wątpienia uważa, że oboje należą do niej.

— Wygląda tak, jakby w każdej chwili miała rzucić na nas urok.

— Może zrobi woskowe figurki i będzie wtykać w nie szpilki. Roześmiałyśmy się; mogłyśmy zartować, siedząc tu tylko we dwie, ale obie czułyśmy już wpływ tego niesamowitego miejsca.

Chantel poszła się rozpakować, ja także zajęłam się tym samym. W garderobie znalazłam wannę oraz miednicę i dzban. Umyłam się i przebrałam w lekką lnianą suknię, i od razu zrobiło mi się lepiej.

Czesalam się, gdy usłyszałam ciche pukanie w drzwi. Otworzyłam, w progu stała Pero.

Madame de Laude chciałyby się ze mną zobaczyć, oznajmiła. Z siostrą Loman także porozmawia, ale później. Jeśli jestem gotowa, Pero zaprowadzi mnie teraz do niej, jako że siostra Loman jeszcze się nie przebrała.

Pośpiesznie upięłam włosy i podążyłam po schodach za służącą. Wyczuwałam, że osoba pani budzi w niej potężny strach.

— Proszę usiąść, panno Brett — powitała mnie madame de Laude. — Obawiam się, że dość pośpiesznie panie odprawiłam, ale od dawna nie widziałam córki i wnuka. Są teraz ze starą nianią, tak więc nie musi się pani martwić o chłopca.

Skłoniłam głowę.

— Zapewne wszystko wydaje się pani dziwne w porównaniu z Anglią.

Przyznałam, że istotnie jest tu inaczej.

— Nigdy nie byłam w Anglii, choć jestem Angielką. Mój mąż był Francuzem. Od ślubu mieszkam w tym domu, przedtem mieszkałam po drugiej stronie wyspy. Za życia męża byliśmy bogaci, bardzo bogaci według tutejszych standardów, on wszakże nie żyje od dwudziestu już lat, a ja zachorowałam. Może się pani dziwi, dlaczego o tym mówię, skoro przybyła tu pani uczyć Edwarda i te sprawy jej nie obchodzą, uznałam jednak, że powinna pani się orientować w naszej sytuacji.

— To uprzejme z pani strony. Starsza dama pochyliła głowę.

— Jak pani wie, nie ja was zatrudniam, tylko lady Crediton.

— Tak, wiem.

— Nie stać by mnie było na zatrudnienie guwernantki. Wiele się u nas zmieniło. Kiedyś było inaczej, prowadziliśmy otwarty dom, urządzaliśmy huczne przyjęcia dla gości z Francji i Anglii. Mąż mój był wielkim dżentelmenem, plantacja trzciny cukrowej przynosiła zyski. To wszystko jednak minęło i teraz jesteśmy biedni, musimy postępować z wielką rozważą. W tym domu niczego nie marnujemy. Nic nie możemy zrobić. Jesteśmy bardzo, bardzo biedni.

Pomyślałam, że to dziwny sposób przemawiania do osoby z moją pozycją, zaraz wszakże uświadomiłam sobie, że madame de Laude ostrzega mnie, bym nie oczekiwała, że służba będzie mi usługiwać. Bez wątpienia sama muszę zajmować się swoimi rzeczami i sprzątać pokój. Nie lubię owijania w bawełnę, zapytałam więc, czy o to jej chodziło.

Uśmiechnęła się i potwierdziła. W najmniejszym stopniu nie zbiło mnie to z tropu. Tak czy owak zamierzałam u siebie posprzątać, a teraz mogłam to zrobić bez obawy, że kogoś urażę.

— To wielki dom, z trzydziestoma pokojami, postawiony na planie kwadratu. Przynajmniej taki był, gdy mąż go zbudował, później bowiem go rozbudował. Stąd wzięła się nazwa Carrement House. Kwadrat, rozumie pani. Trzydzieści pokoi i tylko troje służby, Jacques, Suka i Pero. A Pero jest młoda i niedoświadczona, wyspiarze zaś nie odznaczają się zbyt wielką energią. To przez tutejszy klimat. Kto mógłby mieć do nich pretensje? Och, ten klimat! Na nic dobrze nie wpływa. Rujnuje dom. Wszędzie aż roi się od robactwa, a zielska i krzewy pienią się bujnie. Klimat, zawsze ten klimat, powiadają ludzie. Całe moje życie przeżyłam tutaj i jestem przyzwyczajona. Dla niektórych jednak bywa trudny do zniesienia.

— Rozumiem, madame.

— Cieszę się. Teraz chciałabym porozmawiać z siostrą Loman. Och, i jeszcze jedno. Jadać będziemy razem. Gotowanie tej samej potrawy dla wszystkich jest mniej kłopotliwe i tańsze. Jacques i Suka gotują, Pero podaje do stołu. Teraz zna już pani wszystkich domowników. Kolacja jest o ósmej. Dziś wieczorem przyjdzie do nas kapitan. Pragnie spędzić z żoną i synem jak najwięcej czasu.

Zadałam sobie pytanie, czy starsza pani zauważyła mój rumieniec.

— A teraz — zakończyła — jeśli siostra Loman jest gotowa, proszę ją do mnie przysłać.

Poszłam do pokoju Chantel. Było tam kilka francuskich mebli w dobrym gatunku.

— Odbyłam wielce pouczającą rozmowę z madame. Teraz twoja kolej — oznajmiłam. — Rzeczywiście przybyliśmy do dziwnego domu.

\* \* \*

Na wyspie mrok zapada szybko, nie ma w ogóle zmierzchu. W jednej chwili był jasny dzień, w następnej zapadła noc.

Za piętnaście ósma Chantel przysłała do mojego pokoju. Przebrała się w czarną koronkową suknię, która doskonale pasowała do jej karnacji. Na mój widok prychnęła. Ja też miałam na sobie czarną suknię.

— Nie nadaje się, Anno — orzekła. — Nigdy nie znosiłam tej sukni. Jeśli mam być szczerą, jest po prostu ponura.

— Nie wybieram się na bankiet.

W jej oczach pojawił się marzycielski wyraz.

— Anno, kapitan je z nami dziś kolację. Jutro może też przyjdzie, potem jednak odpłynie. Zapamięta cię taką, jaka będziesz dzisiaj, nie pozwól więc, by w jego umyśle powstał obraz kobiety w nietwarzowej, starej sukni.

— Chantel, proszę...

Roześmiała się i zaczęła rozpinać mi suknię.

— Zapominasz, że on ma żonę.

— Już ona nie pozwoli mi o tym zapomnieć. Kapitan musi zachować przyjemne wspomnienia.

— Nie, lepiej...

— Jeśli specjalnie wyglądać będziesz brzydko? Ależ ty jesteś nie — romantyczna, doprawdy!

— Czy należy być romantyczną wobec cudzego męża?

— Romantyczną należy być zawsze, a w miłości, która nie może zostać spełniona, jest coś nad wyraz romantycznego.

— Chantel, nie żartuj z tego, bardzo cię proszę.

— Nie żartuję. Gdybyś tylko wiedziała, jak mocno pragnę twojego szczęścia. I będziesz szczęśliwa, nawet bez kapitana, bo to nie on jest ci przeznaczony, Anno. — Oczy jej błyszczały, wyglądała jak wieszczka.

— Wolałabym, żebyś przestała o tym mówić.

— Nie zamierzam przestać. On nie jest dla ciebie, Anno. Nie dość dobry, tłumaczyłam ci już wcześniej. Mimo to uważam, że dzisiaj wieczorem powinnaś włożyć coś ładnego. — Wyjęła z szafy niebieską jedwabną suknię i podała mija. — To jedna z twoich najlepszych. Proszę, Anno.

Przebrałam się. Wbrew temu, co mówiłam, chciałam tego wieczoru wyglądać jak najkorzystniej.

Spojrzałam w lustro i pomyślałam, że z zaróżowionymi policzkami jestem nawet dość atrakcyjna.

Chantel przyglądała mi się badawczo, powiedziałam więc, chcąc zmienić temat:

— Pero przyniosła mi te świece. Powiedziała, że nigdy ich nie zapalają, dopóki można się obyć bez światła. Świece na wyspie są bardzo drogie.

— Przecież nie mogą być aż tak biedni. Sądzę, że nasza madame ma bzika na punkcie oszczędzania. Ślicznie wyglądasz, Anno.

— To te drogie świece, ukrywają braki. Wszyscy wiedzą, że w ich świetle rysy wydają się subtelniejsze, a oczy bardziej błyszczące.

— Zaskoczona jestem, że mamy jadać przy rodzinnym stole, skoro jesteśmy zaledwie pielęgniarzką i guwernantką.

— Wspólne posiłki wychodzą taniej, tak tłumaczyła mi madame.

— Mnie też to mówiła. — I Chantel wybuchnęła śmiechem. — Och, Anno, do jakiego domu wariatów trafiłyśmy?

— Poczekamy, zobaczymy.

Podeszła do okna i otworzyła okiennice.

— Zabrudzisz się — powiedziałam.

— Chodź tu, widać statek.

Stał na kotwicy w zatoce, tak samo jak wcześniej musiała stać „Tajemnicza Kobieta”.

— Ten widok daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa — zauważyłam.

— Jak będziesz się czuć, Anno, kiedy statek odpłynie?

Zadrzałam.

— To dopiero się okaże — odparłam.

— Nieważne, to tylko dwa miesiące.

— Jesteś pewna?

Chantel się uśmiechnęła.

— Najzupełniej. Nie zostanę tu dłużej.

— Już podjęłaś decyzję?

— Wiem, tak podpowiada mi intuicja — odrzekła. — Nie zostanę tu dłużej niż przez dwa miesiące.

— Wróżka!

— Skoro tak mówisz.

— Nie chciałabym zostać tu sama.

— „Gdzie ty pójdziesz, pójdę i ja” — zacytowała niedokładnie Chantel. — I w tym biblijnym nastroju udajemy się na kolację.

Chantel otworzyła drzwi. Drogę oświetlała nam oliwna lampka w korytarzu. Pograżony w mroku pokój nabrał niesamowitego charakteru.

Poprzez okiennice jednak mogłam dostrzec statek w zatoce i domyślałam się, że na dole jest Redvers. Byłam zadowolona, że będzie nam towarzyszyć tego pierwszego wieczoru na wyspie.

\* \* \*

Na stole pysznił się piękny kandelabr. Sprawiał tak niezwykle wrażenie w tym domu, że natychmiast zwrócił moją uwagę. Młoda bogini podtrzymywała ramiona świecznika. Bezczenny, pomyślałam, i oczywiście francuski, jak większość wartościowych przedmiotów tutaj. Kandelabr godny stołu w Wersalu. Światło świec rzucało migotliwe cienie na pokój. Dziś wieczorem grono biesiadników było liczne. Ciekawe, jak to będzie, gdy zostaniemy we czwórkę.

U szczytu stołu królowała madame de Laude, miejsce po jej prawej ręce zajmował Red. Oddychająca o wiele swobodniej Monique siedziała naprzeciw matki, po jej prawej stronie umieścił się Ivor Gregory, a po lewej Dick Callum. Chantel i ja siedziałyśmy naprzeciwko.

Do stołu podawali Pero i Jacques; doszłam do wniosku, że Suka bez wątpienia jest w kuchni.

Kolacja rozpoczęła się od nieznanego mi gatunku ryby, pewnie złowionej w zatoce, później podano fasolę i warzywa, na koniec zaś pysznego, świeżego ananasa. Piliśmy francuskie czerwone wino. Nie znam się na winach, domyślałam się jednak, że jest w dobrym gatunku.

Rozmowa toczyła się gładko. Rozmawialiśmy o rejsie i towarzyszach podróży. Co jakiś czas świadoma byłam utkwionych we mnie oczu Reda, a gdy się odwracałam, łapałam spojrzenie Dicka Calluma. Chantel flirtowała z Ivozem Gregorym. Monique usta się nie zamykały, matka zaś nie odrywała od niej wzroku, jakby nie mogła napatrzeć się na córkę.

Madame de Laude zachowywała się z wielką godnością, nie ulegało wątpliwości, że dawniej często przyjmowała gości. Mogłam wyobrazić sobie ten pokój pełen rozbawionych ludzi i ozdobiony pięknymi meblami i przedmiotami w rodzaju wspaniałego kandelabra.

— Jak pan sądzi, kapitanie — zapytała — czy siostra Loman i panna Brett dobrze się tu będą czuły?

— Mam nadzieję, że tak — odrzekł niepewnie.

— Zapewne uznają, że jest tu zupełnie inaczej niż w Anglii. Bo jest inaczej, prawda?

— Z pewnością dużo cieplej — zauważył Redvers lekko.

— Nie mogłam doczekać się ich przyjazdu, gdy dowiedziałam się, że lady Crediton je zaangażowała. Słyszałam, że w trakcie rejsu... były bardzo pomocne. Mam nadzieję, że zechcą z nami pozostać.

— Istotnie były pomocne — wtrąciła Monique. — Siostra Loman terroryzowała mnie okropnie.

— Madame de Laude wie, że to tylko dla pani dobra — zareplikowała Chantel.

Monique wyduła wargi.

— Kazała mi pilnować diety i wdychać to ohydztwo.

— Zalecenia lekarza — odparła Chantel. — Potwierdzone przez obecnego tu pana doktora Gregory'ego.

— Moim zdaniem, madame — powiedział ten — pani Stretton miała szczęście, trafiając w ręce tak dobrej pielęgniarki.

— Siostra Loman opiekowała się mną, a panna Brett Edwardem. A ponieważ Edward ciągle chodził za swoim papą, oznaczało to, że panna Brett także to czyniła.

Usłyszałam własny chłodny głos:

— Edwardowi, co rozumiałe, niezwykle rzadko pozwalano na wstęp na mostek kapitański, a gdy tam był, chciał wszystko poznać.

Monique przesunęła wzrok ze mnie na Chantel. Byłam pewna, że knuje jakąś intrygę, i zastanawiałam się, co też powiedziała matce.

— Panuje powszechne przekonanie, że kiedy na pokładzie są pasażerowie, obowiązkiem kapitana jest ich zabawianie — odezwał się Redvers. — Niestety, mylny to pogląd, nie wątpię bowiem, iż byłaby to wielka przyjemność. Zadaniem kapitana jest nawigacja, czy nie tak, Callum?

Dick potwierdził i dodał, że głównym obowiązkiem dowódcy jest dbanie o statek.

— Ale podczas rejsu istnieje jakieś życie towarzyskie? — zapytała madame.

— Bywają okazje, kiedy możemy spotkać się z pasażerami, aczkolwiek nie tak częste, jakbyśmy pragnęli.

— W rezultacie żona kapitana zazwyczaj jest sama — oświadczyła Monique. — Czy to nie smutne?

— I pana zdaniem rejs był dla mojej córki korzystny, doktorze?

— O tak — odrzekł Ivor Gregory.



— Przed opuszczeniem wyspy musi pan zamienić słowo z miejscowym lekarzem. Jest bardzo stary... i słabego zdrowia, lecz innego nie mamy. Wkrótce zastąpi go młodzieniec, jeden z wyspiarzy, który obecnie odbywa praktykę w londyńskim szpitalu przed zrobieniem dyplomu.

— Pójdę do niego jutro — przyrzekł Ivor — i wręcę mu *dossier* pani Stretton.

— *Dossier!* — wykrzyknęła Monique. — Brzmi to tak, jakbym była przestępczynią.

Odpowiedział jej uprzejmy śmiech zebranych, a później madame de Laude oznajmiła, że kawa podana zostanie w salonie. Czy zechcemy tam przejść?

Salon był długim pomieszczeniem z oszklonymi drzwiami otwierającymi się na taras, na którym stały dwa trzcinowe krzesła, fotel na biegunach oraz stół. Dalej ciągnął się zaniedbany trawnik. W salonie pomiędzy wielobarwnych mat wyglądał zniszczony parkiet. Moją uwagę natychmiast zwrócił stół, rozpoznałam Georges'a Jaco — ba. Był piękny, z hebanową okleiną, ząbkowany na krawędziach. Nie mogłam się powstrzymać, by nie przesunąć dłonią po blacie — pokrywała go warstwa kurzu. Świętokradztwem zaiste było tak niedbałe traktowanie równie cennych sprzętów. Krzesła pochodziły z nieco wcześniejszego okresu i miały spiralnie kręcone nogi; brokat, którym je obito, znaczyły plamy, lecz bez trudu można było temu zaradzić. Ich piękny kształt oraz wzór w kwiaty margerytek świadczyły, że są wartościowe.

Pero przyniosła kawę i postawiła na stole Jacoba. Byle jaka taca wydawała się tu zupełnie nie na miejscu, za to dzbanek, dzbanuszek na śmietankę, cukiernica i szczypczyki do cukru bez wątpienia pochodziły z Anglii, z okresu króla Jerzego.

Madame de Laude, usadowiona na jednym z obitych brokatem krzeseł, zapytała, jaką kawę lubimy. Podczas gdy ona wdzięcznym ruchem nalewała ciemny płyn do filiżanek, ja rozmyślałam o tym, jak inaczej musiało tu być za życia jej męża. Teraz ledwo wiązała koniec z końcem i oszczędzała na świecach, mimo że wokół siebie miała meble, które warte były niezłą fortunę.

Zapalono lampy, dwie tylko na obu końcach pokoju, w rezultacie więc panował w nim półmrok. W wyobraźni zmieniałam układ mebli i znajdowałam właściwe miejsce dla tego ślicznego kandelabra z jadalni. W jednym pomieszczeniu zebrałabym przedmioty pochodzące z tego samego okresu.

Owego wieczoru Monique była w psotnym nastroju. Mówiła o Reksie Creditonie. Madame de Laude słuchała z zajęciem, objawiając chęć poznania nowin o wszystkich członkach rodziny. Czy miała nadzieję, że dzięki małżeństwu córka uwolni ją od nędzy?

— Pragnęłabym poznać pańskiego przyrodniego brata, kapitanie — powiedziała.

— Interesy zawiodły go do Sydney — wyjaśnił Redvers. — Jest bardzo zapracowanym człowiekiem.

— Był zapracowany w czasie rejsu. — Monique spojrzała na Chan — tel i wybuchnęła śmiechem. — A teraz jego czas wypełnią bez reszty zaloty do panny Derringham.

— To młoda dama, którą poznał na statku? — zapytała madame de Laude.

— Och nie, ona jest w Australii. Sądzę, że to główny cel jego podróży. Derringhamowie są niezwykle bogaci. Tak bogaci jak Credito — nowie, Redversie?

— Jako że nie jestem członkiem zarządu przedsiębiorstwa Derringhamów, nie mam okazji oglądać ich zestawień bilansowych — odparł kapitan chłodno.

— Posiadają wiele statków, tak samo jak Creditonowie. Lady Crediton uważa, że dobrym rozwiązaniem będzie połączenie obu firm... poprzez małżeństwo.

— Lady Crediton to mądra kobieta — stwierdziła madame. — A kiedy tych dwoje się pobierze i nastąpi... jak wy to nazywacie?

— Fuzja — odpowiedział Dick.

— Wtedy rzeczywiście staną się bardzo bogaci.

Oczy starej damy błyszczały. Myśl o bogactwie sprawiła, że złagodniała. Mówiła o pieniądzach jak o kochanku.

— To bardzo romantyczne — dodała — Miłość zawsze jest pełna uroku.

— W tym wypadku można nazwać ją złotą — wtrącił Dick, lekko ściągając usta.

— Rex wiedział, jak się zabawić podczas rejsu. — Wzrok Monique, pozornie niewinny, spoczął na Chantel, która siedziała bez ruchu. Biedna Chantel! Było mi jej żal.

— Czy należy do mężczyzn, którzy lubią się bawić? — dociekała jej matka.

— A który mężczyzna tego nie lubi? — odparła Monique, uśmiechając się do męża.

— Lecz przecież zabawa to nie grzech — odpowiedział jej. — W gruncie rzeczy mądrzej jest się bawić niż nudzić, okazywać zainteresowanie niż obojętność. A mój przyrodni brat, madame, to człowiek bardzo inteligentny. Ma rozum na właściwym miejscu, co przydaje się człowiekowi z jego pozycją.

— Jest pan do niego przywiązany — rzekła madame.

— No cóż, razem się wychowaliśmy. Jesteśmy braćmi. Nigdy nie zważaliśmy na to, że „przyrodnimi”. Od niemowlęctwa byliśmy razem. Teraz Rex jest człowiekiem interesu i wie niemal wszystko o Lady Linę.

— O tak, o damach rzeczywiście wie sporo. — Monique wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

Moja przyjaciółka przyglądała jej się z niepokojem. Zawsze stawała się czujna, gdy Monique zbyt długo się śmiała, mogło to bowiem zakończyć się trudnościami w oddychaniu.

Chantel wstała od stołu. Przez chwilę sądziłam, że zaraz ujawni emocje, które przecież musiały się w niej burzyć. Nie potrafiłam uwierzyć, że Rex jest jej obojętny.

Zwróciła się jednak tylko do Gregory’ego:

— Czy nie powinnam podać pani Stretton belladonny?

— Ja to zrobię — odrzekł doktor.

— Zaraz przyniosę.

— Po co? — zapytała Monique gwałtownie.

— Zaczyna brakować pani tchu — wyjaśniła Chantel.

— Zapobiegawczo — dodał lekarz.

— Idzie pani do swojego pokoju? — zapytała madame de Laude. — Potrzebuje pani światła. — Wzięła ze stolika figurkę i zadzwoniła. Rozległ się zaskakująco głośny dźwięk.

Do salonu wbiegła Pero z wyrazem przestachu na twarzy.

— Poświeć siostrze Loman na schodach.

Kiedy lekarz i Chantel wyszli, Monique powiedziała:

— Traktuje się mnie jak dziecko.

— Kochanie, wszyscy się o ciebie martwią — odparła madame.

— Wiesz sama, że lepiej zapobiec atakowi, niż potem z nim walczyć — dodał Redvers.

— Nie wierzę, że będę miała atak. Po prostu w to nie wierzę. Chciała mnie uciszyć, bo mówiłam o nim. Nie przypuszczała, że Rex zostanie w Sydney i ożeni się z panną Derringham. Sądziła, że nikt nie może jej się oprzeć. — I po tych słowach Monique znowu wybuchnęła śmiechem.

— Przestań — polecił jej Redvers stanowczo. — Nie mów o sprawach, o których nic nie wiesz.

Jego ton, władczy i rozkazujący, wszystkich nas nieco wystraszył. To było tak, jakby spod maski dobrych manier i uroku wyłonił się zupełnie nowy człowiek. Monique usiadła prosto, kurczowo zaciskając palce na poręczach fotela.

— Zorientowałem się już, że to był wyjątkowo urodzajny rok na kokosy — odezwał się Dick Callum.. — Do Sydney popłyniemy z wielkim ładunkiem kopry.

Tą uwagą zręcznie zmienił temat rozmowy, aby rozproszyć ponury nastrój.

— Niestety z cukrem nie jest tak dobrze. — Madame ze smutkiem potrząsnęła głową. — Zapominam jednak o obowiązkach gospodyni. Może mają państwo ochotę na brandy lub likier? Mogę zaproponować doskonały koniak. Mąż mój zostawił dobrze zaopatrzoną piwniczkę, a my nie mamy zbyt wielu okazji, żeby z niej korzystać. Na szczęście jej zawartość nie psuje się wraz z upływem czasu.

Wróciła Chantel ze szklanką w dłoni. Podała ją Monique, która jednak zachmurzyła się i odwróciła głowę.

— Proszę to wypić — poleciła Chantel, w tej chwili uosobienie doskonałej pielęgniarki, a Monique niczym nadasane dziecko posłusznie wzięła szklankę i wypila lekarstwo do dna.

Oparła się o fotel, nie kryjąc gniewu. Matka obserwowała ją niespokojnie. Dostrzegłam też, że w zwróconych na żonę oczach Redversa malowały się nienawiść pomieszana ze znużeniem i rozpaczą. Przestraszyło mnie to.

Po tym epizodzie zamiast ogólnej konwersacji toczyło się jednocześnie kilka rozmów. Dick Callum, który siedział obok mnie, powiedział, że musimy się spotkać (rozumiał przez to spotkanie sam na sam), nim „Łagodna Dama” odpłynie z wyspy. Odrzekłam, że nie będziemy mieć sposobności.

— Musi pani znaleźć czas — nalegał. — Bardzo proszę.

Chantel omawiała kurację Monique z doktorem Ivorem Gregorym.

— Moim zdaniem belladonna jest dobrym substytutem azotanu amylu — mówiła.

— To skuteczny środek, ale niebezpieczny, musi więc pani być ostrożna i pilnować, by pacjentka jednorazowo nie brała więcej niż dziesięć kropli. Podczas ataku dawkę można powtórzyć... powiedzmy co dwie lub trzy godziny. Ma pani zapas?

— Tak, na dwa miesiące.

Dyskutowali o stanie zdrowia Monique — fachowa pielęgniarka i lekarz.

Dochodziła północ, gdy Dick z doktorem wrócili na statek. Red — vers spędzał noc w domu.

Wezwano Pero, by odprowadziła mnie i Chantel na piętro. Szła przed nami, niosąc lampkę. Przypuszczam, że pani domu wyliczyła, iż olej jest tańszy niż świece.

Obie zatrzymały się przed moim pokojem. Pero zapaliła świecę na toaletce. Powiedziałam dobranoc i zamknęłam drzwi.

\* \* \*

Sen nie chciał przyjść. Jedną ze świec postawiłam koło łóżka i zgasiłam, gdy się położyłam. Świecił księżyc, tak więc w pokoju nie było całkowicie ciemno. Leżałam, a moje oczy przyzwyczajały się do mroku; po chwili już sprzęty w pokoju nabrały konturów. Słaba poświata przedostawała się przez okiennice, naturalnie zamknięte, by do środka nie wpadały owady. Pomyślałam o Chantel, która może także leży, nie mogąc zasnąć, w sąsiedniej sypialni. Ta myśl dodała mi otuchy.

Zatrzeszczała podłoga, jak w Domu Królowej, gdzie w ciszy nocnej deski skrzypiały bez żadnego powodu.

Raz jeszcze wspomniałam wydarzenia, które mnie tutaj przywiodły i uświadomiłam sobie, że była taka chwila, kiedy wyłącznie ode mnie zależało, jakiego wyboru dokonam. Mogłam być powiedzieć: „Nie pojadę” i zostać w Anglii, a wówczas sprawy potoczyłyby się inaczej. Pojęłam, że wszystko, co działo się przedtem — całe życie w Domu Królowej u boku ciotki Charlotte — było mi narzucone. A później musiałam podjąć decyzję i sama wybrałam tę drogę. Ta myśl jednocześnie podnieciła mnie i przeraziła. Mogłam sobie powiedzieć: „Cokolwiek się zdarzy, wybrałam to sama”.

Głosy! Podniesione, gniewne głosy Monique i Reda. Kłócili się gdzieś w głębi domu. Wstałam z łóżka i nasłuchiwałam. Podeszłam do drzwi, a po chwili je otworzyłam. Głosy stały się wyraźniejsze, choć dalej nie rozumiałam słów. Głos Monique był podniesiony, namiętny i zły, a Reda niski i uspokajający? Rozkazujący? Pomyślałam o wyrazie jego twarzy w czasie kolacji. Był groźny?

Wyszłam na korytarz i uchylałam drzwi od sypialni Edwarda. W świetle księżycy widziałam jego buzię. Leżał na wznak i spał. .. Zamknęłam drzwi i przystanąłam przed swoim pokojem.

Głosy nie cichły. Nagle po plecach przeszedł mi dreszcz, na końcu korytarza bowiem dostrzegłam jakiś ruch. Ktoś mnie obserwował.

Wpatrzyłam się w ową postać. Chciałam coś powiedzieć, chociaż jednak otworzyłam usta, nie byłam w stanie wykrztusić słowa.

Postać ruszyła w moją stronę — ogromna i zwalista. To była Suka.

— Potrzebuje pani czegoś, panno Brett?

— Nie... nie mogłam zasnąć. Poszłam sprawdzić, czy u Edwarda wszystko w porządku.

— Edwardowi niczego nie potrzeba. — Mówiła tak, jakby impertynencją było przypuszczenie, że może być inaczej.

— Dobranoc — powiedziałam.

Skinęła głową. Wróciłam do siebie i zamknęłam drzwi. Wciąż byłam wstrząśnięta widokiem Suki i świadomością, że mnie obserwowała.

Cóż ona tam robiła? Czy to możliwe, że czatowała przed drzwiami pokoju Monique i Reda? Nasłuchiwała, gotowa rzucić się na pomoc panience Monique, gdyby ta jej potrzebowała?

Położyłam się. Dziwne, że zrobiło mi się tak zimno w tę duszną noc. Długo leżałam, drżąc na całym ciele. Wydawało mi się, że minęło wiele godzin, nim w końcu zasnęłam.

\* \* \*

Następnego dnia rano obudziła mnie Pero, przynosząc do pokoju śniadanie. Składało się z miętowej herbaty, grzanki, masła i bardzo słodkiego dżemu z nieznanym mi owoców, a także kawałka melona i dwóch bananów.

— Chyba bardzo zmęczona — zauważyła Pero z uśmiechem. — Nie spała pani dobrze?

— Tak bywa w nowym łóżku.

Uśmiechnęła się; wyglądała młodo i niewinnie. Zadziwiająco, jak inaczej można się tu czuć w świetle dnia. Pokój dalej był ponury, lecz już nie niesamowity, bo przez okiennice wpadały promienie słoneczne. Podczas gdy jadłam, przyszedł Edward. Usiadł na łóżku i powiedział smutno:

— Nie chcę tu zostać, Anno. Chcę popłynąć na „Łagodnej Damie”. Jak myślisz, czy kapitan mnie weźmie?

Pokręciłam głową.

Chłopiec westchnął.

— Szkoda, bo tu chyba mi się nie spodoba.

— Poczekajmy trochę — perswadowałam mu.

— Ale kapitan jutro odpływa.

— Wróci.

Pocieszyło go to, tak jak mnie.

Redvers wrócił na statek, by przypilnować załadunku. Moja przyjaciółka zajmowała się Monique, która nie czuła się dobrze. Suka nie wychodziła z pokoju, wpatrując się w Chantel — jak ta później mi powiedziała — wzrokiem bazyliuszka albo Meduzy.

— Nie mam pojęcia, co według niej zrobiłam jej najdroższej panience. Kazałam jej wyjść, ale panienka oznajmiła, że Suka pozostanie albo ona wpadnie w histerię, tak więc musiałam ustąpić.

Edward był o wiele mniej wymagającym podopiecznym. Jeśli nie mógł być z kapitanem, chciał przebywać ze mną.

Powiedziałam mu, że powinniśmy obejrzeć dom i zapytać Pero, gdzie mogą się odbywać lekcje.

Wskazała piętro, pragnąc mnie zadowolić. Dowiedziałam się od niej, że jest tam stara klasa, w której panienka Monique pobierała kiedyś nauki. Pokaże mi drogę.

Wzięłam książki, które ze sobą przywiozłam, i ruszyliśmy do przestronnego pokoju na ostatnim piętrze. Okna nie były tam zasłonięte okiennicami, dzięki czemu widziałam zatokę i stojący na kotwicy statek. Nie pokazałam go Edwardowi, wiedziałam bowiem, że to by go tylko zmartwiło.

W klasie stał wielki stół, obok zaś drewniana ławka, która bardzo się spodobała Edwardowi. Usiadł na niej okrakiem i poganiał wymagowanego konia, pokrzykując:

— Naprzód, wio!

Ja tymczasem rozglądałam się po pomieszczeniu. Była tam biblioteczka z kilkoma czytankami i podręcznikami. Otworzyłam szklane drzwi szafki, bo uznałam, że książki mogą nam się przydać.

Gdy je studiowałam, weszła Suka. Edward zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Odgadłam, że próbowała odgrywać wobec chłopca rolę niani, a jemu to nie odpowiadało.

— Już tu jesteście — powiedziała. — Nie marnuje pani czasu, panno Brett.

— Nie zaczęliśmy jeszcze lekcji. Na razie wypatrujemy łądu.

— Wypatrujemy łądu — powtórzył Edward. — Wio!

Suka uśmiechnęła się do niego z czułością, chłopiec jednak na nią nie patrzył. Kiedy usiadła na ławce obok niego, zerwał się i zaczął biegać po pokoju.

— Jestem „Łagodną Damą” — oznajmił, po czym zawył przenikliwie jak syrena. — Wszyscy obecni i gotowi, kapitanie.

Roześmiałam się, a Suka uśmiechnęła się także, nie do mnie, lecz do niego, po czym zwróciła na mnie swe błyszczące oczy, a ja zadrżałam, tak jak w nocy, gdy zobaczyłam ją na korytarzu.

Koło biblioteczki stał fotel na biegunach, podobny do tego, który zauważyłam na tarasie. Suka usiadła na nim i zaczęła się kołysać. Skrzywienie biegunów, pilnie wymagających naoliwienia, irytowało mnie, a obecność tej kobiety wprawiała w zakłopotanie. Zdecydowana byłam nie pozwolić, by brała udział w naszych lekcjach. Na razie jednak nie mogłam jej wyprosić. Milczała, a gdy wydało mi się to nie do zniesienia, powiedziałam:

— Widzę, że mamy tu prawdziwą klasę.

— Nie spodziewała się pani tego? Myślała pani, że na Coralle nie mamy prawdziwych klas?

— Ależ wcale tak nie myślałam! Ta jednak wygląda, jakby używano jej przez pokolenia.

— Jakże to? Przecież dom zbudował monsieur.

— I pani Stretton była jedyną uczennicą?

— Nazywała się panna Barker.

— Kto?

— Guwernantka. — Wyjaśnwszy to, dalej kołysała się na fotelu, uśmiechając się do siebie i mruczając pod nosem coś, co nie brzmiało jak komplementy pod adresem panny Barker.

— Przyjechała tu z Anglii? Suka skinęła głową.

— Przyjechała z rodziną. Tamten dżentelmen pragnął się przekonać, czy będą chcieli tu zostać. Mieli dziewczynkę i chłopca oraz guwernantkę. A monsieur powiedział, że najwyższy czas, by panienka Monique zaczęła pobierać lekcje. Tak więc guwernantka przychodziła tutaj i uczyła całą trójkę.

— Panienka Monique miała więc miłe towarzystwo.

— Ciągłe się kłócili. Dziewczynka była o nią zazdrosna.

— Co za szkoda.

— Chłopiec naturalnie ją pokochał.

Powątpiewałam w to. Wyobraziłam sobie Monique: rozpieszczone, samowolne i nieprzyjemne dziecko.

— Tak więc guwernantka uczyła wszystkie dzieci razem — powiedziałam. — To wygodne rozwiązanie.

— Nie na długo. Tamci odjechali, wyspa im się nie podobała. Panna Barker została.

— I co się z nią stało?

— Umarła — oznajmiła Suka z uśmiechem.

— Jakie to smutne.

Pokiwała głową.

— Och, ale nie od razu. Uczyła tutaj panienkę Monique i kochała ją. Nie była dobrą guwernantką, nie była surowa. Chciała, żeby panienka ją kochała.

— Poblążliwa.

Suka dalej się kołysała.

— A potem umarła. Jest pochowana na wzgórzu. Mamy tu chrześcijański cmentarz.

Przesunęła ogromnymi oczyma po całej mojej sylwetce i pomyślałam, że bierze miarę na trumnę. Cóż za nieprzyjemna kobieta!

\* \* \*

Tamtego popołudnia na brzegu zapanował nagle zamęt. Odpoczywałam w swoim pokoju, znużona upałem. Wszyscy w domu i na wyspie także hołdowali temu zwyczajowi. Zbyt było gorąco, by cokolwiek robić poza leżeniem w sypialni za zamkniętymi okiennicami.

Usłyszałam krzyki, lecz nie zwróciłam na nie uwagi. Dopiero Chantel powiedziała mi, co się stało.

— Nasz dzielny kapitan jest bohaterem.

— Z jakiego powodu?

— Podczas gdy ty leniuchowałaś, w zatoce toczyła się walka o życie.

— Kapitan...

— Zachował się ze swym zwykłym *eclat*.

— Chantel, bądź poważna.

— Uratował życie Dickowi Callumowi.

— Co... kapitan?!

— Wydajesz się zaskoczona. Przecież chyba oczekujesz po nim bohaterskich czynów?

— Powiedz mi, co się wydarzyło. Czy on...?

— Wyszedł z tego bez szwanku. Sprawia wrażenie, jakby codziennie ratował komuś życie.

— Wciąż jednak nie mówisz, co się stało.

— Ależ jesteś niecierpliwa! Pokróćce rzecz ujmując, Dick Callum poszedł popływać. Ostrzegano go, że są tutaj rekiny, lecz on zbyt przestrogi machnięciem ręki. Kiedy znalazł się w wodzie, rekiny okazały mu zainteresowanie, a jego niestety złapał skurcz. Krzyczał. Kapitan był w pobliżu i „nierozebrany skoczył”<sup>\*</sup>, jak by powiedział Szekspir. Uratował go. Wyrwał wprost z paszczy krwiożerczego potwora.

— Naprawdę?

— Naturalnie. Chyba nie oczekiwałaś, że mógłby postąpić inaczej.

---

\* „Juliusz Cezar”, przeł. J. Pankowski.

— Gdzie teraz są?

— Dick jest na pokładzie, pod opieką doktora Gregory'ego. Doznał szoku, musi zostać w łóżku przez dzień lub dwa. W tej chwili śpi, doktor podał mu opium. Potrzebuje snu.

Uśmiechnęłam się, a Chantel zrobiła domyślną minę.

— Wyglądasz na rozanieloną. Ach, jak dobrze, że on jutro odpływa. — Przyglądała mi się z uwagą.

— Chantel — odezwałam się poważnie — nie powinnyśmy były tu przyjeżdżać.

— Mów w swoim imieniu — odparła, przedrzeźniając mój ton. — I nie oszukuj siebie. Nie zamieniłabyś tego na... kwitnącą firmę handlującą antykami.

\* \* \*

Następny wieczór różnił się od poprzedniego. Dick pozostał w łóżku, Monique w swoim pokoju. Nocna kłótnia nie pozostała bez następstw i Chantel, zgodnie z zaleceniami lekarza, podawała chorej belladonnę, obserwując uważnie reakcję pacjentki, ponieważ środek ten, jak większość skutecznych leków, w nadmiernej dawce był śmiertelnie niebezpieczny.

W kolacji brali udział doktor Gregory, Redvers, Chantel, madame de Laude i ja. Pod nieobecność Monique panowała bardziej swobodna atmosfera. Pero i Jacques dyskretnie nam usługiwali, pani domu sprawiała wrażenie bardziej odprężonej i z godnością grała rolę wielkiej damy.

Piliśmy wspaniałe wino z piwniczki jej męża, jedzenie natomiast było proste. Znowu podano rybę, tym razem z sosem z dodatkiem mango. Zupełnie, jak przypuszczałam, ugotowano głównie na resztkach z poprzedniego dnia. Na deser mieliśmy owoce passiflory i banany. Po kolacji znowu przeszliśmy do salonu na kawę.

Rozmowa dotyczyła przede wszystkim popołudniowego wypadku. Madame opowiadała historie o rekinach, między innymi o tym, jak człowiekowi, który szedł brzegiem morza, rekin odgryzł rękę.

— Są bardzo niebezpieczne. Wykazał się pan wielką odwagą, kapitanie, skacząc do wody, w której są rekiny.

— Nie był tak blisko, miałem czas dopłynąć do Dicka.

— Będzie miał nauczkę — uznałam.

— Jest znakomitym pływakiem. Nic by mu nie groziło, gdyby nie ten skurcz.

— Okropne doświadczenie — odezwała się Chantel. — Płynąć swobodnie i nagle stracić władzę w członkach.

— Biedny Dick Callum! — powiedział Redvers. — Nie widziałem go dotąd tak roztrzęsionego. Wstyd mu było za siebie... jak gdyby coś takiego nie mogło przytrafić się każdemu z nas.

Później rozmawialiśmy o wyspie. Madame wyraziła żal, że statek odpływa przed wielkim świętem. Dla tutejszych mieszkańców to najważniejszy dzień w roku, a goście zawsze bawią się tak samo dobrze jak tubylcy.

Chantel zapytała, jak wyglądają uroczystości.

— Ucztowanie i tańce rytualne. Tancerze Ognia zrobią na was wrażenie, zgadza się pan, kapitanie?

— Odznaczają się niezwykłymi umiejętnościami — przyznał Red. — Zapewne przedstawią swój niebezpieczny taniec.

— Dlatego robią takie wrażenie — odezwała się Chantel. — Bo jest to niebezpieczne.

— Podejrzewam, że smarują się jakąś niepalną substancją — oświadczył Gregory. — Bez tego w żadnym razie nie mogliby używać płonących pochodni.

— Sekret ich sztuki tkwi w niezwyklej zręczności — wyjaśnił Red. Madame zwróciła się do nas:

— Na wyspie mieszka rodzina, która od pokoleń wykonuje taniec z płonącymi pochodniami. Opowiadają, iż cieszą się opieką starożytnej bogini ognia, dlatego też wszyscy chcą oglądać ich występy. Nikomu nie powierzyliby swego sekretu.

— Czy starzec jeszcze tańczy? — zapytał Red.

— Nie, teraz robią to jego dwaj synowie. Oni też mają synów, których uczą tej sztuki. Dbają, by legenda o pochodzeniu ich rodu nie została zapomniana. Ich przodkowie przybyli z Krainy Ognia i dlatego są w dobrych stosunkach z płomieniami, które nie czynią im krzywdy, tak mówi ta legenda. Należy jednak przypuszczać, że istotnie smarują ciała i ubrania jakąś substancją ochronną, a poza tym są cudownie wprost zręczni.

— Wciąż mieszkają w tym domu na wybrzeżu? — zapytał Red.

— Nawet nie chcą myśleć o przeprowadzce. — Madame znowu zwróciła się do Chantel i do mnie. — Domu nie widać, trzeba się dopiero uważnie przyjrzeć, bo ukryty jest za drzewami. Mieszkają w nim, tak przynajmniej mówią, od czasu gdy przybyli z Krainy Ognia. Odrzucają wszelkie nowoczesne udogodnienia. Zapewne chcieliby widzieć wyspę taką, jaka była sto, dwieście lat temu.

— A gdzie jest Kraina Ognia? — zapytała Chantel.

— W ich wyobraźni? — zasugerowałam.

— Przypuszczalnie.

— A jak ona wygląda? To rodzaj słońca? — Chantel nie ustępowała. — Pewnie znajdować się może tylko gdzieś na niebie?

— Jest pani nazbyt wnikliwa — roześmiał się Red. — Po prostu trzeba to przyjąć. Ci ludzie są znakomitymi tancerzami. Niewykluczone, że taki mit jest im potrzebny do wykonywania tej niebezpiecznej sztuki. A jeśli tak, to moim zdaniem należy im na to pozwolić. Ich taniec to doskonała rozrywka.

— Widzicie więc — zwróciła się do nas madame — że mamy jednak na wyspie rozrywki.

Doktor wrócił na statek o dziesiątej wieczorem, a wówczas Chantel i ja poszłyśmy do swoich sypialni.

Po kilku minutach usłyszałam, że od okiennic odbijają się kamyczki. Otworzyłam i wyjrzałam. Na dole stał Redvers.

— Muszę z panią porozmawiać — oznajmił. — Może pani zejść? Odpowiedziałam twierdząco.

Zgasiłam świecę i wyszłam na korytarz. Na stoliku stała lampka z knotem przykręconym dla oszczędności. Dość niepewnie zesłam po schodach do holu, a stamtąd na ganek. Zobaczyłam Redversa kryjącego się w cieniu domu.

— Musiałem się z panią zobaczyć — szepnął. — Innej okazji nie będzie. Odejdźmy od domu.

Ujął mnie pod ramię; gdy w milczeniu szliśmy przez trawę, czułam, jak jego dłoń pali moją skórę. Nie wiał najłżejszy nawet wiaterek, noc była piękna, a choć żar dnia zdawał się jeszcze wisieć w powietrzu, upał przestał być dokuczliwy. Niebo zdobiły jaśniejące gwiazdy; królował na nim Krzyż Południa, równie odległy jak nasz Pług, fruwały świetliki i słyszałam pobzykiwanie nieznanego mi owada. Z krzewów dochodziło nieustanne buczenie.

— Nie ma innego wyjścia, Anno, muszę szczerze z panią porozmawiać. Jutro się pożegnamy. Musiałem zdecydować się na tę rozmowę dzisiejszego wieczoru.

— Co tu jest do powiedzenia?

— Nie powiedziałem jeszcze tego, co najważniejsze. Kocham cię, Anno.

— Proszę... — zaczęłam słabo.

On wszakże mówił dalej:



— Nie potrafię dłużej udawać. Musisz wiedzieć, że to uczucie różni się od wszystkich poprzednich.

— Przyszło jednak zbyt późno.

— Nie, to niemożliwe.

— Ale tak jest. To jej dom. Jest w nim teraz — pańska żona.

— Boże, pomóż mi. Czasami jej nienawidzę, Anno.

— To nie może się dobrze skończyć. Musi pan zdawać sobie z tego sprawę.

— Wątpisz we mnie. Słyszałaś o skandalach... dotarły do ciebie plotki. I teraz przemawiam w sposób, który uważasz za niewłaściwy.

— Powinam wrócić do swojego pokoju.

— Jeszcze nie teraz. Muszę z tobą porozmawiać, Anno. Kiedy wrócę, ty tu będziesz i...

— Nic się nie zmieni — odrzekłam.

I pomyślałam o Monique z trudem łapiącej powietrze i o słowach Chantel: „Ona się nie zestarzeje”. Nie mogłam tego znieść. Nie chciałam, by nawiedzały mnie takie myśli.

— Bywają chwile, że ona doprowadza mnie do takiej wściekłości i... Nie byłam w stanie wysłuchać dalszego ciągu.

— Nie!... nie mów tak! — zawołałam.

— Będę mówił — odparł Red. — Dzisiejszy wieczór jest inny. Jest taki jak tamten, w Domu Królowej. I tak jak wtedy mam wrażenie, jakbyśmy byli sami na świecie. Mogłem wówczas zapomnieć o wszystkich i wszystkim. Tylko ty i ja. Teraz jest tak samo.

— Tylko że ciotka Charlotte wróciła i pokazała nam, że to tylko złudzenie. A jaka jest korzyść ze złudzeń? To nic innego tylko sny, z których kiedyś musimy się obudzić, by stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością.

— Pewnego dnia, Anno...

— Nie chcę, żebyś to mówił. Nie powinienam była tu przyjeżdżać. Powinam zostać w Anglii, tak byłoby najlepiej.

— Nie zbliżałem się do ciebie, lecz nie zapomniałem. Myślałem o tobie od tamtego wieczoru w Domu Królowej. Och Boże, jak mogłem pozwolić, by mi się to przytrafiło?

— Kochałeś ją kiedyś.

— Nigdy jej nie kochałem.

— Ożeniłeś się z nią.

— Opowiem ci, jak do tego doszło.

— Nie. Nic dobrego to nie da.

— Lecz ty musisz wiedzieć. Musisz zrozumieć.

— Rozumiem, że już jej nie kochasz.

— Czasami mi się wydaje, że ona oszalała, Anno. Czasami zaś myślę, że zawsze była szalona.

— Na swój sposób cię kocha. Przesunął dłoń po czole.

— Nienawidzę jej — wyznał. — Nienawidzę za to, jaka jest, i za to, że stoi pomiędzy tobą a mną.

— Nie mogę znieść, kiedy tak mówisz.

— Tylko dziś wieczorem, Anno. Dziś wieczorem muszę wyznać ci prawdę. Chcę, żebyś wiedziała, jak to się stało. Spotkaliśmy się, ty i ja. Byłaś wówczas dzieckiem, a ja poczułem, że mnie przyciągasz, jak jednak mogłem to pojąć? Zrozumiałem dopiero wtedy, gdy przyszedłem do Domu Królowej. Powiedziałem sobie: „Muszę odejść. Nigdy więcej nie mogę się z nią zobaczyć, ponieważ takich uczuć, jakie są między nami, nigdy nie zaznałem i obawiam się, że nie będę w stanie im się oprzeć”. Nie jestem bohaterem, najdroższa. Pragnę cię. Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek innego... chcę z tobą być w każdej minucie dnia i nocy, nigdy się nie rozłączać.

Każde z nas musi stać się częścią drugiego. Wiem to. Zdawałem sobie z tego sprawę już w Domu Królowej, teraz jednak wiem z tysiąckrotnie większą pewnością. Anno, nie ma dla mnie na świecie nikogo innego poza tobą, tak jak dla ciebie nie ma nikogo innego poza mną. Czy ty o tym wiesz?

— Wiem, że tak jest ze mną.

— Najdroższa Anno, jesteś taka uczciwa i prawdomówna, tak bardzo różnisz się od wszystkich ludzi, których znam. Kiedy wrócę, popłyniesz ze mną do domu. Tak to się jednak nie skończy. Będziemy razem, musimy być razem...

— A Monique?

— Zostanie tutaj. Na tej złej wyspie jest jej miejsce.

— Nazywasz wyspę złą?

— Taka była dla mnie. Nie spotkało mnie tu nic prócz nieszczęścia. Tamta noc, gdy odbywał się Taniec Ognia... to niczym koszmar. Często o niej śnię. Upalna noc, jasne gwiazdy, światło księżycy. Święto zawsze odbywa się podczas pełni. Przez cały dzień bębny przyzywają ludzi na tę stronę wyspy. Zrozumiesz, kiedy sama to zobaczysz. Mnie to wszystko wydało się porywające. Dałem się ponieść podnieceniu, nie rozpoznałem zła, które pojawiło się wraz z nieszczęściem. Tutaj się ożeniłem. Tutaj straciłem statek. Na tej wyspie doświadczyłem największych katastrof w życiu. Nie, nie powinienem o tym mówić, dzisiejszy wieczór jest jednak inny. Mówimy sobie prawdę i porzucamy konwencjonalne puste słowa, by przekazać tylko to, co naprawdę się liczy: prawdę. Chcę, abys ją poznała. Nie mogę znieść myśli, że nic nie wiesz. Nie szukam dla siebie wy — , mówek. Wszystko, co się wydarzyło, wydarzyło się z mojej winy. Wyobraź to sobie. Te bębny, dziwne otoczenie, uczucie, że całe życie zmierza ku jakiemuś niezwykle *crescendo*. Siedzieliśmy w wielkim kręgu, piliśmy miejscowy alkohol. Nosi nazwę *gali* i podają go w łupinie orzecha kokosowego. Jest bardzo mocny, nazywają go Ognistą Wodą. Ludzie Płomieni pędzą go w swoim domu. To oni są w centrum święta. Nie chcą, by europejski styl życia zapanował na wyspie. Sądzę, że to jest celem ucztowania i tańca. Ale próbuję się usprawiedliwiać. Podniecenie, alkohol... i Monique też tam była, jedna z nich, a jednak nie jedna z nich. Dołączyła do tancerzy. Wtedy nie była chora. Poszedłem z nią do Carrement... w końcu.

— Nie musisz mi o tym mówić — powiedziałam.

— Chcę, żebyś zrozumiała. To była pułapka, a ja w nią wszedłem. Następnego dnia popłynęliśmy na krótką wycieczkę, a kiedy wróciłem w dwa miesiące później...

— Rozumiem. Małżeństwo stało się koniecznością. A stara piastunka dopilnowała, by zostało zawarte.

— Madame de Laude, stara piastunka, Monique... wszystkie dokładały starań. Wciąż pozostawałem pod urokiem wyspy. Byłem głupcem. Boże, Anno, gdybyś tylko wiedziała, jak wielkim byłem głupcem. Dalej nim jestem, ponieważ przedstawiam ci siebie w najgorszym świetle. Sprawy, które człowiek honoru zatrzymałby dla siebie... Anno, musisz mnie nadal kochać. Tylko wtedy, gdy sobie przypominam o twojej miłości, odczuwam odrobinę szczęścia. Czasami, kiedy ona ma te swoje ataki szalonego gniewu...

— Nie mów tego! — krzyknęłam ze strachem. — Nawet o tym nie myśl. Byłam przerażona. Nazwał wyspę złą. Wierzyłam, że teraz wokół nas czai się zło. Pomyślałam, że zapamiętam ten ogród z bujną roślinnością, gorące duszne powietrze, stłumione brzęczenie owadów, tak jak zapamiętałam tamten ogród na drugim końcu świata — wilgotny, mglisty, z unoszącym się niemal niewyczuwalnym zapachem chryzantem, marcinków i mokrej ziemi.

Olśniło mnie. Kochałam go, wiedziałam o tym od dawna, przedtem wszakże kochałam go jako silnego i niepokonanego bohatera, teraz zaś poznałam jego słabości, lecz moja miłość jeszcze wzrosła. To mnie przeraziło, bo był człowiekiem przygniecionym brzemieniem wielkiej tragedii. Czyż może być gorszy los niż małżeństwo z kobietą, którą się pogardza, i towarzysząca mu

świadomość, że ów związek jest rezultatem własnego młodzieńczego szaleństwa? Kiedy mężczyzna taki jak Redvers, o głębokich i silnych namiętnościach, pokocha inną kobietę, sytuacja staje się nie tylko tragiczna, lecz i niebezpieczna.

W pełni zdawałam sobie sprawę z jego uczuć, na razie trzymany w ryzach, i pomyślałam o Monique, impulsywnej, gwałtownej, dręczonej zazdrością. A jednocześnie z niedowierzaniem zastanowiłam się, jak to możliwe, że ja, prosta i niepozorna Anna, znalazłam się w samym środku tego wiru. Czy tak jak oni zdolna byłam do szaleństwa?

Redvers mocno uściśnął moje dłonie, a mnie ogarnęły wielka czułość i pragnienie chronienia go... chronienia nas wszystkich, mnie i Monique także.

Usłyszałam własny chłodny głos, rozumiałam bowiem, że w tej chwili powinnam być obiektywnym obserwatorem.

— Rozważmy sprawę spokojnie. Nie jesteśmy pierwszą parą, która znalazła się w takiej sytuacji. Często myślę, że gdyby ów wieczór w Domu Królowej był przed twoim pobytem na wyspie, wszystko zupełnie inaczej by się dla nas potoczyło. Czas jest bardzo ważnym czynnikiem kształtującym nasze życie. Myślałam o tym, kiedy słuchałam tych wszystkich zegarów tykających w Domu Królowej.

I teraz też, dodałam w duchu. Mówiłam, żeby coś powiedzieć, żeby zyskać na czasie. Chciałam ułagodzić Reda, sprawić, by zrozumiał, iż nigdy więcej nie możemy spotykać się sam na sam.

Przyciągnął mnie bliżej.

— Nie, jesteśmy nazbyt zuchwali. Musimy być ostrożni — opierałam się rozpaczliwie.

— Anno, nie zawsze tak będzie.

Gdzieś w oddali usłyszałam głos ptaka. Brzmiał jak szyderyczy śmiech.

— Muszę iść — powiedziałam. — Co będzie, jeśli ktoś zobaczy nas razem?

— Anno, zostań.

Trzymał mnie mocno, jego usta były blisko moich. I znowu rozległ się ten szyderyczy śmiech.

W jednej chwili pojęłam, że ode mnie zależy przyszłość, że to ja muszę zachować rezerwę. Być może powinnam być wdzięczna ciotce Charlotte za surowe wychowanie i pogardę, jaką okazywała wszystkim, którzy złamali zasady moralne. Wydało mi się, że ona też jest teraz w tym ogrodzie, nie kwaśna i wzdardliwa jak często za życia, lecz martwa, jaką widziałam ją w trumnie, i że wisi nade mną podejrzenie o popełnienie morderstwa.

Obecna sytuacja była o wiele bardziej niebezpieczna od tamtej w Domu Królowej, a mimo to wówczas podejrzewano mnie o morderstwo. Co się stanie, jeśli pewnego dnia obudzę się i dowiem, że Monique nie żyje? Jeśli znów ludzie będą podejrzewać morderstwo? Jeśli znajdą się dowody?

Czułam, że jakiś wewnętrzny głos mnie ostrzega.

— Muszę iść — powiedziałam, uwalniając się z jego ramion, po czym pobiegłam w stronę domu.

— Anno!

W jego głosie usłyszałam pragnienie i nie ośmieliłam się nawet odwrócić, przyspieszyłam tylko kroku.

Weszłam do domu i naturalnie przy drzwiach czekała na mnie Suka. Jestem pewna, że obserwowała nas z balkonu.

— Lubi pani nocne powietrze, panno Brett?

— Jest przyjemną odmianą po upalnym dniu.

— Anno, Anno najdroższa...

To był Red. Wszedł na ganek, nim zobaczył Sukę.

— Pan także uważa, kapitanie, że nocne powietrze jest przyjemną odmianą po upalnym dniu?  
— zapytała.

— To jedyna pora, kiedy można tu wyjść na spacer — odparł chłodno. Nie był już namiętym kochankiem. Życzyłam im pośpiesznie dobrej nocy i pobiegłam do swego pokoju.

Tam usiadłam w fotelu, kładąc dłoń na bijącym gwałtownie sercu.

Czułam radość i strach zarazem. Byłam kochana... lecz miłością niebezpieczną. Nie należałam do poszukiwaczek przygód. Pragnęłam spokojnego szczęścia, ale zakochałam się w niewłaściwym człowieku. Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdybym mogła pokochać Dicka Calluma.

Przyszła mi na myśl Suka. Zastanawiałam się, czy powie Monique, co widziała. Ta kobieta mnie nienawidzi, czułam to, gorąco mnie nienawidzi.

Nie było sensu kłaść się do łóżka, i tak bym nie zasnęła. Świece się dopalały. Ciekawe, czy powiedzą mi, że zużywam ich za wiele. Bez względu na to, jak gwałtowne uczucia targają mieszkańcami tego domu, wszyscy zawsze muszą mieć na uwadze względy ekonomiczne.

Położę się jednak, bo wtedy będę mogła zgasić świece. Niedorzecznie myśleć o tym w takiej chwili. Moje życie migotało jak te płomyki. Kiedy sytuacja stanie się nie do zniesienia, wrócę do Anglii, choć nie na „Łagodnej Damie”. Może uda mi się znaleźć posadę guwernantki u ludzi, płynących do kraju. W końcu panna Barker — czy tak brzmiało jej nazwisko? — znalazła posadę na wyspie.

Umyłam się w zimnej wodzie, która była w miednicy, zaplotłam włosy i zgasiłam świece. Po raz ostatni spojrzałam na statek w zatoce.

Jutro o tej porze już go tu nie będzie.

\* \* \*

Następnego dnia rano zgodnie z obietnicą poszłam odwiedzić Dicka Calluma. Edward z ochotą by mi towarzyszył, był jednak u matki i tam też go zostawiłam. Koprę, arbuzy i banany ładowano już na statek, w związku z tym panował wielki ruch. Na miejsce przewieziono mnie małą łodzią wiosłową, na pokład wdrapałam się po drabince, którą spuszczone do morza.

Dick czekał na mnie. Wstał już z łóżka, choć wciąż sprawiał wrażenie nieco roztrzęsionego, co wcale mnie nie zdziwiło.

Na mój widok oczy zapłonęły mu radością.

— Wiedziałem, że pani przyjdzie — powiedział — choć rozważałem, czy to ja nie powinienem udać się na brzeg.

— Gratulacje! — odrzekłam.

— Słyszała więc pani?

— Bardzo się przeraziłam. Powinien pan być okazać większą przezorność.

— To była nauczka. Już nigdy nie będę kapał się w wodach, gdzie są rekiny.

— Czyli nie stało się to na próżno.

— Byłoby po mnie, gdyby nie kapitan Stretton.

Nie mogłam nic poradzić na to, że pojaśniałam z dumy.

— Mogło źle się to skończyć dla nas obu — ciągnął Dick. — Warto było zobaczyć, z jaką szybkością kapitan rzucił się do wody i odholował mnie na statek.

— I jak pan się czuje teraz?

— Wciąż roztrzęsiony... i zawstydzony.

— To mogło się przydarzyć każdemu.

— Usiądźmy — zaproponował. — Powiniennem być na służbie, ale Gregory powiedział, że mam odpoczywać, dopóki nie wypłyniemy w morze. Chciałem z panią porozmawiać, Anno. To doskonała okazja. Będę za panią tęsknił. Mam nadzieję, że pani też będzie tęskniła za mną.

— Będę się czuła samotna, spoglądając z okna na zatokę, w której nie ujrzę statku.

— A ja będę myślał o pani w tym domu, w tym dziwnym domu. Milczałam, on zaś badawczo mi się przyglądał.

— To dziwne miejsce — mówił dalej. — Sama się pani przekona. Zrujnowane, ponure i wyobrażam sobie, że bardzo niewygodne.

— Nie spodziewałam się tu drugiego zamku Creditonów.

— Będzie pani brakowało domu?

— Nie wiem. W domu nie byłam szczęśliwa. Moja ciotka umarła.

— Tak, wiem. Anno, staram się zebrać na odwagę, by coś pani wyznać. Chciałbym komuś o tym powiedzieć, a pani jest najważniejszą dla mnie osobą. Chcę, żeby pani wiedziała.

: — Słucham więc. — Zwróciłam się ku niemu.

— Pragnę się z panią ożenić, ale nie o tym chcę teraz mówić. Po pierwsze będę czekał. Spędzi tu pani dwa miesiące. Może w tym czasie zmieni pani zdanie.

— Na jaki temat?

— Małżeństwa.

— Nie rozumiem.

— Być może pani mnie nie kocha, ale przecież nie darzy mnie nienawiścią.

— Oczywiście że nie.

— I być może nadejdzie czas, kiedy powie pani sobie, że jeśli dwoje ludzi tego pragnie, mogą zbudować sobie szczęśliwe życie. Wielka namiętność nie zawsze jest fundamentem, na którym należy opierać przyszłość. Zmienia się przecież, jest niczym ruchome piaski... a wzajemna sympatia i przywiązanie są niewzruszone niczym skała.

— Wiem.

— I być może pewnego dnia...

— Kto to wie? Nie potrafimy przewidzieć przyszłości.

— Teraz jednak jesteśmy dobrymi przyjaciółmi?

— Najlepszymi.

— Dlatego muszę to pani powiedzieć.

— Proszę więc mówić, bo widzę, że coś pana dręczy. Poczuj się pan lepiej, zrzuciwszy to z serca.

— Nienawidziłem kapitana.

— Wiem.

— Wyczuwała to pani?

— Zdradziła pana zapalczywość, z jaką pan o nim mówił..

— A teraz ocalił mi życie. Ponieważ go nienawidziłem, wołałbym, żeby uratował mnie ktoś inny.

— Zrobił to jednak kapitan.

— To odważny człowiek, Anno. Wielki romantyczny bohater, co? Ma swoje wady, lecz one też są romantyczne. Jest łowcą przygód i kobieciarzem. Nienawidziłem go, bo miał to, czego ja najbardziej w życiu pragnąłem. Zawiść — oto, co czułem. To jeden z siedmiu grzechów głównych, moim zdaniem najgorszy.

— Dlaczego pan mu zazdrościł?

— Ponieważ właściwie powinienem mieć to, co dostał on.

— Chodzi o to, że mógł pan zostać kapitanem?

— Chodzi o to, że mogłem wychowywać się w zamku i dorastać z Rexem, traktowany jak syn.

— Chce pan powiedzieć...

— Jest moim przyrodnim bratem, młodszym o trzy lata. Moja matka była szwaczką, która pracowała u lady Crediton. Była śliczna, zwróciła więc na siebie uwagę sir Edwarda, jak tyle innych przed nią. Kiedy się urodziłem, sir Edward dał matce hojną odprawę, tak by nigdy więcej nie musiała przychodzić do zamku. We właściwym czasie zajęto się moją edukacją, posłano mnie do szkoły i przyjęto do pracy. Nigdy jednak nie zostałem uznany przez sir Edwarda za syna, tak jak został uznany kapitan.

— Kapitan o tym wie?

— Nie. Powiem mu.

— Sądzę, że zrozumie pana. Jestem o tym przekonana.

— Moje uczucia się zmieniły. Nie można nienawidzić człowieka który uratował ci życie.

— Cieszę się... ze względu na pana i na niego. Obu wam będzie lepiej bez tej bezsensownej nienawiści.

— I proszę nie zapominać, cokolwiek zdarzy się w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, ja tu wrócę. Jakżebym chciał, żeby popłynęła pani z nami! Nie podoba mi się, że zostaje pani w tym domu.

— Przybyłam tu wyłącznie ze względu na Edwarda.

— Dwa miesiące — zauważył — to niezbyt długo, wiele jednak może się zdarzyć.

— Wiele może się zdarzyć nawet w jeden dzień, jak zdążył się pan przekonać — przypomniałam mu. — Nie tak dawno nienawidził pan kapitana, teraz podziw dla niego jest większy od tamtej niechęci. Niech pan mu o tym powie. Jestem pewna, że pana zrozumie.

— Ma pani o nim dobrą opinię, prawda? — zapytał ze smutkiem. Nie odpowiedziałam. Obawiałam się rozmawiać z kimkolwiek o swoich uczuciach.

Kiedy się z nim pożegnałam, koło trapu czekał na mnie Redvers.

— Nie będę miał już okazji porozmawiać z tobą sam na sam, Anno — rzekł. — Napisałem więc do ciebie.

I wsunął mi w dłoń list.

Staliśmy blisko, patrząc na siebie, nie mogliśmy jednak rozmawiać.

— Do widzenia, kapitanie — powiedziałam tylko. — Szczęśliwej i bezpiecznej podróży.

I ruszyłam w dół.

Nie mogłam się doczekać, by przeczytać list. Był krótki, lecz z każdej linijki bila wyraźnie miłość do mnie. To był pierwszy list miłosny, jaki dostałam.

*Najdroższa Anno, powinienem powiedzieć, że mi przykro z powodu ostatniego wieczoru, lecz to nieprawda.*

*Mówiłem poważnie... każde słowo było szczere. Nie ma dla mnie szczęścia bez Ciebie. Kocham Cię, Anno. Anno... poczekaj. Wiem, że nie zawsze będzie tak jak teraz. Myśl o mnie, tak jak ja będę myślał o Tobie. Kocham Cię.*

*Redvers*

Należało od razu go zniszczyć. Powinłam była pamiętać, że pochodzi od człowieka, który nie jest wolny i nie ma prawa pisać do mnie w taki sposób. Zamiast tego jednak wsunęłam kartkę za stanik, a dotknięcie szorstkiego papieru nappełniało mnie wielką radością.

Byłam kochana.

Do mojego pokoju weszła Chantel. Na mój widok zauważyła:

— Coś się wydarzyło. Wypiękniałaś.

— Cóż za bzdury!

Ujęła mnie za ramiona i zaciągnęła do lustra, a potem ze śmiechem mną zakręciła. List wysunął się i pokazał w wycięciu bluzki. Złapała go, patrząc na mnie kpiąco.

— Oddaj mi to, Chantel! — zawołałam w panice. Nawet ona nie powinna go czytać.

Pozwoliła mi odebrać sobie list. Uśmiechnęła się, lecz potem nagle na jej twarzy pojawiła się powaga.

— Och, Anno — powiedziała. — Uważaj.

\* \* \*

Tamtego popołudnia statek odpłynął.

Edward tonął we łzach. Staliśmy w ogrodzie, uznałam bowiem, — » że nierozsądnie będzie zabierać chłopca na brzeg.

— Zobaczymy wszystko tak samo dobrze z ogrodu — uznałam.

Tak więc patrzyliśmy oboje. Łzy wolno spływały mu po policzkach, łkał bezgłośnie i było to bardziej wzruszające, niż gdyby głośno szlochał. Wsunął dłoń w moją rękę; uściśnęłam ją mocno.

— Dwa miesiące to krótko — szepnęłam. — A potem będziemy stali w tym samym miejscu i patrzyli, jak wracają.

Te słowa trochę go rozweseliły.

— Możesz skreślać dni w kalendarzu — zaproponowałam. Edward na ostatnie Boże Narodzenie dostał kalendarz i z wielką pieczołowitością zrywał kartki z kolejnymi miesiącami. — Zdziwisz się, jak szybko mija czas.

Monique także przyszła do ogrodu, oczy miała czerwone i podpuchnięte. Pomyślałam, że naprawdę kocha męża. Myśl ta była niczym dzwon pogrzebowy, bo nienawidząc go czy kochając, jednakowo była z nim związana.

Widząc mnie z Edwardem, krzyknęła dramatycznym głosem:

— Moje dziecko! Moje dziecko! Teraz zostaliśmy sami! Wyciągnęła dłoń, lecz chłopiec odwrócił się i utkwiał kamienny wzrok przed siebie. Suka podeszła ukradkiem, jak miała w zwyczaju.

— Chodź do domu, panienko — rzekła. — Łzami nic się nie osiągnie.

Monique natychmiast zaczęła lamentować. Podeszła i wzięła syna za rękę, on jednak się uwolnił i schował twarz w mojej spódnicy, co było do niego zupełnie niepodobne. Nie cierpiał zachowywać się jak małe dziecko.

— Nie chce mnie — powiedziała Monique gorzko. — Woli pannę Brett. — I wybuchnęła histerycznym śmiechem. — W dodatku nie on jeden!

Suka objęła ją i powtórzyła:

— Chodźmy, moja panienko. Chodźmy.

Monique miała rozszerzone źrenice, policzki nabiegły jej krwią.

— Wezwę siostrę Loman — zaproponowałam.

Suka spojrzała na mnie z pogardą i poprowadziła swą podopieczną w kierunku domu.

Jej oczy skierowane na mnie pełne były jadu.

Jakże ona mnie nienawidzi! — pomyślałam. O wiele bardziej niż sama Monique. Wierzyłam, że ona dość mnie lubi, ponieważ dawałam jej pretekst do urządzania scen.

Ogarnął mnie niepokój.

\* \* \*

Monique była chora przez kilka dni po odpłynięciu statku i Chantel nie odstępowała jej na krok.

Powiedziałam Edwardowi, że bez zwłoki zajmiemy się lekcjami, dzięki czemu czas szybciej nam minie. Fascynowały go historia i geografia, starałam się więc mówić o tych miejscach, które w czasie rejsu mijaliśmy i które były dla niego czymś więcej niż tylko znakami na mapie. Sporo czasu spędzał nad błękitną mapą Pacyfiku i znalazł naszą wyspę, czarną plamkę pomiędzy innymi czarnymi plamkami. Oczarowały go nazwy, powtarzał je niczym refren piosenki:

— Tongatapu, Nuku'alofa, Ha'apai, Kao, Fonuafoou, Vavau.

Zamierzał wszystkie zwiedzić, gdy zostanie marynarzem. Obliczyliśmy przybliżoną datę powrotu statku i Edward zaznaczył ją czerwoną linią w kalendarzu. Rozśmieszył go zwrot: „pamiętny dzień”, taki też miał być ten dzień. Upewnił się, podkreślając go na czerwono.

Nie lubił domu ani jedzenia. Najchętniej spędzał czas ze mną albo z Chantel. Matka wprawiała go w zakłopotanie nadmiernie gorącymi pieszczotami, z ulgą więc przyjmował, gdy go ignorowała. Nie cierpiał Suki, która zbyt otwarcie starała się zyskać jego przychyłość, Pero natomiast bawiła go i lubił się z nią przekomarzać. Także starego Jacques'a darzył sympatią, często wdrapywał się do powozu i pomagał zajmować się końmi. Babka budziła w nim strach, ale przynajmniej czuł do niej szacunek.

Wyspa bardzo mu się podobała, chociaż nie pozwalałam mu pływać w obawie przed rekinami. I zadowolona byłam z przygody Dicka, bo wyszedł z niej cało, a także zmienił swój stosunek do Redversa, mnie zaś dał argument, dzięki któremu mogłam uzmysłowić Edwardowi niebezpieczeństwo.

Zwykle gdy mijał już najgorszy upał, chodziliśmy na spacer. Odwiedzaliśmy sklepiki, które wyglądały jak chaty, i patrzyliśmy na dziewczęta w długich, barwnych spódnicach wyrabiające naszyjniki, bransoletki i kolczyki z muszelek. Siedziały pod słomianym dachem — „w domu bez ścian”, jak mawiał Edward — i pracowały do nadejścia nocy, rozpoczynały zaś wraz ze wschodem słońca. We wczesnych godzinach popołudniowych życie na wyspie zamierało.

Wzdłuż brzegu znajdowały się miejsca składowania kopry i owoców, którymi handlowali wyspiarze.

— Nie bardzo przypomina to Langmouth — skomentował Edward.

— Ale pewnego dnia wrócimy do domu.

Były chwile, gdy miałam wrażenie, że nasze życie toczy się normalnym rytmem, lecz czasem atmosfera w domu stawała się nie do zniesienia, zwłaszcza nocami. Leżałam, nie mogąc zasnąć, i rozmyślałam o „Łagodnej Damie”, zastanawiając się, gdzie teraz jest statek i czy Redvers też mnie wspomina. Wyjmowałam jego list i czytałam. Nie potrafiłam znaleźć bezpiecznej kryjówki dla tej kartki. W szafach i szufladach nie było kluczy, chowałam więc list pomiędzy ubraniami, a wracając do pokoju, upewniałam się, że wciąż tam jest.

Nocą deski skrzypiały nieprzyjemnie. Po północy oliwną lampkę w korytarzu zastępowała świeca z knotem z sitowia. Słyszałam, jak Suka idzie korytarzem, człapiąc w sandałach z rafii, które zawsze nosiła. Sandały te składały się tylko ze słomianej podeszwy i pojedynczego paska, ozdobionego kolorowymi żdźbłami. Były zniszczone, bo Suka nosiła je już zbyt długo. Przystawała, a ja wyobrażałam sobie, że zatrzymuje się pod moimi drzwiami; gdybym wyskoczyła z łóżka i otworzyła je, na pewno bym ją przyłapała.

Dlaczego? Nie miało to sensu. Zawsze jednak w jej obecności czułam, że te ogromne oczy baczenie mnie obserwują.



Spoglądałam na datę podkreśloną przez Edwarda na czerwono i byłam pewna, że nawet on nie wypatruje tego dnia tak niecierpliwie jak ja, choć zastanawiałam się też, jaką nadzieję przyniesie mi powrót Redversa, poza radością spotkania go.

Byłoby łatwiej, powtarzałam sobie, gdyby Chantel mniej miała zajęć, ona wszakże bała się zostawić Monique samą. Ta histeryczka sama wpędzała się w chorobę, co przy jej dolegliwościach było sprawą łatwą.

Przyszedł miejscowy doktor. Był bardzo stary, przeszedł już na emeryturę i czekał na przybycie nowego lekarza. Rozmawiał z Chantel, która później stwierdziła, że jego metody są kompletnie przestarzałe. Czy można się było dziwić? Na wyspie spędził przecież ostatnie trzydzieści lat.

W trzy dni po tym, jak statek odpłynął, Monique posłała po mnie Edwarda. Gdy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, że jest w niebezpiecznym nastroju.

— Pewno czuje się pani samotna, panno Brett — odezwała się chytrze.

— Nie — odrzekłam ostrożnie.

— Tęskni pani za statkiem? Milczałam.

— Jakie to dziwne! — mówiła dalej. — Obaj panią polubili, prawda? Dick Callum też. Nie wygląda pani jak *femme fatale*... Powiedziałabym, że do tej roli bardziej nadaje się siostra Loman, a ona przecież nie dostała pana Creditona.

— Czy życzy sobie pani porozmawiać o postęпах Edwarda? — zapytałam.

Wybuchnęła śmiechem.

— Postępy Edwarda! On też mnie nie lubi. Nie wystarczył pani kapitan, chce pani wszystkiego. Nie zostawi mi pani nawet syna.

Chłopiec spoglądał na nas przerażony, powiedziałam więc:

— Myślę, że powinniśmy zająć się mapami, Edwardzie.

Podniósł się szybko, gdyż tak samo jak ja pragnął natychmiast wyjść, Monique jednak zaczęła na nas krzyczeć. Był to przerażający widok. Nagle zupełnie się zmieniła: oczy miała dzikie, twarz purpurową, rozwichrzone włosy wymykały się spod spinek, a z jej ust płynął potok gorączkowych, obraźliwych słów... na szczęście niewyraźny. Wołałam, żeby Edward nie wiedział, o co oskarża mnie jego matka.

Weszła Chantel. Gestem dała mi znak, abym zabrała Edwarda i opuściła pokój, co też w pośpiechu uczyniłam.

\* \* \*

Pomyślałam: nie mogę tu zostać, sytuacja stała się niemożliwa do zniesienia. Muszę wyjechać, nim statek powróci. Ale jak?

Wyobraziłam sobie powrót „Łagodnej Damy”. Jak mogłabym odpłynąć z Redversem, zostawiając tu Monique? Chantel oznajmiła z błyskiem zdecydowania w oczach, że nie pozostanie na wyspie i wróci do Anglii. A ja muszę wrócić z nią.

Czy to jednak możliwe? Dokąd właściwie miałabym wrócić? W dodatku z Redversem? Zdawałam sobie sprawę, że byłoby to szaleństwo.

Umyłam ręce i zmieniłam suknię. Przyszedł doktor, wezwany przez Chantel. Tym razem Monique miała groźny atak.

Czesalam rozpuszczone włosy, gdy drzwi wolno się uchylily. W lustrze zobaczyłam, że w progu stoi Suka. Na jej twarzy malował się wielki gniew, a ja pomyślałam, że chce mi zrobić krzywdę.

Jakże mnie nienawidziła!

— Panienska Monique jest bardzo chora — oświadczyła.

Skinęłam głowę. Patrzyłyśmy sobie w oczy, ona z rękoma opuszczonymi bezwładnie, ja ze szcnotką w dłoni.

— Jeśli ona umrze... — dodała cicho — to będzie pani wina.

— Cóż za nonsens — odparłam ostro.

Wzruszyła ramionami i odwróciła się, by odejść, lecz ją przywołałam.

— Posłuchaj, nie pozwolę, abyś mówiła takie rzeczy. Pani Stretton sama doprowadziła się do ataku, ja nie miałam z tym nic wspólnego. A jeśli usłyszę, że powtarzasz takie rzeczy, podejmę odpowiednie działania.

Mój stanowczy i pewny siebie ton z jakiegoś powodu ją przestraszył. Wzdrygnęła się i spuściła oczy.

— Proszę teraz odejść — dodałam — i nigdy więcej nie przychodzić do mojego pokoju bez zaproszenia.

Zamknęła drzwi i zaraz też usłyszałam, jak człapiąc sandałami, oddala się korytarzem.

Spojrzałam w lustro. Twarz miałam zaczerwienioną, oczy błyszczące. Istotnie wyglądałam jak ktoś szykujący się do walki. Spojrzałam ponownie. Suka już odeszła, a wyraz mojej twarzy uległ zmianie.

W swoich oczach ujrzałam strach. Zostałam już kiedyś oskarżona o morderstwo. To dziwne, że miałabym przeżyć taką historię po raz drugi.

Jakby powtarzał się jakiś niesamowity schemat.

W pokoju wszędzie kładły się wąskie cienie.

Dwa miesiące, pomyślałam. To wiele długich nocy i dni.

Otaczała mnie atmosfera bliskiej katastrofy.

Białam się.

\* \* \*

Kolację jadłam tylko z madame. Chantel nie chciała zestawiać Monique samej i zaniecono jej jedzenie na tacy.

Starsza dama zachowywała się z rezerwą.

— Nie warto gotować tylko dla nas — oznajmiła. — Będziemy więc mieć zimny posiłek.

Zimna kolacja składała się z resztek ryby, którą jedliśmy poprzedniego dnia — zawsze jedliśmy tylko ryby. Łowili je miejscowi rybacy i była to najtańsza żywność na wyspie — ryby i owoce, często pochodzące z ogrodu.

Nie dbałam o to. Nie miałam apetytu.

Jedyną rzeczą podawaną w obfitości było wino. Piwniczka musiała być doskonale zaopatrzona.

Stół zdobił kandelabr, który wcześniej wzbudził mój zachwyt, lecz świec nie zapalono. Wystarczy nam światło lampy, oświadczyła madame.

Pomyślałam, że świece na wyspie muszą być dość kosztowne, zaczęłam bowiem zwracać uwagę na cenę wszystkiego, co mnie otaczało. W tym domu nie można było inaczej.

Starałam się odwrócić moje myśli od budzących strach przypuszczeń i całą uwagę skupić na madame de Laude. Różniła się bardzo od córki. Była pełna godności i opanowana; jedyne jej dziwactwo stanowiła oszczędność, niekiedy posunięta do absurdu. Pośród duchów nawiedzających ten dom majaczył duch ubóstwa.

Pani domu uśmiechnęła się do mnie.

— Jest pani bardzo spokojna, panno Brett. To mi się podoba.

— Cieszę się, że tak wyglądam — odrzekłam. Gdyby potrafiła czytać w myślach, zmieniłaby zdanie.

— Obawiam się, że moja córka jest bardzo chora. Do pewnego stopnia jednak sama sprowadza na siebie te ataki.

— To prawda, niestety.

— Dlatego też potrzebuje ciągłej opieki pielęgniarki.

— Nie mogłaby znaleźć lepszej — zapewniłam ją.

— Siostra Loman jest nie tylko kompetentna, ale i śliczna. Z całego serca przyznałam jej rację.

— Jest pani do niej bardzo przywiązana... a ona do pani. Miło mieć przyjaciół.

— Istotnie, okazała mi wiele dobroci.

— I chyba wzajemnie?

— Nie sądzę, bym na razie miała okazję zrobić tyle dla niej, ile ona dla mnie. A bardzo bym chciała.

Madame się uśmiechnęła.

— Jestem zadowolona, że obie tu przyjechałyście. Edward potrzebuje pani, a moja córka siostry Loman. Zastanawiam się, czy zostanieie... — Spoglądała na mnie ze smutkiem.

— Nie da się przewidzieć przyszłości — odrzekłam wymijająco.

— Zapewne życie tutaj różni się bardzo od tego, do czego jest pani przyzwyczajona.

— Istotnie, jest inne.

— Uważa pani, że jesteśmy... prymitywni?

— Nie spodziewałam się metropolii.

— I tęskni pani za domem?

Pomyślałam o wąwozie i domach wznoszących się po obu jego brzegach, o dominującym nad wszystkim zamku Creditonów; przed oczyma stanęły mi brukowane uliczki starej części Langmouth i nowe dzielnice zbudowane dzięki sir Edwardowi Creditonowi, który nawiązując romans za romansem, został jednocześnie milionerem i dał pomyślność wszystkim mieszkańcom miasta. Pokojówka żony mieszkała w jego domu jak dama, szwaczka dostała pieniądze na własny zakład, a jej syna przyjęto do pracy w kompanii.

Ogarnęła mnie dojmująca tęsknota, zapragnęłam poczuć zapach zimnego, czystego powietrza znad morza, patrzeć na tętniący ożywieniem port, na kutry i klipry sąsiadujące z nowoczesnymi parowcami, takimi jak „Łagodna Dama”.

— Przypuszczam, że każdy odczuwa tęsknotę za ojczyzną, gdy znajdzie się z dala od niej.

Madame zadała mi kilka pytań o Langmouth i nie minęło wiele czasu, gdy zagadnęła o zamek Creditonów. Była żądna wszelkich szczegółów i nie kryła ogromnego podziwu dla lady Crediton.

Nie miało sensu siedzieć dłużej w jadalni, obie zjadłyśmy niewiele. Z żalem spojrzałam na rybę, spodziewałam się bowiem, że następnego dnia znowu ją zobaczę.

Przeszliśmy do salonu i Pero przyniosła nam kawę. Nie ulegało wątpliwości, że to wieczór zwierzeń.

— Moja córka budzi we mnie wielki niepokój — odezwała się madame. — Miałam nadzieję, że mieszkając w Anglii, zmieni się, zacznie bardziej nad sobą panować.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, by tak się stało, niezależnie od miejsca pobytu.

— Jednakże w zamku... obserwując lady Crediton... i panującą tam wytworność, dobre maniery...

— Zamek jest rzeczywiście zamkiem, choć zbudował go sir Edward — odrzekłam. — Widząc go, pomyślałaby pani, że pochodzi z czasów normandzkich, co oznacza naturalnie, że jest ogromny. Można tam mieszkać, nie widując tygodniami innych domowników. Lady Crediton nie wychodzi poza własne pokoje. Rozumie pani, nie przypomina to życia wśród rodziny.

— Zaprosiła jednak moją córkę. Chciała, by Edward tam dorastał.

— Tak, i sędzę, że dalej będzie tego chciała. Lecz pani Stretton chorowała i doktor doszedł do wniosku, że angielski klimat pogarsza jej stan. Dlatego zdecydowano, że powinna wrócić tutaj na jakiś czas. Przekonamy się, jak to na nią wpłynie.

— Lubiłam myśleć, że tam zostanie i będzie wiodła bezpieczne i wygodne życie. Tutaj... Jak pani widzi, jesteśmy bardzo biedne.

Nie miałam ochoty podejmować tego tematu, ponieważ madame de Laude miała obsesję na punkcie swego ubóstwa, a wszystkie obsesje dla otoczenia są nudne. Co więcej, nie wierzyłam, by była aż tak biedna, jak utrzymywała. Spojrzałam na meble, które wcześniej już dostrzegłam. Codziennie odkrywałam nowe interesujące okazy.

— Madame de Laude — powiedziałam — ma pani w domu wiele cennych przedmiotów.

— Cennych? — powtórzyła.

— Siedzi pani na francuskim krześle z osiemnastego wieku. Na rynku osiągnęłoby wysoką cenę.

— Na rynku?

— Rynku antyków. Muszę pani coś wyjaśnić. Nie jestem z zawodu guwernantką. Moja ciotka zajmowała się handlem antykami i wyszkoliła mnie na swoją pomocnicę. Sporo nauczyłam się od niej o meblach, bibelotach, porcelanie i tak dalej. Ciotka umarła, a ja nie mogłam prowadzić dalej firmy. Sytuacja była dość trudna i moja przyjaciółka, siostra Loman, zaproponowała, bym przyjęła tę posadę, ponieważ potrzebuję zmiany.

— To interesujące. Proszę opowiedzieć mi o moich meblach.

— Niektóre są bardzo cenne. Większość to meble francuskie, a Francuzi na całym świecie cenieni są za swój kunszt. W żadnym innym kraju nie wyrabiano piękniejszych sprzętów. Weźmy tę szyfonierkę. Wiem, że to Riesener. Przyjrzałam się jej i znalazłam sygnaturę. Może pani uznać, że jestem wścibska, lecz takie rzeczy niezmiernie mnie interesują.

— W żadnym razie tak nie pomyślę. Proszę, niech pani mówi dalej.

— Mebel ma piękne, proste linie. Widzi to pani? Intarsja jest cudowna, krótkie podpórki wprost doskonałe. To przykład skutecznego połączenia prostoty i wyrafinowania. Rzadko widywałam podobne egzemplarze poza muzeami.

— Chce pani powiedzieć, że to jest warte... pieniądze!

— I to sporą sumę.

— Jak jednak znaleźć tu kupca?

— Madame, dla takich mebli pośrednicy przyjechaliby z drugiego końca świata.

— Zaskakuje mnie pani. Nie miałam o tym pojęcia.

— Tak myślałam. O meble trzeba dbać... oglądać je co jakiś czas, by się upewnić, że nie zaatakowały ich szkodniki, pastować i odkurzać. Zbyt się jednak nad tym rozwodzę.

— Nie, wcale nie! Pastować! Tylko że pastę trudno tu dostać i jest bardzo droga.

Jak świece, pomyślałam zrozpaczona.

— Madame, jestem przekonana, że ma pani małą fortunę w meblach i innych rzadkich przedmiotach zgromadzonych w tym domu.

— I co mogę z tym zrobić?

— Ogłosić o sprzedaży tych przedmiotów. Ta szyfonierka na przykład. Pamiętam, że do naszej firmy zwrócił się pewien człowiek. Zależało mu na takim meblu i, jak sędzę, zadowoliłby się czymś mniej doskonałym niż Riesener. Gotów był zapłacić do trzystu funtów. Nie mogliśmy spełnić jego prośby. Gdyby jednak zobaczył to... Oczy madame zabłyśły na samą myśl o pieniądzach.

— Mój mąż przywiózł te wszystkie rzeczy z Francji przed wielu laty.

— Tak, w większości są francuskie — ciągnęłam pośpiesznie, ponieważ zachwyciła mnie perspektywa bliższego obejrzenia tych mebli; dużo radości sprawiłoby mi wyjaśnienie madame, że nie jest tak uboga w ziemskie dobra, jak jej się wydaje. — Mogłabym sporządzić inwentarz wszystkiego, co znajduje się w domu, a następnie wysłać go pośrednikom. Nie mam wątpliwości co do... rezultatów.

— Nic nie wiedziałam. Nie zdawałam sobie sprawy. — Nagle się zastanowiła. — Sporządzenie inwentarza to usługa profesjonalna. Będę musiała pani zapłacić.

Jakże martwiła ją myśl o konieczności płacenia!

— Zrobię to dla przyjemności — zapewniłam ją. — Niechaj będzie to moje hobby na czas pobytu w pani domu, madame. Nie domagam się zapłaty. A jednocześnie będę uczyć Edwarda, ponieważ nie można zaniedbać jego edukacji. Te meble są związane z wydarzeniami historycznymi.

— Panno Brett, jest pani niezwykle guwernantką.

— Przez co rozumie pani, że nie jestem prawdziwą nauczycielką.

— Nie wątpię, że da pani więcej Edwardowi niż jakakolwiek, jak to pani ujęła, prawdziwa guwernantka.

Ogarnęło mnie podniecenie. Mówiłam o meblach, myśląc przy tym: dwa miesiące miną szybko, ponieważ będę zajęta.

— Proszę jeszcze kawy, panno Brett.

Był to przywilej. Zwykle każdy dostawał jedną filiżankę, resztę zabierano i odgrzewano przy następnym posiłku.

Przyjęłam poczęstunek. Kawa była doskonała. Uprawiana, jak sędzę, na wyspie w ilościach zbyt małych, by ją eksportować, dawała wiele przyjemności mieszkańcom.

Madame stała się wylewna i opowiedziała mi, skąd wzięły się te meble.

— Mój mąż pochodził z dobrej rodziny, był młodszym synem pewnego arystokraty. Przybył na wyspę po pojedynku, w którym zabił pośledniejszego członka francuskiej rodziny królewskiej. Musiał pośpiesznie uciekać z kraju. Rodzina przysłała mu meble później. Kiedy przyjechał, miał tylko trochę pieniędzy i niewiele więcej. Poznałam go i pobraliśmy się, a potem założył plantację trzciny cukrowej, która szybko zaczęła prosperować. Z Francji przysłano mu wina, dom wyglądał wówczas zupełnie inaczej. Ja całe życie spędziłam tutaj, nigdy nie mieszkałam w innym miejscu. Moja matka pochodziła z wyspy, a ojciec był rentierem, który musiał opuścić Anglię, ponieważ rodzina chciała się go pozbyć. Był uroczy i myślę, że inteligentny, ale niestety leniwy. Żyliśmy w biedzie. Ojciec wszystko wydawał na miejscowy alkohol, *gali*. Jestem pewna, że usłyszysz pani o nim jeszcze. A kiedy na wyspę przybył Armand, pobraliśmy się, zamieszkaliśmy w tym domu i przyjmowaliśmy często gości. Na wyspie niewiele rodzin przewyższało nas bogactwem.

— A więc tutaj istnieje życie towarzyskie?

— Wtedy tak... i teraz też, do pewnego stopnia, lecz ja nie mogę sobie obecnie pozwolić na wydawanie przyjęć, więc nie przyjmuję zaproszeń, których nie mogłabym odwzajemnić. Jest tu spora kolonia Francuzów, Anglików i Duńczyków. W większości zarządzają firmami i oddziałami towarzystw morskich. Po pewnym czasie wracają do domu. Niewielu zostaje tu na dłużej.

Przedstawiła mi ciekawszy obraz wyspy, niż miałam wcześniej. W istocie była to dziwaczna mieszanina cywilizacji i prymitywizmu. Na brzegu kwitła działalność handlowa rankami i po popołudniu, w innych częściach wyspy wśród słomianych chat ludzie żyli jak przed wiekami.

— Mój mąż miał głowę do interesów — ciągnęła madame — lecz odznaczał się wybuchowym charakterem. Monique odziedziczyła po nim wiele cech z wyjątkiem wyglądu. Z urody jest podobna do mojej matki. Czasami sprawia wrażenie, jakby w jej żyłach płynęła czysta krew mieszkańców tej wyspy. Po ojcu jednakże wzięła impulsywność i, niestety, zdrowie. Cierpiał na

suchoty i doktor w żaden sposób nie potrafił mu pomóc. Stan Armanda pogarszał się i w końcu mój mąż umarł. Był młody, miał dopiero trzydzieści jeden lat. Po jego śmierci musiałam sprzedać plantację i szybko zbiedniałyśmy. Nie wiem, jak związać koniec z końcem. Tylko dzięki niezwykłym staraniom...

Owad z pięknymi błękitnymi skrzydłami wpadł do pokoju i zaczął krążyć wokół lampy. Madame patrzyła, jak coraz bardziej gorączkowo porusza skrzydłami.

— W końcu spadnie. Nie potrafi oprzeć się światłu. Jak się tu dostał? Przecież okiennice są zamknięte.

Owad podobny był do cudownej ważki, zbyt piękny, by go zabić.

— Mam wyrzucić go na zewnątrz? — zapytałam.

— A jak go pani złapie? Poza tym należy zachować ostrożność. Niektóre z tych nocnych stworzeń są niebezpieczne. Od ich użądlenia można poważnie zachorować. Czasami kończy się to śmiercią.

Zafascynowana patrzyłam, jak owad w ostatecznym geście zapamiętania rzucił się na abażur lampy i spadł na stół.

— Głupie stworzenie — rzekła madame. — Pomylił lampę ze słońcem i zabił się, próbując doń dotrzeć.

— Jest w tym pewien morał — zauważyłam lekko. Żałowałam, że owad przerwał nam interesującą rozmowę. Nie podjęłyśmy już poprzedniego tematu, madame bowiem poprosiła, bym opowiedziała więcej o meblach, które zauważyłam w domu, i tylko o tym mówiłyśmy, aż przyszedł czas, by udać się na spoczynek.

\* \* \*

Następnego dnia Monique czuła się lepiej. Chantel powiedziała mi, że kuracja belladonną najwyraźniej służy pacjentce, choć ona sama woli azotan amylu, który stosowała w Anglii, lecz którego nie było na statku.

— Musimy też pamiętać o jej dziedzicznych skłonnościach do suchot. Jest bardzo chora, Anno. Zastanawiam się, czy nie spróbuje... czegoś sobie zrobić.

— Wielkie nieba, co masz na myśli? — Przedawkowanie.

— Jak mogłaby to zrobić?

— Cóż, są tu leki. Opium, laudanum... i belladonna.

— To... przerażające.

— Nie martw się, nie spuszcza z niej oka.

— Nie przejawia chyba skłonności samobójczych, prawda?

— Wspomina o tym, ale to bez znaczenia. Ludzie, którzy o tym mówią, rzadko to robią. Chcą przstraszyć otoczenie... szantażem spowodować, by spełniono ich żądania. Ona nie jest typem samobójczyni. Ciągłe jednak powtarza, że kapitan jej nie chce i Edward też, a Suka tylko ją w tym utwierdza. Odkąd tu przyjechałyśmy, stan Monique bardzo się pogorszył.

— Gdyby to zrobiła, mówiono by...

Chantel ujęła mnie mocno za ramiona i potrząsnęła.

— Nie martw się. Nie pozwolę, by do tego doszło. Jej słowa nie przyniosły mi jednak ulgi.

— To dziwne — powiedziałam. — Czasami myślę o tamtej nocy, kiedy umarła ciotka Charlotte... Nie potrafię uwierzyć, że sama odebrała sobie życie.

— To tylko potwierdza moją teorię. Popołniają ten czyn ludzie, których nigdy byś o coś takiego nie podejrzewała. I nie mówią o tym. Nasza Monique lubi przedstawiać się w dramatycznym świetle. Nigdy nie odebrałaby sobie życia.

— A gdyby jednak? Byłyby plotki...

— O tobie i kapitanie? — Chantel pokiwała głową.

— Mówiono by wtedy, że to motyw. Może nawet uznano by... Och, Chantel, to przerażające. Przypomniano by sobie, że byłam podejrzana, gdy umarła ciotka Charlotte.

— Wpadasz w histerię z powodu czegoś, co nigdy się nie wydarzy. Jesteś taka sama jak Monique.

— To mogłoby się zdarzyć.

— To się nie zdarzy, przyrzekam. Będę jej pilnować i zrobię wszystko, by nigdy nie miała okazji.

— Och, Chantel, nigdy nie przestanę być wdzięczna za twoją obecność.

Pocieszyła mnie. Zaczęłam sporządzać inwentarz mebli i czynność ta bardzo mnie pochłonęła. Moja teoria znalazła potwierdzenie. Antyki warte były sporą sumę, aczkolwiek stan niektórych budził grozę.

Wezwałam Pero i powiedziałam, co musi zrobić. Kurz jest bardzo niebezpieczny, przyciąga szkodniki. W ogrodzie widziałam termyty, maszerowały małymi oddziałami, lecz równie dobrze mogły to być potężne armie. Wyobraziłam sobie, jak ruszają na cenne meble. Wiedziałam, że potrafią przegryźć drewno i zostawić tylko szczątki.

— Pasta jest bardzo droga — odparła Pero. — Madame nigdy nie pozwoli, żebym jej używała.

— Krótkowzroczne szaleństwo — odrzekłam.

Biedna Pero. Była zaniepokojona. Odkryłam, że chce pracować w Carrement House, gdzie otrzymuje bardzo skromne wynagrodzenie, większe jednak niż to, które dostałaby na plantacji lub przy oprawianiu ryb. Nie miała dostatecznie zręcznych palców, by wyrabiać naszyjniki i kolczyki z muszelek. Zależało jej na posadzie w tym domu, tak więc oszczędzała świece, stosowała się do zaleceń madame i po posiłkach do czysta zdrapywała talerze. Nie marnowano jedzenia, zawsze można je jeszcze wykorzystać. Była dobrą służącą, która miała tylko jeden cel: zadowolić swą pracodawczynię.

Od mojego wybuchu Suka złagodniała, często jednak świadoma byłam jej utkwionych we mnie oczu, gdy oglądałam meble i dopisywałam kolejną sztukę do listy. Kiedyś uniosłam oczy i w oknie ujrzałam jej twarz, słyszałam też oddalające się człapanie jej sandałów z rafii, gdy szybko podchodziłam do drzwi. Zdawała się darzyć mnie nowym szacunkiem, może wierzyła, że dzięki mnie dom się wzbogaci. Już sobie wyobrażałam fantastyczne historie, jakie opowiadali ona, Pero i może stary Jacques. Meble okazały się wspanialsze, niż dotąd im się wydawało. Ja miałam pomóc je sprzedać, dzięki czemu w domu znowu zapanuje zamożność, jak za życia monsieur de Laude. To sprawiało, że w ich oczach znalazłam się na zupełnie innej pozycji.

Byłam świadkiem, jak z podziwem wpatrywali się w najbardziej prymitywne drewniane lichtarze i stare wiklinowe krzesła.

Pero zaczęła polerować meble, choć używała wosku oszczędnie.

W domu było teraz przyjemniej i zaczęłam czuć się swobodniej. Dni mijały, ale Monique wpadała w coraz większe przygnębienie. Powiedziałam Edwardowi, by spędzał z matką trochę czasu i pamiętał, że jest chora, dlatego też niekiedy pragnie upewnić się o jego miłości, czasem zaś jest zbyt zmęczona, by go widzieć. Posłuchał mnie, spokojnie wykreślając dni w kalendarzu i z satysfakcją obserwując zbliżanie się upragnionej czerwonej daty.

Pewnego dnia, gdy był z matką, wybrałam się nad morze. Samotne przechadzki sprawiały mi przyjemność. Piękno krajobrazu zapierało dech w piersiach, ciągle też odkrywałam nowe powody do zachwytu. Sporządzanie inwentarza mebli korzystnie wpłynęło na moje nerwy. Mogłam pogрузić się w pracy i zapomnieć o nieprzewidywalnej przyszłości oraz ponurej terażniejszości,

badając sofę lub szafkę, co do której byłam pewna, że zrobił ją znany artysta, lecz nie posiadała odpowiedniego znaku identyfikacyjnego.

Nadeszło popołudnie, największy upał zelżał, mimo to było zbyt gorąco, by chodzić bez ochrony przed słońcem. Na jednym ze straganów kupiłam sobie wielki słomiany kapelusz, który dzięki swej lekkości i szerokiemu rondowi doskonale nadawał się do noszenia w tym klimacie.

Zapuşciłam się nieco w głąb wyspy, chroniąc się w cieniu drzew. Okrążyłam w ten sposób zatokę i doszłam do miejsca, którego dotąd nie odwiedziłam. Było śliczne. Słyszałam bicie fal o brzeg, od czasu do czasu jakiś owad z brzęczeniem przecinał powietrze.

Moją uwagę przyciągnął wylaniający się z wody kamień, niezbyt oddalony od piaszczystej plaży i przypominający ludzką postać. Stałam wysoko na klifie, skąd miałam rozległy widok. Dostrzegłam w oddali inną zatokę — najwyraźniej było ich wiele na wyspie. Wcześniej mówiono mi, że ma ona trzydzieści mil na sześć, co oznaczało, że należała do największych wysp tego archipelagu i chyba między innymi z tego powodu została zamieszкана i do pewnego stopnia ucywilizowana. Daleko w morzu dostrzegałam kształty, które wyglądały jak inne wyspy, lecz prawdopodobnie były fragmentami skał wulkanicznych, rozrzuconych przed wiekami.

Klif prowadził w dół do gęsto porośniętej drzewami dolinki. Kwitnące drzewa mieniły się tyłoma barwami, że zapragnęłam bliżej im się przyjrzeć, poza tym zgrzałam się bardzo przy wchodzeniu pod górę i tęskniłam za cieniem, jaki pod nimi znajdę. Postanowiłam, że chwilę tam odpocznę, może też nazrywam egzotycznych kwiatów, które nieodmiennie budziły mój zachwyty. Trzymałam je w pokoju w wazonach, przyniesionych mi przez Pero.

Wkrótce znalazłam się w cieniu drzew. Zdjęłam kapelusz i zaczęłam się wachlować. Obie z Chantel sprawiłyśmy sobie bawełniane suknie w takie same barwne wzory jak te, które noszono na wyspie, lecz zmieniłyśmy nieco krój, by stał się bardziej odpowiedni.

Pomiędzy drzewami zobaczyłam gliniany mur. Wił się dziwnie, miejscami znikając w zagajniku, co mnie zaintrygowało. Zawsze podczas spacerów odkrywałam coś niezwykłego na wyspie. W murze była szczelina, przeszłam więc przez nią. Zarośla były tu gęstsze. Doszłam do następnego muru, tym razem wyższego. Moja ciekawość wzrosła. Szłam wzdłuż niego, aż dotarłam do bramy. Odsunęłam zasuwę i wkroczyłam do środka. Drzewa zostały tu wykarczowane, trawa wyglądała, jakby ją świeżo skoszono. W centrum owej polanki wznosiła się kamienna figura. Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że wokół niej kręgiem leżą kamienie w rozmaitych kolorach: różowe jak ametysty, ciemnoniebieskie jak lapis lazuli jasnozielone jak agaty. Były tam także ogromne muszle.

I nagle uświadomiłam sobie, że to miejsce musi mieć jakieś znaczenie dla tubylców i nie powinnam tu wchodzić.

Ogarnięta przerażeniem, odwróciłam się i uciekłam. A potem przyszło mi na myśl, że zagajnik może być czyjąś własnością, i przestraszyłam się, że wkroczyłam na cudzy teren. Próbowałam odnaleźć drogę, lecz zapuszczałam się coraz głębiej w las. Wiedziałam, że nie jest wielki, ponieważ oglądałam go ze szczytu klifu, lecz był to rodzaj labiryntu, z którego nie potrafiłam wyjść. Kilka ścieżek wyglądało na częściej używane. Postanowiłam trzymać się jednej z nich; kiedy doszłam do zakrętu, moim oczom ukazał się dom, typowa tubylcza chata na palach, zbudowana z gliny i drewna, pokryta dachem ze słomy i gałęzi. Miała tylko jedną kondygnację, lecz była długa i obszerna wedle miejscowych standardów.

Zrobiło mi się bardzo gorąco, głównie ze zdenerwowania. Wyraźnie czułam, że wkroczyłam na cudzy teren w sposób odbiegający od przyjętych zasad i że moja obecność tutaj nie zostałaby powitana przychylnie, a powodem była owa przerażająca figura w kręgu z kamieni i muszli.



Odwrociłam się i pobiegłam w kierunku, z którego przyszłam, drżąc ze strachu przy trzasku każdej łamanej gałązki. Ostrzegano mnie przed węzami i jadowitymi owadami, nie ich wszakże się bałam. Z wolna ogarniała mnie panika.

Udało mi się wrócić do muru; tam starałam się rozpoznać ścieżkę, którą tu doszłam, lecz było ich wiele i wszystkie zdawały się pro — wadzić w różnych kierunkach. Sprawdziłam kilka. Widziałam już siebie uwięzioną w labiryncie drzew, gdy nagle między pniami dostrzegłam morze. Z każdym krokiem zarośla stawały się rzadsze. Byłam wolna. Ulga, jaką odczułam, wydawała mi się ogromna — o wiele większa, powiedziałam sobie, niż na to zasługiwała sytuacja. Wstydziłam się, że o mało nie wpadłam w panikę z powodu otoczonej murem kamiennej figury, przekonana, iż oglądam coś, co nie jest przeznaczone dla moich oczu.

Wachlowałam się energicznie. Było mi bardzo gorąco, bardziej, niż gdybym pozostała na otwartej przestrzeni.

Robiło się późno. Spojrzałam na zegarek, przypięty do sukni. Zawsze odnosiłam wrażenie, że wygląda niedorzecznie, choć bez wątpienia był przydatny. Pięta. W zagajniku spędziłam dwadzieścia pięć minut, choć wydawało się, że minęło o wiele więcej czasu.

Ruszyłam w górę zbocza. Na szczycie ujrzałam znajomą postać. Siedziała i patrzyła na morze.

To była Suka. W owej chwili nabrałam pewności, że mnie śledziła.

— Suka — odezwałam się; miałam nadzieję, że stanowczym tonem. Zwróciła na mnie oczy.

— Widzę panią, panno Brett.

— Jak długo tu jesteś? Wzruszyła ramionami.

— Nie mam tego... — Wskazała miejsce na sukni, gdzie ja nosiłam zegarek.

— Myślałam, że zablądziłam.

— Była pani tam, gdzie nie powinna.

— Obawiam się, że wkroczyłam na cudzy teren, aczkolwiek nieświadomie.

Patrzyła na mnie tak, jakby nie rozumiała, i przypuszczalnie tak było. Chantel i ja często musiałyśmy upraszczać nasz język.

— Weszła pani na ziemię Talui.

— Tak się nazywa to miejsce?

— Ziemia Ludzi Płomieni.

— O tak, słyszałam o nich.

— Są bardzo mądrzy.

Usiadłam obok niej. Byłam wyczerpana strachem, upałem i wspinaczką.

— Tańczą w płomieniach. Ogień nie robi im krzywdy. Robią coś, czego nikt nie potrafi.

— Widziałam figurę... chyba coś w rodzaju bogini... otoczoną kamieniami.

Patrzyła pustym wzrokiem, jakby mnie nie słyszała.

— Tańczą. Zobaczysz pani ich taniec. Płomienie nie zrobią im krzywdy. Przyszli z Krainy Ognia... wiele lat temu, kiedy na Coralle nie było białych ludzi.

— Gdzie jest Kraina Ognia?

Znowu zignorowała moje słowa.

— Ogień nie robi im krzywdy jak innym ludziom.

To jakiś miejscowy przesąd, pomyślałam, głośno zaś odrzekłam:

— Chętnie zobaczę ten taniec.

— Są bardzo mądrzy. Bardzo mądrzy. — Odniosłam wrażenie, że Suka w jakiś sposób stara się ich ułagodzić. — Powiem coś pani. Kiedy był pożar... wielki straszny pożar... spaliło się dwadzieścia domów, ziemia płonęła i nikt nie potrafił powstrzymać ognia, tylko Ludzie Płomieni.

— To ciekawe.

— Zwalczają ogień ogniem. Wyprowadzają ludzi z domów i wysadzają je. Rozumieją ogień i płomienie. Zapalili domy, a potem ogień nie miał czego palić. Nie potrafił przeskoczyć dziury między domami, kiedy spalono te obok.

— Rozumiem.

— Więc Ta'lui zrobili wielki wybuch i pożar ustał. Ogień robi to, czego życzą sobie Ludzie Płomieni. Są bardzo mądrzy.

Siedziałam obok niej i myślałam, jak bardzo pierwotna jest w swoim myśleniu i jak często istnieje logiczne wytłumaczenie dla cudów mądrych ludzi.

Spojrzałam na skałę w morzu, a Suka uśmiechnęła się i zapytała:

— Podoba się pani?

— Przyciąga oczy. Nie widziałam tego kamienia wcześniej.

— Ka'kalota jest tu od początku świata.

— Nie wątpię. Ka'kalota, to dziwna nazwa.

Była to dość bezmyślna uwaga, wszystkie miejscowe nazwy bowiem wydawały mi się dziwne.

— To znaczy Kobieta Sekretów.

— Ach tak — rzuciłam ostro.

— Był tu kiedyś statek — dodała. — Nazywał się „Tajemnicza Kobieta”. Pewnej nocy zniknął. Wybuchnął...

— Tak jak Ludzie Płomieni wysadzili domy?

— Dwie tajemnicze kobiety w zatoce mogły przynieść nieszczęście.

Opanowało mnie podniecenie. Czyżby to była odpowiedź? Czy ci dziwni Ludzie Płomieni, którzy bez wątplenia umieli używać prochu, wysadzili „Tajemniczą Kobietę”? Chciałam dowiedzieć się więcej.

— Opowiedz mi o tamtej nocy... — poprosiłam.

— Jakiej nocy?

— Kiedy statek... zniknął.

— Nie wiem o tym nic. Był, a potem go nie było.

— Ale powiedziałaś, że ona... — ruchem głowy wskazałam figurę — nie chciała w zatoce innej tajemniczej kobiety. Jak mogłaby sprawić, by statek zniknął?

— Nie wiem. Nie jestem mądra.

— Może odpowiedź znają Ludzie Płomieni?

Milczała. Po chwili odrzekła:

— Ona widzi wszystko...

— Co?

Wskazała figurę.

— Patrzy na nas teraz.

— Naprawdę? — zapytałam spokojnym tonem.

— Obserwuje mnie... panią. Wie, że tu siedzimy i rozmawiamy o niej.

— Ale to tylko skała.

Suka zakryła usta dłonią i gwałtownie potrząsnęła głową.

— Duch wszedł w nią piętnaście lat temu.

— Zaledwie piętnaście. Sądziłam, że ona tu jest od wieków.

— Ten duch jest dopiero od piętnastu lat. Przedtem były inne. Jest niecierpliwa. Chce odejść. To duch Caro'ka.

— Och?

— Pożądała męża innej kobiety i poszła nazbierać ziół, które rosną w lesie. Wiedziała, jak zrobić z nich odpowiedni napar i wlała do jej kubka kawy. Zamordowała, a potem sama została

zamordowana. Powiesiliśmy ją na wysokim drzewie naprzeciw Ka'kalota. I zostawiliśmy ją tutaj, a rano, kiedy ją odcieliśmy, jej duch uwięziony był w skale i pozostanie tam, dopóki następny nie zajmie jego miejsca.

— Co za dziwna legenda!

— To jest tajemnicza kobieta... kobieta, która kocha i pożąda w ukryciu, planuje w ukryciu, a potem idzie i zbiera trujące zioła, i robi z nich napar. Zawsze będą takie kobiety... na całym świecie. Pożądają męża innej i zabijają, a potem ich czyn zostaje odkryty i wieszają je na tym drzewie... blisko skały. Ich dusze pozostają tutaj uwięzione w kamieniu, dopóki ich miejsca nie zajmie następna.

Miałam wrażenie, jakby owiał mnie lodowaty wiatr, choć słońce paliło tak samo jak przedtem.

Czy Suka śledziła mnie, żeby mi to powiedzieć?

Wpatrywałam się w kamienny kształt i nagle wydało mi się, że nabiera on wyraźnych kobiecych kształtów. Jakby wyciągał ku mnie ramiona... ku mnie! Pożądałam męża innej kobiety. Co za niemądre myśli! W zagajniku ogarnęła mnie panika, bo zrobiło się strasznie gorąco, a siedząca obok kobieta była zła i mnie nienawidziła.

Czy próbowała mnie zahipnotyzować? Z całą pewnością nie pozwolę na to. Ziewnęłam.

— Ależ ten upał mnie zmęczył. Nie jestem przyzwyczajona do takich temperatur. Chyba powoli zacznę wracać.

Suka kiwnęła głową.

Wstałam i ruszyłam w drogę. Miałam ochotę odwrócić się, by zobaczyć, czy za mną idzie, i by raz jeszcze spojrzeć na skałę wystającą z wody.

Im większa wszakże odległość dzieliła mnie od Suki i jej tajemniczej kobiety, tym bardziej odzyskiwałam mój normalny zdrowy rozsądek.

Wyspiarskie legendy! Czyżbym znalazła się pod ich wpływem?

\* \* \*

Musiałam o wszystkim opowiedzieć Chantel.

— Ten stary potwór chciał cię wystraszyć.

— Muszę jednak przyznać, że byłam bardzo zdenerwowana, bo zablądziłam w tamto miejsce, a potem siedziałam na klifie obok niej. Sama wyglądała jak kamienny posąg zemsty.

— I o to jej chodziło. Chcesz nieszkodliwą tabletkę, żeby się uspokoić?

— Nie, dziękuję. Jestem absolutnie spokojna!

— Jak zawsze — Chantel się uśmiechnęła. — Albo... niemal zawsze. Anno, nie jesteś sobą, odkąd tu przyjechałyśmy. Pozwalasz, żeby różne sprawy cię dręczyły.

— To przez to miejsce. Jest takie dziwne.

— Urodziłaś się w Indiach i powinnaś umieć się przystosować do życia na wyspie. Chyba nie oczekiwałaś, że będzie tu jak w angielskim miasteczku?

— Wszystko wydaje się takie niesamowite. Jest tu ukryte barbarzyństwo.

— Bo nasza droga królowa nie wprowadziła jeszcze swoich praw — odparła Chantel ironicznie.

— Nie denerwuj się, długo tu już nie pozostaniemy.

— A co będzie z Monique, jeśli wyjedziemy?

Wzruszyła ramionami.

— Zostałam zatrudniona, by ją tu przywieźć. Nie obiecywałam, że zostanie. Ona może umrzeć jutro, z drugiej zaś strony może jeszcze żyć przez wiele lat. Nie zamierzam marnować swej złotej młodości w tym miejscu, zapewniam cię. Nie denerwuj się, opuścimy wyspę na „Łagodnej Damie”, to absolutny pewnik.

— Wydaje mi się, że masz jakiś ukryty plan.

Zawahała się, a później odrzekła:

— Czuję to w kościach. Czy już ci nie mówiłam, że na moich kościach zawsze można polegać?

Rozmowa z Chantel po spotkaniu z Suką była niczym powrót do cywilizacji i racjonalnego myślenia.

— Chcesz stąd wyjechać, Anno?

— Wpadłabym w rozpacz, gdybym tu została. To byłoby jak więzienie. Ale, Chantel, co stanie się z twoją podopieczną, gdy jej mąż wyjedzie na dłużej?

— Ogarnie ją morderczy nastrój — rzuciła lekko.

— Może spróbuję znaleźć jakąś pracę w Sydney?

— Dlaczego? Lecz nie muszę przecież pytać. Głęboko zaangażowałaś się uczuciowo, kochasz kapitana, prawda? A będąc sobą, do — szłaś do wniosku, że jedyną przyzwoitą rzeczą, jaka ci pozostała, jest wycofać się z jego życia... i to jak najszybciej. — Nie odpowiedziałam, ona zaś mruknęła: — Biedna Anna! Ale otrząśniesz się z tego, przyrzekam ci.

— Mogłabym zamieścić ogłoszenie w gazetach.

— Anno, wpadasz w panikę.

— Chyba tak. A powodem jest to, co Suka mówiła o tamtej kamiennej figurze. Przypuśćmy, że coś się stanie? Przypuśćmy, że Monique umrze i... — Nie mogłam mówić dalej.

— Nie dopuściłabym do tego. Nie w taki sposób, o jakim myślisz. Nie dopuściłabym.

— Mówisz, jakbyś była wszechmocna. Ta kobieta właściwie mi groziła. A Monique mnie nienawidzi. Gdyby popełniła samobójstwo i zostawiła ślady wskazujące na mnie...

— Anno! Cóż to za pomysł!

— Wydaje mi się, że byłaby zdolna do takiej chorej zemsty.

— Powtarzam, że nie pozwolę jej na to.

— Nie zapominaj, że już raz podejrzewano mnie o morderstwo.

— A ja cię z tego wyciągnęłam, prawda?

— Uratowały mnie twoje zeznania. Chantel, czasami się zastanawiam..

— Nad czym? — zapytała cicho.

— Czy to prawda...

— Powiedziałam, że mogło tak być.

— Mówiłaś jednak, że raz przy tobie wstała, by obejrzeć szafkę.

— To był jedyny sposób, Anno.

— To znaczy, że jej nie widziałaś.

— Wiem, że była do tego zdolna. Wierzę, że to zrobiła.

— Zeznałaś, że tak było.

— Musiałam, Anno... dla twojego dobra. Jesteśmy przyjaciółkami, czyż nie?

— Lecz ty... skłamałaś.

— Jestem przekonana, że to była prawda.

— Nie wierzę, by ciotka Charlotte odebrała sobie życie.

— Jeśli ona tego nie zrobiła, to kto? Może Ellen? Rozpaczliwie pragnęła otrzymać swój legat, bo pan Orfey się wahał.

— Nigdy nie uwierzę, by Ellen kogokolwiek zabiła.

— Była też pani Morton, tajemnicza kobieta. Miała córkę, prawda?

— Myślisz, że...?

— Nie ma sensu martwić się czymś, czego nigdy nie rozwiążesz, Anno. To sprawa z przeszłości. Nie pozwól, by teraz cię dręczyła.

— Nie można o niej zapomnieć. Czułam się wówczas niemal winna, a teraz to wraca. Myślałam, że wyrzuciłam to wydarzenie z pamięci. Powinam była wiedzieć, że nigdy nie zdołam tego zrobić. A teraz to miejsce, Suka i jej aluzje...

— Wtedy byłaś spadkobierczynią, która nie miała pojęcia, jakie długi odziedziczy. A teraz kochasz męża innej kobiety. Anno, wpłątujesz się w niezwykle dramatyczne sytuacje.

Chwilę milczałam, później zaś wybuchnęłam:

— Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Muszę stąd wyjechać, to jedyne wyjście. Boję się tego, co się wydarzy, jeśli zostanę. Czasami mam wrażenie, że wisi nade mną jakaś groźba, z każdym dniem silniejsza i bliższa. A kiedy ty mówisz, że Monique wspomina o samobójstwie...

Ujęła mnie mocno za ramiona.

— Anno, przestań natychmiast albo cię uderzę. To doskonałe lekarstwo na histerię. Nigdy nie przypuszczałam, że właśnie tobie będzie potrzebne. Ta przesądna, wstrętna Suka cię zdenerwowała. To niemądra starucha, nie zwracaj na nią uwagi. Posłuchaj mnie uważnie. Kiedy „Łagodna Dama” wpłynie do zatoki, wsiądziemy na pokład, ty i ja. Nie masz się czego obawiać. Dopilnuję, żeby do tego czasu Monique dobrze się zachowywała. Minęło już prawie pięć tygodni, połowę pobytu mamy już za sobą. Obie popłyniemy do Sydney. Będziesz ze mną. Zaopiekuję się tobą. Zamieszkaś ze mną, znajdę ci bogatego męża i zapomnisz o swoim kapitanie.

— Ty... Chantel? Ale jak?

— Jestem dobrą wróżką. Przemienię dynię w karocę i wio! — zaraz pojawi się książę.

— To nonsens! — odrzekłam.

— Posłuchaj, Anno, wyrzuć z myśli i serca kapitana. Gdyby nie on, cieszyłabyś się teraz swoją przygodą. Nie masz powodów do zmartwień, z wyjątkiem tego absurdalnego uczucia. I czym ono jest? Kapitan przyszedł do Domu Królowej. Byłaś samotna, ciotka Charlotte doprowadzała cię do szaleństwa, a on wydawał się taki romantyczny. Obdarzyłaś go zaletami, których nie posiada. Żyjesz we śnie. On nie jest tym romantycznym bohaterem, jakiego widzisz oczyma wyobraźni.

— Skąd wiesz?

— Bo przyszedł do ciebie i nie powiedział, że ma żonę. Dał ci do zrozumienia...

— Niczego nie dał mi do zrozumienia.

— Bronisz go. Jest słaby, samolubny i zależy mu tylko na zabawie. Zmęczył się żoną i spodobała mu się myśl o romansie z tobą. Czy nie widzisz, że nawet gdyby był wolny i poślubił ciebie, wkrótce też by się znudził?

Byłam zdruzgotana. Chantel nigdy tak nie mówiła.

— On nie jest dość dobry dla ciebie, Anno, ja to wiem. Posłuchaj, zapomnisz o nim. Wiem, że tak będzie. To wszystko stało się dlatego, że tak mało widziałaś świata. W swoim czasie sprawię, że sama to zrozumiesz.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale większych bzdur w życiu nie słyszałam. Jak zamierzasz mnie bronić? Teraz szczęśliwym trafem jesteśmy razem, lecz obie musimy zarabiać na życie. Kiedy stąd wyjedziemy, istnieje mała szansa, że znowu znajdziemy zajęcie blisko siebie.

Chantel roześmiała się tylko.

Prawie nienawidziłam jej za to, co mówiła o Redversie, zawołałam więc z gniewem:

— Zachowujesz się tak, jakbyś była wyrocznią... wszechmocną boginią!

I znowu odpowiedziała mi śmiechem, a potem odwróciła się ku mnie. Jej oczy płonęły.

— Powiem ci coś, Anno, coś, co cię zaskoczy. Nie jestem już biedną pielęgniarką, za jaką mnie bierzesz. Jestem bogata, ponieważ mam bogatego męża. Nie zamierzałam ci tego mówić, ale mnie sprowokowałaś. Przed wyjazdem z Anglii poślubiłam Rexa Creditona.

— Poślubiłaś... Rexa Creditona?!

— Tak jest.

— W tajemnicy!

— Oczywiście. Musimy ułagodzić moją upartą teściową, pokazać jej, jak doskonałego wyboru dokonał Rex.

— Nigdy słówkiem o tym nie wspomniałaś.

— Musieliśmy trzymać to w sekrecie z oczywistych powodów. Wzięliśmy ślub natychmiast, kiedy się dowiedzieliśmy, że Rex wyjeżdża do Australii. Dlatego ja też pojechałam, a przecież ciebie nie mogłam zostawić, prawda? Sprawy układały się po naszej myśli i tak też będzie w przyszłości. Och, Anno, najdroższa Anno, jesteś dla mnie jak siostra. Zawsze pragnęłam mieć siostrę.

— Przecież masz siostry.

— Nie pasowałyśmy do siebie. — Skrzywiła się. — Ty jesteś siostrą, o jakiej marzyłam. Nie musisz niczego się obawiać. Popłyniemy razem do Sydney na „Łagodnej Damie”. Rex tam jest. Z Sydney on i ja napiszemy do lady Crediton, zawiadamiając ją o naszym małżeństwie. W odpowiednim czasie przekona się, że mieliśmy rację.

— A Helena Derringham?

— Nie miała najmniejszej szansy, gdy tylko zobaczył mnie. — Wybuchnęła śmiechem. — Anno, to ty jesteś czarownicą. Wydobyłaś ze mnie tajemnicę. Nie zamierzałam ci mówić, ale jesteś tak okropnie dociekliwa. Drażysz rzecz tak długo, aż poznasz wszystkie szczegóły. Musiałam cię jednak pocieszyć, prawda? Wygląda na to, że moją życiową misją jest pocieszanie cię!

Byłam wstrząśnięta i nie wierzyłam własnym uszom.

\* \* \*

Wydaje mi się, że w tej samej chwili, gdy Chantel wyznała mi swój sekret, pożałowała tego. Powiedziała, że nie mogę nikomu na świecie go zdradzić. To nasza tajemnica i ona wie, że może mi zaufać.

Naturalnie, że tak, odparłam natychmiast.

— Ufamy sobie wzajemnie, Anno.

— Naprawdę? — zapytałam.

— Myślisz o sprawach, które ukryłam przed tobą. Lecz nie miałam innego wyjścia.

— W pamiętniku nawet słówkiem o tym nie wspomniałaś.

— Jak mogłam, skoro musieliśmy trzymać rzecz w tajemnicy?

— Sądziłam jednak, że miałyśmy być wobec siebie absolutnie szczerze.

— I byłyśmy, ale o tym nie ośmieliłam się napisać. Przysięgłam Rexowi. Rozumiesz, Anno?

Odrzekłam, że rozumiem, mimo to byłam poruszona. Chodziło o coś jeszcze. Po raz pierwszy Chantel się przyznała, że sfabrykowała historyjkę o tym, jak na jej oczach pod wpływem silnego bodźca ciotka Charlotte wstała z łóżka i zrobiła kilka kroków. A przecież właśnie to zadecydowało, że podejrzenia wobec mnie upadły.

Wyglądało na to, że zawdzięczam Chantel więcej, niż dotąd sądziłam. A choć wiedziałam, że zrobiła to dla mojego dobra, niepokojem przejmowała mnie myśl, że tak postąpiła.

Próbowałam się uspokoić. Kontynuowałam sporządzanie inwentarza mebli i z taką samą uwagą jak Edward odliczałam dni. Zastanawiałam się, co będzie, gdy do wyspy przybije „Łagodna Dama”. W Sydney Chantel zamieszka z Rexem i ujawni przed światem swoje małżeństwo, wyślą list do lady Crediton. A moja przyjaciółka stanie się przyszlą panią zamku Creditonów.

Rozmyślałam o Reksie i Chantel; rozumiałam teraz, dlaczego wydawał mi się taki spokojny. Byli małżeństwem, dlatego też mógł się z nią rozstać, wiedział bowiem, że jej nie utraci.

Zadawałam sobie pytanie, co myśli Helena Derringham i czy Rex zwierzył się jej, tak jak Chantel mnie.

Starłam się spędzać z nią jak najwięcej czasu, ale nigdy nie zbliżałam się do pokoju Monique, jeśli tylko mogłam tego uniknąć. Obawiałam się, że na mój widok ożyją pretensje i żale i chora urządzi kolejną scenę.

Prosiłam więc Chantel, by przychodziła do mnie, co często też czyniła. Ona leżała na łóżku, ja siedziałam w fotelu. Śmiała się ze mnie i z tego, co nazywała moją prostotą, którą — pośpiesznie dodawała — bardzo lubiła.

— Jak potrafisz znieść tak długą rozłąkę z mężem? — zapytałam.

— Tylko dzięki świadomości, że stawką jest fortuna. Musimy ułagodzić moją upartą teściową. Nie zapominaj, że wybrała Helenę Derringham na swą synową i nie znosi sprzeciwu.

— I jak chcecie ją ułagodzić?

— Rex doskonale sprawi się w Sydney. Pokaże jej, że nie potrzebujemy Derringhamów. Świetnie damy sobie radę bez nich.

— Zapewne źle znosi rozłąkę z tobą. Dziwię się, że na to przystał.

— Bo też nie przystał. Chciał od razu o wszystkim powiedzieć matce i ponieść wszelkie konsekwencje. Ja jednak się nie zgodziłam. Nie możemy postępować niemądrze.

— I on... cię posłuchał?

— Naturalnie.

— Czy nie jest... dość słaby?

— Naturalnie — powtórzyła Chantel.

— Sądziłam, że wolałabyś silnego mężczyznę.

— Myślisz konwencjonalnie, moja droga Anno. Mogłam pokochać tylko słabego mężczyznę, ponieważ jak na jedno stadło moja siła wystarczy.

Roześmiałam się z tego.

— Zawsze mnie rozbawisz — uznałam. — Nie mogę jednak zapomnieć o twoim pamiętniku. Nie pisałaś w nim prawdy.

Uniosła dłoń.

— Przysięgam, że pisałam prawdę i tylko prawdę. Po prostu pewne rzeczy pominęłam. Prawda nie jest prostą linią, to ogromna kula, i ma setki twarzy. Jedną z nich jest moje małżeństwo. Nie widziałaś jej, ponieważ zwrócona była w inną stronę.

— Nie mogę w to uwierzyć, Chantel.

— W moje małżeństwo? Dlaczego nie?

— Będziesz panią zamku Creditonów.

— Zawsze pragnęłam nią być.

— Czy z tego powodu...?

— Stajesz się nazbyt dociekliwa. Mój mąż bardzo mi odpowiada. Po powrocie do Sydney zamieszkać z nim i napiszemy do jego matki o wszystkim, co się wydarzyło. Będzie wstrząśnięta i przerażona, a potem uświadomi sobie, że nie ma innego wyjścia, tylko ustąpić, i w krótkim czasie sama przyzna, że Rex jednak dokonał idealnego wyboru. Wyobraź sobie mnie siedzącą u szczytu stołu w czarnej, aksamitnej sukni — a może zielony kolor byłby bardziej twarzowy — i błyszczącą od brylantów. Lady Crediton, bo naturalnie w odpowiednim czasie Rex także otrzyma tytuł.

— Więc to też już postanowiłaś?

— Tak. I zostanie baronem, a nie jakimś tam szlachcicem. Mój syn musi być drugim baronem. Nauczę się też interesów, tak jak moja droga teściowa. I Anno, kochana Anno, zamek zawsze będzie dla ciebie domem, jeśli będziesz go potrzebowała.

— Dziękuję.

— A moim pierwszym obowiązkiem będzie wydać cię za mąż. Zacznę urządzić dla ciebie bale. Wszyscy będą cię znali jako moją siostrę. Nie bój się, że zrobię z ciebie ubogą krewną. Wynagrodzę ci... — Umilkła, uśmiechając się do mnie.

— Jesteś awanturnicą, Chantel — powiedziałam.

— A cóż w tym złego? Sir Francis Drake czy Krzysztof Kolumb też byli awanturnikami, a świat ich oklaskiwał. Dlaczego ja nie miałabym wybrać się we własną odkrywczą podróż?

— I nigdy nie myślisz, że może ci się nie powieść?

— Nigdy! — wykrzyknęła zapalczywie.

Cieszyłam się ze względu na nią i śmiałam z samej siebie, że martwiłam się, iż straciła Rexa. Miała rację, byłam taka naiwna. W jej głosie brzmiała pewność, gdy mówiła, że osiągnie swoje cele.

Jedno wszakże zauważyłam w czasie naszej rozmowy: Chantel mówiła tak, jakby Redvers wcale nie istniał. Zdecydowana była usunąć mnie z jego oczu. Droga Chantel! Wzruszająca wydawała się ta jej troska o mnie, gdy planowała własne życie.

\* \* \*

Było późne popołudnie. Po krótkim spacerze wróciłam do swojego pokoju, żeby się umyć przed kolacją. Gdy tylko przekroczyłam próg, ogarnęło mnie dziwne uczucie, że nie wszystko jest tak, jak zostawiłam przed wyjściem. Ktoś tu był. Sama odkurzałam, tak więc obecność Pero mogłam wykluczyć. A to co? Poduszka, która przedtem leżała na krześle w stylu Ludwika XV teraz znalazła się na jednym z prymitywnych drewnianych stołków. Ja jej tam nie kładłam, zawsze zwracałam uwagę na to krzesło. Tak więc przeniósł ją ktoś inny.

Nie to było ważne. Może weszła tu Pero, zrzuciła poduszkę i odłożyła ją na niewłaściwe miejsce. Wszystkie te myśli przemykały mi przez głowę, gdy szłam w stronę komody, by zgodnie ze swoim zwyczajem sprawdzić, czy list Redversa jest na miejscu.

Nie znalazłam go.

Tak więc ktoś był w pokoju i grzebał w moich rzeczach! Widziałam to wyraźnie, ponieważ zawartość szuflady, w której trzymałam kartkę, była poprzekładana. Ktoś tu był, myszkował i znalazł list.

Trudno o bardziej wymowne słowa. Znałam go na pamięć. Jego treść wryła mi się w umysł i na zawsze tam pozostanie.

Zrobiło mi się zimno na myśl, że ktokolwiek mógł przeczytać to wyznanie.

Zaczęłam gorączkowo przeszukiwać pokój, chociaż wiedziałam, że to nic nie da.

Przed oczyma stanęła mi Monique czytająca list swego męża. Wyobraziłam sobie, jak Suka wkrada się do mojego pokoju, grzebie w rzeczach i zanoszą kartkę swojej pani.

Przecież to niepodważalny dowód! Powinnam była go zniszczyć.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Chantel.

— Słyszałam, jak wróciłaś. Ale... co się stało?

— Zgubiłam... coś.

— Co?

Milczałam.

— Na litość boską, Anno — odezwała się ostro — opanuj się. Co zgubiłaś?

— List, który przed wyjazdem Redvers do mnie napisał. Leżał w tej szufladzie.

— List miłosny?

Kiwnęłam głową.

— Dobry Boże, Anno, ależ ty jesteś niemądra! Powinnaś była go zniszczyć.



— Wiem, lecz nie niszczy się takich rzeczy.  
— On nie miał prawa pisać do ciebie.  
— Chantel, proszę cię, pozwól, żebym sama kierowała swoimi sprawami.  
— Wygląda na to, że nie potrafisz — odrzekła gniewnie. Ona też była wstrząśnięta. — Jeśli ona go ma... będą problemy.  
— Jestem przekonana, że Suka go ukradła. Na pewno zanieś go Monique. A ona pomyśli...  
— Może jednak Suka go jej nie odda.  
— W jakim więc celu by go zabierała?  
— Skąd mamy wiedzieć, co dzieje się w jej głowie? To stara czarownica. Och, Anno, szkoda, że tak się stało. — Przygryzła wargę. — Dowiem się, czy Monique ma ten list. A jeśli go znajdę, Anno, podre na strzepy i wrzucę do ognia. Na własne oczy będę patrzyła, jak zostaje z niego popiół.  
— Co mam zrobić, Chantel?  
— Nic. Musimy czekać. Jesteś pewna, że wszystko dokładnie przeszukałaś?  
— Tak.  
— Chciałabym, żeby nas już tu nie było, żebyśmy bezpiecznie znalazły się w Sydney. Na litość boską, nie okazuj zdenerwowania. Być może Suka nie umie czytać. Jestem o tym przekonana. Jeśli nie dała jeszcze listu Monique, musimy go znaleźć i zniszczyć.  
Było mi słabo z niepokoju, ale fakt, że Chantel wiedziała, dawał mi niejaką pociechę.

\* \* \*

Tamtej nocy Monique miała poważny atak, co umocniło mnie w przekonaniu, że czytała list. Gorączkowo rozważałam, co stanie się dalej.  
Leżałam w łóżku, nie mogąc zasnąć. Około północy drzwi otworzyły się cicho i weszła Chantel. Miała włosy rozpuszczone na ramiona, ubrana była w długą, białą koszulę nocną, a w dłoni trzymała zapaloną świecę.  
— Nie śpisz? — zapytała. — Monique już się uspokoiła.  
— W jakim jest stanie?  
— Wyjdzie z tego.  
— Czy ona...?  
— Widziała list? Nie. To nie miało nic wspólnego z listem. Monique wpadła we wściekłość, bo Edward nigdy nie chce dłużej z nią posiedzieć, tak mówiła. Krzyczała, że nikomu na niej nie zależy i że im szybciej usunie się z drogi, tym bardziej będą zadowoleni niektórzy ludzie.  
— To przerażające, Chantel.  
— Typowe. O tobie też mówiła. Uzurpowałaś sobie jej miejsce, a gdy kapitan wróci, jej już tu nie znajdzie, bo postanowiła się zabić.  
— Znowu o tym mówiła?  
— Przekonasz się, że jeszcze nieraz to powtórzy. To takie gadanie. Nie bierz sobie tego do serca.  
— A kiedy przeczyta list...  
— Najwyraźniej ma go Suka.  
— Z jakiego powodu go przechowuje?  
— Może sądzi, że to jakiś talizman. Musimy powstrzymać ją od pokazania listu Monique, bo w przeciwnym razie rozpęta się piekło. Jak przypuszczam, nie ma sensu mówić ci, byś poszła spać?  
— Chyba nie.  
— Cóż, pamiętaj, że za kilka tygodni będziemy w Sydney. To już niedługo, Anno.

I tylko ta myśl sprawiała mi ulgę.

\* \* \*

Przez cały dzień z oddali dochodziło przytłumione bicie w bębny. Denerwowało mnie, gdyż zdawało mi się, że to głuche dudnienie zwiastuje nieszczęście. Minał tydzień, odkąd zaginął list, a Monique w żaden sposób nie okazywała, iż go czytała. Chantel powiedziała, że przeszukała jej pokój i nic nie znalazła. Musi go mieć Suka, to znaczy jeśli nie położyłam listu gdzieś indziej.

Zirytowała mnie. Jak gdyby to było możliwe!

— Oczywiście że nie — odparła Chantel z lekką kpina. — Jest dla ciebie zbyt cenny.

Jak zawsze jednak martwiło ją moje uczucie do Redversa.

Nadszedł dzień święta. W domu i na całej wyspie panowała atmosfera napięcia. Ludzie już schodzili się ze wszystkich stron na uroczystości, które miały się rozpocząć wraz z zachodem słońca. W każdej chacie przygotowano ogromne dzbany *gali*, by zanieść je na ucztę.

Po klifie, na którym zastałam Sukę wpatrującą się w morze, od rana wjeżdżały na górę wozy, ozdobione zielonymi gałązkami. Tam miały odbyć się tańce i uczta.

Madame wyjaśniła mi wszystko. W uczcie udział biorą wyłącznie wyspiarze, my przyjdziemy później. Podadzą nam *gali* w łupinach kokosa; radzi, by pić ostrożnie, trunek bowiem ma wielką moc. Tańce na pewno bardzo nam się spodobają, w to nie wątpiła, przede wszystkim taniec z pochodniami, który jest głównym punktem programu.

— Istotnie warto go obejrzyć — mówiła. — To tutejsza tradycja. Tajemnica przekazywana jest z pokolenia na pokolenie.

— Słyszałam o Ludziach Płomieni — rzekłam. ....

— To jedna z atrakcji wyspy, wykonuje się ten taniec tylko raz w roku. Sądzą chyba, że straciłby na znaczeniu, gdyby pokazywali go zbyt często.

— Czy będą bić w bębny przez cały dzień? — zapytałam.

— Cały dzień i całą noc. Mimowolnie zadrżałam.

— Nie podobają się pani?

— Nie wiem czemu, ale wydają mi się złowieszcze.

— Niech pani nie mówi tego przy tubylcach. Powiadają, że tylko ludzie z nieczystym sumieniem obawiają się bicia w bębny.

— Tak mówią?

— Moja droga panno Brett, tutejsi ludzie mówią wiele dziwnych rzeczy.

\* \* \*

Nieczyste sumienie, myślałam. Mam nieczyste sumienie, bo kocham męża innej kobiety. Budząc się każdego ranka, zadawałam sobie pytanie, co też przyniesie mi dzień. Nocami często śniłam o ciotce Charlotte. Jej śmierć nie mogłaby dręczyć mnie bardziej, gdybym sama ją zabiła.

I zastanawiałam się, jak uda mi się uniknąć spotkania z Redversem, jeśli wyjadę z Chantel? Ona wszakże — co było dziwne — nie chciała w ogóle brać tego pod uwagę i zachowywała się tak, jakby kapitan nie istniał.

Szczęśliwa Chantel, która poślubiła wybranego przez siebie mężczyznę!

Znowu rozległo się bicie w bębny. Wyobraziłam to sobie... szczyt klifu, odgłos fal uderzających o złoty piasek, mroczna figura Kobiety Sekretów, czekającej na ducha, którego mogłaby uwięzić, aby poprzedni odzyskał wolność.

Pragnęłam, by „Łagodna Dama” stała już na kotwicy w zatoce.

\* \* \*

Owego wieczoru pojechaliśmy powozem, Monique także, chociaż Chantel zalecała jej pozostanie w domu. Ustąpiła wszakże, bo chora przybrała histerycznie władczą pozę. Miała na sobie długą, białą szatę z powłóczystego materiału i kwiat czerwonego hibiskusa w rozpuszczonych włosach. Oczy błyszczały jej z podniecenia. Wyglądała jak czystej krwi Polinezyjka, jak duch wyspy. Spoglądała na mnie kpiąco. Wiedziałam, że bawi ją oglądanie mnie w niezręcznej sytuacji; chyba uważała to za świetny kawał, iż kobieta o tak surowych zasadach jak ja jest „tą drugą” w jej dramacie.

Chantel włożyła zieloną suknię. Kupiła ją na wyspie, a choć materiał nie był w dobrym gatunku, miękko i ładnie przylegał do ciała i doskonale wyglądała w tym stroju. Włosy zaplotła w gruby warkocz, który przerzuciła przez ramię. Ja nie sprawiłam sobie nic specjalnego na tę okazję. Ubrałam się w moją błękitną jedwabną suknię, włosy zaś uczesałam w kok jak zwykle.

Wysiedliśmy z powozu, po czym pieszo poszliśmy na płaski szczyt klifu, gdzie już tańczono. Wcześniej widziałam już tutejsze tańce. Często wykonywano je blisko wody, w domach bez ścian, które w istocie były platformami przykrytymi dachami z gałęzi dla ochrony przed słońcem.

Instrumenty, na których grano, z wyglądu przypominały gitary — także je widziałam wcześniej. Usiedliśmy na specjalnie zabranych z domu dywanikach, po czym podano nam łupiny kokosa pełne *gali*. Wystarczył jeden łyk, upity ostrożnie, abym poczuła, jakby w żyłach popłynął mi ogień. Wiedziałam, że ten alkohol jest bardzo mocny.

Spojrzałam na Chantel. Przyglądała się bacznie wszystkiemu z zainteresowaniem i radością, ja wszakże byłam pewna, że cieszy się na myśl o rychłym spotkaniu z Rexem w Sydney.

Och, szczęśliwa Chantel!

Oklaskiwaliśmy tancerzy, bijąc wolno i rytmicznie w dłonie, jak to było w zwyczaju tu, na wyspie. Wydawało się, że tańce nigdy się nie skończą, a na dywanikach nie było nam zbyt wygodnie.

Kiedy wszakże nadeszła pora na Taniec Płomieni, widzów ogarnęło wielkie podniecenie, które także mnie się udzieliło. Wzorem innych uklękłam, nie czując wcale, że kolana mam obolałe. Pojawili się dwaj młodzi mężczyźni, nadzy do pasa, tylko w przepaskach zakończonych paciorkami, które połyskiwały w świetle pochodni. Sznury takich samych paciorków zdobiły im szyje, ramiona i głowy.

Ciemne niebo znaczyły tysiące jasnych gwiazd, księżyc rzucał bladą poświatę na ogromny krąg ludzi, na twarze jasne i ciemne, jednakowo skupione. Wyczuwałam aromat kwiatów, mocny zapach pochodni, widziałam płomienie, słyszałam słabe brzęczenie owadów, które przyciągał ogień.

Tancerze czekali. Pochodnie przyniósł im uroczyście stary ojciec, po dwie dla każdego. Zagrała muzyka i mężczyźni zaczęli obracać pochodniami, a potem podrzucali je coraz wyżej w powietrze i swobodnie, bez wysiłku łapali, gdy spadały. To mógł zrobić każdy, kto tylko gotów był się tego nauczyć. Prawdziwy taniec jeszcze się nie rozpoczął.

Nie wiem, jak oni to robili. Poruszali się szybko, z niezwykłą zręcznością. Naszym oczom ukazały się nagle wirujące kule ognia, wewnątrz których znajdowały się nagie ciała tancerzy. Tańczyli dziko, jak szaleni, i widzom raz po raz zapierało dech w piersiach; w głowie się nie mieściło, by ktokolwiek mógł bez szkody wejść w takie płomienie.

Wraz z wolniejszym rytmem muzyki kule ognia też poruszały się wolniej i teraz widzieliśmy wyraźnie, że to dwóch tancerzy z czterema pochodniami. Byliśmy oczarowani.

Był to cud, Ludzie Płomieni nauczyli się go w Krainie Ognia i przynieśli ze sobą na wyspę; jedynie ci, w których żyłach płynęła ich krew, mogli go wykonać.

Taniec się skończył. Przez sekundę panowała pełna podziwu cisza, później rozległy się wiwaty i wolne rytmiczne bicie w dłonie. Nagle ktoś zawołał:

— Kella, Kella Ta' lui!

Ludzie wymieniali uwagi podnieconymi głosami. To nie było naturalne. Na ich oczach stał się cud: ogień ostygł, by nie skrzywdzić Ludzi Płomieni.

Chantel uśmiechnęła się do mnie. Ogarnęła mnie obawa, że zaraz wygłosi jakąś kpiącą uwagę, której ton dla wszystkich byłby zrozumiały, nawet jeśli same słowa nie.

I znowu podniósł się szmer. Ludzie Płomieni przyprowadzili chłopca.

Był synem jednego z nich i po raz pierwszy miał wykonać ten taniec. Dla niego także ogień ostygnie, ponieważ jest synem swojego ojca.

Serce zaczęło mi mocniej bić. Chłopiec wydawał się taki mały i godny współczucia, gdy stał w swym stroju zdobionym czerwonymi paciorkami. Z rosnącym przerażeniem uświadomiłam sobie, że malec bardzo się boi.

Poczułam impuls, by wstać i krzyknąć: „Nie można na to pozwolić!”. Nie uczyniłam tego jednak. Wiedziałam, że nie mogę. Chłopiec zatańczy, tak jak wcześniej robili to starsi członkowie jego rodziny, a ja będę patrzyła z niepokojem, wyczuwałam bowiem jego strach.

Zrobił krok do przodu, wręczono mu dwie pochodnie, nakręcił nimi, podrzucił je w powietrze i złapał. Nastrój mi się poprawił. Zręcznością dorównywał starszym.

Zagrała muzyka, najpierw wolno, później coraz szybciej. Pochodnie zaczęły wirować, zmieniając się w kulę ognia.

Da sobie radę, pomyślałam. Dobrze go wyszkolili.

I znowu zapadła cisza, jakby na widzów rzucono urok: wspaniałe gwiazdziste niebo, milczenie, oczy wszystkich zwrócone na kulę ognia.

I wówczas rozległ się najbardziej przerażający krzyk, jaki w życiu słyszałam. Jedna z pochodni poleciała w górę, za nią druga, a my ujrzeliśmy wijącą się postać, z płonącymi już włosami. Tancerz sam wyglądał jak pochodnia.

Chantel poderwała się z miejsca. Ciągnąc dywanik, na którym siedziała, rzuciła się ku chłopcu; owinęła go i gołymi dłońmi zduśiła płomienie.

Ogarnęło mnie wzruszenie. To był wspaniały widok, przede wszystkim z powodu mojej przyjaciółki, Chantel — anioła miłosierdzia.

Ludzie biegli ku tym dwojgu. Mężczyźni w połyskujących czerwonych ozdobach krzyczeli.

Usłyszałam, jak Chantel mówi swoim autorytatywnym tonem:

— Jestem pielęgniarką. Odsuńcie się.

Chłopiec, dotąd krzyczący z bólu, nagle ucichł. Pomyślałam, że umarł.

Chantel rozkazała jednemu z mężczyzn, by zaniósł dziecko do najbliższego domostwa — był nim dom Ludzi Płomieni, po czym zwróciła się do mnie:

— Jedź do Carrement po moją torbę. Spiesz się.

Nie czekałam na dalsze słowa. Jacques poszedł ze mną do powozu. Poganiał konie, które pędziły z prędkością bez wątpienia im obcą. Pobiegłam do pokoju Chantel, złapałam torbę z lekami i pędem wróciłam do powozu.

Przez całą drogę w uszach dźwięczały mi krzyki chłopca.

Do domu Ludzi Płomieni dotarliśmy inną drogą niż ta, którą szłam owego dnia, kiedy tu zabłądziłam. Doktor już był tam, lecz wypiwszy zbyt wiele *gali*, nie na wiele się przydał. Dowodziła Chantel.

Wzięła torbę.

— Nie odjeżdżaj, Anno — poleciła. — Czekać na mnie. Usiadłam na stołku, wciąż myśląc o chłopcu. Od razu poznałam, że się boi. To jeszcze dziecko, okrucieństwem było zmuszać go do równie ryzykownego wyczynu. I jak wspaniale wyglądała Chantel w rozwianej zielonej sukni, z warkoczem przerzuconym przez ramię.

W pokoju było gorąco, wyszłam więc na zewnątrz. W świetle księżyca drzewa wydawały się niesamowite, powietrze wypełniał aromat kwiatów.

Jeśli chłopiec przeżyje, zawdzięczać będzie swe życie Chantel, a to znaczy, że nie przybyliśmy na tę wyspę na próżno.

Rozmyślając o tym, ruszyłam na spacer wokół domu. Nie miałam ochoty wchodzić do środka, tutaj było o wiele przyjemniej. Po chwili jednak przyszło mi do głowy, że Chantel może już na mnie czeka, przestąpiłam więc próg. Minęła chwila, nim zorientowałam się, że to nie tymi drzwiami wcześniej wyszłam. Po omacku stawiałam stopy na słomianych matach, których zarysy ledwo dostrzegałam. Znajdowałam się w mrocznym korytarzu; nie byłam tu przedtem. Powiedziałam sobie, że muszę wyjść z chaty i będę ją okrążyć, aż trafię do znanych mi drzwi. W żadnym razie nie chciałam trafić do izby, gdzie byli Chantel i chłopiec. Muszę znaleźć drogę tak cicho i ostrożnie, jak to możliwe.

Wreszcie zamajaczyły przede mną drzwi. Nasłuchiwałam, czy rozlegają się za nimi głosy, panowała jednak cisza. Lekko zapukałam. Nikt nie odpowiedział, ostrożnie więc je uchyliłam, mając nadzieję, że za nimi jest pokój, w którym czekałam.

Myliłam się jednak. Palily się tu dwie świece. Wstrzymałam oddech, ponieważ to pomieszczenie przypominało owo miejsce za murami, które widziałam w zagajniku. Na środku stała figura, otoczona błyszczącymi kamieniami. Jeden z nich, większy od pozostałych, rzucał refleksy i zdawał się płonąć czerwonym ogniem. Może jednak wciąż miałam przed oczyma niedawny koszmar. Poczulałam przymus, by zbliżyć się do figury. Różniła się od tamtej na polanie, lecz jednocześnie wydawała mi się znajoma.

Podeszłam do niej, przekraczając kamienny krąg. Znałam ją dobrze, widywałam wielokrotnie. Po raz pierwszy miałam ją w ręce, gdy otworzyłam sekretarzyk kupiony w zamku Creditonów, a później stała w moim pokoju. Wciąż do mnie należała. Przede mną wznosił się galion z „Tajemniczej Kobiety”, tylko teraz nie była to mała kopia, lecz oryginał.

Twarz miała miłą i uśmiechniętą, długie włosy rozwiane morskim wiatrem, a na sukni widniał napis „Tajemnicza Kobieta”.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom! Figura stała na prymitywnym drewnianym postumencie, a otaczające ją kamienie połyskiwały na czerwono i niebiesko od ognia.

I wtedy nagle zrozumiałam.

To były diamenty Fillimore’a.

\* \* \*

Do Carrement House wróciliśmy wczesnym rankiem. Pragnęłam opowiedzieć Chantel o swym odkryciu, musiałam jednak poczekać, aż będziemy same. Moja przyjaciółka była w radosnym nastroju, uratowała bowiem dziecku życie; z pewnością tylko dzięki natychmiastowemu działaniu udało jej się zdusić ogień. Mówiła dużo o chłopcu: w gruncie rzeczy nie doznał poważnych oparzeń, choć na ramionach i nogach będzie miał blizny do końca życia. Przeżył potężny wstrząs, lecz wróci do zdrowia.

— Chantel, byłaś wspaniała — pochwaliłam ją.

— Byłam gotowa — odparła. — Wiedziałam, że to się stanie. Nikt nie może wykonywać takiego tańca, nie będąc przekonanym o sukcesie, a on się bał.

— Ja też to wyczuwałam, lecz nie byłam przygotowana.

— Prawdę mówiąc — ciągnęła Chantel — trzymałam dywanik w pogotowiu. Dlatego tak szybko dotarłam do tego malca, choć sądzę, że w takich wypadkach człowiek działa bez namysłu. Cóż za widok... biedne dziecko płonące jak pochodnia!

— Nie zasnę tej nocy — uznałam — zresztą i tak niewiele już z niej pozostało.

— Ja też nie.

Kiedy weszliśmy do domu, madame pojawiła się w drzwiach swojego pokoju.

— Co z chłopcem? — zapytała.

— Myślę, że wyzdrowieje — powiedziała Chantel.

— Będzie pani zawdzięczał życie — odrzekła stara dama. — I nigdy o tym nie zapomni.

Chantel się uśmiechnęła.

— Jest w szoku. Dałam mu środek nasenny. Rano do niego pójdę. Doktor też tam będzie.

— Ale to pani...

— Ja nie piłam *gali*.

— Zapewne są panie bardzo zmęczone — stwierdziła madame. Chantel nie zaprzeczyła. Życzyłyśmy jej dobrej nocy.

— Muszę z tobą porozmawiać, Chantel — odezwałam się. — Zdarzyło się coś nieprawdopodobnego.

Zapałam świece i odwróciłam się ku niej. Pomyślałam, że nigdy nie była taka piękna i mimo podniecenia przez chwilę bez słowa jej się przyglądałam.

— Stało się coś złego? — zapytała. Potrząsnęłam głową.

— Nie, tylko ty wyglądasz na... przepelnioną radością.

— Bo pokonałam śmierć. Mam wrażenie, że wyrwałam tego chłopca z jej objęć.

— Co za noc! Mnie jednak też coś się przydarzyło i muszę o tym porozmawiać. — Opowiedziałam jej o swoim odkryciu.

Głośno nabrała powietrza.

— Te diamenty? Jesteś pewna?

— Jestem. To był galion ze statku, wcześniej widziałam jego replikę. Ściślej mówiąc, mam ją. I była na nim nazwa... A kamienie leżały dookoła

— To nie muszą być diamenty.

— Jestem przekonana, że to one. Rozumiesz, Chantel, jeśli to rzeczywiście te diamenty, Redvers zostanie oczyszczony z podejrzeń. Bardzo wielu ludzi sądzi, że kapitan je ukraść.

Jej twarz stwardniała. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego tak bardzo go nie lubi. Czyżby wiedziała coś, o czym nie chciała powiedzieć? Wydawało mi się to dziwne.

— Nie masz pewności — odparła. — Na tej wyspie jest pełno niesamowitych figur i kamieni... Cóż, z tego, co mówisz, wydają się za wielkie jak na diamenty. Byłyby warte fortunę.

— Diamenty Fillimore'a były warte fortunę. Chantel, co możemy zrobić?

— Wydaje mi się, że traktują tę figurę jak świętość w rodzaju swojej bogini, to niemal pewnik. Opowiadają historię o przybyciu z Krainy Ognia. Sprawa może się z tym wiązać. Diamenty odbijają ogień.

— Pewna jestem, że przypisują im jakieś znaczenie, rzecz jednak w tym, co ja mam zrobić? Iść do nich i o wszystkim powiedzieć? Zapytać, w jaki sposób weszli w posiadanie tej rzeźby i kamieni?

— Rozgniewaliby się, że ją widziałas. W końcu bez ich wiedzy chodziłaś po domu.

— Tak, a wcześniej po ich terenie. — I opowiedziałam jej o tamtym dniu. — Może ty mogłabyś coś zrobić. Mają wobec ciebie dług wdzięczności.

Milczała.

— Nie będziemy nic robić, poczekamy na statek! — wykrzyknęłam nagle. — Powiem kapitanowi. Zostawimy tę sprawę jemu.

Chantel nie odzywała się, jej nastrój uniesienia znikł.

Czułam, że ma to coś wspólnego z jej niechęcią do Redversa.

\* \* \*

Następne tygodnie okazały się najtrudniejsze. Byłam rozgorączkowana z niecierpliwości i obaw, że z diamentami — byłam bowiem przekonana, że to diamenty — coś się stanie, nim statek przybędzie. Odliczałam dni z większą żarliwością, niż kiedykolwiek robił to Edward. Nawet myślałam, że list Redversa trafi w ręce Monique, zepchnięta została gdzieś na dno mego umysłu.

Wszyscy domownicy zdawali się wiedzieć, że wracamy do Sydney. Doszło do nieprzyjemnej sceny z Monique, kiedy zażądała ode mnie odpowiedzi, co zamierzam robić. Chantel udało się ją uspokoić; od czasu wypadku zyskała nowy autorytet. Suka i Pero spoglądały na moją przyjaciółkę ze szczególnym szacunkiem, a kiedy wychodziłyśmy, ludzie inaczej na nią patrzyli. Niektórzy z europejskich rezydentów gratulowali jej i pytali, dlaczego wcześniej jej nie widzieli, lecz przecież mieszkaliśmy w Carrement, gdzie madame de Laude żyła niczym pustelnica. Chantel zachwycona była tą powszechną uwagą. Pomyślałam, że będzie z niej cudowna pani zamku. Byłam pewna, że kiedy osiągnie wiek lady Crediton, stanie się tak samo jak tamta godną podziwu wielką damą. To ją rozśmieszyło.

— Chantel, z tym listem wiąże się jakaś tajemnica — powiedziałam jej kiedyś. — Nic się nie wydarzyło.

— To dobry znak. Może w ogóle go nie skradziono. A jeśli przypadkiem wpadł do kosza na śmieci? Niewykluczone, że już uległ zniszczeniu.

— Jestem pewna, że ktoś wszedł wtedy do mojego pokoju.

— Nieczyste sumienie, Anno — odparła. Zaprotestowałam.

— Nie ma żadnego powodu, bym... Cmoknęła mnie w czubek nosa.

— Lubię myśleć, Anno, że masz coś na sumieniu, choćby odrobinę. Dzięki temu stajesz się bardziej ludzka. Przestań martwić się o ten list. Nie ma go.

Zakończyłam inwentaryzowanie mebli. Ze wstępnej kalkulacji wynikało, że w domu są skarby warte kilka tysięcy funtów. Powiedziałam madame, że wyślę spis do antykwariuszy i jestem pewna, iż część rzeczy znajdzie wkrótce nabywców.

Była zachwycona; z ożywieniem mówiła o zmianach, jakie wówczas nastąpią.

Pewnego wieczoru Monique urządziła scenę, zastanawiałam się więc, czy nie trzyma listu w pogotowiu na specjalną okazję.

Oznajmiła, że wraca do Anglii na „Łagodnej Damie”. Nie zostanie tu, gdy my wyjedziemy. Edwarda też zabierze.

Trzeba było wezwać doktora; we dwoje z Chantel jakoś ją uspokoili.

Chłopiec wierzył, że popłynie z nami.

— Ale co z madame de Laude? — zapytałam Chantel. — Przecież chyba nie chce, żeby jej córka wyjechała?

— Madame myśli tylko o fortunie, którą jej ukazałaś, a Edward jest zachwycony perspektywą powrotu. Rozpaczaliby bardzo, gdyby musiał tu zostać. Kogo tu ma poza histeryczną matką, skąpą babką i szaloną starą Suką?

— Czy w tych sprawach można tak szybko podjąć decyzję? Sądziłam, że Monique wróciła do domu, żeby pobyć ze swoją matką, a także dlatego, że tutejszy klimat bardziej jej odpowiada niż nasz.

— Żaden klimat jej nie uleczy. Nigdy nie będzie szczęśliwa, na tym częściowo polegają jej dolegliwości. W jej życiu jest zbyt wiele napięcia. Teraz cieszy się na powrót męża. Nie pozwoli, żebyś spokojnie z nim odpłynęła, Anno. Coś szykuje. Nie mówiłam ci wcześniej, bo nie chciałam cię martwić. Prawie wyłącznie mówi o tobie i kapitanie.

— A więc ma ten list.

— Jestem pewna, że powiedziałyby mi, gdyby go miała, a poza tym szukałam wszędzie. Monique jest spokojniejsza niż zwykle, jakby planowała coś lub knuła.

— Och, Chantel... to przerażające.

— Wierzy, że ty i kapitan jesteście kochankami. Powiedziała, że zamierzasz ją zamordować i w ten sposób usunąć z drogi.

— Nie wiem, co robić, Chantel. Suka obserwuje mnie, jakby podejrzewała, że zrobię jej ukochanej panience krzywdę. Pero też. Knują coś przeciwko mnie. Jestem pewna, że Monique ma jakiś plan.

— Uwielbia dramaty i naturalnie chce zawsze być w centrum zainteresowania, ale mnóstwo w tym gry.

— A jeśli zrealizuje swój plan?

— Jak?

— Przypuśćmy, że zabije się w taki sposób, żeby wyglądało, jakbym to ja... albo kapitan...

— Nie! Jak mogłaby się cieszyć swoim wyczynem, gdyby była martwa?

— Jeżeli do zatoki wpłynie jakiś statek przed „Łagodną Damą”, Chantel, sądzę, że mądrze zrobimy, gdy na niego wsiądziemy. Popłyniemy do Sydney, poszukam tam pracy...

— Tylko że wcale nie tak łatwo o miejsce na statkach. A poza tym żaden inny statek tak szybko tu nie zawita. Jesteś na wyspie Coralle, Anno.

— Tak, i czuję się... jak w pułapce.

— Sądziłam, że chcesz tu zostać, by powiedzieć swojemu kapitanowi, że chyba udało ci się oczyścić jego nazwisko.

— Tak, ale się boję, Chantel. Wisi nad nami coś złego.

— Histeryczna, gwałtowna i namiętna żona, błędzący mąż i kobieta, którą kocha. Cóż za sytuacja! I kto by uwierzył, że znajdziesz się w niej ty, moja droga, spokojna, praktyczna Anno!

— Bardzo cię proszę, nie żartuj z tego, Chantel. To poważna sprawa.

— Bardzo poważna — zgodziła się. — Nie martw się jednak. Jestem tu, Anno, tak jak byłam przedtem. Czy to nie przynosi ci ulgi?

— Ogromną — zapewniłam ją żarliwie.

\* \* \*

Dni mijały, a stan Monique się pogarszał. Ataki przybrały na częstotliwości, jeden następował tuż po drugim. Nie były zbyt poważne, powiedziała mi Chantel, aczkolwiek niepokoił ją stan zdrowia chorej. Nie odstępowała jej na krok, a kiedy Monique źle się czuła, moja przyjaciółka często czuwała przy niej nocami. Była wspaniałą pielęgniarką.

Powiedziała mi, że Suka siedzi w pokoju i obserwuje ją cały czas.

— Wolałabym, aby wyszła, ale Monique się denerwuje, kiedy o tym wspominam, a nie należy jej drażnić, kiedy jest w takim stanie. Staruchę wprawia w furję perspektywa wyjazdu jej ukochanej panienki. Sądzę, że obwinia ciebie. Słyszałam, jak mruczała coś pod nosem. Myśli, że gdybyś nie istniała, Monique nie byłaby zazdrosna i pozwoliłaby, żeby mąż odpłynął bez niej. Pilnuj się, aby nie dodała czegoś do twojej miętowej herbatki. Pewna jestem, że ta stara czarownica



ma zapas trucizn, których smaku się nie wyczuje w *gali*, kawie i naszej herbatce miętowej. Bez smaku i śmiertelnie trujące. Dwie konieczne cechy.

Zadrzałam, a ona dodała:

— Anno, to tylko żart. Co się z tobą dzieje? Bierzesz życie zbyt poważnie.

— Takiego traktowania wymaga.

— Życie jest prawdziwe, życie jest radosne! — wołała Chantel.

— „Nasze życie to nie śmierci wiecznej próg”<sup>\*</sup> — dokończyłam słowami Longfellowa i od razu tego pożałowałam. Wołałabym nawet nie wspominać o śmierci.

— Nie martw się — powiedziała Chantel — wkrótce będziemy w Sydney.

\* \* \*

Edward był szczerze podniecony. Kiedy do zatoki zawita „Łagodna Dama”, wsiądziemy na pokład.

Ile dni pozostało do tego oznaczonego czerwienia? Liczyliśmy. Czternaście, trzynaście... wreszcie dziesięć.

Co rano budziłam się z pytaniem, co przyniesie dzień. Otwierałam drzwi i wyglądałam na korytarz. Czasami słyszałam krzyki Monique. Wymieniała moje nazwisko. Kiedy indziej panowała cisza.

W moich myślach ciągle obecne były ów utracony cenny list oraz wspomnienie izby z galionem z „Tajemniczej Kobiety” i kamieniami, które uważałam za diamenty Fillimore’a.

Dlaczego dni tak się dłużyły? Żyłam jedynie dla chwili, kiedy w zatoce zobaczę „Łagodną Damę”. Nie zapuszczałam się dalej w przyszłość. Pragnęłam tylko opuścić wyspę; miałam nadzieję, że w Sydney znajdę jakąś pracę i na nowo ułożę sobie życie.

Napięcie wzrastało. Myślałam o tym, jak powiem kapitanowi o swoim odkryciu. Gdybym to istotnie ja odkryła diamenty, byłby to powód do wielkiej dumy i radości. Pragnęłam powrotu Redversa, a jednocześnie obawiałam się go.

Monique się uspokoiła. Miejsce szaleństwa zajęło chytre planowanie, bardziej jeszcze przerażające, ponieważ nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że zmierzamy do jakiegoś straszliwego przełomu. Na wyspę niewielki wpływ miał nasz zachodni styl życia, pod zewnętrzną powłoką kryła się pierwotna dzikość. Ludzie wierzyli tu w dziwnych bogów, traktowali skałę jak żywą istotę. Na porządku dziennym znajdowało się rzucanie uroków i klątw. I byłam przekonana, że Suka uznała mnie za wroga, ponieważ wierzyła, że stanęłam pomiędzy Monique a jej ukochanym.

Nikomu nie mogłam zwierzyć się ze swego niepokoju, Chantel zaś traktowała sprawę zbyt lekko. Nie chciała przyznać, że to poważny problem. Uważałam, że myślami jest w Sydney, gdzie niedługo połączy się z Rexem. Niewiele dla niej znaczyło nawet odkrycie diamentów Fillimore’a, ponieważ z zupełną obojętnością odnosiła się do kwestii oczyszczenia Redversa z podejrzeń. Kiedy mówiła o przyszłości, nigdy o nim nie wspominała. Nie ufała mu. To względem mnie miała wielkie plany. Kochana Chantel! Troszczyła się o mnie. Wiedziałam, że zamierza wprowadzić mnie w towarzystwo, znaleźć mi bogatego męża. Nie chciała, bym myślała o Redversie. Wymknęło jej się to podczas rozmowy, a chociaż poczułam się dotknięta, wiedziałam jednocześnie, że jest to miarą jej uczuć do mnie. Naprawdę wierzyła, że musi się mną opiekować i z typową dla siebie determinacją zdecydowała, że będzie to czynić.

---

<sup>\*</sup> Henry Wadsworth Longfellow, „Psalm życia”, przeł. Wiktor Baworowski.

Nie potrafiłam myśleć o przyszłości. Mogłam tylko czekać na powrót „Łagodnej Damy”. Tak więc mijały niespokojne dni. Pewnego popołudnia, gdy wszyscy odpoczywali, ponieważ panował wielki upał, wstałam, rozchyliłam okiennice i w zatoce zobaczyłam biały, lśniący statek.

Pobiegłam do Edwarda i zawołałam:

— Jest tutaj, Edwardzie! „Łagodna Dama” jest w zatoce!

\* \* \*

Wydarzenia następnych dni były tak dramatyczne, że z trudem mogę przypomnieć sobie, w jakim porządku nastąpiły. Ledwo opanowałam niecierpliwość. Pragnęłam pójść natychmiast na statek, opowiedzieć Redversowi o swoich obawach, zagubionym liście, przede wszystkim zaś o odkryciu galionu i diamentów.

Musiałam jednak trzymać się w ryzach.

Do mojego pokoju przyszła Chantel. Oczy jej błyszczały.

— Wieczorem będzie scena — oznajmiła. — Panienska już się do niej przygotowuje.

— Pewnie jest zachwycona powrotem męża.

— Do szaleństwa podniecona. Ale spojrzenie ma diabelsko przewrotne. Coś planuje. Szkoda, że nie potrafię czytać w jej myślach.

Czekałam u siebie. On wkrótce przyjdzie. Włożyłam suknię z błękitnego jedwabiu i upięłam włosy wysoko. A choć suknię tę nosiłam często i zwykle tak upinałam włosy, zmieniłam się nagle. Oczy mi błyszczały, policzki barwił lekki rumieniec. Czy inni też to zauważą?

Usłyszałam jego głos w holu i poczułam zamęt w myślach. Jaka byłam głupia! Czy Chantel miała rację? Czy mogę mu ufać? Zaraz wszakże pojęłam, że żadne jej słowa niczego nie zmienią. Kocham go i zawsze będę kochała.

Otworzyłam drzwi i stanęłam w progu, słuchając jego głosu.

Pomiędzy cieniami dostrzegłam przykucniętą postać. Suka! Ona też słuchała. Widziała mnie. Bardziej wyczułam, niż zobaczyłam utkwione we mnie złowrogie oczy niańki.

Wróciłam do pokoju. W Sydney, przyrzekłam sobie, muszę znaleźć posadę. Może nawet tam zostanę albo trafię na ludzi wracających do Anglii. Tak czy inaczej muszę stąd wyjechać.

W holu Pero biła w gong. Czas zejść na kolację.

\* \* \*

Kolację zjedliśmy w tym samym gronie, co pierwszego wieczoru: madame, Monique, ja, Chantel, Redvers, doktor i Dick Callum.

Dick bardzo się zmienił. Był przygaszony, utracił ową zapalczywość, którą tak często u niego dostrzegałam. Świadoma byłam obecności Redversa i, prawdę mówiąc, niewiele poza tym docierało do mnie. Od czasu do czasu czułam na sobie jego wzrok, nie ośmielałam się wszakże odwzajemnić spojrzenia. Nie wątpiłam, że Monique nas obserwuje. Zastanawiałam się, czy nagle nie zacznie mówić o liście. Byłoby w jej stylu w takiej chwili wyciągnąć go nagle.

Przy stole toczyła się konwencjonalna rozmowa, dotycząca głównie rejsu oraz — naturalnie — wydarzeń w czasie Tańca Ognia.

Kiedy przechodziliśmy do salonu, udało mi się szepnąć Redversowi:

— Muszę się z tobą zobaczyć. To bardzo ważne.

Przy kawie Dick mówił coś do mnie, lecz nie rozumiałam jego słów. Madame de Laude opowiadała o moim odkryciu cennych mebli w jej domu. Dicka bardzo to zainteresowało, zapytała

go więc, czy chciałby obejrzeć francuską konsoletkę, którą uznałam za szczególnie wartościową. Kiedy podniósł się z miejsca, wyszłam za nim i madame, lecz w holu skręciłam do ogrodu, gdzie czekałam ukryta w cieniu drzew. Po chwili pojawił się Redvers.

Ujawszy moje dłonie, patrzył mi w oczy, nim wszakże zdążył się odezwać, zaczęłam opowiadać o swoim odkryciu.

— Musisz iść do tego domu i pod jakimś pozorem obejrzeć figurę. Jestem pewna, że to galion z „Tajemniczej Kobiety”, a kamienie są diamentami.

Teraz był tak samo podniecony jak ja.

— Ja także muszę ci o czymś powiedzieć — oznajmił. — Dick Callum wyznał mi wszystko. Wstrząsnął nim fakt, że uratowałam mu życie. Nie krył niczego: ani kim jest, ani dlaczego mi zazdrościł. Nie miałem o niczym pojęcia. Pragnął się na mnie zemścić. Podejrzewano mnie o kradzież, lecz większą hańbą dla kapitana jest utrata statku! Zasugerował wyspiarzom, że statek należałoby wysadzić. To miało jakiś związek z jego nazwą. Dopilnował, żeby na pokładzie nikogo nie było, co dla niego jako głównego stewarda nie było trudne, nie chciał bowiem, by ktoś zginął. Jeżeli jednak masz rację, Anno...

— Jestem o tym przekonana. A jeżeli udało mi się rozwiązać tę zagadkę, będę dumna i zadowolona, że tego dokonałam.

— Anno, wiesz, że bez ciebie nic dla mnie nie ma znaczenia.

— Muszę wracać. Zauważą, że nas nie ma, a nie można do tego dopuścić. Obawiam się, że wydarzy się coś złego. Musiałam jednak opowiedzieć ci o diamentach. Teraz trzeba już iść.

Trzymał moje dłonie mocno, lecz się uwolniłam.

— Powinieneś tam iść jak najszybciej — naciskałam. — Aby przynajmniej się upewnić.

Odwrociłam się i pobiegłam do domu.

Nie powiedziałam mu o liście. Będę musiała zrobić to później, najpierw jednak niechaj idzie do tamtej chaty, zanim dowie się o mojej bezmyślności, przez którą ktoś zdobył obciążający nas dowód.

Madame de Laude wciąż pokazywała Dickowi meble, przyłączyłam się więc do nich. Miałam nadzieję, że gdy wróciliśmy do salonu, wszyscy odnieśli wrażenie, że byłam z nimi dwójkiem przez cały czas.

Redversa nie było w salonie. Monique wyjaśniła, że miał jakieś sprawy do załatwienia na statku.

Dick mówił, jak nudny był ten rejs.

— Tęskniłem za panią i często o pani myślałem. Gorąco tutaj, wyjdźmy do ogrodu.

Zapytałam, czy mi wybaczy, ale jestem bardzo zmęczona. Sprawiał wrażenie rozczarowanego.

\* \* \*

Usiadłam przy oknie. Redvers na pewno da mi znak. I rzeczywiście, po jakimś czasie usłyszałam delikatne stukanie kamyczków w okiennice.

Zeszłam do ogrodu do tego miejsca pomiędzy krzewami, gdzie się spotykaliśmy wcześniej.

Redvers nie krył radości. To wspaniałe, powiedział. Miałam rację, dokonałam wielkiego odkrycia. Ja, Anna, którą pokochał od pierwszego wejrzenia!

Udzieliło mi się jego podniecenie i po raz kolejny poczułam, że mogłabym odrzucić przeszłość i przyszłość i żyć wyłącznie chwilą terażniejszą. Przez lata na Redversie ciążyło podejrzenie, ja zaś odkryłam prawdę niemal bez wysiłku, przypadkiem. Lecz jakie to miało znaczenie? Ja tego dokonałam!

Cóż za cudowna chwila.

— To ma wielkie znaczenie — oznajmił Redvers. — Dowodzi, że twoje sprawy są moimi, a moje twoimi.

— A jak to się odbyło? — zapytałam. — Jak udało ci się ich przekonać, by pokazali figurę i oddali diamenty?

— To nie było trudne — wyjaśnił. — Ludzie Płomieni przeżyli wielki wstyd. Jeden z nich poniósł klęskę. Nie biorą pod uwagę, że to mały chłopiec, nie dorównujący im zręcznością, i wypatrują oznak boskiego gniewu. To dało mi pretekst, z którego od razu skorzystałem. Musiałem. Zasugerowałem, że w domu panują złe wpływy, i przypomniałem im statek wysadzony w zatoce. Z kieszeni wyjąłem ołówek i narysowałem galion. „Zabraliście figurę z morza, a to obca bogini”, oświadczyłem. Odpowiedzieli, że obiecano im pomyślność, jeśli zniszczą statek. O tym wiedziałem już ód Dicka. Kiedy statek wyleciał w powietrze, galion oderwał się od burty i podryfował w pobliże skały noszącej nazwę Kobieta Sekretów. Wzięli to za znak, przynieśli galion do domu i potraktowali jak jedno ze swych bóstw. Powiedzieli, że w galionie znajdowała się skrytka, a w niej woreczek z kamieniami.

To ich przekonało, że słusznie czynią, ponieważ mają w zwyczaju otaczać posągi kręgami z kamieni i muszli. A te były takie jasne i piękne. Ustawili więc galion i czekali na pomyślność, która wszakże nie przychodziła. Zamiast niej doczekali się wielkiego nieszczęścia, nic bowiem nie może być gorsze od tego, że ogień przestaje sprzyjać Ludziom Płomieni. Mam więc diamenty — ciągnął Redvers. — Powiedziałem im, że szczęście nie zawita pod ich dach, dopóki kamienie nie wrócą do właściciela. Przyrzekli zniszczyć galion, a ja obiecałem, że otrzymają nagrodę za znalezienie diamentów, która pozwoli na wzniesienie nowej statui. Zupełnie ich to zadowala. Zabiorę diamenty do Anglii i sprawa, która zaczęła się od śmierci Fillimore’a, zostanie wreszcie zakończona. Gdyby tylko zdradził komuś, że ukrył diamenty w galionie, oszczędziłby wszystkim mnóstwa problemów.

W końcu jednak rzecz się wyjaśniła.

— Teraz nikt nie będzie mógł mówić, że ukryłem fortunę w jakimś zagranicznym banku. Anno...

Ja jednakże usłyszałam głosy; wydało mi się nagle, że ktoś nas obserwuje i wie, że jestem z nim sama w ogrodzie. Rozpoznałam głos Monique. Znajdowała się na ganku wraz z Chantel.

— Powinna pani iść do siebie — perswadowała Chantel. — I tam poczekać.

— Nie! — zawołała Monique piskliwie. — On tu jest, ja to wiem. Poczekaam na niego tutaj.

— Idź szybko — szepnęłam do Redversa.

Ruszył w stronę domu, a ja tymczasem ukryłam się pomiędzy krzewami. Serce biło mi jak młotem.

— I co mówiłam? Jest tu. Wróciłeś!

— Jak widać — odparł zimno. Jakże innym głosem zwracał się przed chwilą do mnie!

— Wyglądasz, jakbyś przeżył podniecającą przygodę — powiedziała Monique ostro.

— Ja wracam do domu — oznajmiła stanowczo Chantel. — Jestem pewna, że panu kapitanowi będzie smakowała kawa, którą pani dla niego zaparzyła. Nikt nie parzy tak dobrej kawy jak pani.

— Tak — zgodziła się Monique. — Chodźmy, *mon capitaine*. Teraz ciszę przerywało tylko brzęczenie owadów. Odczekawszy kilka minut, szybko poszłam do domu.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Chantel. Była podniecona, oczy miała ogromne.

— Muszę ci to powiedzieć, Anno, ona ma ten list.

Położyłam dłoń na sercu i przymknęłam powieki. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję.

— Usiądź — poleciła Chantel.

— Od kiedy go ma?

— Od dzisiejszego wieczoru. Czytała, a kiedy weszłam, odłożyła kartkę na stół, udając, że to nic ważnego. Zerknęłam i dojrzałam twoje imię. Wtedy schowała list za dekollet.

— Chantel, co ona zamierza zrobić według ciebie?

— Możemy tylko czekać. Byłam zaskoczona jej spokojem. I nic nie powiedziała.

— Powie.

— Myślę, że powie mu o liście dziś wieczorem.

— Lecz przecież poszła spokojnie zaparzyć kawę.

— Nie rozumiem, dlaczego jest taka opanowana. Pomyślałam, że trzeba cię uprzedzić.

— Och, Chantel, przeraża mnie to, co może się wydarzyć. Wstała.

— Muszę już iść, mogą mnie potrzebować. Nie martw się, Anno, przyrzekam, że wszystko będzie dobrze. Już prawie skończyliśmy z tym miejscem. Zawsze mi ufałaś, prawda? — Podeszła i pocałowała mnie lekko w czoło. — Dobranoc, Anno. Już niedługo.

Wyszła, zostawiając mnie samą.

Wiedziałam, że nie zasnę. Mogłam myśleć tylko o Monique czytającej list, który był przeznaczony wyłącznie dla mnie.

\* \* \*

Była to noc dziwnych emocji. Straszliwe napięcie musiało wcześniej czy później jakoś się rozładować, jedynie ta myśl przynosiła mi ulgę. Muszę wyjechać, oddalić się od nich wszystkich, a także i od Chantel, skoro swój los nierozzerwalnie związała z Creditonami. Za kilka tygodni będę w Sydney; tam muszę znaleźć odwagę, by od nowa rozpocząć życie na własną rękę.

Słyszając podniesiony w gniewie głos Monique, starałam się zamknąć przed nim uszy. Chwilę później w ogrodzie rozległy się kroki i przez okiennice ujrzałam Redversa. Domyśliłam się, że wezwano go na statek, a chora protestowała. Czy pokazała mu list? Co zamierzała zrobić?

Rozebrałam się i położyłam, choć naturalnie sen był wykluczony. Leżałam, jak kiedyś często w Domu Królowej, nasłuchując odgłosów nocy.

Nagle drzwi sypialni cicho się otworzyły i w progu stanęła jakaś postać. Drgnęłam przestraszona. Gdy poznałam, że to Chantel, odetchnęłam z ulgą.

Włosy miała rozpuszczone, ubrana była w miękki jedwabny szlafrok w ulubionym odcieniu zieleni, lecz wyglądała dziwnie — jej oczy wydawały się ogromne.

— Chantel, co się stało?!

— Przeczytaj to — odrzekła. Jej głos brzmiał piskliwie i niemal obco. — A kiedy skończysz, natychmiast do mnie przyjdź.

— Co to jest?

— Przeczytaj, a sama zobaczysz.

Rzuciła jakieś papiery na łóżko i nim zdążyłam je pozbierać, wyszła.

Wyskoczyłam z łóżka, zapaliłam świecę, po czym pozbierałam kartki i zabrałam się do lektury:

*Najdroższa Anno,*

*O tak wielu sprawach nie wiesz, sporo więc muszę Ci wyjaśnić. Czasu zostało mało, muszę się streszczać. Pamiętasz, jak mówiłam, że prawda może mieć wiele twarzy i że mówiłam Ci prawdę, tylko nie całą. Nie znasz mnie, Anno, nie wiesz o mnie wszystkiego. Znasz tylko jedno oblicze mojej osoby i bardzo je lubisz, co sprawia mi przyjemność. Czytałaś mój pamiętnik. Jak mówiłam, zawiera prawdę, lecz nie całą. Chciałabym sama go teraz przeczytać, by od nowa napisać niektóre strony. Widzisz, nie powiedziałam Ci, że Rex zakochał się we mnie bez pamięci. Wiedziałaś, że go pociągałam, sądziłaś jednak, że z jego strony to tylko niezobowiązujący flirt. Współczułaś mi i*

*martwiłaś się o mnie. Kocham Cię za to, Anno. Rozumiesz, że gdy tylko przekroczyłam próg zamku, zapragnęłam zostać jego panią. Widziałam siebie jako przyszłą lady Crediton i nic poza tym nie mogło mnie usatysfakcjonować. Jestem straszliwie ambitna, Anno. Niemal w każdej z nas tkwi tajemnicza kobieta, która nie ukazuje swej prawdziwej twarzy przyjaciołom ani znajomym, czasem nawet i mężowi. Jednakże Rex musiał poznać mnie całkiem dobrze, choć nie osłabiło to jego uczucia. Pamiętasz pewnie, jak kiedyś zainteresowała mnie Valerie Stretton, gdy wróciła ze spaceru w zabłoconych butach. W jej biurku znajdował się list. Napisałam w pamiętniku, że panna Beddoes przyłapała mnie z kopertą w dłoni. To nie była cała prawda. Przeczytałam ten list, przeczytałam też inne i dowiedziałam się, że Valerie Stretton szantażowano. Poślubiłam Rexa i zdecydowana byłam zrobić wszystko, żeby pojechać z nim do Australii. On chciał, bym towarzyszyła mu oficjalnie jako żona, ja jednak nie zamierzałam na tak wczesnym etapie nastawiać przeciwko nam lady Crediton. Mogła odebrać Rexowi większą część fortuny, ja zaś chciałam, by zyskał całkowitą kontrolę nad firmą. Wiedziałam, że lepiej będzie, jeśli na razie zachowamy nasze małżeństwo w tajemnicy, tak więc poddałam doktorowi Elginowi myśl, że angielski klimat szkodzi Monique, jej zaś wmówiłam, że pragnie odwiedzić matkę. Ponieważ oznaczało to rejs na statku dowodzonym przez Redversa, nie trzeba było długo jej przekonywać. Musiałam jednak mieć Ciebie w pobliżu, Anno, a nasza biedna stara panna Beddoes była bardzo niekompetentna. Pomogłam w jej odejściu, odgadła to. Któż jednak by jej uwierzył? Awanturница uczy się korzystać z okazji w najbardziej nieoczekiwanych sytuacjach.*

*Tak więc pozbyłam się panny Beddoes i sprowadziłam Cię do zamku. Anno, jestem do Ciebie bardzo przywiązana. Nie zamierzałam Cię skrzywdzić. Już raz Cię ocaliłam, prawda? I zdecydowana byłam ocalić Cię ponownie, niezależnie od tego, co się wydarzy. Potrzebowałam Cię, Anno. Tak, to prawda, zależało mi na Twojej przyjaźni... lecz stanowiłaś też ważny element mojego planu.*

*Teraz przyszła kolej na część, która najmocniej Cię zrani. Mnie też rani. Myślałam, że jestem twarda i silna. A Ty — jakby to rzec? — jesteś bardzo uczciwa i masz rygorystyczne zasady. Słuszne jest słuszne, a złe jest złe, białe jest białe, a czarne jest czarne. Nie zrozumiesz, a ja niemądrze odkładałam wyznanie prawdy na ostatnią chwilę, chociaż wiem, że czasu zostało niewiele.*

*Muszę Ci powiedzieć, dlaczego Valerie Stretton była szantażowana, nie tylko zresztą ona, lecz i Rex. Rex nie jest kryształowo uczciwym człowiekiem, nie posiada jednak przestępczych skłonności. Za bardzo się boi. Nie posunie się poza pewien punkt. Zawsze wiedziałam, że jest słaby. Gareth Glenning go szantażował, dlatego wybrał się z żoną w ten rejs. Chcieli pilnować Rexa. Nie zamierzali tracić go z oczu. Stanowił główne źródło ich dochodów.*

*A sekret Valerie Stretton? Oto on: jej syn miał cztery dni, gdy urodził się syn lady Crediton. Lady była bardzo chora, tak więc Valerie zyskała pewność, że jej plan się powiedzie. Pragnęła, by to jej syn odziedziczył imperium Creditonów. Dlaczego nie? Sir Edward był ojcem obu chłopców, kwestię rozstrzygały więzy małżeńskie, stanowiące też jedyną przewagę lady Crediton nad Valerie. To nie było trudne, w końcu mieszkała w zamku. Wiedziała, kiedy piastunka odpoczywa i kiedy niemowlę śpi w kołysce. Domyślasz się chyba, co się stało. Podmieniła dzieci; Rex to jej syn, Redvers zaś jest synem lady Crediton. Tak to się wszystko zaczęło, lecz niestety nie skończyło. Pewna osoba w zamku rozróżniała niemowlęta, choć były takie małe: piastunka. Wiedziała, co zrobiła Valerie.*

*Nienawidziła lady Crediton i lubiła Valerie Stretton. Niewykluczone nawet, że pomogła w zamianie. Chłopcy dorastali. Valerie nie potrafiła ukryć, że faworyzuje Rexa, co było głupie z jej strony, mogło bowiem doprowadzić do ujawnienia intrygi. Lady Crediton dopiero w trzy tygodnie*

po porodzie odzyskała siły, a wówczas chłopcy mieli już zróżnicowany wygląd i wszyscy — z wyjątkiem Valerie i piastunki — byli przekonani, że dziedzicem firmy jest Rex.

Niemądrze jest dzielić się sekretami. Bezpieczna tajemnica to taka, o której nikomu nie mówisz. Dlatego też ja postanowiłam ukryć przed tobą prawdę.

Na piastunkę przyszły ciężkie czasy i poprosiła Valerie o pomoc. Ta jej pomogła; lata mijają, przyjaźń między kobietami wygasła, tylko co jakiś czas piastunka zwracała się do Valerie o pieniądze w zamian za utrzymanie sprawy w tajemnicy. Piastunka wyszła za mąż dość późno, za wdowca z synem. Nie potrafiła się powstrzymać, by o wszystkim nie opowiedzieć mężowi, ten zaś powtórzył synowi. Jest nim Gareth Glenning. To spryciarz. Od razu dostrzegł lepsze źródło dochodów niż Valerie: Rexa.

Kiedy po raz pierwszy zwrócił się do niego, Rex poszedł do Valerie, a ona wyznała mu wszystko. Był przerażony. Interesy to cały jego świat, Anno, od dziecka pracował, mając na uwadze jeden tylko cel: przejęcie firmy. Redvers jest tylko jednym z kapitanów, nie wiedziałby, jak zarządzać tak wielkim przedsiębiorstwem. Jego zajęcie polegało na pływaniu po morzach. Rex nie mógł znieść myśli o utracie tego, co zawsze uważał za swoje. Tak więc pozwolił się szantażować.

Teraz przechodzę do najtrudniejszej części. Zwlekałam z tym, bo obawiam się, iż zmienisz swój stosunek do mnie. Dlaczego jednak miałyby mnie to obchodzić? Ale obchodzi, Anno, to dziwne, ale bardzo mnie obchodzi. Widzisz, jestem do Ciebie naprawdę przywiązana. Kiedy Ci powiedziałam, że jesteś dla mnie jak siostra, mówiłam poważnie.

W pewnym sensie to właśnie owa tajemnica tak bardzo zbliżyła mnie i Rexa. Gdy go poślubiłam, stała się także moją sprawą i zrobiłabym wszystko, by nigdy nie wyszła na jaw. W tym właśnie rzecz, Anno: nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć. A jak można być tego pewnym? Już wiedziało troje ludzi: piastunka, Claire i Gareth Glenningowe. Rozumiesz, nawet gdyby oni umarli, skąd mielibyśmy wiedzieć, że nie przekazali tajemnicy komuś jeszcze?

Nigdy nie bylibyśmy bezpieczni, czekaloby nas życie w ciągłej niepewności. Wyobraź to sobie. W każdej chwili mógł pojawić się ktoś, kto znał nasz sekret. Często tłumaczyłam to Rexowi. Zrozumiał, że mam rację. Sama przyznasz, że tylko w jeden sposób mogliśmy uzyskać całkowite bezpieczeństwo. Zgodnie z testamentem — przejrzałam go w Somerset House — jeśli dziedzic i jego spadkobiercy umrą, majątek przejdzie na drugiego syna sir Edwarda, którym według powszechnej wiedzy był Redvers, w istocie zaś Rex. Tak więc według prawa Rex nie był dziedzicem, zostałby nim jednak, gdyby Redvers i jego spadkobiercy umarli.

Widzisz, Anno, cokolwiek czynimy, wpływa to na nas. Po długim namyśle podejmujemy jakieś działanie, a kiedy kończy się sukcesem, powtarzamy je bez skrępowań; po pewnym czasie staje się ono rzeczą powszednią. Lady Henrock umarła i zostawiła mi dwieście funtów. Bardzo cierpiała, nigdy nie odzyskałaby zdrowia, tak więc pomoc w przejściu na tamten świat wydawała się w jej wypadku nawet dobrym uczynkiem. Tak sobie mówiłam. Twoja ciotka Charlotte także nie wróciłaby do zdrowia. Z dnia na dzień trudniej by było z nią wytrzymać, zamieniłaby twoje życie w udrękę, a poza tym wiedziałam, że zostawiła mi niewielki legat. Umiem wyciągać z ludzi tego rodzaju sekrety. Nie zdawałam sobie sprawy, że wybuchnie takie zamieszanie. Uratowałam Cię jednak, prawda? Uwierz mi, w żadnym razie nie pozwoliłabym, żeby oskarżono Cię o morderstwo.

Potem oczywiście był ten rejs. Przedyskutowaliśmy z Rexem nasze sprawy z każdego możliwego punktu widzenia. Przekonałam go, że istnieje tylko jeden sposób, by spadek przypadł nam. A sposobem tym jest usunięcie Redversa. Naturalnie był też Edward. Rex okazał się słaby, lecz z tego się cieszę. Lubiłam Edwarda. Rex sfuszrował tę sprawę na statku. Zawsze powtarzałam, że na morzu najłatwiej pozbyć się niechcianego dziecka. Dodałam do mleka środek nasenny, a Rex, ubrany w burnus, dzięki któremu nikt by go nie rozpoznał, wyniósł chłopca z kabiny, tylko że Johnny zepsuł wszystko. Nie wierzę jednak, by Rex mógł to zrobić, nawet gdyby nie napatoczył się

*Johnny. Rex skorzystał z okazji, ale wiem, że ucieszył się, iż Edwardowi nic się nie stało. O wiele trudniej zabić dziecko niż zręczną staruszkę. Tak więc Edward żył, aczkolwiek zdawałam sobie sprawę, że wiecznie nie będziemy mogli go ignorować. Lecz na razie nie był ważny, ponieważ nawet gdyby nasza tajemnica wyszła na jaw, przez wiele lat nie mógłby przejąć spadku i firmą kierowałby Rex. W swoim czasie jednak musieliśmy coś zaaranżować. Z Redversem natomiast trzeba było uporać się natychmiast.*

*Redvers musiał umrzeć. Tylko jak? Czy silnego, zdrowego mężczyznę może nagle powalić choroba? Takie wyjście po prostu nie wchodziło w grę. Zawsze jednak dostosowywałam swoje plany do okoliczności: mąż i histerycznie zazdrosna żona, inna kobieta, którą on kocha i która kocha jego. Przykro mi, Anno, on nie był dla ciebie. Zamierzałam się Tobą zaopiekować i szybko byś o nim zapomniała. Zamieszkałabyś w zamku jako moja ukochana siostra, znalazłabym Ci męża, czekałoby Cię szczęśliwe życie. Tak planowałam. Redvers jednak musiał umrzeć. I zdecydowałam, że musi być morderczyni.*

*Ona długo nie pożyje. Może umrzeć w przyszłym tygodniu... albo za dwa lata. Sądząc po stanie jej płuc, nie przetrzyma następnych pięciu lat. Ataki astmy powtarzają się z tą samą co przedtem częstotliwością, osłabiając dodatkowo płuca. Wiedziałam, że podróż nie spowoduje długotrwałych korzystnych rezultatów dla Monique. Ludzie współczuli by jej, zwłaszcza na Coralle... jej, chorej i zazdrosnej żonie. Nie potraktowałiby surowo jej czynu. A ty, Anno, znowu zostałabyś wplątana w skandal, lecz byłabym przy tobie, by Cię chronić. Miałabym wymarzoną władzę i pozycję, zaopiekowałabym się Tobą. A chociaż wskazywano by na Ciebie jako na tę drugą, tak jak wcześniej byłaś siostrzenicą z motywem — cóż, nic nie trwa wiecznie, przekonałaś się o tym. I wtedy, i teraz musiałam przysporzyć Ci tych drobnych niewygód.*

*Jesteś mi bliska, Anno. Nigdy nie sądziłam, że to możliwe, tak więc w mym umyśle istnieją chyba sekretne zakamarki, których sama jeszcze nie poznałam.*

*Postanowiłam, że po powrocie na wyspę Redvers umrze.*

*I taki był mój plan na dzisiejszy wieczór. Pracowałam nad Monique. Rozmyślnie wzbudzałam w niej zazdrość, choć czyniłam to subtelnie. Od razu zorientowałam się, jak przydatna może okazać się Suka. Sprawa zapowiadała się na łatwą. Zazdrosna żona postanawia zabić niewiernego męża, a dojdzie do tego dziś lub jutro wieczorem, kiedy kapitan będzie w domu. Czekałam na okazję. Wiedziałam, że się pojawi, ponieważ Monique uwielbiała parzyć kawę. Była z niej dumna, niczego innego zresztą nie potrafi robić. Chwaliłam ją, mówiłam, że jej kawa jest najdoskonalsza, musiałam tylko wybrać odpowiedni moment. Dziś wieczorem Redvers rozmawiał z Tobą w ogrodzie. Suka widziała was i doniosła o tym Monique, która parzyła kawę w swoim pokoju na spirytusowej maszynie. A ja do tej kawy coś dodałam, Anno. Nie powiem Ci co. To środek, który działa szybko i jest prawie, acz nie całkiem pozbawiony smaku. Kapitan był podniecony, myślał o Tobie i odnalezieniu diamentów. Nie sądzę, by zwrócił uwagę na nieco kwaśny smak kawy. Kiedy Monique ją zaparzyła, powiedziałam, że moim zdaniem błękitny negliż jest bardziej twarzowy niż czerwony, ona zaś, jak oczekiwałam, natychmiast poszła przebrać się do sąsiedniego pokoju. Wówczas zrobiłam, co trzeba, dodałam śmiertelną dawkę leku do kawy i zamieszałam. Kiedy wróciła w błękitnym negliżu, wszystko było przygotowane.*

*Poszłam do siebie. Byłam napięta i podniecona. Krążyłam po pokoju i czekałam.*

*Nigdy wcześniej nie powazyłam się na taki czyn. Różnił się ogromnie od wyprawiania chorych staruszek na tamten świat. Nie byłam pewna, jakie skutki spowoduje tak wielka dawka leku. Musiałam być czujna i przygotowana, by powiedzieć właściwe słowa, zrobić właściwą rzecz, gdy nadejdzie pora. Drżałam z niepokoju.*

*Pomyślałam, że kawa uspokoi mi nerwy. Chciałam sama ją sobie przygotować, kiedy wszakże wyszłam na korytarz, zobaczyłam Pero. Nie zamierzałam ryzykować teraz rozmów z nikiem,*



wolałam więc nie schodzić do kuchni. Najbardziej obawiałam się spotkania z Suką, która ma niesamowity dar czytania w myślach. Nie, nie mogłam stanąć twarzą w twarz z tą staruchą — a było to możliwe, gdybym poszła do kuchni — skoro dopiero co uczyniłam z jej ukochanej panienki morderczynię.

Powiedziałam więc do Pero:

— Zaparz mi kawę i przynieś do pokoju, dobrze? Jestem bardzo zmęczona, miałam ciężki dzień.

Pero zawsze jest chętna i zawsze chce wszystkich zadowolić. Odrzekła, że zaraz zaparzy i po dziesięciu minutach przyniosła tacę.

Nalałam sobie filiżankę. Napój nie był zbyt gorący, lecz nigdy nie przepadałam za gorącą kawą. Wypiłam ją do dna, nalałam sobie jeszcze... i wtedy... uświadomiłam sobie ów niezwykły smak.

Przyjrzałam się filiżance, powąchałam. Nic nie poczułam, mimo to straszliwe podejrzenie zrodziło się w mojej głowie. Pomyślałam jednak, że coś sobie wyobrażam. To niemożliwe.

Musiałam jednak się przekonać. Pero znalazłam w kuchni.

— Przyniosłaś mi kawę.

— Tak, siostrzo Loman — odrzekła. Wyglądała na przerażoną, lecz przecież zawsze tak wygląda, zawsze obawia się, że ktoś będzie miał do niej pretensje.

— Przygotowałaś ją sama...?

— Ależ tak, siostrzo.

Poczułam się lepiej. Uświadomiłam sobie, że mam lodowatą skórę, choć ciało mi płonie. Upomniałam się, że muszę być ostrożna. W tym domu niebawem sporo się będzie mówiło o kawie!

— Nie była dobra, siostrzo?

Nie odpowiedziałam.

— Zrobiła ją panienka Monique — dodała Pero.

— Co takiego?

— Dla kapitana, ale jej nie wypił. Wezwano go na statek. Podgrzałam ją dla pani.

Usłyszałam własny głos:

— Rozumiem.

Tak więc teraz i Ty rozumiesz. Widzisz, trzeba brać pod uwagę absolutnie każdą możliwość, jeśli chce się osiągnąć sukces. Ten oszczędny dom! Zapomniałam o tym. A trzeba myśleć o wszystkim, bo najmniej istotny szczegół może spowodować Twój upadek.

Oddaję Ci Twój list, Anno. Ja go wzięłam i zamierzałam użyć w określonym celu. Jeszcze nie podrzuciłam listu w miejsce, gdzie Monique mogłaby go znaleźć. Teraz już tego nie zrobię. Rozumiesz, okazałby się bardzo użyteczny. Znalaziono by go w jej pokoju i oczywiście wyjaśniłby dodatkowo motyw.

Teraz wszakże wszystko uległo zmianie. Prawda wyjdzie na jaw, a dla Rexa tak będzie lepiej. Sam, beze mnie, nie dałby sobie rady, a teraz zostanie sam.

„Żegnaj na długo, ty moja wielkości”\*. Jak widzisz, cytuję do samego końca. Żegnaj, Anno. I pożegnaj Rexa.

Rzuciłam na łóżko przeczytane kartki i list Redversa, po czym pobiegłam do pokoju Chantel. Leżała na łóżku.

— Chantel! Chantel!

Nie poruszyła się; wiedziałam, że jest już za późno, mimo to uklękłam przy niej, ujęłam jej zimną rękę i zawołałam:

— Chantel, Chantel, wróć do mnie!

---

\* W. Szekspir, „Henryk VIH”, przeł. J. Paszkowski.

\* \* \*

Zdarzenia te miały miejsce przed ponad dwoma laty, lecz wspomnienie owej strasznej nocy nigdy mnie nie opuści. Nie potrafiłam uwierzyć w to, co napisała Chantel, dopiero widok jej martwego ciała uświadomił mi, że to prawda. Redvers wszystkim się zajął. Chyba przez wiele tygodni żyłam w stanie oszołomienia. Wspominałam Chantel, śniłam o jej radosnej urodzie. Dla mnie była siostrą, jakiej zawsze pragnęłam, a przypuszczam, że ona mnie też tak traktowała. Darzyła mnie uczuciem, była łagodna i dobra. Jak mogła snuć równie diaboliczne plany? Nigdy bym nie odgadła w niej owej tajemniczej kobiety — morderczynie, gdyby sama mi jej nie pokazała.

Wypadki następowały szybko po sobie. Jakiś tydzień przed śmiercią Chantel stara piastunka — macocha Garetha Glenninga — umarła. Widząc, że koniec jest bliski, wyznała lady Crediton wszystko. Chantel miała rację, gdy mówiła, że nie można zabezpieczyć się przed ujawnieniem tajemnicy przez szantażystów.

Życzeniem lady Crediton było, żeby Edward bez zwłoki powrócił do domu, popłynęłam z nim więc do Anglii, choć nie na „Łagodnej Damie”.

Lady Crediton przyjęła mnie z niejakim respektem. Oznajmiła, że biorąc pod uwagę wypadki oraz szok, jaki mogły wywołać u Edwarda — obecnie był dla niej bardzo ważny — ma nadzieję, iż pozostanę z nim przez jakiś czas na dotychczasowych warunkach. W obecnej sytuacji byłoby bowiem niewygodne, gdybym odmówiła. Tak więc zamieszkałam w zamku.

Monique nie wyjechała z wyspy. Madame de Laude, z którą korespondowałam w sprawach związanych z meblami, często do mnie pisała; dowiedziałam się od niej, że nowy doktor, młody człowiek wyznający zachodnie idee, zajmuje się chorobą — według niego rokowania są pomyślne.

Nie widziałam Redversa, rozminęliśmy się. Był w Anglii przed nami, a gdy tam dopłynęliśmy, wyruszył już w następny rejs. Został dziedzicem imperium Creditonów, lecz Rexa potraktował z taką samą wielkodusznością, jak wcześniej Dicka Calluma. Rex pełnił te same funkcje co przedtem, gdy uchodził za prawowitego spadkobiercę. W Australii pozostał do końca roku. Doszły mnie słuchy, że poślubił Helenę Derringham.

Madame de Laude, zachwycona faktem, że udało mi się sprzedać część jej mebli, informowała mnie na bieżąco o wszystkim. Ludzie Płomieni otrzymali nagrodę za odzyskanie diamentów, a co ważniejsze, doszli do przekonania, że to obca bogini spowodowała wypadek podczas tańca z pochodniami, tak więc gdy chłopiec osiągnie wiek męski, z dumą będzie mógł nosić blizny po starciu z wrogiem, z którego wyszedł zwycięsko. Wierzyli, iż Bogini Ognia zesłała swoją sługę w postaci pielęgniarki, którą pochowano na chrześcijańskim cmentarzu. W dzień wielkiego święta kładli na grobie Chantel kwiaty i przysięgali, iż będą czynić tak zawsze.

Często myślałam o Chantel. Bez niej moje życie wydawało się puste. Kiedyś pojechałam na północ i odnalazłam probostwo, gdzie spędziła dzieciństwo. Poszłam na cmentarz i odszukałam grób, o którym mi opowiadała. Kamień przechylił się na bok i z trudem można było odcyfrować inskrypcję. „Chantel Spring 1669”. Pomyślałam o matce Chantel, która przyszła tu, przeczytała napis i postanowiła, że jeśli dziecko, które nosi w łonie, będzie dziewczynką, tak ją nazwie. Popytałam w sąsiedztwie i złożyłam wizytę Selinie, siostrze Chantel. Chwilę rozmawiałyśmy. Nie знаła całej prawdy. Nie było potrzeby zapoznawać jej z tym, co się stało. Chantel przypadkiem przedawkowała tabletki nasenne, tak sądziła Selina. Mówiła o siostrze z dumą. Prawda, lecz nie cała prawda, jak powiedziałaaby Chantel.

— Była piękna, już jako niemowlę. I różniła się od nas. Wiedziała, czego pragnie, a pragnęła namiętnie lepszego życia. Naturalnie była o wiele młodsza od nas, reszty rodzeństwa. Matka umarła przy jej urodzeniu i sądzę, że wszyscy rozpieszczaliśmy Chantel. Zawsze była wesoła i

uczuciowa. Zaskoczyła nas, gdy oznajmiła, że zostanie pielęgniarką. Powiedziała nam, że uważa to za furtkę. A skoro poślubiła milionera, to chyba miała rację. Niedługo jednak to trwało, prawda? Biedna Chantel, mieć tak wiele i wszystko zostawić.

Ogarnięta smutkiem wróciłam do Langmouth i dalej nosiłam żałobę po niej... i Redversie.

Nie powinnam zostawać w zamku. Podjęłam decyzję, że opuszczę go przed powrotem kapitana. Muszę na nowo ułożyć sobie życie.

W sprawie mebli madame de Laude skontaktowałam się z kilkoma antykwariuszami, których znałam w przeszłości. Jeden z nich powiedział mi, że marnuję czas w zamku, mając tak rozległą wiedzę. Jeśli zechciałabym u niego pracować, przyjmie mnie od razu. Odparłam, że przemyszę jego propozycję.

Poszłam na klif, usiadłam i patrzyłam na port, gdzie stały na kotwicy statki. Brygi, berkantyny i chyżo sunące po falach klipery zastąpione zostały nowoczesnymi parowcami. Myślałam o czasach, gdy przychodziłam tu jako dziecko w towarzystwie Ellen i słuchałam opowieści o wspaniałościach Lady Linę.

Zatoczyłam koło. Znowu nadeszła pora na podjęcie decyzji. Edward wkrótce pojedzie do szkoły i w zamku nie będzie dla mnie zajęcia. Nie warto kurczowo trzymać się dawnego życia, życia, które przeminęło.

\* \* \*

Jakże dziwny jest nasz los. Człowiek niemal już decyduje się na coś, gdy przypadkiem na jego drodze pojawia się inna możliwość. Pewnego ranka otrzymałam list od moich lokatorów w Domu Królowej z prośbą, bym ich odwiedziła.

Lato było już tuż, tuż; gdy otworzyłam żeliwną bramę i weszłam do ogrodu, ujrzałam piękne kwiaty i poczułam się, jakbym wróciła do domu. Pojęłam też, że jeśli nie dane jest mi owo ekstatyczne szczęście, o którym marzyłam, to przynajmniej mogę znaleźć spokój pod tym dachem. Zapukałam; schludna pokojówka wprowadziła mnie do holu. Umeblowano go stołem jadalnym z okresu Tudorów i ozdobiono cynowymi talerzami. Na podeście schodów, gdzie niegdyś razem z Redverssem stawiałam czoło rozwścieczonej ciotce Charlotte, pysznił się teraz stojący zegar. Wydawało mi się, że mówi: „Tik tak! Wracaj do domu!”

Moi lokatorzy mieli niewyraźne miny. Ich córka w Ameryce urodziła bliźniaczki i pragnęła, by rodzice złożyli jej długą wizytę. Postanowili wyjechać, dlatego też chcieli zrezygnować z wynajmu. Dokonali koniecznych remontów, meble zaś godzili się sprzedać za bardzo rozsądną cenę.

Od razu wiedziałam, co zrobić. Wrócę do Domu Królowej i znów będę kupować i sprzedawać antyki. Ze sprzedaży mebli madame de Laude otrzymałam zwykłą prowizję, oszczędziłam też nieco z mojej pensji. Czy to wystarczy? Nie ma potrzeby płacić natychmiast, powiedzieli mi, a ja uświadomiłam sobie, że pragnę wyjechać jak najszybciej.

Czy dam sobie radę? To było wyzwanie. Ruszyłam po schodach wprost do pokoju — jakże pięknie teraz wyglądał! Nigdy nie powinien być zagracony. Zacznę powoli. Będę kupowała tylko te przedmioty, dla których jest w domu miejsce. Uda mi się. Wiedziałam, że sobie poradzę.

Poszłam do Komnaty Królowej. Było tam drogocenne łoże. Odwróciłam się i spojrzałam w lustro. Przypomniałam sobie, jak w przeszłości spoglądałam w to lustro i widziałam siebie w przyszłości. „Stara panna Brett. Trochę zdziwaczała. Była jakaś historia na jej temat. Czy aby kogoś nie zamordowała?”

Teraz wszakże nie zobaczyłam starej panny Brett. Nie było już tajemnicy, wiedziałam, jak umarła ciotka Charlotte.

Wiedziałałam też, że podejmę wyzwanie.

Ellen wróciła do mnie. Panu Orfeyowi nie wiodło się najlepiej, nie mogła więc pozwolić sobie na gnuśne życie. Znów przynosiła plotki z zamku.

— Daję słowo, Edith mówiła, że można by ją palcem przewrócić! Więc teraz wielką figurą jest kapitan Stretton... powinnam powiedzieć, kapitan Crediton. Pan Rex wrócił do domu, a pani Rexowa... to wielka pani. Będzie trzymała go w ryzach, ale Edith powiada, że serce ma na swoim miejscu.

Próbowałam bez reszty pogрузić się w pracy, by nie mieć czasu na rozmyślenia. To nie było możliwe. Odnalazłam drogę w życiu, lecz jego nigdy nie zapomnę.

Pewnego dnia Ellen przysłała z poruszającymi wieściami.

— Pani Stretton, to znaczy pani Crediton umarła. Tam, na swojej wyspie. Oczekiwali tego od miesięcy. Można rzec, że dla niej to wybawienie.

Nadeszła jesień, w porcie cumowały statki. Nigdy nie miałam dość wchodzenia na klif i spoglądania na nie z góry — na statki Lady Linę, pomiędzy które wkradła się jedna kobieta: „Tajemnicza Kobieta”.

Wciąż niczym skarb przechowywałam kopię galionu. Co dzień patrzyłam na figurkę i pytałam siebie: czy on jeszcze o mnie myśli?

A potem pewnego wieczoru, kiedy nad rzeką unosiła się mgła i krople rosy jak maleńkie diamenty zdobiły pajęczyny udrapowane na krzewach w ogrodzie, usłyszałam szczełk otwieranej bramy i kroki na brukowanej ścieżce.

Podeszłam do drzwi i czekałam. Zbliżał się ku mnie.

Pomyślałam: zmienił się i postarzał — oboje się postarzeliliśmy.

Kiedy wszakże ujął moje ręce, ujrzałam, że wcale się nie zmienił. W jego głosie wciąż brzmiał ten sam zaśpiew, ten sam uśmiech czaił się w lekko zmrużonych oczach. A jednak coś się zmieniło: był wolny.

I tam, w ogrodzie Domu Królowej, w ten jesienny wieczór pojęłam — i on też — że teraz mamy przed sobą wspólną przyszłość.